

PRZEGLĄD POWSZECHNY.

BŁOGOSŁAWIONY LUD, KTÓREGO PANEM BÓG JEGO.
Ps. 113.

ROK DZIEWIĄTY. — TOM XXXIII.

STYCZEŃ, LUTY, MARZEC.

1892.

KRAKÓW.
DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem Jana Gadowskiego.
1892.

PRAWDA W SZTUCE.

(S. Witkiewicz: SZTUKA I KRYTYKA U NAS. Wydanie drugie. Warszawa 1891).

Sztuka polska istnieje; od wystawy w r. 1887 nie można o tem wątpić. Liczy ona w swych szeregach wiele talentów i, co więcej, przejawia w swych dziełach odrębny, narodowy charakter. Społeczeństwo wogóle tę sztukę ceni i szczeni się nią. — Jednakże czuć się daje pewien brak porozumienia między artystami naszymi a społeczeństwem i krytykami, którzy społeczeństwa opinię wyrażają. Artyści skarżą się na niedojrzałość społeczeństwa w zakresie sztuki, na nierozumienie dążeń swoich i właściwych artystycznych zalet swych utworów. Publiczność znów objawia sądy i żądania, z których artyści się śmieją... A przecież pewne porozumienie jest konieczne: bez tego ani sztuka należycie się nie rozwinie, ani społeczeństwo nie wykształci.

Otóż wielkim krokiem ku temu wzajemnemu porozumieniu się jest książka p. Witkiewicza. Co artyści myśleli i czuli (nie wszyscy oczywiście, ale wielu z nich), to autor z wielkim talentem wysłowienia się, w żywym i barwnym stylu wypowiedział. Artystów widzę cieszących się tą książką: — tośmy oddawna mieli na języku, mówią, tylkośmy nie umieli tego tak dobrze wytłumaczyć. A wielu z publiczności, miłośników sztuki, słyszę mówiących: teraz dopiero rozumiemy, czego artyści chcą i jak oni na rzeczy patrzą! — Jestto rzecz rzadka, żeby malarz,

posiadający doświadczenie i tajniki sztuki, miał zarazem wybitną zdolność pisarską. I to stanowi interes i ważność tej książki.

Na to jasne wywnętrzanie się, wychodzące z grona artystów, należy się oczywiście — jeśli to ma prowadzić do porozumienia — podobnie jasna i szczerza odpowiedź z łona społeczeństwa naszego. Odpowiedź ta już w pewnej mierze dana została w licznych sprawozdaniach o tej książce, szczególnie w pięknej i pełnej prawdy recenzji p. Tarnowskiego w *Przeglądzie Polskim*. My, zabierając jeszcze głos w tej sprawie, nie myślimy pisać jednej recenzji więcej, ani krytykować szczegółowych zdań p. Witkiewicza o ludziach i dziełach sztuki; ale chcielibyśmy ogólniejsze zająć stanowisko: wobec wypowiedzianych w tej książce poglądów na zadanie sztuki, chcemy wyrazić nasze na to zadanie poglądy, które są — jesteśmy o tem przekonani — poglądami i wymaganiami znacznej części naszego społeczeństwa, i których słuszność będziemy się starali uzasadnić.

I.

Każdy dziś mówi o prawdzie w sztuce. Ale bardzo rozmaicie się tę prawdę pojmuje. Są tacy, dla których to dopiero jest prawda, co w naturze jest najbrzydszem. Świat przedstawia się w ich obrazach, powieściach, dramatach, jak stek samych zgnilizn, fizycznych i moralnych. — P. Witkiewicz do nich nie należy; on nie okazuje żadnej predylekcyi do tego co brzydkie, ani też do tego co idealne. Prawda, która, według niego, jest jedynem sztuki zadaniem, jest czysto formalną; zależy ona na zgodności z naturą, na jak najwierniejszem oddaniu natury w sztuce. Ztąd zupełnie obojętną jest rzeczą, podług niego, jaki przedmiot przedstawia sztuka, a miarą wartości sztuki jest jedynie natura (str. 87 i *passim*).

W drugim artykule: *o twórczości i pięknie w sztuce*, zamierzamy pokazać, że prawda ani jedynem ani najwyższem sztuki zadaniem nie jest. I to, co sam p. Witkiewicz mówi tu i ówdzie o znaczeniu kompozycyi, o indywidualności artysty, posłuży nam do zwalczenia części ekluzywnej jego poglądu na zadanie sztuki.

Teraz chcemy mówić wyłącznie o prawdzie, i przyznamy p. Witkiewiczowi, że ona jest warunkiem sztuki najpierwszym i najniezbędniejszym.

Dusza ludzka, do której przemawia sztuka, nie jest arystotelesowską *tabula rasa*, na której można rysować co się komu podoba, ale jest już wzbogacona odebraniami od natury wrażeniami i pracą własnej myśli; już ona coś wie o naturze i o sobie i o drugich duszach. Gdy więc przychodzi sztuka, i dla jej uciechy odgrywa przed nią naturę — to musi mieć koniecznie pewną z tą naturą zgodność. Inaczej oburzy się zaraz nasz rozum i powie: to nieprawda! — urażonym się uczuje nawet zmysł, bo i on w swoim zakresie do praw przedmiotowej natury się dostosił — i to delikatne uczucie, które przyjemnością estetyczną nazywamy, zgóry się uniemożliwi.

Ta prawda, czyli zgodność sztuki z przedmiotem, sięga oczywiście tak daleko, jak sięgnąć może przedmiot sztuki. Ponieważ jednak sztuka nie inaczej przemawia do nas, tylko przez zmysły, i wszelkim ideom swoim musi dać ciało, więc pierwszą i podstawową jej potrzebą jest, żeby to ciało miało sobie odpowiednią materalną prawdę. W malarstwie np. tym podstawowym warunkiem jest takie użycie środków malarskich, linii i barwy, żeby przedstawiały dla naszego oka kształty i kolory przedmiotów prawdziwych. Ta zdolność sztuki do oddania materalnej prawdy, jest najwłaściwszem (a może jedynem) zadaniem szkoły artystycznej. Ona, naturalnym biegiem rzeczy, wydoskonala się pod wpływem dziejowego postępu ludzkości, tak, iż — okrom wypadków ogólnego cofnięcia się cywilizacji — późniejsze pokolenia artystów są zawsze pod tym względem korzystniej uposażone od dawniejszych (co jeszcze nie przesądza o ich wyższości wszechstronnej). Ale też od późniejszych więcej pod tymże względem wymagają współcześni. Wiek XVII., patrząc na doskonałe kształty ciał, kreślone przez swoich artystów, nie mógł znieść naiwnej niezgrabności prymitywów, i zamalowywał ich arcydzieła swą banalną ornamentyką. My dziś, dzięki szczególnie historycznemu wykształceniu naszego wieku, zdolni jesteśmy przenieść się duszą w dawne czasy, umiemy patrzeć na

freski Giotto i Orcagni tak, jak ludzie XIV. wieku patrzyli — i dlatego odkryliśmy nanowo ich piękność. Ale na dzieła dzisiejszych artystów patrzymy okiem XIX. wieku, naszym zwykłym okiem, i dlatego od dzisiejszych malarzy wymagamy, żeby umieli kształty ciała rysować poprawnie i kolory harmonizować.

Dobre artystyczne wykonanie jest więc pierwszym każdej sztuki postulatem: *conditio, sine qua non*. W tem zgoda z p. Witkiewiczem zupełna. Jeśli tego jednego brakuje, żadna inna zaleta dzieła sztuki, ani wzniosłość przedmiotu, ani polot natchnienia, ani szlachetność dążności, tego braku nie zastąpi. Obraz, przedstawiający najpiękniejsze patryotyczne lub religijne motywy, a źle malowany — jest złym obrazem — niegodnym wystawy, ani nabycia, ani pochwały. Powiem nawet, że jeszcze gorszym niż równie źle malowany obrazek rodzajowy, bo jeszcze większą przedstawia sprzeczność między ważnością treści a lichotą wykonania. — P. Witkiewicz wyklada nam jasno i dobitnie, jak tylko malarz, władający piórem, uczynić to może — na czem ta dobroć malowania zależy wobec dzisiejszego stanu sztuki. Zasadza on ją na trzech warunkach: „doskonałości kształtu — harmonii barw — i logice światłocienia“ (str. 88 i indziej). Na pierwszy punkt nie tyle może zwraca uwagi w swej książce, ile na to zasługuje niedbłość i niepoprawność rysunku, z jaką się dziś tak często na wystawach spotykamy; ale dwa drugie warunki przy różnych sposobnościach doskonale objaśnia i uzasadnia. Tłumaczy on szczegółowo, jak od rodzaju i natężenia światła cały wyraz natury zależy, jak więc niezbędnie potrzeba, żeby obrany motyw światła w całym obrazie konsekwentnie był przeprowadzony. Tłumaczy dalej dwojaką harmonię kolorów: jedną, opartą na prawie o barwach dopełniających się, których zestawienie miłe oku wrażenie sprawia; drugą, subtelniejszą — i którą, jak mówi, dopiero nowożytnie malarstwo w całej pełni zrozumiało i wyzyskało — zależącą na ustosunkowaniu odmian, jakich doznają „lokalne“ czyli właściwe barwy przedmiotów, pod wpływem rozmaitego oświetlenia, sąsiedztwa innych barw, oddalenia od oka patrzącego i innych okoliczności. — Przy tych wszystkich zaś objaśnieniach wyrzuca on bardzo su-

rowo krytykom i publiczności naszej, że obrazy oceniają, nie podług dobroci malowania, ale podług podniosłości przedmiotu, szlachetności zawartej myśli, podług rozmaitych, jak on się wyraża, „tendencji ubocznych“.

Że ten zarzut jest w wielkiej części słuszny, że należało w tym kierunku pojęcia publiczności naszej sprostować — w tem się z p. Witkiewiczem zgadzamy — i (pomijając ton tych wyrzutów) winszujemy mu, że to uczynił. Zauważyć jednak musimy, że nie dziwnego, iż ktoś, co nie jest malarzem, nie potrafi z taką „precyzją“ i pewnością siebie, jak p. Witkiewicz, zalet i błędów jakiegoś obrazu pod względem faktury wypowiedzieć; nie więc dziwnego, że mając o tem dziele sztuki mówić lub pisać, więcej się taki zastanowi nad temi wymaganiami, które są wszem sztukom wspólne i ogólnoludzkie. Cóż ztąd wynika? To jedno, że pożądanem jest, aby i artyści, jak p. Witkiewicz, zamieniali czasem pendzel na pióro, i pisali artystyczne krytyki. Ale nie byłoby pożądanem, żeby oni sami jedni krytyki pisali lub sami jedni za powagi w krytyce uchodzili: bo w takim razie narażeniby byli na wzięcie tej faktury malarskiej, w której są mistrzami, za najwyższe i jedyne sztuki zadanie — z zapoznaniem innych, głębszych i ważniejszych — co się w istocie, jak wnet zobaczymy, p. Witkiewiczowi zdarzyło.

Nie trzeba też sądzić, żeby profani, choć nie potrafią technicznie, jak p. Witkiewicz, sformułować, co ich w fakturze obrazu razi, ślepymi lub obojętnymi byli na złe malowanie. Uderzani bywają oni na naszych wystawach niepoprawnością rysunku niektórych artystów; skarżą się na zbytne rozmnożenie obrazów, malowanych jak kulisy teatralne, do których bliżej jak na dwadzieścia kroków przystąpić nie można. Wiedząc oni, że geniusz kilkoma kreskami, rzuceniem kilku plam, może prześliczną rzecz stworzyć — ale nie chcą wszędzie tej genialności widzieć, i najeczęściej w takim rzucaniu plam od niechcenia, i cieniowaniu zapomocą sterczących grudek farby (środek rzeźbiarski w malarstwie!), upatrują bądź niezdolność wykończenia, bądź lekkie traktowanie sztuki, grożące zgubą talentowi. Przed niejednem wreszcie płótnem pytają się ze zdziwieniem: co za

„względy“, koleżeńskie lub inne, otworzyły mu wrota przybytków sztuki? — Nie chcę bynajmniej dyskutować słuszności lub niesłuszności tych sądów; wnoszę tylko, że przestroga, słusznie dana przez p. Witkiewicza krytykom i publiczności: żeby nie schlebiali złemu malowaniu „dla tendencji ubocznych“ — powinna się wziąć w całej szerokości, i oprócz publiczności i krytyków, także artystów objąć. Wszyscy sobie w tem ręce podajmy: żeby od sztuki wymagać przede wszystkim dobrego artystycznego wykonania. Większej przysługi sztuce polskiej oddać nie możemy.

II.

Ale czy to dobre wykonanie jest już całą sztuką? Czy ono przynajmniej — o co teraz idzie — stanowi całą prawdę malarstwa? W innych przecież sztukach prawda coś więcej mówi, czegoś więcej wymaga, oprócz materialnej doskonałości wykonania. Od architektury żąda ona nie tylko zgodności z mechanicznymi prawdami użytej materii, ale szczerego i jawnego zastosowania i wyzyskania tych praw, by cała mechanika budowy w oczach się tłumaczyła, by nie wisiały masy nad próżnią (*le plein sur le vide*), ale wszystko było racjonalnie według praw danego materiału podparte; żąda, co więcej, żeby zewnętrzna struktura wyrażała wewnętrzne rozczłonkowanie budowli, a nawet jej użytek i rodzaj życia jej mieszkańców. Od muzyki wymaga prawda, nie tylko zgodności z fizycznymi i fizyologicznymi prawami dźwięków i organu słuchu naszego, ale także jakiejś wyższej zgodności z psychologicznymi prawami naszych uczuć. Coś podobnego, tylko w jeszcze szerszym zakresie, powiedzieć trzeba o prawdzie w poezji. — Dlategożby i malarstwo, oprócz znajomej już nam prawdy materialnej, leżącej w doskonałości rysunku i kolorytu, nie miało też posiadać jakiejś prawdy psychologicznej, polegającej na dokładnem oddaniu stanów duszy człowieka?

W teorii p. Witkiewicza niema miejsca dla tak pojętej prawdy. Określając *ex professo* na str. 201, 202, czym jest prawda w malarstwie, po wykluczeniu wszelkich innych przypuszczeń, zasadza

on ją wyłącznie na „zachowaniu logiki oświecenia, harmonii barw i ścisłości kształtu“. Ile razy zaś do tej kwestyi wraca, zawsze tylko te trzy przytacza czynniki, stanowiące, jak już wiemy, doskonałość malarskiej faktury i prawdę materyalną. Ztąd też konsekwentnie wyprowadza on swój dogmat o równości przedmiotów wobec sztuki: czy Litwa z Krzyżakami walczą pod Grunwaldem, czy Szawel i Gawel podbijają sobie oczy o stary siennik (są to jego wyrazy), to dla sztuki, jako takiej, zupełnie obojętna: niema przecież innych praw światła i cienia dla wyrażenia jednej lub drugiej sceny. Ztąd również konsekwentnie zaprzecza p. Witkiewicz możliwości podziału malarstwa według przedmiotów: na rodzajowe, historyczne, religijne. Śmieje się on z tego podziału do rozpuku — zawsze dla tej samej racyi: że malarstwo nie posiada innych środków, tylko kształty, barwy, światła, a stosunek tychże do pewnych wypadków dziejowych lub do pewnych idei religijnych, nie da się inaczej wyrazić, jak środkami zpoza sztuki wziętymi, „napisami na ramach lub książeczkami objaśniającymi“.

Jakżeż to być może, zapyta czytelnik — i sam sobie to pytanie poważnie postawiłem — jakże to być może, żeby malarz tak zacieśniał pole swej sztuki, i nie uznawał nawet możliwości oddania pendzlem stanów duszy? Otóż trzeba to dobrze zrozumieć: p. Witkiewicz tej możliwości nie zaprzecza, sam nawet wspomina nieraz o malowanych wyrazach gniewu, rozpacz, litości — ale w nich nic innego nie widzi, tylko motyw do pewnego ustosunkowania światła i barw. „Czy Zamojski zwycięża pod Byczyną, czy Kaśka zbiera rzepe“ — on tylko uważa, „jakie są w obu wypadkach połyski światła, ile cieniów i refleksów“; to jest jedyna rzecz, która go w zakresie malarstwa obchodzi; a treść obrazów jest tylko tłem, materyałem do wywołania tych różnych połysków, cieniów i refleksów. Podobnie, jak ów belfer, zakochany w gramatyce łacińskiej, nie na to jej uczy, aby dać poznać autorów, ale odwrotnie na to i w tym wyłącznie duchu tłumaczy autorów, aby nauczyć gramatyki — tak p. Witkiewicz, lubujący się w malarskiej fakturze, w doskonałości kształtów i barw, o tyle tylko uwzględnia, o tyle tylko widzi resztę, tj.

całą treść sztuki, o ile ona mu służy do umieszczenia i uwydatnienia tych kształtów i barw. I erygując to w doktrynę, uczy, że każdy malarz tak czynić powinien, i że malarstwo innego zadania nie ma. (Jestto *faire la théorie de son talent*).

To nam tłumaczy, jak się to dzieje, że p. Witkiewicz jedynie materyalną stronę prawdy malarskiej za prawdę uznaje: w nią z lubością zapatrzony, nie widzi on poza nią ani prawdy historycznej ani religijnej — a ledwo cokolwiek postrzega prawdę psychologiczną. To nam tłumaczy, dlaczego wszelki przedmiot jest w jego oczach obojętny, dlaczego podział sztuki na podstawie przedmiotów pobudza go do śmiechu, a ogromny wpływ, jaki zawsze przedmiot wywierał na artyzm, uszedł zupełnie jego uwagi: — bo poprostu poza fakturą, p. Witkiewicz nic zgoła nie widzi w sztuce. Po Waterlco, powiada, nie inaczej przecież zachodziło słońce, jak po majówce filistrów!

Zaznaczyć trzeba, że to zacieśnienie poglądu nie jest samemu p. Witkiewiczowi właściwe. W każdej sztuce, a najwięcej w malarstwie, jest wiele stron, wiele, że tak powiem, potęg. Żaden wiek, tem bardziej żaden malarz, nie ogarnął, nie posiadał wszystkich; jest więc naturalną i słuszną rzeczą, żeby każdy miał swe predylekcy, odmierzone według swego talentu i wykształcenia. Niesłuszność i fałsz zaczynają się dopiero z przeczeniem tego, co jest poza tą sferą własnego talentu i upodobania. W naszych czasach, jak dobrze p. Witkiewicz zauważył, rozwinęła się szczególnie zdolność spostrzegania i studyowania nieskończenie bogatej gry światła w naturze, cudnego mienienia się barw wszystkich rzeczy pod wpływem odmian atmosfery i położenia słońca. Zdolność ta objawia się nawet w literaturze powieściowej, a jeszcze więcej w malarstwie. Ztąd gust do *plain-air'a*, tj. do malowania rzeczy, położonych pod gołym niebem, oblanych powietrzem, światłem słonecznem, mgłą z parującej roślinności i t. d. — zwracając przytem całą uwagę i cały artyzm na oddanie jak najdoskonalsze tego życia światła i barw na powierzchni przedmiotów. Ztąd wszystkie przedmioty, w takich obrazach przedstawiane, nawet ludzkie postacie, scharakteryzowane bywają pobieżnie — bo one służą tylko za manekiny, do

uwidocznienia gry światła na ich powierzchni. Jestto malowanie natury, tem się różniące od klasycznego pejzażu, że gdy ten chce uderzyć urokiem położenia, harmonią lub kontrastem części składowych, drzew, wód, gór, głębokością perspektywy — to *plain-air* o to wszystko nie dba — przedstawia on równie chętnie Kałkę na grzędzie kapusty — bo on jest, właściwie mówiąc, malowaniem światła.

I owszem! Niechże malują *plain-air'y*, kiedy się czują do tego szczególnie uzdolnieni. I my uznajemy, że gra światła w naturze jest prześliczną rzeczą. Ale niech nie mówią, że sztuka już nie nad to ani poza tem uczynić nie może; niech nie myślą z p. Witkiewiczem, że już są większymi malarzami od niesmiertelnych mistrzów, którzy mniej dobrze od nich oddawali mienienie się kolorów w świetle, ale malowali dusze z siłą i prawdą, od której dziś, wogóle mówiąc, jesteśmy daleko.

Lecz co to jest, pytają, to malowanie duszy? — Zdawałoby się, że to do abecadła artyzmu należy; każdy profan szuka w obrazie wyrazu duszy; kiedy jednak sama możliwość tego malowania została zakwestyonowaną, musimy ją choć kilkoma słowami objaśnić. Rzecz to banalna i wszystkim wiadoma, że malarz nie ma innych środków prócz linii kolorów, światel i cieniów; że więc nie bezpośrednio wyobrazić nie może, prócz zewnętrznej powłoki rzeczy i człowieka. Ale w człowieku tkwi pierwiastek duchowy, który tak opanowuje swą materyalną powłokę, tak ją przepromienia, że niemal wszystkie jego psychiczne stany i poruszenia w tej powłoce się wyrażają — podobnie jak zpod miękkiej a delikatnej szaty wyglądają wszystkie kształty i ruchy okrytego ciała. Malarz, mówią nam, „li tylko kształty i barwy odtwarza“, „jeden tylko moment zdarzenia chwytą“ — więc nawet ruchu bezpośrednio wymalować nie może; a jednak któż nie wie, jak doskonale może on ten ruch wyrazić? Dostyć popatrzeć na szarżę ułanów Kossaka. Otóż podobnie, choć zawsze tylko kształty i barwy maluje, może on wyrazić całą skalę stanów psychicznych, od najgwałtowniejszych uniesień namiętności, aż do najdelikatniejszych odcieni uczuć. Tylko musi mieć malarz dostyć znajomości duszy ludzkiej, aby odgadnąć, jakie

uczucie w danej sytuacji zapanuje, i dosyć wprawne malarskie oko, aby wyraz tego uczucia uchwycić.

I w tem właśnie sztuka chrześcijańska przewyższa, powiem śmiało, sztukę klasyczną, że ta, choć tak niezrównanie odtwarzała doskonałość ciał, jednak szczupłą miała skalę dla duszy, nieliczne jej klawisze poruszać umiała — (prawda, że klasyczną sztukę tylko z rzeźby znamy); — tymczasem sztuka chrześcijańska, jeszcze nie umiając dobrze kształtów ciała narysować, już na szeroką skalę i z wielką prawdą malowała duszę. Rzucając okiem np. na byle który z tych naiwnych obrazów Ukrzyżowania z XV. wieku — jakich jest tyle po holenderskich i niemieckich zbiorach — widzi się całą rozścieloną tęczę ludzkiego uczucia — a w jak silnych tonach, i z jak delikatnemi przejściami! W samym Chrystusie cała okropność konania, z realizmem oddana, zlewa się jakoś harmonijnie z wyrazem ofiary dobrowolnej, zasłaniającej świat rozpiętymi ramionami. W trzech postaciach tradycyjnie stojących u stóp krzyża, jak rzewnie się odbija, i jak stopniuje współczucie, niewieście i męskie, połączone z czeią religijną dla wiszącego na krzyżu. A w otaczających osobach, ile kontrastów, ile dramatyczności! U tych zimna nienawiść, u owych zwierzęce okrucieństwo, śmieszki wobec krwi i mąk, u innych płocha tylko ciekawość — aż do tej zupełnej obojętności, wyrażającej się w figurach odwróconych lub przechodzących opodal i rozmawiających widocznie o swoich interesach — obojętności, która jeszcze powiększa wyraz opuszczenia i zapoznania konającej ofiary.

W sztuce dzisiejszej, przy ogromnym postępie, jaki się dokonał w środkach malarskich, nie widzę, żebyśmy wyżej stali, niż przed kilkoma wiekami, co do obserwacji i oddawania stanów duszy; i dlatego nie dzielę osobliwego zdania p. Witkiewicza, że sztuka teraźniejsza absolutnie i pod każdym względem wyżej stoi od przeszłych wieków. I dziś jednak, kiedy się zdarzy szczęśliwe oddanie delikatnej gry uczuć, wszyscy do takiego obrazu biegną, odwracając się od najwierniejszych plain-air'ów — bo widzą w nim wdzięk i prawdę malarską wyższego rzędu. Wśród światowej wystawy paryskiej, najwyższe zdobył uznanie

Anioł Pański Milleta, przedstawiający w przerwie pracy na polu, podniesienie myśli do Boga; a

si parva licet componere magnis,

na naszej wystawie krakowskiej, szczególnie pociągał i cieszył publiczność skromny obrazek p. Szymanowskiego, przedstawiający z wdziękiem (choć nie bez zarzutu co do wykończenia), jak stary góral rozkosznie opowiada, a w dziewczynach słuchających dusze drgają na jego słowa.

Całe malarstwo rodzajowe na tem istotnie zależy, i temu swój wdzięk szczególny zawdzięcza, że maluje duszę. Bo czemuż są te sceny z życia ludzkiego, jeżeli nie odbiciem się duszy w twarzach, postawach, działaniu osób, jej projekcją nawet na rzeczy martwe, ludzkiemu życiu służące — sprzęty, pokoje, podwórza — które noszą ślady myśli, uczuć, znojów i radości mieszkańców? I tem nas właśnie ten rodzaj obrazów interesuje, tem się różni od wszelkich przedstawień przyrody, pejzażów czy plain-air'ów. — Rozumie się, że w samym sposobie malowania, to odbicie się duszy powinno być przede wszystkim uwydatnione, traktowane jako rzecz główna, z całym znanstwem i miłością. Jeżeli artysta, zamiast życia ludzkiego, maluje tylko życie światła, lub wdzięk przyrody, będzie to, powtarzam, zwykły pejzaż, lub nowożytny plain-air, ale nie obraz rodzajowy; człowiek, jeżeli w nim znajdzie miejsce, będzie tylko dodatkiem dla uwydatnienia reszty — najczęściej zaś będzie tylko zawadzał. Kiedy taki mistrz pejzażu, jak Claude Lorrain, wprowadza do swych cudnych krajobrazów postacie ludzkie, nawet świętą Rodzinę, to czyni te postacie tak małe, tak nieznaczące wobec ogromu otaczającej natury, że one w rzeczy samej przyczyniają się jedynie do podniesienia jej uroku. Ale kiedy widzę na pierwszym planie obrazu (jak nieraz widuję w Sukiennicach) wielkiego parobka z dziewczyną, w głębi wierzbę i chałupkę — to darmo szukam, co malarz chciał zrobić: czy obraz rodzajowy, przedstawiający sielską miłość, czy tylko plain-air? Jeżeli pierwsze, to czemuż te figury traktował tak pobieżnie, nie dał im więcej życia ani uczucia, jak tym pniom pobliskim, na których igra światło? Jeżeli drugie, to czemuż te gliniane figury, które tylko zawadzają,

tu wprowadził? bez nich widziałbym lepiej tę wierzbę i tę chałupkę — i byłby to sobie ładny obrazek natury.

Chcąc malować duszę ludzką, trzeba ją znać. P. Witkiewicz sam w jednym miejscu tę potrzebę uznaje, ale odsyła po tę znajomość duszy do badań „dzisiejszej psychologii“. Tu znowu doktor, a nie artysta z niego przemówił. Odesłać malarza do nauki psychologii, aby umiał stany duszy obserwować i oddawać, jestto zupełnie to samo, co odesłać go do fizyki, aby został dobrym kolorystą. Z tej ostatniej propozycji śmiałyby się p. Witkiewicz, bo sam będąc kolorystą, wie dobrze, że nic w tem nie pomogą obliczenia fal świetlnych, ani żadne naukowe formułki, ale jedynie oko na barwy wrażliwe i czujna natury obserwacya. Otóż niech wie, że tak samo nauka psychologii nowożytnej da tylko malarzowi liczby i formułki — liczby i formułki, które może kiedyś (jeśli psychologia na lepsze niż dziś wkroczy tory) przydadzą się do innych celów; ale do tego rodzaju znajomości żywej duszy i jej objawów, jakiej artyście potrzeba, nic innego nie posłuży, tylko szczególne do tego uzdolnienie i uważna, zwykle też dłuższa obserwacya życia.

III.

Jeśli w obrazach rodzajowych potrzeba znajomości duszy, to do historycznych potrzeba oprócz tego głębszej znajomości historyi. — Zarzuca p. Witkiewicz, że malarstwo treści historycznej wyrazić nie może, gdyż „nie ma na to osobnej perspektywy, ani innych praw rozkładu światła i cienia, ani żadnej innej artystycznej zasady“ — treść więc takich obrazów jest bez komentarzy „niezrozumiała“. Na dowód czego przytacza fakt, że kiedy Sejm Grodzieński Matejki był na wystawie paryskiej, Francuzi wzięli Rejtana „za posła tureckiego, którego dzielni Polacy wyrzucają za drzwi“. — Zarzutu tego nie mogę inaczej nazwać, jak naiwnym. Malarstwo przecież zawsze jakieś wiadomości u widza suponuje. Wymaga ono najprzód wogóle obeznania się i oswojenia z podstawową „konwencją“ artystyczną, każdej cywilizacyi właściwą. Sam p. Witkiewicz to gdzieś

przyznaje, i temu przypisuje odrębność niełatwo dla nas zrozumiałą japońskiego malarstwa, iż jest „na innej niż nasze oparte konwencyi“. Oprócz tego pejzaż suponuje u widza znajomość natury, a obraz rodzajowy znajomość życia ludzkiego. Prawda, że jedną i drugą znajomość w jakimś stopniu wszyscy posiadamy, ale jestto zawsze znajomość, zpoza malarstwa wzięta, i naprzód wymagana, aby te rodzaje malarstwa zrozumieć i odczuć. Człowiek wychowany w podziemnym lochu, któremuby przed okazaniem natury przedstawiono pejzaż, doznałby wielkiego zdziwienia, ale pewnie nie tego estetycznego upodobania, które jest właściwem sztuki zadaniem. My sami, gdy patrzymy na pejzaże, na oświecenia, z charakterem zbyt obcym dla nas, zbyt oddalonym od wszystkiego, cośmy w życiu widzieli, nie możemy dostatecznie odczuć ich prawdy, a przeto raczej zadowolenie ciekawości, niż piękno artystyczne w nich znajdujemy. Wiadomo, że tylko ten, co widział morze, potrafi całą piękność „maryn“ zrozumieć. Śliczne obrazki rodzajowe japońskie najzupełniej obojętnymi nas zostawiały, aż póki częste podróże i niezliczone publikacye *in Wort und Bild* nie oswoiły nas nieco z japońskim życiem.

Otóż jak pejzaż suponuje u widza znajomość natury, jak obraz rodzajowy suponuje znajomość życia, tak obraz historyczny suponuje znajomość historyi, i tylko dla tych jest malowany, którzy historyę choć cokolwiek znają. Dla tych, którym historia jest zupełnie obcą — jak nasza historia dla Francuzów — obraz taki może jeszcze przedstawiać zalety faktury, przepychu kolorytu, siłę wyrazów i ruchów — i z tego względu może być przez nich sądzony; ale to, co w tym obrazie jest najgłówniejszem — prawda historyczna — to dla nich jest zupełnie zamkniętem. A co to jest takiego, prawda historyczna w obrazie? — Jeżeli artysta, przejęty ważnością jakiejś chwili w dziejach, wybierze z tła historycznego odpowiednią scenę, mającą zarazem warunki malowniczości i skupienia głównych czynników tej dziejowej chwili — i jeżeli w przedstawieniu tej sceny i jej aktorów potrafi wyrazić psychologiczny nastrój, który wówczas panował, duchowe siły, które ten przełom sprawiły —

wówczas osiągnął w swem dziele prawdę historyczną. Podobieństwa portretowe osób, wierność archeologiczna w ubraniach, dekoracyach i t. d., cała ta prawda materyalna, o którą tak dba dzisiejsza drobiazgowość historyczna, to jest rzecz podrzędna, mało przyczyniająca się do ogólnego wyrazu prawdy. Nie trzeba tego zaniedbywać, kiedy nasz wiek tego żąda, i kiedy środki do tego podaje; ale też nie należy tego przeceniać. Co istotnie stanowi prawdę historycznego obrazu, to wyrażenie na płótnie ducha owej chwili. Jak powiedziałem, że zpod ubioru wygląda kształt i ruch ciała, a zpod powłoki ciała przeziera dusza człowieka, tak z całej sceny w obrazie historycznym ujętej, wyglądać powinien, z właściwym sobie charakterem, ów duch zbiorowy, który jest istotnym sprawcą biegu historyi.

Ale jakże ten duch wygląda? jak się może w malarstwie przedstawić? — Jestto takie same pytanie, jak owo: jak wygląda dusza, i jak ją malować? — Obserwując ludzi, poznaje się ich duszę i jej wyrazy; badając historię, poznaje się ducha różnych jej epok, a przy odpowiedniem uzdolnieniu odgaduje się wyraz jemu właściwy. — Widz, który nie zna wcale historyi, niech nie patrzy na taki obraz — on nie dla niego wymalowany; albo niech kupuje książeczki objaśniające (które i tak mu niewiele pomogą). Ale widz, który choć pobieżnie zna owe dzieje, powinien wszystko z samego obrazu bez trudu zrozumieć. — Gdyby coś było na płótnie, coby się nie dało z zestawienia obrazu z historią zrozumieć, jakiś symbol dowolny, jakaś zagadka o której klucz trzeba się gdzieindziej dopytywać, byłby to oczywiście błąd kompozycyi. — Nie pouczy nas taki obraz historyi, w tem znaczeniu, że nie da nam poznać żadnych nowych faktów, o których byśmy nie wiedzieli; ale to cośmy wiedzieli oderwanie z książek, da nam oglądać żywcem — jakoby wskrzeszone. A ta rekonstrukcja historyi, pracą i geniuszem artysty dokonana, jest już pełniejszym poznaniem, przez to samo, że żywszem i zbliżonem do nas. Nie uczy taki obraz historyi — ale każe o niej myśleć, ale daje ją kochać, ale uwydatnia — jak każde dzieło artystyczne — pewne momenta, ku którym myśl i serce zwraca. Nie mówcie, że to już jest poza sztuki zadaniem, — alboż tego nie

czyni poezya, i w swoich granicach wszystkie inne sztuki? Czyż mam brać za złe sztuce, jeśli mię czyni lepszym?

IV.

Jak historyczne malarstwo ma się do historii, tak malarstwo religijne do religii. Jak pierwsze jest tylko dla tych, co znają historję, tak drugie jest wyłącznie dla tych, którzy mają religję. Prawda pierwszego zależy na jego kongruencji z duchem historii, prawda drugiego zależy nie na czem innem, tylko na wiernem odbiciu pojęć religijnych.

P. Witkiewiczowi znowu się zdaje, że to odbicie jest niemożliwe: na dowód przytacza on, że „jeden i ten sam temat religijny inaczej wygląda w mozaikach bizantyjskich, w freskach romańskich, a inny jest u Belliniego, Tycyana, Rubensa“. — Odpowiemy mu tymczasem od niechcienia, że i ciała ludzkie i motywa z natury wzięte, inaczej u tych różnych mistrzów i szkół wyglądają, a jednak p. W. uważa zgodność malarstwa z przyrodą za możliwą — czemuż więc innej używa logiki odnośnie do religii? — P. Witkiewicz oponuje dalej, że choć idee religijne Greków są nam całkiem obce, jednak posągi ich bogów „są tak piękne i czei naszej godne, jak za czasów Peryklesa“ — więc chyba te idee luźnie tylko były do dzieł sztuki przyczepione. Odpowiadam, że skoro idee religijne Greków są nam obce, już przez to samo ich bogowie nie budzą w nas takiej czei, jak za Peryklesa. Zblakował dla nas ich charakter religijny, który Grecy w pewnym stopniu odczuwać musieli, ale zostały nieśmiertelnie piękne ciała — podobnie, jak dla tego, co nie zna historii, stracona jest historyczność obrazu, ale zostaje jego faktura, mniej lub więcej doskonała. Na szczęście w sztuce klasycznej to co zostało, jest nieukończenie większej wartości, niż to co zginęło. A może już za czasów Peryklesa fizyczna piękność tych bogów pochłaniać zaczęła ubogą ich myśl religijną. — Ale co do sztuki chrześcijańskiej, która ma przed sobą temat nieskończenie bogaty, i pod jego wpływem na taką zdobyła się siłę ekspresyi, jakżeż można wątpić o jej zdolności odbicia myśli religijnej?

Jeżeli p. Witkiewicz o tem powątpiewa, to wyzwę go, aby zwiedził ze mną główne zbiory chrześcijańskiej sztuki. Staniemy w Wenecyi przed Madonnami Jana Belliniego, które z tak nadziejską dobrocią patrzą — przed Świętymi Palmów, da Muranów, prześwieconymi cnotą i modlitwą; we Florencyi przed Aniołami Boticellego, Filipa Lippi, których rajskie wejście radość i nabożeństwo w duszę wlewa — przed byle którym obrazem Fra Angelika, bo każdy w jakiś lepszy, jasny świat przenosi; w Norymberdze przed głębokim uczuciem Bożemi Narodzeniami i Ukrzyżowaniami Schöngauerów, Wolgemuthów, mistrzów kolońskich; w Gand, w Brukseli przed tymi cudownymi tryptykami Memliga, Van der Weydena, Quentin Metsysa — z których wionie taka pobożność, czystość, wesele — w których ta świetlana swoboda, jaką późniejsi Flamandczycy, odcięci od Świętych przez protestantyzm, przeniosą na tło domowego życia — tu się przejawia w najpoufalszym zetknięciu nieba ze ziemią... I wobec tych mistrzów o zakład idę, że p. Witkiewicz nie powtórzy im w oczy owego zaprzeczenia wyrazu religijnego w malarstwie. — Ale nie; możebym przegrał! P. Witkiewicz te zbiory zapewne już zwiedził, te wszystkie obrazy oglądał — lecz on patrzył na „doskonałość kształtów, harmonię barw i logikę światłocienia“ — a prześlepił zupełnie to, co każdemu nawet profanowi w oczy wpada: wdzięk pobożności i cnoty na wszystko rozlany — dobroć i możność spływającą z góry — modlitwę i adorację wznoszącą się z dołu — i to zbliżenie między niebem a ziemią, które jest kwintesencją chrystyanizmu ¹.

¹ Ztąd widzę, jak p. Witkiewicz wstrząsa na to ramionami i zbywa nas odpowiedzią: to wszystko w siebie wstawiać! tego wcale w obrazach niema! — Cóż począć z taką negacją? Są ludzie, którzy odmawiają muzyce zdolności wyrażenia uczuć: jakże tu ich przekonać, kiedy sami tego nie odczuwają, co ogół śmiertelników, a kiedy inni znajdują, że jedna melodia smutna, druga wesoła, oni odpowiadają: to wam się tak zdaje; własne stany duszy podkładacie muzyce! — Otóż niech mi będzie wolno, dla wyjaśnienia rzeczy, przytoczyć osobiste wspomnienie z lat dziecinnych, dziewczyczych jeszcze od sztucznych teoryj. Przypominam sobie, że będąc studentkiem dwunastoletnim, znalazłem się w Galeryi Drezdeńskiej. Pod-

Jak dalece nasz malarz-krytyk nie rozumie, czym jest właściwie malarstwo religijne, dowodem jest rozdział, który napisał o Chrystusie przed Piłatem Munkaczego. Każdy człowiek, wierzący w Chrystusa Pana, a znający się choć cokolwiek na malarstwie, doznaje wobec tego obrazu wstrętu niezwykłego. Zamiast analizować to znaczące zjawisko — coby mu klucz może dało do zrozumienia istoty religijnego malarstwa, p. Witkiewicz narzeka na nas, że domagamy się przedstawienia boskości, rzeczy niemożliwej; stawia Chrystusa Munkaczego w jednym szeregu z Chrystusami Giottów i Rafaelów (!) — owszem, twierdzi, że jest lepszy od nich, bo „widać w nim myślenie, energię, upór, siłę charakteru“. Wreszcie, powiada, różni mistrzowie różnie Chrystusa przedstawiali, a „nie wiadomo, kto najwłaściwiej“.

Mój Boże! przecież kiedy się maluje przedmiot religijny, ten najwłaściwiej go przedstawia, kto najodpowiedniej pojęciom i uczuciom religii — a ten zupełnie niewłaściwie, kto z temi pojęciami i uczuciami sprzecznie go przedstawia. Jeżeli Munkaczy ma Chrystusa za filozofa hardego i upartego, jakim go zrobił, to wymalował obraz historyczny — fałszywy z punktu historyi — ale przynajmniej szczerzy i pełen wyrazu. Jeżeli zaś chciał przedstawić Chrystusa, w którego wierzymy, w takim razie zbłądził najzupełniej. Jeśli godzi się sądzić traktowanie przedmiotów religijnych, nie podług religii, ale podług osobistego poglądu malarza lub krytyka na historię, to i Wereszczagina malowane paszkwile przeciw świętej Rodzinie, będą obrazami religijnymi!

czas gdy starsze osoby, w których towarzystwie przyszedłem, zatrzymywały się przed rozmaitymi obrazami, ja, niczem się nie interesując, biegałem sobie przez cały szereg sal, naokoło galerii. Wtem, przed jednemi drzwiami, stanąłem jak wryty...; tuż przy tych drzwiach, nisko, wisiał — gdzieś dotąd wisi — Chrystus z monetą Tycjana... Boski ten obraz mię fascynował; — stałem przed nim, aż mię odprowadzono; i nigdy w życiu tego wrażenia — rzeczy nadziemskiej, naocznie widzianej — nie zapomniałem. Musi przecież coś być w tym obrazie, co mnie wówczas tak uderzyło: bo nikt mej uwagi na niego nie zwrócił, ani o Tycjana, ani o żadnych teoriach estetycznych jeszcze nie był słyszał. Było to moje pierwsze spotkanie się ze sztuką.

Ale może Munkaczy nie chciał religijnego obrazu tworzyć, tylko historyczny, podług swego pojęcia rzeczy. — W takim razie, powiadam, miał dosyć innego pola w dziejach ludzkości, nie potrzebował szargać uczuć religijnych społeczeństwa, pośród którego żyje. Prawda, że w niejednem płótnie, z późnego zwłaszcza odrodzenia, Madonna służy tylko za motyw do przedstawienia pięknej kobiety karmiącej dziecko, a św. Sebastian za pretekst do anatomii pięknego młodziana; — ale najprzód nie wszystko, co dawni mistrzowie zrobili, jest godne uznania ze stanowiska sztuki religijnej; a podrugie, w czasach, kiedy przedmioty religijne były poniekąd modą panującą w malarstwie, wyrozumieć jeszcze można, że posługiwał się też nimi artysta dla wypowiedzenia innych, zawsze jednak szlachetnych idei, jakie miał w duszy. Ale dzisiaj, kiedy traktowanie przedmiotu religijnego jest czemś wyjątkowem, już sam wybór takiego przedmiotu wypowiada jakiś stosunek do religii, i taki obraz albo będzie religijnym — albo ubliżającym religijnemu uczuciu; to ostatnie zaś jest co najmniej nietaktem, artysty niegodnym i duchowi sztuki przeciwnym.

Jeżeli — jak z dotychczasowych uwag wypływa — dla samego ocenienia i zrozumienia dzieł religijnej sztuki, potrzeba patrzeć na nie okiem religijnem, to tem bardziej potrzeba religii dla tworzenia takich dzieł. Trzeba najprzód znać dokładnie cały dogmat, bo najmniejsze zboczenie pędzla albo dłuta od jego normy, czyni dzieło sztuki z punktu religijnego niemożliwem. Trzeba znać tradycyę chrześcijańskiego malarstwa, jego symbolizm. W Kościele zachodnim te tradycyę nie są ciasne, jak wiadomo; one nie krępują, ale raczej zapładniają artyzm, pozwalają wciąż z nowa tworzyć, ale wskazują kierunek; symbolizm ten nie narzuca się artyście, tylko ofiaruje swą pomoc. Malarz, któremu cały ten skarb tradycyi jest obcy, nie tylko pozbawia się bogactw środków, ale naraża się na to, że jego dzieło będzie zupełnie inaczej rozumiane, niż on zamierzał.

Nie dosyć znać religię, trzeba wierzyć i być przejętym uczuciem religijnem — inaczej niepodobna wogóle uniknąć rzeczy obrażających religijne uczucie: tak jak ten, co nie ma pocucia

harmonii barw, nie uniknie w malowaniu uchybień przeciw tej harmonii. Przypuszczam, że Munkaczy chciał zrobić Chrystusa jak najlepiej, a nie miał wcale tendencyj Wereszczaginowskich; ale gdyby był malował swego Chrystusa z uczuciem wiary i czci religijnej, byłby uczuł, że owo podłysienie czoła, zdradzające przeżycie, owe zmarszczki przy oczach i ustach, wyrażające zaciętość, technące pogardą dla ludzi, nie mogą w żaden sposób Bogu Wcielonemu przystawać. — Wisiał jakiś czas na tutejszej wystawie Tow. Sztuk Pięknych obraz w aksamitnych ramach, przedstawiający Chrystusa w grobie (p. W.). Trup w pełnym rozkładzie, wzdęty, plamisty, żywcem przemalowany z prosektoryum. Każdy się od niego nietylko z obrzydzeniem, ale z oburzeniem odwracał. Malarz mógł nie wiedzieć o tem, że nauka dogmatyczna nie pozwala przypuszczać pośmiertnego rozkładu w Ciele Chrystusowem; ale gdyby był malował to święte Ciało z uczuciem czci religijnej, zamiast pod wpływem doktryn fałszywego realizmu, byłby sam uczuł, że tak Ciała Chrystusa Pana malować nie można. Wisi do dziśdnia na tejże wystawie — a już byłby czas, żeby wisieć przestała — św. Magdalena pana R. z opadającą szatą, z pozą i miną hetery, zaczajonej przy drodze na przechodniów. Nie przypuszczam wcale, żeby malarz miał zamiar ubliżyć religii; miał on poprostu przed sobą modelkę zpod ciemnej gwiazdy, i realistycznie odwzorował jej szkaradny wyraz. Gdyby był malował z czcią religijną, jak przystawało, kiedy obrał za przedmiot Świętą, nie byłby zrobił postaci wstrętnej — daleko nieprzyzwoitszej, niż wiele Magdalen wcale nieubranych, ale owianych żalem i pokutą.

Trzeba, mówię dalej, wiary i uczucia religijnego, nietylko, aby nie uchybić religii, ale jeszcze bardziej, aby wydobyć wyraz prawdziwie religijny, tj. odpowiadający pojęciom i uczuciom religijnym. Wynika to z samych praw twórczości artystycznej, że uczucie tak delikatnej natury, nie da się sztucznie skomponować, jeśli z duszy nie tryśnie. A doświadczenie dosyć wymownie to potwierdza: bo niema na kuli ziemskiej ani jednego prawdziwie religijnego obrazu, któryby wyszedł zpod pendzla człowieka bez religii. — Pewien młody malarz krakowski, za-

bierając się poważnie do wykonania większego obrazu religijnego, czytał i czytał jedne książki po drugich, żeby znaleźć, jak ma wyobrazić Chrystusa, i wypytywał się, jakieby jeszcze dzieła mógł w tym celu z korzyścią przeczytać. Kazałem mu odpowiedzieć, żeby zamiast czytać, poszedł do spowiedzi. I w rzeczy samej, nie tu lepiej natchnąć nie może, jak własne religijne uczucie. I dlatego da Fiesole i inni, którzy klęcząc malowali swych Świętych, niekoniecznie źle robili — *ut figura docet*.

Postać Chrystusa w sztuce, boskości, ściśle mówiąc, wyrazić nie może — i niesłusznie nam tę pretensję wmawia p. Witkiewicz — ale może i powinna być taką, żeby odpowiadała pojęciom i uczuciom tych, którzy w boskość Chrystusa wierzą; nie może więc przejawiać żadnej ani duchownej ani fizycznej ułomności (okrom cierpień dobrowolnie podjętych). Nie potrzeba, żeby każdy, co ją zobaczy, musiał powiedzieć: „to jest Bóg“ — ale trzeba przynajmniej, żeby nikt nie mógł słusznie powiedzieć: „to nie jest Bóg“. Wyrażać zaś powinna jak być może najdoskonalej majestat, dobroć, piękność, potęgę... albo właściwiej jedno lub drugie z tych znamion, bez ubliżenia innym. P. Witkiewiczowi się zdaje, że każda epoka inaczej Chrystusa przedstawiała, każdy mistrz całkiem inaczej go pojmował; — nie widzi on (żał mi go), że to tylko różne strony, różne momenta jednej i tej samej postaci Chrystusa Ewangelicznego, której żaden pendzel, żadne dłuto nie wyraziło w całości, ale każde odwzorowywało ją z innego punktu. Starożytność chrześcijańska upodobała sobie symbole Dobrego Pasterza, który owieczkę nosi, boskiego Orfeusza, który lutnią dzikie zwierzęta oswaja; — ale obok tego każdą niemal ze scen dzieciństwa i z życia publicznego Chrystusa znajdujemy na ówczesnych sarkofagach. Wieki średnie rozmiłowały się w tajemnicach męki Zbawiciela, doprowadziły nie tylko do żywego wyrażenia całej grozy jego cierpień, ale do takiej delikatności uczuć, w najrozmaitszych postaciach zapełniających te sceny, do takiej psychologicznej *Stimmung* w całości obrazów, że dziś tylko podziwiać, w żaden sposób naśladować nie możemy; — ale obok tego malowano, jak wiemy, i rzeźbiono ustawicznie, i narodzenie, i lata dziecinne Chrystusa, i jego zmar-

twychwstanie, i królowanie w złocistym niebie. Odrodzenie zwróciło się z predylekcyą do Jezusa Dzieciątka na łonie Matki, malowało cudne Noce narodzenia, pyszne Adoracye królów, nauczanie i cuda Chrystusa, jego majestat na prawicy Ojca; — ale i Kalwarya całkiem zapomnianą nie została — czego dowodem sławny Upadek pod krzyżem Rafaela, Biczowanie Tycjana, Święte oblicze Corregii, i t. p. Każda więc epoka sztuki chrześcijańskiej ma swoje upodobania, ale każda przejmując i obrabiając tę samą kanwę Ewangelii, każda środkami sztuki, jakie ma w rękę, wyobraża jak może najdoskonalej tę samą postać Chrystusa, dosyć przecież wybitnymi rysy w Ewangelii skreśloną.

Twarze tej postaci, zpod pędzla i dłuta różnych epok, są różne; ale trzeba doprawdy bardzo powierzchownie z p. Witkiewiczem na nie patrzeć, żeby nie dostrzedz pod niemi tej samej psychologicznej osobistości. Czy może być większa różnica i odległość, co do materyjalnej strony malowania, jak między Zdjęciem z krzyża prastarego Duccio z XIII. wieku w Pizie — a Zdjęciem z krzyża Rubensa, w katedrze antwerpskiej? U jednego barbarzyńska nieznajomość kształtów i ruchów ciała, członki strasznie chude, postawy osób drewniane — u drugiego cała wirtuozya pędzla odrodzenia włoskiego i flamandzkiego razem, „efekta“ barw i światła nie zrównane, przepych ciała — aż do zbytku. Ale przytem i u Duccia i u Rubensa ten sam stan duszy wymalowany, ta sama cześć głęboka a delikatna wyraża się w sposobie, jakim Ciało w jednym i drugim obrazie z krzyża spuszcza, ta sama boleść rzewna a z godnością połączona maluje się w osobach, które to Ciało przyjmują. Nawet to niezrównanie delikatne i czułe dotknięcie stopy Chrystusowej przez Magdalenę, które wszyscy u Rubensa podziwiają, odnajduję u Duccia, z tą różnicą, że tu ona nie stopę, ale rękę zranioną do ust przybliża. Ta sama przeziera u obu malarzy wiara w sposobie przedstawienia Ciała Chrystusowego: stary Duccio pomaga sobie aureolą — mistrz flamandzkiej sztuki oblewa to Ciało tajemniczem jakimś światłem, które zdaje się z niego wynikać — jeden i drugi po swojemu to samo wyraża. Wziąłem dwa *extrema*, między ~~którymi~~ wszystkie religijne wyobrażenia

Chrystusa zmieścić się mogą: nie jestże widocznem, że we wszystkich ten sam przedstawia się Bóg-człowiek, skreślony w Ewangelii i w każdym dzisiejszym katechizmie, przedmiot tej samej dogmatycznej wiary, tej samej miłości i adoracji?

Coś podobnego, co o Chrystusie, powiedzieć trzeba i o innych świętych osobach w obrazach religijnych. W postaci Matki Boskiej powinny podobnie świecić cnoty i dary, które czci w niej chrystyanizm: przedewszystkiem dziewiczość i macierzyństwo — albo znowu jedno z dwojga, bez ubliżenia drugiemu. Jestto przedmiot, który sztuka chrześcijańska, począwszy od ślicznego fresku z końca I. wieku w katakumbie Pryscylli¹, aż do dzisiejszych Madon Bouguereau'ta i Defreggera, z największem nabożeństwem i najlepszem powodzeniem traktowała: kierunek jest więc wytknięty, a przedmiot przy swej prostocie niewyczerpany. Ale wymaga on wielkiej delikatności uczucia, i wielkiej baczności, aby się uwolnić od wpływu modeli. Każda obfitość i uwydatnienie ciała jest tu nie na swoim miejscu. W pięknie zresztą Zejściu z Golgoty Krudowskiego jest to pewnym rozdźwiękiem, że Matka Boska jest za silną, zawiele ma ciała. Matka Boska Sielska Styki nie w tem uchybia, że jest ubraną po wieśniaczemu, że siedzi pod drzewem opodal chałupy, że ma typ polski — ale tem, że ma rysy realistycznie ordynarne, które nie wynoszą jej ponad to otoczenie i nie pozwalają wierzyć w jej nadziemski charakter. Jeszcze więcej sprzeciwia się religijnemu pojęciu Bogarodzicy ta niezdolna afektacya, tyle nowożytnych obrazów religijnych cechująca — a której typowym okazem jest najświeższy w tym rodzaju produkt: Madonna Fontany². Nie jestto Matka Boska, ale dewotka lub aktorka, z wymuszeniem udająca nabożeństwo.

Aniołowie są w sztuce chrześcijańskiej prześlizcznym motywem; grają w niej zwykle rolę chóru greckiej tragedyi, wyrażając uczucia i stany duszy, jakie widok przedstawionej sceny

¹ Ob. „Archeologia chrześcijańska“ ks. Bilczewskiego, str. 183.

² Widziałem tylko reprodukcję tego obrazu, ale bardzo staranną, w *Moderne Kunst*, Jahrgang 1891—92, Lief. 3.

wywołać powinien w widzach: radość przy Bożem Narodzeniu, współczucie nad krzyżem, tryumf przy zmartwychwstaniu, uśmiech nieba do modlitwy świętych ludzi, jak u Murilli, podziw lub adorację, jak aniołkowie u stóp Matki Boskiej Sykstyńskiej. Powinni więc Aniołowie prawdziwie te stany duszy wyrażać, a nie być tylko ładnymi ciałkami dla wypełnienia miejsc wolnych na płótnie. Wybijanie zaś i uwydatnienie fizycznej strony Aniołów mija się zupełnie z celem i duchem religijnej sztuki. Wiem, że mi przeciwstawić można imiona pierwszorzędných malarzy, którzy bądź tej, bądź innych czynionych tu uwag, nie bardzo się trzymali; ale ci mistrzowie pokrywali te uchybienia innymi, nadzwyczajnymi przymiotami: kto tyle cudownych Wniebowzięć wymalował, co Rubens, temu Matka Boska daruje, że jej czasem zawiele dał ciała; i widz tego nie postrzega, bo go to uroczę a potężne rwanie się ku niebu za sobą porywa. A podrugie, jak już wspomniałem, nie wszystko, co wielcy malarze zrobili, jest do naśladowania w sztuce religijnej. Michał Anioł w szczególności dla nikogo i w niezem do naśladowania nie jest. On jest twórcą osobnego świata, w którym panuje sam jeden — *admirandus, sed non imitandus*; a ktokolwiek się kuśił iść za nim, karykatury tworzył.

Święci też — jeżeli chcemy prawdy religijnego malarstwa — odpowiadać muszą idei chrześcijańskiej świętości. Powinni być piękni nie zmysłową, ale duchową pięknoscią; i żeby mię znów p. Witkiewicz za słowa nie chwytał, powiadam, że rozumiem przez to ten uroczy wyraz, który wzniosła dusza i życie cnotliwe na twarz i całą postać człowieka wylewa. A jeżeli to jeszcze p. Witkiewiczowi niezrozumiałe, zapraszam go znowu choćby do jednej galeryi *Delle belle arti* w Wenecyi — gdzie stoją rzędem Święci i grupy Świętych Vivariniego, obu Muranów, Palmy starszego, Bellinich i innych, z końca XV. i początku XVI. wieku. Pokażę mu w szczególności niezrównanie pięknego Jana Chrzciciela pośród czterech Świętych pod przeźroczystą kopułą, Cimy da Conegliano. Niech ci mistrzowie mu wytłumaczą — kiedy my profani wytłumaczyć nie możemy — jak pędzel ludzki może, nawet w wymacerowanej twarzy i wychudłych

członkach, oddać piękność przykuwającą widza i przenoszącą jego duszę w sferę ideału piękna i świętości.

Rozumie się, że ten wyraz świętości odmieniać się powinien stosownie do indywidualności pojedynczych Świętych. Dlatego nie pojmuję artysty, który zabiera się do malowania jakiegoś Świętego, nie przeczytawszy jego żywotu, i nie pomodliwszy się do niego. Nie należy też gardzić dla scharakteryzowania Świętych symbolizmem na tradycyi opartym. P. Witkiewicz i jemu podobni natrząsają się wesoło z tych symbolów, nimbusów, aureol i t. d. — ale niesłusznie: bo każdy obraz religijny jest w pewnej mierze symboliczny: więcej zawsze oznacza niż wyraża; — i cała zewnętrzna strona religii jest taką. Nie idzie zresztą o to, żeby tych symbolów używać naiwnie, jak czynili malarze XV. wieku — bo naiwnymi niestety nie jesteśmy, a udawać naiwność jestto kontradykcyja — ale sztuka dzisiejsza posiada dosyć środków i dosyć sprytu, żeby te znamiona Świętych z całością nowotnego obrazu szarmonizować. Prawda, że każda aureola nad czyjąś głową jest ze strony sztuki wyznaniem swej nieudolności do wyrażenia świętości tej osoby; jeżeli więc dzisiejsza sztuka czuje się w sile obejść się bez tych dodatków, to niech nam maluje Świętych tak duchowo pięknych — tak przewyższających zwykłych śmiertelników wyrazem duszy, jak natura Böcklina i Gierymskiego przewyższa podług p. Witkiewicza otaczającą nas naturę — ażebyśmy odrazu poznali, że to są postacie z wyższego świata (jak to poznać można u wspomnianych Wenecyan) — a wtedy kwitujemy naszych malarzy z aureol i wszelkich dodatków.

Kończymy wnioskiem praktycznym. Mamy malarzy bogato obdarzonych talentem, władających pendzlem, bądź z całą umiejętnością nowożytnej techniki, bądź z pewną szczerością najlepsze rokującą nadzieje. Szkodaby wielka była, gdyby ekluzywne doktryny, jakim p. Witkiewicz dał wyraz w swej książce, zacieśniły ich artyzm. Niech patrzą z miłością na naturę i oddają jaknajwierniej jej wdzięki, wedle wskazówek p. Witkiewicza; ale niech

oprócz tego obserwują życie i szukają wdzięków duszy. Im wyżej i wszechstronniej wykształcą się jako ludzie, i wydelikacą w sobie to, co się nazywa *humanum*, tem zdolniejszymi się staną do tego postrzegania i przelewania w swe dzieła prawdy życia i duszy ludzkiej. Kto z nich czuje się powołanym siłą talentu i miłością przeszłości, do wkroczenia w dziedzinę historyi, ten niech się uczy historyi gruntownie — bo jeszcze długo, mimo doktryn pozytywnych, sztuka historyczna dla naszego społeczeństwa szczególny będzie miała urok i szczególną nad nim władzę. — A jeśli kto nie ma szczęścia być wierzącym, ten niech bezwarunkowo da pokój malarstwu religijnemu.

Ks. Maryan Morawski.



U SŁOWEŃCÓW.

II. LUBLANA.

Poza Tarvisem wjeżdżamy w okolice, już nie tylko *de facto*, ale i *de jure* słowiańska: napisy wszędzie w dwóch językach: niemieckim i słoweńskim; rozmowa w wagonie, po stacyach słoweńska; *trzesnie! Kirschen!* wyśpiewują piskliwie na każdej stacyi gromady chłopczyków i dziewczynek. „Kraina a Karyntya — wyjaśnia z pewnym odcieniem dumy młody mieszkaniec Lublany — to zupełnie co innego; u nas w Krainie lepiej, bez porównania lepiej; słowiański żywioł nie ma wszystkich praw, jakie mu się we własnym kraju należą, ale jest przynajmniej równouprawniony, może się swobodnie rozwijać“.

Różnica ta, po drodze widoczna, bije bardziej jeszcze w oczy już na samym wstępie, przy pierwszej przechadzce po ulicach Lublany. Stolica Karyntyi, to bądźco bądź raczej *Klagenfurt*, niż *Celowiec*; stolica Krainy, raczej *Lublana*, niż *Laibach*, choć — zgóry zastrzedz się należy — Niemców w Lublanie bez żadnego porównania więcej, inne mają tu znaczenie i inną odgrywają rolę, niż należący wyłącznie do niższych warstw społecznych Słoweńcy w *Klagenfurcie*. Słowiański charakter krańskiej stolicy przebija się na ulicach, znać go w ubiorach i napisach; uderza najbardziej może w kościołach. Kto dłuższy czas przebywał w którym z węg-

gierskich lub austryacko-niemieckich miast, kto jedzie prosto np. z Wiednia lub Pesztu, ten wszedłszy rano czy popołudniu, o tej czy o innej godzinie, do tego czy do owego kościoła, zorientować się z początku nie może, widząc tylu zgromadzonych pobożnych, i z pewnością zapyta:

— Jakie tu dziś u was święto?

Nie święto, ale tylko Słowianom, Słoweńcom w szczególności wrodzona pobożność, sprowadziła tylu ludzi; w święto, w niedzielę przycisnąć się przez kościół od samego już rana prawie niepodobna, a kto nie ma bardzo silnych ramion, kto nie chce sobie aż zbyt żywo przypomnieć studenckich „serów“, ten niech przyciskać się nie próbuje. Pracujący obecnie w Lublanie, słynny na całą Austryę i poza jej granicami kaznodzieja, misyonarz O. Maksymilian Klinkowstroem, zaręczał mi, że nigdzie jeszcze dotąd nie zdarzyło mu się spotkać z równie żywą wiarą, gorącą pobożnością. A jeśli kto, to *Pater Max* — jak go tu wszyscy nazywają, sądząc nieraz, że to nazwisko jego rodowe — kompetentnym w tej mierze jest sędzią: przewędrował w misyjnych wycieczkach wzdłuż i wszerz rakuską monarchię, a i hohenzollerowskie dzierżawy nie są mu obce; zna naszą Galicyę, apostołował z polskimi misyonarzami na Bukowinie i na Szlązku.

— Lud tam — mówił — jak wogóle u Słowian, pobożny, do kościołów się garnie; ale mimo tego i u was nawet mniej niż tutaj ludzi w kościele, zwłaszcza w dni powszednie.

Istotnie kościołów tu w całym kraju dużo, bardzo dużo; już z wagonowego okna wpadają w oko te bardzo piękne, nieraz i obszerne świątynie we wioskach, na dolinach; kaplice i kapliczki bez liczby na stokach gór rozwieszzone. W Lublanie kościoły wielkie, dość bogate, co rzecz prosta, nie jest jeszcze zawsze synonimem piękności i dobrego smaku. Kościół franciszkański tak ciągle pobożnymi przepełniony, że i dobrze obejrzeć go trudno; w katedrze pokazują ciekawe freski z przeszłego wieku; w wielkim, wspaniałym kościele św. Jakóba, niegdyś jezuickim, odnalazłem drogie sercu pamiątki, wspomnienia, między innemi, jak w tylu pojezuickich kościołach, z którymi w każdym większem mieście się spotkasz, bardzo dobrze zach-

wany ołtarz naszego świętego Stanisława Kostki. Dzisiejszy jezuicki kościółek tuli się skromnie pod zamkową górą, — „zamkową“ w urzędowej i w ludowej terminologii — choć wznoszący się na niej niegdyś, nad całą okolicą panujący zamek, oddawna na więzienie przekształcony.

Z góry tej całe miasto przedstawia się, jak na dłoni. Środkiem toczy mętne, brudne swe fale, rzeka Lublana; po obu jej stronach grzybem czasu porośłe, fantastyczne budowle; dalej pamiętny w dziejach Europy, uprzytomniający odrazu najważniejszy wypadek, który w Lublanie r. 1823 się odegrał, „Plac Kongresu“ (*Kongresni trg*); obok kościoła franciszkańskiego starożytny, przez znawców ceniony i wychwalany ratusz; niedaleko od katedry, otoczone wieńcem drzew i krzewów, „Muzeum krajowe“.

Z Muzeum każdy Słoweńiec, a mówiąc dokładniej, każdy Krainiec, mniejsza o to z niemieckiego czy z słowiańskiego szczepu, jest i słusznie może być dumnym. Pierwszą myśl założenia Muzeum podał na posiedzeniu kraińskich „Stanów“ r. 1821 ówczesny książę-biskup lublański, Augustyn Gruber. Myśl tę, rzuconą w szczęśliwej chwili, podjął energicznie prezes „Stanów“, br. von Schmidburg; znaleźli się hojni dobroczyńcy, ogłoszono publiczne składki, powstał nawet (r. 1839) osobny „Związek kraińskiego Muzeum krajowego“; a kiedy przed laty szesnastu (1875 r.) odnaleziono w lublańskich trzęsawiskach budzące tak ogólne zaciekawienie budowle na palach, kiedy w trzy lata później zaczęto rozkopywać liczne grobowce i kurhany, i odnaleziono w nich prawdziwe skarby z rzymskiej i przedrzymskiej epoki pochodzących starożytności — niewolno się już było dłużej wahać: należało koniecznie pomyśleć o zbudowaniu odpowiedniego schronienia dla mnożących się dnia każdego zbiorów. Założenie kamienia węgielnego odbyło się w r. 1883, w obecności cesarza; przed trzema laty, 2 grudnia 1888 r., w dniu, w którym cała Austria święciła czterdziestoletni jubileusz rządów cesarza Franciszka Józefa, otworzył je uroczyste nieodżałowanej pamięci marszałek krajowy, dr. Józef Poklukar, obywał w całym tego słowa znaczeniu, głęboko w sercu każdego

Słoweńca zapisany — mąż, którego imię każdy katolik, w Austrii przynajmniej, znać i czcić powinien.

„Przewodnik po Lublanie“ zaręcza, że starożytności zebrane w Muzeum, zainteresować są w stanie największego nawet profana; z pełną kompetencją w tym względzie potwierdzić tylko muszą te słowa. Ale co innego zainteresować się, co innego opisywać; zresztą o odnalezionych na lublańskich moczarach budowach, o kryjących się w ich głębiach: czaszkach, kościach, kamiennych piłach i włóczniach, porfirowych młotach, z piaskowca urobionych toporach i t. d. i t. d. — tyle już napisano akademickich rozpraw i popularnych broszur, że miasto opisywać, należałoby raczej odpisywać, do czego znowu na odwagę i ochotę zebrać się trudno. W trzeciej z kolei sali mieszczą się zbiory z czasów rzymskich i merowingich; w czwartej, z ostatnich kilku wieków. Wpada mi tu w oko ciężki srebrny puchar, ozdobiony siedmiu srebrnymi groszami z czasów króla Zygmunta III., jedną również srebrną monetą węgierską i pozłacanym medalionem z wizerunkiem Gustawa Adolfa; widocznie pierwszy właściciel tego pucharu, szwedzki żołnierz czy dowódca, uprzytomnić sobie chciał złote wino w starych latach, sącząc podjęte za młodszych lat do polskiej, do węgierskiej ziemi wyprawę. Współ z wielkim, z Polski pochodzącym mieczem, z przełamaną pochwą, jedyny to do kraju naszego odnoszący się zabytek. Dwie ostatnie sale, siedmnasta i ośmnasta, zajęte są niezbyt wielką, ale ciekawą, ściśle „kraińską“ galerią obrazów i oszklonemi szafami, z których wyglądają stare, pergaminowe dyplomy, rzadkie, z ubiegłych wieków pochodzące, lublańskie książki i broszury; charakterystyczne manifesty, gazety, sztychy z czasów francuskiej inwazyi.

Pierwsza popołudniu! Czas przenieść się z kraju pamiątek do kraju rzeczywistości; pożegnać stare zbroje, zardzewiałe miecze, dumnie z obrazów poglądających kraińskich bohaterów, rycerzów, by zapoznać się z dzisiejszymi żyjącymi rycerzami, co stosownie do zmienionych czasów i okoliczności, oręż przemienić musieli na pióro, toczą walki w obronie wiary i narodowości na

dziennikarskich szpaltach, budują fortece z poważnych książek i „Przeglądów“. Redaktor dobrze mi z Krakowa jeszcze znanego ilustrowanego pisma *Dom in Svet*, ks. Franciszek Lampe, poradził mi, gdym go odwiedził pierwszego zaraz dnia po przybyciu do Lublany:

— Chcesz poznać naszych katolickich redaktorów? Znajdziesz ich i poznasz najłatwiej na obiedzie u kapelana Urszulanek, u którego przedstawiciele całej prawie lublańskiej katolickiej prasy wspólnie się stołują, a jednocześnie sejmikują.

Któżby odrzucił tego rodzaju propozycję, popartą w dodatku, w kilka godzin później, formalnem, nadzwyczaj grzecznem zaproszeniem i zapewnieniem, że katolicy redaktorowie lublańscy na cześć polskiego gościa zjawią się *in pleno*? Honory robił naturalny niejako i z wieku i z urzędu prezes, „król uczty“, jakby się może wyraził jaki dawnych tradycyj trzymający się Chorwata: kanonik Łukasz Jeran. *Monsignore*, jak go tu powszechnie nazywają, przeładowany, pomimo poważnego już wieku, pracą i nader rozmaitymi i licznymi obowiązkami; jak przy wszystkich tych obowiązkach ma czas być redaktorem, wydawcą i — czego sam i to w czasie obiadu naocznym byłem świadkiem — korektorem tygodnika *Zgodnja Danica* (Wczesna jutrzeńka), to już jego pozostaje tajemnicą. Poważne to, kościelne pismo, w rodzaju naszego *Tygodnika Katolickiego*, wychodzi co piątek, w objętości arkusza druku, i jest bez wątpienia jednym z najstarszych peryodycznych pism słoweńskich, bo za sześć lat obchodzić już będzie pięćdziesięcioletni jubileusz. Po paru, na ascetycznem tle osnutych artykułach, następuje kościelna kronika, korespondencye, a wreszcie ogłoszenia, podane bądź przez kościelną władzę, bądź przez różne bractwa. Ponieważ niema jeszcze dotąd w Lublanie osobnego „Posłańca Apostolstwa Serca Jezusowego“, *Danica* w części go przynajmniej zastępuje, podając intencję miesięczną wspólną z odpowiednią modlitwą i szczególne intencye na cały następny tydzień. Na samym końcu bardzo pocieszające i prawdziwie budujące sprawozdanie z *dobrotni darovi*, ze składek, za pośrednictwem redakcyi w ostatnim tygodniu zebranych. Tak np. w numerze z 24 lipca 1891 ogłosiła

redakcyja następne składki, nadesłane do niej w ostatnim tygodniu od całych parafij, stowarzyszeń i od poszczególnych osób: Na naprawę i przyozdobienie ubogich kościołów w dyecezyi

lublańskiej	złr. 210·60
Dla Ojca św.	„ 9—
Dla ubogich studentów	„ 21·20
Na dzieło św. Dzieciństwa	„ 140—
Na różne inne dobroczynne i pobożne cele	„ 21·31

Siedzący obok mnie katecheta w szkole Urszulanek, ks. Antoni Kržič, wesóły, energiczny kapłan, opowiada z zajęciem i radością, jak w ostatnim zwłaszcza roku, dzięki obchodzonej wszędzie z wielką wspaniałością trzechsetletniej rocznicy śmierci św. Alojzego, rozszerzyło się potężnie *Društvo detoljubov*; jak wydawanemu przez siebie czwarty już rok organowi *Društwa: Krščanski detoljub*, przybywa codziennie młodocianych prenumeratorów i czytelników. W ostatnim roku przystąpiło 916 nowych członków; wszystkich razem będzie około 3000; dochodów miało *Društvo* w roku ubiegłym 1406 złr. 65 ct. Dla większego rozbudzenia ducha między młodzieżą, rozpoczął ks. Kržič przed pięciu latami rozrzucać w nieoznaczonych zgóry odstępach czasu pięknie ilustrowane zeszyty p. t.: *Angeliček* (Aniołek), poświęcone „młodzieży, nauczycielom i wszystkim przyjacielom dzieci“. Są tu i wierszyki i krótkie powiastki; żywoty Świętych, między którymi i nasz *Stanislavek* Kostka nie zapomniany; są z dzieciennego życia wyjęte rebusy, zagadki, anekdotki, karykatury; nie brak artykułiku z napomnieniem: *Govorite čisto slovenščino*, w którym nielitościwie wysmiana jest Elżunia i Jędrus, co mówili między sobą o: *arbajt, cimer, grifelj, plajštift, feder* i t. d. i t. d. Nadto jest jeszcze ks. Kržič redaktorem i wydawcą od ośmiu lat wychodzącego kaznodziejskiego miesięcznika: *Duhovni Pastir*.

— Niema co mówić, — zauważa z uśmiechem inny z uczestników naszej czarno-internacyjalnej, księżo-redaktorskiej biesiady, ks. Kalan — kochany nasz katecheta Kržič na brak zajęcia chyba skarżyć się nie może.

— A ty sam, a profesor Lampe, czy możecie się skarżyć? Istotnie, ks. Kalan, urzędowo i na pierwszym miejscu wi-

kary katedralny, to także redaktor, nie obszernego rozmiarami, ale bardzo czytanego pisemka: *Domoljub*, który wychodzi jako rodzaj dodatku przy konserwatywno-katolickim dzienniku *Slovenec*. Ks. Lampe znowu jest jednocześnie profesorem w seminarjum duchownem, dyrektorem wychowawczego zakładu dla dziewcząt, jedynym redaktorem i wydawcą beletrystyczno-naukowego miesięcznika *Dom in Svet*, a w dodatku czynnym współpracownikiem paru innych pism. „Ten człowiek — mówił mi o nim jakiś Lublańczyk jeszcze w Wiedniu — pracą się zabija“. W rannych godzinach, kiedy ks. Lampe, pragnąc okazać mi serdeczną swą wdzięczność za jakiś przed paru latami nadesłany artykułik o polskim dziennikarstwie, oprowadzał mię po Lublanie, obwoził po jej najbliższej okolicy — pozwoliłem sobie zwrócić mu uwagę, czy też nie zawiele na barki bierze, czy zdrowie, widocznie wątłe, będzie mogło tyle trudów dłuższy czas przetrzymać?

— Ha, prawda! — odparł, oddychając ciężko i ocierając obfity pot, który mu wystąpił przy wdrapywaniu się na niezbyt zresztą stromą górę — prawda! trochę to zawiele; ale u nas tyle do roboty, a tak mało jeszcze robotników, że jeden musi za kilku pracować. Wyrabiamy się dopiero; prawie że wszystkiego brak nam jeszcze, więc na wszystkie strony, bez pożądanej, ale w dzisiejszych stosunkach niemożliwej systematyczności, musimy się zwracać; wiemy dobrze, że wielu owoców dzisiejszych naszych usiłowań sami nie będziemy oglądać, ale przynajmniej się pocieszamy, że przygotowujemy grunt dla przyszłych pokoleń. Ot ja sam wydałem parę apologetyczno-filozoficznych dziełek, co do których nie mogłem liczyć i nie liczę ani na znaczniejszy pokup, ani na jakkolwiek liczniejsze grono czytelników. Oczywiście nie zachęcające to dla autora; pokusa przychodzi: „Pisz raczej po niemiecku!“ — ale pokusę tę odganiam nadzieją, że pracą swoją szczęśliwszym następcom drogę przynajmniej utworzę. Gdyby dało się przyjąć u nas język chorwacki, jako literacki; książkowy, byłoby to może jeszcze najszybsze wybrnięcie z tysiącznych trudności; byłaby rękojmia, że usiłowania nasze nie pójdą na marne. Ale czy to dziś możliwe?... W każdym

razie my dziś pionierzy; a pionierzy nigdy i nigdzie nie mogą rachować na łatwe życie, muszą zaprzęgać się do każdej z kolei nadarzającej się pracy; muszą sami wszystko umieć i sami wszystko robić...

Najwymowniejszem poparciem i wyjaśnieniem tych słów, apartament zajmowany w Marianieum przez energicznego dyrektora-redaktora: piętrzą się stosy książek ze wszystkich dziedzin wiedzy; na stołach, na kanapach, na krzesłach, mnóstwo dzienników, czasopism, obrazów, tek z fotografiami, z ilustracyami; z boku wygląda fotograficzny aparat, wierny towarzysz w wycieczkach po kraju, w odbytej niedawno podróży po Palestynie; a obok stosy szkolnych aktów, przywalone buntującymi się nieraz przeciw narzuconemu sobie towarzystwu foliałami średnio-wiecznych teologów. Oko szukało i dłuższą chwilę doszukać się nie mogło wśród tego redaktorskiego *tohuwabohu*, podłużnych, zielonych zeszytów, na których kartce tytułowej wije się pod wizerunkami Lublany i Tryestu ozdobny napis: *Dom in Svet*; wreszcie połączonym naszym usiłowaniom udało się odnaleźć i wyciągnąć zpod papierów parę ostatnich numerów. Sympatyczne to, bez fochów i pretensyj, choć bardzo starannie redagowane, na pocziwym, katolickim gruncie opierające się pismo, dla nas tem sympatyczniejsze, że, o ile może, informuje o polskich sprawach, zaleca polskie książki i wydawnictwa. W kilku tylko ostatnich zeszytach — od stycznia do sierpnia 1891 — natknąłem sprawozdanie o dziennikarstwie warszawskiem, przez Tytusa Sopodżkę; krótką notatkę o polskich uniwersytetach we Lwowie i w Krakowie; pochlebną ocenę kilku ogłoszonych przez krakowskie *Missye katolickie*, przez wydawnictwo Karola Miarki i szląskiego *Katolika* broszur i dziełek. Rzutki redaktor zapowiedział mi jeszcze, że niebawem umieścić zamyśla na naczelnem miejscu wizerunek i biografię kardynała Dunajewskiego.

Od zielonych, w artystyczną szatę przybranych zeszytów pisma *Dom in Svet*, odbijają w prostej czerwonej sukience, ale bardzo skrętnie poprzecinane, pilnie widocznie wertowane zeszyty *Rimskiego Katolika*. Szczęśliwy dla redaktorów kraj, szczęśliwe w nim pismo, które obudzić może takie powszechne, nie-

klamane zajęcie, jak wychodzący od r. 1888 w Gorycy, przez pierwsze trzy lata jako kwartalnik, obecnie jako miesięcznik: *Rimski Katolik*. Gdzie pójdziesz, gdzie wejdiesz: do księgarni, do redakcyi ściśle katolickiego czy liberalnego pisma; przy stole i na spacerze, w gronie księży, a często i w gronie świeckich, między Słoweńcami, a nawet gdy z Niemcem rozmawiasz, obją ci się o uszy: *Rimski Katolik*, redaktor dr. Mahnič; wszędzie rozprawy, dysputy, mieszejące się bezgraniczne uwielbienia z pewnemi zastrzeżeniami lub ostremi naganami; — ale wszędzie mowa o Mahniču i jego *Katoliku*. Najwyraźniejszy to chyba znak, jak pismo to jest na czasie, jak prawdziwie piekące kwestye porusza.

W programowym artykule, umieszczonym na czele pierwszego, przed trzema latami wyszłego numeru, nakreślił dr. Mahnič jasno i śmiało swój cel, plan i zasady. „My Słoweńcy katolikami jesteśmy... i niemasz może pod słońcem do dnia dzisiejszego narodu, któryby tak wyłącznie był katolickim, jak my... Rzymskimi jesteśmy, Rzym skałą, ogniskiem, gwiazdą naszą. W obronie wiary, w obronie ściślej, najściślejszej łączności z Rzymem walczyć będziemy“...

Walkę tę podejmuje *Rimski Katolik* w dwóch kierunkach: stawiać usiłuje tamę płynącym przeważnie od Wiednia liberalnym prądom; odsłania choć cząstkę zasłony, zakrywającej „najciemniejszą Rosyę“, a tem samem tamuje znowu wzbierającą od Moskwy i Kijowa panslawistyczną falę. Przeciw liberalnej pladze występuje sam Mahnič w szeregu zasadniczych, na filozoficznem tle nakreślonych rozpraw, a dosadniej jeszcze w ciętych, polemicznych artykułkach, w których każdy błąd, każdy fałszywy krok słoweńskich, głównie dziennikarskich liberałów, natychmiast zostaje wyjaśniony, każda napaść odparta. Liberalne, silnie zazwyczaj zarazem panslawistycznym fermentem zaprawne pisma: *Slovenski Narod*, tryesteńska *Edinost*, *Slovenski Svet*, *Ljubljanski Zvon* i humorystyczny *Brus*, zawarły przeciw *Rimskiemu Katolikowi* odporno-zaczepne przymierze i z wszystkich stron, wszelką bronią: poważnie i ironicznie, karykaturami i wierszami, rzuciły się na wspólnego nieprzyjaciela. Dr. Mahnič, nie mając czasu ni

możności odcinać się na wszystkie z kolei zaczepki, uciekł się do oryginalnego środka: na okładce *Katolika* oddrukowywać począł jedne po drugich, w długim szeregu i bez najmniejszego komentarza, najdosadniejsze, wymierzone przeciw sobie zarzuty, obelgi, przezwiska. Środek ten poskutkował nadspodziewanie. Czytelnicy, przebiegając tę niekończącą się litanię obelg; dowiadując się jednocześnie, że Mahnič jest skończonym osłem i słoweńskim papieżem, królem filozofów i filozoficzną małpą; dowiadując się z jednego numeru, dajmy na to *Slov. Sveta*, że Mahniča nikt porządny i rozumny do ręki nie bierze, a znajdując w numerze z dnia następnego długi artykuł przeciw temuż samemu Mahničowi — dziwili się z początku, gniewali i śmiali się następnie, ale nie z redaktora *Rimskiego Katolika*, tylko z jego nieprzyjaciół. Radzi nieradzi, muszą oni dziś hamować się w zapędach, aby wrogowi oręża do ręki nie wkładać; czasem tylko jakaś bardziej krewka natura próbuje jeszcze, czy nowy sarkazm, odmienne od dawnych przezwisko, nie wywrze pożądanego wrażenia. Prózne zabiegi! „Król Mahnič I.“ — jak go ironicznie nazywać zaczęto — może w pewnem znaczeniu tego tytułu ze słuszną dumą używać, nie traci, lecz wciąż zyskuje na wpływie, na popularności.

Niemniej doniosłą jest druga część wytkniętego programu: kierowanie Słoweńców ku Zachodowi, okazywanie im z życia i historyi, jaki los spotyka, jaki czeka słowiańskie plemiona, tonące i topione w wszechrosyjskiem morzu. Czem jest prawosławie, jaka w Rosyi panuje religijna tolerancya, co sami rozumniejsi prawosławni o religii swej myślą i mówią, jakie tajne a groźne prądy w Rosyi, w rosyjskiej cerkwi nurtują? — na pytania te odpowiada *Rimski Katolik* w szeregu odrębnych artykułów i artykułików: „Szkice o rosyjskiej cerkwi“, przez A. Cerva; „Czesi w Rosyi“; „Krew św. Jozafata“; „Prawosławny (Sołowiew) o prawosławiu“; „*Révue des deux mondes* o religijnej swobodzie w Rosyi“ (o głośnych artykułach An. Leroy-Beaulieu); „Rewolucyjne ruchy w Rosyi“, przez Ignacego Kralj'a i t. d. i t. d. We wszystkich tych prawie i w wielu innych rozprawach znajdujemy gęste cytaty z pism i autorów polskich. Nazwiska: Ka-

linki, Helleniusza, ks. Załęskiego, razporaz pod oko się cisną; tak np. p. Kralj w pracy swej o „Rewolucyjnych ruchach w Rosyi“ bardzo wiele korzystał z drukującego się jednocześnie w *Przeglądzie Powszechnym* studyum ks. Załęskiego: „Historyczny rozwój nihilizmu w Rosyi“. Broszurze O. Henryka Jackowskiego: „W sprawie ruskiej“, choć wyszła ona jeszcze w r. 1883, poświęcona jest w roczniku z 1890 r. obszerna rozprawa, z licznymi, dosłownie przetłumaczonymi wyjątkami.

Częste i zacięte turnieje o Polskę, jej sprawy i cywilizację, toczyć musi przedewszystkiem *Katolik* z oddanym duszą i ciałem rosyjskiej propagandzie *Slov. Svetem*. Tak np. streszczenie francuskiej książki p. Leroy-Beaulieu jest odpowiedzią i komentarzem do umieszczonego w *Sl. Svecie* prawdziwie bezczelnego artykułu: „Religijna tolerancja w Rosyi“. Polemiczna rozprawka: „Czy Jezuici latynizują?“ wyświeca i wyśmiewa mnogi zastęp zabawnych insynuacyj, zabawniejszych jeszcze plotek, powstałych na wieść, że Jezuici obejmują w zarząd ruskie seminaryum we Lwowie. A jak w tych wszystkich, równie polemicznych, jak i niepolemicznych artykułach; w dłuższych rozprawach o nihilistach, o Sołowiewie, jak w krótszych: o Sarbiewskim, o kościele Matki Boskiej w Tomsku; jak wszędzie ciepły, serdeczny ton dla nas panuje, o tem niech świadczy następnych słów kilka, umieszczonych przez redakcyę jako wstęp do wyciętego z Helleniusza artykułiku p. t.: „Polski głos o narodowości“¹:

„Czyż naród polski nie jest narodem słowiańskim? Czyż nie jest to naród waleczny? A Wiedeń w r. 1683!? Czyż nie ma znanych w całym świecie literatów, uczonych? Skarga, Mickiewicz, Matejko! Czy Polacy narodowości swej nie miłują? Syberya!... A oto, co oni o narodowości myślą, co piszą“...

Konferencye dekanalne, zebrane w różnych stronach zamieszkałych przez Słoweńców dyecezyj, nadesłały d-rowi Mahničowi, w lecie 1889, wspólne gorące słowa uznania, za pożyteczną, a niezem niezrażającą się pracę. Piękna to nagroda, równie

¹ *Rimski Katolik*, r. 1888, zeszyt II. Ustęp następnie cytowany znajduje się w Helleniuszu: „Pamiętki polskie“, t. I., str. 77.

chlubna dla walczącego w dobrej sprawie katolickiego dziennikarza, jak dla tych, którzy głośno i jawnie przyznając się z nim do solidarności, podjętą walkę chcieli mu ułatwić, do dalszej, równie energicznej zachęcić.

— Patrz — mówił ks. Kalan, wprowadzając mię do redakcyi *Slovenca* — patrz, co nasi dziennikarze najprzód czytają — i z uśmiechem wskazywał na dopiero co wyszły, otwarty, starannie poprzecinany, noszący na sobie ślady palców i ołówków, numer *Katolika*, podczas gdy stosy i stosy wielu innych pism na boku skromnie czekały, czy i kiedy kto do nich z nożykiem i ołówkiem przybliżyć się raczy.

Zajmującą i uczącą jest zawsze przechadzka po redakcyjnej sali codziennego pisma, zwłaszcza w chwili, gdy główna redaktorska fala już przez nią przepłynęła, a służący nie miał jeszcze czasu usunąć pozostawionych śladów. Z rozrzuconych na krzesłach, na stole, nieraz i na podłodze, z przeciętych i niedbale zmiętych dzienników, z ustępów czerwonym i niebieskim ołówkiem zakreślonych i podkreślonych, lepiej nieraz w niewielu minutach przypatrzeć się, odgadnąć można wewnętrzną fizyognomię gazety, ustrój i ducha jej redakcyi, niż z długich a pięknych frazesów ślizgającego się ostrożnie po samej powierzchni naczelnego redaktora. *Slovenec*, przed dwudziestu latami założony, jest, jak dotąd, jedynem codziennem pismem lublańskim, stojącym na gruncie czysto i szczerze katolickiem; formatem przypomina *Kuryera Warszawskiego*, ale ze względu na liczbę prenumeratorów przypomina znów raczej poważne nasze, również dajmy na to warszawskie miesięczniki. Zapytany — przyznaje, że arcyniedyskretnie — ktoś z współpracowników, dał wymijającą odpowiedź, drugi udał, że nie dosłyszał lub nie zrozumiał; z boku powiedziano mi, że *Slovenec* liczy około 900, nie wiem już, wszystkich wogóle, czy płatnych tylko odbiorców. W każdym razie — a do tego i w redakcyi, jako do rzeczy powszechnie znanej, przyznano się poprostu — prenumerata i niezbyt liczne anonsa kosztów nie pokrywają; gdyby nie założony przed pięciu latami „Katolicki Związek prasowy“, *Slovenec* ustąpićby musiał z pola,

zostawić słoweńską, wedle hasel przez codzienne pisma wydawanych, kształcącą się opinię na łup liberalnej i radykalnej agitacyi.

„Związek prasowy“ ma osobny swój dom, zbudowany niedawno temu za 18.000 złr.; ma „katolicką“ drukarnię, dla której radby także odpowiedni dom wystawić, i „katolicką“ księgarnię. Nie są to tylko piękne, ale czeze nazwy; z drukarni nie wychodzi żadna książka, żadne pismo, prócz szczerze katolickich; w księgarni napróżno, choćbyś na wagę złota chciał płacić, jakichś innych byś szukał. Protektorem „Związku“ jest lublański książę-biskup, dr. Jakób Missia, który rozumiejąc wybornie całe niezmierne znaczenie prasy, zwraca na nią szczególną swą uwagę i zachęca duchowieństwo razporaz i słowem i przykładem do popierania katolickich dzienników i książek. Nie podoba się to. rzecz prosta, i nadzwyczaj silnie się nie podoba prasie liberalnej i radykalnej. Nie wiedząc, jak gorliwego, w całym słowa znaczeniu katolickiego biskupa zdyskredytować, obwołały go uroczyście wrogiem i zdrajcą narodowości słoweńskiej, ponieważ — jak piszą — nie żywi on dla idei słoweńskiej „miłości bezwzględnej“, fanatyzuje kler, nie dozwala mu być na pierwszym miejscu patryotycznym, a na drugim dopiero katolickim, formuje i wyrabia między Słoweńcami, nawzór innych krajów, silne „klerykalno-ultramontańskie“ stronnictwo. Nie można chyba — śmiali się, pokazując odnośne ustępy, szczerze i gorąco do pasterza swego przywiązani lublańscy księża — nie można chyba wynaleść wymowniejszej pochwały dla naszego biskupa, nad te właśnie nagany.

Jeśli *Slovenca*, reprezentującego zasady narodowo-konserwatywno-katolickie, przyrównaćby można do *Kuryera Poznańskiego*, to *Slovenski Narod* stoi w bliskim pokrewieństwie np. z *Nową Reformą*; *Slov. Svet* jest wiernem odbiciem nieszczęśliwej pamięci ruskiego *Słowa*, nieco tylko jaskrawiej, dla zwabienia młodzieży, rewolucyjnych entuzyastów, na czerwono pomalowaniem. Wzajemny stosunek *Slovenca* do *Slov. Narodu*, jest ze strony wewnętrznej stosunkiem *Czasu* do *Reformy*, ze strony zewnętrznej stosunkiem np. *Kuryera Warszawskiego* do *Codzien-*

nego: ten sam format obu dzienników, ten sam do złudzenia podobny układ, te same działy i poddziały, z tytułami, a nieraz i treścią, o tyle od siebie różną, że kiedy np. *Slov. Narod* pisze *Politični razgled*, to *Slovenec* drukuje *Politični pregled*; kiedy prenumeratorski pierwszy z tych pism odczytuje sobie *Razne vesti* (Różne wieści), to zwolennik drugiego odnajduje na tej samej stronie i w tej samej kolumnie *Raznoterosti* (Rozmaitości). Konserwatywne pismo, wychodzące w drukarni „katolickiej“, młodsze jest o pięć lat od liberalnego, rozchodzącego się po słoweńskich ziemiach z drukarni „narodowej“; od niego więc oczywiście zapożyczyło sobie zewnętrznej szaty. Natomiast *Slov. Narod*, pragnąc snąć uregulować wzajemne rachunki, a widząc, że rozsyłany gratis prenumeratorski *Slovenca*, odstępowany innym za bajecznie niską cenę dodatek *Domoljub*, wciskać się poczyna do wszystkich domów i najlepszym jest agitatorom za konserwatywnym swym zwierchnikiem: ogłosił pewnego pięknego poranku, że odtąd prenumeratorski bezpłatnie, nieprenumeratorski na pół bezpłatnie rozsyłać będzie pisemko: *Rodoljub*. Wierne to, z fotograficzną ścisłością przeprowadzone odbicie *Domoljuba*; nie brak jak tu, tak tam — rozsądzać nie chcemy, czy i tu i tam w tym samym celu, z przekonania, czy tylko dla otworzenia sobie drogi do ludu — życiorysów słowiańskich patronów, artykułików o kościelnych sprawach i t. p.

Quidquid delirant reges, patiuntur Achivi.

Gdyby walki redaktorskich królów w Lublanie doprowadzały tylko do rozsyłania czytelnikom bezpłatnych dodatków, do rywalizacji, kto pierwszy nowinę jaką w kurs puści, kto ciekawszą powieść serbską, czeską, francuską w fejtynie umieści: nie mogliby czytelnicy zbyt wiele się skarżyć. To gorsza — o pewnem wzajemnem, a zawsze niezdrowem rozgoryczeniu już nie mówiąc — że gdy dwóch się bije, trzeci się śmieje i ręce z radości zaciera; a tym trzecim nieliczna, ale energiczna i bądź-cobądź coraz śmielej wystawiająca głowę do góry, garstka radykałów-panslawistów. Główny sztab tej partii, zgromadzony w redakcyi *Slov. Sveta*, przeniósł się przed kilkunastu miesiącami z Lublany do Tryestu, prawdopodobnie w nadziei, że tryesteń-

ska prokuratorya mniej będzie czułą na tkliwe gruchania w północnym kierunku, że na krańskiej granicy zatrzyma się z ust do ust podawana pogłoska o obficie nadpływających do redakcyi rublach. Nadzieje te, w najznacniejszej przynajmniej części, nie spełniły się: i w Tryeście musi prokuratorya razporaz chłodzić zimną wodą konfiskat niezdrowy zapal dla „północnej ojczyzny“; i dziś na zapytanie, kto łoży na *Slov. Scet* i jakich ma protektorów, każdy, bez chwili wahania, wskaże na Moskwę lub Kijów. Zresztą dla scharakteryzowania tego „młodo-słoweńskiego“ pisma i jego kierunku wystarczy powiedzieć, że jednym z jego korespondentów był Naumowicz; że drukuje w swych łamach rosyjskie wiersze cyrylicą, i śpiewa pochwalne hymny o religijnej tolerancji w Rosyi.

Prócz trzech tych najgłośniejszych organów, przedstawicieli trzech kierunków: katolickiego, liberalno-narodowego, panslawistyczno-radykalnego, w których naród słoweński się obraca, lub do którego wrzekomi słowiańscy patryoci z zewnątrz brutalnie go popychają — istnieje jeszcze, a w pewnej części wegetuje tylko cała falanga, przeszło 30, pism prowincjonalnych i specjalistycznych. Usłużny przewodnik po redakcyi *Slovenca*, jedno po drugich rozkładał, zachwalał, wyjątkowo krytykował:

— Oto najstarszy nasz, ludowy organ *Novice*, przez „ojca Słoweńców“, Bleiweisa, jeszcze założony; oddał kiedyś wielkie przysługi, dziś bez znaczenia.

— *Ljubljanski Zvon*, pismo naukowo-beletrystyczne; ma pewne znaczenie, bo jedyny to tego rodzaju, na te rozmiary „Przegląd“. Szkoda, że smak mdły, pokost liberalny, poza nieraz teatralna. Jednym z założycieli *Dzwonu* jest dr. Józef Stritar z Wiednia, który niedawno temu strasznie się skompromitował: ogłosił wielki filozoficzny poemat i zaczęto już bić pokłony przed „naszym wielkim, narodowym poetą-filozofem“, aż tu dr. Mahnič udowodnił w swym *Katoliku* cytatai, że nasz filozof odpisał poprostu pewne ustępy z Schopenhauera i przełożył wierszem na język słoweński. Oczywiście zupełnie to biedaka podcięło, a i *Dzwonowi* nie pomogło.

— *Nora Soča* wychodzi w Gorycy; *Edinost* dwa razy ty-

godniowo w Tryeście; *Domovina*, dwutygodnik, pojawiać się zaczął w tym roku w Celi..., a ot tu jeszcze parę ludowo-politycznych dwutygodników z Nowego-Miasta, z Maryborza; ot kilka pisemek szkolnych, rolniczych, kościelnych...

Zapytałem o pisma humorystyczne, i wspólnymi siłami rozpoczęliśmy energiczne polowanie wśród gazeciarskiej kniei na znanego mi już z wycieczek przeciw Mahničowi, a mówiąc ściślej, z dosadnych odpowiedzi umieszczanych w *Rimskim Katoliku*, lublańskiego *Brusa*. Ale jak kamień w morzu, jak niedźwiedź w mateczniku, tak *Brus* nietylko w redakcyi *Slovenca*, ale i w całej Lublanie, zapadł się w jakieś ludziom nieznane tajniki, i na próżno ja sam, na próżno paru nawet słoweńskich mych przyjaciół usiłowało ułować dla mnie choćby jeden tylko numer. Księgarze odsyłali kolejno jeden do drugiego, aż ostatni znów do pierwszego chciał mię zawrócić; najuczynniejszy, lub którego może mocniej zainteresowały humorystyczne te łowy, przywołać kazał chłopca z trzeciej kamienicy, i suto go opłaciwszy, posłał do administracyi *Brusa*, polecając nie wracać bez numeru, mniej-sza o to, ostatniego czy dawniejszego.

— Czemuż pan — zapytałem — swego chłopca nie posyłaś?

— Oh! mojego znają, toby go z kwitkiem wyprawili.

Za dobry kwadrans wrócił nasz dyplomatyczny posłaniec, ale także — z kwitkiem.

— Proszę pana — recytował szybko, zdyszany — proszę pana, ci panowie powiedzieli, że nie mają ani jednego numeru, wszystkie już rozsprzedali.

— A z dawniejszych?

— Pytałem, wszystkie już rozsprzedali.

Spojrzałem pytająco na uśmiechającego się księgarza.

— Ha! boją się widać czegoś; może się domyślili, że ja chłopca posłałem, a do mnie nabożeństwa nie mają; może zwąchali, że obcy jakiś ksiądz dowiaduje się o tutejsze dziennikarskie stosunki; boją się może, czy to nie agent Mahnič. Kto ich tam wie?...

I zamruczał pod nosem parę słów, odpowiadających naszemu przysłowiu: „Na złodzieju czapka gore“.

Dlaczego i kogo *Brus* się obawiał; dlaczego i to, jak mi zaręczano, w niejednym tym tylko przypadku tak trwożliwie się ukrywa: to już zagadką, na którą nie umiałem i nie umiem udzielić sobie odpowiedzi. W każdym razie sama ta oryginalna, na anekdotę z małomiasteczkowych dziejów wyglądająca gra w ciuciubabkę, dość charakterystycznym znakiem, jakie w Lublanie panują stosunki, jak tam podziśdzień takie *Brusy* nie na swoim gruncie się czują, i jak panicznie lękać się muszą zasłużonych cięgów, kiedy na samo podejrzenie: kto wie, czy cięgi nie grożą? uciekają się do tego rodzaju gorzej niż studenckich sztuczek.

Wybierałem się właśnie do kanonika Marna, prezesa „Słoweńskiej Macierzy“, kiedy ostrzeżono mię, że na całe wakacje wyjechał z Lublany. Wielka to dla mnie szkoda! Jeszcze w udzielonej mi we Wiedniu instrukcyi podróźnej, życzliwa a wyjątkowo dobrze ze słoweńskimi sprawami obeznana ręka, dodała obok nazwiska zasłużonego prezesa, opatrzonej paru wykrzyknikami dodatek: „Widzieć go koniecznie, czem prędzej tem lepiej!“ Ks. Józef Marn, kanonik, prezes „Macierzy“, a zarazem gimnazyalny profesor, jeden z najczynniejszych współpracowników w piśmie *Nauczycielski Towarzysz*, pierwszy gruntowny znawca i badacz słoweńskiego języka; ma być przytem, mimo sześciu na barkach ciężących już krzyżyków, mimo olbrzymich swych prac i jakby filologiem nie był, nadzwyczaj miłym i uprzejmym w pożyciu; ma bardzo chętnie przyjmować w swym gabinecie wszystkich, co się jego krajem, co „Macierzą“ się zajmują i o wyjaśnienia go nudzą. A miałem właśnie tylu pytaniami go nudzić, przygotowałem obszerną notatkę z wielorakimi kwestyami: i o „Macierzy“ i o szkolnych stosunkach w Krainie i o odrębnem filologicznem stowarzyszeniu słoweńskiem, i wogóle o naukowej słoweńskiej literaturze!... Prawda! ks. Marn zasłużył sobie bez wątpienia na kilkotygodniowe wakacje: potrzebne mu one były nawet niezbędnie po tylu, po tak uciąż-

żliwych pracach; wszystko to prawda — ale czemuż wakacye te nie wypadły później, czemuż nie wcześniej?...

Nierozsądne pytania, okazujące tylko, jak źle złemu humorowi dać nad sobą zawładnąć; bo wszystko razem zważywszy, dziękowaćby raczej Bogu należało, że Lublana wcale jeszcze z nastaniem letnich upałów tak nie pustoszeje, jak np. Kraków lub Warszawa. — Inni: profesorowie, katecheci, których „interwiewowałem“ o szkolnych stosunkach w Krainie, malowali je bynajmniej nie w różowych barwach. Jak wszędzie, tak zwłaszcza w dziedzinie szkolnej, wre zacięta walka między żywiołem słowiańskim a niemieckim. W Karyntyi i w Styryi, gdzie razem żyje około pół miliona Słoweńców, panuje w szkole i w seminariach nauczycielskich wyłącznie język niemiecki. Lublańskie seminaryum nauczycielskie ma być, stosownie do dekretu z roku 1881, utrakwistycznym; ale nie mija rok, nie mija miesiąc, aby wiedeńskie dzienniki nie zaklinały się, że Niemcy cierpią w tym zakładzie srogie prześladowanie, że słowenizacya postępuje w nim olbrzymimi krokami — a co gorsza, co straszniejsza, że lublańska rada szkolna znosi coraz inne elementarne szkoły czysto niemieckie i przemienia je w słoweńskie. Na to odpowiadają słoweńskie dzienniki, że słowiańskich dzieci nie mogą przecież uczyć i wychowywać po niemiecku nauczyciele niemieccy, a dla 30.000 Niemców osiadłych w Krainie, i tak aż do zbytku wiele się robi. Zresztą, niechby tylko niemiecka szkoła w Styryi i Karyntyi o tyle uwzględniała język słoweński, o ile słoweńska szkoła w Krainie uwzględnia niemiecki! A czemużby tak być nie mogło, czemuż seminaria nauczycielskie w Celowcu, w Maryborzu nie mogłyby, jeśli już nie przyznać równych praw obu językom, to przynajmniej językowi słoweńskiemu takie uczynić ustępstwa, jakich już nietylko w rzeczywistości, ale nawet wedle wyznań centralistycznej prasy, używa język niemiecki w Lublanie?

— Czemu? — powtarza w parę dni później postawione w Lublanie zapytanie *Deutsche Zeitung* lub *N. Freie Presse* — i sypie gradem artykułów o państwowo-niemieckim stanowisku Austrii, o cywilizacyjnej misyi i wyższości języka niemieckiego, o podminowaniu monarchii przez słowiańskie aspiracye...

— To wy Austryę podminowujecie — odpowiada zgodnym chórem słoweńska prasa — to wy jad niechęci nietolerancją waszą w dziecięce już serca wlewacie...

I tak dalej i ciągle; przeciw zarzutowi, postawionemu z jednej strony, staje trzy, cztery z drugiej; fala rozgoryczenia z obu stron rośnie i przedostaje się już tam, gdzie niedawno jeszcze o jej istnieniu wyobrażenia nie miano: do kryjących się wśród lasów i wąwozów lepierek, do chat po wierchołkach gór rozwieszonych. Dziś głównem źródłem tego rozgoryczenia kwestya szkolna; ale gdyby źródło to cudem dziś osuszyć, czy jutro na jego miejscu nie wytrysnęłoby inne, z większą jeszcze siłą płynące, bardziej jeszcze gorzkie?... Bolesne to, trudne pytanie, a przecież czyż najważniejsze kwestye, czyż przyszłe losy wszystkich tych narodowości, dziś ze sobą, mimo tylu wspólnych interesów, drażniących się i kłócących, nie pokierują się w tę lub tamtą stronę, stosownie do odpowiedzi, jaka na pytanie to zapadnie?

Bywaj mi zdrowa, Lublano! poważne, miłe sercu miasto, gdzie tyle dla nas, dla kraju naszego, tak niespodziewanych znalazłem sympatyj; gdzie tyle serc tak gorącą, rycerską pała miłością dla ojczyzny, dla wiary! Lublana, to Kraków Słoweńców; w niej skupiły się ich pamiątki, o niej matki opowiadają dzieciom, tu najsilniejszem tętnem bije słoweńskie narodowe życie. Gdybyż jeszcze ucichnąć mogły narodowościowe spory; gdybyż zatamować można wciskające się przez książki, przez dzienniki, przez wychowanych we Wiedniu studentów, niezdrowe, liberalne prądy! Niestety! dziś próżne to marzenia, a dnia każdego dalej raczej niż bliżej od złotych tych snów, do złotej rzeczywistości.

Ks. Jan Badeni.

SEKCIARSTWO W ROSYI.

Sztunda i jej rozgałęzienia.

Kościół schyzmatycki w Rosyi jest tą bujną niwą, na której od dwóch zgórą wieków (od r. 1654) rozwija się sekciarstwo. Zaczynając od „razkołu“, wywołanego reformami kościelnymi dumnego i nieugiętego patriarchy Nikona, aż po dni nasze, powstają, rozwijają się i zamierają na tej ogromnej przestrzeni najróżnorodniejsze sekty: od mało różniących się z Kościołem urzędowym „jednowierców“, aż do „niemolaków“ i „skopców“, negujących najistotniejsze zasady chrześcijaństwa lub gwałcących prawa natury ludzkiej. Jedne z nich sięgają szczytów mistycyzmu, czerpiąc, jak np. „chłysty“, swą siłę i rost z wybujałego, chorobliwego uczucia, podczas gdy drugie grzęzną w błocie zmysłowości. Dla „popowców“ najsubtelniejsze odcienia formy i litera ortografii stanowią wszystko i tworzą nawet dość silną podstawę dla nowych formacyj sekciarskich; dla „duchoborców“ zaś i „mołokanów“ forma nie ma kompletnie żadnego znaczenia, a istota ich nauki rozplywa się w czeczach formułkach abstrakcyjnych. W sektach rosyjskich odbiły się wszelkie wpływy dodatnie lub ujemne, jakim tylko w ciągu kilku wieków swego rozwoju naród ten podlegał: od buddyizmu i szamaizmu z jego mnogiemi zaklęciami i zabobonami na Wschodzie, do protestantyzmu i racjonalizmu na Zachodzie, których posiew tak widoczny w naukach „sztundystów“ i „paskowców“; od sekt, importowanych

z Grecyi i Bułgaryi wraz z pierwszym ziarnem chrześcijaństwa („chłysty“), aż do zboczeń na polu religijno-moralnem, natchnionych „ostatniem słowem“ wiedzy ludzkiej (zwolennicy Tolstoja). Wśród tego duchowo-moralnego chaosu znajdzie się miejsce i dla formalizmu bizantyńskiego i dla ateizmu czasów najnowszych, nawianego prądami materialistycznymi literatury zagranicznej.

Do najrozgłośniejszych sekt czasów ostatnich należy sztunda, której zamierzamy poświęcić niniejszy artykuł. Różni się ona w sposób wybitny tem głównie od sekt innych, od sekt dawniejszej formacyi, że nosi na sobie piętno całkowicie cudzoziemskie, czysto germańskie, zaczynając od nazwy, aż do form życia, które przekształca w sposób tak sprzeczny z duchem i uczuciami plemiennemi obu narodów słowiańskich (ruskiego i rosyjskiego), wśród których znalazła najszersze upowszechnienie i najżarliwszych wyznawców.

Dotąd wiele mówiono i pisano o sztundzie po różnych dziennikach i czasopismach, w broszurach i nawet w pracach, zakrojonych na szersze rozmiary¹, ale dokładnego, wyczerpującego obrazu jej powstania i rozwoju nie było w literaturze rosyjskiej. Dopiero zeszłoroczny zjazd misyonarski dostarczył materiału, pozwalającego wyrobić sobie jasny pogląd na genezę sztundy i przyczyny jej rozwoju². Wyniki narad misyonarskich nabrały tem więcej znaczenia, iż uznano sztundę za jedną z najszkodliwszych sekt nie tylko pod względem kościelnym, ale i politycznym. Skonstatowano bowiem, że jakkolwiek uległa ona rozgałęzieniu, to jednak pomiędzy pojedyńczymi jej odłami istnieje ścisły związek, a nie zbywa nawet na usiłowaniach dokonania ich fuzyi. Misyonarze Cerkwi panującej wyrazili nadto obawę, że zjednoczony sztundo-baptizm stanie się formą panującą i dla rosyjskiego racjonalistycznego sekciarstwa starej for-

¹ *Jużnorusskij sztundizm, izsledowanie swiaszczennika Arsenia Roždiewstwienskaho*. Petersburg 1889. Str. 295.

² *Wtoroj misionierskij sjezd w Moskwie*, pióra Skworcowa. Moskwa 1891. Str. 51.

macy, albowiem robi sobie prozelitów nie tylko wśród prawosławnych, ale, co trudniejsza, i wśród sekciarzy rosyjskich, jak „mołokanie“, „bezpopycy“, „paszkowcy“ i t. d.

Nie da się zaprzeczyć, że sztunda powstała i rozwijała się dotąd na gruncie etnograficznym małopolskim, czego same tylko warunki geograficzne, tj. sąsiedztwo z licznymi koloniami niemieckimi na południu, wyjaśnić w zupełności nie zdołają. Przyczyna tkwić musi gdzieś głębiej, w warunkach życia i rozwoju dziejowego i cywilizacyjnego tej gałęzi Słowiańszczyzny. Znany w literaturze rosyjsko-cerkiewnej, p. Kazackij, poszukiwał już wszelkich możebnych przyczyn postępów sztundyizmu wśród ludności małopolskiej, ale pomijał milczeniem te, które tkwią w samej istocie Cerkwi prawosławnej, w jej bezdusznosci i formalizmie. Dopokąd martwota urzędowego prawosławia nie ogarnęła diecezji małopolskich, pod panowaniem katolickiej Polski, w pierwszej połowie wieku XVII., było wśród ludności dyzunickiej dużo żywej wiary, objawiającej się w licznych bractwach, fundacjach cerkwi i monasterów, w całym zastępie bogobojnych inoków lub pustelników, a również w pokaźnym pocście licznych pisarzy kościelnych i apologetów dyzunii, jak Melecjusz Smotrzycki (później unita), Piotr Mohyla, Ignacy Okszenowicz-Staruszycki i wielu innych. Na ożywienie zaś uczuć religijnych wśród ludności rusko-unickiej działało znowu dobroczynne zetknięcie się z Kościołem katolickim i jego ożywczym wpływem.

Od lat stu przeszło dyzunicy ruscy zostają pod rządami św. Synodu, a od pięćdziesięciu wytępiono w zabranych prowincjach resztki unii brzeskiej. Gdzie i jakie są owoce na polu kościelnym od czasu przejścia tych krajów pod rządę prawosławnej Rosyi? Lud ruski bez różnicy wiary był tam i pozostał w gruncie rzeczy religijnym. Lecz Cerkiew urzędowa, skępowszyszy samorząd kościelny, narzuciła mu swój formalizm carogrodzki, swą kancelaryjną opiekę nad życiem religijnym, swych ciemnych a chciwych popów, nie znających ani języka, ani potrzeb ludności miejscowej. Ludowi zaś unickiemu wydarto wiarę przodków, sponiewierano jego najświętsze, tradycyjne uczucia. W pierwszym pokoleniu lud wierzył jeszcze po katolicku, w dru-

giem — tęsknił za dawnym nabożeństwem i dawnymi obrzędami, a w trzecim — stał się całkowicie indyferentnym względem obu Kościołów. Na takim gruncie, na tej *tabula rasa*, przyjąć się musiała propaganda sztundystów, ożywionych pozorami szczerej, głębokiej wiary.

Jednemu z mych znajomych zdarzyło się być przed paru laty, w czasie Wielkiejnocy, w gubernii grodzieńskiej, pośród ludności niegdyś unickiej. Na zapytanie, zwrócone do młodego a bystrego chłopca, gdzie w dniu tym uroczystym pójdzie na nabożeństwo, otrzymał odpowiedź: „nigdzie“, motywowaną w ten sposób, iż w cerkwi prawosławnej zwał go katolikiem, a w kościele katolickim nazywają prawosławnym, a więc ani tu, ani tam nie chodzi. Skoro tylko sztunda się pojawi w okolicach Grodna, to nie ulega wątpliwości, że w chłopcu tym i jemu podobnych znajdzie najżarliwszych wyznawców.

I.

W drugiej połowie wieku XVIII. zaczęła się kolonizacya stepów Rosyi południowej, która za rządów Katarzyny II. i Aleksandra I. przybrała szerokie rozmiary. Dzięki szczerdym przywilejom, napływał na stepy czarnomorskie mnogi lud osadniczy ze wszystkich stron obszernej ojczyzny niemieckiej, różnych szczepów i różnych sekt protestanckich. Gęstemi a kwitnącemi osadami pokryło się dorzecze dolnego Dniepru i pobrzeży morza Czarnego. Wśród elementów napływowych, różnowierczych i różnoszczepowych, zbliżonych ku sobie na ciasniejszej stosunkowo przestrzeni, a połączonych poczuciem wspólności narodowej, rozpoczął się ferment na polu religijno-moralnem, potęgowany przybywaniem z ojczyzny apostołów najróżnorodniejszych doktryn. Na takim gruncie przyjmowały się wybornie bractwa pietystów, gromadzące się na wspólne czytanie Pisma św. i śpiewanie psalmów, pod nazwą *Stunden*, których współuczestników zaczęto najpierw zwać sztundystami. Tam się następnie pojawiały sekty: „nazarejczyków“, nawołujących do pokuty i poprawy obyczajów: „skaczących“, propagujących potrzebę pono-

wnego chrztu, a wkońcu „baptystów“, domagających się chrztu w wieku dojrzałym.

Obok i pośród osadników obcych osiadała ludność małoruska, jakby się tuląc i gromadząc przy większych oazach niemieckich. O ile rząd rosyjski był hojnym dla cudzoziemców w udzielaniu przywilejów, o tyle okazywał się bezwzględny i surowy dla własnych poddanych. Gmina ruska, pozbawiona samorządu, stała pod każdym względem niżej od sąsiednich gmin osadniczych. Zresztą osadnicy ruscy, pochodzący w znacznej części z uciekających od pańszczyzny chłopów, byli pozbawieni praw wszelkich, a z obawy pościgu i reklamowania przez dawnych właścicieli, ukrywali się bojaźliwie wśród kolonij niemieckich. Z takich to jednostek rekrutowali się pierwsi wyznawcy pietystycznej sztundy i późniejszego baptyzmu. Ferment religijno-moralny wśród ludności napływowej zaczął się udzielać krajowcom. Zależność ekonomiczna i niższość cywilizacyjna ludności małoruskiej tworzyły grunt podatny dla praktyk wszelkiej kategorii apostołów. Niezadowolenie z ówczesnych stosunków społecznych, a potem zawiedzione nadzieje przy nadziałach ziemią, nadały sztundzie ruskiej i baptyzmowi charakter doktryn socjalnych; wyższość intelektualno-moralna i dobrobyt osad niemieckich obudziły ² pogardę dla wszystkiego, co nie-niemieckie.

Wszyscy pisarze rosyjscy przyznają jednogłośnie, że t. zw. sztunda przeszła do ludności ruskiej od osadników niemieckich. Na Ukrainę — pisze znany publicysta i podróżnik, A. Mołczanów — sztundyzm dostał się od kolonistów niemieckich, z gubernii chersońskiej. Pierwsi ruscy apostołowie tej wiary: Michał Ratuszny, Riaboszanka i Herasym Bałaban, byli w pokrewieństwie z kolonistami niemieckimi, a najwybitniejsi przedstawiciele tej sekty, jak Pawłow i Iwanow, kończyli seminaryum baptystów w Hamburgu. Urzędownie stwierdzono, iż sztundyści ruscy prowadzą ożywioną korespondencję z Frankfurtem nad Menem, zkuąd otrzymują pisma treści religijnej, rady i wskazówki w rzeczach wiary. Posiadają oni już biblię, psalmy i pieśni pobożne w tłumaczeniu ruskim, dokonanem z języka niemieckiego poza granicami Rosyi. Tożsamo stwierdza i Wasyli Prawednyj, nau-

czyciel ludowy, gruntowny znawca tej sekty, w artykule umieszczonym w *Cerkownych Wiedomostiach*. Siewcami sztundyizmu w Besarabii — pisze tenże — byli Niemcy z Krymu, którzy wśród tutejszej ludności szerzyli broszury niedawno rozwiązanego „Towarzystwa zachęty do czytania książek treści religijno-moralnej“. Zadaniem ich było zbliżyć „nowych protestantów“ jak siebie zwać sztundyści, do Niemców-baptystów, których w Besarabii „moc niezmierna“. Wpływ niemiecki na powstanie sztundy stwierdzają zresztą wszyscy autorowie rosyjscy, zarówno stanu świeckiego, jak i duchownego. Na zjeździe misyonarskim w Moskwie mówiono również o tem, jako o rzeczy nie ulegającej najmniejszej wątpliwości.

Przejdźmy teraz do historii powstania i rozwoju sekciarstwa najnowszej daty w Rosyi południowej. Pierwszym wyznawcą sztundy wśród ludności małoruskiej był niejaki Onyszczenko, zbieg pańszczyźniany, mieszkaniec wsi Osnowy w powiecie odeskim, położonej w pobliżu osady niemieckiej Rohrbach. Tenże przygotował sobie około r. 1855 ucznia i wyznawcę, w osobie Michała Ratusznego, swego najbliższego sąsiada. Powoli zasady tej sekty zaczęły się udzielać i innym członkom gminy. Mieszkańcy Osnowy gromadzili się na wspólne modlitwy, czytanie Pisma św. w języku ruskim i dysputy treści religijnej. Podobne zebrania zaczęły się wkrótce odbywać i w innych powiatach gubernii chersońskiej. Pojawiali się coraz to liczniejsi głosiciele sztundy, ale zawsze prawie w pobliżu jakiejś kolonii niemieckiej. W końcu siódmego dziesięciolecia (w r. 1868) dostrzeżono pierwsze zarodki sztundy w gubernii kijowskiej. Rysem godnym uwagi jest okoliczność, że szerzyli ją tam niejacyś Paweł Cybulski i Tyszkiewicz, świeżo nawróceni z katolicyzmu na prawosławie. Po upadku bowiem ostatniego powstania, zaczyna rząd uciskać katolików i zmuszać ich do przyjmowania prawosławia, a sztunda w świeżo nawróconych zyskiwała pierwszych swych wyznawców, poczem dopiero kolej przysłała i na staroprawosławnych.

Po sztundzie luźnej, niezorganizowanej, odrzucającej dogmaty i obrzędy, ale nie odrywającej się stanowczo od Cerkwi

urzędowej, zaczyna się szerzyć baptyzm. Kilkunastoletnie istnienie sztundy przygotowało należycie grunt dla tego ostatniego. Baptyzm, pojawiwszy się wśród Małorusinów gubernii chersońskiej w r. 1869, a w gubernii kijowskiej w r. 1874, zrywa stanowczo z prawosławiem i organizuje się w odrębne gminy wyznaniowe. Sztundysta Efim Cymbał z Kartówki przyjmuje chrzest ponowny w strumieniu, płynącym wpobliżu osady niemieckiej Stary Gdańsk. Sekciarze wybierają sobie prezbitarów, którzy chrzczą, dają śluby, prowadzą metryki urodzin i śmierci. Niektóre gminy posiadają wyborną organizację. Gmina w Kierdanach, w powiecie taraszczańskim (gub. kijowska), ma dwóch prezbitarów i jednego dyakona, pełniących wszelkie obowiązki kapłańskie, nawet we wsiach sąsiednich. Pewna część sztundystów pragnie początkowo zachować swą luźność i niezależność, lecz wkońcu ulega baptyzmowi. Sztundo-baptyzm staje się zatem urzędową formą tego nowego prądu religijnego na Rusi. Na tajnym zjeździe delegatów różnych sekt najnowszej formacyi, odbytym w r. 1883 w Petersburgu za inicjatywą Paszkowa, znajdowali się między innymi i prezbitarowie baptystów ruskich.

Proces powyżej nakreślony wzrostu i rozwoju sekciarstwa trwał już oddawna, od powstania pierwszych osad niemieckich w kraju noworosyjskim, ale przedstawiciele Kościoła urzędowego na to albo nie zwracali uwagi, albo, jak się przyznano na zjeździe misyonarskim, „ze strony duszpasterzy nie postarano się o należyte i we właściwym czasie zaspokojenie religijnych potrzeb narodu“.

Ekonomiczna zależność ludności prawosławnej od przybyśców niemieckich datuje się od początków kolonizacyi niemieckiej w Nowej Rosyi. Wówczas ściągano robotnika, zkąd się tylko dało: przyjmowano wszelkiej kategorii włóczęgów, zbiegłych od swych panów poddanych, proletaryat bezrolny i bezdomny. Nie był to materiał stosowny do organizowania odrębnych gmin wiejskich. Pozostawiali oni najczęściej wolnymi dzierżawcami. Liczba takich dzierżawców jest dosyć znaczną, albowiem wynosi $\frac{1}{4}$ całej ludności wiejskiej w gubernii chersońskiej. Ponieważ ogromne przestrzenie ziemi dostały się w posiadanie Niemców-kolonistów, więc

dzierżawcy popadli u nich w zależność ekonomiczną, a w ślad za nią poszła i zależność religijno-moralnej natury. Mała ilość cerkwi i oddalenie od nich rozproszonej ludności prawosławnej znacznie się przyczyniły do ułatwienia propagandy protestancko-racyonalistycznej, która tkwiła w zarodku od dość dawna, a przybrała nazwę „sztundy“ i większe rozmiary dopiero około r. 1865. Aby mieć wyobrażenie, jak dalece wyżej wspomniane okoliczności oddziaływały na rozwój tej sekty, dosyć wskazać, że na 165 osad gub. chersońskiej, które ją wyznają, 105 nie ma cerkwi prawosławnych, a $\frac{3}{4}$ z ogólnej liczby sztundystów należą do wyżej wymienionej kategorii dzierżawców.

Jak się tam odbywa propaganda, daje nam wyborny obraz korespondent *Sudiebnoj Gazety* (Gazety Sądowej) z miasta Aleksandrowa, w gubernii ekatirinosławskiej. Ogniskiem propagandy stała się tam wieś Kiczkas (po niemiecku *Einlage*), zkaąd po całym powiecie rozchodzą się apostołowie baptyzmu, a zaglądają niekiedy i do powiatowego miasta Aleksandrowa. Prozelitów dostarcza zwykle służba prawosławna u Niemców-kolonistów, albo terminatorowie u stolarzy i kołodziejów niemieckich. Każdy nawrócony zwie się odtąd nie prawosławnym, lecz „ewangelikiem“. Gdy wśród Małorusinów dostrzegą indywiduum bardziej uzdolnione, zaczynają ganić obrządki Cerkwi prawosławnej i wynajdywać (o co zresztą nietrudno) różne wady w klerze prawosławnym, a zachęcać do przyjęcia swej „lepszej, czystszej wiary“. Prozelita otrzymuje natychmiast lepszą pensyę, bezpłatne mieszkanie, a niekiedy i krowę. Zabezpieczywszy mu byt materialny, zachęcają go do szerzenia propagandy: zaopatrują w pewną ilość biblij i książek treści religijnej, nauczają, jak i z kim prowadzić ma dysputy, w których chłop i ruski i rosyjski niezwykle się lubuje. Jeżeli prozelita okaże się niezręcznym lub mało gorliwym, to przedewszystkiem pozbawiają go ofiarowanych poprzednio korzyści materialnych, albo usuwają się odeń całkowicie. Sztunda nie robi adeptów wśród jednostek złych i niemoralnych. Przyznawano to na zjeździe misyonarskim, a stwierdzały niejednokrotnie powagi w rzeczach sztundy. Z Bender w Besarabii pisze korespondent do *Noworosyjskiego Telegrafu*:

„U nas około 20 rodzin sztundystów. Z nawróconych znałem niektórych, gdy jeszcze należeli do Cerkwi prawosławnej, i uważałem ich za ludzi dobrych i moralnych“. Wskutek tego sektanci patrzą z pogardą na resztę ludności prawosławnej i stronią od niej, jak od zapowietrzonej.

Raz zwerbowani do sztundy, już nie tak łatwo mogą się od niej oderwać. Niezwykłą jej siłę stanowi ścisła solidarność, przypominająca kahał żydowski z jego tajną władzą i sądownictwem. Na tej spistości wewnętrznej polega zręczność sztundystów w osiąganiu wszędzie władzy i znaczenia. Władza w gminach, nawet przy mniejszej liczbie sekciarzy, znajduje się zwykle w ich rękach. „W sprawach gminnych — pisze np. pop Olszewskij — sztundyści trzymają się ściśle zasady, iż wszystko powinno być nasze..., dlatego i na posady gminne wybierają tylko swych stronników; na wszystkich zgromadzeniach gminnych i sądach biorą zawsze stronę swej braci, z jawnem pogwałceniem zasad sprawiedliwości“. Inny pop pisze w swym raporcie ze wsi Czaplinski (w gub. kijowskiej): „U nas we wsi robi się to tylko, czego pragnie sztunda“. Gdzie zaś sztundyści zdolali władzę osiągnąć, tam lud prawosławny przechodzi w stan materyalnej i moralnej zależności od nich, co wkońcu przyczyniać się musi do rozszerzania sekty, zwłaszcza, że na każdym z sekciarzy spoczywa obowiązek pozyskania chociażby jednego wyznawcy.

To też propaganda odbywa się w sposób niezwykle ruchliwy. Tysiącami rozchodzą się w narodzie broszury hr. L. Tołstoja, Paszkowa, wydawnictwa firmy t. zw. *Pośrednika*, a przede wszystkim liczne pisma zagraniczne treści religijnej, drukowane w Hamburgu i we Frankfurcie nad Menem, wydawane kosztem niejakiegoś Percka. Z tym ostatnim, jako agentem międzynarodowego misyonarsko-wydawniczego towarzystwa, wszyscy koryfeusze rosyjskiej sztundy utrzymują ożywioną korespondencję i są w najściślejszych stosunkach. Do niego zgłaszają się we wszystkich swych wątpliwościach, a ten nie skąpi chłopowi ruskemu nauk w duchu protestanckim.

Dodajmy do tego ponętność doktryn, głoszonych przez

apostolów sztundy, na dnie których leży zasada „równości i wolności“; „poznajcie prawdę — głoszą sztundyści — a ta was wyzwoli od grzechów, postów i popów“; „szukajcie przede wszystkim Królestwa Bożego, a wkońcu — obiecują im nowi prorocy — osiągniecie wszystko: wyzwolicie się zpod władzy panów, popów, czynszów, ubóstwa i niedostatku ziemi“.

Pozorna bogobojność, moralny tryb życia i byt dobry, surowa karność w łonie sekty, żywy współudział w cierpieniach i potrzebach współwyznawców, pomoc wzajemna, hojne subsydia od Paszkowa (twórcy nowej sekty w Petersburgu), barona Korfa i z centralnych kas sekcjarskich, przechowywanych na Kaukazie i w Krymie — wszystko to pomimo woli olśniewało i olśniewa dotąd nie tylko lud pospolity wyznania prawosławnego, ale i wielu zpośród inteligencji. Pewna wieś w powiecie kaniowskim, gubernii kijowskiej, zamieszkała przez sztundystów, otrzymała od nieznanego ofiarodawcy 40 pudów mięsa w Wielkim poście, aby jawnie mogła go naruszać.

Na powodzenie propagandy sztundystowskiej wpływa nie mało — czego nie przemilczano i na zjeździe misyonarskim — sztywne i zimne, a niekiedy i pogardliwe zachowanie się duszpasterzy Rosyi południowej wobec swych parafian. Chłop stał się teraz hardym i ambitnym, a więc podobnego traktowania znosić nie chce. Skoro tylko propagatorowie sztundyzmu dostrzegą objawy niezadowolenia, wnet wzywają malkontentów do „zrzucenia ciężkiego jarzma cerkiewnego“, a radzą zamienić je „na lekkie i dobroczynne jarzmo religii ducha i wolności“. Duchowieństwo prawosławne przeoczyło pierwsze fazy rozwoju sztundy i ukrywało jej istnienie, dokąd się tylko dało ukrywać: dokąd przepisy i obrzędy kościelne nie poszły w jawną poniewierkę. Dziś parafianie otwarcie przechodzą z prawosławia na sztundę, niekiedy wracają na łono prawosławia, aby wkońcu znów je dla sztundy porzucić.

Nie należy zapominać, że do ostatniej chwili ogół inteligencji rosyjskiej, przedstawiciele władz sądowych i administracyjnych, zachowywali się wobec nowego prądu religijnego co najmniej obojętnie, jako wobec kwestyi tylko „popowskiej“,

„cerkiewnej“, a niektórzy widzieli w sztundzie objaw ze stanowiska społecznego dodatni, nawet pocieszający. Walkę ze sztundyzmem prowadzi dotąd tylko kler prawosławny przy poparciu rządowem, ale bez współudziału prawie stanu świeckiego. Sympatya zaś jednostek z warstwy inteligentnej przyczynia się nie mało do szybszego pochodu sztundy w samą rdzeń prawosławnej Rosyi.

Nietylko w szerszych kołach inteligencji rosyjskiej, ale i wśród piszącej rzeszy literatów sztunda znalazła wyznawców i obrońców. Widziano w niej objaw przebudzenia się narodu ze snu wielowiekowego. Inteligencya urzędnicza na prowincyi, przy każdym zetknięciu się z sekciarzami, w prywatnych z nimi pogadankach, i objawów sympatyi im nie skąpiła i dodawała otuchy pociąganym do odpowiedzialności. Jeden z sędziów gubernii kijowskiej, spotkawszy się z parochem, w którego parafii było bardzo wielu sztundystów, zaczął przekonywać go, aby „nie prześladował sektantów, ponieważ są to ludzie uczciwi, pracowici, trzeźwi i myślący“. Gdy w sądzie okręgowym kijowskim sądzono w r. 1872 sprawę dwunastu sztundystów salichskich, obrońca tychże odezwał się wobec sądu w te słowa: „W prawosławiu jest wiele komplikacyj, wiele zbytecznej obrzędowości, której znaczenia nie pojmuje i samo duchowieństwo. Sztunda — to zjawisko pocieszające... Być może — rzekł obrońca — że ja przed sądem głoszę coś więcej, niż sztundę, lecz się tego nie boję, bo mam słuszość za sobą“. Nic więc dziwnego, że po takiej wymownej obronie sąd odrzucił oskarżenie o herezyę, a skazał podsądnych tylko za bluźnierstwo. Również proces, wytoczony sztundystom w Odessie, a ciągnący się przez lat kilka, skończył się w r. 1888 uwolnieniem oskarżonych. Podobne wyniki procesów są w mniemaniu ludności wiejskiej dowodem, iż i panowie przechodzą na sztundę. Najjaskrawszym wyrazem sympatyi ku niej ze strony inteligencji jest sprawa włościanina Smirnowa, jednego z najzagorzalszych propagatorów i wyznawców zasad tej sekty, sądzona w końcu roku przeszłego w sądzie okręgowym w Ekatirinosławiu. Duchowieństwo proces mu wytoczyło, ale sąd przysięgłych go uniewinnił.

Po zbadaniu przyczyn, wpływających na rozwój sztundy, przejdźmy do poznania jej zasad, o ile to da się uczynić w braku uprawnionej organizacyi gmin kościelnych i nieujęcia jej doktryn w pewien zamknięty system.

Ludność włościańska w Rosyi południowej zwie sztundę „wiarą niemiecką“. Pomimo różnic istniejących pomiędzy wylęgłami z niej sektami, wszystkie one okazują jednakową nienawiść Cerkwi panującej. Władze dyecezaalne Rosyi południowej posiadają prawdziwe muzea znieważonych ikon z wykłótemi oczami i nadpisami treści bluźnierczej. Sztundyści niekiedy posyłają umyślnie swe dzieci do szkół cerkiewno-parafialnych z wyraźnem poleceniem — bezczeszczenia obrazów świętych. Przy spotkaniu się z popami, sztundyści plują, darząc ich mianem „biegłych w piśmie i faryzeuszów“. Do jakiego stopnia dochodzi w tym kierunku zuchwałość wyznawców sztundy, najlepiej okazało się na dysputcie, odbytej za pozwoleniem władzy przed rokiem w Kijowie. Przybył władzyka Ireneusz, kierownik misyj prawosławnych na południu, przybyli reprezentanci władz i zebrały się tłumy narodu. Gdy się dyskusya na dobre rozpoczęła, sztundyści zaczęli w tak gwałtowny sposób lżyć Cerkiew prawosławną, że dysputa stała się co najmniej bezcelową, jeżeli nie wprost szkodliwą.

W innych miejscowościach spotykamy się z jeszcze gorszymi objawami fanatyzmu sekcjarskiego. W *Stawropolskich Eparchialnych Wiedomościach* opowiada misyonarz o następujących wypadkach na Kaukazie. W stancyi Zassow, wśród dawnej sekty chłystowskiej, objawił się pewien ferment w umysłach, wskutek czego zaczęli mieszkańcy tejże przechodzić na sztundę. Z tajnej sekty przeistoczyli się oni w jawnych i zaciętych wrogów prawosławia i ikonodulstwa. Z niesłychaną gwałtownością zaczęli występować przeciwko wszystkiemu, co ma związek z prawosławiem, niszcząc ikony, bluźniąc Kościołowi, św. Sakramentom i obrzędowości. Z wyznawców prawosławia drwili, nazywając ich bałwochwalcami, ośmieszając wszystko, co święte. W czasie procesyj nie tylko nie zdejmowali czapek, ale i znie-

ważali ikony. Postępowanie tego rodzaju musiało wkońcu wywołać proces o bluźnierstwo.

Z nienawiścią ku Cerkwi prawosławnej idzie u sztundystów w parze porwanie wszelkich węzłów duchowych z przeszłością historyczną narodu rosyjskiego. Ponieważ istnienie swe zawdzięczają protestantom niemieckiemu, przeto i sympatye ich są po stronie pokrewnych duchem Niemców. Sztundyści mawiają zwykle: „Niemcy od was bogatsi i rozumniejsi; u nich wiara czystsza, a urządzenia lepsze“. Niektórzy z nich odzwyczajają się w mowie i uczuciach od wszelkiej solidarności z Rosyą i wszystkim, co rosyjskie, a do prawosławnego mówią zwykle: „Jakie tam u was w Rosyi porządki!“ Od Niemców oczekują wyzwolenia zpod ucisku politycznego i socyalno-ekonomicznego, którego doświadczają od rządu prawosławnej Rosyi. Wyznawcy sztundy marzą o jakimś „południowym“, „sztundowym“ cesarzu, o wojnie Rosyi z tym cesarzem, od którego oczekują i podziału gruntów i lepszych czasów dla swej sekty. „Sztundyści — pisze w *Russkim Wiestniku* p. Wielicyn — rozszerzają wśród naszej wiejskiej ludności przekonanie, że wkrótce przyjdzie niemiecki, sztundowy cesarz, i zapanuje nad całym naszym południem, które dostanie się mu bez boju, ponieważ ustąpienie go już od dawna postanowiono. Wówczas to panami staną się Niemcy i ci Małorusini, którzy poznali „światło prawdziwej sztundowej wiary“; tych zaś, którzy gnuśniej „w prawosławnem bałwochwalstwie“, czekają różne przykrości. Im odbiorą ziemię i samych wygnają z kraju wraz z rodzinami“.

Zapoznawszy się bliżej z osadnikami niemieckimi, chłop-sztundysta zaczął ścierać z siebie wszystkie cechy narodowe lub plemienne, wszystko, co „Rusią pachnie“, jeżeli użyję tutaj wyrażenia jednego z poetów rosyjskich. Stara się stać podobnym we wszystkim swym sąsiadom, kolonistom niemieckim: w stroju, manierach, obyczaju, sposobie życia, urządzeniu domów, a nawet strukturze budynku mieszkalnego i zabudowań gospodarczych. Niektórzy z nich próbują nawet mowę ojczystą zastąpić językiem niemieckim, o ile znajomość tego ostatniego na to im pozwala. Są i tacy, co po dłuższej służbie u Niemców lub wejściu

z nimi w związku pokrewieństwa, całkowicie się zniemczyli. Najczęściej używają jakiejś mieszaniny językowej, jakiegoś żargonu małorusko-niemieckiego. Niemożność przeistoczenia się w starszym wieku na Niemców, starają się wynagrodzić tem, iż dzieci swe uczą języka niemieckiego i wychowują po niemiecku.

U sztundystów to tylko posiada wartość, co pochodzi z zagranicy. Za Pismo św. w wydaniu zagranicznym, płacą trzykroć drożej, a wydania św. Synodu wcale nie kupują. Za Nowy Testament, drukowany w Londynie — jak pisze W. Prawednyj w *Cerkownym Wiestniku* — chętnie płacą po 10 rubli, a nawet drożej. Komentarzom i wyjaśnieniom Pisma św. dają wówczas tylko wiarę, jeżeli one pochodzą od pastorów protestanckich; o rosyjskich autorach kościelnych słyszeć nawet nie chcą.

Trudniej zbadać i przedstawić pojęcia polityczne i społeczne sekciarzy. Można to chyba uczynić po dłuższem a poufnem z nimi pożyciu. Dlatego tak mało znajdujemy u pisarzy rosyjskich wiadomości o tej stronie propagandy sztundystów. Wychoząc z zasady, iż w zakresie pojęć i uczuć religijnych powinna panować bezwzględna równość, nie znosząca żadnej hierarchii, sztundyści dochodzą konsekwentnie i do pojęcia równości w stosunkach społecznych. Odrzucają oni z całą stanowczością prawowitość władzy: „Na ziemi — powiadają sztundyści — няма innej władzy oprócz bożej“. Wyznawcy sztundy występują przeciwko przysiędze, służbie wojskowej, sądownictwu. Stosunek ich do współczesnego ustroju polityczno-społecznego jest wogóle ujemny, ale nie zdają sobie sprawy ani nie mają świadomości tych zmian, jakich oczekują od przyszłości. Czekaają na nie z pewną obawą, a przynajmniej niepokojem. W umysłach ich sprawiają ferment idee wolności, równości i komunizmu, prowadzącego do podziału własności ziemskiej. Sztundyści odrzucają rodzinę. Ojców, powiadają, być nie powinno; ojcowie są rodzicielami, a u nas jest tylko jeden ojciec i rodzic, a tym jest — Bóg; matką naszą — ziemia. Dlatego to u nich rodzice do dzieci, a dzieci do rodziców mówią: „brat i siostra“. Wojnę potępiają bezwarunkowo. Nieprzychylnie wyrażają się o sądownictwie państwowem. Według ich przekonania, sztundyści są święci, a za-

tem powinni sądzić samych siebie. Ci, co noszą ordery, są dla nich bałwanami, a oddający im cześć — bałwochwalcami... „Władzę — jak twierdzą wyznawcy sztundy — posiadają w dzisiejszem społeczeństwie tylko bogaci i potężni; żadnej zatem władzy, żadnych kar i więzień nie potrzeba“.

Łatwo można dostrzedz, że religijny prąd, zwany sztundą, pragną wyzyskać propagatorowie idei rewolucyjnych. Takim jest niewątpliwie pochodzenie broszury „Skazanie“, opowiadającej stylem biblijnym o początku wszystkiego złego, jakie trapi ziemię rosyjską. Broszurę tę rozrzucono wśród narodu w tak wielkiej liczbie, że jeden z parochów odebrał w swej parafii 200 egzemplarzy tejże. Autor jej — człek niewątpliwie inteligentny i wybornie znający swój naród. Oto, w jaki np. sposób tłumaczy ludowi pochodzenie czi obrazów świętych. Cerkiew prawosławna zawdzięcza ją — jak twierdzi autor „Skazania“ — wszechwładzy cara Kiederlaja, który był zarazem i arcykapłanem, rządcą Kościoła; zaprowadzenie podatków, wszelkich powinności i ciężarów, a również i pobory na Kościół i duchowieństwo, są również dziełem samowoli i wszechwładzy cara Kiederlaja, a za nic innego ich uważać nie można, jak za łupież. Cały świat wówczas jęczał i narzekał na pobory cara-arcykapłana, ale ludzie nie mieli odwagi na tyle, aby się uwolnić od bałwochwalstwa i łupieży. „Długo i strasznie jęczała wówczas ziemia i ludzie — czytamy w „Skazaniu“ — a car dla pocieszenia swych poddanych wymyślił muzykę i wódkę i ogłosił ukaz, ażeby wszyscy ludzie weselili się i oddawali się pijatyce. I znowu bieda, znowu złe; po zapłaceniu różnych podatków i ciężarów, co pozostało jeszcze w domu, to ludzie przepijali... Wskutek tejże wszechwładzy potężnego cara Kiederlaja, wiele krwi przelano, wiele żywotów ludzkich zmarnowano w więzieniach i kajdanach, a to wszystko za nieoddawanie czi ikonom, za niepłacenie podatków i wszelakich ciężarów na pensye naczelnikom“. Ciekawem jest *resumé* tej broszury, ogłoszone jakoby niegdyś przez patriarchę Abrahama: „Nie potrzeba nam żadnego cara, żadnej zwierzchności; zniszczcie wasze bogi, ikony-bałowany, wszystko to bezduszne dzieła rąk ludz-

kich... Zaniechajcie grabieży, pijatyk, a ziemia będzie waszą wspólną własnością i wszystko dobre będzie wspólnem, a jeżeli nie uwierzycie i nie przyjmiecie słów moich — ogień, zgliszcza i ducha burzliwego zesle Pan Bóg na was“.

II.

Na dnie owej doktryny sekciarskiej, pomimo racjonalizmu protestanckiego, tkwi prąd mistyczno-pietystyczny, cechujący niemieckie *Stunden*, z jakich powstał i rozwinął się początkowo czysto lokalny, małoruski sztundyzm, który, w miarę szerzenia się ku północy i wschodowi, będzie niechybnie przybierał charakter wielkorosyjski. Dwa te elementa składowe: racjonalizm i mistycyzm, pomimo całej pozornej sprzeczności, godziły się początkowo ze sobą, w pierwszej dobie rozwoju i walki z Kościołem urzędowym, a dopiero później, pod działaniem baptyzmu, zaczęły występować coraz wyraźniej i ścierać się ze sobą, zanim nie doprowadziły sztundy do rozbicia się na dwa kierunki („tołki“): kosiakowski i czapliński, tak zwane od miejscowości (Kosiakówka i Czaplinka), będących ich ogniskami. Wśród wyznawców tego ostatniego kierunku objawił się w roku 1889 również ferment, w następstwie którego mamy nowe formacje sekciarskie, pod nazwą „malowańców“ i „duchownych“, utworzonych przez Kondrata Malowanego i Wasylineńkę, a liczących wielu zwolenników w powiatach taraszczańskim i wasylkowskim (gub. kijowskiej). Rzecz oczywista, iż w samym charakterze i duchu sztundy kryją się zarodki jej rozbicia. Zrodzona na gruncie niemiecko-protestanckim, wykołysana uroszczeniami do wolnego, indywidualnego badania Pisma św., nosi w swem łonie pierwiastki rozkładu i rozbicia do najdalszych granic możebności. Ostatnimi czasy na tymże gruncie sztundyzmu zrodziły się sekty „subbotników“ i „niedzielników“ („woskreśników“), z których pierwsi są nawet wytworem wpływów żydowskich.

Przypatrzmy się teraz bliżej sektom, jakie już sztunda wytworzyła wśród ludności ruskiej. Można sobie wyobrazić, jakie

potworne przyjęcie objawy, gdy się rozwieli na ziemi wielkorosyjskiej i zetknie się z tamecznem sekciarstwem starej daty. Do najlepiej zorganizowanych należy sekta „malowańców“. Nazwę swą otrzymała ona od Kondrata Malowanego, włościanina miasta Taraszczy, będącego jednym z głównych ognisk sztundy w ziemiach ruskich zakordonowych. Kondrat Malowany, z profesyi cieśla i kołodziej, liczy obecnie lat 46, żonaty, ojciec siedmiorga dzieci. Dawniejsze życie Malowanego — podobne do życia wielu niewykształconych rzemieślników: pił, kłócił się, robił burdy i bił własną żonę. Przystąpienie do sztundy w r. 1877 wpłynęło znacznie na niego: przestał pić, zaczął coraz gorliwiej modlić się, a wkońcu doszedł do ekstazy. Objawiły się drżenia, łzy i konwulsye. Symptomata egzaltacyi na wspólnych modlitwach obudziły przekonanie w narodzie, że Malowany nie jest zwykłym śmiertelnikiem, że Duch św. obrał go na swego Mesyasza, a ustami jego przemawia objawienie z góry. Z niezwykłą szybkością zaczęła sława jego świętości szerzyć się po Ukrainie, a setki i tysiące wyznawców przybywały do Taraszczy, dla oddania czci nowemu prorokowi.

Malowany głosił początkowo, że Zbawiciel na świat jeszcze nie przyszedł, lecz że się wkrótce pojawi. Przepowiednia ta miała się sprawdzić na nim samym, albowiem zaczął wydawać siebie za Chrystusa, gromadzić włościan miejscowych i okolicznych (nawet z powiatu wasylkowskiego) i organizować gminę. Wkrótce przyszło mu na myśl wstąpić na niebiosy. W obecności mnogiego tłumu, składającego się z chłopów i żydów, wlaźł na dach swej chaty, długo machał rękami, lecz, zamiast do niebios, dostał się w ręce policyi. Odesłano go natychmiast do Kijowa, gdzie umieszczono w oddziale psychiatrycznym szpitala Towarzystwa dobroczynności imienia św. Cyryla. Wkrótce potem wypuszczono go ztamtąd i lekkomyślnie dano możność wznowienia propagandy na rzecz swego boskiego posłannictwa.

Na czele gminy, zorganizowanej przez Kondrata Malowanego, stoją obecnie trzy osoby, które bluźnierczo mianują się: Bogiem-Ojcem, Synem i Duchem św. Bogiem-Ojcem jest naturalnie sam twórca sekty. Pomiedzy temi trzema jednostkami,

a ogółem wiernych, istnieje cały szereg osób, zajmujących pośrednie stanowisko, z których każda przybiera imiona biblijne. Tak np. jedna z kobiet przybrała nazwę Maryi Magdaleny. Obowiązkiem kierowników gminy — bronić jej doktryny i interesów słowem i czynem. Działalność zaś „Ducha“ przejawia się w ten sposób, że na widok misjonarza prawosławnego lub policyanta dostaje drżenia i w twarz mu dmucha.

Kondrat Malowany głosi bliski koniec grzesznego, zepsutego świata, a konieczność odnowienia go. Od swych wyznawców żąda wyrzeczenia się wszelkiej ziemskiej próżności, zwinięcia gospodarstwa lub warsztatów, zachowywania czystości ciała i ciągłej modlitwy, aby dźwięk trąby na sąd ostateczny nie zastał nikogo nieprzygotowanym; aby Twórca uznał ich za wybranych do odnowienia świata. Tłumy okazują dla swego proroka cześć niezwykłą: całują jego ubranie, ręce i nogi. Rad i nauk jego najchętniej słuchają, pomimo strat materialnych, jakie pociąga za sobą stosowanie tychże w praktyce. Przestali zasiewać pola, domy i grunty sprzedają, zastawiają lub oddają w dzierżawę, a pieniądze znoszą swemu prorokowi; stosunki małżeńskie zrywają, zostawiają żony, mężów i dzieci, a gromadzą się w chacie K. Malowanego, jedzą przy jednym stole, a dni i nocy spędzają na modlitwie. O symptomatach ekstazy religijnej opowiada prorok taraszczański w sposób następujący: „Wszystkie wnętrzości drżą we mnie, ciało moje jakby ulatuje z ziemi ku niebu, a ja odczuwam wówczas radość niezwykłą... Gdy kto zbliża się ku mnie z niedowierzaniem, duch mój odczuwa to i cierpi, drzę i czuję ból w sercu, jakby je nożem krajano“.

Znany literat rosyjski, piszący pod pseudonimem Wołyńca (p. Liprandi), opowiada o swej wizycie, złożonej prorokowi w szpitalu obłąkanych w Kijowie.

Wśród innych chorych — pisze — zdala od nich, siedział na ławie Kondrat Malowany w szarem ubraniu szpitalnem. Chętnie się z nami przywitał, uściskawszy podaną sobie rękę, i z pewnym niepokojem, usiłując panować nad sobą, rozpoczął z nami rozmowę.

— Was niektórzy zwać Zbawicielem, a może i wy sami uważacie siebie za Zbawiciela? — zapytałem go.

— Sam się uważam za Zbawiciela — odrzekł, zmarszczysz brwi i patrząc mi wprost w oczy.

— W jakiż sposób mógłbyś to udowodnić?

— Weź biblię i czytaj; tam wszystko o mnie napisano.

— Wskażcie, co mianowicie?

— Ja nie piśmienny.

— Zkądże zatem wiecie, co w biblii napisano?

— Dzieci moje umieją czytać i pisać, one mi czytały, a ja pamiętam.

— Wy oczekujecie końca świata?

— Oczekuję.

— Wkrótce to nastąpi?

— Tak jest, wkrótce.

— W czymże się ów koniec świata ma objawić?

— W odnowieniu świata i ludzi i w bezpośrednim objawieniu się władzy bożej na ziemi.

Niczego więcej o swych nadziejach Kondrat Malowany nam (p. Wołyniec był w towarzystwie misjonarza) nie powiedział i nie mógł powiedzieć, albowiem pojęcia jego o przyszłości są bardzo mętne.

— We śnie — dodawał — słyszę objawienia z góry i wam je komunikuję. Sam tylko Pan Bóg wie szczegóły — odpowiadał na dalsze pytania.

W czasie pobytu Kondrata Malowanego w szpitalu kijowskim gruchnęła pomiędzy pospółstwem wieść, że się zbliża koniec świata. Setki jego czcicieli przybyły do Kijowa, aby hołd mu złożyć, a zaledwie udało się policji przeszkodzić demonstracyi na cześć proroka. Czcicieli aresztowano i odesłano szupasem do miejsc stałego pobytu. Garstkę jeszcze niewysłanych poszedł do więzienia oglądać p. Wołyniec i w słowach następujących kreśli zajmujący obraz.

Tłum przedstawiał istne stado owiec: stał cicho, spokojnie. Na przedzie dwie kobiety: jednej lat 26, a drugiej 30.

— Czy uznajecie Kondrata Zbawicielem? — zapytuję ich.

— Uznajemy, uznajemy Zbawicielem — odpowiadają nam z ukłonem, a na wszystkie nasze dowody o bezpodstawności i bluźnierstwie podobnego wierzenia, zawsze mają jedną odpowiedź i jedną radę.

— Módlcie się tak, jak myśmy się modlili: dzień, noc i dzień, dzień, noc i dzień, nie wstając z ziemi, a wówczas może się i wam prawda objawi...

— Gdzież cuda waszej wiary?

— Są, ojczyńku, i cuda — odpowiadają zbłąkani: — byliśmy ciemni, a teraz przejrzelśmy, to znaczy: powstaliśmy z martwych.

— Dlaczego w waszem mniemaniu Malowany jest świętym?

— Duch go oświecił, sami widzieliśmy... Modliliśmy się dwie doby z rzędu... Naraz on się zatrząsł cały, zaczął maleć, od ziemi się podnosić... Myśleliśmy, że uleci ku niebiosom, ale on zaczął znowu odzyskiwać dawną postać i pozostał z nami, dla naszego zbawienia...

— Któż z was cud ten oglądał?

— Pięciu z nas, co stali bliżej niego... I inniby oglądali, ale widocznie niegodni.

Za pozwoleniem władzy — pisze dalej p. Wołyniec — dano nam sposobność oglądania ich wspólnej modlitwy. Rozpoczęli od 15 rozdziału Apokalipsy. Śpiewali go wszyscy chórem. Za każdym słowem śpiew przechodził w coraz to szybsze tempo, drżenie głosów wznagało się nieustannie, a kiedy tłum padł na kolana i podniósłszy ręce w górę, zalewając się łzami, zaczął wołać: „Któżby się Ciebie nie bał, Panie! i nie wielbił imienia Twego? gdyżeś sam Święty, gdyż wszyscy narodowie przyjdą i kłaniać się będą przed obliczem Twojem, że się okazały sprawiedliwe sądy Twoje“ — zrobiło się nam przykro. Staraliśmy się scenę tę zakończyć.

Smutny rezultat usiłowania Kondrata Malowanego, aby się wznieść na niebiosa, wpłynął na rozdzielenie jego wyznawców i spowodował wytworzenie się nowej sekty, której adepci noszą nazwę „duchownych“. Przedstawicielem jej w czasie obecnym jest włościanin Grzegorz Wasylieńko ze wsi Regimentarszczyny, w powiecie wasylkowskim (gub. kijowskiej). Na jednym punkcie

zgadza się on ze swym poprzednikiem, K. Malowanym, że Zbawiciel jeszcze na świat nie przyszedł i dotąd się nie urodził. Kondrat Malowany, który wydawał się za Zbawiciela, nie jest Zbawicielem, lecz Antychrystem. Źródłem nauki Wasylineńki, oprócz bezpośredniego natchnienia od Boga, ma być Pismo św. Autorem zaś tego ostatniego — według jego twierdzenia — jest sam Pan Bóg, który jednak ukrył Pismo św. w takim miejscu, że nawet aniołowie nie wiedzieli, gdzie się znajduje. Po niejakiś czasie, już po stworzeniu świata, zesłał Bóg swych aniołów, którzy księgi Pisma św. odkryli ludziom. Wszystko, co się w nich znajduje, jest jakby „cieniem przyszłych rozkoszy, literą kryjącą skarby“, ale właśnie nie dla wszystkich zrozumiałe, lecz tylko dla wybranych, do których Wasylineńko i siebie zalicza.

Praktyki religijne u „duchownych“, zarówno jak i u „malowańców“, proste i nieskomplikowane: śpiewanie psalmów, czytanie Pisma św., a wkońcu konferencye o charakterze egzegetyczno-proroczym. Stosunek ich do współczesnego kościelno-politycznego ustroju jest wogóle negatywny. Sekta „duchownych“ przechodzi dotąd jeszcze pierwsze stadyum rozwoju, więc też niewiele da się o niej powiedzieć.

III.

Teraz przystąpmy do obliczenia — oczywiście tylko na podstawie sprawozdań władz rządowych i kościelnych — liczby wyznawców sztundy i jej rozgałęzień. Niema wątpliwości, że sztunda się rozwija i wzmacnia nieustannie kosztem prawosławia i niektórych sekt dawniejszych, jak np. mołokanów. Powstawszy i wzmocniwszy się na południu Rosyi, sekta ta szerzy się szybko, po zachodniej połaci cesarstwa, ku Petersburgowi. Nowy zaś wytwór sekciarski Petersburga pod nazwą paszkowszczyzny (od jej założyciela Paszkowa) dąży od stolicy ku wewnętrznym i południowym guberniom, a dostał się już i na Syberyę. Nawet dosyć optymistycznie zapatrujący się na wzrost sztundy literat Wielicyn¹

¹ Patrz szereg artykułów w *Russkim Wiestniku*.

powiada, że ruch sekciarski, jeżeli nie zwiększa się, to w każdym razie i nie słabnie; jeżeli traci może na ciepłe i siłę wewnętrzną, to ekspansywność jego widoczna w kierunku od południowego zachodu (Ukraina, Podole, Noworosya) ku północy i wschodowi.

Oto są cyfry sztundystów przybliżone, pochodzące ze źródeł cerkiewnych i obliczone podług dyecezyj prawosławnych: w dyecezyi astrachańskiej 2500 osób płci obojga; w kiszeniowskiej (w Besarabii) 3000; w kijowskiej 5000; w mohylewskiej 200; w podolskiej 300; w samarskiej 400; w twerskiej 60; w chersońskiej 5000. W innych dyecezyach brakło wszelkich danych nawet do przybliżonych obliczeń. Już to wogóle wszelkie obliczenia ilości sekciarzy w Rosyi, ze względu na tajny charakter większej części sekt, przedstawiają wiele trudności i nie dają najmniejszej rękojmi. Nikt dotąd nie obliczył, nawet w prawdopodobnem przybliżeniu, ogólnej liczby dysydentów rosyjskich. Odośne bowiem cyfry chwieją się pomiędzy 15 a 20 milionami. Przy obliczaniu sztundystów zachodzi jeszcze jedna trudność. Rozrost tej sekty przypisują w najwyższych sferach kościelnych i państwowych niedbalstwu duchowieństwa parafialnego i podrzędnych organów administracyjno-policyjnych, a więc w interesie tych ostatnich — ukrywać, o ile się tylko da, istotny stan rzeczy. Możemy cyfry powyższe uzupełnić kilku jeszcze datami, pochodzącymi z niecerkiewnych źródeł. Według *dziennika Kijewskoje Słowo*, głównem ogniskiem sztundy w dyecezyi kijowskiej jest powiat taraszczański. W nim ma się znajdować 1800 sztundystów. Najwięcej ich przebywa w następujących miejscowościach: w Czaplince, Kosiakówce, Kierdanach i samem mieście Taraszczy. W dyecezyi kijowskiej, bez miasta Kijowa i jego przedmieść (w Demiówce ma być wielu sekciarzy), liczą 4300 sztundystów. W dyecezyi podolskiej, podług źródeł urzędowych, w dwóch powiatach (lityńskim i bałkim) jest 421 wyznawców sztundy. Najmniej prawdopodobnemi są daty urzędowe z gubernii wołyńskiej. Sztundę zaczęto tam szerzyć jeszcze w r. 1877. Apostołowie jej przybyli z Ukrainy, z miasta Taraszczy, a pierwszych wyznawców zdobyli we wsi Toporzyszcze,

w powiecie żytomierskim. W roku 1879 pojawili się sztundyści w dwóch innych powiatach Wołynia: ostrogskim i rówieńskim. Pomimo pogłosek o dalszem szerzeniu się sztundy na Wołyniu, według sprawozdań urzędowych, na początku roku 1890 było tam sztundystów tylko 45 (25 mężczyzn i 20 kobiet)! Jakkolwiek gubernator wołyński, p. Jankowski, surowo z wyznawcami tej sekty postępuje, a niezbyt dawno wysłał w drodze administracyjnej 19 osób na wygnanie, to jednak cyfra powyższa, nawet w świetle optymizmu biurokratycznego, jest nieco zamałą.

O powodzeniu propagandy prawosławnej wśród sztundystów dotąd mało znajdujemy wiadomości, jakkolwiek staraliśmy się takowe skrzętnie notować. I tak chępli się *Cerkownyj Wiestnik*, że w okolicach Białej Cerkwi (na Ukrainie) około 60 sztundystów przyjęło w r. 1891 prawosławie. W powiecie humańskim — jak donosi tożsamo czasopismo — „dzięki środkom użytym przez duchowieństwo i władze cywilne“, przyjęło we wsi Rusakówce prawosławie pięciu sztundystów. *Kijewlanin* notuje postępy Kościoła urzędowego w powiecie kaniowskim (gub. kijowska). Mają one być skutkiem konferencyj, odbywanych przez prawosławnych duszpasterzy. Zwrot ten daje się dostrzedz między innymi nawet we wsi Isajkach, gdzie sztunda liczyła około 100 wyznawców i dotąd mocno się trzymała. Również inklinacja ku prawosławiu objawia się jakoby u sztundystów w Bohusławiu. Już kilka rodzin wróciło do prawosławia. Konferencye zaprowadzono w tamecznych cerkwiach parochialnych, celem wzmacniania prawosławnych w wierze, ale wskutek uczęszczania na nie sztundystów przyczyniły się niemało do propagandy prawosławia. *Birżewyja Wiedomosti*, organ giełdy petersburskiej, donoszą o powstrzymaniu rozwoju sztundy w gubernii poławskiej przez konferencye, kazania i zakładanie szkół cerkiewno-parafialnych. W roku 1890 przeszło w tej gubernii na wiarę prawosławną 10 sztundystów, a żaden prawosławny nie odpadł do sztundy. Tam, gdzie największe dla Kościoła urzędowego niebezpieczeństwo, najsilniej rośnie jakoby i jego siła odporna. „Towarzystwo misyonarzy prawosławnych“ wzrosło w dyecezyi poławskiej, w ciągu jednego roku, z 365 członków na 1117. Podobnym, jakkolwiek

nie tak szybkim, wzrostem „Towarzystwa misyonarskiego“ mogą się jeszcze pochlubić dyecezye: chersońska i charkowska.

Wkońcu przejdźmy do środków, jakich używają lub zamierzają użyć państwo i Kościół urzędowy w walce z sekciarstwem rosyjskiem wogóle, a w szczególności ze sztundą. Radzono już nad tem na dwóch zjazdach misyonarskich w Moskwie. Na pierwszym z nich, odbytym w r. 1887, obmyślano środki walki z t. zw. „razkołem“ czyli schyzmą w Kościele prawosławnym; na drugim, odbytym w pierwszej połowie lipca roku zeszłego, obmyślano środki i sposoby zwalczania sztundy. Na ten ostatni zjazd, liczący 157 uczestników, przybył p. Pobiedonoscew, prokurator św. Synodu, i p. Sabler, kanclerz tej kościelno-państwowej instytucyi.

Środki zwalczania sztundy, obmyślane na zjeździe misyonarskim, starano się zastosować do cech znamiennych każdej poszczególnej sekty, które badano tam z wielką dokładnością. Dysputom publicznym z sekciarzami przyznano tylko podrzędne znaczenie, jakkolwiek poprzednio przywiązywano do nich wiele wagi; natomiast uznano pożytek, płynący z konferencyj po cerkwiach. Za jeden z najważniejszych środków w walce ze sztundą postanowiono uważać szkołę i to taką, która, nie obrażając wprost uczuć sekciarzy, mogłaby wpływać i oddziaływać na ich działalność. Następnie postanowiono z dozorów cerkiewno-parafialnych uczynić punkt centralny, materyalny i moralny, w walce z menderami — kapitalistami gmin sekciarskich. Aby jednak dozory cerkiewno-parafialne temu zadaniu sprostały, potrzebują reorganizacyi i dalszego rozwoju. Oprócz szkół cerkiewno-parafialnych dla chłopców, uchwalono w głównych ogniskach sztundy zakładać szkoły żeńskie, celem wywierania wpływu na kobiety, żarliwe dotąd propagatorki sekciarstwa. Dalej zwrócono uwagę na potrzebę uzupełniania i wzbogacania bibliotek misyonarskich książkami i broszurami treści antysekciarskiej, jakoteż na zakładanie podobnych bibliotek po parafiach. Postanowiono podnieść poziom religijno-moralny ludności prawosławnej, żeby ta nie była przedmiotem wzgardy i pośmiewiska dla sekciarzy, a więc zwrócić uwagę na sposób, w jaki ludność wiejska spędza czas w niedzielę

i święta, starać się o godziwe dla niej rozrywki, zakazać sprzedaży w dni świąteczne gorących napojów i t. d. Do pracy około zwalczania sztundy zdecydowano się wciągnąć i nauczycieli szkół ludowych. Zaprowadzono instytucje misyonarzy synodalnych, mających objeżdżać miejscowości zarażone sztundyzmem, odbywać konferencje i instruować w tym względzie parochów wiejskich. Wyrażono życzenie, aby Synod zakładał szkoły misyonarzy antysekciarskich, aczkolwiek już poprzednio zaprowadzono wykłady historii różnorodnych sekt i ich doktryn po prawosławnych seminaryach duchownych; uchwalono utworzyć przy seminaryach biblioteki z dzieł poświęconych sekciarstwu, a dysputy z sekciarzami w murach seminaryjnych mają przygotować prawosławiu przyszłych wytrawnych misyonarzy. Wogóle na misyonarstwo w dyecezyach południowych i południowozachodnich powiększono przynajmniej we trójnasób rozchody. Między innemi zapewniono pensje na starość dla misyonarzy i emeryturę dla ich rodzin, aby pozyskać misyonarstwu jak najodpowiedniejszych i najgodniejszych ludzi. Zapadła również decyzja, aby w okolicach dotkniętych sztundą i w koloniach niemieckich budować jak najwięcej cerkwi.

Chociaż zjazd misyonarzy uchwalił na samym wstępie i położył nacisk na to, aby „wpływać na sekciarzy w duchu pokoju, miłości i współbolewania dla wrogów Cerkwi“, to jednak, jakby w przeświadczeniu swej niemocy i bezcelowości powyżej wymienionych środków, odwołał się do pomocy państwa, podnosząc przytem z naciskiem antypaństwowe i antysocyjalne tendencje sekt najnowszej kreacji. Środki te już się opracowują w biurach ministeryalnych. Słychać, że przybiorą one szerokie rozmiary. Inaczej zresztą i być nie mogło. Jak w ziemiach polskich w walce z katolicyzmem, którego pozbawiono środków obrony, a w prowincjach nadbałtyckich z luteranizmem, tak również w łonie własnego narodu, w walce z różnorodnem sekciarstwem, Kościół urzędowy szukał i dotąd szuka pomocy i poparcia przedewszystkiem u rządu.

A. Szarlowski.

LISTY Z PODRÓŻY PO AZYI.

(Ciąg dalszy).

Bombaj, 18 grudnia.

Potrąciłem w ostatnim liście o religię Hindusów. Dziś już chyba wyczerpano ten temat w literaturze światowej, odkryto jej proces powstania, strukturę, myśl przewodnią. Ale o wiele mniej niż religię, zda mi się, zna Europa samych jej wyznawców. Zwłaszcza Anglicy nie bardzo rozumieją, a może nie chcą rozumieć dzisiejszych swych poddanych. O ile czytałem i słyszałem o mieszkańcach Indyj nie-mahometanach (boć słowem Hindu, trudno objąć te setne rasy, zamieszkujące ten ogromny kawał Azyi), to wydaje mi się, że pojęcia ich etyczne w bardzo wielu punktach zbliżają się do pojęć naszego pocziwego chłopca. Mówię tu naturalnie nie o stanach zamożniejszych Indyj, nie o Parsich, ale o ludzie wiejskim, który o tyle, o ile aryjskiego pochodzenia, wszędzie i zawsze moralnie do siebie podobny. Lud ten, o ile go widziałem, wydał mi się spokojnym, pracowitym, tylko rolę i dla roli żyjącym. Coudenhove miał służącego z Bengalu, czarnego jak węgiel, a jednak taki miał ten człowiek typ, ruchy, uśmiech, spojrzenie do naszego chłopca podobne, że chwilami zapominałem, żem w Bombaju, i chciałem po rusku do niego zagadać.

Wieczorem 16-go pojechaliśmy we dwóch do Kandallah, koleją o 4 $\frac{1}{2}$ godzin z Bombaju. W nocy w wagonie skwar nie-

możliwy. Kandallah leży przy wielkiej drodze żelaznej z Bombaju na południe do Poona, Abderabad i Madras. Przyjechawszy do Kandallah o 5-tej zrana, piechotą poszliśmy do *Truvelers bungalow*, czyli przez rząd utrzymywanego domu zajezdnego dla białych. Tu rzeczywiście nie mogę, jak uchylić czoła przed sposobem urządzania się Anglików. Dom taki egzystuje prawie w każdej troszkę znaczniejszej miejscowości Indyj. Jestto rodzaj dworku bez piętra, o kilkunastu pokojach, nadzwyczaj poprostu, ale czysto umeblowanych. Jako stróż i zastępca gospodarza rządu, funkcyonuje Indyanin, dalej kucharz i dwóch pacholków. Bungalow, w którym nocowaliśmy, należy do najporządniejszych w kraju. Począwszy od herbaty i jaj na miękko, które się dostaje rano na śniadanie, aż do szampana i czarnej kawy, wszystkiego tu można było dostać. Zapłaciliśmy za osobę po 7 rupij czyli florenów; głównie na tę wysoką cenę wpłynęły 2 butle szampana, któreśmy przy tiffingu spuścili.

Rano o 8-mej wyruszyliśmy na małych konikach jakiejś rasy arabsko-turkomańskiej ku Karlee, wiosce o 6 mil angielskich z ogonem, gdzie w pół wysokości skały bazaltowej wykuta świątynia buddystów, dziś tylko jako ciekawość przez rodzinę starego brahmina utrzymywana. Z początku wyjeżdża się na wyżynę, poprutą niezmiernej głębokości jarami. Skały bazaltowe form najdziwaczniejszych, wszystkie u góry jakby obcięte, wyglądają trochę jak olbrzymie, ścięte do połowy mrowiska. Na szczycie góry ogromna płaszczyzna, szerokości jakich 10 mil angielskich, zamknięta z dwóch stron znowu takimiż skałami ciemno-brunatnego bazaltu. Płaszczyzna uprawna prawie samem zbożem, którego ogromne sterty na wszystkie strony stoją; we wielu miejscach właśnie młócono zboże. Dziwnie się to odbywa: biorą ogromne snopy w ręce i biją nimi o kawał drzewa tak długo, aż ziarno wyleci. Choć to zboże jak nasze, jednak ogólny wygląd tego pola zupełnie do naszych nie podobny. W czasie, przez który zboże to rośnie, tj. w lecie, od maja, ulewy tu nieustanne; trzeba je więc w sposób szczególniejszy okopywać. Cały teren pod uprawą będący, podzielony jest na niezliczoną ilość nierównych prostokątów, oddzielonych małymi rowkami;

wśród samych zaś prostokątów, między rowkami wznoszą się jakby groble, sztuczne nasypy, i na tych dopiero rośnie zboże. I to się im opłaca! Gdyby u nas chcieć w ten sposób zboże uprawiać! Gatunek ziemi wydał mi się wszędzie cudowny; orzą pługami drewnianymi, ledwie poruszając kilkucalową wierzchnią warstwę. Inaczej nie mogą, bezpośrednio bowiem pod tą cienką warstwą humusu jest bazalt. Spotyka się tu stada zebu; widać trzcinę cukrową w niewielkiej ilości, bawełnę i morwy.

O tych tematach agronomiczno-wiejskich gawędząc, dojeżdżamy do stóp ogromnego, ponad inne wysoko piętrzącego się bloku bazaltu, na którego szczycie świątynia. Złazimy ze skapek naszych i drapiemy się. Wrażenie, jakie świątynia robi, niesłychane. Nie mam jeszcze fotografii. Proszę sobie wystawić wykuty w skale, zawsze ciemno-różowo-brunatnej, portyk wysokości przeciętnego małomiejskiego kościoła. Portyk o wspaniałych, choć nieco zniszczonych kolumnach; po bokach ślicznie zachowane, po cztery słonie, więcej niż naturalnej wielkości, podtrzymujące rodzaj fasady domu indyjskiego o setnych oknach i okienkach, i ozdóbkach troszkę może maurytańskie przypominających. Na każdym piętrze tej fasady — a tych piętr jest 5 lub 6 — widać kamienne pary, tańczące jakiś święty taniec. Samego wejścia do świątyni strzegą ogromne figury, przypominające wyobrażenia rozmaitych własności Wisznu w świątyni Elephanty. Wreszcie sama świątynia. Wysokości ona mieć musi 25 do 30 metrów. U dołu po dwóch stronach rząd kolumn ogromnych, oddzielających główną nawę od wąziutkiego korytarzyka, biegnącego wokoło. Kolumny te niezmiernie ciekawe. Jako zakończenie u góry po dwa słonie klęczące, a na nich po dwie pary ludzi, trzymających się w objęciach. Górą świątynia zamknięta owalnem sklepieniem z desek, ustawionych prostopadle do dna sklepienia; drzewo to, jak twierdzą, jest równie stare jak sama świątynia, więc przeszło 2000 lat; trwałość ta jest właściwością tego gatunku drzewa, *teak wood*, którego jeszcze żywe rosnące okazy widzieliśmy później w Syamie. U końca głównej nawy, naprzeciw wejścia, wielki walcowaty monument, zupełnie podobny do okrągłego pieca kolosalnych rozmiarów, zakończony kwa-

dratową jakby szkatułą, malowaną na zielono, niebiesko i czerwono; nad nią rodzaj parasola formy chińskiej: to Dahgoba, grób Buddy, w którym zwykle się przechowuje jakaś relikwia wielkiego reformatora. Świątynia ta zupełnie nasze kościoły przypomina formą i rozkładem; jest jedną z najlepiej zachowanych w Indyach. Cerberem tej pysznej pamiątki — stary brahmin; boć na kontynencie indyjskim ponoś już wcale buddystów niema — reformę wypchnęła z granic Indyj dawna religia. Aby sumienie swe pogodzić z funkeyą wielce lukratywną, stróża starożytnej świątyni, wybudowano tu dla strzegącego brahmina u samego wejścia małą kapliczkę, gdzie Wisnu nie reformowany panuje. Wokoło dawnej świątyni Buddy liczni kiedyś mnisi, bonzowie, pustelnicy i pielgrzymi mieli mieszkania i schronienie, wszystko w skale kute, celki zupełnie jak naszych zakonników, w nich łoża kamienne jako jedyne umeblowanie.

Niegdyś była tu i forteca, o którą dwa razy Anglicy daremnie się kusili; dziś z fortecy ani śladu; są jednak jeszcze ślady lepszej przeszłości. Pysznych kilka prastarych drzew, pięknie omurowanych, jakby w wazonach, zdobi dziedzińczyk przed wejściem. Zprzed świątyni widok więcej ciekawy niż piękny. Z drugiej strony wielkiej doliny, w której Karlee leży, pokazują wielkie skały, za niemi zarośla, dżungle, gdzie mnóstwo tygrysów mieszka.

Wieczorem, po wycierpieniu istnego piekła w wagonie, stanęliśmy z powrotem w Bombaju, a po spiesznej toalecie pojechaliśmy ogromnym koczobrykiem do Malabar-point na obiad u lorda gubernatora. Zajazd wspaniały. Pyszny gwardzista przyboczny, z długim proporcem, stoi przed schodami na straży. Po szkarłatnem suknie wychodzi się do właściwego przedpokoju. Tu czekało dwóch adjutantów gubernatora, w niebieskich frakach, o czerwonych wyłogach, a złotych guzikach. Ci nas wprowadzili do drugiego przedpokoju i wskazali miejsca, gdzie mamy siedzieć przy stole. Biegeleben ma podać rękę pani domu, ja jakiegś lady Talbot, a siedzieć mam na prawo od pana domu. Pokoje dość piękne, przestronne, dużo powietrza, bardzo skromne meble, gorąco przy obiedzie szalone. Przy końcu obiadu wstaje lord Reay

i pije zdrowie cesarza austriackiego, potem cesarza Rosyi, gdyż był obecnym na obiedzie contre-admirał rosyjski, przybyły z pancernikiem, obwożącym wkoło świata wielkiego księcia Aleksandra, syna w. księcia Michała Mikołajewicza. W. książę bawi w Madras. Na toast ten odpowiada Biegeleben toastem na cześć królowej; po każdym toaście i odpowiedzi hymn, odegrany przez orkiestrę gubernatora, którą dyryguje naturalnie jakiś Czech. Po toastach panie odeszły; ja, zupełnie zapominając, że to dom angielski, wybieram się iść. Chwyta mię sąsiad za poły i przypomina, że mężczyźni zostają. Podają cygara. Po kwadransie pani domu posyła po mnie adjutanta, by mię paru grzecznemi słowy uszczęśliwić. Wreszcie koniec tej łaźni; wyjeżdżamy. Noc cudowna, pełnia, jasno jak w dzień.

Dziwnie uderzyć muszą każdego nieprzywykłego, manieri tych Anglików. Na każdym kroku starają się dowieść każdemu, że oni są rasą lepszą i wyższą, że oni tu panami, że oni o nikogo na świecie ni chcą ni potrzebują dbać. Systematycznie ignorują tu rezydujących reprezentantów obcych mocarstw, chcąc tym sposobem własnym poddanym dokumentnie okazać, że wszystkie inne mocarstwa są rodzajem niższej i słabszej kasty białych, nad którymi Anglia panuje, a zwłaszcza góruje.

Patrząc na tę wielkość i potęgę cesarstwa indyjskiego, na tych przeszło 200 milionów ludzi, trzymanyh w ryzach i posłuszeństwie przez 3—4 tysięcy Anglików, mimowoli stawia się pytanie, czy to wszystko istotnie na niewzruszonych stoi podstawach? Że to rzecz jedyna w swoim rodzaju na świecie, to nie ulega wątpliwości; są jednak ludzie — między innymi właśnie ów jen. konsul austro-węgierski w Bombaju — którzy twierdzą, że dni angielskiego panowania w Indyach są policzone. Pierwszorzędną rolę odgrywa tutaj samopoznanie Hindusów, z których sami Anglicy, ucząc ich po angielsku, tworzą to, czem dotąd nie byli, tj. jeden naród. Pojedyncze rasy i szczepy nie były dotąd w możności porozumienia się między sobą, mówiąc absolutnie różnymi językami; dziś już cała młoda generacya mówi i czyta po angielsku i w angielskim języku zaczyna się między sobą porozumiewać! A niezadowolenie jest ogólne; wszy-

stkie stany i plemiona, jakkolwiek różne religią i mową, łączą się w jednym punkcie: niechęci do Anglików. Najbardziej wrogimi panowaniu Anglii są dawni radjowie i maharadjowie, nababy, bogacze i możnowładcy wszelkiej kategorii. Tym okrojono dawne swobody i dawną władzę; ztąd niezadowolenie. Wolność prasy panuje zupełna, codzień prawie dzienniki opożycyjne biją całą siłą przeciw rządowi i jego organom. A że krytykować zawsze łatwo i krytyka rządu zawsze u wszystkich kół poklask znajdzie, więc niezadowolenie rośnie, myśl oswobodzenia się, życzenie samorządu u klas oświećszych i zamożniejszych kielkuje, rośnie, krzewi się. Lud także niezadowolony, choć jemu nie o politykę chodzi; lud widzi i czuje, jak go wyzyskują rozliczni spekulanci, Anglicy, a zwłaszcza Parsi; widzi, jak oni porastają w miliony, a on sam ani kroku naprzód zrobić nie może, ani wyjść ponad poziom nędzy, gdyż praca jego prawie wartości nie ma. Więc i lud wiejski chce zmiany, bo myśli, że będzie mu lepiej. A że tłum miejski, a nawet — jak mówią — i wiejski, prawie bez wyjątku czytać i pisać umie, więc artykuły i broszurki wydawane w języku hindustańskim, rządowi i białym wrogie, rozchodzą się w milionach egzemplarzy, znajdując wszędzie ciekawych czytelników.

Zwrócić jeszcze trzeba uwagę na fakt arcyważny: tj. przejęcie przez Anglików i zastosowanie w stosunkach do krajowców, tak tu jak w innych częściach ich światowego państwa, pojęcia kasty. Anglicy, tj. biali, tworzą tu osobną kastę, równie, a może bardziej od innych rozgraniczoną, jak kasty Hindusów. Konieczność z jednej, przykład Portugalczyków z drugiej strony, pchnęły ich na tę drogę. Powiadam konieczność, bo to *conditio sine qua non* utrzymania powagi, tego niezbędnego uroku wobec krajowców. Portugalczycy przez nieobserwowanie tej zasady absolutnego rozdziału między białym a kolorowym człowiekiem, wsiąkli w społeczeństwo indyjskie, utworzyła się rasa mieszanćców, których stanowisko wobec krajowców naturalnie zupełnie jest odmienne. Anglicy nie chcą tego dopuścić. Biały, żeniący się z kobietą, jak tu mówią, „kolorową“, *ipso facto* wychodzi z kasty białych, traci prawo do wyższych urzędów, nie

przyjmują go u siebie biali, staje w całym słowa znaczeniu *un déclassé*, bo od białych odepchnięty, między tamtymi z pewnością nigdy przyjętym nie zostanie. W pułkach indyjskich bywa zwykle po 5—6-ciu oficerów Anglików; reszta oficerów są Hindusi. Oficerowie angielscy mają np. swój rodzaj klubu pułkowego, gdzie jadają i bawią się wspólnie, a oficerowi Hindusowi przystępu tu wzbroniony. Wogóle Anglicy traktują swoich kolegów „kolorowych“, *coram populo* nawet, jako stworzenia niższe, z którymi nie chcą mieć żadnej styczności. Jakie skutki takiego traktowania, łatwo odgadnąć.

Wreszcie trudno zapomnieć, że na północy jest ktoś, co umie agitować, bo od wieków ciągle agituje i knowa, i że w jego interesie leży i tu wodę mącić. Ten ktoś ma i mieć będzie coraz więcej swoich agentów, którzy w każde ucho i serce hinduskie kładą, że lepiej będzie bez Anglików. Ten ktoś zwłaszcza umie trafiać do serc i fantazyi radjów, maharadjów, niżarów i nababów, bo mówi im: skoro zrzucicie tamto jarzmo, a przyjmiecie nasz protektorat, dawne wasze wolności, wasza władza odżyją! Jak dawniej będziecie królować, poddanych i małuczkich wysysać i gnębić. Ten północny sąsiad na każdym kroku jak widmo wyłazi i straszy po nocach Anglików. Reprezentanta Rosyi w Bombaju wcale niema. Są ludzie, co twierdzą, że element mahometański, liczny i potężny na półwyspie indyjskim, z zaufaniem i przyjaźnią patrzy na północ. Niema wątpliwości, że zjednawszy sobie ten element, najbardziej przedsiębiorczy, bitny, rezolutny, miałoby północne mocarstwo $\frac{3}{4}$ drogi nad Ganges za sobą. Trudno mi jednak jakoś wierzyć w tę życzyliwość i sympatyę między mahometanami. Wszak mają przykład Tatarów kazańskich i innych muzułmanów, których chciało tak pod względem politycznym, jak i religijnym zmazać z karty. Co prawda, połapano się w nadnewskiej stolicy, że źle zrobiono. Postępowanie z emirem Buhary, z całym tym licznym zastępem Chanatów wyłącznie mahometańskich, które generał Kaufmann i jego następcy do imperyum wcielili, było już zupełnie inne. Zatoka Bengalska bezsprzecznie więcej od Dardanellów i morza Śródziemnego warta; więc, że na staraniach,

aby się tu przedostać, nie zbywa, że to dziś myśl i cel główny dążności polityki azyatyckiej Rosyi, to pewnik.

Rosya przytem, trzeba to przyznać, nie odpycha tubylców; urzędnicy rosyjscy nie odgraniczają się murem kastowości od poddanych swoich; w sposób arcyrozumny, wszelkimi środkami przyciągają ich, nęca, olśniewają i kaptują. Powiadano mi, że Rosya proponowała sułtanowi rodzaj przymierza zaczepno-odpornego. Turcyi gwarantowano niepodzielność i całość jej posiadłości, zwłaszcza Stambułu, wzamian zaś za to żądano *carte-blanche* w środkowej i wschodnio-południowej Azji, i przyrzeczenia, że w razie konfliktu Rosyi z jakimkolwiek innem państwem, więc naturalnie z Anglią, sułtan ogłosi swym wiernym, że on jest sprzymierzeńcem Rosyi. Nie broni jego, ni żołnierzy tu potrzeba. Firman starczyłby za atut ogromnej doniosłości w ręku jednego z walczących. Mając *irade* kalifa po swej stronie, może Rosya, w razie wojny z Anglią, usposobić nie tylko apatycznie, ale nawet wrogo te miliony muzułmanów indyjskich, może pozbawić Anglię nie tylko współdziałania tego elementu przeciw Rosyi, ale pozbawić ją posłuszeństwa liczego żołnierza muzułmanina, stanowiącego elitę w armii anglo-indyjskiej.

Dziś już pewien zwrot w angielskiej polityce względem Indyan widoczny; wyszli oni od pewnego czasu z letargu, w jaki ich świetne powodzenia oręża i pieniądze wprawiły. Do zbudzenia ich z pewnością niemało przyczynił się profesor Wambery, Węgier, znakomity oryentalista, który po całej Anglii peregrynował, miewał odczyty, pisał książki, nawoływał: *caveant consules!* Walka tych dwóch kolosów będzie straszna. Już Napoleon I. wiedział, że Anglię zgubić, podciąć jej życiodajne żyły, można tylko w Indyach. Jaki będzie wynik tej walki, to nie ludzka rzecz dziś sądzić; bądźco bądź, cywilizacya angielska postawiła sobie tutaj wspaniały, wiekopomny pomnik; dzieła i arcydzieła, jakie ona tutaj stworzyła, przetrwają z pewnością wszystkie burze, i będą, czy pod tem czy pod innem panowaniem, podstawą rozwoju i potęgi tych krajów.

Takie jest pierwsze wrażenie, które mi tutejsze stosunki i rozmowy z ludźmi zrobiły; dlatego je zanotowałem. Co do tu-

tejszych piękności natury, są one zupełnie w innym rodzaju, jak to co się dotąd widziało. Okolice Bombaju nie są brzydkie; są nawet, np. droga do Kandallah (Semering indyjski), bardzo mało-wnicze momenta, ale krzyżeć niema powodu. Polowania muszą być śliczne, bo zwierzyny wiele; Anglicy jednak tylko na tygrysy polują; jeleni np. już ich zupełnie nie obchodzi; przyczyna leży zapewne w klimacie i trudnościach terenu.

Wyjeżdżam tymi dniami do Singapore *via* Columbo i Penang.

Columbo, 25 grudnia.

Wczorajszy nasz przyjazd do Columbo nie był szczęśliwy. Statek austriackiego Lloyda, jak zawsze, spóźnił się o całą dobę. Zamiast świeżego wiatru, jaki tu panuje w grudniu, przywitał nas czas chmurny, deszcz, przytem temperatura trephauzu, a wilgoć taka, że papierosa zapalić nie można. Wylazimy z naszych kajut żli, kwaśni, pleśnią jakąś pokryci; darmo wytrzeszczamy oczy na ów sławny Cejlon, ów raj ziemski, perłę, ogród Indyj — nic nie widzimy, tylko mgłę; jedynie powonienie ostrzega nas gdzie jesteśmy, bo już na kilka godzin przed wpłynięciem do portu, uczuliśmy cudowną jakąś, niesłychanie mocną woń, przesycającą powietrze.

Ale wnet po przyjeździe, jakież czarodziejski widok odsłonił się nagle przed nami! Nasz język, język ludu północ zamieszkującego, jest przecież za ubogi, by w nim wrażenia, zbierane w krajach podzwrotnikowych, opisywać. Choć, przepraszam, zbyt ogólnie się wyraziłem: to nie język temu winien, ale ten, co nim władać dostatecznie nie umie. Cóż ja biedny mam powiedzieć o tej wyspie, którą, niestety, na zawsze opuszczam? Chwalić, opisywać w tych razach, jestto rodzaj bluźnierstwa. To są rzeczy tak wspaniałe, że trzeba je widzieć własnem okiem, by dopiero mieć pojęcie o tem, ile nam północnym mieszkańcom potrzebaby czasu, by oko nasze przyzwyczaiło się patrzeć na te wspaniałości, by pamięć naszą potrafiła zachować choćby mgliste wspomnienie tych przepychów... Gdym patrzył na te dżungle, czyli las tutejszy, właściwie jeden wielki ogród, jedną wielką orgię natury.

przypomniat mi się mimowoli ów chłop z Unii Matejki, tak olśniony przepychem i świetnością tego, co pod sobą widzi, że ani *be* ani *me*; nie może sobie zdać sprawy, podziwiać nawet nie umie, więc poprostu głębę rozdziawił, oczy wytrzeszczył i onie-miał. To zupełnie moja rola na Cejlonie, z tą różnicą, że ja krzy-czałem i piszcziałem i gestykulowałem bezwiednie z podziwu.

Jadąc z Columbo do Kandy, właściwej rezydencji gubernatora Cejlonu, położonej blisko 2000 stóp angielskich nad poziomem morza, w uroczej dolinie, zamkniętej dokoła wspania-łemi skałami, nad brzegiem ślicznego jeziora, za święte przez buddystów uważanego, siedzieliśmy w wagonie wprost otuma-nieni widokiem, i tylko pojedyncze ach! i oh! i patrzcie! patrzcie! sprowadzały oczy nasze od jednego okna wagonu do drugiego.

Samo Columbo niezbyt ciekawe, ale bardzo ładne. Tu znowu inny typ, jak Bombaj, tu już Europy prawie nie czuć; a biorąc wyraz *czuć* w dosłownem znaczeniu, można powiedzieć, że jej nie czuć zupełnie, bo w Europie czuć się dają niemiłe odory, a tu silny zapach muszkatełowo-sandałowy w całej atmosferze wionie. Pachną niesłychanie tamaryndy (woskowy, żółtawo-biały kwiat), pachnie cynamon, którego plantacye całe miasto otaczają, pachną kokosy, pachną wreszcie Singalowie sami.

W Columbo do widzenia niema wiele, oprócz cudownej wszędzie vegetacyi, tej ciemnej zieloności, z którą tak arcydzi-wacznie kontrastuje ziemia czerwona lub żółta, skały czekola-dowe i morze chwilami żółto-zielone, chwilami szafirowe. Zwie-dziliśmy po dyletancku muzeum rządowe, gdzie zebrano trochę starożytności miejscowych, kilkaset egzemplarzy fauny lotnej i biegającej, wreszcie mieszkańców wód, nad którymi panuje kolosalny rekin, bezzębny. Jako najwspanialsze reprezentanty fauny czworonożnej, stoją koło siebie 4 szkielety słoni, dwa piękne leopardy, których tu ponoś niezliczone ilości po lasach się kryje, dalej niedźwiadki malutkie, jak nasze piastuny, o bar-dzo rzadkiej, długiej, jedwabistej sierści (obfituje w nie północna część wyspy), jelenie, zupełnie jak indyjskie i tak zwane *maus-antelope*, rodzaj karzelka z rodu antylop. Obok tego całe stado małp, nietoperzy, psów latających i t. p.

Niezmiernie żałuję, że tylko dwa dni mogliśmy tu zostać. W wagonie, w powrocie z Kandy do Columbo, poznaliśmy majora, stacyonującego tu jako załoga pułku szkockiego. Od 4-ch lat tu siedzi i zna wyspę jak swą kieszeń. Opowiadał, że nadzwyczaj stosunkowo łatwo przyjść do strzału do leoparda (lamparta) lub niedźwiadka; słoni strzelać niewolno, bo choć są dzikie i dość liczne, jednak zmonopolizowano je, i tylko właściciel monopolu ma prawo na nie polować. Bardzo rzadko je zabijają, zwykle żywe sprzedają. Rząd anglo-indyjski pewną ilość rocznie kupuje, niemniej maharadjowie. Polowanie utrudniają przede wszystkim bagna, ogromną przestrzeń obejmujące, bo do tej kategorii zaliczyć wypada także i pola ryżowe, większą część roku pod wodą stojące. Nadto przeszkadza febra, i o dziwo! swojskie bawoły, których tu pełno, bo obok zebu, używają ich jak wszędzie, do pług. Bawoły te, istna amfibia rodu krowiego, bo wiecznie w wodzie i błocie się tarzają — najspokojniejsze zresztą zwierzę — atakują z wściekłością każdego białego, który nie mogąc, rozumie się, zabijać ich, w najfałszywszej nieraz znajduje się pozycei.

Cejlon nie należy pod względem administracyjnym do Indyj, jest kolonią korony; na czele stoi gubernator, zależny wprost od *Colonial office* w Londynie. Powodem tego jest, że Cejlon zostało zdobytem z początkiem tego wieku przez pułki angielsko-szkockie, bez przyczynienia się wojsk kompanii indyjskiej, zatem wprost przez i dla korony. Fakt ten ma jednak większe znaczenie, niżby na pierwszy rzut oka wydawać się mogło. W codziennem życiu skutki jego dają się niemiłe odczuwać przy zmianie pieniędzy; tu znowu inne rupie (Bank of Ceylon), więc nowa okazja dla tych panów do ściągnięcia grubego procentu przy zmianie. A kiedy tę kwestyę pieniężną potrafiłem, muszę cokolwiek ułać zółci, która mi się nagromadziła na tutejszych panów kupców. Krajowiec, czy Indyanin, czy Singalejczyk, nie oszukuje, tylko chce zedrzeć; ale do tego jest każdy tak przyzwyczajony, że w chwili, gdy któryś z nich wymawia jakąś cenę, ofiarowuje mu się trzecią część, i zazwyczaj za trzecią część kupuje. Żyd tutejszy oszukuje, ale się o tem zgóry wie, tra-

ktuje go się jak nieboskie stworzenie, i wreszcie za pół ceny, przez niego postawionej, kupuje. Anglik-kupiec, to zupełnie co innego; Anglik taki czy w Egipcie, czy w Indjach, czy gdziekolwiek indziej — wygląda na pana, każe się nazywać *gentleman* (mój Boże! jak daleko jesteśmy od pierwotnego, rycerskiego znaczenia słowa: *gentilhomme!*). Z pewnością siebie i wyzywającą miną, ledwie on raczy pokazać, co ma na składzie, mówiąc samem spojrzeniem swoim, że on Anglik, wybraniec, łaskę robi każdemu nie-Anglikowi, jeżeli raczy wogóle z nim mówić, a coś dopiero mu coś sprzedać. Tymczasem, tenże sam kupiec-gentleman, zdziera jak Indyanin lub Arab, bo żąda za każdą bagatelę sum bajońskich, a oszukuje jak żyd, bo tak samo jak on sprzedaje często tandetne rzeczy za dobry towar; o tyle tylko gorzej u Anglika kupujesz, o ile inaczej traktować musisz i faktycznie traktujesz Anglika niż żyda.

Po tej filipice przeciw kupcom Anglikom, trudno jakoś wrócić do zachwyty nad Cejlonem. Trudno w dodatku przenosić te zachwyty na papier w tej atmosferze, gdzie atrament wcale nie schnie, a papier, na którym piszę, wilgotnawo-zimny, przypomina w dotknięciu żabę. Przytem klimat to, gdzie lenistwo kwitnie i buja. Ale wszystko tak piękne i ciekawe, że nie sposób nie notować. Charakter kraju zupełnie odmienny od Indyj północno-zachodnich. Wszystko formacje wulkaniczne; ogromne skały bazaltowe, o barwach ciemnych, któreby w innej strefie były nagie i nazywałyby się zapewne karstem. Tu jednak natura zbyt jeszcze potężna, nieprzeziębiona śniegiem, więc też hula i ucztuje; wegetacya tak bujna i silna, że nawet na najbardziej stromych spadzistościach rosną, jeżeli nie drzewa, to przynajmniej krzewy i trawy jak drzewa. Charakterystycznym jest np., że otwory tunelów kolejowych — zwykle obraz smutku i rozpacz, podobne chyba do wejścia, jakie Lucyper kazał w piekle wymurować — tu na całej prawie przestrzeni drogi żelaznej między Columbo a Kandy, wyglądają jak bramy tryumfalne, aż po krawędzie obrosnięte najróżnorodniejszą trawą i powojami. Tu dopiero jest ojczyzna właściwa wszelkiego gatunku palmy, począwszy od ogromnych, niebotycznych prawie Taliput-palm,

co raz na 50 czy 60 lat kwitną i owoc dają (małe, twarde orzeszki), aż do zwykłego bananu i palmy o cieniutkim, smukłym, bardzo prostym pniu — wszystkie tu są i tworzą te lasy, te dżungle i nieprzebyte gąszcze.

Przed laty uprawiano tu kawę; na początku tego dziesięciolecia rzuciła się zaraza, owad jakiś dopomógł; dziś ani śladu kawy niema na całej wyspie, rzucono się więc do uprawy ryżu i herbaty. Uduje się to doskonale, herbata jednak tutejsza, jak i indyjska, znacznie się różni od chińskiej, ma smak i aromat bardzo silny, korzenny, nieprzyjemny. Robotnika do jej uprawy sprowadzono z Indyj południowych. Chińczyków tu jeszcze niema. Indyanie ci, Tamali zwani, lud o czekoladowej barwie, niepiękny, ale silny i pracowity, poczęli tak licznie napływać do Cejlonu, że wkońcu rząd miejscowy musiał użyć całej swej siły i powagi, by przeszkodzić tej zbytnej immigracyi. Ludność miejscowa, nie stworzona do ciężkiej pracy, nie chce jej bynajmniej. Singalejczyk, to pan z urodzenia, wygodnicki, elegant, ślicznie zbudowany, o bardzo pięknych rysach i wspaniałych kruczych włosach. Lubi on przytem wystawność, piękne ubranie, dobrze się myje, ładnie i dokładnie uczesany, nosi piękny grzebyczek we włosach, mężczyźni tak samo jak kobiety. Trudnią się ci ludzie handlem lub najczęściej handelkiem, są doskonałymi służącymi, *maitres d'hotel*, fiakrami, dozorcami kolei lub robót, ale sami nie chcą i nie umieją ciężko pracować. Pod względem form ciała równie piękni, w ruchach może szlachetniejsi od Somaliów. Ich ręce i nogi, to arcydzieła skulturalne. Palce u rąk tak delikatne, jak u żadnej z naszych dam. Przytem bardzo często śliczne twarze, choć ciemne; normalnie koloru cynamonu, czasami jednak bywają tak jasne, że prawie biało-żółtawe.

Religią ich buddyzm. Zwiedzałem jedną świątynię w Kandy. Bardzo ciekawa, bogata i piękna, stoi tuż obok dawnego pałacu królów Cejlonu. Sama świątynia i nabożeństwo buddystów bardzo przypominają kościoły i nabożeństwa chrześcijańskie, mianowicie wschodnie. Widziałem np. w tej świątyni, w rodzaju osobnego kruzganku, za żelazną kratą, co się tylko w rannych dnia godzinach otwiera, małą figurkę Buddy za szkłem, obwie-

szoną i obłożoną najrozmaitszemi ekswojami. Koło figurki, którą pokazywał nam stróż świątyni z pewną poufalością, przypominającą poufalość z Panem Bogiem naszego djaka, klęczały na modlitwie trzy babki stare, wieśniaczki, w białych, jak u nas, płóciennych płachtach owinięte; widocznie z odleglejszej wybrały się okolicy, niby na odpust. Ledwie śmiałem, wyznając, przypatrzyć się okiem turysty temu Budzie, w chwili, kiedy te trzy pocziwe babule na kolanach, z rękami złożonemi, z czołem o ziemię opartem, półgłosem do niego się modliły. Nie Budda mi zaimponował, ale to serce ludzkie, wszędzie to samo, a u ludzi prostych i szczerych, zwłaszcza tej samej rasy, tak podobnie się objawiające.

Ze świątyni przeszliśmy do tak zwanej biblioteki. Pokój ośmiokątny, sklepiiony, w środku ogromny stół, wkoło ścian szafy, w jednej święte księgi buddyjskie, sanskrytem pisane, a w drugiej także księgi święte po singalesku, dalej angielskie, wreszcie w języku hindustani. Na stole największe i najpiękniejsze, najstarsze i najbardziej czczone księgi leżały. Z tych najcenniejsza, dar ponoś króla Syamu, ofiarowana jednemu z królów Cejlonu. Wnet za nami przyszły do biblioteki te trzy stare babulki, bo tymczasem wybiła była godzina, w której małego Buddę za żelazne drzwi zamykają. Tu przed stołem, gdzie księgi święte leżą, stanął kapłan Buddy w pięknej, nadzwyczaj malowniczej, u lewego ramienia spiętej todze, koloru zielonawo-żółtego, z głową i twarzą ogoloną. Babki ukłękły znowu tak jak przedtem i odmawiały wraz z kapłanem pacierze. Wyszliśmy wtedy na chwilę, by nie przeszkadzać ich nabożeństwu, a gdyśmy znowu do biblioteki wrócili, babule nasze z podziwem i miłością spoglądały na księgi, na szafy i na kapłana, pytały, coby to było takiego? i znowu złożywszy ręce jak do modlitwy, dotykały czołem księgi świętej, mówiąc przytem jakąś cichą formułkę; wreszcie rozrzewnione wyszły, na nas naturalnie nie spoglądający.

Buddyści zupełnie nie wzbraniają przystępu do świątyni. owszem pokazują ją zadarmo. Za dwiema furtami, o wspaniałych odrzwiach w srebrze, złocie i kości słoniowej rzeźbionych, za

trzema zasłonami, w miejscu słabo oświetlonem kilkoma woskowymi świecami, stoi za szkłem sławny relikwiarz, zawierający ząb Buddy. Jest on kształtu stożka albo dzwonu, złoty, pysznymi wysadzany rubinami, szmaragdami i perłami. Pod tym dzwonem, na listku lotusu, znajduje się ząb Buddy; ale tegośmy nie widzieli, bo trzeba na to pozwolenia samego arcykapłana. Za to oglądaliśmy niezmiernie ciekawe malowidła na ścianach krużganku, prowadzącego do świątyni. Nigdy nie przypuszczał, że bym tu miał znaleźć istną reprodukcję obrazów, które po monasterach prawosławnych, lub galeryach staro-niemieckich mistrzów się widywało. *Al-fresco* przedstawione piekło; ogień straszny się pali, w nim dusze mężczyzn i kobiet i dzieci, i djabły czarne i niebieskie, o strasznych oczach, szponach, językach i zębach, z widłami i hakami, męczą w sposób straszliwy te nieszczęśliwe dusze! — Suszą sobie nad tem głowę, jakim sposobem, jaką drogą przeszły te wyobrażenia od buddystów do chrześcijan, czy od chrześcijan do buddystów? Czy nie prościej przypuścić, że powszechną u ludzi myśl sprawiedliwości pośmiertnej, wyobraźnia aryjska w podobne przybrała formy — na Cejlonie jak na naszej Rusi?

(C. d. n.).

Paweł Sapieha.

SOCYALIŚCI I TERRORYŚCI POLSCY

POD ZABOREM ROSYJSKIM.

Początki socjalizmu między Polakami w Rosyi. — Program socyalistów polskich w Warszawie. — Aresztowania i trzy warszawskie procesy 1880 do 1881 r. — Polsko-litewska socyalno-rewolucyjna partya w Petersburgu. — Zawiazki „Proletaryatu“ w Warszawie 1882 r., jego program, rozwój, sojusz z „Narodną wolą“ i działalność. — Reakcyja rządu, aresztowania 1883—85 r. — Wyroki administracyjne. — Proces 29-ciu proletaryuszów. — Wyroki sądu wojennego 20 grudnia 1885 r. — Egzekucye 1886 r. — Upadek proletaryatu.

Chociaż socyaliści polscy wywodzą swój początek od „towarzystwa demokratycznego emigracyi polskiej“ w Paryżu z 1832, to jednak do 1878 r. niewiele o nich wiadano. Zjawili się oni najprzód jako członkowie kółek rosyjskiego towarzystwa międzynarodowego Narodników czyli Troglodytów, którego głównem zadaniem propaganda i agitacya socyalistyczna między robotnikami. Niebawem, czując się na sile, oddzielili się od rosyjskich kolegów i utworzyli w latach 1876 i 77 osobne „gminy robotcze“ w Petersburgu, Moskwie, Odessie, Kijowie i Wilnie, mające na celu propagandę socyalistyczno-demokratycznych doktryn między robotnikami, pod hasłem: „swobody, fabryk, ziemi. Proletaryusze wszystkich krajów, łączcie się. Ziemia należy do ludu, fabryka do robotnika“. W miarę aresztowań nihilistów w właści-

wej Rosyi, od 1875—77 roku, pojedynczy członkowie polskich i rosyjskich gmin i kółek, uciekając przed rządowym terrorem, przekradali się do Królestwa Polskiego i rozpoczęli propagandę. Jakoż w latach 1877 i 78 Królestwo Polskie zasiane było gęsto gminami i kółkami socjalno-demokratycznymi. Zebrania ich odbywały się w Warszawie na Nowym Świecie, w domu pod l. 12, na Saskiej Kępie, przy ulicy Złotej i Smolnej; rej tam wodzili agitatorowie, przeważnie studenci z rosyjskich zakładów naukowych przybyli. Takież kółka i gminy pracowały w Łomży, Żyrardowie i Skierniewicach, i gdzie tylko znaczniejsze fabryki ściągały większą ilość robotników. Centralna gmina warszawska, złożona z 24 członków, kierowała propagandą, która polegała na ustnej instrukcyi i rozszerzaniu broszur i pism socyalistycznych. Sprowadzono je za pośrednictwem socyalisty Dicksteina¹ z Wrocławia i innemi drogami. Od czasu do czasu urządzano odczyty dla robotników, na których tłumaczono im teorye Lassale'a i Marksa; tworzone klasy robotnicze i t. d. Dla tem skuteczniejszej propagandy ułożono w Warszawie w lecie 1877 r. „Program socyalistów polskich“, który dlatego, że pierwszy raz drukowany był w Brukseli, nazwano „programem brukselskim“. Oto jego osnowa:

„Zasady, które wyznajemy, są następujące:

„1. Społeczeństwo zapewnia każdej jednostce wszechstronny rozwój sił przyrodzonych.

„2. Środki i narzędzia pracy powinny przejść z rąk jednostek na własność pracujących; praca najemna zamieni się na

¹ Szymon Dickstein, znany pod pseudonimem „Jan Młot“, był synem nauczyciela ludowego, ur. 14 lut. 1858 r. W 15 roku życia, jako słuchacz nadzwycz., wstąpił do szkoły głównej w Warszawie, oddał się naukom przyrodniczym, tłumaczył dzieła Darwina, którego był wielbicielem. W 20 roku życia przystąpił do „socyalistów polskich“, a następnie do Proletariatu. Skompromitowany schronił się do Szwajcaryi, był współredaktorem *Równości*, *Przedświtu* i *Walki klas*; przerobił broszurę socyal.: „Opowiadanie starego gospodarza“; przełożył na polskie: „Podatki pośrednie“ Lassale'a; „Kwestyę robotniczą“ Langego; „Socyalizm utopijny a naukowy“ Engelsa; „Kwintesencję socyalizmu“ Schaeffle'go. Dla robotników wydał oryginalną broszurę: „Kto z czego żyje“. Umarł w Bernie 6 lipca 1884.

pracę zrzeszoną (kolektywną) w stowarzyszeniach fabrycznych, rzemieślniczych i rolnych.

„3. Każda jednostka ma prawo do korzyści z rezultatów stowarzyszonej pracy, prawo, które określa w przyszłości sami pracujący na podstawie nauki.

„4. Zupełna równość społeczna obywateli, bez różnicy płci i rasy i narodowości.

„5. Wprowadzenie w życie powyższych zasad jest sprawą wszystkich pracujących bez różnicy rodzaju pracy i narodowości; zatem rewolucja społeczna musi być powszechną i międzynarodową.

„6. Na zasadzie tego, żądamy federacyjnych związków z socyalistami wszystkich krajów (ztaąd nazwa międzynarodowy socyalizm).

„7. Zastosowanie w życiu tych zasad może być dokonane tylko przez sam lud, pod moralnem przewodnictwem organizacji ludowej, świadomej jego praw i interesów.

„8. Zasadą naszej działalności jest moralna zgodność środków działania z założonym celem.

„Za główne środki, przyczyniające się do rozwoju naszej partyi, uznajemy:

- a) organizację sił ludowych,
- b) ustną i książkową propagandę,
- c) agitację, tj. protesta, demonstracye i wogóle czynną walkę, w duchu naszych zasad, z obecnym porządkiem społecznym.

„Program powyższy, wobec bezskuteczności dróg legalnych, może być osiągnięty tylko na drodze rewolucyi społecznej.

„Zważywszy, że dążenia nowoczesnego proletaryatu znalazły ostateczny swój rozwój w międzynarodowym stowarzyszeniu robotników, przyłączamy się do następującego orzeczenia, przyjętego przez pierwszy kongres tego stowarzyszenia (internacyonału czerwonego), który brzmi:

„Kongres międzynarodowego stowarzyszenia robotników, odbyty w Genewie 3 września 1866 r., oświadcza, że stowarzyszenie, jak również wszystkie związki i pojedyncze osobistości

doń należące, uznają za zasadę swego postępowania, względem wszystkich ludzi bez różnicy rasy, wyznania i narodowości: prawdę, sprawiedliwość i moralność. Kongres uważa za swój obowiązek żądać praw człowieka i obywatela, nie tylko dla członków stowarzyszenia, ale dla każdej jednostki, spełniającej swe obowiązki. Niema praw bez obowiązków, niema obowiązków bez praw¹. (Warszawa, wrzesień 1878 r.).

Przytoczyłem naumyślnie tekst programu, aby wykazać, że polski socyalizm zapatrywał się podobnie, jak nihilizm rosyjski — który w tej właśnie dobie przestrajał się w terroryzm — na wzory zachodnie; że w gruncie rzeczy był on tylko odłamem powszechnego anarchicznego socyalizmu i częścią jego, a za punkt wyjścia służy mu pierwszy kongres internacyonalu w Genewie. Pomnijmy zresztą, że lata 1877 i 1878, to epoka najsilniejszego rozwoju internacyonalu na zachodzie, z kąd Warszawa i Królestwo zawsze dobre i ujemne wzory brała. Pomimo to, duchowe powinowactwo polskiego socyalizmu z rosyjskiem, zaprzeczyć się nie da. W układaniu programu brukselskiego zasięgano zdań i uwag rosyjskich socyalistów: Dragomanowa, Ławrowa i Żukowskiego, jako mężów nauki i koryfeuszów doktryny socyalistycznej. Między założycielami i agentami gmin, kółek w Warszawie, Żyrardowie, Łomży, Skierniewicach, znaleźli się „towarzysze“, którzy w Petersburgu, Moskwie, Odessie i Kijowie, do rosyjskich gmin przedtem należeli, albo nawet do procesów „nihilistycznych“ w Rosyi wpłątani byli, jak np. Drobysz-Drobyszewski.

Pomimo tego powinowactwa, socyalizm polski pracował oddzielnie i niezależnie od rosyjskich związków, aż do r. 1883, jak to powiem niżej, i dlatego błędnymi były głosy polskiej prasy (1877—85), zaprzeczające istnienia socyalistów polskich lub pomawiające ich o propagandę rosyjskiego nihilizmu; głosy, które i w społeczeństwie polkiem znalazły wiarę.

W chwili, kiedy program „Socyalistów polskich“ został zre-

¹ *Równość* (miesięcznik socyalistyczny). Rok I., nr. 1, październik 1879; wychodzi w Genewie.

dagowany, znaczna ich część dostała się już w opałę rządu rosyjskiego. W listopadzie 1878 znalazło się w cytadeli warszawskiej blisko 50 socyalistów, przeważnie studentów uniwersyteckich, kursistek i kilkunastu robotników. Śledztwo prowadziła osobna „komisyja dla spraw politycznych“, utworzona jeszcze 1863/4 r.

Aresztowania ponowiły się w kwietniu 1879 r. i znowu 40 socyalistów polskich, przeważnie studentów, dostało się do cytadeli warszawskiej. Śledztwo prowadzone nad tą drugą grupą uwięzionych, naprowadziło komisję na nowe poszlaki; w czerwcu 1879 r. aresztowano znowu 20 socyalistów polskich.

W miarę aresztowań, komisya podzieliła więźniów na trzy kategorie. Z tego powodu *Kalendar Narodnoj woli* 1883, str. 144, rozróżnia: *pierwoje, wtoroje i tretje warszawskoje dzieło*; w gruncie rzeczy był to pierwszy wielki proces socyalistów polskich w Warszawie. Podobnie jak propagandzistów rosyjskich i Narodników, winą pierwszych grup socyalistów polskich było, że szerzyli propagandę rozdawaniem dzieł: Lassale'a, Marksa, Mosta, a nawet d-ra Limanowskiego, i czasopism rosyjskich *Zemlă i wola*, *W pierôd* i t. p., że ustnie pouczali robotników o „internacyonale“, że organizowali kółka i kasy robotnicze.

Nareszcie w lutym 1880 r. ogłoszono więźniom pierwszej i drugiej grupy wyrok komisyi, zatwierdzony przez jenerał-gubernatora Albedyńskiego. Brzmi on:

Z grupy 1-szej (początek aresztowań 8 sierpnia 1878 r., a więc 18 długich miesięcy przesiedzieli towarzysze tej grupy w cytadeli). Zesłani na posielenie do Syberyi wschodniej, akademicy-studenci: Abramowicz Paweł, Augustowicz Kazimierz, Daniłowicz Michał, Drobysz-Drobyszewski (Umański), Grabowski Aleksander, Grabowski Mieczysław, Gruzewska Aldona, Halpern Maksymilian, Hildowa Marya, Landy Stanisław, Mezer Zygmunt, Mondszejn Bolesław, mieszczanin z Kalisza; Płaskowicka Filipina, Pławiński Józef, Sieroszewski Wacław, Święcicki Wacław, urzędnik kolejowy.

Zesłani do Syberyi zachodniej: Akimow Mikołaj, Dąbrowski Kazimierz, ślusarz; Hłasko Jan, medyk; Kobylański Kazimierz, tokarz i ślusarz; Pospiełow Mikołaj z Wilna, student

weterynaryi; Rotengruber Hipolit, ślusarz; Różański Stefan, medyk; Zawadzki Aleksander, medyk.

Tych 24 uznala komisya za głównych organizatorów socyalizmu polskiego, członków gminy centralnej w Warszawie.

Skazani na więzienie w twierdzy Modlina i Brześcia kujawskiego: Brzeziński Mieczysław, akademik; Redlich Henryk, ślusarz.

Z grupy 2-giej (aresztowania rozpoczęły się w kwietniu 1879, po zamachu na cara w pałacu zimowym, trwały do lipca t. r.). Zabity w oknie celi więziennej: Józef Bejta.

Zesłani do Syberyi wschodniej: Dziańkowski Ludwik, medyk; Heryng Zygmunt, akademik; Kowalski Albin, akademik kijowski; Rogulski Stanisław, medyk; Więckowski Aleksander, technik i akademik petersburski.

Zesłani do Syberyi zachodniej: Grafiński Edward, szewc; Rymkiewicz Dominik, medyk.

Skazani na więzienie w twierdzy: Konowna Helena, nauczycielka; Kutniewski Marcin, robotnik; Paszke Jan, tokarz; Płaskowicka Zofia, Pławiński Kazimierz, medyk (brat Józefa); Puchewicz Kazimierz, akademik; Śliwiński, ślusarz; Szpotański Stefan, ślusarz; Wiśniewski Antoni, nauczyciel ludowy; Wojnarowska Cezaryna, studentka medycyny z Petersburga.

Uwolniono z tej grupy Sidorka, wskutek prośby żony jego, podanej do cara, i Wichrzyckiego, z Księstwa Poznańskiego, którego odstawiono do granicy pruskiej.

Z grupy 3-ciej (początek aresztowań 10 lipca 1879 r.). Zesłany do Syberyi wschodniej: Bielecki Leon, ślusarz kolei nadwiślańskiej, dzielny agitator.

Skazani na więzienie w twierdzy od 3—12 miesięcy: Barański Stanisław, uczeń gimn.; Daniłowicz Korneliusz, krawiec; Dulęba Henryk, ślusarz.

Uwolnieni: Budkiewicz Włodzim. za kaucyą 6000 rubli; Ptak, stud. mosk. uniw. za kaucyą 3000 rubli; dwaj Kiersnowscy, studenci gimn.; Obuchowski, student puławski, i rzemieślnicy: Biernacki, Kościuszko, Nietupski, Szczęśniak.

Skazanych wysyłano partjami po 6 osób co czwarty dzień;

pierwsza partya odjechała 17 maja 1880 r. Skazanym do Syberyi wschodniej nałożono w Omsku kajdany, i razem ze zbrodniarzami gnano etapem na miejsce wygnania. Zaznaczyć winieniem, że śledztwo i wyroki odbyły się w największej cichości i tajemnicy; że cała niemal prasa polska, konserwatywna i liberalna, potępiła ten ruch socjalistyczno-międzynarodowy, a społeczeństwo polskie nie tylko okazało się dlań obojętnem, ale z wyjątkiem niewielu zapalonych głów studenckich, wprost wrogie.

Ledwo się te śledztwa i wyroki skończyły, aliści 10, 12, 27 lutego, 10 i 26 marca 1880 r. nowe rewizye i aresztowania i drugi warszawski proces socjalistów polskich. Nie byli to organizatorowie socjalizmu, ale jego nowicyusze; to też wyrok wypadł stosunkowo dosyć łagodnie. Zesłano w Sybir 3, zamknięto w twierdzy od 2—12 miesięcy 10; innych puszczone wolno.

Podczas aresztowań „nihilistów“ masami, które po zabójstwie cara Aleksandra II. zarządził hr. Ignatiew w Petersburgu i innych miastach Rosyi, natrafiła tamże policya na szeroki studencki związek socjalistów polskich, pod nazwą „Polska socjalno-rewolucyjna gmina“. Aresztowania rozpoczęły się w styczniu i lutym 1881 r. Grupa warszawska, blisko 50 socjalistów, więziona w cytadeli, sądzoną była przez komisję dla spraw politycznych. Wyrok zapadł na wiosnę 1882 r. Do Syberyi wschodniej na lat 5, zesłano 2; do Syberyi zachodniej na 3 lata, zesłano 3; na więzienie w twierdzy od 2—12 miesięcy, skazano 27; jeden z więźniów umknął szczęśliwie, resztę uwolniono. Z grupy „wileńskiej gminy“ sądzono 10, skazano na zesłanie do Syberyi zachodniej na 3 lata 4; innych uwolniono. Równocześnie z „petersburskiej gminy“ sądzono 25; skazano na zsyłkę na lat 5 do Syberyi wschodniej 4; do Syberyi zachodniej na 3 lata 5; innych uwolniono.

Niedobitki przedziesiątkowanej aresztami 1878—1880 r. „polskiej socjalno-rewolucyjnej gminy“ w Petersburgu, przybrawszy nieco nowych członków, uorganizowali się w „polsko-litewską socjalno-rewolucyjną partyę“ i wydali swój program. Nie tylko spokojna propaganda socjalizmu między robotnikami, ale wywieranie terroru czarnego na rządowe figury i szpiegów,

i przewrót politycznego systemu w Rosyi, były zadaniem tej „partyi“. Zbliżała się ona w swych dążnościach i środkach do rosyjskiej „Narodnej woli“ i z nią sympatyzowała. Na czele polsko-litewskiej partyi stała „Rada sekretna“, która później nazwała się „Ogniskiem“. Członkami Rady sekretnej, a zdaje się, że i twórcami „partyi“, byli 1882 r. studenci: Stanisław Kunicki, Stanisław Michalewicz, Tadeusz Rechniewski, Aleksander Dębski, Edmund Płoski i kilku innych. Wszyscy oni należeli równocześnie do „Narodnej woli“. Kunicki był nawet członkiem „Komitetu wykonawczego“. To w Petersburgu. — Równocześnie w Warszawie, niektórzy z ocalonych od rządowego pogromu 1878—80 r. członków „Towarzystwa Socyalistów polskich“, zerwali z programem brukselskim i zawiązali 1882 r. socyalno-rewolucyjne towarzystwo „Proletaryat“, z „Komitetem robotniczym“ na czele. Powód do tego dała ta partya „Socyalistów polskich“, która po aresztowaniach 1880 r., ujawszy ster w ręce, „pod wpływem demokratycznej literatury, utworzyła dziwaczną mieszaninę ideału przeszłości z ideałami teraźniejszości i chciała nadać ruchowi odcień patryotyczny, ludząc się nadzieją, że w ten sposób zjedna sobie sympatyę społeczeństwa“¹; to znaczy, że w łonie socyalistów polskich, obok głównego kierunku internacjonalnego, wytworzył się kierunek narodowy. Dla ubezwładnienia więc tego kierunku patryotycznego, wzmocniono kadry internacjonalu polskiego i podniesiono o jeden stopień wyżej skalę jego akcji rewolucyjnej. Obydwa stronnictwa, narodowe i międzynarodowe, wysłały swoich agitatorów do Galicyi 1878 i 1880 r. Socyaliści patryoci mieli swe ogniska w Genewie i Zurychu; międzynarodowcy w Warszawie.

Twórcą „Proletaryatu“ był Ludwik Waryński, znany także w Galicyi z procesu 35-ciu w Krakowie 1879 r., zmarły w Schlüsselsburgu w październiku 1891 r. Proletaryat miał na celu obok propagandy i agitacyi między robotnikami i ludem, także wywrót politycznego porządku i szerzenie czarnego terroru, zbliżony bardzo do rosyjskiej „Narodnej woli“. Tak więc i w Petersburgu i w Warszawie

¹ *Walka klas*, str. 53.

socjaliści polscy przedzierzgnęli się w terrorystów anarchicznych, podobnie, jak trzy lata przedtem, najznacniejsi propagandiści rosyjscy *Zemli i Woli* i *Czornawo pieriediełu* uorganizowali się w terrorystyczną *Narodną wolę*.

Zaraz po uorganizowaniu się Proletaryatu — dzieje tej pierwszej organizacyi są dotąd okryte tajemnicą — komitet robotniczy, na którego czele stał Kunicki, wydał „Odezwę“ do klas robotniczych, datowaną z Warszawy 1 września 1882 r., a w niej dążenia i cele Proletaryatu polskiego sformułował w tych słowach:

„I. Pod względem ekonomicznym, zgodnie z zasadami socjalizmu, przyjętymi na kongresach międzynarodowych przez proletaryat wszystkich krajów, żądamy: 1^o, aby ziemia i narzędzia pracy przeszły z rąk jednostek na wspólną własność pracujących, na wspólność socyalistycznego państwa. 2^o, aby praca najemna zamienioną była na pracę zbiorową, zorganizowaną w stowarzyszeniach fabrycznych, rzemieślniczych i rolnych. 3^o, aby każda jednostka miała prawo do korzystania z owoców stowarzyszonej pracy, a to w stosunku do ilości zaoferowanej przez siebie pracy i ogólnych zasobów państwa.

„II. Na polu politycznem dobijać się będziemy jak największych swobód. Z wszelkim rządem, bez względu na jego narodowość, walczyć będziemy dopóty, dopóki swobód tych całkowicie nie zdobędziemy. Potępiamy stanowczo brak swobody sumienia, języka, zgromadzeń, stowarzyszeń, słowa i druku — gdyż stawia to wszystko wielkie przeszkody rozwojowi świadomości robotniczej, już to rozbudzając religijno-narodowościowe nienawiści i fanatyzmy, już to uniemożliwiając propagandę i organizację masową, która jedynie może położyć podwaliny przyszłej organizacyi ustroju socyalistycznego.

„Polityczne żądania nasze są następujące:

„1^o. Zupełny samorząd grup politycznych.

„2^o. Udział wszystkich w prawodawstwie.

„3^o. Wybieralność wszystkich urzędników.

„4^o. Zupełna swoboda słowa, druku, zgromadzeń, stowarzyszeń i t. d.

„5^o. Całkowite równouprawnienie kobiet.

„6^o. Całkowite równouprawnienie wyznań i narodowości.

„7^o. Międzynarodowa solidarność (internacyonalizm), jako gwarancya powszechnego pokoju.

„III. W zakresie życia moralnego, proletaryat polski usunąć musi przesady (religię), ciemnotę i wszystko (a więc i Kościół i duchowieństwo), co znamionuje moralny ucisk, i na tym gruncie walczyć będzie ze wszystkimi, którzy dla zapewnienia sobie przewagi nad ludem, utrzymują go w stanie umysłowego dziecięctwa. (Wymierzone głównie przeciw księżom).

„Moralne stosunki powinny się opierać na swobodzie sumienia, uczuć, myśli i nauki (a więc bezwyznaniowość)“.

Oto program. „Odezwa“ dowodzi dalej, że „wyzwolenie klasy pracującej zpod ekonomicznego, polityczno-socyalnego i moralnego ucisku, powinno być dziełem samych robotników“, że „zadaniu temu zadość uczyni organizacya socyalno-rewolucyjna proletaryatu, w której kierownictwo nad walką ekonomiczną i organizacją, objął „komitet robotniczy“, który „w walce tej najbardziej na względzie mieć będzie stosunki ekonomiczne; z uciskiem walczyć będzie odpornie i zaczepnie“, zrazu zmuszony działać „tajemnie“, lecz „w chwili ruchu wystąpi jawnie, jako przedstawiciel i obrońca proletaryatu“¹.

W gruncie rzeczy program ten identyczny z programem „przygotowawczego komitetu“ Narodnej woli: wywraca carat, a na jego miejscu stawia „socyalne państwo“, oparte na wszechwładzy ludu; nawet wewnętrzna organizacya Proletaryatu za pożyczona od rosyjskich terrorystów. I tak, na czele jego stał „komitet centralny“, który kierował konspiracyjną działalnością, przy pomocy swych agentów, różnych stopni, stosownie do zaufania, jakim się cieszyli.

Jako wydział „komitetu centralnego“, kierował ruchem robotniczym w Warszawie „komitet robotniczy“, który miał także

¹ „Z pola walki“ (robotnika polskiego, broszura V-ta). Genewa 1886 str. 25—33.

swoich agentów. W Łodzi, Zgierzu, Białymstoku i innych miejscowościach fabrycznych, istniały „podkomitety robotnicze“, którym znów podporządkowane były liczne „kółka robotnicze“. Przez swoich delegatów znosiły się one z podkomitetami, te zaś znów przez swoich delegatów z „komitetem robotniczym“ w Warszawie. Istniały także osobne kółka dla studentów i dla inteligencji wogóle; osobne „grupy“ dla poszczególnych funkcji, i „kolonie“ Proletaryatu w niektórych miastach Rosji, gdzie polski element studencki i robotniczy był dosyć liczny, jak: w Rydze, Wilnie, Petersburgu, Moskwie, Kijowie, Odessie. Dla celów terrorystycznych zorganizowano, jak w „Narodnej woli“ „bojowe drużyny“. Pieniądzy dostarczały komitetowi centralnemu i roboczemu kontrybucye comiesięczne licznych kółek robotniczych, zamożniejszych członków partyi i kolonij; kółka zaś i kolonie opędzwały swe potrzeby z wkładek członków swoich.

Zebrania „Proletaryatu“ były czworaki: 1^o, komitetu centralnego; 2^o, komitetu robotniczego; 3^o, kółek wchodzących w skład organizacyi robotniczej; 4^o, wszystkich członków partyi.

Już z początkiem 1883 r. „Proletaryat“ miał własną drukarnię najprzód na Walicowie, w mieszkaniu Eibenszyca (pseudonim), potem od grudnia t. r. w domu chłopca Wasilewskiego za rogatką Marymoncką, 13 wiorst za Warszawą. W październiku 1884 r., policya zabrała resztki materyałów tej drukarni. Drugą drukarnię założył „Proletaryat“ w marcu 1884 r. w składzie mydła i świec Jana Hocha, na rogu ul. Franciszkańskiej i Nalewek. Trzecią „ulotną“ drukarnię umieszczał „Proletaryat“ w różnych mieszkaniach. W drukarniach tych tłoczono „odezwy komitetu robotniczego“ do ludu, programową pierwszą, a dalsze z powodu zaburzeń robotników przy warsztatach kolei warszawsko-wiedeńskiej, w kwestyi sanitarnej, policyjnej rewizyi robotnic fabrycznych, z powodu koronacyi cara; manifest komitetu centralnego do włościan, w polskim, litewskim i niemieckim języku; odezwę towarzystwa pieniężnej pomocy „Czerwonego Krzyża“; pięć numerów czasopisma *Proletaryat*; kilka broszur dla robotników i młodzieży; odezwy do robotników z powodu rewizyj żandarmskich

i aresztowań i z powodu zabicia szpiegów Skrzypczyńskiego i Helzera itd. Publikacje te rozlepiano na rogach ulic, rozsyłano do różnych miast i osób, rozdawano chłopom na jarmarkach, pątnikom w Częstochowie i innych odpustowych miejscach, a zwłaszcza „Manifest Centralnego Komitetu do włościan“ rozrzucono gęsto w Polsce i na Litwie. To w kraju. Z zagranicy sprowadzano socjalistyczno-rewolucyjne broszury i pisma, których znaczną część zabrała policja w okolicach Częstochowy w lecie 1882 r., i w Wieruszowie, w domu Wacława Handelsmana, aresztowanego w marcu 1884 r.

Podobnie, jak rosyjscy Narodnicy, miał i „polski Proletaryat“ swoje „kryjówki konspiracyjne“ w Warszawie, w mieszkaniach Wyganowskiego, Warpiechowskiego, Osterlofa, Krzywobłockiego, Kohna, sędziego pokoju Bardowskiego i innych. Oprócz składów broszur i pism socjalno-rewolucyjnych, mieściły się tam zapasy rewolwerów, sztyletów, kastetów, trucizn rozmaitych i tudzież formalne biura fałszywych paszportów. Proletaryat miał swoje własne laboratorium panklastytu, a jego „komitet centralny“ posyłał ostrzeżenia fabrykantom, krzywdzącym swych robotników, listy z groźbą śmierci szpiegom i zdrajcom i osobom wpływowym, chcącym wystąpić z partyi; wydawał i drukował wyroki śmierci i organizował skrytobójcze zamachy.

Ta była ogólna akcja partyi „Proletaryatu polskiego“; przejdźmy do szczegółów.

W styczniu 1883 r. odbył się walny zjazd przedstawicieli różnych socjalno-rewolucyjnych grup. Omówiono na nim i uchwalono „ogólne zasady programu i organizacyjnej działalności Proletaryatu“. Zatwierdzono „umowę konfidencyonalną“ komitetu centralnego, który dopiero na tym zjeździe utworzono, z komitetem wykonawczym, czyli „Proletaryatu“ z „Narodną wolą“.

Kunicki i Rechniewski zostali członkami centralnego komitetu, Waryński jego agentem. Pierwszą czynnością nowo-kreowanego komitetu centralnego, był „Manifest do włościan“, dnia 24 maja 1883 r., z powodu koronacji cara wydany, który tyle krwi napsuł rządowi. Istotnie, jest on nader zręcznie zredagowany; treść jednak jego dziwnie podobna do takiejże odezwy

rosyjskich „Narodników“ do ludu wydanej. „Włościanie, — mówi manifest „Proletaryatu“ — panowie zabrali wam ziemię, car Aleksander oddał wam częśćką małą: połączcie się i własnymi siłami odbierzcie wszystką waszą ziemię. Panowie wam jej nie dadzą, bo wydartego nikt dobrowolnie nie zwraca. Car wam jej nie da, on z panami trzyma, ziemi im odbierać nie chce i nie będzie, wyraźnie to powiedział podczas koronacyi. Car zamiast dania wam ziemi, nakłada na was coraz to nowe, ciężkie podatki. Na koronacyi darował „zaległe“; ale za wasz grosz krwawy, za wasze podatki urządził sobie kosztowną koronację, suto raczył bogatych panów, rozdawał order, podarunki; na bale, wina, fajerwerki, rozdał ze dwadzieścia milionów. Za każdy „darowany“ rubel zdarł z was 200, a ziemi nie dał i nie da... My to socjaliści, w imię potrzeb i interesów waszych, podjęliśmy walkę i gotujemy zgubę i zagładę wszystkiemu, co ciemniemy pracujący lud. Jak robotnikom miast fabryki, tak wam, włościanie, ziemię, a wszystkim wolność da przyszła rewolucya. By jednak panowie nie wyzyskali jej na własną korzyść, wy całą masą powinniście w niej przyjąć udział i sami baczyć. By was nie skrzywdzono. Wiecie, ilu was jest: jeżeli wszyscy pójdziecie, to któż ośmieli się dyktować wam prawa? Jeżeli zgodnie stawiać będziecie wasze żądania, to któż im odmówi?

„W chwili rewolucyi my będziemy z wami; poznacie nas, bo my jedni mówić będziemy: ziemia powinna należeć do tych, którzy ją orzą; fabryki do tych, którzy w nich pracują. Do walki więc stawajcie, a tem prędzej będzie nasze wspólne nad wrogami zwycięstwo“.

W marcu 1883 r. stanęła za pośrednictwem Kunickiego „konfidencyonalna umowa“ między centralnym komitetem „polskiego Proletaryatu“ a Komitetem wykonawczym rosyjskiej „Narodnej woli“. Gwarantowano sobie solidarność najzupełniejszą celów i środków, warowano sobie prowadzenie samodzielnej socjalno-rewolucyjnej walki; tylko w walce politycznej, centralny komitet pomagać winien wykonawczemu, sam zaś działa tylko za jego zgodą. W osobnym dokumencie określono te warunki umowy bliżej, i tak: w walce politycznej, komitet centralny

przyznaje główne kierownictwo wykonawczemu, i dlatego przy Komitecie centralnym znajduje się stały delegat komitetu wykonawczego. Obydwa komitety organizują wspólnie „Czerwony krzyż”: drogę przez granicę dla kontrabandy wydawnictw zagranicznych i dla przeprawy ludzi; świadczą sobie wzajemną pomoc w ludziach, pieniądzach, drukarniach i dostarczają sobie wzajemnie sił inteligentnych. W terrorystycznej walce, aż do generał-gubernatora, komitet centralny działa samodzielnie; począwszy od generał-gubernatora wyżej, za zgodą komitetu wykonawczego.

Wzmocniony tym sojuszem „proletaryat“, rozwinął rzeczywście potężną propagandę, między robotnikami zwłaszcza, a drobna napozór okoliczność dodała mu miru i wzięcia. Oto 10 lutego 1883 r. poliemajster warszawski Buturlin wydał rozporządzenie, ażeby robotnice w fabrykach podlegały rewizji lekarsko-policyjnej, narówni z publicznymi kobietami. Komitet robotniczy, korzystając z oburzenia, jakie ten przepis policyjny wywołał, wystosował 13 lutego odezwę do „Obywateli Robotników“ i przedstawivszy drastycznie ohydę policyjnego rozporządzenia, która dotyka ich żon i córek, woła: „Robotnicy! wam dano policzek, was spodlić chciano — wypróbować waszą cierpliwość i uległość... Nie dopuście tego! Nie cofniście się przed grożącym klasie waszej niebezpieczeństwem. Odeprzycie napad, bo-dajby krwią ten protest opłacić wypadło. Śmierć lepsza od hańby!... Dowiedźcie, żeście ludźmi, że potraficie bronić swego honoru, że ofiary was nie ustraszą. Chcą walki — będą ją mieli“.

Odezwę tę rozrzucono w tysiącach egzemplarzy; robotnicy czytali i postanowili stanąć w obronie czci swych żon i córek. Nie wiem, czy dlatego, dość że oberpoliemaister cofnął rozporządzenie z d. 10 lutego; komitet robotniczy wydał z tego powodu drugą tryumfującą odezwę d. 9 maja do robotnic: „Wygrałyście zatem pierwszą sprawę, w której was poparł ogół robotników. Nikt prócz nas w sprawie tej za wami nie przemówił, nikt w waszej nie stanął w obronie... Prowadźcie więc dalej rozpoczętą walkę... walczcie wraz z nami... niech każda fabryka, każdy warsztat, każdy magazyn w jedno połączy się koło. Utwórz-

nie kasy, by pomagać prześladowanym za opór towarzyszkom, by w przyszłości móżdż gromadnie rzucać warsztaty i zmuszać do ustępstw waszych „panów”. Naszego współczucia i pomocy pewne być możecie. Do naszych więc wstępujecie szeregów, za naszą, za robotniczą walczyć sprawę“.

Jakoż wstępowali. Komitety robotnicze w Warszawie, Łodzi i Zgierzu stały się odrazu przedstawicielami i obrońcami klasy robotniczej. Do tych to komitetów robotnik pokrzywdzony od swego chlebodawcy lub fabrykanta zanosił nań skargę; komitet rozpatrywał sprawę i gdy dostrzegł krzywdy, przysyłał fabrykantowi lub majstrowi list z ostrzeżeniem i pogróżką zarazem. I tak komitet warszawski doręczył taki list Foszyńskiemu, dozorczy fabryki François, komitet łódzki fabrykantowi Poznańskiemu, komitet zgierski fabrykantowi Walmanowi. Kilka takich listów figurowało potem w akcie oskarżenia w procesie „Proletariatu“ 1885 r.

Nawzór terrorystów rosyjskich, bronili się i polscy „proletaryusze“ przed rządowymi szpiegami — skrytobójstwem. Komitet centralny wydawał dekret śmierci, wykonanie jego powierzał pewnym towarzyszom. I tak w październiku 1883 r. zamierzono wykonać zamach na życie robotnika Siremskiego, za zdradzanie kolegów przed policją. Gdy się ten zamach nie udał, ponowiono go w marcu 1884 r. w Zgierzu, również bezskutecznie¹. Za to udały się wybornie dwa zamachy: jeden na Franciszka Helszera w Zgierzu, w maju 1884 r., którego zastrzelił z rewolweru Popławski; drugi na konduktora tramwajowego, Skrzypczyńskiego, 8 sierpnia 1884 r., którego w tramwaju zastrzelił Ossowski². Planowano jeszcze wysadzenie w powie-

¹ Siremski był znany tajny agent policyjny, nienawidzono go w Zgierzu i obawiano się. Skrytobójcą jego był tkacz zgierski, Bugajski, który sztybetem, otrzymanym od Helszera, ranil Siremskiego w szyję. Uwięziono go natychmiast, zawieziono do cytadeli, a następnie do katorgi.

² Helszer był najczynniejszym członkiem w organizacji zgierskiej, prowadził propagandę, organizował kółka, podjął się „sprzątnąć“ zdrajcę Siremskiego. Zwlekał jednak z wykonaniem i sam zdradził dwóch kolegów, którzy w celach propagandy przybyli do Szczawina, a powoli gotował zdradę komitetowi zgierskiemu i członkom komitetu centralnego, którzy

trze kancelaryi towarzysza prokuratora, tyle dziś głośnego cenzora Jankulio, i podpułkownika żandarmskiego Siekierzyńskiego za to, że w śledztwie z więźniami „Proletaryatu“ obchodzić się mieli po barbarzyńsku. Plan już był ułożony przez Kunickiego i plan-kastyt (wybuchowy materyał) przygotowany, ale komitet centralny kazał zaniechać wykonania, obawiając się, że przez to pogorszy się los więźniów.

Innych czynów terroru czarnego „Proletaryat“ nie spełnił; i z tych, których dokonał, tłumaczył się koniecznością własnej obrony. Zaraz bowiem po zabójstwie Helszera wydał komitet centralny odezwę do „Towarzyszy“. „Bolesną nowiną dzielimy się z wami. Z niewypowiedzianym wstrętem... zmuszeni byliśmy umaczać ręce we krwi jednego z byłych towarzyszków naszych. Mielśmy do wyboru: albo stracić kilkunastu naszych towarzyszy (których on zdradził i zdradzić jeszcze zamierzał), albo Helszera zrobić nieszkodliwym. Zdecydowaliśmy się na to ostatnie“. Odezwa kończy się upomnieniem, aby kto nie jest gotów pójść do cytadeli lub w Sybir, usunął się na bok, a nie zdradzał, gdyż „każdego zdrajcę, ze strachu, czy korzyści osobistych, na wolności czy w więzieniu, śmierć bezwarunkowo czeka“. Wobec V-go przykazania Bożego wywody te są bezsilne, ale „proletaryusze“ nie troszczyli się o dekalog.

Podobnie jak rosyjsey terroryści, polscy „proletaryusze“ nie wychodzili z domu bez rewolweru, a w swych „kryjówkach konspiratorskich“ nie tylko mieli rewolwery pod ręką, ale nieraz składy wybuchowych materyj. Rozgłośną, ale nie bardzo krwawą, była obrona przy aresztowaniu Janowicza, studenta Akademii moskiewskiej. Poszedł on 30 lipca 1884 r. z Dembskim i Sławińskim do mleczarni Henneberga. W trop za nim szedł tajny agent Huzarski. Ten, wezwawszy do pomocy rotmistrza Oże,

z Warszawy do Zgierza dla nadzoru propagandy od czasu do czasu przybywali. Zdradę przepłacił swem życiem.

Skrzypczyński był członkiem kółka robotniczego w Warszawie i jako taki doniósł policji o zebraniu robotniczem, które policja zaaresztowała całe; między uwięzionymi byli znakomitsi proletaryusze: Duleba, Ryszewski i Rudnicki.

oznajmił trzem onym „proletaryuszom”: „aresztuję panów“. Ale Janowicz dobył rewolweru i dwie kule wpakował w Huzarskiego, które jednak tylko lekko go ranily. Dembski zaś i Sławiński rzucili się na rotmistrza i powaliwszy na ziemię, szczęśliwie umknęli. Janowicza przychwycili lokatorzy domu, nadbiegła policya i odprowadziła najprzód do „cyrkułu“, a potem do cytadeli.

Po koronacyi w Moskwie zjechał cesarz Aleksander III. do Warszawy. Otóż na kilka tygodni przed przybyciem cesarza-króla do Warszawy, komitet centralny ułożył plan podkopu pod dom Hocha przy zbiegu ulicy Franciszkańskiej i Nałewek. Wiedzie tędy droga do obozu wojsk, którą cesarz na rewie wojskową koniecznie musi przejeżdżać. Wymiaru ulic i domu dokonali inżynierzy „Proletaryatu“ w jasny dzień, odgrywając wybornie rolę mierników miejskich; żołnierze stójkowi dopomagali im w robocie. Gotowy plan złożono w mieszkaniu sędziego mirowego, Rosyanina, Piotra Bardowskiego, przy ul. Zakroczymskiej. Podczas rewizyi 10 lipca 1884 r. znalazła policya między wielu kompromitującymi papierami także i ów plan podkopu. W procesie jednak 29-ciu, który opowiem niżej, projekt ten zamachu na cara nie figuruje weale, czy to dla braku dowodów, czy też że nie chciano straszyć już i tak wystraszonego cesarza.

Równocześnie z terrorem czarnym rozwinął „Proletaryat“ akcyę na polu naukowej propagandy. Duszą jej, równie jak w terrorystycznej akcyi, był Kunicki. Przy jego pomocy założono tajną drukarnię, w której wytłoczono pięć numerów *Proletaryatu*, kilka broszur i odezw. Jemu także, jako „agentowi“ centralnego komitetu, polecono z końcem stycznia 1884 r. udać się za granicę, wejść w stosunki z polską i rosyjską emigracyą. Uczynił on to, założył w Genewie socyalistyczno-rewolucyjny dziennik, *Walka klas*, którego kilka roczników mam pod ręką, doprowadził do skutku zbliżenie się między redakcyą tego dziennika a *Więstnika narodnej woli*, tak iż obydwie te pisma pomagały sobie i uzupełniały się wzajemnie. Powróciwszy do Warszawy, zreagował ostatecznie „określone stosunki Proletaryatu“ z „Narodną wolą“, której tymczasowym był delegatem

i „zarządzał“ technicznemi robotami partyi, do których także należały przygotowania do skrytobójstw.

Nie zapomniano i o armii. Sędzia pokoju, Rosyanin Bardowski, ożeniony „przy księżycu“ z piękną Poll, i jak wielu jego kolegów, socyalista o szerokiej ruskiej naturze, przyjmujący w depozyt pisma, plany, dokumenta, składy broni i materij wybuchowych, i szczerze „sympatyzujący“ z „Proletaryatem“, przełożył na język rosyjski „odezwę do wojskowych“, zredagowaną także przez Kunieckiego. Wynik tej odezwy nie był bogaty; zaledwie kilku oficerów rosyjskich, jak: kapitan Laury, porucznicy Sokolski i Igielstroem, przystąpiło do „partyi“.

Te były roboty „Proletaryatu“ polskiego. Tymczasem rząd wszedł na trop organizacyi i rozpoczął aresztowania na wielką skalę. Uwięziono najprzód Ludwika Waryńskiego dnia 16 września 1883 roku w Warszawie, w cukierni przy ulicy Rymarskiej. Znalaziono przy nim czterdzieści egzemplarzy wiersza „Warszawianka“¹, korespondencje, broszury, fałszywe paszporty, i osadzono w cytadeli. — Prawie równocześnie z Waryńskim uwięziono Podbielskiego i Płoskiego z żoną, także dzielną agitatorką. W śledztwie tłumaczyli się zrećnie, tak że do Nowego Roku 1884 komisya śledcza szła omackiem. Dopiero zdrady zecera Janczewskiego, aresztowanego w sierpniu 1883 r. w Wilnie, a przywiezionego do cytadeli, dały komisji nić do ręki. W kwietniu 1884 r. aresztowano Agatona Zagórskiego, studenta inżynierji, który ze strachu przed szubienicą zapadł na umysłe.

¹ „Warszawiankę“ podaje fejleton I-go numeru *Proletaryatu* 1883 r. Ma ona cztery ośmiowierszowe strofki, każda kończy się czterowierszem: „Naprzód Warszawo — Na walkę krwawą — Świętą a prawą — Marsz. marsz Warszawo!“ Ostatnia zwrotka brzmi dosłownie:

„Hurra! — zerwijmy z carów korony.

Gdy ludy dotąd chodzą w cierniowej.

I w krwi zatopmy nadgniłe trony.

Spurpurowione we krwi ludowej!

Ha! zemsta straszna dzisiejszym katom.

Co wysysają życie z milionów:

Ha! zemsta carom i plutokratom.

A przyjdzie żniwo przyszłości plonów“.

zdradził w swem majaczeniu wielu i wskazał „kryjówki“, drukarnie, składy książek i rozmaite sekreta partyi. Dzięki temu, aresztowano w lipcu 1884 r. w dwóch dniach przeszło 60 osób, między temi znaleźli się nieostrożni i wielomowni, jak: Teodora Rusiecka i porucznik, Rosyanin Igielstroem, a zwłaszcza zdrajca, akademik Pacanowski, których zeznania skompromitowały bardzo wielu robotników. W ślad za tem szły liczne aresztowania w sierpniu i wrześniu 1884 r., pawilon X. był przepełniony; w Łodzi, Zgierzu, w Piotrkowie i na Pawiaku w Warszawie po kilkudziesięciu trzymano w aresztach. W śledztwie sortowano ich, i tylko najwinniejszych odsyłano do X. pawilonu.

Aresztowania powtarzały się aż do jesieni 1885 r.; ostatnie były z końcem września t. r.; uwięziono w Warszawie 48, w Zgierzu 6 osób; ogólna cyfra uwięzionych dochodziła do 250; z tych jakie 20 osób puszczono wolno zaraz po pierwszej indagacyi, przeszło 100 osób ukarano administracyjnie dłuższym lub krótszym aresztem, a 110—115 osób „najwinniejszych“ trzymano i badano w cytadeli, z tych 29 oddano pod sąd.

Akt oskarżenia, wygotowany przez Morawskiego, dzielił się na 5 punktów; przedstawiał historię i organizację „Proletaryatu“, jego cele i stosunki z „Narodną wolą“, jego działalność i propagandę pism socyalno-rewolucyjnych; w ostatnim zaś punkcie wyjawiał „przestępną działalność“ każdego z 29 podsądnych, poczynając od Waryńskiego. Po przesłuchaniu stu kilkudziesięciu świadków i samychże podsądnych, dano słowo obronie. Siedmnastu było adwokatów-obrońców¹, wszyscy, z wyjątkiem Szulakowskiego z Odessy, podjęli się obrony bezpłatnie. Pierwszy przemawiał Spasowicz, obrońca Bardowskiego; w mowie swej dotknął ogólnej akcyi „Proletaryatu“ i dowiódł ścisłą prawniczą argumentacją, że sprawa ta żadną miarą pod § 249 kodeksu karnego podciągniętą być nie powinna. Po nim przemawiał Waryński, rozwijając obszernie „niewinne“ teorye „Pro-

¹ Oto ich nazwiska: Krajewski, Szeller, Kokelli, Spasowicz, Horodecki, Szyfer, Suligowski, Likett, Anc, Nowodworski, Wagner, Kamiński, Kiejeński, Rydel, Dziewulski, Charitonow, Szulakowski.

letaryatu“, którego istnienie uważa za konieczny postulat niegodziwych polityczno-ekonomicznych stosunków w Rosyi. Za tymi mówili: Krajewski, Szeller i t. d. Pomimo tych wysiłeni obrońców, prokurator Morawski obstawał przy swoich oskarżeniach. Wreszcie dano ostatnie słowo podsądnym. Przemawiali kolejno: Waryński, Janowicz, Kunicki, Kohn, Mańkowski, robotnik Ossowski i Popławski. Wszyscy przyznawali, że należą do „Proletaryatu“, twierdzili jednak, że nie jestto żadną winą, tem mniej zbrodnią, ale spełnieniem najświętszego obowiązku obrony srodze uciśnionej klasy roboczej i ludu, i wzywali sędziów do wydania wyroku sprawiedliwego. Poczem sąd oddalił się do sali obrad w celu wydania wyroku.

Do 26 podsądnych zastosowany był § 249, a więc kara śmierci; ale 26 szubienie postawić odrazu w Warszawie. wydało się rzeczą zbyt drażliwą. Skazano więc na śmierć 6. do katorgi na lat 16 osób 18, do katorgi na 5 lat 2. O godz. 1-szej w nocy z 19 na 20 grudnia sprowadzono podsądnych grupami do sali sądowej. Prezydent Fryderyks przeczytał wyrok, poczynając od kar najmniejszych. Oprócz obrońców i sądu, nikogo nie było w sali. Podsądni wysłuchali wyroku spokojnie, wrócili do swoich numerów; czekać jeszcze musieli dni 40 na wykonanie wyroku, który posłano dla zatwierdzenia do jenerał-gubernatora Hurki.

Wreszcie nadszedł z biura Hurki wyrok w zmienionej nieco formie. Skazani:

I. Na śmierć przez powieszenie: Piotr Bardowski, Stanisław Kunicki, Michał Ossowski, Jan Pietrusiński.

II. Na 20 lat ciężkich robót z pozbawieniem wszelkich praw: Józef Szmaus i Mikołaj Laury.

III. Na 16 lat ciężkich robót z pozbawieniem wszelkich praw: Teofil Bloch, Piotr Degorski, Ludwik Janowicz. Mieczysław Mańkowski, Ludwik Waryński.

IV. Na 15 lat ciężkich robót z pozb. wsz. praw: Kazimierz Tomaszewski.

V. Na 14 lat ciężkich robót z pozb. wsz. praw: Tadeusz Rechuński, Adam Sieroszewski.

VI. Na 13 lat ciężkich robót z pozb. wsz. praw: Henryk Dulęba, Hilary Gostkiewicz, Edmund Płoski, Antoni Popławski.

VII. Na 12 lat ciężkich robót z pozb. wsz. praw: Adolf Formiński, Józefa Kmiecińska.

VIII. Na 10 lat ciężkich robót z pozb. wsz. praw: Leon Degorski, Stanisław Gładysz, Adam Słowik.

IX. Na 8 lat ciężkich robót z pozb. wsz. praw: Feliks Kohn.

X. Na 6 lat ciężkich robót z pozb. wsz. praw: Stanisław Bugajski.

XI. Na zesłanie do najdalszych okolic Syberyi: Stanisław Pacanowski.

XII. Na osiedlenie w Syberyi z pozbawieniem szczególnych praw i przywilejów: Andrzej Igielstroem i Zachary Sokolski.

Dnia 16 stycznia 1886, pod pozorem widzenia się i obrachunków, wywołano czterech skazanych na śmierć, bawiących się w najlepsze z kolegami w szachy, lub czytających książki naukowe, do kancelaryi cytadeli; tam odczytano im wyrok, a potem osadzono w odosobnionych celach. W nocy z 17 na 18 stycznia sprowadzono im popa i księdza, potem pozwolono wszystkim zejść się do jednego numeru. Oni śpiewali rewolucyjne pieśni aż do rana. O godz. 7 dnia 18 stycznia wyprowadzono ich na dziedziniec, gdzie przy michajłowskich wrotach, naprzeciw okien X. pawilonu, czekały na nich szubienice — i powieszono. Szli odważnie na rusztowanie, wołając: „Niech żyje proletaryat!“ Martwe ich ciała pochowano nad Wisłą, w miejscu, które służy za śmietnik całej cytadeli.

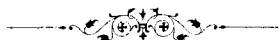
Skazani na długie lata katorgi, Waryński i 20 towarzyszy: wystosowali z powodu tej egzekucyi do swoich „kochanych“ towarzyszy także odezwę, którą wszyscy podpisali. Stracenie Bardowskiego i towarzyszy nazywają prostem morderstwem. „Te szubienice dźwignięto dla was; trupami tymi zastraszyć was chciano, a tym postrachem szyje wasze nagiąć do jarzma, ducha waszego spodlić tchórzostwem... Terrorem chce rząd przeciąć rozwój sprawy ruchu, byście wy broń złożyli i uciekli z pola... My więźniami! do wpółumarłych, konających zaliczyć

nas musicie... Ze skazańcami przeżyliśmy czterdzieści dni... Porwano ich, nie pozwoliwszy nam uścisnąć ich, raz ostatni powiedzieć im ostatnie: żegnajcie! Przed oczami naszymi kopano im groby. Pomyślcie, co czuć musimy. W noc jedną z nas każdy nauczył się nienawidzić i poczuł straszne uczucie potrzeby zemsty... Lecz tego, czego idea dziś więcej niż kiedy wymaga, my dać nie możemy i siły nasze dla niej stracone. Wy koledzy szczęśliwsi od nas, wy możecie pracować, możecie walczyć... Nie dajcie zginąć sprawie, a jeżeli sił wam starczy, nie przebaczeie katom szubienic... Jeszcze trochę ofiar i pracy, a zwycięstwo będzie nagrodą — pomnikiem dla poległych... Bądźcie wytrwali i szczęśliwi“.

Tak oni pisali, ale łudzili się nadzieją wytrwałości w koleżach i prędkiego tryumfu. Proletaryat jako partya został złamany, pozostali jego epigony, którzy na emigracyi najprzód w Genewie, potem w Paryżu i Londynie skupiali się kolo redakcyi *Walki klas*, złożonej 1886 r. z Aleksandra Dembskiego, Stefana Leonowicza, Stanisława Mendelсона i Bronisława Sławińskiego — lub rozproszyli się pomiędzy różne grupy socyalistyczne w Rosyi¹.

Ks. Stanisław Załęski.

¹ Równocześnie z tym zeszytem styczniowym, wyszła z druku książka ks. St. Załęskiego, pod. tyt. „Geneza i rozwój Nihilizmu w Rosyi“. Pierwsze ośm rozdziałów są odbitką z *Przeglądu Powszechnego*. rozdziały IX. i X. są znacznie zmienione i uzupełnione: dwa ostatnie rozdziały, XI. i XII., obejmujące dzieje nihilizmu rosyjskiego od 1883—91 r., są zupełnie nową pracą. — Cena książki 2 złr.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Liryka Sarbiewskiego. Napisał *St. Windakiewicz*. (Osobne odbicie z XV. tomu Rozpr. i Sprawozd. wydz. filol. Akad. Um.). Kraków 1890. (W większej 8-ce, str. 40).

Sto czterdzieści lat temu pojawiła się pierwsza książka o Sarbiewskim; napisał ją Niemiec, Langbein. Mimo wielu jednostronnych a patetycznych uniesień, właściwych temu autorowi, przyznać trzeba, że praca jego, po odliczeniu pewnej liczby błędów rzeczowych, napisana jest źródłowo i, jak na ówczesne czasy, dosyć krytycznie. Od Langbeina aż do naszych czasów wiele przybyło prac, dotyczących Sarbiewskiego; dorzucano razporaz nowe szczegóły do jego poezyj, opracowywano z różnych punktów widzenia jego życiorys i stanowisko literackie — ostatecznie jednak powiedzieć należy, że co do zasadniczych kwestyj i poglądów na osobę i na poezję Sarbiewskiego, stałiśmy ciągle — naukowo rzecz biorąc — na stanowisku Langbeina. P. Windakiewicz w niniejszej pracy posuwa kwestyę naprzód i przynosi nowe poglądy, na nowych źródłach oparte. Za punkt wyjścia i za podstawę służą mu rękopisy poezyj Sarbiewskiego, na które natrafił w Rzymie, w bibliotece XX. Barberinich. Rękopisy te pochodzą z lat 1623—24, a zatem — rzecz ważna — starsze są od pierwszego wydania kolońskiego. Spotykamy w nich na pierwszym miejscu fantazyę panegiryczną, napisaną wkrótce po przybyciu Sarbiewskiego do Włoch, na cześć Urbana VIII., p. t.: *Aureum saeculum*. Rzecz większych rozmiarów, nieznana dotychczas nikomu, nie jest jednak w pomyśle całkiem

nową. Jestto przeróbka panegirycznej kompozycji, napisanej jeszcze w roku 1618, na cześć biskupa Kiszki. Różnica jednak znaczna. We wielu miejscach odstępuje poeta od pierwotnej redakcyi, odrzuca i dodaje różne ustępy, wiersz poprawia i wygładza, a to wszystko z większym niż dawniej smakiem i dojrzałym sądem artystycznym. W każdym razie jestto jeszcze panegiryk na wielką skalę. Drugi poemat zawarty w tych rękopisach: *Porticus honoris*, napisany nieco później, jest znowu szeroką pochwałą kardynała Barberiniego, papieskiego bratanka. Panegiryk to raczej w tytule, niż w treści. Oddzielne ody, treści czysto lirycznej, i jako takie, wcielone później do ksiąg liryków, wciska gwałtem Sarbiewski w ciężkie panegiryczne ramy i chce koniecznie powiązać w jakąś barokkową całość. Zamiar się nie udaje i widać jasno, że poeta jak z jednej strony nie otrząsł się jeszcze całkiem z dawnych panegirycznych nawyków, tak z drugiej strony zaczyna już ulegać innym pierwiastkom i prądom, które nurtują mu w duszy. Nakoniec spotykamy w rękopisach dwie oddzielne już księgi liryków, świadczące o całkowitym zwrocie i przełomie w duszy poety. Obie te księgi, podobnie jak i *Aurum sacculum*, dedykowane papieżowi. Porównyując tekst ich z tekstem późniejszych edycji: kolońskiej a częściowo i antwerpskiej, napotykamy wiele ciekawych szczegółów. Przedewszystkiem dowiadujemy się, że pieśni znane nam dziś jako utwory odrębne, stanowiły pierwotnie jedną całość i powstały w jednym momencie twórczym: poznajemy chronologiczne następstwo tychże pieśni, związek ich wewnętrzny, poznajemy niejednokrotnie ten pierwszy, że tak powiem, rzut myśli poety, zatarty później w druku przez liczne przeróbki i zmiany; takich zmian, przeróbek, napotykamy bardzo wiele, a to wszystko razem wzięte, nowe rzuca światło na talent poety i na te nieznanne szlaki, po których chodzić on musiał, zanim dojrzał i wyrobił się całkowicie.

Nie było zamiarem p. Windakiewicza wyzyskać te rękopisy pod każdym względem; chciał on tylko zwrócić na nie szerszą uwagę i na ich podstawie skreślić głębszą charakterystykę Sarbiewskiego. Rękopisy same wymagają jeszcze pracy ścisłej i dosyć drobiazgowej i mogą posłużyć jako cenny materiał do szczegółowych studyów nad Sarbiewskim, zwłaszcza, jeśli się je porówna z innym rękopisem poety, znajdującym się w bibliotece XX. Czartoryskich: *Præcepta poetica*, którego nie znalazł jeszcze p. Windakiewicz i nie mógł w swej pracy uwzględnić¹.

¹ Por. *Przegl. Powsz.* 1891, luty, str. 307 i nast.

Najciekawiej przedstawiają się w pracy p. Windakiewicza pierwsze rozdziały, opisujące przełom i zawily proces, jaki się odbył w duszy poety, niedługo po przyjeździe do Rzymu. Do bujnej wyobraźni panegirysty przemówiło żywiej niebo Italii, klasyczny świat włoski, dzieła mistrzów i groby milczące na drodze Apijskiej, a pod tymi potężnymi wpływami rozbudziła się w duszy jego samowiedza liryczna. Panegiryzm był w nim okresem aberracji twórczej, czemś podobnym do okresu powieści walterskottowskiej w Krasieńskim; po otrząśnięciu tych pętów stanął poeta odrazu na właściwym gruncie, panegiryczne utwory zarzucił, żadnego z nich nie uznał godnym druku, i zaraz był w stanie wzbic się do tej wysokości i siły, która nam podziśdzień imponuje w jego pieśniach tureckich, wylanych jak lawa z młodzieńczej piersi na temat wojny ze Wschodem. Bez pracy pana Windakiewicza trudno prawdziwie było nam pojąć, jak Sarbiewski w przeciągu lat dwóch był w stanie przebieść tak wielką drogę, od napuszystych panegiryków na Chodkiewiczów, Wołłowiczów i Kiszków, aż do 6-tej i 8-mej pieśni pierwszej księgi liryków. Charakterystyka i rozbiór tych dwóch ód w szczególności, a wszystkich Turcyków wogóle, wypadła w pracy p. Windakiewicza znakomicie. Napisana jest z talentem i z głębszem zrozumieniem przedmiotu; raz tylko czy drugi niedosyć może jasna, kiedy autor tak się wyraża, jak np. o odzie 6smej: „byłaby doskonałą pod każdym względem, gdyby Sarbiewski posiadał był już wówczas doświadczenie artysty, który umie uniknąć wszelkich niejasności w uczuciu i słowie“ (str. 11).

Mniej szczęśliwym jest pan W. w dalszych swych wywodach, w których charakteryzuje poezję i duszę Sarbiewskiego. Istotę jego poezji określa w następujący sposób: „Miał duszę polską, ale nie stał się poetą narodowym: był religijnym, ale uczucie to nie było istotą jego twórczości. Właściwy nacisk jego natury i właściwa jego poezya spoczywa w uogólnianiu indywidualnych rysów psychologicznych. Teren to dosyć ciasny, zwłaszcza, że dusza jego nie posiadała szerokiej skali uczuć i dobrowolnie skazała się na pewnego rodzaju zasklepienie“ (str. 38).

Wyrok ten, wypowiedziany bez zająknienia, chroma jednak pod wielu względami; tkwi w nim zwłaszcza jeden błąd zasadniczy. Z licznych kierunków lirycznej myśli Sarbiewskiego wybrał pan W. trzy najwybitniejsze: z dwoma krótko się załatwił, odmawiając im siły i prawdy, trzeci jako poecie istotny, przyjął dowolnie i nazwał go terenem ciasnym. Pytam się, dlaczego każdy liryk ma mieć koniecznie

jeden tylko kierunek? dlaczego nacisk jego poezyi nie może spoczywać zarówno w motywach religijnych, jak też w patryotycznych czy filozoficznych? Sarbiewski w każdym z tych kierunków umie być znakomitym i żadnej nie widzę racyi, żeby istotę jego poezyi na jednym koniecznie rodzaju osadzać. Zarzuca pan W., że Sarbiewski nie stał się poetą narodowym. Nie całkiem rozumiem, co to ma znaczyć; bo z drugiej strony przyznaje, że „miał duszę polską“. Zkądżeż wie pan W. o tej duszy polskiej? Oczywiście nie zkądinąd, tylko z poezyi Sarbiewskiego. A jeśli tak, więc Sarbiewski umiał duszę polską przełać w wiersze i polskiem je czuciem ożywić, i to ożywić głęboko, kiedy to swojskie tętno odczuwamy w nim dziś nawet, mimo takiego wydoskonalenia uczuć patryotycznych, aż do najsubtelniejszych odcieni. Czegoż więc wymaga pan W.? Bo że patryotyczne pieśni Sarbiewskiego nie przeniknęły aż do głębi społeczeństwa i nie stały się, jak pieśń wajdeloty, oną „arką przymierza między dawnymi i młodszymi laty“, to rzecz łatwa do zrozumienia. I język łaciński i cały nastrój łacińskiej poezyi musiały temu stanąć na przeszkodzie. Zresztą i grunt narodowy w XVII. w. mniej był podatny na tego rodzaju wpływy; nie był to czas panowania pieśni, harfa nie była jeszcze w stanie poruszać mas i wywoływać tych wpływów, jakim ulegało ostatnie przed nami pokolenie. O ile możliwem było u nas łacińskiemu poecie stać się poetą narodowym, i to stać się w XVII. w., o tyle był nim Sarbiewski. Przesuwają się w poezyi jego i królowie nasi i bohaterscy nasi hetmani, szemrzą polskie rzeki, brzmi wojenna sława narodu, widzimy graniczne słupy Chrobrego i ataki sławnej jazdy polskiej, ukraińskie nawet słyszymy teorbany. A choćby i tego nie było, to samo przecie napisanie pierwszej epopei polskiej wystarczyłoby zupełnie dla zadokumentowania charakteru jego narodowego. Nie Sarbiewskiego wina, że Lechiada zaginęła, zdaje się, bezpowrotnie.

Ciekawie się też zapatruje pan W. na religijne pieśni poety. Przyznajemy chętnie, że taki wiersz o Herodzie — nienaturalny, że Magdalena trochę wymuszona, że w niektórych poematach o Najśw. Pannie zawiele zefirów, powiewów i t. d.; prawdą więc jest, że Sarbiewski w ekspresyi uczuć religijnych uderza czasem w fałszywą strunę, czasami artysta, a czasami dawny panegirysta bierze górę nad pobożnym śpiewakiem. Czyż ztąd jednak wynika fałszywość i nieszczerłość samychże uczuć religijnych? Tak jednak twierdzi autor. Wyrzywa się np. Sarbiewski z wielkiem uczuciem do pozagrobowej Ojczyzny — powiada na to z przekąsem pan W.: „myślę, że to przejściowe i afe-

ktowane pragnienie“ (str. 19); statuetkę Bogarodzicy chce poeta ozdobić różami — pan W. znowu twierdzi, że to „afekt nieprawdziwy, poecie bowiem chodziło tylko o smaczny wierszyk na różę, który w imię współczesnej dewocyi (!) zaofiarował Madonnie“ (str. 27); Dzieciątko Jezus chce ubrać poeta w świeże fijołki, bo ciężko, powiada, główce jego w koronie z pereł i złota; myśl śliczna — darmo, pan W. nie może sobie wyobrazić Chrystusa w kwiatach, tylko w cierniowej koronie (str. 27). Proszę uważać: Dziecię Jezus w cierniowej koronie! Wobec tych wymagań pojąć łatwo, że wiersze religijne Sarbiewskiego nie zadowolniają pana W.; widzi on w nich co najwięcej sztukę, nie raz nawet doskonałą — wrażenia prawdy nie otrzymuje nigdy (str. 30).

Właściwy dźwięk duszy Sarbiewskiego i główna istota jego poezyi spoczywać ma, zdaniem pana W., w tych wierszach, które są uogólnieniem indywidualnych rysów psychologicznych. Wolałbym tę kategorię liryków nazwać inaczej — nazwa pana W. jest trochę za jadową i niedosyć uniwersalną; oprócz indywidualnych rysów duszy, które uogólnia poeta, jest przecież w tych wierszach cały szereg innych jeszcze, promiennych szlaków — jest głębokie poczucie piękna przyrody, jest jakaś rytmiczna i dziwnie pięknie szarmonizowana gra uczuć, jest pełno blasków słonecznych i cudnych poetycznych obrazów, jest wreszcie jakaś śpiewna, liryczna filozofia, rozlewająca się spokojnie a szeroko ponad życiem ludzkim, ponad czynami człowieka, ponad naturą... ale pomijam to narazie. Dlaczego pan W. w tych właśnie wierszach, i w tych jedynie widzi istotę poezyi Sarbiewskiego? Mają przecież te same wady, dla których pieśniom religijnym odmówił szczerości i prawdy. A potem, dlaczego świat tych wierszy nazwał ciasnym terenem? Dlatego, że Sarbiewski — zdaniem jego — nie mając duszy bogatej, niewiele posiadał rysów indywidualnych, nadających się do uogólnienia i zdolnych głębszy obudzić interes; skala uczuć jego była dość małą, tem bardziej, że dobrowolnie skazał się na pewne zasklepienie.

Dziwne doprawdy wymagania. Sam pan W. powiedział gdzieś w swojej pracy, że o ile Sarbiewski jest wielkim artystą, o tyle nie może być uważanym za poetę w wielkim stylu — tutaj tymczasem mierzyć go chce miarą Bajrona czy Mickiewicza, zapominając, że „bogactwo duszy“ idzie przeciw za talentem. Od krytyka żądać musimy, żeby umiał się przenieść w sferę talentu poety, a potem — co jest rzeczą nie mniejszej wagi — żeby umiał się cofnąć w te czasy, wśród których żył i pisał poeta. Od stu lat poezya romantyczna wstrząsała

wszystkie nasze nerwy. Harfami władnęły duchy potężne, posiadające nie tylko siłę, ale i zuchwałość tytanów; burze grzmiały w ich duszach, a skala ich uczuć była zaiste szeroka, bo sięgająca zwyczajnie aż do wyzywania Boga. Myśmy się rozmiłowali w tych piorunowych błyskach, w tych ogniach zemsty, w tych sztyletach i truciznach, tak jak się rozmiłować można w walce żywiołów — i zapominamy, że w XVII. w. nie można jeszcze było być — zwłaszcza u nas — Bajronem, a choćby nawet Asnykiem; co dziś wydaje nam się zasklepieniem, co nudnem i monotonnem nazywamy, to często było tylko równowagą ducha; poezya ówczesna zasadzała się nie na ogromie, ale na pewnej eurytmii, na klasycznej mierze i harmonii. Pan W. przypuszcza, że gdyby Sarbiewski mógł być mieć, jak Petrarka, swoją Laure, wówczas byłby się może rozwinął w bujny talent i błysnął tysiącem kolorów. Czyby się tak było stało w istocie, tego ani ja nie wiem, ani pan W.; to jednak pewna, że ciasną byłoby jednostronnością, uważać miłość kobiety jako *conditio sine qua non* rozbudzenia talentu poetyckiego. Bądźmy sprawiedliwi i bierzmy Sarbiewskiego takim, jakim był i mógł być wśród XVII. wieku, a przekonamy się, że jako poeta był znacznie lepszym i większym, niżbyśmy słusznie mogli wymagać.

Ale i jako człowiek był on lepszym — i dusza jego z pewnością nie wyglądała tak brzydko, jak sobie wyobraził p. Windakiewicz. Twierdzi on, że Sarbiewski należy do tych ludzi, których Mickiewicz nazwał samolubami, i że prawdziwe jego oblicze ukrywa się poza mgłami sofisteryi. Pierwszemu panu W. udało się zdmuchnąć te mgły i ujrzał za nimi człowieka bez serca, apoteozującego swe własne błędy, i ubierającego typ zimnego magnata-hipokryty w glorię mędrca (str. 35). Zarzut to ciężki, bardzo ciężki; jakież dowody? Oto ten: poeta, opisując mędrca wyższego duchem ponad doczesność (Lyr. IV, 3), powiada o nim między innemi: *rerum ruinas non sine gaudio spectabit*. To wyrażenie oburza pana W. „Śmiać się z ruin świata — woła w kaznodziejskim zapale — to uczucie, którego tylko szatan zapragnąć może; my dziś posiadamy więcej serca, bo nam upadku każdej dobrej myśli żal, bo nawet dla nieszczęśliwego zbrodniarza czujemy litość i pobłażanie!” (str. 35).

Rozpatrzmy się w rzeczy spokojnie i na zimno. Przedewszystkiem nie pojmuję, jak można w podobny sposób chwycić za słowo — poeetę. Choćby Sarbiewski istotnie chciał wyrazić swą radość z ruin świata, to nieby jeszcze nie uprawniało pana W. do tak surowych sądów i wniosków. Wiadomo przecież, że poeci dla oddania pewnych rysów

wielkości, siły i t. d. używają nieraz dosadniejszych kolorów, śmielszych wyrażen, hiperbol. Byłoby drobiazgowością i doktrynerstwem do każdego podobnego wyrażenia taką przykładać wagę, jaką przykładać się zwykło do historycznych dokumentów lub filozoficznych orzeczeń, sformułowanych z całą precyzją i świadomością. Ale co najciekawsze i co dla czytelnika prawdziwą będzie niespodzianką — Sarbiewski w całej tej odzie ani razu nie narzucił nawet tej myśli, którą w niego wmawia pan W. Powiada on, że choćby złowrogi jakiś wichur przeciwności zgromadził nad głową onego mędrca wszystkie ognie i wszystkie fale, to on na ten grad żywiołów, padających mu na głowę, patrzeć będzie wyzywająco — nie bez radości.

Ille, et caducis se licet undique
 Suspendat auris pontus et in caput
 Unius et flammas et undam
 Vertat agens maria omnia auster:
 Rerum ruinas, mentis ab ardua
 Sublimis aula, non sine gaudio
 Spectabit, et late ruenti
 Subiciens sua colla caelo,
 Mundum decoro vulnere fulciet... i t. d.

Znaną jest przecież rzeczą, że słowo *ruina*, zwłaszcza w poezji, używa się nie tylko na oznaczenie zgliszczy, ale też na oznaczenie rzeczy spadających z góry, że np. *ruina caeli* nazywają się u poetów deszcze, burze, pioruny i t. d.¹ O podobne pojęcie chodziło i Sarbiewskiemu w inkryminowanej odzie, żadną zaś miarą o „ruiny świata“, ani też o upadek „dzieł i myśli ludzkich“. — Oto, na czym się opierał cały zarzut, obwiniający biednego poetę o samolubstwo i o szatańskie uczucia.

Na innem miejscu tak się znowu wyraża p. Windakiewicz: „Historyi zapasów wewnętrznych Sarbiewskiego opowiadać nie potrzeba — ale to jasna, że natura jego nerwowa popadała nieraz w straszne zwątpienia, których przeciwności działały w rozprzegający sposób na wyobraźnię artysty“ (str. 28). O niczem podobnem nie słyszeliśmy dotychczas; źródła współczesne milczą jakoś uparcie o „strasznych zwątpieniach“ poety, owszem, biografowie twierdzą coś wprost przeciwnego. Zkądże pan W. wziął ten szczegół? Z ody 20 księgi IV., gdzie nie innego nie mówi poeta, jak tylko te słowa, zwrócone do Najśw. Panny:

¹ Cfr. Forcellini, Lexicon totius latinit. *Ruina* 9.

„choćby dokoła mnie ryczała sroga burza, choćby mnie wir Charybdy pochłaniał, to jeszcze Twoja prawica wyrwać mnie jest w stanie“. Prawdziwie, zbyt wielkie zamki stawia pan W. na małym gruncie domysłów i wogóle zawiele czyta i widzi — między liniami.

Stosunek np. Sarbiewskiego do Urbana VIII. jest rzeczą do dzisiaj zupełnie niewyjaśnioną, nietkniętą nawet przez nikogo. Pan W. mimo to rozporaz narzuca tę myśl czytelnikowi, że Sarbiewski pod koniec swego pobytu w Rzymie znacznie ochłodził w swoich uczuciach dla papieża i wogóle tak długo się trzymał potężnego protektora, jak długo był mu potrzebnym (str. 14). Dowodem na to ma być ta okoliczność, że ode 22 księgi II., która pierwotnie napisaną była dla papieża, przerobił potem poeta i ogłaszając ją drukiem, poświęcił Zygmuntowi III. Pierwotny tytuł tej ody był taki: *Sibi ex Italia revertenti nullo unquam loco aut tempore Urbanum VIII. carminibus in caelum ferendi studium defuturum*. „Tytuł stanowczo za długi — powiada pan W. — i może posłużyć za świadectwo, że Sarbiewski ku końcowi nieco się zmienił i jak gdyby bojąc się prawdy wyznać, tuszował stan swej duszy“ (str. 14). Że tytuł długi, to prawda; jakim jednak logicznem prawem płyną z niego dalsze wnioski, tego nie rozumiem.

W 10 odzie księgi IV. tłumaczy Sarbiewski przyjacielowi, że życie prowadzić trzeba nie według przelotnych i zmiennych opinii tłumu, ale według zasad i prawd rozumowych. „Ja jestem wyższy — powiada — nad ten tłum, i dobrze mi z tem. Z wysokości mojego ducha patrzę na ludzkie upadki i zboczenia; wolny od wszelkiej obawy, widzę nadchodzące niebezpieczeństwa, a smutne przygody drugich czynią mię ostrożnym i uczą sztuki życia“. Na to pan W. wpada znowu w morały i w retorykę; powiada, że Sarbiewski jest abstrakcyjnym fantastą, że na otoczenie musiał pozostać bez wpływu, bo nie wiedział, jak się do serca przemawia. Dodaje, że chcąc ocenić przepaść występku, trzeba samemu głębie jego zmierzyć, nawet samemu goryczy jego pokosztować. Zasada: *cautum non propriis vivere casibus*, jest — zdaniem jego — wobec dzisiejszych pojęć utopijną, a nawet egoistyczną (str. 34).

Z ustępem tym polemizować nie myślę. Pomijając inne sprzeczności, jakie zawiera, na jedno tylko zwracam uwagę: z brzmienia słów pana W. ta tylko wypływa konkluzja, że poeta, jeśli chce być zrozumianym od społeczeństwa, jeśli chce się nauczyć, jak do serca przemawiać i t. d. i t. d., musi się puścić na drogę występku i zakosztować ze wszystkich kielichów rozkoszy. Prawdziwie wątpię, czy

pan W. chciał tę myśl wyrazić, i zdaje mi się, że w tem miejscu pióro jego śmielsze było od myśli i od zamiaru.

Ostatecznie, co do wszystkich innych zarzutów pana W., dotyczących sposobu myślenia Sarbiewskiego, odpowiadamy mu w imieniu poety:

Wer den Dichter will verstehen,
Muss in Dichters Lande gehen.

Tego właśnie przeniesienia się na grunt poecie właściwy brakuje najbardziej pracy pana W. i z tego głównie źródła — obok błędnego czasami pojęcia tekstu i treści ód — płyną te jego zapatrywania, które naukowo uzasadnić się nie dadzą. Miłość prawdy kazała nam podnieść główniejsze przynajmniej i zasadnicze błędy, a to tem bardziej, że praca pana W. poza sferą tych czysto subiektywnych zapatrywań odznacza się wieloma zaletami treści i pióra, i że żadnemu z przyszłych badaczy Sarbiewskiego nie będzie jej wolno pominąć.

W. Piątkiewicz.

Pamiętnik księdza Grzegorza Micewicza. Poznań 1888.

Listy Unitów wygnanych do gubernii Orenburskiej. Poznań 1890.

Listy Unitów. Część druga. Kraków 1891.

Narzekamy często na niedostatek aktów męczeńskich, składających się w martyrologium polskie, ubolewamy, iż nasi wyznawcy nie spisują ani opisują swych prób i doświadczeń, żalimy się na brak lub rozproszenie materiału ginącego wśród powszechnego ucisku. Gdy jednak podobne dokumenta się znajdują, a wraz i znajdzie umiejętna ręka, aby je uporządkować i wydać, próżno się oglądamy za odpowiedniem i ogólnem zainteresowaniem, które prawie że wyraźniej się znaczy za granicą, aniżeli u nas, zobojętniałych niemal na smutki wygnańcze i bóle męczeńskie, będące codziennym i powszednim naszym chlebem. W dzienniku jeszcze się to i owo przeczyta, po książeczkę mało kto sięgnie, acz tylko w całości można właściwie ocenić i zmierzyć całą groźbę skupionych tu odgłosów, całą świętą prostotę tych bohaterów, nieświadomych własnej cnoty i zasługi, w poczuciu i wiary głębokiej i katechizmowo pojętego obowiązku.

Ks. dr. Chotkowski trzykrotnie nas już darzy odłamami unickiego martyrologium. Część pierwszą stanowi Pamiętnik ks. Micewicza, drukowany zrazu w odcinku *Kuryera Poznańskiego*, a godzien stanąć obok najważniejszych i najpoważniejszych aktów męczeńskich. Głos to po-

grobowy, bo piszący umarł w r. 1879 w Ostrogu, dochowawszy wiary mimo wieloletniego prześladowania, które go do końca ścigało. Rękopis, oddany Bibliotece Jagiellońskiej przez wiarogodną osobę, tem większe ma znaczenie, iż ks. Micewicz miał doskonałą pamięć, a może nawet robił notatki. Ztąd nazwiska i daty podaje dokładnie, nie wystawiając się żadną drobną usterką topograficzną lub inną, na podanie w wątpliwość swego świadectwa, tak jak to Rosya zrobiła wobec opowiadań matki Makryny, korzystając z kilku błędów pamięci czy wyobraźni, aby w czambuł zaprzeczyć ich prawdziwości. Tu najsroższy nieprzyjaciół pozwala skontrolować dokładność ofiary, zapiski bowiem Siemaszki często wspominają ks. Grzegorza Micewicza. W krótkiej przedmowie wydawca objaśnia nam straszną chwilę „przyłączenia miłością“ Unitów z Litwy i Białorusi do zwycięskiego prawosławia. Nie byłoby ono dzieło postąpiło tak szybko, gdyby nie zdrajcy i odstępcy, biskupi: Siemaszko, Zubko i Łużyński, którzy podstępem i knowaniem doprowadzili do tego, iż w r. 1839 przeszło 1300 duchownych z prałatami i kanonikami na czele podpisało petycję do cara o przyłączenie do schizmy. Pamiętnik ks. Micewicza głównie się odnosi do tej mrocznej epoki. Proboszczem był on w Kamieńcu Litewskim od lat piętnastu, gdy w r. 1834 zaczęto podstępnie do nabożeństwa i cerkwi unickich wciśkać odmiany prawosławne, a nareszcie i mszały moskiewskie narzucać. Straszne jest działanie biskupów-odstępców, obmyślających z chytrą przemyślnością stopniową zagładę Unii i obalamucenie niższego duchowieństwa żądaniem podpisów napozór obojętnych, a rozstrzygających o zerwaniu z rzymską jednością. Ks. Micewicz w prostocie czy słabości ducha narazie podpisu nie odmawia; ale zaledwie go położył na jakimś pozornie nic nie znaczącym rewersie, aliści czuje zaniepokojenie sumienia i skrucę iście Piotrową po zaparciu się Mistrza. Natychmiast więc cofa swe rzekome przystąpienie do nowego w Cerkwi porządku i dobrem sercem poddaje się niefortunującemu już odtąd prześladowaniu za wiarę.

A pamiętać należy, iż nie czekała go jednorazowa kara i ucisk, lecz męka blisko półwiekowa, od 1835—79 r. Początki zwłaszcza, gdy wobec ogólnego zwątlenia i gotowości do ustępstw i odstępstw, niewiele znalazło się opornych, były straszne; znęcano się formalnie nad szczupłą garstką wybranych i wyznawców, a jakimi usiłowano ich złamać mękami, opowiada nam jeden z nich, bez chwały żadnej, z pokorą przedziwnej swej prostoty. Utrata mienia, śmierć starego ojca, zgon żony, z którą mu się nawet pożegnać nie dano, opuszczenie

dzieci, uczestniczących w rodzicielskich utrapieniach, skoro niemi także poniewierano niemiłosiernie, głód, wygnanie i przrzucanie z miejsca na miejsce — wszystko to bez słowa skargi lub przechwałki snuje się w tych bolesnych zapiskach. Wystarczy przypomnieć zimę spędzoną w Zahorowie, w r. 1841, gdy garstkę opornych do najcięższych używano robót, każąc im wodę nosić, oczerety na jeziorze rznąć, drzewo rąbać, stojąc po kolana w wodzie, w nieopalonych trzymano mieszkaniach, wysyłano na nocne stráže bez ciepłej odzieży, morzono głodem i obmyślano przebiegle środki dokuczania męczeńskiej gromadce, która zbudowana heroicznemi cnoty opata Bazylianów kobryńskich, ks. Józefa Słobodzkiego, własną wytrwałość za nic sobie ważyła wobec męczeństwa godnego imiennika, zamordowanego w Witebsku, biskupa i patrona Unii. Ks. Słobodzki przykładem swym zagrzewał towarzyszków do cierpienia i wycierpienia wszystkiego za wiarę, a gdy śmiercią przypieczętował życia ofiarę, wskutek okrutnego obchodzenia się z nim superyora karnego monasteru w Zahorowie, utwierdził tem jeszcze i ukrzepił współwynawców w wytrwałości. Ks. Micewicz opowiada nam, jak ręka Boża dotknęła głównych sprawców śmierci ks. Opata.

W ostatnich latach Anglia postarała się o spisanie biografii swych męczenników za wiarę; Francya skwapliwie chroni od zatracenia pamięci ofiar rewolucyi, a płynące z katakumb światło pozwala coraz lepiej zbadać i sprawdzić akta męczeńskie z pierwszych wieków chrześcijaństwa. Dla nas Pamiętnik ks. Micewicza jest nieocenionym przyczynkiem do dziejów wiekowego już prześladowania i ucisku wiary, oraz tępienia Unii w ziemiach polskich; dokument to do historii gwałtu dokonanego przed pięćdziesięciu przeszło laty. Dwie następne i późniejsze książeczki powiadają nas o dalszem przeprowadzeniu dzieła, z taką zawziętością dopełnianego od czasów Katarzyny po dni nasze. Dwa z kolei tomiki podają nam owe listy Unitów, pisane przez zesłanych do orenburskiej gubernii włościan podlaskich, które ks. Chotkowski wydał w ciągu dwóch lat ostatnich w kilku naraz czasopismach polskich, z kąd się one dostały do francuskich, angielskich i niemieckich gazet. Cudownie związana korespondencya daje nam poznać i przebieg gwałtów dokonywanych na Podlasiu, i położenie wygnańców naszych za Uralem. Niepodobna nam tu wdawać się w rozbiór tych listów, które niosą zgnuśniałemu światu wieść serca hartującą, iż mimo rozpasania, zbytku i nadwątlenia woli, mimo zepsucia i rozluźnienia obyczajów a miękkości charakterów, ten boży kwas całą gotowy zacząć mękę, to ziarno gorzyczne ofiary, z kąd wielkie drzewo

w Ewangelii wyrasta, jeszcze się na ziemi znajduje, zadatkim zbawienia ludzi i ludów. Nie możni tego świata, nie mędracy ani uczeni, lecz prostaczkowie uczą nas siły, męstwa, wytrwania i męczeństwa. Mamy świeżo w pamięci owe listy, oraz wspaniałe przedmowy, któremi je wydawca opatrzył, nie potrzeba nam tedy przypominać głównych, bolesnych a przepięknych ustępów tej niezrównanej korespondencji, tych prostaczych głosów, zanoszących swą żalobę najprzód do Boga, a potem do swego ziemskiego opiekuna, który potrafił znaleźć drogę i środki, aby zdala nieść ulgę i pociechę wygnańcom, aby im zapewnić kojącą świadomość, iż nie są od wszystkich opuszczeni i zapomnieni, nareszcie który im ubezpieczył zachowanie życia zbieraniem jałmużn chrześcijańskich, bez których byłiby marnie z głodu zginęli. Tak już oswoiliśmy się z Sybirem, z więzieniem i wygnaniem, że może nie odczuwamy, jak przynależy, całej grozy tych listów, tych opisów, z taką prostotą wysnutych z rzeczywistości, a przeprowadzających nas z wsi podlaskich do kaźni powiatowych, dalej do stacyj więziennych na sybirskiej drodze, nareszcie do tych zauralskich pustkowi, przypominających owe bezwodne wybrzeża i wyspy, gdzie Rzym pogański pierwszych wyrzucał męczenników. Alboż ten lud polski z cichych siól naszych gnany ku północy, ma być przesłańcem ducha bożego, siewcą prawdy, torującym ścieżki i równającym drogi, któreby popłynię zbawienie dla tych olbrzymich krain, siedzących w ciemnościach śmierci, w mroku schyzmy lub pogaństwa?

Jest w tych listach pewna jednostajność szczegółów, która potęguje jeszcze ich znaczenie dopełnianiem się wzajemnem, przydawaniem rysów i wiadomości, pozwalających odtworzyć całość męczeńskich kolei, od urzędowego zniesienia ostatniej dyecezyi unickiej w r. 1875 aż po ostatnie hurtowne zsyłania całych wsi do gubernii orenburskiej. Długą, uciążliwą drogę przebyć muszą owe listy, zanim dojdą do miejsca przeznaczenia. Ztąd ich data cofać nas zwykła wstecz o kilka, o kilkanaście miesięcy, z myślą i pewnością, że niedola, odzwierciedlona w rzecznym piśmie, tymczasem nie minęła, lecz chyba urosła jeszcze rozręsknieniem, niedostatkiem, śmiercią niejednych, a zwłaszcza dotkliwem prześladowaniem, które nawet i za Uralem nie składa bronii, lecz obmyśla coraz to nowe sposoby nękania ducha i gwałcenia sumień. Opowiadano nam świeżo, iż po kilkakroć odwożono orenburskich wygnańców do wsi rodzinnych, wprowadzano napowrót do ich chat, obwożono po ich roli, stawiano wobec żony i dzieci, aby im obiecywać, że byle ustąpili i przystąpili do schyzmy, już nazawsze wśród swoich

zostaną. Mimo tak chytrze przygotowanej zasadzki i pokusy, mimo bolesnego rozrzewnienia podobnej chwili, prostaczkowie ci nie wahali się stwierdzić jeszcze więcej wiarę swą i wierność, i wracali na dożywotnie bodaj za Uralem wygnanie, zostawiając daleko poza sobą heroizm samegoż Regulusa i innych bohaterów niezłomności ducha. Bo w ludzie naszym tkwi — dzięki Bogu! — zasób wiary niewyczerpany a wraz i cierpliwości tyle, że i odporu i wytrzymałości za łaską bożą więcej niż gdziekolwiek się znaleźć gotowo... I mimowoli, listy te czytając, otucha rośnie, pytanie się nasuwa; pytanie, jeśli kiedy i dla kogo, to dziś i dla nas na czasie: jeśli ci prostaczkowie podlascy tyle znieśli, tyle poświęcili, czemużby i inni spośród nas nie mieli się w danym razie wznieść podobnie na wysokość męczeństwa? Dobrze jest rozczytywać się w tych kartach, zapatrywać na te wzory, szukać w tych przykładach zachęty, a przez nie zaprawiać się do wytrwałości i duchem ofiary przejmować. To też ks. dr. Chotkowski dwustronną położył tu zasługę: tak zawiązaniem korespondencji, pozwalającej mu ratować Unitów, jak i wydaniem tejże ku zagrzaniu serc, wystudzonych obojętnością wieku, a wystawionych może na podobne i niedalekie próby.

M.

O stosunkach zdrowotnych w mieście Lwowie. Sprawozdanie za rok 1888. Napisał *dr. Antoni Pawlikowski*, fizyk miejski. Lwów. Nakładem miasta Lwowa. 1891.

Nie mogąc przechodzić pojedynczych działów, które z natury rzeczy zajmują jedynie lekarzów i higienistów, już zgóry zaznaczyć musimy uznanie dla pracy mozolnej a przeprowadzonej niezmiernie starannie. Książka ma nie tylko doniosłą wartość statystyczną, ale trafne spostrzeżenia autora mogą i powinny posłużyć zarządom miast przy zastosowaniu urządzeń zdrowotnych.

Praca poprzedzona jest wstępem, gdzie autor, dla uwydatnienia obecnego stanu stosunków zdrowotnych, sięga do wieku XV. i XVI., do przeszłości Lwowa, zaopatrzonego już wówczas w kanalizację, bruki, wodociągi i instytucję miejskich lekarzów. Zajmującym jest opis położenia i geologicznej budowy kotliny Lwowa, uzupełniony zestawieniem spostrzeżeń meteorologicznych; wykaz ulic i placów, z których jedne są prawdziwą ozdobą miasta, gdy inne, szczególnie targowe, utrzymywane nieczysto, stoją nisko pod względem zdrowotnym. Z cmentarzy, nie wszystkie pokładem ziemi odpowiadają celowi; na cmentarzu Łyczakowskim i Janowskim zwłoki szybko ulegają rozkła-

dowi, natomiast cmentarz Stryjski nie odpowiada względom sanitarnym ani co do położenia swego, ani co do jakości ziemi. Woda i wodociągi miejskie, opracowane tu z szczególną starannością, zawierają prócz uwag ogólnych, szczegółowe sprawozdanie z badań studziennych i wodociagowych. Wspominając o domach mieszkalnych, słusznie twierdzi autor, że domy budowane nawet w pierwszych dziesiątkach lat bieżącego wieku, nie odpowiadają warunkom zdrowia, wśród zmienionych obecnie stosunków politycznych, handlowych, przemysłowych i większego zaludnienia miasta. Autor wytyka usterki, które i my codzień spotykamy: ulice wąskie, podwórza ciasne i brudne, zapełnione istotami rozkładowemi, i źródło swoistych chorób — mieszkania piwniczne.

Orzeczenie, jakie wydaje autor o czterech ochronkach chrześcijańskich, dla nich nadzwyczaj korzystne, jest niejako urzędową pieczęcią, przyłożoną na tej wielce humanitarnej instytucji, a gdy dotąd ceniliśmy w nich pracę wewnątrz i wpływ moralny, dowiadujemy się, że pod względem zdrowia położone są szczęśliwie a urządzone wzorowo. Badanie, dokonane przez specjalistę, wykazało obok zalet i usterki, z których jedno przypadają na karb przełudnienia, inne przy dobrej woli bez trudu dadzą się usunąć.

Dalsze działy sprawozdania przeprowadzone są ze ścisłością zawodową, która jednak nie przeszkadzała czystości języka i dobrej polszczyźnie; jestto jedno z tych wydawnictw, które dla stosunków zdrowotnych mają wartość — namacalną.

Dr. P. R.

Index Lectionum Uniwersytetu Fryburgskiego na semestr zimowy 1891—1892.

Nie wspominalibyśmy o rozkładzie wykładów nowej wszechnicy, ogłoszonym i w czasopiśmie codziennych, gdyby miejsce zwykłej rozprawy nie było zajęło bliżej nas obchodzące, a świetne studium d-ra J. Kallenbacha o humanistach polskich: *Les humanistes polonais*. Dobrze o nich wiedział niegdyś świat uczony, ale dziś tylko najuczciwsi pamiętają, ogół zaś zapomniał o nich, może z naszej winy, bośmy uciekli w międzynarodowym chórze podbojów wiedzy i studyów przeszłości. Lepiej się jednak dzieć znów u nas i przez nas zaczyna, a do poważnych prac, którym hetmani Akademia umiejętności i Uniwersytet Jagielloński, przybyszą i bardzo cenne roboty w obcych spisywane językach, ustawiające pomost zbyt długo przerwany między umysłowością zagraniczną a naszą.

Odnaczają się w tym kierunku dwaj świeżo powołani do Fryburga profesorowie, których *Alma Mater* Jagiellońska ustąpiła katolickiej na Zachodzie siostrzycy. P. Miodoński współpracownictwem z uczonym Wölflinem ustalił dobre imię polskiej nauki i pilności; p. Kallenbach na skrzydłach uniwersalnej mowy francuskiej usiłuje zdobyć nanowo dla naszych humanistów wysokie stanowisko, jakie zajmowali za czasów odrodzenia. Pisze dla cudzoziemców, i z wielkim też taktem głównie cudzoziemskie przytacza głosy, świadczące o powadze przyznawanej naszym humanistom przez koryfeuszów renesansu: Erazma, Casaubona, Mureta, Lygoniusza i innych. Oczywiście, dla polskiego czytelnika przedmiot to znany, i ztąd osobnego nie wymagający sprawozdania. Pochwalić natomiast należy zręczność układu, i misterne dobranie rysów, przemawiających do obcych czytelników bądź łącznością z Zachodem, bądź pochwałą znanych mędrców i mistrzów myśli, bądź nareszcie czarem umiejętnie dobranych nazwisk, jak np. zamknięcie pocztu humanistów polskich zaklętem imieniem Sobieskiego, na którym się ogranicza zwykle pospolita o Polsce wiadomość u Francuzów; stosunek Jakóba Sobieskiego z Casaubonem dostarczył tu osobnego ustępu, a wizerunek Jana Zamoyskiego wypadł pełniej i szczęśliwiej od niejednego dłuższego portretu i monografii założyciela szkoły w Zamościu.

Bardzo gładki styl francuski uzupełnia wartość tej rozprawy, którą każdy z przyjemnością i pożytkiem przeczyta. Takiego rodzaju prace są zarazem czynem patriotycznym i obywatelską zasługą, a każde wkroczenie w literaturę zagraniczną uważamy jako pokojowy podbój, wracający w części Rzpltej dawne jej znaczenie i chwałę.

M.

Drobiazgi historyczne. Przez *Aleksandra Kraushara*. Petersburg. Księgarnia Polska (Br. Rymowicz). 1892. Tom II. (Str. 372).

Zaledwie zdążyliśmy przedstawić czytelnikom *Przeglądu* pierwszy tom „Drobiazgów“¹, a już i drugi pojawił się na półkach księgarskich. Te same temu młodszemu, co i starszemu bratu, należą się pochwały; te same, choć lekkie i niewiele znaczące uwagi raczej, niż nagany. Każdy z przedstawionych nam obecnie „Drobiazgów“, równie: „Marek Reverdil“, jak „Obrazek Warszawy“, „Przygody Francuza Payen'a w podróży z Gdańska do Krakowa“, jak „Notatki Anglika Morisona

¹ Por. *Przegląd Powszechny* z września 1891, str. 406 i nast.

z podróży po Polsce, odbytej r. 1593“; „Maska żelazna“, jak „Rameses Baltazzani, *vulgo* Winiarski“ — zawdzięczają swe istnienie szczęśliwej okoliczności, czasem przypadkowi, dzięki któremu wpadł w ręce p. Kraushara stary jakiś druk, lub nieznaną manuskrypt, na którego tle dało się wywieść z zapomnienia jakąś ciekawą postać, dorzucić jeden rys do historii obyczajów, cywilizacji w Polsce, i nie w samej tylko Polsce. Jak z tego już widać, autor nie ma wcale pretensyi do jakichś monumentalnych studyów; nie myśli i nie chce uczonym aparatem czytelnika odstraszać; a skromność ta dobrze zrozumiana, z pewnością książkę jego nie zaszkodzi. Można by się może czasem z autorem pospierać, czy ta lub inna osobistość zasługiwała istotnie na to, aby ją światu prezentować; czy Marka Reverdila nie lepiejby było utopić w księgach dokumentów, przeznaczonych tylko dla fachowych historyków, a nie dla szerszej publiczności; czy „Maska żelazna“ nie nadawałaby się raczej dla francuskiego jakiego czasopisma; czy z relacją o Winiarskim nie lepiejby było poczekać, dopóki nie dałoby się wyszukać dokumentów, rzucających choć odrobinę więcej światła na tego awanturnika? Ale są to zarzuty, co do których — z wyjątkiem odnoszącego się do Reverdila — wolno ostatecznie krytykowi być innego zdania, autorowi innego.

O „Wspomnieniach Trybunalskich“ nie wspominam, gdyż sądzę, że do „Drobiazgów“ przemocą tylko się dostały, dla nadania książce odpowiedniej objętości. Istotnie wspomnienia te nie są jeszcze „historycznymi“, a jeśliby znów historycznymi być miały, to aż do przesady są drobne, szczupłe, i tym, którzy portretowanych w nich mecenasów warszawskich osobiście nie znali, nie dają o nich najmniejszego wyobrażenia.

Czy to nie surowa krytyka książki bądźco bądź dobrej, napisanej lekko, przyjemnie? Nie przeczymy; ale mamy wrażenie, że p. Kraushar, z niemalą szkodą naszą, talent swój od pewnego czasu rozdrabnia, liczną, ale trochę zdawkową monetą nas obdziela. A przyznajemy, że wolelibyśmy dostać raz dukata, niż co kwartał po błyszczącym i pożytecznym groszu — ale ostatecznie tylko groszu. B.

Szare godziny. Przez *Czesława Pieniążka*. Kraków. Nakład Gebethnera i Spółki. 1891.

Do niezliczonej ilości powieści i nowel, których łaknie, któremi się karmi dzisiejsza publiczność, przybył nowy tomik: „Szare godziny“, pióra powszechnie u nas znanego fejetonisty, p. Pieniążka.

Na pierwszy rzut oka można poznać, że te „drobne obrazki z życia“ powstawały w szarych godzinach autora, *à ses moments perdus*, gdy ustała już ciężka praca dzienna, a nie czas jeszcze na lampę, przy której nowa, obowiązkowa czeka praca, — w chwili przeznaczonej na wypoczynek i — obserwację.

Horyzont tych kilku nowelek nie jest zbyt szeroki; ledwie główne kontury naszych galicyjskich stosunków dostrzedz można na mrocznem tle szarej godziny. Tematy nie są owocem mozolnych poszukiwań i szperań. Autor nie szukał sztucznych kontrastów ani efektownych zawikłań, nie robił długich notatek ani poważnych studyów nawzór dzisiejszych powieściopisarzy i nowelistów francuskich, ale poprostu, śmiałą i pewną ręką naszkicował nam kilka postaci żywych i znajomych, które w powszednim życiu codziennie spotykamy, a widząc ich fotografie, robione niejako aparatem migawkowym, poznajemy natychmiast i nazywamy po imieniu. Sytuacje zawsze te same, bo na ubogiej i małej scenie naszego prowincjonalnego życia, nie stać nas na nowe dekoracje: marszałek „Molierowej w domostwie słabości“, ulegający we wszystkim żonie, stara się o bogatego zięcia, i jak zawsze w takich razach, on osiada „na lodzie a panna na koszu“; pan Antoni walczy z biedą i nędzą niestety bezskutecznie; „Wojna białej i czerwonej róży“ kończy się nie jednym, ale aż dwoma małżeństwami, bo wszyscy przecież wiemy, że „dobrze, gdy obie strony mają panny albo wdowy na wydaniu“ — i tak dalej aż do końca. Sytuacje te znamy już dobrze, ale mimo to z przyjemnością je tu widzimy, jak dobre znajome, do których ciągnie nas nie tyle ciekawość, ile pewne uczucie przyjaźni.

Co do charakterów, to te w naszych demokratycznych czasach tracą coraz bardziej na oryginalności i zacięciu tak, że typy nie występują równie wyraźnie jak przed laty; przytem tylu już ludzi od czasów Lema opisywało ich śmieszne i słabe strony, że niełatwem jest skreślić postacie biurokratycznych urzędników i lekkomyślnych paniczów, jak Lolo, bez popadnięcia w banalność i szablonową rutynę. A jednak p. Pieniążek pokonał te trudności i stworzył całość udatną i zaokrągloną, dalszy ciąg „Jasných dni“.

Barwny styl, piękny i poprawny język, niemało przyczyniają się do podniesienia wartości tych drobnych utworów, które czyta się lekko i przyjemnie, co jest najlepszym dowodem, że osiągały cel zamierzony. Niektóre z nich traktowane są z pewnym realizmem i robią wrażenie; takim jest „Pan Antoni“, który walczy napróżno w obronie swych

obowiązków przeciwko zbiegowi okoliczności i innym przykrościom i kłopotom życia i w walce tej ginie bez nagrody i zapłaty, a znajduje wsparcie i prawdziwą pomoc tylko u żyda. Nie wzbudza on jednak takiej litości, na jakąby zasługiwał, bo przeczuwamy raczej niż wiemy, że jestto niepraktyczny i nieporadny, chociaż niezaprzeczenie szlachetny idealista. Tu i ówdzie błyska dowcip i humor, ten dawny staropolski humor, który wydał „Jowialskiego“ i „Zemstę“, którego wpływ znać i w „Panu Tadeuszu“; zaleta tem cenniejsza, że niestety coraz u nas o nią trudniej.

Niepodobna nam po kolei szczegółowo rozbierać każdego z tych „drobnych obrazków“; wolimy odesłać czytelników do „Szarych godzin“. Zaznaczyć nam jednak wypada, że dziś, wobec nawału pism jak najgorszej tendencji, miłym i pokrzepiającym ducha objawem jest ukazanie się na półkach księgarskich książki tak pocziwej, wyznającej śmiało i jasno chrześcijańskie zasady; składającej nam dowód nietylko bujnej fantazyi, powieściopisarskiej rutyny autora, ale i zdrowych jego poglądów, zmysłu moralnego.

A teraz słowo jeszcze co do zewnętrznej formy „Szarych godzin“. Wyszły one w Krakowie i wyszły z ilustracyami, niestety nie przyczyniającemi się wcale do upiększenia tej publikacyi. Szczególnie pierwsza ilustracya, „Na balu“, razi wielkimi błędami rysunku. Inne są mniej lub więcej udane jako układ, ale rytowanie jest poprostu lichie i pozostawia wiele do życzenia.

As.

Z polskiej literatury ascetycznej.

1. *Godzinki ku uczczeniu św. Urszuli i 11.000 ŚŚ. Dziewic*, ułożone przez *bl. Hermana Józefa Premonstratensa* między r. 1183 a 1187. Przetłumaczył z łacińskiego ks. Józef Błonarowicz, kapelan SS. Urszulanek w Krakowie. Wydanie drugie, pomnożone wiadomością o męczeństwie św. Urszuli i Jej Towarzyszek, oraz Zbiorkiem Modlitw. W Krakowie, w drukarni „Czasu“, 1892. (Str. 76, w 32-ce).

Cześć św. Urszuli, od najdawniejszych czasów istniejąca w Polsce, a idąca w parze z rozwojem i zbożną działalnością jej duchownych córek, doznaje dziś ponownego poparcia w tem małym, lecz nader miłym dziełku. Gruntownie opracowany żywocik świętej patronki Warszawy, Krakowa i całej Polski prostuje na podstawie badań uczonych Bolandystów błędne mniemania i legendowe pojęcia o męczeńskim dramacie 11.000 Dziewic, rozegranym poza wałami Kolonii. Hymn bl. Józefa Hermana, stanowiący w pięknym rozkładzie tło godzinek, chwytą

za serce w barwnem a dokładnem tłumaczeniu. Na końcu dodane są modlitwy, pieśni i hymny do Serc Jezusa i Maryi, św. Józefa i św. Anieli Merici, założycielki Zakonu SS. Urszulanek.

2. **Matka Boska Nieustającej Pomocy.** Podręcznik ułożony dla Bractwa N. M. P. Nieustającej Pomocy i św. Alfonsa, założonego w kościele OO. Redemptorystów w Mościskach. Kraków. Druk Wł. L. Ancyca i Sp. 1891. (Str. 438, w 8-ce).

Słusznie cieszyć się nam wypada, iż w czasach dzisiejszych szerzy się wśród biednego narodu naszego cześć do Matki Bożej Nieustającej Pomocy: bo też istotnie bardziej może niż kiedyindziej potrzebujemy pomocy tej Orędowniczki i Królowej Polski. Więc też, choć dziełko to ułożone zostało dla Bractwa, istniejącego w Mościskach przy kościele OO. Redemptorystów, niemniej pożytecznem się stanie i dla tych, co zeń korzystać pragną, posługując się zbiorem pięknych modlitw, ku czci Maryi ułożonych. Historia cudownego obrazu, którego podobizna na pierwszej umieszczona karcie, pouczy ich o tych cudach łaski, które Bóg przez ręce Maryi wciąż zlewa na ziemię. Nauka o bractwach w ogólności, w szczególności zaś o Bractwie M. Boskiej Nieustającej Pomocy i św. Alfonsa, zachęci niejednego do poświęcenia życia swego ku chwale bożej i czci Maryi, zwłaszcza jeśli pozna ustawy, cel i ducha Bractwa, jego duchowne ćwiczenia i liczne odpusty temuż Bractwu udzielone. Prócz nabożeństwa do M. Bożej, książka mieści różne ćwiczenia pobożne, służące do uświęcenia chrześcijanina, a więc: modlitwy poranne i wieczorne, słuchanie Mszy św., nabożeństwo do Najśw. Sakramentu, liczne nowenny do ważniejszych świąt roku, nabożeństwa do świętych Patronów Bractwa, naukę o szkaplerzach i kilka pieśni do N. Maryi Panny i św. Alfonsa. Dochód z tego bardzo taniego, 25 cent. kosztującego dziełka, przeznaczony został na ołtarze w kościele OO. Redemptorystów w Mościskach.

3. **Śmierć i jej nauki w przykładach.** Przez *O. Fr. Ks. Schoupe'go T. J.* Z oryginału przełożył Wł. M. W Krakowie, nakładem Księgarni katolickiej d-ra Władysława Miłkowskiego. 1892. (Str. 253, w 8-ce).

Chcąc dać poznać cel i ducha tego dziełka, przytoczmy najlepiej parę zdań, umieszczonych w przedmowie przez znakomitego i znanego autora: „Nie zamykaj tej książeczki dlatego, że ci mówi o śmierci. Czyliż bowiem gazeta, którą czytasz codziennie, nie mówi ci o niej? Ciekaw jesteś wiedzieć, kto umiera codzień... Doprawdy, śmierć nie oszczędza nikogo... Prawo śmierci zawiera lekcye najwyższej mądrości... niesłuchanie cenne dla żyjących... lekcye te podajemy w tem dziełku. Wykładamy je nie w teoryach oderwanych i suchych, lecz

w szeregu przykładów interesujących, które czynią czytanie zarówno pociągającym, jak i nauczającym“. Do tych słów autora dodamy, iż przykłady w wielkiej części czerpane są z życia mężów głośnych w dziejach świata, inne wzięte z życia Świętych, a wszystkie nie potrzebują się lękać choćby najsurowszej krytyki historycznej. Trafne i głęboko religijne uwagi, któremi autor przeplata barwne swe opowiadania, nadają dziełku temu wartość prawdziwej pracy ascetycznej, co nie nuży czytelnika, owszem, zajmuje, a jednocześnie zasila spragnioną duszę pokarmem bożej, gruntownej nauki. Tłumaczenie poprawne i sumienne, staranne wydanie, druk jasny, a format wygodny.

4. **Nowe czytania majowe** o znakomitszych świętych czcicielach N. Maryi P. Zebrał ks. Józef Krukowski S. T. D. Kraków. Nakładem autora. 1892. (Str. 152).

Czwarta to już — o ile wiemy — serya nauk i czytań majowych, ogłoszonych przez ks. d-ra Krukowskiego; w poprzednich wykładach „Tajemnice Różańca“, uczył, jakie były cnoty Maryi, Jej radości i smutki; obecnie, trzymając się starego zdania: długa droga przez prawidła, krótka i skuteczna przez przykłady — stawia przed oczy wzory znakomitszych — jak sam się wyraża — świętych czcicieli Maryi. Pierwszymi czcicielami, to Apostołowie, Ewangelisci; dalej idą w pięknej tej, budującej galeryi, męczennicy z pierwszych wieków chrześcijaństwa: Ignacy, Cecylia; ojcowie i doktorowie Kościoła: Cyryl Aleksandryjski, Grzegorz W., Jan Damasceński, Bernard; zakonodawcy, biskupi: Franciszek z Asyżu, Dominik, Teresa, Wincenty à Paulo; szczególnie patronowie młodzieży: Alojzy, Jan Berchmans, i długi, wdzięczny szereg polskich Świętych: Wojciech, Jadwiga, Salomea, Kunegunda, Jolanta, Jan Kanty i Jan z Dukli, Kazimierz i Stanisław Kostka, Jacek, Czesław, Bronisława. Szkoda, że nie znajdujemy Stanisława biskupa; czyżby żywot jego nie podawał nam żadnych szczegółów, świadczących o jego czci i miłości dla Matki Bożej? Zwracamy również uwagę, że Jan Berchmans otrzymał uroczyste już przed kilku laty tytuł „świętego“. „Tuszemy sobie — powiada autor we wstępnem czytaniu, a my za nim chętnie powtarzamy — że czytania te mile przyjęte i uważnie będą słuchane“.

A. M. W. — B.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Die Wohlthätigkeitsanstalten der christlichen Barmherzigkeit in Wien.

Von *Heinrich Pesch S. J.* (S. 142). Freiburg im Breisgau. Herder'sche Verlagshandlung. 1891.

Nawzór głośnych studyów pana Maxime du Camp, hr. d'Haussonville i innych, o paryskiej nędzy i paryskim miłosierdziu, daje nam obecnie O. Pesch częściowy przynajmniej obraz wiedeńskiej nędzy, wiedeńskiego chrześcijańskiego miłosierdzia. Częściowy to, niedokładny obraz, jak sam autor wyznaje; do nakreślenia zupełniejszego, innych, dłuższychby trzeba studyów, innych środków. Wszakże i z tego szkicu raczej, niż z obrazu, niejedna piękna płynie nauka, a zarazem pociecha, że i w austriackiej stolicy, która zdawałoby się, tak stosunkowo niewiele o wyższe chrześcijańskie ideały się troszczy, tyle dobrego się kryje, że i tu tak wspaniale rośnie i rozwija się, choć mało ludziom znane, to przecież Bogu na chwałę, ludziom na pożytek, drzewo chrześcijańskiego miłosierdzia.

Nędzy, strasznej i bolesnej, nędzy i ciała i duszy w Wiedniu nie brak. Dość powiedzieć, że wedle urzędowej statystyki, pada rocznie od 200 do 250 nieszczęśliwych ofiarą samobójstwa; że w r. 1889 na ogólną cyfrę 29.640 nowonarodzonych dzieci, 12.540 przyszło na świat poza legalnem małżeństwem; że w tymże samym roku 331 osób apostazyowało od wiary katolickiej, a tylko 231 do niej powróciło. A ileż chorych, starców, sierot, literalnie z głodu umierających, moralnie upadłych! Dla nich wszystkich Kościół, jak wszędzie, tak i we Wiedniu, wybudował szpitale, przytulki i ochrony; dla zaradzenia każdej z tych bied i potrzeb utworzył, i dziś, stosownie do odmiennych wymagań i w odmiennej szacie na jaw występującej nędzy, nowe tworzy zakony, kongregacye, bractwa. Ośmnaście zakonnych stowarzyszeń, liczących około 1800 członków, poświęca się tej służbie ubogich. Synowie i córki św. Wincentego pierwsze tu miejsce zajmują; obok nich, współzawodnicząc w bożem tem dziele, pracują Elżbietanki, Bormeuszki, Córki Bożej Miłości, Służebnice Najśłod. Serca Jezusowego, Tercyarki franciszkańskie, Siostry od Krzyża, Siostry szkolne św. Franciszka Serafickiego... Autor oprowadza nas szczegółowiej po niektórych tylko z tych klasztorów i zakładów; wszędzie czeka zwiedzających równie przejmujący, jak budujący widok. Ileż zawodów, boleści kryje się np. w tym od kilkunastu ledwie lat stojącym „domu miło-

sierdzia“ — szpitalu dla nieuleczalnych w Währingu; jak tu, gdzie już wszelka ziemska nadzieja wygasła, jasno i wspaniale występuje konieczna potrzeba wyższej, z wiary zaczerpniętej pociechy. Między 187 chorymi, znajdują się i tacy, co już od 12 lat, tj. od chwili założenia szpitala, tu się znajdują. W ufundowanym r. 1877 przytulku dla starców, na Herrengasse, zostaje pod troskliwą opieką Boromeuszek 176 osób, których wiek, razem wzięty, wynosi około 11.000 lat. Różne, przeróżne stanowiska społeczne, niedołężni ci dzisiaj starcy niegdyś zajmowali: spędza tu ostatnie swe lata, chrześcijańskiemu miłosierdziu opiekę i chleb codzienny zawdzięczając, jedna wdowa po jenerale, dwie po radcach dworu, cztery po lekarzach, ośm byłych nauczycielek; sieroty pozostałe po inżynierach, kupcach, urzędnikach. Między 43 byłymi sługami, znajduje się parę, co musiały szukać tutaj na starość schronienia, bo wszystkie swe oszczędności oddały wspaniałomyślnie swemu państwu, aby ich uratować od grożącej nędzy.

W mniej więcej 40 ochronkach, zostających pod zarządem zakonnic, otrzymuje wychowanie i naukę około 6000 dzieci. Oprócz tego uczęszcza 2200 ubogich dziewcząt na udzielaną przez zakonnice w 25 szkołach naukę robót ręcznych. Same Tercyarki św. Franciszka zawiadują 20 szkołami, w których uczy się przeszło 3000 dzieci; mają one nadto pięć szkół przemysłowych dla dziewczyn, z 600 uczennicami, i dwie kompletne szkoły dla dziewczyn, również z przeszło 600 uczennicami. W założonym przez cesarzową Karolinę Augustę zakładzie dla żołnierskich córek, znajduje się 87 pensyonarek; z tych dwie tylko same pensję płacą. Córki Bożej Miłości założyły i zawiadują mnogimi „zakładami Maryańskimi“, dającymi wychowanie sierotom, utrzymanie i oparcie ubogim, służby szukającym dziewczynom; ile same te tylko zakłady zdziałały dobrego, ile złego odwróciły, Bóg jeden policzyć może. Dość powiedzieć, że od założenia nowej tej, w Wiedniu zrodzonej kongregacyi, a zatem od r. 1868, znalazło przytułek i naukę w Maryańskich zakładach około 55.000 dziewczyn służących i 14.000 sierot; z nauki niedzielnej korzystało do 5000 dziewczyn, z osobno udzielanej nauki robót ręcznych przeszło 11.000.

W dwóch obszernych rozdziałach opowiada autor historię założenia i rozwoju kongregacyi „Pobożnych Robotników“ i przytulku „Dobrego Pasterza“. Trudno tę historię bez wzruszenia czytać. Założycielem kongregacyi „Pobożnych Robotników“ jest wiedeński Dom Bosco, jak go powszechnie nazywają, ks. Antoni Schwartz; potrafił on zgromadzić koło siebie znaczną liczbę ludzi, ożywionych duchem

najszczytniejszej miłości, ślubujących Bogu, że „wszystkie siły ciała i duszy poświęcą dla dobra stanu rzemieślniczego i robotniczego, o ile tylko na to pozwolą posłuszeństwo i reguły zgromadzenia“ — i z ich pomocą dokazuje prawdziwych cudów: gromadzi całe zastępy rzemieślników, terminatorów, uczy ich Boga poznawać i kochać. Zakonnice „Dobrego Pasterza“ opiekują się upadłymi dziewczętami, zarządzają więzieniem dla kobiet w Wiener-Neudorf; a błogą ich, obfitą w skutki działalność, wszyscy — mniejsza o to z jakiego obozu — jednomyślnie uznają.

Parę to dat i cyfr, nie mających bynajmniej pretensyi do niedokładnego choćby streszczenia broszury O. Pescha; ale z których, sądzymy, poznać przynajmniej można, że jest ona istotnie ważną. Kiedyż wreszcie — a nie pierwszy to raz z gorącym tem życzeniem odzywamy się — kiedyż wreszcie i my zapoznać się będziemy mogli z dokładną historią dobroczynności choćby jednego z miast naszych, choćby np. jednego tylko Krakowa?

B.

Die Verbrecherwelt von Berlin. Von *Ω. Σ.* Berlin und Leipzig. Verlag von I. Guttentag. (S. 243).

Was Berlin verschlingt. Von *Hans R. Fischer.* Berlin. Verlag von Kurt Brachvogel. (S. 154).

Pierwsze z tych dziełek wyszło już przed paru latami, drugie przed kilku miesiącami, ale złączyliśmy je ze sobą, bo choć, prawdopodobnie mimo woli autorów, uzupełniają się one wybornie i razem dopiero dają nam pewne, naturalnie niezupełne i niewyczerpujące wyobrażenie o stolicy niemieckiego cesarstwa. Tajemniczy *Ω. Σ.* przedstawia jedną bardzo ciemną stronę berlińskiego świata, wprowadza w kraj zbrodni i oszustw wszelkiego gatunku i rodzaju; drugi autor wprowadza znowu w świat berlińskiej nędzy i opowiada, jakimi sposobami i z jakim powodzeniem urzędowy i prywatny Berlin nędzy tej stara się jeśli nie zaradzić, to przynajmniej zmniejszyć ją i osłodzić; jak i o ile o to się troszczy, aby nędzarzów nie przemienić w zbrodniarzów. Nędza, lekarstwa przeciw niej użyte, występki i zbrodnie, w znacznej części z niej wykwitające: oto bolesny, ale z wielu względów pouczający, „społeczny obraz“, który w dwóch zacytowanych powyżej książeczkach przed oczami czytelnika się przesuwają; obraz tem cenniejszy, że odmalowany ręką ludzi, którzy opisują to tylko, co sami widzieli, czego dotknęli się własnymi rękami.

Żadne z pewnością inne europejskie miasto nie wzrosło w ostatnich kilkudziesięciu latach i w ludność i w obszar z taką szybkością, co Berlin; do żadnego może nie napłynęło w tak krótkim przeciągu czasu tylu rzeźmieszków wszelkiego gatunku i zawodu; w niewielu zapewne innych miastach smutne okoliczności nie rzucają tak szybko i w takiej ilości przybywających za zarobkiem całymi legionami z prowincyi robotników i robotnice w wir występku, w kał zepsucia. Olbrzymie, dopiero co zbudowane siedmio- i więcej piętrowe domy, całe, niekończące się ulice, w ostatnich latach z ziemi wyrosłe, są zbyt często poprostu wielkimi gniazdami najrozmaitszych łotrów i łotrzyków. Przeszedłszy bramę takiego domu, zdaje ci się, żeś bramę piekła przeszedł: krzyk i hałasy, najordynarniejsze przezwiska uderzają o uszy gęstym gradem, kobiety z miotłami i różnymi, arcynieestetycznymi pociskami w rękę, wiodą ze sobą homeryczne walki. Najsmutniejszy los dzieci, żyjących, a raczej moralnie i fizycznie gnijących w tej strasznej atmosferze; kradzieże, popełnione przez ośmio- i dziewięcioletnie dzieci, nie należą wcale do rzadkości; w lat parę później wybierają sobie nieszczęśliwe te istoty swoje złodziejskie „specjalności“; zbierają się w dobrze zorganizowane bandy, urządzają z wyrafinowanym dyplomatycznym zmysłem wspólne napady. Naturalnem schronieniem tych młodocianych i nietylko młodocianych przestępców; akademiami, w których młodzi uczą się swej sztuki od starszych i doświadczeńszych; parlamentem, gdzie wspólne toczą się narady; miejscem zbytu „nabytych“ i „znalezionych“ towarów — są tysiączne knajpy i handle win i wódek. Przed kilku laty liczono w Berlinie przeszło 6000 knajp, a więc jedna na 200 mieszkańców; nieraz w jednym domu doszukać się można aż trzech „restauracyj“; na jednej z ulic, liczącej dziesięć domów, widnieje tyleż napisów, donoszących, że można się tu pokrzepić jadłem, a przedewszystkiem napitkiem.

Ztąd też po dojrzałem zastanowieniu się i naradzie, rozchodzą się na wszystkie strony stolicy wprawni złodzieje, którzy — jak autor nasz się wyraża — trzymają między złodziejami całego świata palmę pierwszeństwa; są „centrem, koło którego grupują się, od którego biorą oddech i życie wszystkie inne berlińskie występkę“. Dzisiejsza berlińska organizacya złodziejska zrodziła się podobno, i to już na początku bieżącego wieku, nie na berlińskim bruku, ale w małych, przepełnionych żydowską ludnością miasteczkach W. Księstwa Poznańskiego; żydowsko-poznańscy złodzieje tworzyli odrębną kastę, przekazywali swe rzemiosło dzieciom i wnukom, a rozszerzając zwolna pole swej działal-

ności, dotarli do Wrocławia, Berlina, nawet do Frankfurtu. Dziś, w Berlinie przynajmniej, element żydowski nie zajmuje już w państwie złodziejskim tak przeważnej, jak dawniej, roli, ale pozostało po nim wiele śladów i skrupulatnie chowanych tradycji; pozostała przedewszystkiem używana powszechnie hebrajsko-złodziejska gwara. Sam zbrodniarz, to: *Kochemer* (mądry, roztropny); każdy, kto złodziejskim prze-mysłem się nie trudni: *Wittsze* (głupi). Złodziej (*Gannev*), zamierzający popełnić kradzież (*Masematten*), musi sobie wyszukać pośrednika (*Baldowers'a*), któryby mu wskazał i przygotował odpowiedni teren do pracy (*auszubaldowern*) i t. d. Starsi, doświadczeni złodzieje, trzymają się bardzo ściśle swej specjalności; złodziej kieszonkowy nie skusi się na przywłaszczenie sobie w sklepie lub pokoju najmniejszej nawet drobnotki; złodziej „sklepowy“ nie sięgnie do cudzej kieszeni i uczyniony sobie w tym kierunku zarzut odepchnie ze szczerem oburzeniem. *Kittenschieber*, złodzieje domowi, operujący w bardzo rannych godzinach, nie kradną wieczorem; *Tchillesgänger*, pracujący o zmroku, nie poniżą się do przedsięwzięcia rano lub w dzień swych wycieczek.

Berlińską specjalnością są chytrzy wyzyskiwacze naiwnych przybyszów z prowincyi, *Berliner Bauernfänger*, o których ze strachem, z pewną dozą czci zmieszanym, krążą po całych Niemczech tysiączne opowiadania, z nieprawdopodobieństwem graniczące anekdotki. Wyzyskiwacz, porządnie ubrany, zaznajamia się z przybyszem, oprowadza go po mieście, a później zaprowadziwszy do jakiegoś „bardzo porządnego lokalu“, zgrywa niemiłosiernie w karty lub upaja i następnie, oczywiście, obrabowuje do ostatniego grosza. Jeszcze, i to o wiele smutniejsze w następstwach, są urządzone przez oszustów najczystszej wody „pośredniczące“ i „wywiadowcze biura“, w których biedni rzemieślnicy, służące i t. d. tracą wszystkie swe oszczędności. Na innego rodzaju „przemysły“ i „interesa“, o których pewne, choć słabe wyobrażenie dać może najnowszy, a tak głośny reskrypt cesarza Wilhelma, rzućmy dyskretnie zasłonę. Wedle, co prawda, bardzo niedokładnych danych statystycznych, żyje w Berlinie około 25.000 (inni utrzymują, że dwa lub trzy razy tyle) kobiet żyjących z tego rodzaju przemysłu; o mężczyznach statystyka milczy, ale i tych nie brak. Jak złodzieje, tak i ci przemysłowcy co na własną rękę pracują, i ci co mają pod sobą, komenderują i najstraszliwiej wyzyskują formalną armię upadłych istot, mają swą osobną gwarę, w razie potrzeby nie cofają się i przed użyciem noża.

Jak społeczeństwo przeciw zbrodniom tym się broni, jakich używa

środków, aby im zapobiedz, jak i o ile stara się złagodzić nędzę, wpłynąć na moralne uszlachetnienie tych, co dziś jeszcze z dreszczem o zbrodni myślą, ale jutro sami może do niej ręki przyłożą? Na te najważniejsze pytania daje, a raczej daćby nam chciał, odpowiedź autor drugiej z zacytowanych w nagłówku broszur. Odpowiedź to, powiedzmy zgóry, smutna, bardzo smutna.

Kiedy czytamy o występkach rozwielniającym się w Paryżu, nawet w Wiedniu, myśl tyłu okropnościami stroskana, zwraca się z pewnością ulgi i pociechy ku tym mnogim przybytkom chrześcijańskiego miłosierdzia, w których każda nędza ludzka znajduje pomoc, dla każdej choroby zgotowane lekarstwo. W Berlinie są również wielkie szpitale, przytulki, ochronki, ale jeśli tak wyglądają, jak nam je nie-podejrzany i wcale przeciw nim nie żywiący antypatyi świadek, p. Fischer, przedstawia, to dziwić się nie można, że wpływ ich tak mały, że tak nic nieznaczącą tamę złemu stawiają. Wszyscy ci dozorczy i dozorcynie w szpitalu ubogich, w przytulku dla kobiet, w przytulku dla służących, mogliby, w niczem sposobu postępowania nie zmieniając, przywdziać uniform dozorców w przesuwających się nam następnie przed oczami więzieniach i domach karnych. Ci ludzie równie zimni, nieczuli, jak zimne mury tych przytułków, do więzień podobnych. Nie dziw, że biedacy uciekają od nich, pokąd mogą, a nieraz, niestety! stronią od nich i wtedy jeszcze, gdy pozostaje im wybór między „przytulkiem“, w którym muszą się poddać policyjnemu śledztwu i narażają na nieuszanowanie swej biedy, a norą, w której pozostawiają cnotę i rzetelność.

I to bez wątpienia najsmutniejsze uczucie, które pozostaje po tych dwóch obrazach, przedstawiających ciemne, bolesne strony niemieckiej stolicy: krzewi się złe, jak krzewi się wszędzie, ale gdy gdzieindziej wiara żywa, dobroczynność wiarą natchnięta do walki ze złem staje, to w Berlinie walkę tę podejmuje niemal jedynie państwo, a dotychczas — tak przynajmniej z rozbranych tu rozpraw wnioskowaćby należało — nie wychodzi z niej zwycięsko.

Z.

Histoire de l'art chrétien aux dix premiers siècles. Par l'abbé Salmon. 1891.

Zasłużone Towarzystwo św. Augustyna w Lille, które tak dobroczynną rozwija czynność wydawniczą, przynosi nam obecnie bardzo pożądaną historię sztuki chrześcijańskiej z pierwszych dziesięciu wie-

ków naszej ery, wypełniając istną próżnię, która dotąd zaledwie częściowemi pracami się wyrównywała. Nacechowana głęboką erudycją, praca ks. Salmon nie zna niemieckiej pedanteryi i ciężkości stylu, a z tą specyficznie francuską sztuką nadania powabności każdemu przedmiotowi, i tu z odpowiednim wdziękiem przebiega pierwsze wieki, darzące nas pomnikami sztuki swej, zarazem i wiary, korzysta z wykopalisk i poszukiwań Rossi'ego i Bosia, doprowadza nas do pokoju Kościoła i rozkwitu Konstantynowych bazylik, aby wkońcu przedstawić upadek sztuki barbarzyństwem zawianej, dopóki znów nie błysnie na gruncie chrześcijańskim Odrodzenie, już w jedenastym świątującym wieku.

Mnóstwo rycin i ilustracyj dopełnia sumiennej i krytycznej pracy światłego autora, poleconej usilnie przez znawców i miłośników archeologii chrześcijańskiej.

M.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Kwestya rzymska w delegacyi austriackiej i parlamencie włoskim. — Mowy Kalnoky'ego, Rudiniego i Crispiego. — „Kościelna polityka“ w francuskim parlamencie. — Prześladowanie i rzezie w Chinach. — Dwa okólniki biskupów austriackich. — Prekonizacya polskich biskupów.

KWESTYA RZYM-
SKA W DELEGACYI
AUSTRIACKIEJ. Kiedy jeden z najbardziej wpływowych katolickich organów rzymskich wystąpił zaraz, po smutnej pamięci rozruchach z 2 października, kilkakrotnie i z naciskiem ze zdaniem, że rozruchy te wprowadzają kwestyę rzymską w nową zupełnie fazę, odezwały się zewsząd głosy oburzenia, szyderstwa i protesty. Tymczasem nie upłynęło parę tygodni, a protestujący musieli radzinieradzi słowa swe cofać, lub głębokiem milczeniem je zamazując, starać się, aby o nich jak najprędzej zapomniano. Wrażenie, wywołane rzymskimi burdami, trwa, i wydało już owoce, jakich sobie może najmniej organizatorowie ich życzyli. Propagowana tak uporeczywie przez rząd włoski legenda o czci i opiece, Papieżowi użyczanej, rozwiała się w nicłość i ustąpić musiała nawet ztamtąd, gdzie dotąd usiłowano wszelkimi sposobami w nią uwierzyć; radykalne żywioły — i to nie w samych tylko Włoszech — odkryły bez wstydu swe plany i taktykę, wrzekomo umiarkowane. przyznały się do swej sła-

bości, która nie dozwoliłaby im, choćby istotnie chcieli, stawić skrajnym żądaniom należytego oporu; katolicy i ci, co dotąd się łudzili, otworzyć musieli oczy, zrozumieć, że jeśli sami łączyc i bronić się nie będą, to od sekciarskich rządów, mniejsza o to we Włoszech, czy we Francyi, nie mogą na seryo się spodziewać żadnej ulgi, żadnej prawdziwej tolerancyi, żadnego nawet stalszego i dochowywanego uczciwie zawieszenia broni.

W parlamentach, zwłaszcza państw połączonych z Włochami ściślejszymi traktatami przyjaźni, chroniono się dotychczas, jak ognia, najmniejszej choćby wzmianki o kwestyi rzymskiej; gdy kiedy w Berlinie czy w Wiedniu, iskra taka padła, starano się ją czempredziej przydusić milczeniem lub daną mimochodem nauczką, że do wewnętrznych spraw zaprzyjaźnionego państwa włoskiego mieszać się niewolno. Ale wszystko ma swoje granice; najwytrwalsza cierpliwość może się wyczerpać. Na pełnem posiedzeniu delegacyi austriackiej wystąpił delegat Zallinger, katolik prawdziwy i odważny, ze spokojnie, ale bardzo stanowczo wypowiedzianą mową o zawisłości i niemożliwem położeniu papiestwa, w świetle ponawiających się z dnia na dzień rządowych i nierządowych zamachów, wrogich manifestacyj, burd ulicznych.

„Jako katolicy — ciągnął dalej mowca — domagać się musimy wolności, pełnej i rzeczywistej niezależności dla Stolicy św. Tej niezależności, samodzielności zabezpieczyć znów nie można bez odgraniczzonego terytoryum, nad którym Papież sprawowałby od nikogo innego niezawisłą władzę... Historia pokazuje nam niejednokrotnie ścisłą wzajemną zależność obu władz: duchownej i doczesnej; gdy druga cierpi, cierpi i pierwsza... Wobec dzisiejszej politycznej konstelacyi, nie może być, przynajmniej nie może być tak prędko, mowy o przywróceniu Papieżowi siłą oręża dawnych jego praw; ale siła idei nie spocznie, pokąd zwycięstwa nie wywalczy... Idea: „bez niezależnej, wolnej Głowy, być nie może niezależny, wolny Kościół“, nie cofnie się, nie umilknie, kroku nie zwolni; brzmi, rozlega się coraz głośniejsze i wyraźniejsze, zdobywa serca, przekonania, sumienia, dociera przez wszystkie kraje aż do krańców ziemi. Działa jej nie zdruzgotają, bagnety

nie powstrzymają w pędzie, dyplomacya jej nie osłabi. Potężnym głosem odzywa się do Włoch: kwestya rzymska nie jest bynajmniej kwestyą wewnętrzną, narodową, piemoneką, nie jest czysto włoską; to kwestya zewnętrzna, międzynarodowa, kwestya katolicka. Bezwzględna obojętność na stan rzeczy w Rzymie nie byłaby niczem innym, jak uznaniem rewolucyi przeciw wszystkim prawowitym tronom, bo niemasz tronu dawniejszego, niemasz bardziej prawowitego, nad tron papieski... Jeżeli rządy europejskie odjąć chcą najsilniejsze ostrze logicznym wywodom mężów, dążących do przewrotu; jeżeli chcą zabezpieczyć prawowitość tronów, wrócić gwarancyę trwałości politycznemu i społecznemu porządkowi, to najwyższy już czas dopomódz — nie wchodzić w to, w jaki sposób — najstarszemu, najbardziej prawowitemu tronowi, do odzyskania swego prawa“.

Po krótkich i, wyznać trzeba, grzecznych i umiarkowanych zastrzeżeniach ze strony członków lewicy: Suessa i Demela; po arcy- i może aż do zbytku dyplomatycznym przemówieniu referenta, księcia Windischgrätza, który wyznał, że zabór Rzymu był bezprawnym, ale bezprawie to złożył na karb tajemniczej „elementarnej siły, z jaką dokonywują się wielkie historyczne wypadki“: zastrzegł się, iż „kwestya rzymska nie może być załatwioną jak tylko we Włoszech i przez Włochy“, a zarazem wyraził nadzieję, iż „rozwiązaną wreszcie zostanie na drodze pokojowej w sposób zadawalniający dla Namiestnika Chrystusowego“; po tych ukłonach na prawo i na lewo, w stronę Watykanu i w stronę Kwirynału, za które jak kwirynalskie, tak watykańskie organy do wdzięczności nie chciały się poczuwać — wystąpił hr. Kalnoky z ważnemi, w duchu poprzedniego mowcy, ale stonkunkowo o wiele jaśniej i śmieiej wypowiedzianemi oświadczeniami:

„Pytanie, poruszone przez del. Zallingera, obraca się około problematu, który niejednokrotnie już głębiej sięgającym, politycznym umysłem, i to przed del. Zallingerem (Wesołość i potakiwania na lewicy), dał powód do poważnych rozmyślań i przeróżnych uwag. Dotychczas praktycznego rozwiązania tego problematu nie znaleziono, a jak sędzę, Wysoka Delegacya nie

oczekuje ode mnie, abym się zapuszczał w roztrząsanie trudnej tej kwestyi. Na dwa jednak punkty zwrócić mogę uwagę...; na dwie przewodnie myśli, któremi rząd w tej sprawie się kieruje. Jedną z nich jest, że rząd doskonale pamięta o niezmiernej przewadze ludności katolickiej w ojczyźnie naszej i dlatego pragnie, aby usprawiedliwione uczucia i życzenia katolików były wedle możliwości uwzględnione. I rząd niczego innego sobie nie życzy, jak tylko, aby Ojciec św. miał stanowisko, któreby mu zabezpieczało zupełną niezależność, odpowiednią i konieczną Głowie katolickiego Kościoła; któreby zadawałniało papieństwo i Papieża, bo dopiero w razie takiego trwałego zadowolenia, możliwym będzie pożądaný przez nas pokój pomiędzy papieństwem a Królestwem włoskiem. To są nasze najgorętsze życzenia, i jeślibyśmy się kiedy mogli w czemkolwiek do spełnienia ich przyczynić, nie zaniedbamy pracować w tym kierunku, i to ze wszystkich sił. Drugim punktem, na który chciałem zwrócić uwagę, — a sądzę, że z zaprzeczeniem znikąd się nie spotkam — jest powszechne życzenie ludności utrzymania zgody i przyjaźni z narodem włoskim. Chcemy z tym naszym sąsiadem żyć w każdym kierunku w dobrych, sąsiedzkich stosunkach, i owszem, zawarliśmy z nim polityczne przymierze, stanowiące jedną z podstaw naszej polityki. Zdaje mi się, moi Panowie, że i pan del. Zallinger nie jest w gruncie innego zdania. Jakżeż zatem możemy, tak jak on uczynić spróbował, wyciągać śmiałą dłoń ku temu problematowi, a jednak nie obrazić uczuć narodu, któremu narazić się nie mamy ani najmniejszego powodu, ani najmniejszej chęci? Oto dwa punkty, o których wspomniałem, ale z przedłożenia ich nie wypływá żaden wniosek, bo jak powiedziałem na początku, nikt jeszcze nie znalazł środków i dróg do praktycznego rozwiązania tego zagadnięcia“.

Mimo wszelkich zastrzeżeń i cieniowań, zwłaszcza w drugiej części tego oświadczenia, właściwy jego sens jest jasny: Papież najzupełniejszą ma słuszość, i gdyby tylko na słuszość się oglądać i na życzenia przeważnej części mieszkańców austriackiej monarchii, nie mogłoby być wątpliwości, co zrobić należy; ale niestety! w obecnym stanie rzeczy, praktyczne

względy nie pozwalają zbyt po rycersku w obronie sprawiedliwości występować. Wolelibyśmy, żeby nasz sojusznik nie był rabusiem, ale kiedy nam obecnie jego pomoc potrzebna, nie żądajcież, byśmy mieli nań nastawać: „Oddaj drugiemu, coś mu zabrał, a potem dopiero mówmy o przyjaźni!”

KWESTYA RZYM-
SKA W PARLA-
MENCIE WŁOSKIM.

Bądźcobądź nieprzyjemnie to usłyszeć takie słowa, w dodatku z ust „przyjaciela” — i przeto nie dziw, że na pierwszą o nich wiadomość zakotłowało się we włoskiem dziennikarstwie i w parlamencie. Interpelacye o całej kościelnej polityce rządowej, a więc przedewszystkiem o wypadkach z 2 października i mowie Kalnoky’ego, posypały się gęstym gradem. Nicotera próbował w pierwszej chwili powstrzymać je oświadczeniem, że wierzyć niepodobna, aby Kalnoky miał istotnie wyrzec słowa przez dzienniki podane; ale tego rodzaju niezręczny wybieg mógł oczywiście wystarczyć zaledwie na parę godzin.

Mowa austriackiego ministra jest bardzo ważną — uzasadniał interpelacyę swą Cavalotti — ale ważniejszą jeszcze tem, co przemilczał, niż co wypowiedział. Jakież stanowisko zająłby prezes Izby i rząd, gdyby np. p. Imbriani wystąpił z wnioskiem domagającym się oddania Włochom jakiejś prowincyi, zostającej obecnie pod berłem austriackiem, i gdyby prezes ministerium odpowiedział, że problemat ten nie znalazł dotąd praktycznego rozwiązania, i że rząd, pozostając w przymierzu z Austryą, starać się będzie jednocześnie wedle sił o zadośćuczynienie żądaniu p. Imbrianiego? Czyż kancelarya austriacka nie odpowiedziałaby w tym wypadku: „Dziękujemy za waszą przyjaźń, na nie nam ona się nie zda; natomiast odwołujemy naszego ambasadora“.

R. Rossi pytał, jakich środków myśli chwycić się rząd przeciw intrygantom nadużywającym religii na szkodę państwa, zagrażającym jego bezpieczeństwu i całości; czy nie sądzi, że należy zainaugurować politykę kościelną, opartą na zupełnej wolności sumienia, równości kultów, zdążającej do oswobodzenia kleru włoskiego zpod watykańskich wpływów; czy nie sądzi, że nadeszła chwila zrzućcia z siebie jarzma praw gwarancyjnych?

Pierwszy paragraf statutu o religii państwowej — szydził i piorunował Bovio — to puszczyk na murach starego zameczyska. Państwo ogłosić się powinno świeckiem; idea „świeckości“ rozwijać się musi narówni i w szkole i w rodzinie. Dopóki ministrowie, dawni jakóbini, gotowi będą na dany znak rzucać się na kolana i mruczyć modlitwy; dopóki istnieć będą królowie uczęszczający do spowiedzi: dopóty ksiądz nie zaprzestanie walki. Nie myślimy księży uciskać, ale naprzeciw Watykanowi postawić chcemy wolność sumienia, chcemy państwa świeckiego; chcemy pierwszeństwa dla ślubów cywilnych przed kościelnymi.

W tym samym duchu, choć posługując się mniej gwałtownymi frazesami, przemawiał Barazzuoli. Nawet Bonghi w pewnej mierze do tego chóru się przyłączył, choć zdobył się na nieco ironiczne zapewnienie zbyt gorąco kąpanych kolegów, że, zdaniem jego, Kościół nie okazuje najmniejszych cech rozkładu i przetrwa jeszcze długie, bardzo długie wieki. Najciekawsze, rzucające ciekawe światło na historię ostatnich lat, było wystąpienie Crispiego. Były prezes ministrów oświadczył bez ogródek, że praw gwarancyjnych nie uważa bynajmniej za zasadnicze i niezmiennie. Byłyby one odpowiednie, gdyby Watykanem zarządzał apostoł, a nie pretendent; w dzisiejszych okolicznościach prawa te kryją wielkie niebezpieczeństwo. Dlatego — kończył mowca — pragnąłem, kiedy dzierżyłem ster rządów, prawa te zmienić, i byłbym je zmienił, gdyby mi do tego czas pozostawiono.

MOWA
RUDINIEGO.

Cóż na to wszystko rząd włoski, cóż na te niedwuznaczne wezwania do jawnego zrzucenia maski, do urzędowego prześladowania? Rudini odpowiadał parokrotnie, a odpowiadał, przyznać trzeba, dość zręcznie, walcząc lekką ironią, prosząc mowców, aby zbytecznie się nie zapalali, bo to do niczego praktycznego nie prowadzi, ale pocieszając ich jednocześnie, że niejeden z przedłożonych przez nich postulatów doczekać się może, prędzej czy później, urzeczywistnienia:

„Wyznać muszę z żalem głębokim, że nie pojmuję, jak można tu było podnosić kwestyę rzymską, tj. kwestyę władzy

doczesnej, kiedy ona przecież oddawna już nie istnieje: umarła i pogrzebana... Prawa gwarancyjne nie od dziś uważane są, jak tego dowodzi decyzja Rady Stanu i oświadczenie Depretisa, za zasadnicze i niezmiennie. Jeżeli Crispi staje przeciw prawom tym do walki, cieszę się, że będę mógł z nim skruszyć kopię; cieszę się, że znajdzie się raz wreszcie jakiś stały punkt, który pozwoli nam wybrnąć z dzisiejszego parlamentarnego zamieszania, doprowadzi do jasnego podziału stronnictw w tej Izbie... Ostatecznie powiedziałem i powtarzam: wszystko, co mówiono tu o oświadczeniach hr. Kalnoky'ego i o całej kwestyi rzymskiej, było zupełnie niepotrzebnem, bo niema nikogo, ktoby nie wiedział, że Austria, Włochy i Niemcy związały się traktatami do wzajemnej obrony swych posiadłości... Odnośnie do poruszonych przez deputowanego Bovia kwestyj: laicyzacyi szkół, udzielenia pierwszeństwa ślubom cywilnym przed kościelnymi, wreszcie większego ułatwienia rozwodów — to zgadzając się nawet w teorii na wyrażone zasady, należy jeszcze w praktycznem ich zastosowaniu i przeprowadzeniu postępować wolno i ostrożnie. „Reformy tego rodzaju — mówił Rudini — wnikają głęboko w religijne uczucia ludu i przeto należy najprzód do nich przez dłuższy czas umysły przygotowywać“.

Wyjaśnienia prezesa ministrów przyjęto w liberalnym, a wogóle mówiąc, i w radykalnym obozie włoskim, uznaniem i oklaskami; awanturnicze wystąpienie Crispiego, który w dodatku w ostatnim frazesie swej mowy zapowiedział bliską, niechybną wojnę, oziębiło dłań nawet dawniejszych, najbliższych stronników; popchnęło ich do niedelikatnego pytania: czy eks-dyktator rozporządza jeszcze w całej pełni rozumem, wie i waży, co mówi? „Oświadczenia Crispiego — wyraża się z gniewem *Opinione* — wywołały w parlamencie osłupienie, równe uczuciu radości, którego doznał Watykan i klerykali. Crispi postarał się o usprawiedliwienie słów już nie Kalnoky'ego, ale Zallingera... Niechaj Rudini sobie powtarza, że prawo gwarancyjne jest fundamentalne, niezmiennie. Bynajmniej, odpowiada p. Crispi; prawo to nie jest fundamentalnem, a zmiennem jest do tego stopnia, że skoro nadejdzie jaki 31 styczeń (dzień dymisji Crispiego), na-

odwrot zostanie niechybnie zmienionem... Z punktu widzenia włoskiego, musimy wyrazić głęboki żal, że całe to zajście mogło mieć miejsce". — „Ciekawi jesteśmy — pyta ironicznie *Popolo Romano* — jakby to p. Crispi wziął się do reformowania praw gwarancyjnych? Czy zabroniłby Papieżowi mieć u siebie przedstawicieli państw katolickich? Czy może odejmując Papieżowi królewskie prerogatywy i niezawisłość, poddałby go pod prawo wspólne; powołałby go, za pierwszym przekroczeniem praw państwowych, przed sąd miejskiego pretora?" — „Nie rozumiemy — wyznaje naiwnie *Nazione* — jak jakie stronnictwo polityczne, wyjawszyszy chyba ultra-klerykalnego, domagać się może zniesienia praw gwarancyjnych, poza któremi, niby za potężnym, wszelkie ataki wytrzymującym murem, możemy się poruszać z całą swobodą, robić bez trwogi, co nam się podoba"...

KOŚCIELNA POLI-
TYKA W PARLA-
MENCIE
FRANCUSKIM.

Po Peszcie i Rzymie, a właściwiej mówiąc, obok Pesztu i Rzymu, przyszła kolej i na Paryż; i tu „polityka kościelna“, „kwestya rzymska“, wystąpiły od wypadków z 2 października na pierwszy plan w parlamencie i w naradach ministeryalnych, w dziennikach, publicznych zgromadzeniach i prywatnych rozmowach. Nieszczęśliwy, „idiotyczny“ — jak go *Figaro* napiętnował — proces, wytoczony arcybiskupowi Gouthé-Soulard, i niemniej nieszczęśliwy wyrok, skazujący arcybiskupa na grzywnę 3000 fr., który wszystkich rozdrażnił, a nikogo nie zadowolnił, był iskrą rzuconą na nagromadzone oddawna, chwilami nieco na bok usuwane, ale nigdy na seryo nie usunięte sekciarskie nienawiści, zastarzałe niechęci. W senacie oświadczył minister Fallières, że rząd energicznie bronić będzie swych praw przeciw uroszczeniom duchowieństwa, ale pomimo tego nie zejdzie z pojednawczej drogi, dążyć będzie i nadal do zjednoczenia wszystkich stronnictw. Ledwie Fallières złożył te uspakajające oświadczenia, wstąpił na mównicę prezes ministerium, Freycinet, aby bliżej określić, jak rząd sobie to „pojednanie“ wystawia. Oryginalne to ma być, z mowy tej sądząc, „pojednanie“. Rząd — wykladał Freycinet swój program — gotów jest użyć wszelkich prawnych środków przeciw opornym,

buntowniczym biskupom; a jeżeli te nie wystarczą, zażąda od parlamentu nowych, energiczniejszych. Być może, — rzucił na końcu groźbę — że przyjdzie do rozłączenia Kościoła od państwa; niechże sobie w danym razie duchowieństwo całą winę tego kroku przypisze.

Rozprawy w senacie były tylko przegrywką do formalnej — nie wyłącznie na same słowa toczonej — wojny w Izbie poselskiej. Tłumy, żadne ciekawego widowiska, zbiegły się na zapowiedziane zgóry debaty „kościelne“, i nie zostały zawiedzione w oczekiwaniach. W pierwszej linii bojowej wystąpił radykał Hubbard, domagając się zgniecenia największego i najniebezpieczniejszego wroga rzeczypospolitej: duchowieństwa. Pielgrzymki do Rzymu, — wołał interpelant — agitacja na korzyść władzy świeckiej Papieża, zuchwalstwo kleru wobec władz państwowych, ciągłe intrygi księży i biskupów, muszą zostać powściągnięte. Czy minister wie, — pytał dalej — że organizuje się obecnie związek, mający na celu „przywrócenie wolności“ Papieżowi? Czy wie, że Papież wzywał już nieraz katolików do chwycenia za oręż w swej obronie?

Już przy ostatnich tych słowach powstał zgielk, zamieszanie, które spotęgowało się, skoro minister Fallières pozwolił sobie paru dosadnych wycieczek przeciw biskupom, nie chcącym znać posłuszeństwa. Jeden z legitymistów pyta głośno, czy minister odważyłby się wystąpić wobec łóż wolnomularskich z podobnymi zakazami, jakimi gnębi wolność Kościoła? Fallières zbył krótko to pytanie zapewnieniem, że sam do łóży nie należy — i chciał mówić dalej, gdy wtem prezes Izby Floquet wyrывa się nagle, nie proszony ani nie pytany, że wolnomularstwo istnieje we Francyi legalnie, i że, co więcej, sam Pius IX. do niego należał. Na to oszczerstwo, na które nazwy brak, odezwała się burza protestów; deputowani powstawali ze swych miejsc, część ich rzuciła się hurmem ku trybunie prezesa, żądając odwołania ciśniętej bezczelnie obelgi. Floquet przywołuje do porządku jednego po drugim z protestujących; ale na jego rozkazy i gniewy, równie jak na kończącą się tymczasem wśród największego

zgiełku mowę Fallièresa, a tem bardziej na mowę radykała Jamais, nikt nie uważa.

— My pana przywołujemy do porządku! — odpowiadają konserwatyści dzwoniącemu i zrywającemu piersi napróżno prezesowi Izby.

— Schodź z trybuny, panie prezesie, i wytłumacz się ze swych słów! — woła Cassagnac. — Dopuszciles się ohydneho oszczerstwa.

Floquet posyła Cassagnac'owi sekundantów, czem tenże bardziej jeszcze podniecony, wygłasza nadzwyczaj ciętą mowę, która tak przyjaciół i nieprzyjaciół zainteresowuje, że doprowadza wreszcie do tego, o co napróżno prezes Izby się kusił — do względnego spokoju.

— Czemu wy nie chcecie — pyta ku ministrom zwrócony — jawnego rozdziału państwa z Kościołem; czemu oszukujecie, zwodzicie i łudzicie zarówno nas, jak i lewicę? czemu nałożyliście tak lekką karę na arcybiskupa z Aix? przyznajemy, że o wiele cięższej pragnęliśmy i spodziewaliśmy się; ale rząd dzisiejszy zawsze i w każdym wypadku tchórzami jest podszyty. Państwo płaci duchowieństwu 50 milionów. Czy to darowizna? Nie, to częśćka długu, ale długu pochodzącego nie z pożyczki, ale z kradzieży. Przekładamy bez porównania jawny rozdział Kościoła od państwa, nad konkordat tak jak dzisiaj wykonywany. Niechże raz wreszcie rząd oświadczy się stanowczo za lub przeciw rozdziałowi; niechże się zdobędzie na odwagę, niech powie: nienawidzimy religii katolickiej, nie chcemy mieć nic do czynienia z Watykanem. Niechże nas rząd otwarcie prześladowuje; do prześladowań nawykliśmy, a niezbyt też lękamy się rządu, któremu przewodzi Carnot Mały.

Tu prezes Izby przerywa mowcy, przypominając regulamin, który zakazuje obrażać prezydenta Rzeczypospolitej.

Cassagnac. „Znam ten paragraf. P. Floquet obraził przed chwilą w sposób nad wyraz dotkliwy uczucia katolickie, a gdy mu na to zwrócono uwagę, odpowiedział: „Trudno powstrzymać wszystkie słowa, które mimowoli na usta się cisną“. I ja w tenże sam sposób tłumaczę zrobioną dopiero co uwagę o p. Carnocie“.

Ostatecznie rząd oświadczył się ponownie i nadzwyczaj

stanowczo przeciw rozdzielowi Kościoła od państwa, obiecując natomiast, że powoli dopiero do rozdziału, ale rozdziału, w którym Kościół zpod nadzoru państwowego nie byłby wypuszczonym, będzie kraj i opinię przygotowywać. Postawiony przez Hubbarda porządek dzienny, domagający się rozdziału, został odrzucony 346 głosami przeciw 181. Przyjęty już przez senat porządek dzienny, polecający rządowi większą energię w polityce kościelnej, przyjęty został 243 głosami przeciw 223. O mały włos „polityka kościelna“ nie obaliła dzisiejszego ministerium, a co dlań ani wesołe, ani pochlebne, ocalenie swe zawdzięcza jedynie kilkudziesięciu legitymistom, którzy od wotowania się wstrzymali.

Jakże wobec takich rozpraw, takich uchwał, ludzi się dalej nadziejają — jak ludzi się chcą niektóre, co prawda, raczej zagraniczne niż francuskie dzienniki katolickie — że ruch, wywołany procesem ks. Gouthé-Soulard'a, to tylko chwilowy epizod, po którego zamknięciu odzyszcze znów swe prawa pojednawcza, pokojowa polityka kościelna? Czy nie prawdziwiej niestety byłoby powiedzieć, że chwilowo po toaście kardynała Lavigerie występująca na jaw pojednawcza polityka, to krótki, zapomniany już, nie epizod nawet, ale sen nocy letniej?

PRZEŚLADOWANIE W CHINACH. Przed kilku jeszcze laty Francya, prowadząc u siebie zaciętą walkę kulturalną, nie chciała za żadną cenę zerwać poza Europą z dawną tradycją silnej, umiejacej sobie wymódz poszanowanie protektorki misjonarzów i chrześcijan; dziś nie chce, czy nie może, za słaba, czy za ślepa, dość, że mimo przerażających, gęstym szeregiem nadchodzących wieści o prześladowaniu, srożącym się w Chinach, dotąd na żaden stanowczy krok się nie zdobyła, podobnie jak mimo platonicznych ubolewań, na wiatr rzucanych, a niespełnianych pogroźek, nie zdobyło się żadne mocarstwo europejskie. Wedle urzędowych źródeł chińskich, padło w rzeziach, urządzonych w ostatnich tygodniach, od 300—500 ludzi, i to nie samych wyłącznie chrześcijan; oczywiście, twierdzić można bez obawy pomylenia się, że cyfry te ani w części rzeczywistości nie odpowiadają. *Daily Chronicle*

przywodzi opisy kilku napadów na misye w Mandżuryi: roz-
wściekleri rabusie poddali księży torturom, shańbili, a następnie
pozamordowywali zakonnice, rzucali w ogień dzieci, przez mi-
syonarzów wychowywane. Jakkolwiek dokładnych, bardziej szcze-
gółowych sprawozdań dotychczas brak, misyonarze w ciągłej
obawie o życie, jak dzikie zwierzęta z miejsca na miejsce pę-
dzeni, ledwie kilku słowami są w stanie uwiadomić europejskich
przyjaciół o swych losach. Jeden tylko z nich zrobił gorzką
uwagę, która nie przeminęła, zdaje się, bez wywarcia pewnego
wrażenia, że nigdy w Chinach nie zabijano tylu misyonarzów,
jak od r. 1860, tj. od chwili, w której dyplomacya europejska
wzięła ich pod swą opiekę. Czy nie byłoby lepiej, — pyta nasz
misyonarz chiński, jak pytają francuscy katolicy, zwolennicy
rozdziłu państwa od Kościoła — czy nie byłoby w dzisiejszych
okolicznościach praktyczniej, gdyby akcyja polityczna i religijna
szła każda swemi drogami, wzajemnie się ze sobą nie miesząc,
pierwsza nie przeszkadzając drugiej?

DWA OKÓLNIKI
BISKUPÓW
AUSTRYACKICH.

Zebrani w Wiedniu biskupi austriacy wydali zbiorowy list pasterski do wiernych i osobny okólnik do duchowieństwa. Biskupi zwracają uwagę z szczególną siłą na konieczność czytania i popierania dobrych dzienników; konieczność walki ze złą prasą; witają z radością tworzące się w Austrii „Towarzystwo Leonowe“, mające na celu zgromadzić katolickich uczonych do wspólnej pracy i walki. W okólniku do duchowieństwa powraca to samo napomnienie: propagujcie katolicką prasę, dopomagajcie wedle sił katolickim pisarzom, starajcie się o należycie redagowane pisma ludowe, o biblioteki parafialne. Z niemniejszą troskliwością podniesioną jest w obu listach nietylko w ogólnych rysach, ale nieraz w praktyczne szczegóły się zapuszczając, kwestya socyalna, rzymska, szkolna; kwestya stowarzyszeń katolickich, którym proboszcze i wogóle kapłani nietylko powinni sprzyjać, ale i wedle sił im dopomagać, a gdy potrzeba, kierować; wreszcie potrzeba zwoływania katolickich wieców. „Jeżeli nieprzyjaciele Kościoła — powtarzają i przypominają biskupi austriacy słowa Ojca św. — ze-

wsząd się schodzą i we wspólnym związku do tego dążą, aby wiernych obedrzeć ze skarbu wiary i ze wszystkich, z wiary płynących dóbr: to słusznem niezawodnie jest i koniecznem, aby i katolicy połączyli pod przewodnictwem biskupów siły swe i starania, by oprzeć się tym niecnym zamachom. Im zaś liczniejszą będzie falanga katolików na tych zgromadzeniach, tem swobodniej, z tem większą siłą będą w stanie wyznanie wiary złożyć, wrogie napaści odeprzeć“.

Na tajnym konsystorzu z dnia 14 grudnia wygłosił PREKONIZACYA Papiież alokucyę o wypadkach z 2 października i obecnem położeniu Stolicy św. Na tymże konsystorzu dokonał Ojciec św. prekonizacyi piętnastu arcybiskupów i biskupów, a między nimi ks. prałata Stablewskiego na arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego, i ks. biskupa Kozłowskiego na mohylewskiego metropolitę. Ważne to wypadki w dziejach całego Kościoła, a w szczególności Kościoła w ziemiach polskich; dziś notujemy je tylko, zachowując sobie na przyszłość obszerniejsze ich omówienie.

Ks. Jan Badeni.

Polacy w Rumunii.

Gdzież braknie naszych rozbitków? dokądże nie zawija polska bieda i wygnańcza niedola? Wszakże niedawno jeden z ziomków naszych stwierdził, iż na skrajnym cyplu Patagonii, w Punta Arenas, nad cieśniną Magelańską, polski Reformat zastępował proboszcza, a podobnych odkryć znajdzie się więcej, za każdą dalszą w świat szeroki wędrówką. Dawniej atoli wypadało szukać pojedynczych rodaków, zawieruchą przerzuconych na obczyznę; od niejakegoś czasu, zrozumiawszy siłę związków i spójni, gdziekolwiek ich losy zanosą, wnet się wygnańcza drużyna łączy w gromadkę, w towarzystwa, w bratnie a zwarte szeregi. Materyalne korzyści nie zawsze bywają ztąd znaczne, ale moralnych ani zaprzeczyć, ani obliczyć niepodobna. Odrazu powstaje warownia, ześrodkowująca życie rodaków na obczyźnie, chroniąca ich od kosmopolityzmu i zatarcia znamion narodowych, i w onych

towarzystwach, czytelniach, braterskich związkach, wygnańcy znajdują punkt oparcia, jakoby dom rodzinny, nieraz i rodzinne też sumienie.

Dzienniki przynoszą nam doroczne sprawozdania z tych zacnych usiłowań i spółek; poznańska mianowicie prasa w osobnej rubryce mieści echa studenckich lub przemysłowych stowarzyszeń i związków, które dadzą się dziś odnaleźć bodaj w każdym mieście niemieckiem, dokąd zawinęła garstka tęskniącej za krajem drużyny. Ale oto z Rumunii przybywa nam coś więcej nad roczne sprawozdanie, bo książeczka pamiątkowa jubileuszowego już obchodu ćwierćwiekowego istnienia biblioteki polskiej na Multanach. Po upadku ostatniego, nieszczęśliwego powstania, burza co się nad krajem zerwała, wyrzuciła do niedalekiej Rumunii liczniejszy zastęp nieszczęśliwych i wykołejonych. Już w r. 1866 unyślono tam utworzyć pewien punkt zborny dla rozbitków, i oto grono ludzi energicznych zawiązało w Mihalenach bibliotekę polską, która zrazu liczyła zaledwie dziesięciu członków i dwieście tomów, nadesłanych przeważnie przez księgarzy polskich, Żupańskiego i Kamińskiego z Poznania, a Wilda ze Lwowa. Znalazło się wnet i kilku chętnych opiekunów rumuńskiej czytelni. Zasłużył się tu pono najwięcej świeżo zmarły dr. I. Kopernicki, którego brat Franciszek pierwszym był prezesem zawiązanego stowarzyszenia. Później i Libelt i Kraszewski i wielu innych chętną dłoń podawali ziarnku gorzycznemu, wsianemu w ziemię wygnania; ale podobno nikt więcej i hojniej nie dopomógł nowej czytelni, jak zacny Jan Konstanty Żupański, który poczesne miejsce godzien zajmować wśród najprzedniejszych drukarzy i księgarzy świata. Czytelnia mihaleńska wnet się doczekała młodszych siostrzyc w innych rumuńskich miejscowościach, a wkońcu przeniesioną została do Jass, gdzie w ubiegłym roku obchodziła swe dwudziestopięciolecie, obejmując wstecznem spojrzeniem przebyte znoje i próby.

Ów skromny zawiązek, który zrazu równie szczupłym był w liczbę jak i w dochód, samą wytrwałością zasługuje na uznanie i podziw, a rachunkami stwierdza swój rozwój, posiadając obecnie 7500 franków funduszu żelaznego, przeszło 900 fr. rocznego dochodu i 4242 tomów biblioteki, rosnącej przeważnie z ofiarności kraju i księgarzy, osób prywatnych i instytucyj publicznych, jak Akademia Umiejętności, która wszystkie swe nakłady ofiarowała świeżo rumuńskiej czytelni. A dodać tu należy do aktywów tułaczego związku około 10.000 franków, wdowich zapewne groszów wygnańczych, składanych powoli na szkółkę polską w Rumunii. Gdy jednak, wraz z zanikaniem polskiego w tych stronach żywiołu, podobny zakład okazał się zbytecznym, a oraz z po-

wodu wyłączności miejscowego rządu całkiem niemożliwym, postanowiono zebraną kwotę oddać krajowi, przydzielając ją w połowie do paryskiej Instytucji czci i chleba, w połowie zaś do cieszyńskiej Macierzy. Rachunki bardzo ściśle onych wszystkich składek i dochodów, bratniej pomocy i ofiar, nieraz najrzeczniejsze sprawiają wrażenie. Ci biedni wygnańcy, zaledwie trochę uzbierają grosza, wnet się nim dzielą z biedą w kraju pozostałą, wnet zasilają instytucje ojczyste lub uczestniczą w składkach ogólnych i w świętach narodu.

Niestety! obok tych dodatnich stron, znalazły się i ujemne; odrobina kwasu nieraz całą mękę rozkłada; zaznaczyły się mnogie ślady niesnasek i waśni w ćwierćwiekowych rocznikach biblioteki polskiej w Rumunii. Czy to jad, niedolą wsączony, czy przyrodzona wada słowiańska, która wszędzie i zawsze z karnością i zgodą się rozwodzi? — rozstrzygnąć trudno. Z niejasnych sprawozdań wnosićby można, iż gdy koleje rumuńskie mnóstwo urzędników Polaków wezwały na posady nowych dróg żelaznych, napływ ziomków naszych wytworzył dwa stronnictwa: jedno wyłącznie z „kolejników“ złożone, podczas gdy wszystkim inne żywioły schodziły się w drugim. Cokolwiekbądź, częste niezgody i nieporozumienia utrudniały byt stowarzyszenia i biblioteki. Może w przewodnikach niedość było miłości, może w opiekunach zbyt skrajne zasady. Rozkładowe działanie i wpływy takiego np. Jeża-Milkowskiego nie mogły korzystnie się znaczyć na tych kresowych posterunkach. Owszem, pewnie rozkładowo musiały działać na rumuńską Polonię, która nawet w swych pocziwych rocznikach razporaz zamieszcza rażące, a jak raz genewskie komunały. W jednym miejscu np. doczytujemy się, iż szeregi Polaków w Rumunii przerzedziły się, skoro rząd austriacki, mimo podbechtywań stańczykowskich grabarzy, otworzył wychodźcom Galicyi wrota. Przykrejsze jeszcze sprawia wrażenie pochwała zmarłego w 86 roku życia ks. Bartłomieja Chwały, który przez lat dwadzieścia zasiadał w zarządzie biblioteki i zjednał sobie cześć rodaków, jeśli mamy zawierzyć słowom sprawozdawcy, dlatego, „iż należał do tych duchownych, którzy nie zwykli podporządkowywać obowiązków względem ojczyzny pod interesy (sic!) Kościoła“. Smutna byłaby to pochwała, smutniejsze świadectwo dla byłego proboszcza z Biłgoraja i polskiej społeczności, któraby w podobnych warunkach swój szacunek wydzielala.

Najbardziej nas tu zainteresował dr. Łukaszewski, najprzód sekretarz, następnie prezes zarządu biblioteki, *spiritus movens* wszystkich instytucji, związków i stowarzyszeń rumuńskiej Polonii, bo wytrwa-

łość zbyt u nas rzadką cnotą, aby nie zwracać na się baczności, nie jednak sobie uznania, gdziekolwiek się z nią spotkać przyjdzie. Na nieszczęście, tenże dr. Łukaszewski, budzący nasz szacunek stałą pracą i zabiegami około utrzymania ducha i spójni tułacznej drużyny, zamieścił w końcu tejże książki pamiątkowej zajmujący i ciekawy wprowadzie artykuł o pielęgnowaniu obłąkanych, w którym wszakże ujawnił całą swą niechęć do Kościoła i religii, swoje ściśle materialistyczne poglądy na psychiczny ustrój człowieka, swoje pełne żółci szyderstwa z praktyk pobożnych, które radby znieść wszystkie na beneficjum samejże dobroczynności. Pojmujemy, że mąż stykający się bezpośrednio z nędzą ludzką, radby wszystkie środki ku jej uldze zwrócić. Ale już przed dwoma tysiącami lat, gdy Magdalena wonnym olejkim namaszczała głowę i nogi Zbawiciela, znalazły się głosy potępiające jej czyn pobożny, jakoby ujmnę przynosił rozdawnictwu jałmużn. Ubogich zawsze mieć będziecie, rzekł Pan, stawając w obronie swej miłośnicy, a wraz i tych wszystkich, którzy nie same tylko utylitarne spełniają dobre uczynki, lecz niekiedy i woń kadzidła ku niebu podnosząc... Przykre sprawiają wrażenie cierpkie wycieczki przeciw fanatyzmowi religijnemu i ciemnocie wieków średnich, a bodaj i dzisiejszych, ilekroć autor potrąca o chrześcijańską społeczność, jej poglądy i praktyki pobożne. A szkoda tych zboczeń w poważnej pracy; bolesne to objawy u tułacza, któremu żyć bez kraju musiało być ciężko, a ciężej jeszcze bez Boga.

Najważniejszy przyczynek do wątku pamiątkowej książki stanowi ta zajmująca, choć razporaz przykra rozprawa d-ra Łukaszewskiego, w której tyle się znajduje ciekawych wiadomości, lecz wraz i tyle fałszywych nut spaczonych poglądów. Dwie powiastki, kilka ulotnych i błahych wierszyków, ładne wspomnienie o Romanie Żulińskim. — oto reszta treści niniejszej publikacji jubileuszowej. Z powiastek, jedna T. Jeża, druga Orzeszkowej, obie, zwłaszcza druga, z talentem napisane. W żałobnem wspomnieniu, poświęconem pamięci Żulińskiego, uwydatnia się piękna, chrześcijańska postać czystego za sprawę ojczystą męczennika, jakich niewielu posiadała ostatnia zawierucha krajowa — chociaż pośmiertny biograf posuwa się do twierdzenia, iż „powstanie z r. 1863 wydało więcej niż którekolwiek inne ludzi poświęcenia i charakteru, plutarchowych postaci, które jak meteory zabłysły i zniknęły“. Wieleby się o tem powiedzieć dało, to jednak pewna, że takich ludzi, jak Roman Żuliński, chyba nigdy wielu nie było, a każdy okres dziejowy chlubić i szczyć się mógł podobnym mężem pracy

i czynu. Dlaczego był on tak dobrym Polakiem? — bo doskonałym był chrześcijaninem, przez znakomitą matkę w pobożnych zasadach wychowywanym. Piękne są szczegóły tego życia, obwarowanego praktykami chrześcijańskimi, codziennem słuchaniem Mszy św., comiesięcznem przystępowaniem do Sakramentów, poświęceniem bez granic i dobrym przykładem, a więc życia nauką. Martyrologium polskie nie ma bodaj rzewniejszej, boleśniejszej karty, nad dzieje więzienia i śmierci na rusztowaniu Romana Żulińskiego. Zajmujące też nad wyraz są cyfry jego działalności nauczycielskiej, liczba szkół przeróżnych, powstających za jego inicjatywą: niedzielnych, wieczornych, rzemieślniczych, a mianowicie ludowych, których w ciągu jednego półrocza w Królestwie samem przybyło przeszło dwa tysiące. Rozczytując się w tych statystykach, przypatrując skutkom zacnej czynności niektórych mężów dobrej woli, zaiste przypuszczać przychodzi, iż autor niniejszego wspomnienia może się nie pomylił, pisząc, że „gdyby Wielopolski nie był używał zbyt gwałtownych środków dla przytłumienia ruchu, kierunek prac organizacyjnych mógłby być wziąć przewagę nad manifestacyjnym, i nie przyszloby było do przedwczesnego powstania“.

Oto mniej więcej treść książki pamiątkowej. Szkaradne aforyzmy p. Baudouin de Courtenay, jak zgrzyt żelaza po szkle się tu odzywają rozstrojem, zawziętością przeciw Kościołowi, skonfiskowaniem sprawiedliwości na wyłączną własność demokracji, ogłoszeniem w czambuł całego klasycznego systematu nauk za środek ogłupienia, słowem, wyskokiem chełpliwej próżności, kuszącej się o wydawanie sądów i wyroków z trójnoga, opartego na kruchych podstawach bynajmniej nie filozoficznych, a niezmiernie grubiańskich formułek.

Streściliśmy tedy naprzemian dodatnie i ujemne strony niniejszej publikacji, lepsze i smutniejsze tętą życia polskich w Rumunii robotników. Kolonia ta zda się być skazaną na bliski koniec. Hasła amerykańskie Monroe'a, znalazły dziś powszechny odgłos w różnych światach. I tu Rumunia dla Rumunów programem przyszłości. Dziwna sprzeczność zachodzi obecnie pomiędzy ułatwieniem komunikacji, zniesieniem przestrzeni, zbliżeniem się wzajemnem ku sobie ludzi, a zazdrośnym partykularyzmem, wyrzucającym z granic poszczególnych państw i krajów napływowe żywioły, niegdyś witane jako pożądane nabytki i rękojmię korzystnego rozwoju. Rugowanie cudzoziemców *per fas i nefas*, jest dziś hasłem narodowców rumuńskich, ulegających może i bismarckowskiemu teoryom wydałań, jeśli nie politycznie przeprowadzanych, to przynajmniej systematycznie zarządzanych.

Z Polaków, odczuwają te nowe kierunki głównie urzędnicy kolejowi. Dziś została ich zaledwie jedna piąta z dawnej liczby, a upaństwo-wienie czerniowieckiej drogi żelaznej ostatecznie i tę garstkę rozproszy. Wciąż tedy się zmniejsza poczet ziomków naszych w Rumunii. Większa ich część wraca do kraju, lub spieszy szukać gdzieś dalej chleba, część zaś ulega wynarodowieniu, w drugim mianowicie pokoleniu. Są to przeważnie rzemieślnicy, nie mający dość oświaty ni siły odpornej w sobie, aby się obronić przed wpływem rozkładowym takiego plemienia, jak rumuńskie, które już tyle obcych żywiołów pochłonęło. Prawdopodobnie tedy i biblioteka polska w Jassach przestanie wkrótce mieć dalszą rację bytu. Zostanie po niej pamięć pięknej wytrwałości, co niejedną wytrzymała burzę; szkoda tylko, że w zajmującej jubileuszowej pamiątce zostaną i ślady społecznych i religijnych kwasów, cichnących w wyrabiającym się i doskonalącym wewnątrz kraju, które jednak niestety młodsze wychodźstwo razporaz utrwala przykrym rozdzwieniem.

M.

Czytanka z organu polskich socjalistów w Berlinie.

Londyński wasz korespondent nakreślił wam program, hasła i sposób, jakiego w walce używa osławiony *Przedświt*, „organ Towarzystwa polskich robotników w Londynie“¹; a chociaż w jednym z następujących numerów *Przedświtu* zostaliście przyrównani za ten artykułik do żmij, węzów i wszelkiego rodzaju znanych i nieznanym przyrodnikom pełzających i syczących gadów; choć nie wątpię, że i mnie spotka nazwa „denuncyanta“, „zaprzedańca“, „padalca“ i t. d. — to warto przecież może nawet na takie, nie groźne zresztą, narażając się niebezpieczeństwo, przyjrzeć się berlińskiej grupie polskich socjalistów, jak przyjrzelście się londyńskiej. I znowu, aby o przesadę, o samowolne nakładanie i rozkładanie barw i cieniów nikt nas nie posądził, posłuchajmy samych tylko wyznań polskich socjalistów w Berlinie. Od roku mają tu oni swój tygodnik, *Gazetę robotniczą*, która w nagłówku tytułuje się „organem socjalistów polskich“. Organ ten nie może zapewne

¹ Por. *Przegl. Powsz.* z września 1891 r.: „Wyznania polskich socjalistów w Londynie“, str. 458 i nast.

wypowiedzieć wszystkiego, co mu na sercu leży; strach przed berlińską prokuraturą nie pozwala mu wypisywać z Beniowskiego i z Dantyszka wszystkich znajdujących się tam obelg i przezwisk; znać, jak mu ciężko hamować się, a przecież do pewnego stopnia hamować się musi; ale pod tą pozornie spokojniejszą zewnętrzną formą jest polip, co śpi na dnie, polip niebezpieczniejszy bodaj od nieco bądzcobądź śmiesznego ryku i szumu polsko-londyńskiego „bratniego“ organu pp. Mendelсона i Bornsteina.

W ogólnym programie, w fundamentalnych, i nietylko w samych fundamentalnych zasadach, stoi berliński organ ściśle na gruncie międzynarodowego socjalizmu; zależnym jest w szczególności od niemieckich socjalistów, którzy na odbytym w październiku kongresie erfurckim przyznali mu ponownie subwencję. Wobec tego, rzecz naturalna, że *Gazeta* w kilku długich, szczęściem niezbyt popularnie napisanych artykułach, zajmowała się naradami erfurckimi, a uchwalony na tym zjeździe „Program niemieckiej partii socjalno-demokratycznej“ oddrukowała na naczelnem miejscu, bez słowa zastrzeżenia lub krytyki, tak jak gazety urzędowe podawać zwykły rozporządzenia ministeryalne lub przyjęte przez parlament, przez cesarza sankcyonowane prawa. W długich artykułach o erfurckim zjeździe szukaliśmy napróżno wzmianki o polskim jakimś delegacie; czyżby go niemieccy socjaliści sobie nie życzyli, czyż „narodowościowy szowinizm“ i między socjalistami wbrew wszelkim programom i frazesom jeszcze nie wykorzystany? Tem to dziwniejsze, że radzić przecież miano o subwencji dla polskiego organu; że polscy socjaliści uznają jawnie w niemieckich swych towarzyszach mistrzów i przewodców. Ale całej tej kwestyi *Gazeta* dyskretnie nie dotyka; natomiast z niekłamanem uczuciem tryumfu podaje obszernie biuletyny o wielkich czynach polskiej delegacyi na międzynarodowym kongresie socjalistycznym w Brukseli. Delegowanych było sześciu. „Zabór niemiecki — opowiada *Gazeta* — wysłał towarzysza Bolesława Przytułskiego, Galicya Ignacego Daszyńskiego i Stanisława Mendelсона, któremu dano ten mandat w uznaniu jego zasług około polskiej socjalistycznej sprawy; z Królestwa przybył tow. Józef Kaniowski; towarzystwo polskich socjalistów „Równość“ w Londynie delegowało obywatelkę Maryę Mendelson, a redakcyja *Przedświtu* i towarzysze paryscy wysłali Aleksandra Dębskiego“. Delegacya przedstawiła kongresowi sprawozdanie z dotychczasowych postępów socjalizmu w Polsce; a sprawozdanie to, okazujące, co socjaliści nasi o sobie podobno

myślą, a w każdym razie mówią, dość jest bądźco bądź ciekawem, aby je streścić przynajmniej w najgłówniejszych zarysach.

Stosunkowo najsłabszym ma być ruch socjalistyczny pod zaborem pruskim, chociaż i tutaj z dnia na dzień się wzmacnia, zwłaszcza od chwili założenia *Gazety robotniczej*. W Galicyi rozpoczęto na seryo agitację w maju 1890 r.; w listopadzie tegoż roku założono galicyjską partję robotniczą, zorganizowaną dotychczas w trzech centrach: we Lwowie, Krakowie i Stanisławowie, a mającą dwa własne organy: *Pracę* i *Robotnika*. „Swem braniem udziału — cytujemy dosłownie — w austriackim kongresie socjalistycznym w r. 1891, polscy socjaliści galicyjscy złożyli dowód, że nie tylko w kwestyach ekonomicznych, lecz także w sprawach austriackiej polityki wewnętrznej, idą ręką w rękę z niemieckimi, czeskiemi i innemi organizacyami robotniczymi Austrii... Zabór rosyjski jest dziś niejako przewodnikiem ruchu polityczno-społecznego Polski... Ziemia jeszcze nie wyszła od krwi, przelanej nie- szczęśliwie w 1861—63 r., gdy zaraz po śmierci Polski szlacheckiej zakwitła myśl hasła burżuazyjnego pod sztandarem pozytywizmu, idealizacji przemysłu i t. d. Tradycya wszakże rewolucyjna nie pozwoliła temu odumierającemu zresztą liberalizmowi zbyt długo zapanować nad umysłami i od r. 1878 rozpoczyna się agitacja socjalistyczna“. W roku tym powstają wśród warszawskiej ludności robotniczej „tajne kasy oporu“; w r. 1883 socjaliści organizują się, łączą w związek, noszący nazwę „Proletaryat“, który na polu walki politycznej idzie, bo nie ma innego wyboru, ręką w rękę z rosyjskimi terrorystami. „Rezultaty mówią o energii naszych towarzyszy. W roku 1891 było w Warszawie w dzień 1 maja 20.000 świętujących, Łódź wystąpiła z bezrobociem zwyciężkiem, w Żyrardowie 9000 pracujących strejkowało...“

Ostatnie słowa sprawozdania są bez wątpienia przedwczesnym, ale ze względów taktycznych dla podniesienia entuzjazmu sprytnie wzniesionym okrzykiem tryumfu z dotychczasowych zwycięstw, hasłem wydanem do przyszych walk:

„Nie bez znaczenia jest fakt, że podczas gdy demonstracya socjalistyczna 1 maja tak okazała się przedstawia, manifestacya zachowawczo-patriotyczna, urządzona 3 maja, w porównaniu z pierwszą okazała się poronioną. Taka zmiana w nastroju masy dyktuje organizacyi socjalistycznej u nas nowe obowiązki, a mianowicie, jako najsilniejsze rewolucyjne stronnictwo, musi wziąć na siebie rolę przewodnika narodu we wszystkich jego dążnościach. Spełnić ten obowiązek socjaliści polscy muszą tem bardziej, że wobec ostatnich zachcianek caratu:

wystąpić na pole polityki europejskiej zaczepnie (*sic!*)¹, podtrzymany przez zbrodniczą agitację we Francji, która republikę do grobu zaprowadzić usiłuje, — wobec tych faktów proletaryat polski — likwidator szlacheckiej Polski — pomny będzie swego obowiązku, który ciąży na nim jako na członku międzynarodowej rodziny socjalistycznej“.

Już ze słów, z zasad w programie tym wyłożonych, dość chyba jest jasnem, jak polscy członkowie „międzynarodowej rodziny socjalistycznej“ zapatrują się, co sądzą o dawnych naszych ideałach, o Kościele, o ojczyźnie. Liczne artykuły, korespondencje, notatki, uzupełniają ten obraz, okazują, czy i o ile socjaliści polscy mają prawo do zawodzenia tryumfalnych pieśni, jak u nas teoria w praktyce dziś wygląda.

Redakcja *Gazety*, rachując się z uczuciami niedość jeszcze oświeconych mas, podaje raz od siebie dyplomatyczną uwagę: „I ludzie religijni mogą być socyalistami“. Gdzieindziej pyta naiwnie: „Co ma katolicyzm przeszkadzać albo pomagać socyalizmowi?“ Ale obok tych paru, mimochodem arcynaiwnych, gdyby nie były ze złą wiarą, na zamyslenie oczu wtrąconych frazesów, ileż ciągłych wyrzekań, szyderstw, zarzutów na księży, Kościół, religię! Czem są nasi księżoszkowie — zapytuje korespondent znad Odry — czy to „opiekunowie ludu“, „godni następcy Apostołów“? Nie, to pobożnisie, którym o to tylko chodzi, aby mogli osiadać na złotodajnych posadach; to opiekunowie, którzy mówią ciągle o jakimś posłuszeństwie i cierpliwości, ale przeciwko odzieraniu z zarobku i poniewieraniu robotnika nic nie mówią; to opiekunowie, którzy z kazalnicy bronią honoru podłych ludzi, „a polityka rządowa aż grzmi, tak huczy“. Piszącemu w *Nowinach Raciborskich* przeciw socyalistom księdzu, organiście, lub bodaj kościelnemu, a w każdym razie „prawowiernemu jezuitcie“, dostają się oprócz innych, więcej niż karczemnych potwarzy, których tu powtórzyć nawet nie wypada, następne przydomki: zdzierca, kłamca, złodziej, blażeński świę-

¹ Cytujemy dosłownie; nie nasza wina, że w zdaniach tych, walczących z gramatyką i wogóle z polskim językiem, sensu niełatwo się domagać. A język taki, niepolski i niegramatyczny, nie w jednym tym tylko referacie. Tak np. spotykamy następne zdania: „*Orędownik* pozwolił sobie bardzo dowcipny artykuł“ (nr. 35); „manewry wojskowe wymagają swe ofiary w ludziach“ (nr. 37); „zaniedbywał najważniejsze jej interesy“ (nr. 44) i t. d. „Organ socyalistów polskich“, który w dodatku nie szczędzi innym gazetom poważnych upomnień, że germanizmów używać nie należy, mógłby może sam lepiej po polsku się wyuczyć.

toszek, dudek z *Nowin Raciborskich*. wąż z jadowitymi zębami, zacie-trzewiony indyk policzkujący prawdę.

Węże te wężowym oczywiście karmią jadem; błazeńskie święto-szki błazeństw tylko uczą. „Biedne dziecko robotnicze — czytamy w długim, przez kilka numerów ciągnącym się artykule: „Rządy kla-sowe“ — na każdym kroku słyszy hasło ucisku: Módl się i pracuj!... szkoła dzisiejsza, nauki wszystkie nie zdążają do prawdziwej wiedzy, ale do stworzenia narzędzi dla panujących klas... Najbiedniejsze war-stwy naszego ludu roboczego — lamentuje *Gazeta* z powodu misyi odbytej w Baranowie — idą na lep pobożnisiów i dochodzą... do obłędu. Różni faryzeusze ogłupiają masy, chcąc zrobić z naszej polskiej ziemi twierdzą ciemnoty i szалу. Ale wkrótce tych nietoperzy wystraszy nauka i agitacja socyalistów“. I wiec toruński nie znalazł łaski w oczach berlińskich socyalistów. I jakże miał ją znaleźć, kiedy „pierwsza ko-misya wygrzebała stare straszdyło polityczne, tj. żądanie, by papież miał we Włoszech własne państwo“, a wiadomo, iż papieństwo „uci-skało gorzej ludność włoską, niż to robią choćby baszowie tureccy“; kiedy oświadczył się za wprowadzeniem Jezuitów, a my „jesteśmy szczęśliwi, żeśmy się tych czarnych intrygantów pozbyli“; kiedy, krótko mówiąc, wiec toruński „oprócz domagania się polskiego języka w szkole, co uważamy za całkiem słuszne, odznaczał się ciemnotą i niesłusznemi zachciankami kleru“.

Z zastrzeżenia co do polskiego języka mógłby może kto sądzić, że „organ socyalistów polskich“ zachował pewne względy dla ojczyzny, dla polskich, patryotycznych uczuć. W rzeczywistości względów tych ani mniej ani więcej, niż dla religii i Kościoła. Naiwnym, niewtajem-niczonym wystarczyć powinno parę patryotycznym pokostem poma-lowanych frazesów; ale w gruncie rzeczy „ojczyzna“, „patryotyzm“, to słowa bez dźwięku i znaczenia, stare graty z minionej „burżua-zyjnej“ epoki. Nie należy — poucza *Gazeta* ruskich radykałów — „zwra-cać uwagi na nacyonalne jeremiady dobrych ludzi, ale kiepskich muzykantów, jacy na partę robotniczą patrzą pod kątem narodowo-sciowym“. Dlatego bratając się, a raczej poddając się rozkazom nie-mieckich przewódców, wyciągając dłoń „bratnią“ do rosyjskich nihili-stów, chociaż jak jedni tak drudzy odpłacają się im żadnymi nawet pozorami nie ubarwionem lekceważeniem, znęcają się redaktorowie pol-skiego organu nad polskimi „mieszczuchami“, nad polską „zgniłą szla-chtą“, polskimi „ciemnemi, głupimi masami“. Ciemno wszędzie, głupio wszędzie; dopiero berlińscy towarzysze: Kurowski, Lasowski, Gościński,

Chacharowski, Morawski, Merkowski, wnoszą pochodnię światła: ciemność się rozstępuje, mądrość drogę do biednej Polski odnalazła, i jak śpiewa jeden z poetów *Gazety*, Franc. H. Nowicki:

Cicho!... tam z dworu ktoś w szybę stuka!...
 Czy wiosna wraca!?... ach wiosna nowa!?...
 Do szyby ciemnej dłoń czarna puka,
 Puka i wzywa nas — dłoń ludowa...

Ciekawszemi od tych wierszów, od przetłumaczonych z niemieckiego, do stosunków naszych naprędce i niezgrabnie przykrojonych programów i również z zagranicznych broszur zapożyczonych wyrzekań — są sprawozdania o agitacji socjalistycznej we wszystkich częściach kraju naszego. Agitacya ta — przyznać należy, bo niema racyi i źleby było to przed sobą ukrywać — prowadzona jest nieraz z zaciętością, z młodocianą energią, która zaprzagnięta w inną, prawdziwie pożyteczną służbę, oddałaby mogła społeczeństwu i krajowi nieocenione usługi.

W samym Berlinie odbywają się dość częste, a zdaje się, że i dość liczne i ożywione posiedzenia „Towarzystwa socjalistów polskich“. Zwykle takie posiedzenia rozpoczynają się odczytaniem przez sekretarza protokołu z poprzedniego zebrania; następnie jeden z towarzyszków ma odczyt, nad którym później toczy się dyskusya; na końcu wolno każdemu stawiać i poddawać pod obrady własne wnioski. Tak np. w ostatnich paru miesiącach miał tow. Morawski wykład „O agitacji“; tow. Kurowski szereg odczytów, odpowiadających na pytanie: „Czy socjalizm dąży do przewrotu?“; poprzednio tenże sam prelegent mówił: „O organizacyi robotniczej“, „O węgla kamiennym“, i na temat: „Każdemu owoce jego pracy“. „Towarzystwo socjalistów polskich w Berlinie — czytamy w urzędowym sprawozdaniu za trzecie ćwierćrocze 1891 r. — liczy obecnie 151 członków; posiedzeń odbyło się siedm; urządziło dwie zabawy, a to: rocznicę uroczystą Lassalla i rocznicę upadku praw wyjątkowych. Na wniosek tow. Andrejewskiego założono „Kółko śpiewackie“. Celem urządzania zabaw i rocznic wybrano komitet. Na kongres w Erfurcie wysłano telegraficzne pozdrowienie... Dochodu miało Towarzystwo w tym przeciągu czasu 191 mr. 72 fen., z tego lwiał część, bo 110 mr., dostarczyły karty wstępne na zabawy: rozchód wynosił 151 mr. 5 fen., a z tego na zapomogi obróccono tylko 42 mr., na bibliotekę i gazety 30 mr. 45 fen.; na urządzanie zabaw 54 mr. Dla strejkujących introligatorów we Lwowie i w Krakowie zebrano 163 mr. 81 fen.

Na Górnym Szląsku wyszczególnia się między socjalistycznymi agitatorami niejaki Edward Spika, którego chorobliwa ta, nieco gorączkowa agitacja, przywiodła nawet przed kratki sądowe. Inni korespondenci z Górnego Szląska, a kto wie czy i nie sam Spika, nie mają najmniejszego, ale to najmniejszego wyobrażenia, czym jest i czego chce socjalizm; ale gdy się z kim pokłóca, gdy do kogoś lub czegoś żal czują, a miejscowe gazetki: *Katolik*, *Nowiny Raciborskie*, *Gazeta Opolska* i t. d., ani chcą, ani mogą zatrudniać swych czytelników tymi żalami, zwracają się nasi malkontenci do *Gazety robotniczej*, w błogiej nadziei, że tam przynajmniej ujrzą swe skargi wydrukowane, i to bez opuszczenia ani jednego przezwiska, ani jednego ciężkiego a tępego dowcipu. Śmiesznemby to było raczej, niż smutnem, gdyby później ci biedacy nie pozostawiali raz nazawsze w sieciach, do których chwilowy rankor ich wpędził; gdyby chwając i propagując wokoło „swoją” gazetę, nie wierzyli jej odtąd więcej, niż Ewangelii, i w innych wiary tej nie przelewali.

Założone w Poznaniu „antysocjalistyczne stowarzyszenie” musi mieć niemałe widoki powodzenia, kiedy tak *Gazecie* dało na nerwy, że podziśdzień w każdym numerze, i to zazwyczaj po kilkakroć, do niego wraca. Zajmujące są listy poznańskiego korespondenta, właśnie dlatego, że piszący wynurza się w nich z całą, istotnie dziecięcą naiwnością, a tak daje nam dość dokładny obraz myśli i uczuć, rodzących się w głowie robotnika, który nasłuchiwał się i naczytał socjalistycznych frazesów. „Robotnik wiejski — dowodzi nasz korespondent — powinienby same pieczenie jadać, bo praca umysłowa jest o wiele wygodniejsza, niż fizyczna, gdyż inaczej — ciągnie się dalej ciekawy ten *sorytes* — nie garnęliby się bogacze do niej. Uczyć się zaś w szkołach jest przyjemniej, niż drzewo rąbać i t. d.... Rolna praca jest najwięcej potrzebna..., a jednak fernal lub rataj, największy dobroczyńca ludzkości, jest najgorzej traktowany... Na kandydatach na ministra nie zabraknie nigdy, a robotnika rolnego już od wielu lat brak. Niechby świat był o tyle sprawiedliwy i choćby tylko wyrównał płacę i pracę fizyczną z umysłową, tj. że za jedną godzinę rąbania drzewa dostałoby się tyle, ile za godzinę pisania... Wy uczeni, co regulujecie stosunki ludzkie, powiedzcież raz bogaczom („bogatym kupom gnoju”), powiedzcie im, jak być powinno, aby był dla wszystkich raj“...

Dla naiwnych poznańskich socjalistów można czuć pewną sympatyę, z szczerego politowania płynącą; sądząc z umieszczonych w *Gazecie* odezów i zażaleń, zastosować można do nich w pełnem znaczeniu

słowa: „nie wiedzą co czynią“. Ale jaką nazwą napiętnować agitację warszawskiej socjalno-rewolucyjnej robotniczej partii „Proletaryat“, którego „Komitet centralny“ rozrzucił „w tysiącach egzemplarzy“, jak zapewnia *Gazeta*, odezwę skierowaną przeciwko nowej ustawie fabrycznej, a kończącą się hasłem: „Do pracy bracia, do walki o swoje wyzwolenie! Swobody, fabryk i ziemi!“ Co powiedzieć o agitacji rozwiniętej we Lwowie, w Krakowie; czy samą bezgraniczną „naiwnością“ da się wytłumaczyć? W panegirykach, głoszonych na cześć znanego waryata, eks-profesora Źródłowskiego, i w coraz nowych, z Afryki i ze Stambułu, z obory i ze stajni zapożyczanych przezwiskach, płynących ulewną, wiosenną burzą na głowę lwowskiego namiestnika, jest bez wątpienia spora doza naiwności; ale pomijając już, że równie te panegiryki, jak filipiki na naiwnych czytelników są obrachowane, to pozytywne wiadomości — choćbyśmy nawet przyjęli, że z tendencyjnymi przechwałkami pomieszanę — o świeżo zakładanych socjalistycznych stowarzyszeniach, mnożące się liczbie członków, urządzanych uroczystościach i zabawach — zasługują bądźco bądź na pewną uwagę.

„Na złość rozmaitym obrońcom całego społeczeństwa i obecnego porządku — opowiada krakowski korespondent w liście datowanym w sierpniu 1891 r. — prawdziwie robotniczy socjalizm nie tylko przyjął się w Krakowie, ale znalazł świetny grunt... W lipcu zorganizowali się tutejsi robotnicy w partię socjalno-demokratyczną i postanowili działać otwarcie... Wkrótce w ulu stańczyków i jezuitów zacznie wychodzić socjalistyczna robotnicza gazeta. Prócz tego staraniem tutejszej partii robotniczej założono 2 sierpnia b. r. stowarzyszenie wzajemnej pomocy i kształcenia się „Siła“. Do „Siły“ zapisało się już przeszło 700 członków — a z każdym dniem liczba ich wzrasta... Istnieją tu jeszcze dwa inne stowarzyszenia robotnicze (?), a właściwie, jak się delikatnie chcą nazywać, „rękodzielnicze“ — mianowicie Towarzystwo św. Józefa pod opieką Jezuitów i *Czasu*, oraz „Gwiazda“ pod opieką kilku niższych pisarzy i reporterów z *Nowej Reformy*. Do obu należą i majstrowie i różni „panowie“ lub księża, którzy są tam prezesami i innymi naczelnikami. Oba jednak towarzystwa wiodą suchotniczy żywot. Do „św. Józefa“ należy aż (!) 40 robotników; liczba zaś członków „Gwiazdy“ nie dochodzi nawet stu. Od czasu założenia „Siły“ liczba członków w obu tych towarzystwach coraz bardziej topnieje — a „Siła“ z każdym dniem silniejsza... Najbardziej ze wszystkich rzuca się na nas znany Orłowski, redaktor *Kuryera Polskiego*. Psiuk ten ujada ustawicznie. Niedługo się zapewne wścieknie — a hycel wypro-

wadzi go na błonia i da mu pałką w łeb, aby nie pokąsał porządnych ludzi w Krakowie... Robotnicy nie będą mu już odpowiadać polemiką. Z takimi panami inaczej u nas się załatwi — w każdym razie na taki sposób, że głębiej stulą na dłuższy czas!”

W liście, pisany w miesiąc później, nowe okrzyki radości, tryumfu:

„Czy uwierzycie, że Kraków zaczyna się robić wcale porządnym miastem. Ten stary Kraków, co go słusznie nazywają miastem trupich ludzi, dziś dzięki robotnikom trochę odżył... Dziś u nas, gdzie panują średniowieczne jeszcze stosunki, a szlachta, stańcacy i jezuiti wszechwładnie rządzą... tworzymy tu już partię silnie zorganizowaną i wiedzącą czego chce... Na kongres krawców austriackich w Wiedniu, na kongres robotników stolarskich w Pradze, wysłaliśmy naszego przedstawiciela... Pierwsi stanęli do walki z wyzyskiwaczami-pryncypałami — robotnicy introligatorscy“...

W następnych, październikowych korespondencyach ze Lwowa i Krakowa, znajdujemy obszernie wiadomości o introligatorskim strejku, który wybuchł jednocześnie w obu tych miastach, i niemniej obszerną epopeję bohaterskich czynów jednego z „towarzyszów“, który niechcącego strejkować kolegę „wypoliczkował i obił tak, że popamięta to z ruski miesiąc“. Ostatecznie umieściła *Gazeta robotnicza* o wyniku obu strejków następujący komunikat¹:

„Strejk introligatorów w Krakowie i Lwowie można uważać za zakończony. Część panów majstrów musiała się poddać, tj. podwyższyć płacę robotnikom. Część ze ślepym uporem spanoszonych pijawek, nie chciała ani słyszeć o uszczupleniu swojej kabzy na rzecz tych, którzy ją pracą ciężką napełniają, pozostając sami we wiecznych kłopotach i biedzie. Kilkunastu robotników musiało się poddać... ale ta pierwsza próba nauczy ich w przyszłym strejku, do którego prędzej czy później przyjść musi, solidarności. Kilku podłych tchórzów, którzy kopali dołki pod strejkującymi kolegami, zasłużyło sobie na wieczną pogardę, która ich już dosięgła“.

Dla utrzymania zapалу i werbowania nowych zwolenników, organizują sprytni przewodcy, nawzór berlińskich swych kolegów, różne

¹ Nie wdajemy się bynajmniej w pytanie, czy i o ile żądania strejkujących były same w sobie słuszne lub niesłuszne. Ale choćby były naj-słuszniejsze, czy drogą „obicia i policzkowania“, za pośrednictwem „Siły“ i *Gazety robotniczej*, szukać byli powinni sprawiedliwości?

festyny i uroczystości. Socjaliści lwowscy obchodzili 31 sierpnia rocznicę zgonu „wielkiego agitatora“, Ferdynanda Lassalla, muzykalno-deklamacyjnym porankiem w sali Towarzystwa muzycznego. Tow. Żelaszkiewicz wygłosił wiersz okolicznościowy: „W cześć Lassalla“, ułożony przez tow. Nachera; tow. Borysiewicz wiersz ruski: „Na sudi“, ułożony przez Iw. Franko; wreszcie po kilku jeszcze deklamacyach i odśpiewaniu paru pieśni, „zakończył tow. Daniluk gorącą przemowę, zachęcając ogół robotników do wstępowania w ślady wielkiego bojownika i myśliciela niemieckiego“. — 18 października odbyło się, również we Lwowie, „uroczyste zgromadzenie robotników“, celem uczczenia pamięci zmarłego w twierdzy Schlüsselsburskiej, po ośmiu latach więzienia, jednego z najśmielszych agitatorów w Krakowie i Warszawie, głośnego z krakowskiego procesu w r. 1880, Ludwika Waryńskiego. „Po odczycie tow. Daniluka, przemawiali Mańkowski, Faulhamer, Hudec i Diamand. Gdy zakomunikowano zgromadzeniu, — czytamy dalej w komunikacie *Gazety* — że poseł hr. Stadnicki w imieniu Koła polskiego w Wiedniu przedstawił uchwałę, sprzeciwiającą się powszechnemu głosowaniu, uchwaliło zgromadzenie wysłać do Koła polskiego telegram, piętnujący takie postępowanie jako hańbę“.

Tak bawią się i tak „pracują“ socjaliści polscy pod wszystkimi trzema zaborami. O stronniczość w przedstawieniu ich zasad, pragnień, czynności, nikt nas chyba nie posądzi; wszak nie własnymi posługiwaliśmy się słowami, ale wypisanymi wiernie z gazety, która urzędowo tytułuje się i jest „organem socyalistów polskich“. Nie wątpimy, że wiele jest tu szczerego zapału dla poprawienia losu ludzkości, wiele idealnych marzeń; ale przy tem wszystkim, zamiast szczerości, wiele jest dwulicowości, a zamiast miłości powszechnej, nienawiść niemal ku wszystkiemu szerzona, bo przecież słyszeliśmy dopiero ich hasła: Precz z Kościołem, precz z ojczyzną! precz z buńczuczną szlachtą, z opasłymi mieszczuchami, precz z głupim ludem!... Cóż więc zostaje?



CAR ALEKSY MICHAŁOWICZ NA LITWIE.

Fragment dziejowy z XVII. stulecia.

„Ustawicznie się mury Rzplitej waszej rysują, a wy mówicie: nic, nic, mierządem Polska stoi. Lecz, gdy się nie spodziejecie, upadnie i was wszystkich połłucze”...

(Ks. Piotr Skarga: KAZANIA SEJMOWE).

I.

Podczas lat zamykających pierwszą połowę XVII. w. i rozpoczynających drugą, ze zdumieniem ludy europejskiego Zachodu wpatrywały się w polską Rzeczpospolitą. Gorzała ona jedną, wielką łuną, wznieconą dłonią wojennej pożogi. Zgliszcza uczyniły ją bezbrzeżnem cmentarzyskiem, smutniejszym od każdego mogilnika, bo nie spokój i cisza grobów, ale pasowania się gwałtownie wydzieranego życia z dłonią niszczącą, napępniały te przestworza jękiem konania.

Każda okolica, gród, wieś, prawie każda rodzina tworzyła widownię dramatów wymownych, pełnych niezmiernej grozy. Dzieje każdego kęsa ziemi naszej były niby odbiciem wśród szczupłych szranków krwawej doby, która wielką łuną nieustannej pożogi przyświecała ówczesnemu życiu na całych przestworzach Rzeczypospolitej.

Zwracamy tu myśl naszą ku małej tylko częstce tych obszarów, ku małuczkim jedynie zagonom, ku jednemu z zakątków Litwy. Lecz wszystko, co tam miało miejsce, co tworzyło obraz historii jednego zakątka, powtarzało się w większych lub mniej-

szych rozmiarach wielokrotnie, na tysiącznych pobojuwiskach, w obejściach miast i pod strzechami zagród wiejskich.

Były to dnie wielkiego zamętu w Rzeczypospolitej. Szwed, Tatarzyn, Rakoczy, Chmielnicki, niesforne kupy roznaitego miana, a wreszcie wojska cara Aleksego Michałowicza, wydeptały całą sieć dróg zniszczenia i ucisku. Wszystko, co praca wieków, co usiłowania cywilizacyi wytworzyły, przysporzyły, wzniosły, zachwiało się, bądź runęło, zagrzebano w gruzach miast i zamków, utonęło w morzu krwi, zatracono w lez powodzi.

Litwa przeważnie jęczała pod jarzmem Aleksego Michałowicza, który od r. 1654 najechał ją i sprawiał tam żelazne rządy, mieniąc się panem wszechwładnym jej ziem. Żelazne jego rządy, złożone z szeregu pastwień się nad mieszkańcami, zapowiadały to, co przyszłość miała przynieść owym ziemiom, przyszłość daleka, o parę wieków później, w czasach wyższej cywilizacyi.

W niniejszym szkicu pragniemy wskazać mały ustęp z owych rządów Aleksego Michałowicza na Litwie, ustęp wskazujący, jaką była całość. Posługiwać się zaś będziemy przeważnie urzędowymi źródłami rosyjskimi, edyktami owego monarchy, wskazówka to bowiem wiarogodna ze wszech miar i wiele wyświetlająca; resztę nam dopowiedzą współczesne pamiętniki.

Korzystając ze stanu zupełnego upadku i rozprzężenia, w jakim była Polska ówczesna, car Aleksey Michałowicz postanowił ją najechać i większy lub mniejszy jej kęs — stosownie do okoliczności — do państwa swego wcielić. O powody wyjęcia oręża niewiele troszczono się. Dobrej woli było potemu niemało: gdy zaś nie brakło przytem gotowości bojowej, gdy niepohamowana żądza mordu, chęć łupu, zaboru ziem, żądza licznego jasyru, silnemi tętny były we krwi jego ludu, na najazd niedługo czekano.

Już w półtora roku po pierwszych Chmielnickiego zwycięstwach w Polsce, kiedy ujawniła się zupełna niemoc Rzeczypospolitej, car Aleksey Michałowicz wyprawia do Warszawy poselstwo, domagające się odstąpienia carstwu moskiewskiemu wschodnich ziem Rzeczypospolitej. Olbrzymiemu roszczenia te były. Chciano posiadać Smoleńsk, Siewierszczysznę z Czernihowem, słowem wszystkie zamki i ziemie, które odpadły od Moskwy za dni Zygmunta III.

i Władysława IV. Pretekstem do zatargów, a w ślad za nimi do rzeczonych olbrzymich roszczeń, miały być jakieś opuszczania rozmyślne w tytułach carskich i zabaczania o nich, popełniane przez niektórych polskich dygnitarzy i urzędników, a również, iż ubliżono Aleksemu i jego państwu w jednym z drukowanych pism Samuela Twardowskiego.

Powód do wszczęcia sporów był zwykłym pozorem, podnoszonym przez dyplomację w. ks. moskiewskiego, ilekroć jej chodziło o jakieś zamiary zaborcze. Postępowano w ten sposób niemniej z Polską jak i ze Szwecją.

W dniach marcowych 1650 r., poselstwo moskiewskie w rzezonym celu wyprawione do Rzeczypltej, przybyło nad brzegi Wisły pełne buty i szczerej chęci do zwady. Źródła dziejowe, przechowujące pamięć pierwszego spotkania posłów Aleksego z przyjmującymi ich panami polskimi — u wjazdu do stolicy — podają szczegóły wymownie świadczące o złej woli, a zarazem o niezniernej gburowatości i nieskończenie wielkiem nieokrzesaniu przedstawicieli caratu.

Domagania się ich, aczkolwiek na powodach błahych oparte, wywołały liczne kłopoty, z którymi nie wiedziano w Warszawie co począć. Posłowie carscy przywieźli z sobą foliały listów i rozmaitych dokumentów, gdzie, jak oni utrzymywali, były opuszczone niektóre tytuły cara Aleksego Michałowicza. Żądano, by winnych lekceważenia ich monarchy, a takich wielu być miało, gardłem karano. Poza kwestyą tytułów były i inne domagania się. Pokój czyniono zależnym od zwrotu ogromnego pasa ziem pogranicznych, wcielonych do Rzeczypltej i jej na wieki zapewnionych, na mocy pokoju Polanowskiego. Nie na tem wreszcie kończyły się domagania; dorzucano do nich żądanie znacznych pieniężnych wynagrodzeń za ujmę honoru cara i włączenie do konstytucyj sejmowych, iż nikt niemocen ubliżać owemu honorowi. W razie odmowy grożono natychmiastową wojną. Nacisk posłów carskich tak stanowczo zarysowywał się w sposób prowokacyjny, że najmniej bystre oko mogło tam dostrzedz chęć niezmierną orężnego starcia się, wiedząc wybornie, iż odpór Rzeczypltej w ówczesnych okolicznościach słabym będzie. Umyślnie wygó-

rowane stawiano żądania, aby kwestya nigdy nie została załatwioną, i wiekuiście stojąc na ostrzu miecza, pozwalała stronie naciskającej wówczas uderzyć w surmy bojowe, kiedy czas najodpowiedniejszym się okaże, kiedy wszelkie środki strony prowokującej zebrane i w gotowości zupełnej staną.

Rozglądano się pilnie i bacznie dokoła... Strona marząca o najeździe szukała sprzymierzeńców dość odległych i nie pogardzała wcale tymi żywiołami fermentu, które na polu przyszłych zapasów — w Polsce — znaleźć można było. Że takie żywioły najpożyteczniejszymi mienić się mogły w obozie nieprzyjacielskim — nie ulega wątpliwości, a zarówno i to, że na nie liczono, a przynajmniej nimi grożono. Są w tym względzie ślady dziejowe. Poselstwo, pełne buty, wyraźnie mówiło naszym senatorom: „...Rozpoczniemy z wami wojnę, a dosyć jest ludzi głodnych i uciśnionych w Polsce, którzy pomocy cara żądają“... Zbyt wymowna to aluzya do materyału, z którego mógł się łatwo ferment wytworzyć, by nie była zrozumiałą. Pogrożka mogła się ziścić. Nędzy w kraju spustoszonego było już wówczas poddostatkiem, chociaż jeszcze nie nadeszły dnie najścia szwedzkiego, a tajemne podawanie ręki przez Moskwę Chmielnickiemu miało się rychło na jawne zamienić. Poselstwo moskiewskie wcale nie ukrywało, iż z Zaporozem są w porozumieniu, wyraźnie dając do zrozumienia, iż poddanie Zaporozia Aleksemu Michałowiczowi jest kwestyą tylko czasu, i to niedługiego¹. O spustoszeniu okropnem ziem Rzeczypltej opowiadało poselstwo kilkakrotnie, i niektóre ustępy tej opowieści, chociaż może wydawały się relacją zbyt jaskrawą, wszakże malowały rzeczywistość ze ścisłością zupełną.

Posłowie cara Aleksego Michałowicza mówili naszym senatorom, zapewne dla dobitniejszego wskazania nieudolności, słabości Rzeczypltej, a tem samem swej przewagi, iż głód towarzyszył ich podróży na całej przestrzeni Rzeczypltej, od granic wschodnich prawie aż do Wisły. „Państwo wasze — brzmiał

¹ Patrz „Rozhowory postów moskiewskich z senatorami“, umieszczone w Księdze Pamiętniczej J. Michałowskiego, str. 535 i nast.

głos owych posłów — państwo wasze w niwecz spustoszone przez żołnierzy i wojnę tak dalece, że kura, od Smoleńska poczynawszy do Stanisławowa, śpiewającego nie słyszeliśmy. Ludzie wasi od głodu umierają i do Gospodarstw naszych chrześcijanie sprzedają się¹... Ta ostatnia wskazówka najzupełniejszą przechwałką mienić się może: głód wprowadzie dziesiątkował, choroby nekwały, ale предаwać się dobrowolnie do państwa władców na Kremlinie nikt nie spieszył. Stosunki tameczne zwykłe, podczas pokoju i urodzaju, przerażały ludność pograniczną, wiedziano, iż niewola tameczna ciężka jest niezmiernie; nie przenoszono się do Moskwy, lecz wręcz przeciwnie rzeczy się miały; z Moskwy to właśnie wówczas, i wielokroć dawniej, tłumy Rosyan, sekciarzy przeważnie, uciekały do Polski, szukając wytchnienia wśród życia ciężkiego, wśród orgij krwawych Groźnego, wśród twardych rządów Godunowa, szukając tolerancyi religijnej, i nie chcąc wracać do swych siedzib rodzinnych w państwie carów. Mnóstwem kolonij rosyjskich, głównie sekciarzy, zbiegów, szukających możności wyznawania swej wiary, zaczęły właśnie wówczas zaludniać się różne okolice Rzeczypltej, której bramy dla każdego stały otworem. W Trockiem województwie, na Żmudzi, w Inflantach, w Kijowskiem województwie, pod Żytomierzem, w Mścisławskiem i w innych okolicach tworzyły się liczne osady wychodźców rosyjskich, których później — w pierwszej połowie XVIII. w. — napróżno chciała napowrót zwabić do Rosyi cesarzowa Elżbieta, a wreszcie Katarzyna II.² Manifestom moskiewskim, obiecującym powrót do ojczyzny bezkarny, nie wierzano i nie wracano. Liczba tych wychodźców do Polski miała wynosić 300.000 głów, jak twierdzą źródła rosyjskie³.

¹ L. c. str. 537.

² Pierwsze osady różnowierców z caratu przybyły do Polski i osiedliły się na tak zwanym Zapuszczańskim Trakcie (woj. Trockiego część, dzisiejsza gubernia Suwalska) jeszcze w r. 1551.

³ Manifesta ces. Elżbiety, w kwestyi powrotu z Polski ludu, emigrującego z caratu pod niebo tolerancyi religijnej Rzplitej, były kilkakrotnie (Patrz *Kuryer Polski* z r. 1758, nr. 11.). Wszelkie jednak zapewnienia bezkarności, prośby i błagania, niekiedy pogróżki, wyrażone w manifestach, nie skutkowały — nie wracano. Jak zaś dalece owa dezercya ludu rolni-

Wobec takiego stanu rzeczy, deklaracje poselstwa cara Aleksego, iż „chrześcijanie do Gospodarstw naszych (moskiewskich) przekazują się“, jest niezmierną przesadą, nawet zupełnym fałszem. Natomiast przechwałki o ich zbrojeniu się posiadały rzeczywistą w wielu razach podstawę. „W naszym zaś Gospodarstwie — mówili oni — wszystkiego dosyć; i żołnierza cudzo-

czego z Moskwy do Polski była kwestyą drażniącą rząd carów, i mocno mu na sercu leżała, mamy dowody w notach, któremi motywowano pierwszy rozbiór. Tam o tej dezercyi ludu moskiewskiego dużo się mówi: spotykamy nawet przy memoryale usprawiedliwiać pragnącym rozbiór 1772 r. oddzielną notę pod tyt.: „Krzywdy i szkody ludziom rosyjskim poczynione“, gdzie sprawa emigracyi ludu rosyjskiego pod opiekę praw i tolerancyi polskiej zajmuje pierwszorzędne stanowisko. „Wiadomo jest, — czytamy w rzezonowanej nocie — że rolnik w państwie rosyjskiem równie jak w Polsce i w wielkiej części Europy przywiązany jest do gruntu i formuje część własności swego pana. Poznaje już każdy, jak znaczną szkodę, przez utratę trzechkroć stu tysięcy obywateli różnego gatunku, poniosła szlachta w intratach i w kapitałach swoich majątków. Nietylko zaś trzeba rachować stratę aktualną z każdej familii zbiegłej do Polski; musiał się jeszcze we wszystkich wioskach sąsiedzkich, pogranicznych, wszczać, za przykładem tych zbiegów, duch nieposłuszeństwa, nierządu, pogroźek, niedopuszczając z tych ludzi co pozostali odnosić pomierne go zysku w uprawie gruntów. Niejeden jest taki dziedzic, który, zamiast zebrania jakowej intraty z wiośki, musiał sam żywić swych kmieciów, dla oddalenia dalszej dezercyi, zostawiając obciążonym ze swą stratą nieużytecznymi dobrami, bez pożytku za kupno, zawsze w nadziei, że dwór otrzyma sprawiedliwość, i że się ustanowi porządek na granicach, za którego pomocą będzie mógł w czasie przywrócić rząd i gospodarstwo między swemi ludźmi...

„Prócz tego dzieje się jeszcze niezmierny uszczerbek krajowych dostatków wszelkiego rodzaju. Każdy zbieg zabiera z sobą co ma najlepszego: konia, pieniądze, pożyczając obojga u swego sąsiada: wszystko z nim na wieki wychodzi, a nędza rodaków codzień się pomnaża...“ Ten przedłużony ustęp z owych wyrzeczeń na dezercyę ludu moskiewskiego i niechęć wracania do dawnych siedzib, pod berło moskiewskie, świadczy, iż stosunki tam były zbyt twarde: kto zpod ich nacisku wy dostał się, nigdy już tam nie wracał; owszem, swą dezercyą był wymownem a skutecznem ostrzeżeniem dla ludu, w pogranicznych prowincjach Rzplitej, by nie marzyli o emigracyi do posiadłości rosyjskich. Nie emigrowali przeto dobrowolnie, ale dorywcze inwazyje wojsk rosyjskich, wpadających do pogranicznych województw Litwy, pod pozorem szukania zbiegów, uprowadzały tłumy ludności rolniczej i innej, o ile udawało się zdobyć, w głąb Rosyi. (Patrz: „Zbiór Deklaracyj, Not i czynności główniejszych, które poprzedziły i zaszły podczas sejmu, pod węzłem konfederacyi odprawującego się, od d. 18 Wrześ. 1772, do 14 Maja 1773“).

ziemskiego poddostatkim mamy, Szwedów nawet“... Po czterech latach przekonano się, iż ich gotowość bojowa w istocie wielką mienić się miała prawo; iż tłumy liczne, chociaż nie wyćwiczone, w broń dobrą zaopatrzone były, a karność wzorowa podnosiła wartość tych szyków, na których czele stali w znacznej części cudzoziemscy oficerowie.

Poselstwo mówiło o swem zbrojeniu się, co zresztą dla nikogo z pilniej patrzących tajemnicą nie było, lecz zamilczało o krzątaniach się innej natury, bardzo ważnych w następstwa. Mamy tu na myśli zabiegi różne pokojowe, ale mające wojnę na widoku, zabiegi jawne, a w znacznej części tajemne, dyplomatycznej natury.

Od r. 1650, w ciągu lat przeszło czterech, do połowy 1654 r. dojrzewały okoliczności ułatwiające Aleksemu Michałowiczowi najazd na Litwę. Stosunek Moskwy z Chmielnickim staje się coraz ściślejczy w ciągu owych lat, i wreszcie ku końcowi 1653 r., rozpoczyna się akcja wdawania się w sprawy Rzeczypltej, gdyż poseł rosyjski występuje w charakterze obrońcy Ukrainy; w kilka zaś miesięcy później zadnieprska Ukraina z rąk Chmielnickiego do rąk Aleksego Michałowicza przechodzi. Bez wyjęcia oręża carat staje mocną stopą nad środkowym Dnieprem; ziemie zadnieprskie, na zasadzie poddania się Chmielnickiego wcielone, ochrzcił mianem przedtem nieznanem „Małorosyi“, co już było wskazówką, iż pewne zastrzeżone prawa dla zadnieprzańskich ziem są okresem jedynie przejściowym. Małorosya — stanie się Rosyą.

Chmielnickiego poddanie się oddało Moskwie Zadnieprze w lutym 1654 r., a już w cztery miesiące później, wczesną wiosną, jak na kraje północne, zaledwie blanki murów Kremlina oschły po długotrwałych śniegach północnej zimy, Aleksey, pan środkowego, zwierzchnik dolnego Dniepru, sięgnął po źródła dniewrowe, po górnej Dźwiny bieg, po wyżyny, które leżyły na roztokach owych rzek, aby mieć w swej dłoni gościniec główny ku Bałtykowi — a jego posiadanie, to cel marzeń tylu poprzednich panów Kremlina.

Aleksey celu rzeczzonego nie dopiął; nie zdołał „wyrąbać“

u wód Bałtyku „okna ku Europie“ — miało się to stać zadaniem najmłodszego z jego licznych dzieci, a ten w epoce, o której mówimy, jeszcze nie przyszedł był na świat.

Nad Bałtykiem jednak Aleksey wznowił przymierza dawne z Brandenburgiem i Kurlandją, a nawiązał węzły sojuszu nowego, o celach ściśle określonych, który dla panów na Kremlinie miał się stać najtrwalszym sojuszem. Przetrwał ten sojusz, wznawiany, bądź niewznawiany, w ciągu półtrzecia wieku, zmian i wstrząśnień nie mało, i dla obu państw wchodzących w przymierze legł podwaliną pomyślności: pewne snąc właściwości wspólnemi są obu owym państwom, a przynajmniej pewna liczba celów, dążeń, ideałów są u nich jednakie.

Państwa te — Moskwa i Brandenburg. Zawiazki zbliżenia się ich i przymierza powstały jeszcze w XVI. w., lecz za dni Jana Kazimierza, właśnie w chwili, gdy Aleksey rozpoczynał zabory swój pochód na Litwę, przyszło do ściślejszego sojuszu. Charakterystyczną jest rzeczą, iż w Berlinie już wówczas przymierza tego wartość rozumiano, i zgłoszenie się panów na Kremlinie do kurfirsztu panującego, zarówno w Królewcu jak w Brandenburgii, uważano za rzecz niemałej doniosłości. Kurfirszt — a był nim wtedy Fryderyk Wilhelm zwany „Wielki“ — chociaż stanowisko prawne napozór miał podrzędne, jako hołdownik Rzeczypltej z Prus Książęcych i ksiązę Rzeszy, nad Brandenburgią panujący, poczuwał się do wyższych przeznaczeń. Wierzył on w przyszłość wielką swego ludu i państewka, wszystko więc, co robiono w jego państewku, obrachowywano na wieki. Był to obyczaj tenże sam co północnych Germanów, którzy panowali pod postacią krzyżowych rycerzy nad dolną Wisłą, i również wierzyli w niespożytą niczem trwałość swej przewagi nad Bałtykiem. Ta wiara w swą pomyślność, w trwałość swej władzy nad światem, była też udziałem władców z Kremlina; wspólność cech charakteru politycznego przyczyniła się, iż dwie potęgi, jeszcze w zawiązku, łącno sprzymierzały się, wzajemnie siebie szukały i wspierały się wielokroć nader skutecznie.

II.

Pierwsze przymierze Moskwy z Brandenburgią sięga jeszcze 1517 roku. Od owej odległej doby wznawiano niekiedy stosunki, ale nie było potrzeby spisywania traktatów, ani też istniały okoliczności, któreby probierczym kamieniem tych życzliwych stosunków stać się mogły. Dopiero czasy Aleksego Michałowicza zarysowały stosunek trwalszy; politykę przyjazną brandenburskich kurfirsztów ze sfery idealnej do dziedziny czynu przeniosły.

Prawie w przededniu wyprawy Aleksego na Litwę, uznano w Moskwie konieczność posiadania bodaj odległych sprzymierzeńców, bodaj neutralnych, byle ich mieć. Chodziło o neutralitet życzliwy, zarówno wobec Polski, jak i wobec Szwecyi. Pod wyrazem „neutralitet“ rozumiano: nietylko niedawanie zbrojnej pomocy polskiej Rzeczypltej i Szwecyi, lecz niedostarczanie im broni, amunicyi, żywności. Widzimy więc, iż chodziło o coś więcej, niż o bierne niewdawanie się w orężną rozprawę Polski z jej wschodnim sąsiadem. Chciano na wszelką ewentualność mieć kogoś czyniącego bodaj bierny nacisk z drugiego frontu na nieprzyjaciela, z którym miano walczyć: wchodząc w przymierze o tego rodzaju neutralitet, brano wroga we dwa ognie, zapewniano sobie prawdopodobieństwo zwycięstwa.

Mając zamiar wystąpić zbrojnie około 24 czerwca (1654), car Aleksey na sześć tygodni przedtem napisał własnoręczny list do kurfirszt¹. Z listu tego widzimy, iż przysyłano z Brandenburgii posła — był nim Henryk Reiff — który komplementował cara i załatwiał sprawę dostaw zbożowych. Bardzo jest rzeczą prawdopodobną, że kwestya kupowania zboża w kraju tak mało rolniczym, jak Rosya, i otrzymywanie takowego przez Archan-gielsk — jako jedyny wtedy port rosyjski — pretekstem tylko była, a chodziło o sprawy polityczne, o wysondowanie zamiarów

¹ List nosił datę 7162 r., d. 11 maja, co wedle kalendarza europejskiego, liczącego lata od narodzenia Chrystusa, było 1654 r. d. 21 maja. Rosya ówczesna aż do XVIII. w. liczyła lata od ery stworzenia świata. Porównać: Erdmannsdörffer, *Urkunden und Actenstücke zur Geschichte des Kurfürsten Friedrich Wilhelm*.

Rosyi wobec Polski. Car pisze, że życzeniu kurfirsztą zadość się stało; rozkazano zboże tanio sprzedąć i przez archangielski port wysłać do portów kurfirsztą. Po tak uprzejmym wstępie car wyliczał swe pretensye do Polski, prosił wreszcie, aby Rze-czypłtej nie pomagać w wojnie z Moskwą. List zamykała wzmianka, iż oddawcą jest umyślny goniec, Fedor Poroszyn, proszono, by takowego szybko odsyłać i z odpowiedzią nie mitrężyć.

Uprzejmość brandenburska, przybycie gońca carskiego z li-stem, rzecz zwyczajną, podniosła do znaczenia faktu history-cznego, jak gdyby przeczuwano, iż ów list Aleksego Michało-wicza i przybycie gońca Poroszyna do Berlina staną się w przy-szłości kamieniem węgielnym stosunków przyjaznych państw, jeszcze wówczas świata nieznanymi i w żadnym politycznym znaczeniu. Poroszyna imię nie tylko uwieczniono w aktach pań-stwowych, ale oblicze jego również uwieczniono: zdjęty zeń portret, pendzla francuskiego malarza, mieszkającego w Berlinie, Jakóba Vaillant, parę wieków ozdobą był sal zamkowych w Ber-linie, obecnie zaś złożony w muzeum Hohenzollernów w Mon-bijou, wśród wielu innych zabytków epoki margrabiów branden-burskich ¹.

Kurfirsztą głównym celem było otrząśnięcie się ze stosunku lennego wobec Polski. Wprawdzie w swem tajemnem archiwum Fryderyk Wilhelm posiadał już akt piśmienny Jana Kazimierza, który, starając się o koronę (w r. 1648), wydał mu był rewers, iż zwolni go od hołdu z Prus Książęcych, jeśli mu pomoże w zabiegach o koronę; niemniej jednak przebiegły Brandenburczyk chętnie się łączył z nieprzyjaciółmi Polski, aby i od hołdu być wolnym i znaleźć sposoby do pomnożenia swej potęgi, do rozszerzenia cudzym kosztem swych posiadłości. Mając wciąż na celu myśl wzmocnienia swej potęgi, Fryd. Wilhelm starał się ołśnić Poroszyna uprzejmością, przyjęciem. Pierwszym ku temu krokiem było zapatrywanie się na Poroszyna, jako na agenta dyplomatycznego (*Klein-Gesandter*), którego też w tym chara-

¹ Patrz l. c., i miesięcznik ros. *Russkaja Starina*, rok 1881, zesz. XII.

akterze przyjmowano. Miał on dwie audyencye publiczne i jedną konferencyę tajemną, przy których wciąż asystował kurfirsza doradca, niejako pierwszy minister, von Howerbeck, ten sam, który brał czynny udział w stosunkach Fryd. Wilhelma z Polską. Tenże sam to Howerbeck, który przemyślał, ileby korzyści z Polski można wyciągnąć, a Polska go za to indygenatem później udarowała¹. Poroszyn misyę swą spełniał z wielką godnością; wręczył Fryd. Wilhelmowi i jego małżonce futra sobole, a że skutek najzupełniejszy uwieńczył „gońca“ zabiegi, o tem świadczą nadskakiwania i uprzejmości nadzwyczajne, których on był celem, podczas dziesięciodniowego pobytu w Berlinie. Opatrzony odpowiedzią zapewniającą, iż Fryderyk Wilhelm będzie rozjemcą między carem a królem, obdarowany cennymi podarunkami (dano mu kubek z medalami, wartości 150 talarów), zostawiwszy swój portret, na wiekiustą pamiątkę pobytu w Berlinie, doraźny dyplomata wrócił do cara, który ciągnął właśnie wówczas pod mury Smoleńska.

Wyprawa Aleksego Michałowicza na Litwę bardzo groźnie zapowiadała się. Car miał znaczne siły, karne, dowodzone w znacznej części przez oficerów cudzoziemców, a przytem z wielkim rozgłosem, z wielu przygotowaniami do wyprawy tej przystępowano. Uczyniono z wyprawy najezdniczej walkę narodową, wyprawę niejako krzyżową, w celu obrony rzekomo zagrożonej na Litwie i Ukrainie religii prawosławnej.

Pewne ślady dawnych zebrań narodowych (soborów ziemskich), później zniesionych najzupełniej za Piotra I., istniały jeszcze w Moskwie za panowania Aleksego. Nie one wprowadziły uchwały, lecz wysłuchiwały wniosków i przedstawień rządowych: radzono się ich w sprawach donioslejszych. Aleksey, obyczajem ojca swego, Michała Fedorowicza, zwoływał owe słabe odbłyski parlamentaryzmu w chwilach ważniejszych. Kwestya przyjęcia i wcielenia Zadnieprza, oddawanego przez Chmielnickiego, a również i kwestya wojny z Polską, były przedmiotem przedstawień złożonych w izbie Dumy Bojarskiej.

¹ *Vol. Legum*, T. IV., f. 565, r. 1658.

Wysłuchano w milczeniu i przyjęto wnioski cara. Rozmowa, opozycji nie znano wcale¹. Przeszłość dziejowa wyrobiła w nich ducha bezbrzeżnej uległości, karność milczącą, surową².

„Zbiór Praw państwa rosyjskiego“ zawiera długi szereg rozporządzeń, dotyczących się rzeczonyj wyprawy³. Nieszybko stawającym pod sztandarami, lub od służby wojskowej uchylającym się, karami srogiemi grożono. Bicie knutem — kara najczęściej w użyciu wówczas — wciąż się spotyka w rozkazach. O ilości wojsk relacje sprzeczne bardzo i zupełny brak ścisłości: w relacji pochodzącej z najlepszych źródeł są sprzeczności co do liczb, ale wszędzie podają się liczby znaczne, a nawet w kierunku nader wygórowanym. Jedna z relacyj kreślonych w Moskwie, a więc na miejscu, na zasadzie tego co się widziało, pod wpływem zapewne uczucia przerażenia, że wszystkie tam zebrane i przed monarszym majestatem defilujące siły ławą olbrzymich klęsk uderzają na Rzeczplą, podaje ich liczbę na pół

¹ *Sobranije zakonienij rus. gosudarstwa*. T. 1. (wyd. nowe E. P. Karnowicza).

² Od czasów Iwana Groźnego wytworzył się był zwyczaj, kilkadziesiąt lat trwający, brania od carów wstępujących na tron piśmiennego zapewnienia, iż nie będą rządzić z okrucieństwem. Zapewnienia te wszakże wprędce ustały. Wybrany na tron Michał Fedorowicz, protoplasta domu Romanowów, po swym obiorze dał takie zapewnienie. Są pewne w tym względzie świadectwa. Lecz już za jego rządów system samowładztwa, wprowadzany i utrwalany przez jego ojca, metropolitę Filareta, tak dalece wzrasta, iż rzeczony zapewnienia: o wstrzymywaniu się od „okrucieństwa i zapamiętałości“ (żestokości i opalczywości), od karania gardłem bez winy i sądu — stają się rzeczą nietolerowaną: współrządzący z synem metropolita, później patriarcha, Filaret, pragnął wszelki ślad zatrzeć ograniczeń samowoli panujących, rozkazał przeto zniszczyć wszystkie archiwa miejskie i klasztorne. Rozkaz surowego patriarchy został w całym państwie spełniony z całą ścisłością, wszystkie akta z lat kilkunastu, od czasu wstąpienia na tron Borysa Godunowa, zostały zniszczone. Pozostały tylko archiwa w Syberyi, dokąd albo nie zdołały dojść rozkazy Filareta, lub też nie spieszone z ich wykonaniem. Stosownie więc do zwrotu stanowczego ku samowoli, Aleksey Michałowicz, wstępując na tron, już nie dawał żadnych zapewnień o „wstrzymywaniu się od okrucieństw i niekarania gardłem bez winy i sądu“. (Grzegorz Kotoszychin, pisarz rosyjski, współczesny Aleksemu Michałowiczowi, jego dzieło *O Rassii...* wyd. w Petersburgu 1840 r.).

³ *Sobranije zakonienij russkago gosudarstwa*. T. 1. (wyd. nowe 1875 r. E. P. Karnowicza).

miliona, wraz z hufcami nieregularnymi i ciurami obozowymi¹. Jeśli jednak relacya rzeczona co do liczby wpada w przesadę, spotykamy tam bardzo cenne wskazówki, jak z klęsk dawnych, Smoleńskich, poniesionych za dni Władysława IV., umiejętnie korzystano w ciągu kilkunastu lat, jak nauka twardego losu na marne nie została straconą, jak się zbrojono w cichości, sprowadzano z zagranicy doświadczonych oficerów, nie mniej mających nad dziesięć lat służby i doświadczeń bojowych, jak żołnierza ćwiczano, sztyftowano, jaką wreszcie siłą fizyczną, zdrowiem, mocą zaiste granitową, lud się ten odznaczał, na łonie przyrody żyjący, daleki od zniewieściałości, nie znający miast i miejskiego zepsucia, do zwycięstw, kruszenia przeszkód, do zdobycia świata stworzony.

Te ćwiczenia, w jednym kierunku wytrwale prowadzone, samym Rosyanom wskazały to, o czem niedokładnie może wiedziano, obudziły w nich samowiedzę własnej potęgi, wskazały, iż posiadają olbrzymie sił zapasy, iż są czynnikiem, który wkrótce na szali losów świata znacznie zaważy. Świadkowie owej chwili dziejowej wyraźnie nam o tem mówią. Czytamy w powołanej wyżej relacyi: „To pewna — pisze ówczesny narrator — że Moskwie ta wyprawa oczy otworzyła i pokazała, jaka u nich potęga, o czem przedtem ani pomyśleli“².

„Nie rozumiemy — mówi tenże narrator, obdarzony snąc potężnym zmysłem spostrzegawczym — żeby teraz Moskwa w conceptach swoich *rudis et simplex* była, albowiem po Smoleńskiej klęsce pokoju tak zażywała, że się junacy jej nader rozkrzewili, a przez ten pokój starzy i młodzi ludzie nie doznali co to powietrze, albo gorączki, zwłaszcza w dzikich lasach“³.

Wojnie zamierzonej nadawano cechy wyprawy w obronie wiary zagrożonej. Ślady tego rodzaju stawiania kwestyi na każdym kroku wśród szczegółów przechowanych o tej wyprawie

¹ „Relacya ekspedycyi wojennej Jego Car. Wielicestwa Aleksieja Mich. do Litwy... 1654 r.“.

² L. c. „Relacya“ ta umieszczona w „Ojczystych Spominkach“, wyd. Ambr. Grabowskiego, t. I., str. 99.

³ L. c.

spotykamy. Już sama uchwała o wypowiedzeniu wojny napelniona, rzec można przeładowana zarzutami, iż Jan Kazimierz jest okrutnym prześladowcą Cerkwi prawosławnej, iż wyznawcy tej Cerkwi wiele prześladowań znoszą, iż rycerz wiary i wolności — jakim przedstawiają Chmielnickiego — nie nie zdołał zdziałać w tej sprawie, a więc poddał się carowi Aleksemu Michalłowiczowi, którego przeto obowiązkiem tym większym w danym wypadku pospieszyć na pomoc zagrożonej wierze prawosławnej. Patriarcha podczas przygotowań do wyprawy wszędzie występuje, błogosławi, spotykamy go zawsze tam, gdzie dwór i car: dwie te potęgi obok siebie stoją, zdają się wzajem siebie uzupełniać; zdają się wzajem sobie nie zawadzać, a jednak snąć zawadzały, gdyż o kilkadziesiąt lat później Piotr I. znosi patriarchat i jego atrybucye wiela do atrybucyj swej władzy. Było to znacznie później, na początku XVIII. w., lecz za dni Aleksego nikt o tem nie marzył; urok patriarchatu w całej mocy jeszcze istniał.

Jednocześnie z wysłaniem Poroszyzna do Brandenburgii wyjechał inny goniec do księcia kurlandzkiego z temiż propozycjami co posłane do kurfirsztą, a również rozpoczęto wysyłanie wojsk ze stolicy ku polskiej granicy. Granica ta wcale odległą od Moskwy mienić się wtedy nie mogła; miedza wschodnia zasiedlenia szczepu Białorusinów tworzyła granicę Rzeczypltej, niemniej wszakże liczba wojsk tak znaczną była, iż wcześniej wysłać je należało.

Wysyłanie rozpoczęło wcześniej i małymi najprzód oddziałami. Otóż, przy wysyłaniu najpierwszych oddziałów uwidoczniła się kierunek okrywania całego przedsięwzięcia szatą religijną. Patriarcha wraz z panującym lustruje odchodzące oddziały. „Było co widzieć: — mówi o tem naoczny świadek — Wielki Patriarcha na zamku, z domu swego, nad jedną drogą, na której Panieński klasztor stoi, dał galeryę zbudować; na tej galeryi wysoko stojąc, sam Car z Patriarchą przypatrywał się wojsku, przechodzącemu pod gankiem, z którego bojarów i oficerów do wiernych posług pilnie napominał. Patriarcha zaś przechodzących żegnał i święconą wodą pokrapiał... Dla zupełniejszego

jeszcze uwidocznienia tłumom, zarówno zbrojnym, jak i tym, co na ich odejście patrzą, że siła nieziemska wojska te prowadzi i Bóg sam wskazuje drogę carowi Aleksemu Michałowiczowi — wymalowano chorągiew z niebieskim przewodnikiem i takową przed wojskiem niesiono.

Naoczny świadek mówi obszernie o tej chorągwi naczelnej. Był na niej „anioł zbrojny, który dwoma palcami zbrojnemu konnemu drogę pokazywał: którą chorągiew — kończy współczesny narrator — skoro pospólstwo zoczyło, bez miary poczęło się żegnać i jakoby na cudowisko jakie patrzyło. Jest pospólstwo tej opinii, że ta chorągiew cuda wielkie czynić będzie“¹.

Prawdziwie oryentalny przepych roztaczano dokoła, opuszczając stolicę. Blask dworu, orszaku carskiego, olśniewał lud, napelniał go dumą, wlewał otuchę, iż tak wielki mocarz, otoczony mocą niezaprzeczenie wielką i wspaniałością niezrównaną, stanie się świata zdobywcą. Wszakże nie napróżno anioł mu wskazywał drogę, droga ta inną być nie mogła, tylko do zwycięstw, do sławy. Wiara w szczególną opiekę Nieba, we własną pomyślność, szybko od tłumów do wojsk przechodziła, budziła zapał i w istocie uścielała gościniec pomyślności. Wiara w siebie, w stateczność pomyślnych swych losów, wówczas po raz pierwszy ukazująca się na ich widowni dziejowej, stała się od-tąd udziałem tego narodu i niezaprzeczonym czynnikiem w przyszłości jego powodzeń. Zamożność skarbu dała mu możność ściągnięcia wielu cudzoziemskich oficerów. Dobry żółd ściągał liczny zastęp tych, którzy po ukończeniu wojny trzydziestoletniej, po traktacie Westfalskim, nie wiedzieli, co z sobą czynić, i chętnie to pod sztandar szwedzki Karola Gustawa, to pod sztandar wojsk Aleksego Michałowicza zaciągali się. Kraje cara Aleksego były dalekie, mało znane, warunki klimatyczne i pułtkowiem stojące wielkie przestworza otaczały je pewnego rodzaju tajemniczością, pełną grozy; instytucye, obyczaj ludności owych krajów nie dodawał wcale otuchy wędrowcom, przekraczającym miedze tych ziem — i wędrowiec był tam rzadki po

¹ L. c. — Mniej więcej takż odpis z tej relacyi spotykamy i w Księdze Pamiętniczej J. Michałowskiego, str. 724.

wsze czasy — lecz to nie zamykało drogi kondotierom różnego miana i pochodzenia. Cisnęli się oni tam chętnie, widzimy nawet wśród nich Polaków. W liczbie hufców, które deflowały przed carem Aleksym Michałowiczem, idąc na polską wyprawę, spotykamy jeden wyłącznie z husarzy złożony, liczone ich tysiąc, wszyscy mieli być Polakami, a na ich czele siedł Krzysztof Rylski. Tak świadczą nasze źródła dziejowe, usuwając wszelką wątpliwość, iż w szeregu kondotierów nie brakło i naszych ziomków.

Przygotowania wielkie do najścia, w Moskwie czynione, nie odbiły się echem takichże przygotowań do obrony w krajach Rzeczypltej. O obronie zaczęto myśleć zbyt późno. Głównym kluczem obronnej pozycji był Smoleńsk. Wprawdzie nie napróżno twierdzą się on mienić, warowny był, ale nie miał wodza, któryby godnie stanowisku umiał odpowiedzieć. Cała obrona Smoleńska spoczywała w rękę wojewody smoleńskiego, Filipa Obuchowicza, człowieka z pewnem wykształceniem, lecz dalekiego od stanowczości w działaniu i uzdolnień wojskowych. Późniejsze wypadki, które wnet miały nastąpić, wskazały całą jego nieudolność: nieszczęścia, jakim nie umiał zapobiedz, ściągnęły na jego głowę mnóstwo obwinień, złorzeczeń od współczesnych i potomnych.

Wogóle w tym wschodnio-północnym węgle Rzeczypltej najczęściej nie umiano wówczas stanąć na wysokości zadania. Wyrzucił to już Jan Kazimierz, pisząc przy końcu następnego roku manifest do narodu. Tam o najeździe Aleksego Michałowicza tak się król wyrażał: „Wpierw kilka prowincyj posiadł (nieprzyjacieli), nim Uprzejmości Wasze odpór przeciw niemu obmyśleliście... A nie naszą niedbałością takie omieszkanie dzieje się, ale że niektórzy, dopinając prywat swoich, albo całe sejmy rwiecie, albo o obronie radzić tak długo myślicie, ażby niegodnej i niezdolnej ambicyi dosyć się stało“... Głos ten prawdy wielkiej bezowocnie przebrzmiał. Sumienia ówczesne coraz polhopniejsze się stawały do brnięcia w bagna prywaty.

(Dok. nast.).

Maryan Dubiecki.

WSPÓLNE TŁO POJĘĆ RELIGIJNYCH U HINDÓW.

Kastowość: pojęcie o Brahmanie; przechodzenie dusz (metempsychoza).

Hindowie w dzisiejszych czasach, i oddawna, są poganami i bałwochwalcami, lecz ich pojęcia religijne tak się różnią od pojęć i praktyk religijnych innych ludów pogańskich, iż wiarę ich wyróżniono osobną nazwą *Brahmanizmu*. Nazwa ta nie odpowiada istocie rzeczy, a jakkolwiek jest używaną jeszcze w niektórych książkach, w dziełach jednak gruntownych zastąpiona została inną, mianowicie *Hinduizmem*.

Lecz hinduizm nie stanowi jednej religii. Hinduizm, pod pewnym względem, podobny jest do protestantyzmu: jestto zbiór nader licznych sekt, z których każda ma swoje odrębne artykuły wiary, każda istnieje niezależnie od innych; pomimo to jednak, wszystkie te sekty mają pewną spójność, swoje właściwości miejscowe, które tworzą wspólne tło religijne Hindów. Zapoznanie się z pojęciami religijnymi, wspólnymi wszystkim Hindom, uchroni nas od powtarzań przy omawianiu poszczególnych sekt, a nadto uwydatni wyraźniej główny szkielet prastarych pojęć, które się następnie przeobraziły i wyrodziły.

Zanim jednak przystąpimy do naszkicowania wspólnych pojęć religijnych Hindów, przedewszystkiem poznać musimy jedną ich cechę, która zresztą ściśle zespoliła się z pojęciami religijnymi i z całym życiem mieszkańców półwyspu; pomówimy tedy najprzód o *kastowości*. Jakkolwiek rzecz ta znana jest powszechnie, nie jest jednak znaną dokładnie; błędne pojęcia o kastowości, z jakimi spotkać się można w poważnych nawet pismach i księgach, rodzą bałamutne zapatrywania odnośnie do rozwoju religijnego w Indjach.

Wszyscy Hindowie, nie wyłączając nawet tych, którzy wyznają mahometanizm, rozdzieleni są na liczne nader gromady społeczne, zwane *kastami*¹.

Wyraz *kasta* jest portugalski i znaczy „rasa“; w języku sanskryckim mówi się *warna*, tj. „barwa“. Nazwa tak portugalska jak i sanskrycka wyrazu miała podstawę w istocie rzeczy i odnosiła się do koloru skóry, a tem samem do rasy; lecz z biegiem czasu wytworzyły się inne stosunki i dzisiaj wyraz *kasta* oznacza grono ludzi pokrewnych, zajmujących pewne określone stanowisko w społeczeństwie i zwyczajnie oddających się tego samego rodzaju zajęciom.

Sama nazwa „barwa“ wskazuje, że zasadniczą podstawą podziału była rasowość². Aryowie, zajmujący zwycięsko półwysp, należeli do rasy białej, ludność zaś miejscowa, którą wypierali z ich siedzib, należała do różnych ras barwy śniadej, a nawet czarnej; ztąd naturalny podział rozpadał się na dwie części: na rasę białą, panującą, Aryów, i na rasę zwyciężoną, śniadą i czarną, nie-Aryów. Jednakże, ponieważ wśród samych Aryów istniały już podczas zaboru warstwy społeczne, dlatego w epoce, w której powstała księga „Praw Manu“, rozróżniano w społeczeństwie hinduskiem następujące cztery klasy albo warstwy:

¹ Pisarze hinduscy nie godzą się co do początku powstania kast, najczęściej tłumaczą je mitycznie; Mahabharata zaznacza jednakże wspólne pochodzenie: „Brahmani, Kszatrie i reszta ludzi są potomkami Manu“. Ob. *Mahabh., Adi Parwa*, cz. 75. wiersz 3138.

² Czytamy w Rigweda III, 34, 9: „Wygubił Dasyów a opieką otoczył barwę Aryów“.

Brahmanów, Kszatryów, Waisiów i Sudrów; trzy pierwsze klasy były potomkami Aryów, ostatnia składała się z tubylców i z potomków pochodzących z małżeństw mieszanych.

W czasach, o których powyżej była mowa, *Brahmanowie* byli kapłanami, posiadali największe wykształcenie umysłowe, a nadto zdobyli sobie już podówczas nadzwyczaj wpływowe stanowisko.

Kszatryowie byli wojownikami, z ich grona pochodzili książęta i królowie.

Waisiowie, po polsku „wieśniacy“¹, zajmowali się uprawą roli i hodowlą bydła.

Wreszcie, do *Sudrów* zaliczani zostali wszyscy nie-Aryowie. Sudrowie nie byli niewolnikami: posiadali oni nie tylko osobistą wolność, ale nawet i wysokie nieraz godności; całe kraje rządzone były przez królów, którzy dlatego, że nie byli potomkami Aryów, nosili miano Sudrów.

¹ Wyraz sanskrycki *wis*, według słownika petersburskiego oznacza gromadę, szczep, naród. Wyraz ten w języku wedyjskim, w rodzaju żeńskim i liczbie pojedynczej, oznaczał „rodzinę“, w liczbie zaś mnogiej, zbiór rodzin, i odpowiadał polskiemu wyrazowi „wieś“.

Wszystkie języki aryjskie, z wyjątkiem greckiego, zachowały ten źródłosłów do oznaczenia nazwy wsi. *Wispati* w sanskrycie znaczy „pan wsi“: *Waisya* oznacza mieszkańca wsi, wieśniaka, a cały stan społeczny oddany rolnictwu i pasterstwu nosił to miano.

Oprócz wyrazu „*Wispati*“, używa się jeszcze w sanskrycie innego wyrazu, mającego to samo znaczenie, mianowicie *Gopa*, a wyraz ten ma ścisły etymologiczny związek z wyrazami polsko-słowiańskimi: pan, ban, żupan, gospodyn, gospodarz, gospoda.

„*Gopa*“ dosłownie w sanskrycie znaczy „stróża krów“, a pochodzi od źródłosłów: *pa*, tueri, servare, nutrire i *go*, krowa.

„*Pa*“ wraz z sufiksem „*na*“, *pana*, znaczy w sanskrycie „opiekę“; *pan* i *ban* w perskim znaczą tyle co „stróż“, a wyrazy *gopan*, *czopan*, *dźuban* w tymże języku oznaczają stróża krów.

Pada po sanskr. znaczy pastwisko; *goszpada* znaczy dosłownie to samo co polskie „gospoda“; stąd pochodzą: „gospodyn“, „gospodarz“, „gość“. Ze źródłosłowu *go* pochodzą: „goweda“, „gowiadyna“, „gawiedź“.

Wyraz polski „krowa“ według źródłosłowu sanskryckiego znaczy „mięso“; wyraz sanskrycki *krawajad* znaczy „mięsożerny“.

Ob. *Les Origines Indo-européennes*, p. A. Pictet.

Taki był podział na kasty ludów, zamieszkujących Indye w pierwszych czasach wtargnięcia Aryów na półwysep. W IV. w. przed Chr., Megasthenes, ambasador Seleuka Nikatora przy dworze Czandra-gupty (Sandrokottos), Radży panującego w Pataliputra, rozróżniał już wśród Hindów siedm kast. Z czasem, skutkiem przewrotów politycznych, mieszanych małżeństw i zmiany zatrudnień, zatarły się wybitniejsze różnice tych klas, urabiały się inne stosunki społeczne, powstały nowe i liczne nader kasty, które z poprzedniami mały jedynie mają związek.

W dzisiejszych czasach ilość kast w Indyach jest ogromna, lecz ich liczba nie jest dokładnie znana. W prowincyach północno-zachodnich liczą 307 różnych kast; w Bengalu jest daleko więcej: samych głównych kast liczą do tysiąca, a wzięwszy w rachubę ich podpodziały, liczba wzrasta do kilkunastu tysięcy. Tak samo w Indyach południowych. W każdym większem mieście kasty liczą się na setki, a w każdej prowincyi na tysiące. Ponieważ każdy rodzaj zatrudnienia stanowi kastę, są, a przynajmniej do niedawna były kasty „rabusiów“. O tych „rabusiach“ ciekawe opowiadali szczegóły misjonarze jezuicki w swych *Lettres édifiantes et curieuses* z przeszłego wieku.

Z dawnych czterech warstw społeczeństwa hinduskiego, Brahmanowie jedynie zachowali czystość krwi, nie stanowią jednak jednolitej klasy; podzieleni na liczne grupy, różnią się między sobą nazwą i rangą. Inne trzy klasy, pomieszane razem, rozpadły się na niezliczone grona, przedzielone od siebie bezdennymi przepaściami, i tu jest właśnie główna różnica między warstwami społecznymi innych ludów a kastami hinduskiemi. W Indyach, w jakiej kaście kto się rodzi, w takiej i umiera; nie nie pomogą zdolności i zasługi osobiste: Hindus może się wyszczególnić rozgłośną nauką, nabyć wielkie bogactwa, może nawet zająć wysokie stanowisko urzędowe, nie może jednak przejść do innej, wyższej kasty.

Przepisy, odgraniczające kasty, do trzech głównie redukują się punktów, mianowicie: do zajęć osobistych, związków małżeńskich, do sposobu przyrządzania i spożywania pokarmów.

W dzisiejszym stanie społeczeństwa hinduskiego każda ka-

sta zajmuje się oddzielnem rzemiosłem lub przemysłem, odziedziczonem po przodkach; i tak: *Sonarowie* są jubilerami, *Waniowie* handlują zbożem, *Bhatyjowie* bawełną i sukniem, *Czatri* galonami złotymi i srebrnymi, *Sympi* są krawcami, *Sutarowie* cieślami, *Sikalgarowie* tokarzami i t. d.¹ Lecz Hindowie nie poprzestali na takim tylko podziale pracy; namnożyli oni specyalności, a tem samem i kast bez końca. I tak, służący ubierający swego pana i czyszczący jego suknie, za nie w świecie nie zamiecie pokoju, albowiem zamiatanie należy do innej kasty; lokaj usługujący do stołu, nie poniesie za swym panem parasola, tę bowiem czynność inna spełnia kasta, i tak dalej z innemi zatrudnieniami; ztąd dwór każdego zamożniejszego Hindusa lub Europejczyka musi się składać z legionu służących.

Związki małżeńskie między osobami należącemi do różnych kast, szczególnie zaś między wyższemi i niższemi kastami, są surowo wzbronione; przepisy, ograniczające te małżeństwa, znajdują się już w „Prawach Manu“.

Spożywanie i przygotowywanie pokarmów określone jest ścisłymi przepisami. Żaden Hindus z kasty wyższej nie zaprosi do swego stołu gościa należącego do kasty niższej, ani nie będzie jadł potraw przez niego przygotowanych. Są kasty, które posuwają szkrupuły swoje do ostateczności: nietylko jedzenie, ale i gotowanie pokarmów odbywa się przy zamkniętych drzwiach, aby przypadkiem obce oko nie rzuciło na nie jakiego uroku. Monier Williams, który wiele podróżował po Indjach, ani razu nie widział Hindów, z wyjątkiem kast najniższych, gotujących lub jedzących.

Oprócz tych zasadniczych wyróżnień, każda kasta ma jeszcze swoje specyalne ustawy. Hindowie spełniają wszystkie te przepisy pilnie i dokładnie, raz dlatego, iż je uważają za przykazania religijne, a również z obawy nieuchronnego następstwa, jakie spowodza ich przekroczenie, mianowicie wyłączenie z kasty.

Hindus nie może przejść do innej kasty, szczególnie wyż-

¹ Wymienione nazwy podajemy za Sinclair'em, który w *Indian Antiquary* zamieścił nazwiska kast w Dekhanie; w innych krajach hinduskich te same rzemiosła sprawowane są przez kasty noszące inne nazwy.

szej, ale może utracić swoją własną kastę, co jest dla niego rzeczywistym nieszczęściem. Hindus, który przestąpił jakikolwiek przepis kastowy, utracą swą kastowość, przestaje być członkiem społeczeństwa, do którego należał, pozbawia się wszelkich praw społecznych: nikt z nim obcować nie będzie, nikt od niego nie kupi ani jemu nie sprzedać nie może, wierzyciele nie wypłacą mu zaciągniętych długów — słowem, jest, jak dziś mówią w Irlandyi: „zbojkotowanym“. Takiemu Hindowi pozostaje jedno z dwóch: albo spełnienie długich, mozolnych i z wielkimi kosztami połączonych warunków, które mu przywracają jego miejsce w kście, albo też opuszczenie kraju i osiedlenie się gdzieś daleko między obcymi. Ten rodzaj bojkotowania utrudnia nadzwyczaj prace misyjne. Hindus, zostając chrześcijaninem, musi opuścić dom, rodzinę, krewnych i znajomych, musi szukać schronienia u obcych; takie przykłady zdarzają się, lecz rozumie się, są nader rzadkie. Zdarza się częściej, iż cała osada się nawraca, a w tym razie stosunki ich społeczne nie ulegają zmianie.

Warunki, przywracające kastowość, są liczne i trudne do spełnienia. W Prawach Manu wyszczególnione są kary, odpowiadające każdego rodzaju przestępstwom: kto dobrowolnie naraził się na utracenie kastowości, przestępując jaki przepis zakazany, musi odbyć pokutę, zwaną *Santapana*; jeżeli zaś przestąpienie było niedobrowolne, wówczas przepisana jest pokuta *Pradžapatya*. Pokuty te są ostre. Czytamy w księdze Manu¹:

Podwójnie urodzony, spełniający pokutę Pradžapatya, może raz tylko na dzień, rano, przez przeciąg trzech dni, przyjmować posiłek; w ciągu następnych trzech dni może również raz tylko na dzień jeść, ale wieczorem; przez trzy dni może jeść tylko to, co mu kto bez proszenia ofiaruje; a wreszcie przez trzy dni nie może jeść zgoła.

Inna pokuta, jeszcze trudniejsza, jest:

Przez jeden dzień jeść strawę przygotowaną z moczu krowiego, pomieszanego z mlekiem słodkim i kwaśnym, z masłem topionem, a wszystko gotowane z wodą i zieleń Kuśa. Suszenie całą dobę, zowie się pokutą *Santapana*².

¹ Prawa Manu xi, 211.

² Tamże, 212.

Jeżeli dodamy, że każda kasta ma swoje własne a mnogie pokutne przepisy, że kapłani hinduscy, którzy przestrzegają ich spełniania, muszą być sowiecie opłacani przez pokutującego, łatwo zrozumieć, że Hindus nader starannie unika wszystkiego, coby go na utratę kastowości narazić mogło.

Brahmanowie¹, jak to już powiedzieliśmy, są dziś jedynymi przedstawicielami i rzeczywistymi potomkami Aryów, dawnych zdobywców półwyspu indyjskiego; oni stanowią jedyną arystokrację rodową i zachowali swe dawne wpływowe stanowisko, oni są kapłanami, ale jedynie w sektach czysto hinduskich. Żaden Brahman nie śmiałby brać udziału w starym kulcie przedaryjskim, który przechował się dotąd w niektórych miejscowościach Indyj, a tem bardziej nie mógłby piastować w nim godności kapłańskiej, bez utraty kastowości. Co więcej, Brahmani, których nazywają w Dekhanie *Namburami*, dlatego że są kapłanami Nairów, którzy jakkolwiek należą do sekty hinduskiej, lecz zachowali swe dawne zwyczaje drawidyjskie, są pogardzani przez Brahmanów północnych. Nie każdy tedy kapłan w Indyach jest Brahmanem, i naodwrot, nie każdy Brahman jest kapłanem.

Brahmani oddają się różnym zatrudnieniom i rzemiosłom, z wyjątkiem tych, które nie licują z ich godnością rodową. Ten różny rodzaj zajęcia sprawił, iż dzisiejsi Brahmani, jakkolwiek ród wiodą od Aryów, co więcej, jakkolwiek są potomkami dawnych Brahmanów i przepasani są „świętym sznurem“², który im daje prawo do tytułu szlachectwa, mianowicie do nazwy *dwi-dża*, tj. „podwójnie urodzony“ — mimo to jednak dzielą się na mnóstwo kast, nie mających z sobą żadnej łączności, do tego

¹ Używamy wyrażenia *Brahmani*, *Brahmanowie*, nie zaś *Bramini*, albowiem takie jest brzmienie tego wyrazu w sanskryckim i tak ich dzisiaj zowią wszyscy uczeni indologowie.

² Sznur złożony z trzech cienkich skrętów zawieszony jest na lewem ramieniu, opasuje ukośnie piersi i plecy i przytwierdzony bywa do prawego biodra. Każdy syn Brahmana w ósmym roku życia przystępuje do tego obrządku, który spełniają kapłani. W języku sanskryckim obrządek ten nazywa się *Jadżno-pawita*, tj. „ofiarnie powicie“. Chłopiec powity tym sznurem ma prawo do tytułu *dwi-dża*, do uczenia się Wedów i do innych przywilejów kasty brahmańskiej.

stopnia, że nawet związki małżeńskie pomiędzy niektórymi z tych kast nie są dozwolone. Kasty brahmańskie różnią się nazwą, zajęciem i rangą. Najwyższa kasta brahmańska nosi nazwę *Īttapawana*, do której należał słynny Nana Sahib. Brahmani z kasty *Jadźurwedi* zajmują się handlem, kasta *Dewruch* oddaje się rolnictwu, *Telandźi* służą przy wojsku, inni wykonywują różne rzemiosła, a nawet służą po dworach bogatych Hindów.

Doskonały znawca hinduskich stosunków pisze¹: „Obecnie w każdej rodzinie brahmańskiej ojciec przeznacza synowi jego przyszłe zajęcie i wybiera dla niego stan świecki lub duchowny. Brahmani, jak wiadomo, nie wszyscy są kapłanami, lecz poprostu są warstwą społeczną, jak i u nas, złożoną z dwóch części: jedni są kapłanami, którzy zwyczajnie zowią się *Bhikszuka*, drudzy zaś zajmują świeckie stanowiska i nazywają się *Gryhaszta*. Wśród kapłanów, tak zwani *Purohici*, stanowią najniższy stopień, nie posiadają oni wyższej nauki i mogą jedynie sprawować obrzędy domowe. Drugi stopień stanowią *Guru*, którzy uczą Mantrów i obrzędów religijnych. Wreszcie do trzeciego działu należą właściwi uczeni; dla tych ostatnich istnieją dwie szkoły: jedna teologiczna, w której wykładają Wedy kapłani, zwani *Wajdik* albo *Jadźnika*, i z tej szkoły wychodzą doktorowie teologii i zostają w tychże szkołach nauczycielami; druga filozoficzna, gdzie się uczą filologii i filozofii, a uczniowie po ukończeniu zostają nazwani *Śastri* albo *Pandit*, co odpowiada również naszemu tytułowi doktora. Synowie Brahmanów, oddający się zawodowi świeckiemu, Gryhaszta, posyłani są do szkół świeckich, bądź narodowych, założonych i utrzymywanych przez Hindów, bądź też do naszych wyższych szkół angielskich. Tutaj uczą się po angielsku i mówią tym językiem tak dobrze jak i my sami. W tych szkołach zwyczajnie piśmiennictwo hinduskie jest pomijane. Uczą się tu Shakspeare'a, Milton'a, Tennyson'a i wszystkich naszych pierwszorzędných pisarzy i dążą do tego, aby sami mogli pisać po angielsku. Tutaj również przywykają do pu-

¹ *Brahm. and Hind.* by Sir Monier Monier-Williams, p. 386.

szczenia w niepamięć swej religii, a nawet do jej pogardzania, jednakże nie nabywają ochoty do chrześcijaństwa“.

Zdaje się rzeczą dość prawdopodobną, że część potomków dawnej kasty *Kszatryów*, „wojowników“, przechowała dotąd swą odrębność.

Na północno-zachodnim półwyspie leży prowincya, zwana *Radżputana*, rozdzielona obecnie na 16 księstw udzielnych. Radżowie w nich panujący są lennikami Anglii, płacą cesarzowej indyjskiej haracz i w wielu sprawach, zwłaszcza natury politycznej, zależni są od rezydenta angielskiego. Mieszkańcy tego kraju zowią się *Radżputami*, tj. Synami królewskimi, a swe pochodzenie wyprowadzają od Kszatryów. Etnografisci utrzymują, że znaczna część dzisiejszych Radżputów jest pochodzenia aryjskiego; są między nimi całe pokolenia, mianowicie *Sasodia*, które zachowały czystą rasowość. Dobrze zbudowani, cerę mają białą, długie włosy spływają w pierścienie, twarz pełna szlachetności i odwagi. W stosunkach do swych Radżów zachowali dawne zwyczaje, które przypominają europejskie czasy średniowieczne. Ziemia, którą posiadają, jest ich własnością; składają tylko dań Radży. W pewne uroczystości, przybrani w godła i symbole, które są ich herbami rodowymi, zgromadzają się w zamku swego Radży i tam biorą udział w igrzyskach; nadworny gęślarz Radży, w pochwalnych pieśniach przypomina bohaterские czyny przodków, opiewa bogactwa i wspaniałomyślność swego pana. W czasie wojny, na wezwanie Radży, stawiają się wszyscy konno, uzbrojeni po staremu, w miecz, oszczep i strzały: tworzą małe poczty, a poprzedzeni chorągwiami i muzyką, idą mężnie do boju. Radżputowie cieszą się sławą w całych Indjach: wszyscy książęta hinduscy starają się wejść w związki pokrewne z córkami Radżów radżpuckich.

Ród dawnych Waisiów zaginął — co zresztą z natury rzeczy było nieuniknionem. Po zajęciu Indyj, Waisiowie właśnie zajęli się rolnictwem, musieli mieć ciągłą styczność z pramieszkańcami, poczęli z nimi wchodzić w związki pokrewne, a wreszcie złączyli się z nimi zupełnie.

Sudrowie jednak pozostali. Skoro Aryowie wkroczyli do

Indyj, zastali tam już gęsto osiadłą ludność i cywilizację dość wysoko rozwiniętą. Jedna część ludności zespoliła się z Aryami: obopólne ustępstwa urobiły z niej lud hinduski; druga część, wyparta z swych siedzib, schroniła się w góry, lasy i niedostępne sitowia i tam w odosobnieniu żyje w stanie napół dzikim: wreszcie część znaczna, z powodu szczęśliwszych okoliczności, uznała wprawdzie zwierzchnictwo Aryów, uległa ich wpływowi moralnym, zachowała jednakże podziśdzien swą odrębność i niezależność szczepową. Istnieją dotąd udzielne księstwa, których panujący nie mają nic wspólnego z Aryami, są tedy rzeczywistymi Sudrami. Na wybrzeżach Malabarskich zamieszkuje plemię drawidyjskie, zwane *Nair*, słynne ze swego męstwa i poczucia godności osobistej. Ulegli wprawdzie pod naciskiem Aryów, a później Portugalczyków, nie ugięli jednak karku przed zwycięzcami. Za panowania tych ostatnich, Nairowie wyzywali Europejczyków do pojedynekowego boju, dla zapewnienia sobie pierwszeństwa. I dziś jeszcze *Nair*, odbywający podróż, poprzedzany bywa zbrojnym poczem, usuwającym z drogi wszystkich, nawet Brahmanów i Anglików.

Nie wszyscy tedy Sudrowie pogardzanymi bywali i są w Indyach, oni również dzielą się na kasty¹, a nadto nie jest prawdą, aby kasta Parjasów, a raczej Parjahów, uznawaną była za wyrzutek społeczeństwa. W południowych Indyach istnieją kasty Parjahów, które całkiem nie należą do najniższych. W okolicach Madrasu, Parjahowi zwyczajnie powierzone jest czuwanie nad granicami posiadłości gminnych; Parjah również wybierany

¹ „In large village communities in the Decan, for instance, the outcast races are never on one uniform level of inferiority. There are grades of outcasts as well as of the *twice born*, and one grade may not live, or eat with, still less intermarry with the others — the caste which removes and skins and buries the dead ox, may not intermarry with that which twists the skin into well-ropes, or makes the skin into leather, or the leather into shoes. There is much to justify the conjecture that each caste marks a separate conquest of some aboriginal tribe, each tribe having had its separate work assigned to it in the organisation of the village community“. *On the Laws affecting the relations between civil, and savage Life*, by Sir H. Bartle Frere, *Journ. of the Anthr. Inst.*, vol. xi, p. 315.

bywa przez gminę, jako „oblubieniec“ bogini „Jedynej Matki“, podczas dorocznej uroczystości w „Czarnem Mieście“, w Madrasie¹. Są jednakże kasty w Indyach, uważane za wyrzutków społeczeństwa; w księgach hinduskich nazywani byli ogólnem mianem *Czandala*, *Mlecza*, dzisiaj w każdej prowincyi mają własną nazwę: *Kandżarów*, *Palijarów*, *Todów* i t. p. Do tych wyrzutków społeczeństwa zaliczane są zwyczajnie plemiona czarne, napół dziko żyjące w lasach i sitowiach, a również najnędzniejsze warstwy społeczne w większych miastach, które zajmują się obdzieraniem zabitych zwierząt, szczególnie krów, wyprawą skór i innym, podobnie wstępnem dla Hindów rzemiosłem.

Wreszcie należy zauważyć, iż jakkolwiek od najdawniejszych czasów powstawały różne sekty w Indyach, które w zasadzie znosiły kastowość, w praktyce jednak reformy te, z nader małymi wyjątkami, nie utrzymały się.

Powyższe przedstawienie rzeczywistego stanu kastowości, dozwala nam już narazie, jeżeli nie sprostować całkowicie utartych sądów o Brahmanach, to przynajmniej oględnymi być w ich przyjmowaniu.

Upadek buddhaizmu w Indyach, rozrost dzisiejszego hinduizmu, uporną wytrwałość w pogaństwie, tłumaczono sobie bardzo dogodnie wpływami Brahmanów. Otóż, ponieważ nie wszyscy Brahmani są kapłanami, nie wszyscy kapłani należą do kasty Brahmanów, nadto ponieważ Brahmani nie stanowią jednego moralnego ciała, podlegającego zwierzchniej, jednolitej władzy, co więcej, ponieważ Brahmani należą do rozmaitych szkół filozoficznych, a dzielą się na wielką liczbę sekt religijnych: ztąd słusznie wnosić można, iż nie mogli oni wywierać stanowczego wpływu na przeobrażenia religijne w Indyach, nie mogli im wytyczać zgóry obmyślanego kierunku. Przekonamy się w dal- szym ciągu naszych badań, iż istotnie rzecz tak się miała. Zapewne, Brahmani, jako potomkowie zwycięskich Aryów, jako najoświecieńsza warstwa społeczna, wielką mają i mieli powagę, wielki wpływ wywierali i wywierają na innych Hindów; nie

¹ Caldwell, *Dravidian Languages*.

kierowali jednak ruchem religijnym, lecz ulegli jego prądowi, zachowali zasadnicze swe pojęcia religijne, przekazane sobie od przodków, wpoili je nawet w ludy podbite, lecz zarazem przyswoili sobie pojęcia religijne tych ostatnich. Hinduizm dzisiejszy jest wynikiem zobopólnych ustępstw i przyswojeń ludów aryjskich i nie-aryjskich, nie stanowi jednej wiary, lecz posiada tło religijne, wspólne wszystkim sektom.

Wspólne dogmata, „które wyznaje dziś, jak pisze Williams¹, każdy filozof hinduski, największa część myślących Brahmanów, bez względu na to, do jakiej szkoły filozoficznej należą; co więcej, największa część wykształconych Hindów, jakkolwiek zaliczają się sami do różnych sekt wisznuickich i siwaickich“ — dadzą się sprowadzić do następujących.

Hindowie uznają Najwyższą Istotę² i dają jej rozmaite nazwy; jedną z nich jest *Brahma*.

Wyraz „Brahma“ znany już był w Mantrach; przychodzi on tam kilkakrotnie, najczęściej jednak w znaczeniu „modlitwy“. Czy pod tą nazwą była czczona Najwyższa Istota przez jakieś pokolenie aryjskie, nie jest widocznem, jednakże mniemanie to nie daje się całkiem wykluczyć. W Upaniszadach dopiero rzecz o Brahmie traktowana jest obszernie i naukowo. Pod wyrazem *Brahma*, *Brahman*³ (w rodz. nijakim) uczeni Hindowie pojmują najwyższy duch świata, technienie życia, „atman“, a raczej „paramatman“⁴. Ten duch jest samoistny (*ens a se*), wiekuisty, bezcielesny,

¹ *Indian Wisdom*, p. 61.

² Musimy zwrócić tu uwagę, że jakkolwiek w praktyce wszyscy Hindowie wyznają Boga, istnieją jednakże w Indjach teoretyczne szkoły ateistyczne, o których później pomówimy.

³ Źródłosłów tego wyrazu jest *brh*, „rozpostrzeć, rozwinąć“.

⁴ Hindowie nazywają ducha „atman“, ducha żyjącego „dźiwatman“, ducha najwyższego „paramatman“. Czytamy w *Tarka-sangraha*, w tłumaczeniu wydanem przez Ballantyne'a (p. 12): „Siedzibą wiedzy jest duch (atman). Jest on dwojaki: duch żyjący (dźiwatman) i duch najwyższy (paramatman). Najwyższy duch jest panem (lord), jest wszechwiedzący, jedyny, nie podlega ani radości ani przykrościom, jest nieskończony i odwieczny“. Filozofowie hinduscy mają obszerne traktaty o atmanie. P. Maurycy Straszewski wyczerpująco streszcza te pojęcia w rozprawie: *Powstanie i rozwój pesymizmu w Indjach*: wyraz atman tłumaczy przez „Jaźń“. Nazy-

niematerialny, niewidzialny, bez początku i końca, a przytem niezmierny, bezpodzielny i niepojęty. Przenika on wszystkie jestestwa, nieorganiczne i organiczne, kamienie, rośliny, zwierzęta, ludzi i bogów, lecz nie ma osobowości, indywidualności, nie ma świadomości ani samego siebie ani innych istot: jest niezmienny a zarazem beczynnny.

Tak pojęty Brahman może być tylko przedmiotem rozmyślań, czczonym być nie może. Na takim oderwanem pojęciu Najwyższej Istoty Hindowie poprzestać nie mogli; pojęcie to nie zadawałniało naturalnego pragnienia człowieka, odnośnie do Boga osobowego, nie tłumaczyło świata i jego zagadnień, wreszcie nie licowało z pojęciami, wyrażonemi w Mantrach: filozofowie hinduscy postarali się naciągnąć wyobrażenia swe o Brahmanie do pojęć Boga osobowego.

Brahman, duch świata, uświadomił się, wydając ze swej substancji uchwytą osobistość, zwaną *Brahma* (rodz. męski). Ten Brahma stworzył, a raczej uczynił cały świat, wyprowadzając wszystkie istoty ze substancji Brahmana: wszystko tedy, co istnieje: kamienie, rośliny, zwierzęta, ludzie, duchy i sami bogowie, są częścią Brahmana. W tych istotach Brahman ma świadomość i w nich odbiera od ludzi cześć.

Brahma nie stworzył świata, lecz go wyprowadził ze swej substancji i z materji, która jest odwieczną; duch ludzki jest również odwieczny¹.

Człowiek składa się z trzech pierwiastków, mianowicie z substancji Brahmy, z ducha i z materji. Dopóki człowiek żyje na ziemi, dopóki te trzy pierwiastki są połączone, dopóty czynności jego i sprawy wpływają na nagrody i kary pośmierne. Śmierć uwalnia człowieka od ciała ziemskiego, lecz nie niszczy jego indywidualności; pozostają dwa pierwsze pierwia-

wamy atmana „duchem“, nie zaś „duszą“, albowiem, jak to zobaczymy niebawem, atman nie myśli, nie czuje, nie ma samopoznania; wyraz sanskrycki „manas“ odpowiada ściślej naszemu wyrazowi „dusza“.

¹ Takie pojęcie o Brahmie mają szkoły filozoficzne, zwane „prawowierne“; szkoły „nieprawowierne“ różnią się od nich zasadniczo, jak to zobaczymy.

stki, które w połączeniu doznają wrażeń przyjemnych lub dolegliwych: po zgonie, dusza ludzka idzie do nieba lub piekła, według zasług swych na ziemi. Niebo jednak i piekło nie są wieczne; ostatecznym końcem człowieka jest pozbycie się indywidualności, pogrążenie zupełne w Brahmie. Do tego celu dochodzi każdy, lecz przedtem musi odpokutować grzechy popełnione i nabyć cnoty wymagalne, a ponieważ na ziemi tylko, w połączeniu z ciałem można zasługiwać, stąd dusza ludzka po jakimś czasie wraca na ten świat i łączy się z nowym ciałem, mianowicie zaś z takim, na jakie sobie zasłużyła w ostatnim swym pobycie na ziemi: dusza świątobliwa przyobleka ciało w kastach wyższych, dusza zaś grzesznika wstępuje w ciało kast niższych, a nawet w ciało zwierząt, roślin i istot nieorganicznych¹.

Wiara w przechodzenie dusz, *metempsychosis*, jest powszechną w Indyach: uczeni i prostaczkowie, wszyscy ją wyznają, wszystkie szkoły filozoficzne, wszystkie sekty religijne przyjęły ją za dogmat, nie wyłączając buddhaizmu. Co więcej, powstanie tej ostatniej sekty na tem pojęciu było oparte.

Rodzić się ciągle, przybierać coraz to nowe postacie², je-

¹ Czytamy w Prawach Manu (księga XII.), że dusza ludzka po rozłączeniu z ciałem za popełnione grzechy uczynkowe przechodzi do istot nieorganicznych i roślinnych, za grzechy popełnione mową staje się ptakiem lub zwierzęciem, za grzechy zaś popełnione myślą wchodzi w osoby należące do najniższych kast. Każdy rodzaj przestępstwa ściąga na siebie odpowiednią karę: wymienimy tu niektóre:

„Człowiek, który mówi źle o swym nauczycielu, rodzi się małpą; jeżeli go potwarza, psem; jeżeli używa jego własności bez pozwolenia, robakiem; jeżeli mu zazdrości, owadem (ks. II., 201). Złodziej, kradnący złoto, rodzi się myszą; kradnący mosiądz, gąsior; kradnący wodę, kaczką; jeżeli kradnie miód, staje się gzikim; jeżeli mleko, wroną; jeżeli syrop, psem“; i t. d.

² Sychowie (Sikhs) z Lahory utrzymują, iż istnieje ośm milionów czterysto sto tysięcy różnych postaci, przez które dusza ludzka przejść musi, zanim powróci do głównego źródła życia. Te postacie życiowe należą do rozmaitych królestw, rodzajów, gatunków i ras, jest tam mianowicie 2,300,000 czworonożnych, 900,000 zwierząt wodnych, 1,000,000 ptaków, 1,100,000 pełzających, 1,700,000 istot niezmieniających miejsca (drzewa i kamienie), wreszcie 1,400,000 różnych ludzkich kształtów.

dne wstrętniejsze od drugih, doznawać przykrości przywiązanych do ich stanu, a to przez długie lata, tysiące nawet wieków, doprowadzało do rozpaczliwego religijnego Hindusa. A oto zjawia się człowiek, Buddha, który obiecuje skrócić te cierpienia, a nawet usunąć je zupełnie, a ku temu przepisuje środki całkiem niedolegliwe, duchowe, mianowicie rozmyślanie, które ma doprowadzić do zapanowania nad wszelkiem uczuciem i przygotować tym sposobem duszę do natychmiastowego zlania się z Duchem Najwyższym, bez poprzednich długich i nieznosnych przejść. Takie obietnice musiały być przyjęte z zapalem przez Hindów, i to nam tłumaczy tak nagły i ogromny rozrost buddhaizmu. Jakkolwiek nie można ufać wiarogodności podań buddhystycznych, wspomniemy tu o jednym z nich, które, choć może zmyślane, jednak ponieważ przyjęte jest przez Buddhystów za autentyczne, maluje nam dosadnie ich pojęcia odnośnie do tego przedmiotu. Razu pewnego Buddha ukazując miotłę, leżącą opodal miejsca, na którym nauczał swych uczniów, zapewnił ich uroczyście, iż w tej miotle znajduje się dusza nowicyusza, niedawno zmarłego, a skazany był na tę karę za to, iż za życia niedbale zamiatał izbę, w której odbywało się zgromadzenie wiernych.

Wiara w przechodzenie dusz spotęgowała wielobożność i szerokie wrota otworzyła bałwochwalstwu. Bałwan jakiegoś bożka nie jest tylko czczym jego wizerunkiem, lecz jego przybytkiem, a ztąd temuż bałwanowi należy się cześć bożka.

W rozwoju tego pojęcia, Hindowie poszli jeszcze dalej. Każda istota, według nich, jest siedliskiem duszy, niema rzeczywiście istot nieżywotnych: rośliny, a nawet kamienie odczuwają. Hindowie oddawna przyjęli za dogmat to, czem darwińscy obdarzają dzisiejszą umiętętność.

Wiara w przejście dusz wywołała w Indjach inne jeszcze następstwa: Hindowie otaczają wielką czią wszystkie jestestwa organiczne, zwierzęce i roślinne, a nawet nieorganiczne. W III. jeszcze wieku przed Chr. słynny król Asoka, albo inaczej Radża Priyadasi, jak wiemy z ukazów jego, rznętych na słupach kamiennych, nie tylko zakazał zabijać ofiary przy obrzędach reli-

gijnych, ale nadto nakazał zakładać szpitale dla starych i chorych zwierząt. Takie szpitale istnieją i dziś jeszcze w Indyach. Na półwyspie Indyjskim znajduje się ogromne mnóstwo zwierząt drapieżnych i płazów jadowitych; corocznie tysiące Hindów staje się ich pastwą, a pomimo że rząd angielski naznaczył wysokie nagrody za ich tępienie, Hindowie nie kwapią się całkiem z ich zabijaniem¹; niektóre sekty uważają sobie za grzech pozbawiać życia najdrobniejszą nawet istotę.

Jakkolwiek wszystkie istoty cieszą się w Indyach wielką względnością mieszkańców, poważanie dla krowy przechodzi wszelkie granice. Krowa jest istotą świętą. Niewolno zabijać krowy, karmić się jej mięsem, używać jej skóry, co więcej, samo przypadkowe nawet dotknięcie zabitego bydła, jego skóry i sierści, powoduje skalanie i utratę kastowości. Sychowie w Pandżabie zabicie krowy poczytują za większą zbrodnię od zabicia własnej córki. Sir Monier Williams zamieścił w opisie swych podróży ciekawy szczegół, który daje miarę zapatrywań Hindów pod tym względem. W okolicach Agry przewodnik jego, Brahman, ukazał mu obraz, który miał przedstawiać niejakiego Mukunda, i bardzo poważnie opowiedział jego historię. Ten Mukunda, pijąc razu pewnego mleko, przez nieuwagę połknął był włos ze sierści krowiej, który w tem mleku się znajdował, a ponieważ był niezwyklej świątobliwości, skazał się sam na

¹ Według sprawozdania rządu indyjskiego za rok 1889, 22.970 ludzi padło ofiarą dzikich zwierząt i jadowitych węzów w posiadłościach angielskich, mianowicie zaś: od tygrysów 974, od lampartów, niedźwiedzi, wilków i hyen 512, reszta od węzów. Jak wiadomo, rząd Wielkiej Brytanii płaci dość znaczną nagrodę za głowę zabitej bestyi lub żmii; jakkolwiek Hindowie nie kwapią się w ubieganiu o tę nagrodę, albowiem zabobony ich stoją na zawadzie, jednakże Mahometanie i niektóre niższe kasty, nie mają tych szkrupułów, nadto dla Anglików polowanie na tak grubego zwierza przedstawia wiele uroku, stąd też ogromna ilość szkodliwych zwierząt i gadów bywa tam corocznie tępioną. I tak w ubiegłym roku padło: 1473 tygrysów, 4207 lampartów, 1829 niedźwiedzi, 5544 wilków, 1261 hyen i 6374 innych drapieżnych zwierząt. Co się tyczy węzów, można sobie wyobrazić, jaka moc musi być tam tych płazów, skoro w ciągu roku jednego od ukąszenia zginęło 20.671 ludzi, a w tymże samym roku ręka ludzka wytępiła 511.948 sztuk.

śmierć za to przekroczenie, i utopił się w pobliskiej rzece. Kara, jakkolwiek ciężka, nie zgładziła jednak przestępstwa i dlatego skazany został na najbliższe odrodzenie jako Mahometanin, co dla Sycha, mówiąc nawiasem, jest nadzwyczajnem upokorzeniem. Jednakże, z powodu świątobliwości jego żywota, doszedł do tego, iż w jednym z odrodzeń został cesarzem Akbarem.

Co więcej, krowa nietylko sama jest świętą, ale jest źródłem świątobliwości dla ludzi. Wszystko, co wchodzi w skład krowy, uważane jest za święte, odchody jej przedewszystkiem mają moc oczyszczania grzesznika od wszelkich przestępstw; przepisy obrzędowe oznaczają szczegółowo przypadki, w których należy się omywać jej moczem lub smarować gnojem. Wyżej wymieniony znawca stosunków hinduskich pisze z tego powodu ¹: „Ze wszystkich zwierząt, krowa uważaną jest za niezwykle świętą, każdą jej cząstkę zamieszkuje jakieś bóstwo, każdy włos jej jest nietykalnym. Nic nie może być odrzuconem jako nieczyste. Przeciwnie, jej ciekłe odchody uznawane są za świętą wodę, za święty płyn oczyszczający grzesznika; uświęca on wszystko, czego się dotknie; gnój zaś krowi jest najskuteczniejszym środkiem do oczyszczenia. Każdy płat ziemi, jaki krowa zaszczyciła, składając na nim swe odchody, pozostaje uświęconym nazawsze; miejsce najplugawsze, skoro zostało wysmarowane krowim gnojem, odrazu staje się czystem; popiół, otrzymany ze spalenia gnoju, nietylko ma moc oczyszczającą dla każdego przedmiotu materialnego, lecz szczypta tego popiołu przemienia grzesznika w świętego“. Dobry syn umierającego Hindusa co prędzej przyprowadza krowę do jego łóża, a podawszy mu do rąk jej ogon, ze spokojem oczekuje już jego śmierci.

Te zabobony i wstrętne praktyki muszą datować z dawnej epoki, skoro, jak widzieliśmy, należą do zasadniczych przepisów obrzędowych w mazdeizmie; jednakże rzeczą jest pewną, że zakaz używania mięsa krowiego powstał w czasach późniejszych. Manu ² dozwala jeść wszelki rodzaj mięsiwa, byleby jakąś jego

¹ *Brahmanism and Hinduism*, by Sir Monier Monier-Williams, 3. edit., pag. 318.

² Kodeks Manu, v., 56.

częstkę ofiarowano bogom i duszom zmarłych przodków. Wal-miki, opisując w *Uttara-Ramācaritra* uczcę, jaką wyprawił jednemu z najznakomitszych poetów wedyjskich, imieniem Wasisztha, między daniami umieszcza „tłuste cielę“. W dzisiejszych czasach sekta, zwana *Śakta*, używa mięsa krowiego, powołując się na dawne zwyczaje przodków. Wreszcie krowa uważana jest za istotę wyższą, boską, i jako takiej oddają jej cześć Hindowie¹.

(Dok. nast.).

Ks. W. Zaborski.

¹ „The adoration of a cow is not uncommon. This worship consists in presenting flowers to her, washing her feet, &c... The householder presents grass, water, and corn to her with this text, „Daughter of Surabhi, framed of five elements, auspicious, pure, holy, sprung from the sun, accept this food given by me, salutation unto thee“. Colebrooke, *Essays*, p. 121.

PRAWDZIWE TAJEMNICE KRAKOWA.

Nie bez wahania się i namysłu odważyliśmy się ten artykuł w naszym piśmie ogłosić. Nie wąpiliśmy bynajmniej o prawdziwości tego, co się w nim zawiera, aż do najmniejszych szczegółów: bo otrzymaliśmy go od poważnego i dobrze nam znajomego człowieka, o którego zupełnej prawdomowności jesteśmy pewni; ale obawialiśmy się możliwych ujemnych następstw, osobliwie przyczynienia się może w pojedynczych przypadkach do reklamy złego. Ostatecznie powiedzieliśmy sobie, że lepsze światło, choć rażące, od ciemności kryjących sidła — i, wykreśliwszy tylko najjaskrawsze ustępy, wydrukowaliśmy całą rzecz: dla przestrogi rodziców, wychowawców i wszystkich, którzy z obowiązku, bądź nad prywatną, bądź nad publiczną moralnością czuwać powinni — nie tylko w Krakowie, ale i w innych miastach.

Autor złożył w nasze ręce dokumenta, i całą odpowiedzialność za tę publikację bierzemy na siebie.

Redakcja.

Szedłem sobie kiedyś ulicą Szpitalną, bez pośpiechu — co mi się rzadko zdarza — i przypatrywałem się nieokazałym, jak wiadomo, wystawom sklepowym... aż tu uderzył mnie, z za szyby antykwarza, tytuł książki: „Tajemnice Krakowa“. Co za tajemnice mogą być w Krakowie? myślę sobie. Tajemnice Paryża — Londynu — a choćby Petersburga — na to zgoda! tam mogą być kryjówki, pieczary, ukryte zbrodnie. Ale w tym Krakowie, który się mieści na jednej dłoni, który każdy z nas zna jak swą

kieszeń, w Krakowie, gdzie nawet niema kanałów, gdzież mogą być tajemnice? Zaintrygowany wchodzę — i kupuję. Ba! ale to nie jeden tom, tylko trzy spore tomy, w czerwonej okładce. Chyba drogo zapłacę swą ciekawość! Gdzież tam; bez wielkiego targu kupiłem te trzy tomy za 1 złr. — byłbym jeszcze taniej kupił, gdybym nie był żałował czasu na targi.

Dezillusya zaczęła się dopiero, kiedy powróciwszy do domu, otworzyłem łapczywie książkę... Jeśli miałeś kiedykolwiek w rękę jaką książkę, prócz „Rinalda Rinaldiniego“, „Historyi o Magielonie“ i „Proroctw królowej Michaldy ze Saby“ — to wątpię, czy skończysz, już nie wszystkich trzech, ale i pierwszego tomu. Wierzyć się nie chce, że znajdują się dziś, nie między Hotentotami, ale w Galicyi, ludzie tak ograniczeni, naiwni, co przełknąć są w stanie stek bzdurstw — wobec których błędną cudaczne przygody, przez pięcioletnich chłopaków nawzajem sobie i to w gorączce opowiadane; a przecież tacy znajdować się muszą, bo inaczej p. Fischer nie wydawałby pewnie swym nakładem „Tajemnic Krakowa“. Prawda, że tajemnice te odgrywają się w najgłówniejszej części nie w rzeczywistym, ale w podziemnym Krakowie, w jakichś krakowskich katakumbach, w których nie brak olbrzymich sal balowych, gabinetów złotem i srebrem kapiących, kryształowych galeryj... Ale i to, co w górnym Krakowie dzieć się ma, przechodzi najśmielsze oczekiwania; w każdym domu są tajne drzwi, zapadające się podłogi, rozstępujące się za pociśnięciem jednej sprężyny ściany i sufity; każdego poranka ginie kilku, kilkunastu, kilkudziesięciu od kul, trucizny, sztyletów, a każdego wieczora zamordowani zmartwychpowstają, by mordować znów swych zabójców — i tak wkoło, głupie i nudne, do ostatnich granic możliwości, te „Tajemnice“.

Rozczarowanie moje względem książki p. Kropidelki było więc zupełne. Głupi byłem, myślę sobie, żem reńskiego na nią wydał... Jednak ten sposób, jakim takie książki za oczy chwytają, dał mi do myślenia. Rembrandtowski obraz ciemnej antykwarni utkwil mi w pamięci — zacząłem do niej i do drugich podobnych zaglądać coraz częściej, coraz głębiej; rzeczy wprzód dla mnie niezrozumiałe — jak kiedy się z białego dnia do cie-

mnicy wchodzi — zaczęły się powoli wyjaśniać, tłumaczyć — i tak po nitce do kłębka, odkryłem nie fantastyczne, ale prawdziwe tajemnice Krakowa — takie, że gdybym je był znalazł spisane w książce p. Kropidelki, nie byłbym im wierzył.

Ale nie uprzedzajmy końcowych wniosków. Potrochu opowiem czytelnikowi, com widział — gdzież tam: com widział! dziesiątą część tego com widział opowiem — a czytelnik domyśli się reszty, jeśli potrafi.

* * *

Wązka, długa izba, przez drzwi tylko skąpo oświetlona, ze stęchłym, różnemi a nieokreślonymi woniami przesyconem powietrzem, robi w pierwszej zwłaszcza chwili na wchodzącym bardzo niemiłe wrażenie; zdaje mu się, że dostał się do piwnicy, do lochu w suterrenach. Powoli zmysły oswajają się, wchodzi w kompromis z otoczeniem, oko do półzmroku przywyka i zbytnio się nawet nie dziwi, że chociaż zmrok już i na ulicy, to tutaj z wysoko posuniętych względów ekonomicznych lampa się jeszcze nie pali. Najczęściej cały „handel książkami“ ogranicza się na jednej tej izbie; w paru zasobniejszych antykwarniach, za pierwszą znajduje się jeszcze druga, do której wstęp samym tylko właścicielom otwarty. Mieszczą się tam książki, na które w właściwym sklepie miejsca widać zabrakło; mieści się czasem „wypożyczalnia“, złożona z kilkuset powieści; z podłogi wyrastają mniej lub bardziej regularne piramidy, zbudowane ze setek starych książek szkolnych. Śmiałka, który na wszelkie przeszkody nie zważając, przedrzećby się chciał do tej fortecy i bliżej ją zbadać, odpędzi — niechybniej niż kartaczownice — widok zpośród stosów zadrukowanej bibuły wynurzających się, ręką ludzką od chwili rannego przebudzenia się nie dotkniętych łóżek, betów, poduszek...

Przez całą długość sklepu ciągnie się wielka, licznemi szufladami i schowkami opatrzona lada, która zarazem tworzy czasami mur graniczny między dostępnym dla szerszych warstw apartamentem, a tylnym alkierzem. Na ladzie tej, równie jak w biegną-

cych wokoło szafach, na półkach nieco na zewnątrz wystających, jak w każdym kącie i zakątku, leżą rozrzucone książki, broszury, stare ilustrowane pisma, powycinane z nich obrazki. Wśród tego morza zadrukowanej bibuły występują gęste wyspy, bardzo oddaloną lub żadnej z drukarską farbą nie mające styczności: stare kałamarze, kufle i szklanki, skrzypce, świeczniki, notesy; nieco z boku, dla prywatnego może użytku właścicieli, zarezerwowane: chleb, jajka. O! bo „lada“ nie do jednego tylko służy użytku: w jej najtajniejszym wnętrzu kryją się niedostępne dla zwykłych profanów książki i inne „kupieckie“ artykuły; obszerna jej powierzchnia służy za schronienie dla podręcznej biblioteczki, a przytem zastępuje pokój jadalny, spiżarnię i kuchenkę, na której pani „antykwarca“, nie formalizując się obecnością częstszych przynajmniej gości (czego sam byłem świadkiem), sieka sobie kotlety i ulepia smaczne kluseczki.

Białego muru na lekarstwo nie widać; wszystkie ściany od podłogi do sufitu wytapetowane półkami, w których książki, gorzej od śledzi w beczce, tłoczą się jedna na drugą, bywa, że i w parę rzędów napakowane. Wyjątek stanowi, bodaj czy nie jedyny, antykwarnia pod firmą Chaberskiego, która przed laty kilku przeszła na własność Pinkasa Dintenfassa; półki nie wszystkie tu jeszcze zajęte, książki na nich w jednej pionowej pozycji ustawione. Jakim sposobem w innych antykwarniach właściciel odnaleźć jest w stanie książkę, broszurę, o którą go pytasz, jak ten chaos w jego głowie w pewne kategorie się grupuje, to już jego tajemnica; w każdym razie zna on wogóle bardzo dobrze to swoje państwo: potrafi odnaleźć broszurkę zagrzebaną pod stosem innych; dosięże byстрым wzrokiem powieść, co utonęła w szeregu dzieł teologicznych. Rozumie się, nie zawsze pierwszemu jego zapewnieniu wierzyć można. Czasem wy daje mu się, że ma, szuka istotnie dość długo i nie znajduje; czasem obiecuje dopiero gruntowniej przy wolniejszej chwili, jutro, pojutrze, poszukać — co oznaczać może, że rzeczywiście spodziewa się jeszcze żadaną książkę odnaleźć, lub żywi nadzieję, że ją tymczasem od któregoś z kolegów, gdzieś z boku będzie mógł wydostać. Nieraz i tej nadziei nie ma, ale jeśli kogoś

o amatorstwo książek podejrzywa, rad go często u siebie oglądać, bo jeśli nie to, czemużby co innego nie miało mu się spodobać? przy oglądaniu tyłu, tak różnych książek, przyjdzie przecież silniejszy apetyt na którąś z nich — i będzie interes. Więc zapaleczywie szuka, choć pewien, że nie znajdzie; książki z kupki na kupkę przerzuca, a tymczasem spogląda zpod oka, czy „amator“, przepatrując z nudów to te, to tamte książki, nie zastanawia się dłużej nad jedną; kto wie, może wędka schwyciła rybę?...

Rozejrzyjmy się nieco po gęsto zapchanych półkach. Kto pilnie a wytrwale szuka, znajdzie tu nieraz bardzo ciekawe, a nawet rzadkie druki, ze wszystkich gałęzi nauki i literatury; wszakże z natury rzeczy są to *rari nantes in gurgite vasto*, a na szeroki ten i głęboki ocean zaczernionego papieru składają się głównie trzy działy: książki szkolne — książki religijne: do nabożeństwa, teologiczne i ascetyczne — wreszcie powieści. Drugi z tych działów nieraz bardzo bogaty. Antykwarze nabywają po śmierci wielu księży całe ich, mozolnie i skrętnie przez długie nieraz życie zbierane biblioteczki za tak bajecznie małe pieniądze — w ścisłym słowa znaczeniu: na wagę — że mogą następnie odprzedawać je bardzo tanio, a przecież jeszcze z wielkim zyskiem dla siebie. Niektóre dzieła, jak np. czterotomowy Komentarz do Psalterza przez ks. Fr. Pawłowskiego, pokutują po wszystkich bez wyjątku antykwarniach; a zbyt ich, sądząc ze śmiesznie małej ceny i z natręctwa, z jakim te tomy do ręki wepchnąć usiłują, ani łatwy ani prędkie; dość powiedzieć, że cztery grube tomy ofiarują od pierwszego słowa za 60 cnt. Co bardziej zastanawia, to niedawno wydane, pięknie oprawne książki do nabożeństwa; książkę taką — której sama aksamitna oprawa, zdobna w gustownie niby z kości słoniowej wyrzeźbionego anioła, kosztowała co najmniej trzy lub cztery floreny — ofiarowywała żydówka jednemu z mych przyjaciół za półtora reńskiego, a po targu pewnieby na połowę tej ceny się zgodziła. Jak ta książka tu przywędrowała? Czy dziewczyna, która może otrzymała ją na imieniny, w podarunku, spieniężyła ją za kilkanaście krajcarów? czy kupcowa, popatrzywszy śmiało w oczy sprzedającemu, rzuciła mu w twarz prawdziwy, niestety! zarzut: „To kra-

dzione“? — a biedaczysko, nie wiedząc jak się tłumaczyć, wziął z chęcią „szóstkę“, i wyszedł w dodatku ze sklepu z wdzięcznością w duszy dla poczciwej żydówki, która zguby jego nie chciała?... Któż to wie, kto wybadać zdoła puszczy antykwarskich przepastne krainy?

— Czy ma pani jakie powieści? może jakie nowsze?

W jednej chwili jawi się na stole pięć, dziesięć, piętnaście tomów, wogóle trochę już podartych, ze śladami palców i ołówków; ale niektóre zupełnie nowe, niepoprzecinane. Na pierwszym miejscu, niemal regularnie, figurują: „Tajemnice Krakowa“, i Feldmanna: „W Okowach“, „Piękna Żydówka“, „Żydziak“.

— Niech pan to bierze, — zachęca żydówka — to bardzo ciekawe, to panowie różni bardzo biorą. „W Okowach“ mieliśmy 15 egzemplarzy; wszystko wzięli, tylko ten jeden został.

— A cóż w tem ciekawego?

— No, bo ja wiem! Mówią, że takie rzeczy interesujące. Niech pan bierze; ja dam tanio.

Jakże oprzeć się tak przekonywującym argumentom? Biorę „Tajemnice“, biorę „W Okowach“, i po niedługim targu płacę za pięć nowych tomów — 2 zlr., a tym dowodem niezbyt skrupulatnego liczenia się z groszem, zyskuję sobie odrazu zaufanie i łaski, jako „solidny kundman“.

— Może tę powieść, może jeszcze tę...

Stos rośnie i rośnie: kupcowa zachwala: Mewes: „Chrześcijanin i żydówka czyli Serce i złoto“ — to bardzo chwałą! Malwиковski: „Tajemnica pani Krzuckiej“. „Katarzyna Cornaro, czyli Ofiara inkwizycji weneckiej“. Hacklaender: „Tajemnice miasta“. Garibaldi: „Panowanie mnicha“. „Historia żon z najpiękniejszych kronik“. Born: „Tajemnice dworu stambuńskiego“. Dumas: „Mężczyzna i kobieta“. Boccaccio: „Dekameron, sto zajmujących powiastek“. De Kock: „Magazynierki“. Gozlan: „Niagara, powieść o stu trzydziestu kobietach“.

— Cóż, czy to nie ciekawe? Czy pan nic nie kupi? A może pan chce kalendarza jakiego? może nowego? Ja mam „Ananas“ na ten rok; tam są „hecowne“ rzeczy...

— A z francuskich książek nic niema?

Różne na to odpowiedzi. W jednym sklepie kupiec odpowiada kategorycznie: nie; i dobrzeby było wszystko, gdyby nie mały bęben, co tędy i owędy się kręci i na cały głos woła: „Tato ma pod stołem!“ Żal mi się szczerze zbyt szczerego chłopaka zrobiło, i udałem, że nie słyszę; tato udał także, że nie słyszy, ale pomimo tego, nie chciałbym być w skórze niedość z dyplomacją antykwarską obeznanego synalka.

Gdzieindziej wychodzi na jaw parę francuskich powieści, które przypadkowo tu się dostały, bo antykwarnie liczą wogóle tylko na czytających po polsku i po niemiecku.

— Miałam dużo powieści Zoli, — spowiada się kupcowa (nie ręczę, czy szczerze) — ale wszystko wykupili, zwłaszcza do wypożyczalni. Dużo kupił Gumpłowicz na Brackiej; przychodzą tu i inni i biorą. Ale ja będę mieć niedługo. Jak pan będzie kiedy tędy przechodził, to proszę wstąpić; my już będziemy pamiętać, osobno na bok odłożymy.

— A niema ilustrowanego Zoli?

— Nie, niema; to drogie; ale czemu nie? można dostać, sprowadzić... A może jeszcze między temi powieściami co się panu spodoba; proszę lepiej przepatrzyć.

Siadam, przepatruję; w powieści Mewesa brakuje paru kartek; „Tajemnice stambułskie“ tak zniszczone czytaniem, że się w strzępy rozlatują; inne znów „Tajemnice“ zatłuszczone i zaplamione prawdziwie tajemniczą ingrediencją, złożoną z masła, atramentu, ludzkiego potu i kilku innych niedocieczonych czynników; najefektowniejsze, najpieprzniejsze ustępy podkreślone, czasem ilustrowane niewprawnym ołówkiem młodego czytelnika. Tymczasem wchodzą i wychodzą coraz inni interesanci; handel „książkami i piśmiennymi materiałami“ toczy się żywo. Najwięcej uczennice i studentów, dziewcząt trudniących się szyciem, rzemiosłem, rzadziej obsługą, i chłopców w wieku od 14 do 20 lat. Ten żąda ołówka, tamta notesu; ów łyżwy próbuje; jakiś romantycznie nastrojony młodzieniec pyta: „Czy tu gitary nie dostanie?“; inny pobrzękuje na skrzypcach; cała gromada chłopaków wpada po gramatyki, wypisy; młoda dziewczyna

przynosi kupioną wczoraj Historię naturalną i lamentuje, że kilku kartek brak.

— To każdyby tak mógł powiedzieć! — irytuje się Żydówka. — Czemu panienska zaraz wczoraj nie odniosła? Ja i tak tracę, ja sklep zamknę.

Narzekania, lamenty nie ustają, a pod ich wpływem i dla zachowania reputacyi „domu“, wobec ciekawie przysłuchujących się gości, serce kupcowej mięknie; szuka w drugiej izdebce, znajduje, i każe sobie kilkanaście centów dopłacić — bo „ja tej nie mogę dać za takie same pieniądze, co tamtej“; albo nie znajduje czy znaleźć nie chce, i dla skrócenia niemiłej sceny pociesza słodkim głosem:

— Niech panienska przyjdzie kiedyindziej, za kilka dni; może ja gdzie tymczasem tę Historię znajdę.

To „tymczasem“ nie nastąpi nigdy, ale czas zyskany, wszystko zyskane; zresztą taka „gąska“ będzie się pewnie obawiała wezwać opieki starszych; w dziewięćdziesięciu dziewięciu przypadkach „interes“ się uda; w setnym zapłaci się parę centów wśród krzyku, jęku, włosy sobie z głowy wyrывая...

Inni przychodzą nie kupować, ale sprzedawać; biedacy! ciężka chyba nędza, lub smutniejsza od niej lekkomyślność do tego kroku musiała ich przyniewolić! Największa procesya ciągnie z końcem szkolnego roku; niepotrzebne już na rok przyszły szkolne podręczniki, „nagrody pilności“, otrzymane na gwiazdkę kolendy, gromadzą się w antykwarni stosami. Ale i w zwykły, np. jesienny wieczór, wsuwa się co parę minut, to z nietajoną nieśmiałością, to głosem i ruchami odwagi sobie dodając, biedne jakieś indywiduum, i z kieszeni surduta, zpod zarzutki, wyciąga jedną, parę książek. Żydówka, wzór uprzejmości dla gościa, który już nabył bez zbytnich targów parę broszur, a przytem pokazał niepusty pulares, znosi mu kupy książek do przejrzania; niebo i ziemię, najwyższe i najniższe półki porusza: coś dziwnego, że w tak gorączkowem zajęciu nie dostrzega świeżo przybyłej, pokornie, cicho czekającej. Wreszcie spostrzedz zechciała, ale dotychczasowy uśmiech i ocukrzona słowa w jednej chwili znikają, twarz przybiera lekceważący wyraz.

— Czego pani sobie życzy?

Biedaczka pokazuje grubą książkę na sprzedaż.

— To nic nie warto. Co mi z tego? Ja takich książek furami mogę dostać. Mnie to już wielu przynosiło... A wieleż pani sobie życzy?

— Przed rokiem kupiłam tę książkę za 4 zlr. Jeszcze zupełnie nowa. Teraz sprzedalabym chętnie za 2 zlr.

Trzeba być portrecistą, raczej karykaturzystą, żeby opisać wyraz twarzy, mającej oznaczać osłupienie biegłej w swem rzemiośle komedyantki-antykwarek; wzniesienie rąk, jakby o pomstę do nieba wołających; szybkie odwrócenie się i zajęcie się naprędce wymyśloną robotą na znak, że dłużej słów tracić szkoda.

— A wieleż pani dałaby? — pyta nieśmiało sprzedająca.

— Dwadzieścia centów, najwyżej dwadzieścia! i to jeszcze stracę...

W żałobie chodząca dama wzięła zwolna książkę ze stołu i poszła dalej — do innej antykwarni, gdzie uda jej się może sprzedać książkę o 10 ent. drożej; a może się nie uda, i jutro tu powróci. Mniejsza o to; tymczasem kupcowa nabyła już parę książek od młodych studentów, po 10, po 15 ent. sztuka; zapłaciła chyłkiem wsuwającemu się chłopakowi — bodaj czy nie zatrudnionemu w jednej z miejscowych drukarni lub intrologatorni — kilkanaście centów za dopiero co zpod prasy wyszły romans. Jak chłopak ten, czy dziewczyna, przyszli do posiadania tej książki, co ją to obchodzi? — Byle interes szedł...

Za falą kupujących i sprzedających, napływa fala wypożyczających. Każda antykwarnia jest zarazem wypożyczalnią, otwartą dla tych przynajmniej, którzy w właścicielu z jakiegoś bądź powodu specjalnego niezaufania nie wzbudzają; niemal każda jest wypożyczalnią nie tylko w rzeczywistości, ale i z imienia, ze szyldu, urzędowo. Wielki, rękopiśmienny katalog *in folio*, brudny i pomięty, że przez rękawiczki brać go trzeba, zawiera 200, 300, czasem 500 tytułów niemieckich i mniej więcej tyleż polskich powieści. W paru antykwarniach znajduje się jeszcze osobny katalog polskich i niemieckich poezyj. Dla okazu i przy-

kładu wyliczmy kilka powieści, na chybił-trafił wyjętych i zanotowanych z katalogu wypożyczalni Taffeta na ul. Szewskiej:

Born: „Adryanna, narzeczona skazańca, czyli tajemnice Bastylli“.

Boccaccio: „Dekameron, sto zajmujących powiastek“.

Dumas (syn): „Mężczyzna i kobieta“.

— „Sprawa Clemenceau, pamiętnik obwinionego“.

Hugo W.: „Rok dziewięćdziesiąty trzeci“.

De Kock: cały szereg powieści.

Zola: cały szereg powieści, po polsku i po niemiecku.

Schücking: „Odaliski“ — i t. d. i t. d.

W innych wypożyczalniach, na Grodzkiej jak na Szewskiej, na Stradomiu jak na ulicy św. Anny, te same aż do znudzenia książki, ci sami „najpoczytniejsi“ królują autorowie. W ciemnej dziurze Sam. Breitera, jak w wyjątkowo porządnie wyglądającym handlu pod firmą Chaberskiego, znajdziesz w katalogu niektóre czerwonym ołówkiem podkreślone, obiecujące nazwiska: Boccaccia, Borna, Carraciola, Kotzebuego, de Kocka, Balzaca, Zoli, Hacklaendera, Sue'go; a z polskich: Feldmanna, Zapolską, Bałuckiego, Kropidelkę. Jest i Korzeniowski, jest Kraszewski, Łoziński, Sienkiewicz. Po zużyciu kartek spostrzedz można, które najwięcej interesują czytelników: otóż jeśli od biedy „Ogniem i mieczem“ wytrzymuje konkurencyę z „Tajemnicami świata“ lub „Błądą hrabiną“, to „Stara baśń“, „Poeta i świat“ ustąpić musi z pewnością placu: „Zawikłanej intrydze“, „Tajemniczej intrydze“, „Kryminalnym aktom“ i t. p.

Łatwe warunki prenumeraty wpuszczają całe tłumy, już nie wybrańców tylko, ale najszerszych warstw czytających, w te „tajemnicze“, zbyt często w najgorszym znaczeniu „kryminalne“ światy. Wypożyczalnie-antykwarnie zawarły, zdaje się, między sobą kartel, którego dość ściśle się trzymają. Wypożyczający składa jeden reński kaucyi i 40 cent. miesięcznej opłaty, za co wolno mu codzień wziąć do domu nową książkę.

— Są tacy, — skarżyła mi się żydówka — co za swoje 40 cent. 30 książek przeczytają.

Obok wypożyczalni na mniejszą skalę urządzonych i będących tylko filiami antykwarni, rzuca kilka wielkich zakładów, wyłącznie na wypożyczanie książek obrachowanych, codzienną

umysłową strawę setkom i setkom Krakowian i mieszkańcom krakowskiej okolicy, tym licznym zastępom wszelkiego stanu, płci i wieku, co czytać chcą i lubią, a sami sobie drogiej książki kupić nie mają ani chęci, ani często możliwości. Wszedłszy do wielkiej, wokoło przez parę obszernych pokoi szafami z książkami zastawionej wypożyczalni I. Gumplowicza przy ulicy Brackiej — czy rano, czy wieczór wejdziesz, z pewnością zawsze kilka osób zastaniesz. Młoda jakaś pani, z przybraną, bo afektowaną miną wielkiej damy, francuskie powieści przebiera; inna załatwia rachunki z kilku miesięcy i domaga się ostatniej powieści Bourgeta, opowiadając przytem — co najmniej niepotrzebnie — że po poprzednie syna przysyłała i czytała je z wielkiem zajęciem; oficerski służący przecisnął się naprzód z kartką od swego pana, w której tenże uprasza o cztery tomy Breiera: *Die Geheimnisse von Wien*, albo od biedy: *Wiener Hexen, Eine Napoleonische Frauenverfolgung, Der Pandur und das Kroatienmädchen*. Parę pokojówek, w chustce zwykłych dziewczyn i w kapełuszu „panien służących“, czeka cierpliwie i niecierpliwie, kiedy i na nie kolej przyjdzie; dały się już rade-nierade uprzedzić butnemu forysicowi, ale jegomościowi w nie bardzo świeżym surducie kroku nie ustąpią: dostać wprzód muszą Hacklaenderów, Heinów, Zapolskich, Dygasińskich, Kropidelków dla swego państwa, z których kto wie, czy i same — gorsząc się i skarżąc przed sąsiadkami nad grzeszną ciekawością swych pań i panów — korzystać w wolnych chwilach nie będą?

Gruby, drukowany „Katalog wypożyczalni książek polskich, niemieckich, francuskich i angielskich I. Gumplowicza“, dozwala, z fotelu się nie ruszając, rozglądać się po tych szafach, z których rozlewają się we wszystkich kierunkach strumienie oświaty, bodaj tylko czy zdrowej! Spis polskich książek mieści się na 138 stronnicach; z tych 34 stronnice zawierają: Dzieła historyczne, naukowe, pamiętniki i t. p.¹; od str. 35—42 Podróże; od

¹ Do tych dzieł historycznych i t. d. dostała się jeszcze, mówiąc nawiasem, pewna garstka książek, która z historią i z pamiętnikami luźny chyba ma związek, a w każdym razie figuruje następnie i w powieściowym dziale. Znajduje się tu np. W. Hugo: „Historia zbrodni, zeznanie świadka“; Dumasa: „Mężczyzna i kobieta“ i t. d.

42—52 Książki dla młodzieży; a od 52 do końca ciągnie się Beletrystyka. Pierwszy zwłaszcza dział złożony z książek, które w ten lub ów sposób, przypadkowo, za tanie pieniądze w ręce wpadły; najznakomitszych autorów ani śladu; nazwiska np. Szujskiego próżno szukać; St. Tarnowskiego jest jedno, jakby na żarty, „Wspomnienie pośmiertne po ś. p. Leonie Kaplińskim“; niemasz nawet całego, z pewnością przecież poczytnego, Szajnochy, St. Smolki i wielu, wielu innych. Jest natomiast Büchner: „Obrazy fizyologiczne“; są cztery dzieła Darwina; jest kilka specjalnie lekarskich, dla szerszych kół co najmniej niewłaściwych rozpraw; jest smutnej sławy „Przewodnik, czyli skryte rządy Jezuitów“; „Pantheon“ Trentowskiego; pełna ohydnych bluźnierstw „Idea“ Żukowskiego, i t. d. i t. d. W spisie „Książek dla młodzieży“ znajduje się Dumasa: „Historia dziadka do orzechów“ (*Histoire d'un casse-noisette*), prawdopodobnie z powodu owego „dziadka“, który wszakże innego rodzaju daje nauki, niż to zapewne mniemał naiwny układacz katalogu.

Ale mniejsza o pierwsze te dwa działy, i tak stosunkowo niewielu o nie pyta! Beletrystyka to grunt, to właściwy interes; nie dziw, że tutaj też dopiero znać rzeczywiste staranie się przedsiębiorców. Bałuckiego jest np. powieści 39; Bykowskiego 11; Czajkowskiego 12; Dycalpa 15; Jeża 30; Kaczkowskiego 23; Korzeniowskiego 31; Kraszewskiego około 200; Orzeszkowej 33; Wilkońskiej 28; Zacharyasiewicza 36. Z tłumaczeń: Balzaca utworów 10; Borna 8; Daudeta 5; starszego Dumasa 21; młodszego 11; Gaboriau 10 w 25 tomach; Wiktora Hugo 13; de Kocka 27 w 82 tomach; G. Sand 7; E. Sue 13 w 53 tomach; Zoli 6... *Mein Liebchen, was willst du noch mehr?*

Tak wygląda katalog polskich książek — a jakież są niemieckie, francuskie katalogi? Idą tu również oczywiście w gęstych szeregach i Zola i Maupassant i Sue, ale wobec śmielszych, „nowożytniejszych“ kolegów, rumienić się sami muszą i ustępować na szary koniec. Chęlpili się oni, że napotkawszy błoto, nie obchodzą go, ale śmiało brną środkiem; dzisiejsi dekadenci chępią się znowu, że tylko i wyłącznie w błocie siedzą, niem się pieszczą, w coraz nowszych, wyszukańszych postaciach przed

oczami czytelnika je rozmazują. Bezecnego przewódcy dekadentów, p. Catulle Mendès, znajdujemy siedm utworów, które nie wiedzieć, jak nazwać, bo to co zazwyczaj rozumiemy pod wyrazem „pornograficzny“, dla utworów tych o wiele za słabe. Same tytuły, choć to dopiero osłony, wstręt budzą: *Jupe courte, La première maîtresse, Monstres parisiens...* a kiedy się parę wierszy bezczelnej przedmowy przeczytało, odrzuca się książkę ze zdziwieniem, że policya takie książki w publicznej czytelni toleruje, podczas gdy konfiskuje inne, nie przeczymy, że zupełnie na to zasługujące, ale w porównaniu do tamtych, bezkarnie się produkujących, białe jak śnieg, czyste jak kryształ. Inny, godny poprzednika dekadent, Armand Silvestre, występuje w najnowszym dodatku do katalogu z czterema świeżo do wypożyczalni sprowadzonymi, a jak niedawno temu wyraził się o nim eufemistycznie sprawozdawca *Ateneum*¹: „nie zawsze przyzwoitami“ powieściami. Dyalogi *Les maîtresses parisiennes* mają na celu przyzwyczaić czytelnika do zgnilej atmosfery, w którą go wprowadzają; wytłumaczyć mu, że trzeba być bardzo naiwnym, aby czuć do niej z średnich wieków zapożyczony wstręt. Pamiętniki *Aus dem österreichischen Klosterleben* malują przez dwa grube tomy zakonników jako obrzydłych obłudników, klasztory jako przystanie zgnilizny i lenistwa. — Przytoczmy jeszcze kilka innych tytułów, nie zapominając, że to nie spis, ale wrywki, i to wjętych nie z właściwego katalogu, ale wogóle tylko z najnowszego dodatku do katalogu:

Belot A.: „*Adultère, dernière aventure parisienne*“.

— „*Courtisane*“.

Grenville-Muray: „*La cabale de boudoir*“.

Laferté: „*Alexandre II., détails inédits sur sa vie intime et sa mort*“.

Mary J.: „*L'aventure d'une fille*“.

— „*L'ami du mari*“.

— „*Les scandales de Berlin*“.

Racot: „*La maîtresse invisible*“.

Rachilde: „*La marquise de Sade*“.

¹ *Ateneum* z października 1891: „Nowa literatura francuska“, str. 119. W rękopiśmiennym dodatku do katalogu znajdują się również świeżo sprowadzone książki Silvestre'a, Mendès'a, Zoli...

Rachilde: „Messalinen Berlins. Realistische Novellen“.

— „Schöne Sünderinnen, oder der neue Mephisto“.

Stahl: „Pariser Liebesabenteuer“.

Touchard-Lafosse: „Pariser Nächte“.

— „Die Operndamen“.

— „Galanterien und Abenteuer hübscher Mädchen“.

Varennes: „Geheimnisse von Bruxelles“.

Vidocq: „Die Geständnisse eines Erzschelmes, oder die wahren Geheimnisse von Paris“ (12 tomów).

Wachenhusen: „Des Königs Ballet“.

— „Berliner Photographien“.

Winterfeld: „Die Ehefabrikanten“.

— „Modelle. Komischer Roman“ — i t. d. i t. d.

Z ogółu tych tytułów może już czytelnik nietrudne do wyciągnięcia wnioski sam sobie dośpiewać.

Wypożyczalnia Fischera na ulicy Grodzkiej, nie na tak wielką skalę urządzona, głównie na żydowskich czytelników obrachowana, godnie przecież rywalizuje z koleżanką swą na ulicy Brackiej w doborze najbardziej, mniejsza o to z jakich powodów, „zaciekawiających“ książek. Czytających po francusku niewiele się tu zgłasza; dlatego roztropny właściciel wydrukował tylko polski katalog (str. 43) i niemiecki (str. 97); francuskie, mniej liczne książki, muszą się rękopiśmiennym, a mówiąc nawiasem, tysiącnymi błędami naszpikowanym spisem zadawałniać. Te ostatnie są mniej liczne, ale nie oznacza to wcale, jakoby ich brakować miało. Np. Balzaca jest utworów 29; starszego Dumasa 29; młodszego 40; de Kocka 25; Musseta 8; G. Sand 15; E. Sue 17, i t. d. Ciż sami „poczytni“ autorowie zajmują poczesne miejsce i w polskim i w niemieckim katalogu, z tą różnicą na pociechę naszą, — jeśli o pociesze mowa tu być może — że polskich tłumaczeń o połowę mniej będzie, niż niemieckich. Wogóle punkt ciężkości w wypożyczalni Fischera spoczywa na powieściach niemieckich, a między temi na romansach kryminalnych; romansach, skierowanych wprost lub pośrednio przeciw religii i Kościołowi katolickiemu; i wreszcie, jeśli dosadnie ale nie przesadnie wyrazić się wolno: na romansach „kanałowych“. Kilka tytułów rzuci nam na nie wystarczające światło. I tak:

Z pierwszej kategorii:

- „Das eingemauerte Mädchen. Wiener Criminalgeschichte“. 2 Bde.
- „Zahlheim. Wiener Criminalroman“. 5 Bde.
- „Die Banditen. Erzählung aus den Criminal-Acten“. 3 Bde.
- „Erinnerungsbilder aus dem Leben eines Criminalisten“.
- „Das Libell. Criminalroman“. 4 Bde.
- „Kriminalgeschichten“. 6 Bde.
- „Die indische Fürstin, oder geheimnissvolle Verbrechen“. 4 Bde.
- „Criminalbibliothek“. 6 Bde.
- „Damen auf Reisen. Criminalgeschichte“.

Z powieści antyrelijnych:

- „Päpstin Johanna, genannt der Papst im Unterrock“. 4 Bde.
- „Die Geheimnisse Roms im XIX. Jahrhundert“. 3 Bde.
- „Die Geheimnisse der Inquisition“.
- „Papst Ganganelli“. 3 Bde.
- „Geheimnisse eines Beichtstuhles“. 5 Bde.
- „Die Jesuitenbeute“. 4 Bde.
- „Marie, die Spanierin, oder das Schlachtopfer eines Mönches“.
- „Barbara Ubryk, oder der Fluch der Karmeliterin“. 3 Bde.
- „Der Mönch und die Dame“.
- „Zur Ehre Gottes. Jesuitengeschichte“. 2 Bde.
- „Barbara Ubryk, oder die Geheimnisse des Karmeliter-Klosters in Krakau“. 4 Bde.
- „Die Gesellschaft der Nacht, oder die Verbrechen unter dem Priester-gewand des Ordens Jesu“. 2 Bde.

Z pornograficznych:

- „Eine Prostituirte“.
- „Aus dem Leben einer leichten Person“.
- „Russische Hofgeschichten“. 3 Bde.
- „Coulissen-Geheimnisse aus der Künstlerwelt“. 2 Bde.
- „Galante Geschichten“. 3 Bde.
- „Galante Memoiren“.
- „Nonne und Maitresse“.
- „Heine H.: Sämmtliche Werke“.
- „Die Geheimnisse von Pest“.
- „Die neuen Geheimnisse von Paris“.
- „Eine Courtisane“.
- „Die Bachantin“.
- „Die galanten Damen der Weltgeschichte“.

Już duszno się nam robi; ale nie skończyliśmy jeszcze z antykwarniami. Wychodząc z ciemnych i stęchłych wypożyczalni na Grodzkiej, wstąpmy do otwartych podcieni Dominikańskich na Stolarskiej; może tu świeższem odetchniemy powietrzem.

Trzeba wiedzieć, że niektóre antykwarnie, mimo znajomej już nam wszechstronności swego handlu, miewają też swoje specjalności, obrachowane szczególnie na pewnego rodzaju klientów, np. na lud wiejski, na studentów, na amatorów śliskich opowiadań, pornograficznych powieści i rycin... Dwa wielkie kramy z książkami przy Stolarskiej pod firmą: Malka Zuckermann i Ira Himmelblau, mają podobnie swą specjalność, i to bardzo wybitną. Do wnętrza sklepu, ciemnej, stęchłym, cholerycznym powietrzem przesyconej jamy, kupcowa puszcza natrętnego przybysza z nietajoną niechęcią; nie rada może popisywać się przed nim z nagromadzonymi tu scyzorykami, łyżwami, różnemi częściami ubrania, kałamarzami, lichtarzami, grzebykami i lusterkami, fotografiami osób prywatnych — o których niejedną z pewnością zajmującą możnaby opowiedzieć historię: jak, od kogo, jakimi drogami tutaj przywędrowały? Zresztą, pocóż wstępować do sklepu, kiedy przed nim na długim stole rozłożone są i do kupowania zapraszają tłoczący się do pobliskich jatek i sklepików lud wiejski i miejską służbę: książki do nabożeństwa zpod ciemnej gwiazdy; wrzekomo pobożne, w gruncie szkodliwe, zabobonami przepełnione broszury; senniki, kabały, loteryjne poradniki. Cała to, nad wszelki wyraz bolesne uczucie wzbudzająca literatura jarmarczna, targowa, nieraz odpustowa, której opłaciłoby się poświęcić kiedyś bardziej wyczerpujące studium. Głównymi jej dostawcami są prasy drukarskie w Nowym Sączu, Bochni, Wadowicach; choć i drukarnia Pobudkiewicza w Krakowie sporą gromadkę „kabał“ i „wyroczni“ ma na sumieniu. Kupeczka żydówka tak przywykła zachwalać na wszystkie tony naiwnym chłopkom, z otwartymi ustami słuchającym kucharkom, te „nieomyślne przepowiednie“, „ze wszystkich najdoskonalsze senniki“, że gdy kogobądź ujrzy zatrzymującego się i biorącego „Wykład snów“ do ręki, usta jej mimowoli, wbrew rozsądkowi, któryby im nieraz milczenie nakazać powinien, do tych pochwał się otwierają. Wybór obfity. Oto:

„Wykład snów, czyli najdoskonalszy sennik, zawierający przeszło 4000 snów, z ich oznaczeniem i szczęśliwemi numerami numerowej i klasycznej loteryj w alfabetycznym porządku podług szwedzkich i egipskich ręko-

pisów“. Wydanie czwarte z rycinami. Nowy Sącz. Nakładem i drukiem Józefa Piszka. 1891.

„Sennik, czyli wykład snów z liczbami na loteryę, podług ks. Anastazego z roku 1205, zebrał J. S.“ Wadowice. Drukiem i nakładem Franciszka Foltyna. 1887.

„Największy sennik egipski, czyli wykład kabalistyczny snów z przydaniem odpowiednich liczb do stawiania na loteryę. Wydanie pomnożone i poprawione przez Jana Wąsika“. Nakład i druk W. Piszka w Bochni.

„Kabała, czyli sztuka wróżenia kropkami, która od wielu jest poważana“. Kraków. Nakładem i drukiem F. K. Pobudkiewicza...

Kilka to tytułów dla przykładu; kto ciekawy, może sobie ten spis podwoić i potróić. A nie jestże to wyzyskiwaniem na wielką skalę ciemnoty i zabobonności biednego ludu? czy niema na takie okpiwanie paragrafu w kodeksie? Jeśli potrzebaby jeszcze jakiego argumentu za zniesieniem loteryi, to te rozłożone na antykwarskich straganach, nęcące cudackimi, czarnoksięskimi obrazkami senniki i kabały, w których loteryjne numery tak wielką odgrywają rolę, za poważny argument starczyć chyba mogą.

Wokoło senników, gramatyk, książek do nabożeństwa i powieści, grupują się w wystawowych ramach obrazy i obrazki, fotografie, czasami różnobarwne i różnokształtne bilety z powinnowaniem imienin. Handel rycinami i fotografiami zajmuje w niejednej antykwarni równorzędną miejsce ze sprzedażą i wypożyczaniem książek; zaledwie z paru wykluczonym jest w zasadzie, jeśli może nie zawsze w praktyce; w niektórych tworzy właściwą specyalność. Żydówka dostrzegła już przez brudną szybę przyglądającego się wystawionym obrazkom przechodnia, wychodzi i uprzejmie do wnętrza zaprasza.

— Ależ ja kupować nie myślę.

— Niech pan obejrzy; co to szkodzi? Może się co spodoba. Ja mam rozmaite, bardzo ładne obrazki.

Czy bardzo ładne, zobaczymy; to pewna, że ich dużo i rozmaite. Np. u Mojżesza Taffeta całe szuflady zapechane sztychami, wyciętymi z pism ilustrowanych, ze starych książek, kolorowanymi i niekolorowanymi, świeckimi i pobożnymi. Jacy barbarzyńcy powycinali ze starych foliałów te sztychy bardzo nieraz

dobrze zachowane, mające nieraz dla znawców wartość istotną?! A sztychów tych, przeróżnych, misternie ozdobionych tytułowych kartek, dużo; widać złodzieje — bo chyba tylko złodzieje mogli się takiego wandalizmu dopuścić — grasowali po jakiej większej bibliotece. W oko mi wpadł sztych z XVII. wieku, wyobrażający jakiegoś świętego, jeśli się nie mylę, św. Franciszka Borgiasza.

— Wiele pani za to chce?

Żydówka zacenila 1 złr. 20 cnt. Po chwili powtórzyłem to samo pytanie żydowi, który poprzednio w innym kącie był zatrudniony; wziął do ręki, popatrzył i odparł głosem pewnym:

— Mogę dać za 60 cnt.

Co za szkoda, że zamieniony w niewidzialnego chochlika, nie mogłem być świadkiem sceny, która nastąpić musiała po mem wyjściu między tą kupczącą parą; że nie słyszałem wzajemnie udzielanych sobie napomnień, jak należy się z głupimi kundmanami zachowywać i nie psuć świetnie rozpoczętego interesu! Tymczasem podziwiać tylko należało heroiczne panowanie nad sobą tak Nielitościwie skompromitowanej żydówki; ani jeden muszkuł na twarzy jej nie drgnął, ani jednym słowem nie próbowała protestować; kto wie, czy w razie energicznej interpe-lacyi nie gotowaby była przysięgać się, że i ona za ten obraz chciała tylko 60 cnt. i że z pewnością musiałem się przesłyszeć. Już to ci panowie, a przedewszystkiem te panie, jak sto razy miałem sposobność się przekonać, tak są przyzwyczajone do posługiwania się słowami według formułki Tailleranda: dla zakrywania swych myśli, że nie robi im najmniejszej trudności, nazwać jakąś rzecz w przeciągu pół minuty i czarną i białą; zaklinać się na wszystkie świętości, że przed paru dniami nabyły same jakąś książkę za 2 guldeny, a za chwilę odstąpić ją za 50 cnt.; zareczyć, że po żądany obrazek będą musiały gonić na koniec Kazimierza, pisać do Wiednia lub Berlina, i kto jeszcze wie, czy i tam, mimo tak rozległych stosunków jak bodaj nikt inny w Krakowie, kto wie, czy wydostać, wynaleść go potrafią — a gdy wzruszasz ramionami, nie okazujesz chęci grubo zapłacić za taką nadzwyczajną grzeczność i do wyj-

ścia się zabierasz, wyciągnąć co prędzej tenże sam obrazek... z dolnej szuflady.

— To pan o tym obrazie mówił? — tłumaczą się, jeśli która naiwniejsza tłumaczyć się raczy — wprzód nie zrozumiałam, myślałam, że o innym.

W danych do przejrzienia tekach i pudełkach z lito-, chromo- i fotografiami, znajdują się różne, do różnych gustów i guścików zastosowane: widoki gór i miast, wizerunki Matki Boskiej i Świętych, podobizny Kochanowskiego, Hirscha i Mickiewicza, fotografie i szkice ze znanych włoskich, flamandzkich, francuskich obrazów. Podczas kiedy je przeglądasz, sprytna kupcowa z oka cię nie spuszcza, stara się odgadnąć, jeśli zkażinąd jeszcze nie odgadnęła, co ci bardziej do serca i wyobraźni przemawia. Tymczasem wchodzi gwiżdżąc do sklepu młody jakiś kawaler i pyta obcesowo:

— Ma też pani fotografie?

— Jakie fotografie? Czy tak może z różnych obrazów?...

— Takie, jakem dawniej kupował.

Odgrywa się teraz mała komedyjka, obecnością moją jako nieznanego i niewypróbowanego kupca spowodowana. Żydówka udaje, że szuka żądanych fotografii i znaleźć nie może, wreszcie znajduje jedną, pokazuje i pyta:

— Takie?

Na potwierdzający znak szuka niby znowu: przed chwilą zaręczała wprawdzie, że oprócz stosu przede mną rozłożonego nie ma ani jednej więcej, ale o zaręczeniu tem już zapomniała, i co mniej jeszcze przynosi honoru dyplomatycznym jej zdolnościom, nie pomyślała nawet o zaproponowaniu młodemu przybyszowi, aby i on się rozglądął w pokazywanych mi szkicach i fotografiach. Szukając, pyta mię zniecierpliwionym nieco głosem, czym jeszcze czego nie wybrał; radaby mię z duszy, serca za dziesiątą bramę wygonić; ale ponieważ ja domysleć się w żaden sposób nie chcę, że jestem tu niepotrzebnym i niewygodnym świadkiem, przeto ostatecznie — mimo gorliwego przerzucania i przewracania po szufladach — nie znajduje.

— Niech pan przyjdzie za kwadrans — zwraca się do czekającego. — Jeszcze poszukam, może co znajdę.

Trzeba wiele siły nad sobą, aby powstrzymać śmiech gwałtem na usta się cisnący. Przecież przed półgodziną w identyczny zupełnie sposób pożegnany zostałem przez panią H.¹, która również z powodu niedyskretnych, niedość znajomych świadków, nie mogła przede mną otworzyć fotograficznych swych skarbów; również kazała przyjść nieco później; przecież właśnie w celu skrócenia sobie chwil oczekiwania wstąpiłem do antykwarni Taffeta...

Pierwszy akt komedyjki skończony, drugi się rozpoczyna. Fotografia, pokazana zamówionemu za kwadrans jegomości, mogła mię zaciekawić, mogła obudzić jakie podejrzenia; trzeba podejrzenia te rozproszyc. Niby od niechcienia bierze żyd w rękę odnalezioną na okaz fotografię, zgrabnie z inną ją zamienia i następnie nowy ten okaz — znowu przypadkiem i od niechcienia — jak najbliżej ku mnie podsuwa. Niedość uprzejmości! Aby się nie żenował dokładnie przypatrzeć podsunętej fotografii i przekonać się, że przedstawia najniewinniejszą w świecie sielankową scenę, usuwa się antykwarska para w dwa kąty sklepu, tyłem się obraca i gorliwie czegoś między półkami poszukuje.

Oni poszukują, choć nie rękę, czy dobrze wiedzą, czego; ja flegmatycznie szkic po szkicu kilkakrotnie ze wszystkich stron oglądam, minuta po minucie płynie, kwadrans już upłynął, a ja na złość się nie wynoszę.

— Znalazł pan co, czy nie? — pyta zirytowany antykwarz. — Pan i tak nic nie kupi; poco pan ma czas napróżno tracić?...

Spokojna odpowiedź, że za użycie własnego czasu ja sam tylko odpowiadam i że chcąc coś zakupić, muszę się dokładnie w towarze rozpatrzyć — przywraca choć pozornie do równowagi nerwy rozdrażnione obecnością natręta. Wreszcie kwadrans minął;

¹ A w każdym razie przez żydówkę, zarządzającą antykwarnią pod firmą Józefa H. na ul. Szpitalnej.

zjawia się młody kupiec na fotografii, a widząc mię na dawnym miejscu, robi kwaśną minę.

— Jeszcze nie miałem czasu poszukać — zwraca się doń antykwarz z równie skwaszoną miną. — Proszę zejść tu kiedyś indziej, jak pan kiedy będzie ulicą przechodził, jutro, pojutrze.

Do jutra trudno pozostać na niezbyt bądźco bądź miłym stanowisku; zresztą ostrożny p. Taffet, choćby miał ku temu i wolę i możność, niewiele więcej mógłby mi pokazać, niż mniej podejrzliwa, a bardziej na grosz łakoma zarządczyni H.....owskiej antykwarni. Za pierwszej mej bytności, na proste pytanie: „Ma pani fotografie?” — rozłożyła również szereg widoków, kilka tuzinów drogą licytacyjną nagromadzonych niepoczesnych jakichś, wielkich i małych głów, męskich figur w tużurkach, kobiecych w sukniach po szyję zapiętych; ale gdy podane tuziny szybko przerzuciwszy, do odwrotu się zabierałem, wypłynęła nagle z boku fotografia, wyobrażająca mniej już niewinną, haremową scenę.

— Może pan chce tego rodzaju?

— A ma pani takie? — spytałem, puszczając ze wstrętem łódkę na brudne te wody, bo inaczej dotrzeć było niepodobna do czarnego kontynentu, który przecież zbadać należało, aby przestrzedz naszą publiczność przed rosnącymi na nim bujnie, zatrutymi ziołami.

— Mogę mieć, czemu nie, i lepsze jeszcze. Ja mam tu często takie ciekawe wzory do malowania; sprowadzam sobie, to drogo kosztuje. Tak za miesiąc będę miała...

Ale wnet chciwość przemogła:

— Jeśli pan będzie jutro tędy przechodził, to proszę wstąpić; coś będę miała; pan będzie kontent...

Chcąc dotrzeć do celu, wracam nazajutrz. Jejmość z uśmiechem tryumfu wydobyła z szuflady cały pakiet specjalnie dobranych fotografii z mitologicznych obrazów Tycyana, Veronesa, Carraccia, niekończący się szereg nimf, bogiń, satyrów. Wstrętniejszemi od samych fotografii, były ich pochwały, zachęty do kupna.

— To bardzo piękne! Czy pan dobrze się przyjrzał? Tego

jeszcze nikt nie widział — kłamała jak najęta, choć wiedziała doskonale, że te fotografie, jako wyobrażające dzieła mistrzów, policyjnie zakazane jeszcze nie są, że przeto są w jawnym handlu, i nie szukając daleko, w pobliskiej antykwarni (na Floryańskiej), należącej również do klanu H....ów, zajmują one kilka przegródek w wielkiej skrzyni z fotografiami, którą na pierwsze słowo do dowolnego oglądnięcia ci otwierają.

— Innych pani nie ma?

— No, niech pan jutro wstąpi. Albo może się pan teraz przejdzie, a za kwadrans będzie tędy przechodził, to ja tymczasem poszukam.

Wróciłem za kwadrans, wróciłem nazajutrz; miałem cierpliwość wracać przez cztery, pięć dni; a cierpliwość moja była nagradzana coraz nowymi odkryciami — aż mi włosy na głowie stawały. Zaczynało się za każdym razem od powtórzenia tego samego dyalogu. Żydówka zaklinała się regularnie na początku, że więcej nic nie ma i dostać nie może; potem dawała coś jeszcze bardziej pieprznego od ostatniej dawki: a na końcu, i to *motu proprio*, bez żadnych namawiań z mej strony, zaręczała, że za dwa, trzy dni wydobędzie jeszcze nowe, daleko „piękniejsze”. Ile przytem, a jak nieraz niezgrabnie, nakłamała się, tego na byczej skórze nie spisać. Raz opowiadała o jakimś osobnym sklepie w Krakowie, który trudni się sprzedażą tego rodzaju towarów: w parę dni później, na wzmiankę o owym sklepie, mającym wrzekomo gdzieś daleko, het, aż za fabrykę cygar się znajdować, zachnęła się jak od węża ukąszona, przysięgając się, że o niczem takim, o niczem podobnem nie wie, nie mówiła, mówić nie mogła; sklep zapadł się, a na jego miejsce wystąpił na jaw tajemniczy jakiś malarz, który „ma bardzo piękne rzezy, ale boi się sprzedawać, i tylko dla mnie obiecał, że parę sztuk odstąpi”. W parę tygodni później odnalazłem ów zagadkowy sklep i zagadkowego malarza; sklepem była jedna z pobliskich H....owskich antykwarni, malarzem brat czy kuzyn antykwarki z Szewskiej, H.... z ul. św. Jana, w którego szufladach i otwartych tylko dla wybrańców schowkach, ukrywała się największa część towaru, nibyto zdobywanego „z takim tru-

dem i z tak daleka“, jak bez zająknięcia poetyzowała wymowna kupcowa.

Aby dać choć dalekie wyobrażenie o tem, co te ohydne fotografie przedstawiały, uporządkuję je tak, jak mi je dzień za dniem podawano. Nr. 1: fotografie z rycin, romansowe, ale jeszcze dosyć przyzwoicie ubrane. Nr. 2: jak już wspomniałem, wybór najrozpuśniejszych scen, jakie są między dziełami klasycznych malarzy. To się jeszcze zasłania płaszczykiem sztuki — mniejsza o to. Nr. 3: bajadery, sceny haremowe, w wysokim stopniu dekolowane, ale jeszcze opatrzone podpisami bądź malarzy, bądź fotografów. Nr. 4: istoty z półświata, w niemożliwym stroju i pozach, z natury fotografowane, bez żadnego podpisu fotografa, więc bezwarunkowo policyjnie zakazane. Nr. 5 i nr. 6 przechodzą już wszystko co można powiedzieć i do ostatnich krańców bezecności dochodzą.

Mój Boże! co się dzieje z prostoduszną młodzieżą, która niebacznie wpada między zębate koła tej piekielnej maszyny!... Ta cała taktyka, zależąca na stopniowym podawaniu coraz bardziej trujących dawek, służy handlarzowi do dwojakiego celu: najprzód, podniecając coraz więcej złą ciekawość, podbija on stopniowo ceny; n-ra 5 i 6 sprzedają się pięć, sześć razy drożej niż nr. 1. A przytem jestto środek ostrożności: handlarz przez ten czas eksperymentuje na kliencie, stara się zbadać, czy mu nie grozi z jego strony niebezpieczeństwo wyjawienia jego karygodnych postępów. To też dla bacznego obserwatora ciekawym jest widokiem owa ciągła, na zewnątrz tak jasno przebiegająca się walka w duszy handlarza, handlarki, między chciwością a bojaźnią; walka, w której czasem bojaźń, częściej chciwość bierze górę. Jeden, z dającą do myślenia otwartością, wylicza kilka sklepów, niemal wyłącznie chrześcijańskich, w których można dostać „bardzo ciekawych“ wizerunków — „tylko nie wiem, czy swą opowieść, czy oni pokażą, bo oni się boją“ — jak gdyby sam się nie bał, jak gdyby nie dlatego właśnie z taką podejrzaną szczerością i usłużnością występował, aby wy badać, czy i jak daleko może się sam na grząskim tym gruncie bezpiecznie posunąć. Drugi, mniej biegły w sztuce dyplomatycznej, wprost

wyznaje: „Ja się boję; a nuż mię kto wyda“. Trzeci opowiada w zaufaniu, że od czasu do czasu chodzą szpiegi i trzeba się mieć przed nimi na baczności. Ale spróbuj te wahania się i odmowy wziąć na seryo; zastrzeż się: „Ja pana do niczego namawiać nie chcę“, a w jednej chwili zwykle bojaźń policyi ustąpi przed bojaźnią utraty dobrej sposobności do zrobienia świetnego interesu.

Cóż dopiero, gdy przypadkiem otworzy się portmonetka i bystre, semickie oko, zagłębiwszy się w niej co prędzej, odkryje pękaty zwitek różnej wielkości banknotów?! Oko płomienieje, w wyobraźni zaciera się, niknie groźny obraz policyjnego komisarza, twarz w najponętniejszy uśmiech się stroi, usta otwierają się do okrzyku:

— Są pieniądze, będzie i towar!

Nie za macedońskich tylko czasów pieniądze szturmem brały fortece, odmykały najwarowniejsze wrota; tu już nie pieniądze nawet, ale tylko ich nęcący widok wpuścił do tajnych kryjówek antykwarskich fortec, otworzył magicznym swym wpływem szuflady i usta. Po całym H.....owskim klanie obiedz musiała wieść o gościu interesującym się pewnemi specyalnościami, a mającym pieniądze — i odtąd, gdy pożądaný ów gość przekraczał progi (mniejsza o to, Saula, Salomona czy Izaaka), częstowano go bez dłuższego już zachodu, bez wstępnych ceremonij, owemi specyalnościami. Jeden pokazuje album napelnione „bardzo pikantnemi“ fotografiami (nr. 5 i 6) i obiecuje wystarać się o cały zbiór „nowych, wielkich fotografii, gdzie wszystko wyraźnie będzie“ (*sic!*); drugi namawia gorąco do nabycia na niewidziane, całej wielkiej kolekeyi „bardzo ładnej“ za 18 zlr., „bo ten pan, co to ma, boi mi się dać do sklepu“ — i dla zachęty opowiada o jakimś hrabiu, który niedawno temu nakupił tego towaru za 30 zlr.; lub znowu pyta kilkakrotnie, natrętnie, czy ma co sprowadzić: „czy pan będzie jeszcze kupował, czy pan jeszcze raz tych fotografii nie przejrzy“? Inny jeszcze pokazuje „z wielkim trudem nabytą“ kolekeyę najohydniejszych litografij, zaklinając się, że taki zbiór to i 100 zlr. wart — ale on taniej odstąpić gotów.

— A może taką miniaturkę, może taki na kości słoniowej ręcznie malowany obrazek? (nr. 4).

I choć odpowiedzi nie otrzymał, sięga wprawna ręką na sam spód szuflady, wydobywa bardzo niewinnie wyglądającą kopertę, odrzuca kilka kawałków zadrukowanego papieru i wyciągnąwszy zpośród nich ów obrazek, biegnie do drzwi patrzeć, czy kto podejrzany ulicą nie przechodzi, czy jaki niepożądany w tej chwili gość ku sklepowi się nie zwraca. Biedny gościu, który się teraz tu zjawisz! Dziwić się musisz, czemu uprzejmy zazwyczaj żyd, w tak złym jest humorze, niczego nie ma na składzie, zatrzymuje cię różnymi sposobami przy drzwiach samych, dobrze jeśli opryskliwym słowem wprost za drzwi nie wyrzuci!...

Czasami, gdy na ladzie pojawić się ma grubszy stos silnie „kompromitującego“ towaru, środki ostrożności się zdwajają. Podrastająca — szesnastoletnia może — ale wtajemniczona już w *arcana regni* dziewczyna, bierze za rękę małe żydziątko, które dotąd swobodnie po sklepie hasało i wszędzie wściubiało zabrudzony swój nosek, i wyprowadza je „na cukierki“; żydówka odbywa straż przed sklepem; żyd przy drzwiach staje, gotów własną pierś nastawić, a natręta nie puścić.

— Czego pan chce? — pyta gniewnie zbliżającego się studenta.

— Ma pan gramatykę Małeckiego?

— Nie mam. Niech pan jutro przyjdzie, to poszukam. Teraz nie mam czasu. Zaraz sklep zamykam.

H.....owie są bardzo ostrożni, bo się już kiedyś raz czy parę razy sparzyli. Większa nieco swoboda panuje w handlu Jakóba S.... przy ulicy Szewskiej. Pan S.... daje odrazu wielkie miniaturowe album do obejrzenia i wybrania sobie fotografii, które on już w najkrótszym czasie sprowadzić obiecuje. Album to zawiera z parę tysięcy miniaturowych fotografijek wszelkiego rodzaju; obok „Madonn“ i „Zdjęć z krzyża“ długie szeregi Wener; dalej znów św. Józef, pruscy i francuscy generałowie, a między święte, między rodzajowe fotografijki, wei-

skażą się szkaradne. Ta mieszanina, nie będąca zresztą bez racyi i celu, budzi nie do opisania obrzydzenie, spotęgowane jeszcze zachwalaniami żydówki.

— U nas rozmaite państwo masę fotografii wedle tego albumu obstalowują; co tydzień obstalunek. Takie album, to tylko ma Biasion i ja¹... Co? Pan z tego sobie nie wybierze? Czy nie wielki wybór? Proszę jeszcze raz pomалу obejrzeć; może pan dobrze nie widzi? ja pożyczę okularów...

Wypisałem w notesie parę numerów; żyd patrzył na tę robotę z nietajonym strachem:

— Niech pan lepiej w notesie nie pisze...

Uspokoilem go zapewnieniem, że do mego notesu nikt z pewnością bez mojej wiadomości nie zaglądnie; a słowa te musiały trafić mu do przekonania, bo po chwili zwierzył się, że ma jeszcze inny, mały katalog, daleko ciekawszy, ale gdzieś zarzucony w papierach, i kazał na kwadrans się wynieść — „to ja tymczasem poszukam“. Istotnie, po kwadransie „zguba“ odnalazła się; żyd w milczeniu podał ćwiartkę papieru, zawierającą niemiecki spis „pikantnych fotografii“. Na ćwiartce tej wydrukowane było widocznie, gdzie i u kogo owego towaru można nabyć; ale przezorny antykwarz odciął niepotrzebne to dla szerszych kół uwiadomienie, równie, jak silne żywieć podejrzenia, że z pokazywanego poprzednio albumu wydarł pierwszą tytułową kartkę. Podejrzeń rozchwiać nie były w stanie rzucone niby przypadkowo słowa o „wiedeńskim kupcu“, „wiedeńskim skle-

¹ Swoją drogą i to kłamstwo, jak tyle innych. W parę dni później wstąpiłem do I. ka i spytałem o fotografie, obrazy. Kupiec bardzo był ostrożny, wszystkie przedłożone mi okazy tak były skromne i poważne, że to aż dawało do myślenia. Za stołem stał młody chłopak, lat może 15 (zdaje mi się, syn kupców), i najspokojniej wertował znajomy mi doskonale album z miniaturowemi fotografiami; oczywiście, panom sklepu i na myśl nie przyszło, że album to najlepszem dla mnie wyjaśnieniem, co sądzić o zapewnieniach: „Więcej nie mamy!“ Mimowoli nasunąć mi się musiały na myśl — nie wchodzę w to, na jakiej podstawie oparte, o ile rzeczywistości odpowiadające — słowa, usłyszane wczoraj dopiero czy przedwczoraj od paru wizytami spoutalonego antykwarza: „I. ma piękne rzeczy, ale każdemu nie pokaże... boi się“.

pie“; jeśli to katalog wiedeńskiego kupca, czemuż ceny w nim wyłącznie w markach i fenigach podane? Na końcu katalogowej ćwiartki stała „bardzo ważna uwaga“, i żyd nie omieszkiał ze swojej strony zwrócić na nią uwagi ze szczególnym przyciskiem, że za wymienione powyżej dość słone ceny dostaje się: *Unangezogene Figuren aus dem Leben*, za też same, ale *angezogene Figuren*, ceny spadają do 20 i 10 fen.

Zresztą, pocóż w Wiedniu czy w Berlinie szukać, co w Krakowie dostać można? Za parę dni pokazała się paczka, z pewnością świeżo nie sprowadzonych fotografii, odpowiadających numerom 4 i 5; wyszło na światło z najciemniejszych kącików parę ręcznie malowanych, obrzydliwych obrazów. I znów za kilka dni otworzyło się nieznane mi dotąd pudło z chromolitografiami; na wierzchu same porządne i pobożne; w środku mieściły się wizerunki Świętych, z jakkolwiek jeszcze możliwie prezentującymi się baletniczkami; na spodzie znowu baletniczki, ale już w niemożliwych strojach i pozach.

— Teraz mam mało, — ubolewała kupcowa — prawie wszystkie lepsze wysprzedałam; za parę tygodni będzie wielki wybór.

Omylić się tu łatwo, ale zdaje mi się, że fotografie grają w miłym tym interesie pierwszorzędą rolę; po nich idą litografie i chromolitografie, następnie ilustrowane pornograficznie książki, broszury, kalendarze. Dalsze dopiero miejsca, na szarym końcu, zajmują: ręcznie malowane obrazy i obrazki; miniaturki w rączkach od piór, w różnych zabaweczkach osadzone; fotografie do stereoskopów; otwierające się i przybierające za pociągnięciem tasiemki najrozmaitsze, najnieestetyczniejsze kształty, bilety i pajace.

Główny transport „pikantnych“ ilustrowanych książek przyływa do Krakowa z Pesztu, a w szczególności z nakładowej księgarni G. Grimma. Księgarnie Izraela Herzoga, W. Poturskiego (w Podgórzu); łoża portyera na dworcu kolejowym — mają bogate zasoby tych wydawnictw, uderzających zdaleka niemożliwymi, w siedm kolorów tęcz mieniącymi się okładkami, które co najmniej nie ustępują w niczem rysunkom, ściągającym rokrocznie

konfiskaty na wydawany we Lwowie kalendarz „Figa“¹. Już sam tytuł katalogu G. Grimma dość wymowny: *Pikante Lektüre in deutscher Sprache*; przy odrębnych działach i dziełach dodana zachęta: *Text pikant, reich illustriert*; a jakie to ilustracje, powiedziec wystarczy, że dostrajają się one wybornie do tekstu Mendèsa, Silvestre'a, Sataneli i t. d. Tłem, główną osią Grimnowych wydawnictw było — przynajmniej po koniec 1891 r. — trzytygodniowe ilustrowane pismo: *Caviar, pikante und heitere Blätter*, z którego wyborowe, najpieprzniejsze rysunki i historyjki skupiały się w wydawanym na końcu roku *Caviar-Kalender*. Pieprzny, bardzo pieprzny ten Caviar być musiał, kiedy rząd niemiecki zabronił mu w lutym r. z. wstępu do całego cesarstwa, a wydawca w ogłoszeniach swych ofiaruje po kilkakrotnie, nawet austriackim i węgierskim prenumeratorom, przysyłanie Caviaru w szczelnie zamkniętych kopertach. Zamknięcie niemieckiej granicy znacznie widać zmniejszyło liczbę amatorów, i spowodowało p. Grimma do zawieszenia swego wydawnictwa z końcem 1891 r.; inna kwestya, czy nie dlatego tylko, aby po paru miesiącach wypłynąć z tego samego rodzaju, ale w odmiennym formacie, inaczej zatytułowanem skandalicznem pismem! Tymczasem pp. Poturalscy i Herzogi, pp. portyerzy kolejowi,

¹ „Figa“ bierze ztąd zdaje się nazwę, że od szeregu lat pokazuje się wszelkim urzędowym dekretem i konfiskatom. *Kuryer Polski* w numerze z 21 listopada r. z. podał do wiadomości, że skonfiskowany przez prokuraturę z powodu silnie nieprzyzwoitej treści i rycin kalendarz „Figa“ był jednak w kilka tygodni po ogłoszeniu tej konfiskaty wystawiony w oknach księgarni Friedleina, i że sprzedawano go tamże bez najmniejszego skrupułu. Inne księgarnie, których wymienić nie mamy powodu, przed ogłoszeniem konfiskaty znaczną liczbę „Figi“ sprzedaly. W pierwszych jeszcze dniach grudnia (1891 r.) wystawioną była w łoży portyera na krakowskim dworcu kolei żelaznej „Figa“ z r. 1890, w niczem co najmniej od edycyi z roku następnego nie lepsza, również przez prokuraturę zakazana. Na dworcu lwowskim spostrzegliśmy „Fige“ 30 grudnia r. z. — Parę tych faktów tłumaczy nam, dlaczego, choć „Figa“ regularnie jest konfiskowana i zakazywana, niemniej najregularniej każdej jesieni się pojawia. Widocznie wydawca, p. Zygmunt Gollob, niewiele traci na konfiskatach; największą część egzemplarzy sprzedaje przed ogłoszeniem konfiskaty; resztę, jeśli się da, nieco drożej — jak znacznie drożej krakowski portyer kolejowy kazał sobie zapłacić — po ogłoszeniu.

zadawalniać się muszą rozsprzedażą poprzednio już nagromadzonych u siebie „kawiorowych“ książek i kalendarzy; a zgrabnie wszystkie okoliczności wyzyskując, zachęcać będą do ich nabycia półgłosem wypowiedzianą uwagą:

— To nadzwyczajnie ciekawe! To w Niemczech zakazane!

A *propos* „Caviaru“ i p. Poturalskiego z Podgórza, opowiadał mi jeden z mych przyjaciół ciekawą historyjkę, którą tutaj, jako dość charakterystyczną, pozwolę sobie powtórzyć. Przyjaciel mój, w przedsięwzięte przeze mnie studia wtajemniczony, ciekawym był, czy i gdzie kupić będzie mógł od pierwszego zapytania dopiero co skonfiskowany najnowszy rocznik „Figi“, i w tym celu, blakając się raz po Podgórzu, zawadził o założoną przed kilku dopiero miesiącami „Księgarnię i skład nut i materiałów piśmiennych“ W. Poturalskiego. „Figa“ nie było; natomiast przedłożono mu do przejrzania kilkanaście kalendarzów lwowskich, krakowskich, warszawskich. Po schowaniu do kieszeni warszawskiego „Faceta“ i „Syreny“, próbujących wedle sił sprostac konfiskowanej lwowskiej kolezance, ujrzał on przed sobą cały stos Grimmowskich i nietylko Grimmowskich wydawnictw: *Intime Scenen*, *Badegeschichten*, *Das pikante Buch*, smrodliwy (bo inaczej go nazwać niepodobna) *Junggesellen-Almanach* i t. d. Uprzejmy do zbytku księgarz obiecał jeszcze w dodatku sprowadzić na przyszły tydzień zapas ciekawych fotografii i wśród mnogich ukłonów, upraszając, aby i na przyszłość handlu jego nie pomijać, odprowadził do drzwi cennego gościa.

W oznaczonym terminie gość zjawia się — ale miasto ukłonów i grzeczności, spotyka się z ponurą twarzą, nietajoną niechęcią. O sprowadzeniu fotografii mowy już niema; na zapytanie, czy nie nadeszła tymczasem nowość jaka, otrzymuje lakoniczną, jak lód zimną odpowiedź: „Nie, nie nadeszła!“ Cóż za przyczyna tej zmiany? Za chwilę wyjaśnia ją sam księgarz, niedość nad sobą panujący. W ostatnich kilku dniach pojawiła się właśnie w *Kurjerze Polskim* znana już nam wzmianka o wystawionym na sprzedaż, mimo konfiskaty, kalendarzu „Figa“; a ponieważ przyjaciel mój za pierwszą swą bytnością w księgarni o „Figę“ się pytał, przeto p. Poturalski podejrzywa go zape-

wne o autorstwo tej wzmianki, i febrycznie o własną skórę się lęka.

— Pan tu sobie notował, pan jeszcze na mnie w gazetach napisze. Ja młodzieży nie demoralizuję. Tylko proszę na mnie nie nie pisać, bo ja także odpowiednich środków potrafię użyć.

— *Qui s'excuse, s'accuse* — odpowiedział mu poprostu, rękę na kłamce trzymając; a ponieważ nie wie, czy p. P. po francusku rozumie, prosił mię, aby dodać tu dla jego nauki polskie tłumaczenie: „Na złodzieju czapka gore!“¹.

Czy prócz książek, fotografii, obrazów, wcale nie niewinnych bawidełek, niema jeszcze czasami w zwiedzanych przez nas lokalach innego towaru na sprzedaż, do wypożyczenia? Nie myślę się podobno, sądząc, iż jest w Krakowie jedna przynajmniej — dotąd tu niewzmiankowana — wypożyczalnia, w której książki stanowią tylko pretekst do zupełnie innego handlu;... w każdym razie wszystkie pozory za tem przemawiają. Szyld, donoszący o istnieniu wypożyczalni, tak się jakoś wstydliwie ukrywa, że kto o nim zgóry nie wie, niełatwo go chyba odnajdzie. Odnalazłszy, przechodzisz przez wielkie podwórze, szukasz znowu jakiegoś oryentującego napisu na brudnych, obszarpanych, od ulicy znacznie oddalonych zabudowaniach. Jest wreszcie napis; otwierasz drzwi, i przez ciemny korytarzyk dostajesz się do kuchenki; za kuchenką brudny pokój, w którym stoi parę, czy jedna szafa z książkami, samowar, sztućce, talerze; za tym pokojem drugi, niemniej brudny, od rana nie posprzątany. W tym pokoju dają ci do przejrzienia katalog polskich książek;

¹ Odnośnie do powyższej treści, notujemy dla przestrogi świeże, jakieśmy zrobili, doświadczenie. Uderzyło nas, że pewien drobny anonis, ogłaszający fotografie, niby dla użytku malarzy, z pewnej firmy zagranicznej, powtarzał się ustawicznie w wielu gazetach naszych. Napisawszy pod wskazanym adresem z żądaniem okazów, otrzymaliśmy natychmiast fotografie, odpowiadające n-rowi 4 autora, a w dodatku katalog firmy, pełen tak ohydnych rzeczy, że zakasowuje niewątpliwie wszystko, co autor może pod n-rami 5 i 6 rozumieć. Nie omieszkaliśmy oczywiście przestrzedz Redakcyę gazet, które ogłaszały te anonisy, za co otrzymaliśmy uprzejme podziękowania.

(Przypisek Redakcyi).

niemieckie książki są również, ale, rzecz oryginalna, dotąd w katalog nie wciągnięte. Ztąd, przez otwarte drzwi, widać elegancko, nawet ze zbytkiem umeblowany salonik, z którego, a może jeszcze z dalszych apartamentów, dolatują dźwięki fortepianu. Mimowoli zaczyna ci być nieswojsko; przez myśl przelatują w młodości czytane, straszne historye; przypominasz sobie, że od ulicy tu daleko, żeś w samej głębi jakiegoś nieznanego ci, tajemniczego gmachu.

— Nie znalazłem ani jednej książki dla siebie odpowiedniej.

Żydówka, stara, brzydota odstraszaająca, przyjmuje te słowa do wiadomości z filozoficznym spokojem; zdawałoby się nawet, że z nich w gruncie zadowolona, co prędzej tylko radaby się pozbyć intruza, a jego dalszych poszukiwań za książkami wcale nie pożąda. Gdy wychodzisz, znajdujesz pusty niedawno korytarzyk, zaludniony kilkoma ludzkiemi istotami. Czy może teraz dopiero, kiedy na dworze już ciemno, zaczną się do pustej dotychczas wypożyczalni schodzić interesanci?...

Dość już bodaj tego dobrego! Zwiedziliśmy pobieżnie kilka zaledwie handlów, kilka nor z książkami i obrazkami — któż powie i obliczy, jaki strumień zepsucia z tych czeluści płynie? Zapewne, kto trucizny umyślnie szuka, a środki po temu posiada, ten i zdaleka potrafi jej dostać; ale iluż takich, którzy o truciznie tej wyobrażeniaby nie mieli, gdyby nie znaleźli jej na miejscu, gdyby usłużny kolega, czy koleżanka, nie zaprowadzili ich do znanego już sobie handlu, a nabyty tam obrazek nie kursował później z ręki do ręki — po całej klasie, w całym warsztacie, w całej szwalni? iluż nie brukałoby nigdy swej wyobraźni błotem francuskich, niemieckich romansideł, gdyby im tego błota nie podrzucały zabezpiecen wypożyczalnie i antykwarnie?! Nie jedyna to zapewne, ale bodaj czy nie jedna z ważniejszych przyczyn tego zepsucia, które dziś może nie jest większem niż było dawniej — w to nie wchodzę — ale w każdym razie jest wcześniejszem, i o tyle niewątpliwie szkodliwszem, że rozkwita-

jące dopiero serca i umysły zakaża. I pomyśleć sobie, że tu idzie o nieprawę zyski kilku przekupniów!

A jeżeli kiedy, to dziś chwila do zajęcia się skutecznie tą sprawą. Dziś, zapewne wskutek nadmiaru nadużyć, wieje po Europie jakiś wiatr reakcyi i obostrzenia środków obronnych przeciwko nim. Gazety nasze razporaz donosiły w ciągu ubiegłego roku o rozmaitych rozporządzeniach, jakie wydały w tym duchu rządy w Niemczech, w Szwajcaryi, we Francyi. Austriacki minister nakazał przed kilkoma miesiącami osobnymi reskryptami większą baczność i energię w tej mierze, a w wiedeńskim parlamencie toczyły się znów na tenże sam temat ożywione i wyjątkowo zgodne rozprawy. Poczta belgijska, z rozkazu ministra, odmówiła transportu sześciu gazetom paryskim, z powodu ich niemoralności. Energiczni Australczycy odsyłają do Francyi lub rzucają do morza olbrzymie paki z powieściami, już nie Mendèsa, nie Silvestre'a, ale o wiele niewinniejszego Zoli. Stany Pensylwanii, wedle świeżo uchwalonego prawa, karzą grzywną 500 dolarów i rokiem więzienia każdego, kto „przyczynia się do wystawy, sprzedaży lub pożyczania nieprzyzwoitych broszur, obrazów lub książek“. Czyż i u nas nie czas, jeśli droga nam moralność, droga młodzież polska, przyłączyć się, i to energicznie, do tej kampanii?

Pewne początki uświadomienia sobie zła i chęci walczenia z niem już się zarysowały. Towarzystwo nauczycieli szkół wyższych powzięło na walnem zebraniu, odbytem we Lwowie 16 kwietnia 1889, cały szereg daleko idących uchwał, a mówiąc dokładniej, życzeń, postulatów, odnoszących się do wypożyczalni i antykwarni. Warto postulaty te w dosłownym tekście przypomnieć:

Walne Zgromadzenie uznaje za rzecz pożądaną:

a) by przedsiębiorstwom, utrzymującym wypożyczalnie książek, zabroniono dostarczania młodzieży szkolnej książek do czytania; by natomiast biblioteki szkolne dla uczniów obficiej, niż dotąd, były zaopatrywane w odpowiednie książki, iżby potrzeba szukania ich w wypożyczalniach okazała się zbędną;

b) by wszelkiego rodzaju antykwaryuszom wzbroniono nabywania książek od uczniów:

c/ by istniejące przepisy co do prywatnej kolportaży złych książek, niemoralnych fotografii i obrazów ściśle były przestrzegane...“¹

Następne walne zgromadzenie, zebrane w Krakowie w pierwszych dniach kwietnia 1890, obradowało ponownie i obszernie nad tą samą sprawą², ale zgodziwszy się w ogólnych słowach na „potrzebę uregulowania stosunków antykwarskich“, nie przyszło do żadnych praktycznych wniosków. Referent prof. Mieczysław Zaleski przedłożył kilka bardzo dobrych uwag i spostrzeżeń, odnoszących się niemal wyłącznie do sprzedaży książek szkolnych i popełnianych przy tem oszustw; innych punktów dotknął tylko mimochodem. Rozprawy, toczone nad tym referatem, a bardziej jeszcze rozprawy z roku zeszłego, okazały dowodnie, że są członkowie Towarzystwa, którzy patrzą na antykwarnie, na wypożyczalnie, na wpływ przez nie szerzony, tak optymistycznie, że prawdziwie tej dobrej wiary, bliższą znajomością tego co w szkole i poza szkołą się dzieje, niezamąconej, pozazdrościłoby im można — gdyby... gdyby byli uczniami, nie nauczycielami.

Mniej różowo, nie tając (nie wiedzieć dlaczego i przed kim) tego, co utaić się nie da i czego przed sobą przynajmniej taić niewolno; nie pytając: „z czego żyć będą rodziny antykwaryuszów“ — zapatrywała się na tę sprawę redakcja *Muzeum*, w artykule omawiającym nakazaną przez ministra Gautscha rewizję bibliotek szkolnych³:

„Troskliwość władz — tak kończy się ten artykuł — o wybór stosownych książek dla młodzieży, zasługuje na zupełne uznanie. Ale czy ta troskliwość może przynieść jakiekolwiek owoce, jeśli uczniowie nawet w czasie lekcyj szkolnych mogą przesiadywać w bibliotekach i czytywać dowolnie dzieła, nie powiemy niemoralne, ale dla ich wieku nie całkiem stosowne? Czy owe usiłowania władzy naczelnej osiągną zamierzony skutek, jeśli każdy uczeń za bajecznie niską cenę, bo za kilkadziesiąt centów na miesiąc, może wypożyczać od antykwaryuszów naj-

¹ *Muzeum*, Rocznik v., str. 404.

² *Muzeum*, Rocznik vi., str. 394 i nast.

³ *Muzeum*, Rocznik ii., str. 134.

wstrętniejsze romanse, nieobyczajne piśmidła, i jeśli swawola niesumiennej przekupniów posuwa się do tego, że w wystawach księgarskich, umieszczonych tuż obok zakładów naukowych, wybitne miejsca zajmują sprośne i ohydne dzieła i obrazy? Dopóki takiemu publicznemu zgorszeniu tamy się nie położy, wszelkie wysiłki tak naczelnej władzy szkolnej, jak gron nauczycielskich, w tym kierunku podjęte, uważać należy za zmarowane. Stanie się zadosyć formie, a rzecz pozostanie ta sama“.

Złote słowa! Uogólnijmy je, położmy zamiast samych wyłączenie uczniów i uczennic, wszystkie te, mniejsza o to niskie czy najniższe, średnie czy wysokie warstwy społeczeństwa, które w tych źródłach choróблиwe pragnienie zaspakajają; spytajmy, co się dzieć musi w innych miastach, we Lwowie, w Warszawie, na prowincyi, kiedy — jak zaręczali mowcy na nauczycielskich zebraniach — w Krakowie plaga antykwarska najslabiej jeszcze i najniewinniej grasuje — a znajdziemy usprawiedliwienie i odpowiedź, dlaczego pozwoliliśmy sobie zaprosić czytelników naszych w niemiłą wędrówkę po tajemniczych tych, a w najdrobniejszych szczegółach zgodnie z prawdą odmalowanych „krakowskich podziemiach“¹.

¹ W chwili oddania tego artykułu do druku, z przyjemnością dowiedzieliśmy się, że kompetentna władza, uprzedzając nasze pismo, zajęła się zbadaniem i skarceniem omówionych tu nadużyć. (*Przyp. Redakcyi*).

DZISIEJSZY SOCYALIZM WOBEC ŚWIATŁA ROZUMU.

III. Jak kwestyę socyalną rozwiązuje dzisiejszy socyalizm.

W poprzedzających artykułach starałem się określić istotę, całą rozciągłość i przyczyny współczesnej kwestyi socyalnej. Z kolei staje przed nami pytanie: Jak ją zamierza rozwiązać socyalizm dzisiejszy? W wywodach moich ograniczam się do socyalizmu, występującego w Niemczech pod nazwą socyalnej demokracji, i zaznaczającego przez tę nazwę stanowisko swoje wprost przeciwne socyalizmowi państwowemu. Krytyka socyalizmu w tej formie, w jakiej się objawia w Niemczech, da się w zupełności zastosować co do głównych punktów systemu, pod jakąkolwiekby formą występującego, ponieważ socyalna demokracja zgadza się z nim w najważniejszych swoich pojęciach, na których jest oparta, i wogóle te same stawia postulata, co wszystkie inne odcienia socyalizmu, czy się zowią komunizmem, czy anarchizmem, czy jakkolwiekby inaczej. Karol Marx, twórca internacyonału robotniczego, sam się w tym duchu wyraża w proklamacyi, wydanej r. 1847, z okazji kongresu robotników w Londynie: „Komuniści nie tworzą bynajmniej osobnej partyi w przeciwstawieniu do innych partyj robotników. Interesa ich nie są odmienne od interesów całego proletaryatu; nie stawiają oni odrębnych zasad, według których zamierzaliby kierować ruchem robotniczym. Bezpośredni cel komunistów jest ten sam, co i innych partyj proletaryatu: zni-

weczenie panowania kapitalistów przez zagarnięcie władzy politycznej“.

Cel ostateczny, do którego zmierza socyalizm niemiecki, a przeto i podstawa jego ekonomicznego systemu, zawiera się w następujących zdaniach: 1) Wszystkie środki robocze mają być nietykalną, wspólną własnością społeczną, z wykluczeniem wszelkiej posiadłości prywatnej. 2) Sama praca i produkcya ma być organizowaną przez społeczeństwo; do niego również należy rozdzielanie dochodów z pracy i produkcji. 3) Samo społeczeństwo, jako podmiot wszelkiej własności i organizator wszelkiej pracy, ma się opierać na zasadach demokratycznych. Ztąd właściwa mu nazwa demokracji socyalnej. Różne modyfikacje tych trzech pojęć zasadniczych tworzą poszczególne odcienia socyalizmu. Najgrubszy i najniedorzeczniejszy, Komunizm, poprzestaje na negacyi własności prywatnej; wszystkie dobra ziemskie mają stać wszystkim w równej mierze do rozporządzenia, tak, że każdy mógłby brać co mu się podoba. Zupełnie im na myśl nie przychodzi przyznać komukolwiek prawo rozdzielania pracy i dochodów z tejże. To jest socyalizm uliczny, który się nie liczy z rozumem, lecz tylko z nierozważną pożądlivością. W tej nierozumnej mrzonce zawiera się także zniweczenie materialnego bytu ludzkiego społeczeństwa. Któżby się bowiem podjął pracy jakiej, trudów i mokołów, gdyby miał to przekonanie, że pierwszy lepszy mógłby go pozbawić owoców jego pracy? Brak wszystkiego, co konieczne i pożyteczne, lub walka wszystkich przeciwko wszystkim, byłaby wynikiem tej mrzonki, a przez to stałby się sam materialny byt społeczeństwa niemożliwym.

Dawniejsi komuniści marzyli o najzupełniejszej wspólności nietylko wszystkich dóbr ziemskich, pod jakąkolwiek podpadających kategorię, ale nadto o wspólności pracy i tego wszystkiego, co praca wydaje, a nareszcie i o wspólnem korzystaniu i używaniu dóbr wszelkich i wszelkich produktów pracy. Wspólne sale pracy, wspólne posilanie ciała, wspólne sypialnie i t. d.

Umiarkowańsi komuniści rozróżniali między dobrami pro-

duktywnemi, a takimi, których przeznaczeniem bezpośrednio zaspokojenie potrzeb ludzkości. Pierwsze obejmują wszystko, z czego przez pracę produkt jaki da się osiągnąć, a więc rolę i wszystkie środki robocze. To wszystko ma być wspólną własnością odnośnej grupy robotników; tak np. kopalnie i wszystkie do ich eksploatacji potrzebne narzędzia i maszyny są własnością górników, w tych kopalniach pracujących; orna rola ze wszystkim, co do jej uprawy potrzebne, należy do tej grupy robotników, którzy rolę tę uprawiać będą i t. d. Grupy te robotników są od siebie niezależne, muszą się jednak przez związek federacyjny w jedno połączyć stowarzyszenie. Prywatnej własności dozwala się tylko w tej drugiej klasie dóbr, które bezpośrednio służą do zaspokojenia potrzeb ludzkości; chleb, żywność, odzież i t. p. mogą być prywatną własnością. Ponieważ według tej teorii nie istnieje właściwe państwo z władzą stojącą ponad społeczeństwem, lecz tylko niezależne, acz skonfederowane grupy robotników, przeto ten rodzaj komunizmu zwie się także „anarchizmem“.

W przeciwieństwie do wszystkich tych form socjalizmu, stoi socjalizm państwowy. Prawa własności wprowadzie on nie zaprzecza, ale przeważa w nim dążność, by wszystkie wielkie źródła dochodów, jak kopalnie, koleje, słowem cały wielki przemysł, uczynić własnością państwa, albo przynajmniej całą organizację pracy złożyć w jego ręce, tak, iżby państwo, jeśli nie wyłącznym, to w każdym razie naczelnym było pracodawcą, i regulowało wszelką pracę produktywną, jak i całe życie ekonomiczne.

Ponieważ w niniejszym artykule nie mam zamiaru podawać historyi i rozwoju socjalizmu i jego idei ekonomicznych, lecz tylko chcę przedstawić dążności dzisiejszej socjalnej demokracji, przeto sądzę, iż ten krótki szkic głównych form, w jakich socjalizm się przejawia, wystarczy do zrozumienia stanowiska socjalnej demokracji, odnośnie do innych form socjalizmu.

Jednej tylko uwagi nad rozwojem demokracji socjalnej nie mogę tutaj pominąć, a w krytyce całego systemu znajdziemy jej uzasadnienie: Bardzo często spotykamy się ze zdaniem, ja-

koby pewne filozoficzne doktryny stanowiły punkt jej wyjścia, jakoby pewne zasady ekonomiczne, aż do ostatecznej konsekwencji przeprowadzone, były przyczyną rozwoju socyalnej demokracji. Przypuszczenie to, wogóle biorąc — mojem zdaniem — wprost stoi w sprzeczności z faktami. Nie filozofia, nie nauka rozpoczęła i dokonała dzieła socyalnej demokracji, chociaż stronnicy tej partyi tak bardzo chępią się naukowością, szyszając z zafocfania przeciwników — lecz *auri sacra fames*, pożądlliwość złota, wszystko gnębiąca chciwość kapitalistów z jednej, a z drugiej strony reagująca chciwość proletaryatu zggnębionego i oburzonego: oto źródła radykalnego socyalizmu. Naturalnie pożądlliwość w dążnościach swych i drogach, po których kroczy, chce uchodzić za rozumną i mądrą; więc idzie na zwiady, i z pola nauki zbiera co jej potrzeba, i zestawia jak jej potrzeba. Kilka ziarn prawdy, z istic kuglarską zręcznością dyalektyczną podnosi się do znaczenia niezbitych pewników, i na nich wznosi się potem systemy filozoficzne, otaczające bezrozumną namiętność płaszczem mędrca i nadające uludzie i kłamstwu pozory niezaprzeczałnej mądrości. Tak postąpili sobie kapitalisci, tak samo postępuje wroga kapitałowi demokracja socyalna. „Wielkich myślicieli“ nigdy przecież nie brak, którzy i największą niedoręczność za prawdę podać potrafią. Kiedy gospodarstwo kapitalistów pod panowaniem maszyny coraz świetniej się rozwijało, wtedy głód ich, niczem nie dający się zaspokoić, nie znał innych ideałów, jak produkcję i używanie; produkcja zapomocą tysięcy rąk, przy maszynie także w maszynę się przemieniających: używanie, coraz większe używanie, by spożyć owoce produkcji, a przeto i coraz więcej wzmagające się nakłady, by umozębnić większe i obfitsze używanie. By ideały te w właściwym postawić świetle, potrzeba było wielkich myślicieli i wielkich proroków, którzyby ciała prawodawcze przekonali o niezmiernym postępie, leżącym w dążeniu do tych ideałów. Co tylko umiało myśleć i mówić, szło w naukę do liberalnych ekonomistów materyalizmu: Malthusa, Smitha, Riccarda, Say'a, i tam się dowiadywało, że jedynym celem i jedynym przeznaczeniem człowieka, a nawet całego społeczeństwa, tak pod względem

etycznym jak i materyalnym, jest produkeya i konsumpcya, wytwarzanie i zużywanie; cała cywilizacya nie ma innej miary do oznaczenia swego rozwoju, jak znajomość tych wszystkich praw, od których zachowania zależy wzrost produkeyi i konsumpcyi. Ztąd też pochodzą wszystkie owe szumne frazesy o postępie, kulturze, cywilizacyi.

W służbie materyalnego tego postępu musiały upaść wszystkie szranki, które istniały w dawnej organizacyi społecznej. Dlatego kapitalizm stał się sprzymierzeńcem i obrońcą pseudo-wolności, słowem stał się liberalnym. Lecz wolność ta wyszła jedynie kapitałowi na korzyść. Dawne ograniczenie miejscowe, które produkeyę w ścisłych zamykało granicach, zniesiono, a natomiast ogłoszono wolność handlu. W dawnym porządku społecznym wolno było produkować tylko cechowemu rzemieślnikowi; to było hamulcem dla produkeyi fabrycznej: przeto go odsunięto, a w jego miejsce postawiono wolność zarobkowania. Do produkeyi fabrycznej, *en masse*, potrzeba było wielkiej ilości robotników; należało pomyśleć o sposobie łatwego wprowadzania w ruch tego ludzkiego materyału; więc upaść musiały wszelkie ustawy stojące temu na przeszkodzie: robotnik nie mógł być nadal przywiązany do gleby, musiał być wolnym; ztąd prawo dowolnego przenoszenia się z miejsca na miejsce. Produkeya zapomocą maszyn potrzebuje pieniędzy, wiele pieniędzy; należało tedy usunąć przeszkody, utrudniające nabywanie pieniędzy: ztąd prawo o wolności lichwy. Wszystkich tych wolności nie możnaby było zdobyć, gdyby dawna monarchia z władzą swoją prawodawczą i wykonawczą była nadal istniała; dlatego przede wszystkim trzeba ją było ograniczyć wolnością konstytucyjną. Religia i Kościół niezmiernie wiele miały do zarzucenia całej tej dążności liberalnego materyalizmu — przeto należało lud oderwać od religii i Kościoła, usunąć zpod ich wpływu, słowem uwolnić od tych pęt, od tych potęg ciemności, które go utrzymywały w umysłowym oglupieniu. Tego wszystkiego domagała się kieszeń kapitalistów. Zatem stało się, czego żądali. A wynikiem tej gospodarki — demokracja socyalna z całą swą awanturniczą potęgą! Każdy przewrotny system wy-

woluje reakcję, często w ekstrem wręcz przeciwny, a równie przewrotny, wpadającą, podczas gdy prawda i sprawiedliwość leżą wpośrodku. Taką skrajną reakcją kapitalizmu jest socjalna demokracja, która się zastawia temi samemi zasadami liberalnego materalizmu, na których wzrósł kapitalizm.

Bynajmniej nie myślę tem twierdzeniem przyznawać słuszności materalistycznej historyozofii socjalizmu; lecz coś prawdy w niej tkwi, i to właśnie pragnąłbym mimochodem zaznaczyć¹. Socjalistyczni historyozofowie twierdzą, że cała historia od początku do końca niczem nie jest innem, jak ciągłą walką klas, wywoływaną przez pojawiające się w każdej epoce przeciwieństwa między nimi: wyzyskującymi a wyzyskiwanymi, między ciemieżcami a ciemieżonymi. W tej walce, na pierwszym planie stoi zawsze ekonomiczne wyzwolenie się uciemieżonych zpod przewagi tyranów; ponieważ zaś ekonomiczne wyzyskiwanie zawsze musi stać w związku z ciemieżeniem politycznem, przeto też zawsze ta walka klas zmienia się wreszcie w walkę polityczną, która wraz z uciemieżeniem politycznem usuwa także wyzyskiwanie ekonomiczne. Ilekroć w porządku społecznym do tego dochodzi, że przeważna część interesowanych jest niezadowolona i pragnie naprawy stosunków, tylekroć dawna forma społeczeństwa nie da się dalej utrzymać; masy, jakby siłą elementarną pchane, bezwiednie do celu dążą, a tym celem, to nowy stopień rozwoju, nowa forma porządku społecznego². Nie opatrność losami narodów kieruje, ale historyczna konieczność, polegająca na tem, że nowa formacja społeczeństwa z poprzedzającej prawem konieczności wyrasta. Dlatego to przewaga socjalnej demokracji nie jest czem innem, jak tylko formacją społeczną, która siłą jakby elementarną parta, na mocy organicznej konieczności wyłoniła się z mieszczaństwa, opartego na kapitale. Odrobina prawdy, która w tem rozumowaniu się zawiera, to chyba to jedynie, że przeszłość nosi w sobie zwykle zaród przyszłości. Siła zaś elemen-

¹ Marx, *Zur Kritik der politischen Oekonomie* i indziej. Engel, Feuerbach, str. 57. Dühring, str. 141.

² Bebel i Karol Fourier. *International-Bibliothek*, zeszyt 17.

tarna, prawo konieczności, które przyszłość z przeszłości instynktowo i organicznie wytwarza, to czyży frazes socjalistycznej dyalektyki, którego absurd sama praktyka socjalistów dostatecznie wykazuje. Dlaczegoż to bowiem socjalni demokraci tyle agituja, jeżeli ich państwo przyszłości z przeszłości prawem koniecznem organicznie rozwinąć się musi? Dlaczegoż nie trzymają się tego pewnika: Poczekajmy! państwo przyszłości i tak nastąpi!

Prawdą jest jednak, że manskwestrowska gospodarka kapitału jest posiewem, któremu socjalizm zawdzięcza swe istnienie. Praktyczna zasada kapitalizmu: *produkować i używać*, przyjęła się u socjalistów, atoli inaczej zupełnie, jak u kapitalistów. Kapitałiści pracę produkcyjną złożyli na barki robotnika, konsumpcyę zatrzymując dla siebie. Robotnicy po większej części moralnie i fizycznie pod ciężarem biedy i nędzy fabrycznej giną, kiedy tymczasem kapitałiści opływają we wszelkiego rodzaju zbytki. Dreszczem przejmujący los robotnika, w przeciwstawieniu do wystawnego życia tych, co się paśli pracą innych, nie tylko najwymowniejszych znajduje krytyków wśród socjalnych demokratów, ale i wśród wszystkich tych, co współczują prawdziwie z nędzą ludzką. Naturalnym więc zbiegiem okoliczności, robotnik pod naciskiem nędzy niesprawiedliwą stronę praktyczną tej zasady poprawił w ten sposób: Czyja praca, tego i korzyść (używanie) — naszą jest praca, a więc do nas należy prawo używania. To było praktycznym punktem wyjścia dzisiejszego socjalizmu radykalnego. Religia byłaby umiała robotników innemi rozkoszami pocieszyć i ich cierpienia ukoić, ale nienawiścią ku religii teńący liberalizm wiarę w szczęście niebieskie wysmiał; dlatego nie pozostała dla robotnika inna rozkosz, jak zmysłowa, doczesna. Trzeba było tylko od produkcji do używania utorować drogę. Tego dokonali wielcy myśliciele proletaryatu, zaczerpnawszy odpowiedniej do tego wiedzy w liberalnej filozofii manskwestrowskiej. Tam znaleźli tę piękną naukę, że wszelka wartość na pracy się opiera, wszelka wartość jest tylko wykwitem pracy, nagromadzeniem pracy. Chociaż późniejsi filozofowie „wielkiego kapitału“ wyrzekli się tego twierdzenia, skoro spostrzegli, że jest ono mieczem obosiecznym, to

jednak mógł się Lassale słusznie powołać na cały szereg mistrzów liberalnej ekonomii, którzy tę zasadę wyznawali.

Cena jakiegokolwiek rzeczy da się zamienić na pewną sumę rozkoszy. To zdanie było pomostem, łączącym pracę z używaniem. Zrozumiał to Lassale i dlatego zasadę tę wypisał na chorągwi agitacyjnej proletaryatu przeciw kapitałowi. Dyalektyka jego nie była trudną do zrozumienia. Naszą jest wszelka praca, musiał sobie każdy robotnik powiedzieć, naszą wszelka produkcyja, nam więc należą się produkty i towary ze wszelką swą ceną. Dalszą konsekwencyą jest: a więc nam należą się wszelkie środki pracy, jakich produkcyja wymaga. Wyprowadzić te wnioski było tylko igraszką dla socyalistów. Tak więc powstała główna zasada socyalizmu: wszelka własność prywatna musi upaść, jako kradzież popełniona na roboczej klasie, bo wszelkie środki i produkty pracy własnością są robotnika.

Do tego dodać trzeba wszelkie swobody, jakich liberalny kapitalizm na korzyść nieograniczonej konkurencyi gospodarskiej, tj. na korzyść worka pieniężnego, się domagał i uzyskał, począwszy od wolności konstytucyjnej; te wszystkie swobody adoptowała socyalna demokracja i wyzyskała na swą korzyść. Dość przeglądać wszystkie te żądania różnorodnych swobód, jakich ona w swym programie domaga się dla proletaryatu, a łatwo się będzie można przekonać, że na rożnie, który ukula liberalna kuźnia kapitalistów, socyalna demokracja swoją smarzy pieczeń. Prócz tego, wszystkie te swobody przyczyniły się jedynie do przygotowania terenu pod knowania socyalistyczne. Przecież wszystkie te swobody zmierzały ostatecznie do tego, aby finansowo słabszych odosobnić i wydać ich na łup kapitału. Zwarte szeregi średniego rzemieślniczego stanu, będące kitem obecnego społecznego porządku, rozerwała fabryka i zrujnowała do szczytu, popychając w ostateczną nędzę i biedę. Tak rozpadło się społeczeństwo na dwie warstwy. Jedna, składająca się z nielicznych przedstawicieli, ale za to silna siłą grosza; żadna wszelkich dostatków, nie krępująca się żadnymi względami w łupieniu robotników, jako wstrętnej dla siebie klasy; druga, to ogromna masa ubogich i robotników, palających wściekłą nienawiścią

przeciw swym wyzyskiwaczom. Jeszcze tylko nie dostawało agitatorów, którzyby tę nienawiść rozdmuchali w otwarty bunt, proklamując przyszłe szczęście po upadku kapitału; trzeba było dowódców, około którychby się zbuntowane duchy skupiły, nową tworząc partycję, a socjalizm stałby się faktem dokonanym. Agitatorowie się znaleźli, dowódcy partycji się ukazali, zjawiła się i socjalna demokracja z całym swym radykalizmem, jako taran przeciw kapitalizmowi.

Jakże ta partycja przedstawia sobie uwolnienie społeczeństwa ludzkiego zpod przewagi kapitału? jaki plan, mający rozwiązać kwestycję socjalną, zakresła? W chwili, gdy to piszę, wiec niemieckiej socjalnej demokracji w Erfurcie zakończył wśród największej kłótni i waśni swe prace programem, który usterki i błędy poprzedzającego programu (wydanego w Gocie 1875) miał naprawić.

Kilka uwag o tym programie wystarczy, by poznać jego wartość i znaczenie; boć trzeba go cokolwiek bliżej poznać, choć dlatego, aby ocenić, w jaki sposób ci panowie chcą załatwić kwestycję socjalną. Program ten, według ich myśli, nie jest tylko czerzą dekoracyą; ma on być spójnią, łączącą członków partycji między sobą; tych zaś, co poza obrębem partycji stoją, ma zapoznać z celami partycji, środkami i drogami, jakie do ich ziszczenia wieść mają. Trzeba ten program sumiennej poddać analizie, aby poznać, w jaki to sposób socjalizm przedstawia sobie nowe ukształtowanie społeczeństwa ludzkiego.

Czyż więc nowy ten, ulepszony program, spełnia swe zadanie? Bynajmniej! W istocie jest on tylko czerzą dekoracyą partycji, przeznaczony zdaje się na to, by niejedną jej zgniliznę zakryć, a cele i dążności jej raczej ukryć, niż wyjaśnić. Ażeby wyczytać prawdziwy sens nowego programu, trzeba się doń zabrać w duchu jego twórców, który dużo jaśniej przemawia, aniżeli słowa programu. Charakterystyczne wyrażenia socjalnych mowców i socjalnej prasy, przedewszystkiem zaś czyny partycji, świadczą o istocie i prawdziwych dążeniach programu, stylistyka zaś jego, to tylko upiększająca, przydana do nich

domieszka. To powiedzieć można o wszystkich programach, to samo musimy powtórzyć i o obecnym.

Stary program chwalili wszyscy członkowie, chociaż zbyt mała liczba go znała; lecz zaniechano go, bo według zdania Marxa, znakomicie się na tem znającego: był on poprostu mizerotą, pełen półśrodków, niejasności, nieprawdy. Wówczas z programem bawiono się w chowanego, prawdziwe zamiary skrzętnie ukrywając, aby Lassalistom wstęp do partii ułatwić. Nowy program ani o włos nie jest lepszy: tak samo przepełniony połowicznością i niejasnością. Wprawdzie artykuły wiary Lassala (jak Marx zdania Lassala nazywa) wykreślono, jako nie nadające się do praktyki, przedewszystkiem zdania jego zmierzające do zaprowadzenia stowarzyszeń produkcyjnych z pomocą państwa, i doktrynę o żelaznem prawie płacy. Ale czy prócz tych niema jeszcze dosyć innych półśrodków i niejasności? Twierdzenie wstępne Gotajskiego programu, według którego praca jest źródłem wszelkiego bogactwa i wszelkiej oświaty, a zatem, że ogólny produkt pracy społeczeństwa według prawa równości, każdemu według jego rozumnych potrzeb się przynależy, upadło. Dlaczego? Czy może obecni dowódcy partii inne mają zapatrywania? Socjalno-demokratyczne państwo przyszłości, które ci panowie tak często obiecywali, i w nowym programie pozostało w tajemniczej zupełnie osłonie, mimo żądań wielu, by wyjaśniono przecież, jaka ma w nim nastąpić organizacya. To co niejasność jeszcze powiększa, jest odezwa Liebknechta w jego programowej mowie, że państwo przyszłości żadnem nie będzie państwem, ponieważ nie będzie w niem żadnych rządów i rządzonych, tylko sami równouprawnieni towarzysze. Jaka jedność i skupienie członków miejsce w niem mieć będzie, tego nie można pojąć. Zresztą napróżno nam się kusić o zrozumienie tego zdania, jeżeli nie chcemy według hasła Liebknechta uchodzić za dogmatyczne bałwany!

Jak się ma rzecz z żądaniami, jakie program stawia? w jakim związku stoją z mowami, jakie na wiecu wygłaszano? Czyż nie są one raczej czczym faryzeizmem politycznym? Są one przeznaczone tylko dla rzeszy tych, co jeszcze nie zdołali

dotrzeć do głębin idei rewolucyjnej. Przecież i tym trzeba było coś podać, coby ich głód za szczęściem tymczasowo jakkolwiek uśmierzyło, by ich od partii zupełnie nie odstręczyć. Zagorzałcom zaś, którzy taką oziębłą polityką reform się nie zadawałniam, poświęcono mowy, które pozwalają wnikać w przewodnią i zasadniczą myśl programu. Burzyciele chcą rewolucyi niszczącej wszystko do szczytu, nie zaś mrzonek reformatorskich, na które lada baba by się zgodziła, a i tych z partii otwarcie wyrzucić nie można; szparę wewnętrzną niezgody trzeba zakitować. Dlatego to Vollmara, z powodu jego szczerze obmyśliwanych reformacyjnych dążeń, wypierają się i orzekają jasno i wyraźnie, że nie chcą tworzyć żadnej reformy, ale że państwo, na dzisiejszych podstawach się opierające, musi być zburzone, i niewola w jakiegokolwiek formie występująca, musi być zniesiona. Oto cel jedyny socyalnej demokracji — i musi się dać przeprowadzić, i przeprowadzimy go, dalej tylko, śmiało naprzód! — to tryumfalny okrzyk socyalnej demokracji!

„Klasa kapitalistów podobna jest do tego bohatera greckiej tragedyi, którego prześladowało *fatum*. Używał on wszystkich środków, aby nieszczęście od siebie odwrócić, ale wszystkim jego zachody miały ten jedynie skutek, że je przyspieszały; tak też wszelkie wysiłki klasy kapitalistów, podjęte w celu własnego zabezpieczenia, a zmierzające do zachowania proletaryatu, ostatecznie ten owoc wydadzą, że przyspieszą im tylko śmierć, a socyalnej demokracji tryumf“¹. Czyli innemi słowy: my jesteśmy rzeczywiście rewolucjonistami, ale sam takt tego wymaga, żebyśmy tego na cały świat nie roztrębywali. Spora więc doza obłudy ukrywa się w tym programie. Członkowie partii znają jednak jej ducha i to wystarcza. „I najpiękniejszy nawet program — wypowiada w tej samej mowie Liebknecht — żadnej nie przynosi korzyści, jeżeli nie jest zrehabilitowany w odpowiednim duchu“. Starajmy się więc i my w odpowiednim duchu mu się przypatrzeć, na objaśnieniach ze strony socyalizmu schodzić nam nie będzie.

¹ Mowa Liebknechta na zakończenie wiecu w Erfurcie.

Program Erfurcki rozpada się na trzy części. Pierwsza część zajmuje się tem, co zwykle obowiązkiem jest stronnictwa, chcącego uchodzić za znające się na rzeczy, tj. przedstawia nam motywa programu roboczego i postawionych przez nich postulatów. W sześciu punktach streszczają się zasadnicze zapatrywania socyalnej demokracji na dzisiejszy ustroj społeczny, cztery zaś ustępy przeznaczone na wykazanie istoty i całej dążności socyalnej demokracji. Druga część zawiera w dziesięciu paragrafach istotną organizację, która w przyszłości ma być nadaną nowemu ustrojowi społecznemu i zapewnić mu trwale powodzenie. Trzecia część ma tylko prowizoryczne znaczenie, i stawia w pięciu punktach żądania, które spełnione obecnie jeszcze w starym ustroju być muszą, skoro zaś upadnie, wtedy socyalna demokracja już o odpowiedni ekwiwalent się postara. Obecnie nie mam jeszcze zamiaru poddawać krytyce orzeczeń socyalnej demokracji, lecz tylko chcę przedstawić te główne punkta we właściwem świetle i okazać, co też właściwie ci panowie myślą.

Pierwszy punkt tych motywów opiewa: „ekonomiczny rozwój kapitału prowadzi naturalną koniecznością do upadku małych przedsiębiorstw, których podstawą jest prywatna własność robotnika, odnosząca się do jego środków produkcyjnych. Odłącza ona robotnika od jego środków produkcyjnych, i przekształca go w nic nieposiadającego proletaryusza, podczas gdy środki produkcyjne przechodzą na wyłączny monopol stosunkowo malej liczby kapitalistów i posiadaczy wielkiej własności“.

Nie oznacza to według pojęć socyalistycznych, że rozwój wielkiego przemysłu małe przedsiębiorstwa coraz więcej a więcej wypiera, i dlatego całą klasę ludzi, którzy w jakimś małym rzemiośle szukać i znaleźć mogli swe utrzymanie, pod pewnym względem zmusza szukać go w wielkich przedsiębiorstwach fabrycznych; byłaby w tem istotna wypowiedziana prawda; ale toby mało dopomagało propagowaniu celów stronnictwa; trzeba więc było przyodziąć prawdę w czerwony łachman agitacji. Dlatego to trzeba posiadaczów z całym ich wielkim przemysłem przedstawić jako przywłaszczycieli, którzy robotnikom środki produkcyjne, będące ich własnością, wydzierają, i tem samem prze-

kształcają ich w nie nieposiadających proletaryuszów, podczas gdy wszystkie te środki stają się wyłączną własnością kapitalistów i posiadaczy większej własności. Co gorsza, mówią, to że przeciw temu przywłaszczytelowi żadnego niema środka, coby jego nieprawidłowe postępowanie ukrócił, ponieważ on z naturalnej konieczności pochłania drobne przedsiębiorstwa. Nawiasowo mówiąc, ta „naturalna konieczność“, to tylko strach na wróble; jeżeli bowiem liberalizm potrafił, przez wszystkie uzyskane swobody przyczynić się do rozkwitu wielkiego przemysłu, to tem bardziej rozumne prawodawstwo potrafiłoby wynaleść środki, zabezpieczające rzemiosło i małe przedsiębiorstwa od ruiny. Lecz z drugiej strony i ta mniemana konieczność jest naturalnym wynikiem materyalistycznej filozofii, której socyalistyczni myśliciele zupełnie się poddali. Albowiem, według filozofii Marxa i jej rozwoju przez Engla, walka klas, ciągnąca się przez całą historję ludzkości, nie jest czem innym, jak z natury swej koniecznym procesem rozwoju materyi. Każda epoka dziejowa wynika ze stosunków, utworzonych przez produkcję i handel. Rozwój zaś sił produkcyjnych dokonywa się zawsze według koniecznych immanentnych praw. W ten sposób rozwija się rzemiosło, przekształcając się w fabryczne i maszynowe produkcye. Ale w tym rozwoju nadechodzi moment, w którym siły produkcyjne w przeciwieństwie stają do odpowiednich stosunków przez produkcję wytworzonych, tj. do prawa własności społeczeństwa, które ze swej strony zmierza do opanowania sił produkcyjnych. Takim jest niezmiennne prawo rozwoju świata. Siły produkcyjne wzrastają z rozwojem posiadającej warstwy społecznej, dochodząc do rozmiarów olbrzymich, tak że już ich opanować ona nie jest w stanie, choćby w nowe zakula je pęta.

Dowód na to dostateczny mamy w obecnej epoce. Nowoczesny przemysł wytworzył w społeczeństwie dwie klasy: posiadaczy i proletaryuszów. Posiadacze (*bourgeoisie*), przez ustawicznie wzrastający przemysł, przyswoili sobie wszystkie środki produkcyjne, wszystkie maszyny i fabryki, a tem samem wszelkie posiadanie środków do życia, ale też tem samem noszą w sobie

źródło koniecznego upadku. Rozwój maszyn posuwa się nieprzerwanym pędem naprzód, obrót pieniężny fabryk koniecznem następstwem coraz to większą będzie musiał obejmować masę przedmiotów, potęgując w miarę tego sumę wkładów; liczba tych, którzy do takiego obrotu kapitały swe wkładać będą mogli, tem samem coraz to mniejszą będzie, aż dojdzie do tego, że nie będzie więcej żadnego prywatnego kapitału, któryby był w stanie tak kolosalny opanować obrót. Rozum żadnej jednostki już wtedy nie wystarczy, aby obmyśleć miejsce zbytu produktów. Kontrola potrzeb coraz będzie zawilszą, a hiperprodukcya, dla której zabraknie zbytu, coraz będzie niebezpieczniejszą. Dlatego to tak częste upadki i bankructwa.

Do tego dodać trzeba ustawiczny wzrost proletaryatu, który również maszynowemu przemysłowi swe istnienie zawdzięcza, a który narówni z maszynami właściciele fabryk wyzyskują. Tłum wywłaszczonych, patrzący ustawicznie na jaskrawy kontrast między zbytkiem i rozpustą posiadacza, a nędzą i głodem własnym, jęczący pod brzemieniem najstraszniejszej nędzy, którą nań gospodarka kapitału ściąga, wzrasta z dniem każdym co do liczby i siły, której przemysłowcy opanować nie mogą. Dlatego musi koniecznie dojść do starcia tych sprzecznych żywiołów, do rewolucyi socyalnej, która przywileje posiadaczy i wogóle warstwy społeczne zniszczy do szczętu. Kapitałiści połknęli małe przedsiębiorstwa, a ich połknie socyalna demokracja, przez swą wspólną, społeczną produkcję i społeczny rozdział zysków¹.

Autorowie programu przynajmniej praktyczne wyniki filozofii swych mistrzów dobrze zrozumieli!

Drugi paragraf motywów, który jest właściwie tylko szerszym opisem pierwszego, a różni się od poprzedniego tylko ciętym agitacyjnym językiem, brzmi:

„Z tem zmonopolizowaniem środków produkcyjnych idzie ręka w rękę wypieranie rozbitych małych przedsiębiorstw przez wielkie przedsiębiorstwa, przekształcanie narzędzia w maszynę i olbrzymi wzrost produktywności ludzkiej pracy. Ale wszystkie

¹ Engels-Dülhning str. 132. Marx, *Zur Kritik der politischen Oekonomie*.

zyski, wynikające z tego przekształcenia, stają się monopolem kapitalistów i większych właścicieli ziemskich. Dla proletaryatu i niknących warstw średnich, małomieszczan i chłopstwa, oznacza ono wzrastającą niepewność ich egzystencji, nędzy, ucisku, niewoli, poniżenia i wyzysku“.

Nową tu tylko jest ta prawda, że panowie socjaliści i na chłopka spekulują, aby go wciągnąć do swej propagandy. To ich usiłowanie oddawna jest znanem, zresztą z ich punktu widzenia jest ono prawdziwie rozumne. Dotąd socjalna demokracja grała tylko rolę partii robotniczej, a tem samem w zbyt ciasne zawierała się granice; lecz aby tego ogromnego dzieła przewrotu przynajmniej z jakimkolwiek widokiem powodzenia dokonać, trzeba było liczebnie przeważające chłopstwo wciągnąć w zakres swych knowań. Będzie to ich dużo kosztowało pracy, bo chłop, będąc z natury upartym, jest czysto konserwatywny, i trzyma się tego, co było: wszelką nowość, choćby była najlepszą, podejrzewa i od niej się odwraca. Ale nasze czasy, z niedorzeczniemi swobodami liberalizmu, wtłoczyły i na stan chłopski ciężary nielada, które nietylko go cisną, lecz mało nie zaduszą. Wolność lichwy, to jest ten rak niszczący kredyt chłopski, bo wygórowane nad wszelką miarę odsetki, pożerają cały dochód, jaki ma z kawałka roli, i wysysają go dopóty, dopóki zupełnie nie wpadnie w lichwiarskie żydowskie szpony. Liberalne prawo spadku, ze swymi prawie nieskończonymi działami, przemienia go zwolna i stopniowo w nędzarza, nie mającego już nic do dzielenia z roli swej ojczystej. Wolność handlu mu pozostaje, w której dla pośredniczącego handlarza pracując, wydobywa ze swej pracy dla siebie tylko trud, nie zaś jakąś choćby najmniejszą korzyść. To okropne położenie, w jakim chłop się znajduje, napędza socjalistów nadzieją, że i chłopstwo dla siebie pozyskają. Przedstawiają się więc im jako oswobodziciele od nędzy. Albo — mówią — pójdziesz z nami, a wtedyś ocalony, albo trzymać się będziesz uparcie dawnego systemu i z nim razem upadniesz: taką to alternatywą usiłują chłopą pochwycić w swe sieci.

W trzecim punkcie rozwijają jeszcze smutniejszy obraz nędzy socjalnej, przedstawiając ją jako los wszystkich przemy-

słem żyjących narodów. Oto wyjątek: „Liczba proletaryuszów zwiększa się ustawicznie, armia zastępców nadliczbowych robotników z dniem każdym liczniejsza, coraz jaskrawsze przeciwstawienie między wyzyskiwanymi a wyzyskującymi, coraz zaciętsza walka między posiadaczami a proletaryuszami, rozdzielająca dzisiejszy ustrój społeczny na dwa wrogo przeciw sobie usposobione wojska: oto charakterystyczne cechy wszystkich przemysłem się zajmujących narodów“.

Ale zkąd to zaostrenie walki między warstwami społecznymi? Czy trzeba ją policzyć jedynie na karb wielkiego przemysłu, siły i przewagi kapitału? Motywa przytoczone nie nam wprawdzie nie mówią o ateistycznym materializmie, któremu zarówno we wszystko opływający kapitalista, jak i w ostatecznej nędzy pogrążony proletaryusz hołduje, a który socjalna demokracja przede wszystkim na swych sztandarach wypisuje, aby dzieło wzajemnego podszczuwania pomyślnym uwieńczyć skutkiem. Zaiste, jeżeli człowiek w istotnym celu swojego życia niczem się nie różni od zwierzęcia tarzającego się w błocie, jakżeż można od biednego, ciemieżonego, wśród mozolnej pracy o byt swój walczącego człowieka żądać, aby oplakany swój stan cierpliwie i z poddaniem znosił, i obojętnie patrzył, jak inni bez trosk i pracy, w jedwabie i purpurę przybrani, wykwinutne urządzają biesiady? Czyż ateizm lub materializm ma co na usprawiedliwienie tego, że jedni wśród nędzy i ubóstwa pchają taczki swego żywota, podczas gdy inni nadmiarem dóbr się prześcigają? Jeżeli prawda po stronie materializmu — to wtedy, wobec równości natury, niema wytłumaczenia, dlaczego dobra tej ziemi w przeważnej części raczej jednym niż drugim się należą; to wtedy raczej słusznem będzie żądanie, by te dobra na wszystkich równo rozdzielić; to wtedy usprawiedliwionem jest rozgoryczenie robotnika na widok tego, kto siły jego wysysa, by mógł z owoców jego pracy chlepieć się i szaleć, podczas gdy on z nędzy drętwieje i zamiera.

Któż kruszył kopie o zasady naturalizmu, któż darwinizm podniósł do rzędu dogmatów i starał się przystępnym uczynić dla „ciasnej“ głowy ludu, jeżeli nie liberalizm? Nasamprzód na

tej mądrości poznał się kapitalizm i na swoją wyzyskał ją korzyść; ale przyszła kolej na proletaryat, który równie dobrze zrozumiał te nauki, aby wyciągnąć z nich wszelką nienawiść do kapitału. Czem kto zgrzeszył, tem też karanym będzie!

Czwarty motyw prowadzi nas nad krawędzią tych przepaści, jakie się otwarły między nieposiadającymi a posiadającymi, które coraz więcej się pogłębiając, prowadzą do rozprzężenia i zupełnego rozbicia systemu społecznego — a temi skałami podwodnemi, o które stary system się roztrzaskuje, to własność prywatna środków produkcyjnych, których wielcy przedsiębiorcy nie są w stanie zużytkować do opanowania obecnego położenia.

„Przepaść między posiadającymi a nieposiadającymi pogłębia się jeszcze przez bankructwa, wynikające ze sposobu produkcji kapitalistów, które coraz to szersze obejmują koła i coraz większe szerzą zniszczenie, które społeczeństwu ogólną niepewność, jako stan normalny, nadają, i najlepszym są dowodem, że siły produkcyjne dzisiejszego społeczeństwa ponad głowę mu wyrosły, że własność prywatna środków produkcyjnych nie da się pogodzić z odpowiednim celowem ich zastosowaniem i pełnym ich rozwojem“.

W ostatnich słowach wypowiedziała socjalna demokracja swój zasadniczy dogmat. W języku zwykłych śmiertelników, jak to już wyżej wspomniano, oznacza to: maszyny i fabryki, które wytworzyły przewagę kapitału, również go zniszczą. Zastosowanie maszyn coraz szersze obejmuje koła, rozwój ich coraz to wspanialszy, tak że nie długo nie będzie już takiego prywatnego kapitału, któryby był w stanie ten rozwój opanować. Coraz się zmniejszać będzie liczba kapitalistów, którzy będą w stanie niezmiernie przedsiębiorstwa maszyn opłacać, a z przeciwnej strony coraz większą, straszniejszą i więcej rozgorączowaną będzie liczba wyssanych robotników, nad którymi również zapanować będzie trzeba; coraz trudniejszą będzie kontrola ogólno-światowego zbytu, ztąd hiperprodukcya coraz większa, troska o zbyt coraz niebezpieczniejsza, a tem samem coraz częstsze i groźniejsze bankructwa, przyprawiające o kolosalne straty.

Obecna kryzys produkcyjna, strejki, zastój pracy, bezcelowość produkcji — to wszystko charakterystyczne znaki, że dziś prywatny kapitał nie jest w stanie opanować produkcji, która mu już ponad głowę wyrasta (ulubiony to frazes socjalistów). Ciężar ztąd wynikający czuć się daje zarówno przedsiębiorcy jak i robotnikowi, tak jednemu jak i drugiemu coraz się nieznosniejszym staje. Czas więc po temu, aby kapitał prywatny z własnością swą, tj. środkami produkcyjnymi, usunął się z widowni, ustępując miejsca innemu właścicielowi, który jest w stanie jego dalszy wzrost i rozwój opanować. Tym nowym właścicielem jest w pierwszym rzędzie sama warstwa robotnicza, która potem cały ustrój społeczny wciągnie w swój demokratyczny porządek. Gdyby przedsiębiorcy, kapitał posiadający, mieli rozum, podaliby robotnikom rękę do pokojowej przemiany stosunków; jeżeli jednak nie zechcą zstąpić ze swych wyżyn, wtedy z nich zepchniętymi zostaną przemocą, która socjalistyczną wprowadzi organizację.

Do tego pierwszego artykułu socjalistycznej wiary przylączy się drugi: własność prywatna środków produkcyjnych, będąca w ręku kapitalistów, stała się środkiem okradania i wywłaszczania klasy robotniczej, a niesprawiedliwego, bo cudzą pracę wzbogacania kapitalistów. Ztąd wysnuwa się kardynalne prawo socjalizmu: Wywłaszczycieli wywłaszczyć, a wywłaszczonym oddać wszelkie środki produkcji.

Oto treść piątej pobudki: „Prywatna własność środków produkcyjnych, która niegdyś była środkiem zabezpieczenia producentowi własności jego produktów, stała się dzisiaj środkiem do wywłaszczania chłopów, rzemieślników i mniejszych przedsiębiorców, a oddawania produktu robotników w ręce klasy niepracującej, tj. kapitalistów i wielkich posiadaczy ziemskich. Jedynie przemiana prywatnej własności środków produkcyjnych, jakimi są: rola, kopalnie, surowiec, narzędzia, maszyny, środki komunikacyjne, na własność społeczną, i przemiana produkcji towarów na produkcję socjalistyczną, uprawianą przez społeczeństwo i dla społeczeństwa — może sprawić, że wielki przemysł i coraz wzmagająca się produktywność pracy społecznej, dotąd źródło nędzy i uciemiężeń klas wyzyskiwanych, stanie się źród-

dłem największego dobrobytu i wszechstronnego, harmonijnego udoskonalenia“.

Pierwsza część tego zdania w takim brzmieniu jest oczywiście znowu obliczona na podjudzenie. Człowiek biedny ma nareszcie poznać w kapitaliście swego odwiecznego wroga, który własność, jemu przynależną, sobie przywłaszczał, i przez to doszedł do majątku. W jaki sposób przyszło to przywłaszczenie cudzej własności do skutku? Wyjaśnia nam to nauka socjalna. Do właściciela fabryki należą wszystkie maszyny — są one jego prywatną własnością. Niemi pracuje nie on sam, lecz cały tłum robotników. A jakże wynagradza się robotnika za jego pracę: czy wedle rzeczywistej wartości jego pracy, wedle ceny, jaką osiąga towar przez niego wyprodukowany? Bynajmniej. Płaca jego zawsze stoi znacznie popod wartością jego pracy, popod ceną osiąganą na targu za jego pracę. Zwyżkę bierze właściciel fabryki do kieszeni; ta zwyżka jest rzeczywistą własnością robotnika, którą mu zabiera właściciel fabryki i maszyn, bezprawnie ją sobie przywłaszczając.

Rachunek, którym Marx powyższe zdanie udowadnia, ma ten mniej więcej sens: Wartość pożywienia, które robotnik codziennie zazwyczaj zużywa, jest równoważnikiem jego pracy, właściwą realną jej wartością (*real value*), którą mu się także jako zarobek wypłaca. By sobie zarobić na to konieczne pożywienie, wystarczyłaby praca sześciogodzinna, a robotnik pracuje dłużej, dziesięć do dwunastu godzin, i więcej jeszcze; za to jednak żadnej nie odbiera zapłaty, ta praca nie ma dla niego żadnej wartości; lecz przewyżkę tę przywłaszcza sobie pracodawca bez żadnego wynagrodzenia. — To jest ta zwyżka, która rośnie w miarę godzin pracy, ilości robotników, niskości dziennej płacy a wysokości ceny, zyskanej za towar na targu. Z tej przywłaszczanej bezprawnie zwyżki rośnie majątek pracodawcy, który mu nietylko umożliwia używanie zbytku w całej pełni, ale nadto nabywanie coraz większych fabryk, narzędzi i maszyn. Prawnie zatem, i środki produkcyjne są dobrami, które się zabiera robotnikowi.

By nieustannej tej kradzieży położyć tamę, niema, według

zapatrywania socjalistycznego, innego sposobu, jak: 1) wszystkie te środki produkcyjne: rolę, kopalnie, surowiec, maszyny, koleje żelazne i t. d., które dotąd były własnością prywatną kapitalisty, przemienić na własność społeczną; uzurpatorów zaś należy wywłaszczyć; 2) pracę potrzebną do produkcji towarów, która spoczywała w ręku wielkiego przemysłowca, oddać w ręce społeczeństwa i społecznie prowadzić; a zatem i 3) zysku z pracy osiągniętego używać w całej pełni.

Jak sobie mamy wystawić podział tego zysku, o tem program milczy. Ale prawdopodobnie się nie pomylimy, przedstawiając go wedle Marxa w ten sposób: Część służy nadal jako środek produkcyjny, t. zn. do nabywania i utrzymywania maszyn i t. d.; drugą rozdziela się między robotników, na zaspokojenie potrzeb życia. Miarę tego podziału stanowi czas pracy. Udział w produkcji pracy w ten sposób zyskany i przeznaczony na opędzenie potrzeb życia, staje się prywatną własnością robotnika. Placy więc w państwie socjalistycznym nie byłoby wcale. Społeczeństwo zgromadza produkta w swych magazynach i w miarę potrzeby każdemu rozmaitych dostarcza artykułów; tem samem ustalby wszelki handel, który według niego jest tylko oszukiństwem¹. Oto wyzwolenie proletaryatu nieposiadającego, oto źródło wszelkiego dobrobytu.

W następnym, szóstym punkcie, otrzymujemy zapewnienie, że cały rodzaj ludzki weźmie w tem szczęściu udział. „To społeczne przeistoczenie oznacza nietylko wyzwolenie proletaryatu, lecz i całego rodzaju ludzkiego, któremu się dzisiejsze stosunki dają we znaki. Ale może ono tylko być dziełem klas robotniczych, ponieważ wszystkie inne klasy, mimo sprzeczności interesów własnych, stoją na gruncie prywatnej własności środków produkcyjnych, i w zachowaniu podstaw dzisiejszego społeczeństwa wspólny swój cel upatrują“. Tu dowiadujemy się także, kto jest powołany do wywalczenia tej swobody. Bez walki bowiem z pewnością się nie obejdzie, gdyż właściciele prawdopodobnie nie

¹ Marx, *Kapitał*, wyd. 2, str. 56. — Schäffle, *Die Quintessenz des Socialismus*. — Bebel, *Unsere Ziele*.

wyrzekną się dobrowolnie swej własności. Stanąć do boju za tę swobodę mogą tylko robotnicy, proletaryat nieposiadający. Oni jedynie w tej walce nie mają do stracenia, zyskać tylko mogą, podczas gdy wszystkie inne klasy obawiać się muszą straty, dlatego że wszystkie uznają zasadę własności prywatnej, a ztąd muszą koniecznie stanąć w obronie zasad obecnego porządku społecznego, który własność prywatną sankcyonuje, bierze w opiekę i obronę.

Cztery następne punkta podają zarys zadania, jakie w tej walce przypadnie w udziale klasie roboczej:

„Walka klasy roboczej przeciwko wyzyskiwaniom ze strony kapitalistów jest z natury rzeczy walką polityczną. Klasa robocza nie może bez praw politycznych prowadzić swych walk ekonomicznych ani rozwijać swej ekonomicznej organizacyi. Nie może przeprowadzić przeistoczenia środków produkcyjnych na własność ogółu, nie dostawszy w swe ręce władzy politycznej.

„Zadanie socyalno-demokratycznej partyi polega na tem, by ta walka klasy roboczej podjęta była świadomie i zgodnie, i ze znajomością celu, leżącego w naturze rzeczy.

„Interesa klasy roboczej są we wszystkich państwach, gdzie produkcyja spoczywa w rękach kapitalistów, jedne i te same. Z rozszerzeniem stosunków międzynarodowych i przeniesieniem produkcyi na targ międzynarodowy, staje się położenie robotników jednego kraju coraz więcej zależnem od położenia robotników w innych krajach. Wyzwobodzenie klasy robotniczej jest przeto dziełem, przy którym robotnicy wszystkich krajów cywilizowanych w równej mierze są interesowanymi. W tem przekonaniu czuje i wyznaje się partya socyalno-demokratyczna Niemiec solidarnie złączona z robotnikami świadomymi swego stanu wszystkich innych krajów.

„Partya socyalno-demokratyczna Niemiec nie walczy zatem o nowe przywileje i prawa klasowe, lecz o zniesienie klas i ich przewagi, i o równe prawa i równe obowiązki wszystkich, bez różnicy płci i pochodzenia. Wychodząc z tych zapatrywań, zwalcza ona w dzisiejszem społeczeństwie nietylko wyzyskiwanie i uciemiężanie robotników, lecz wyzyskiwanie i uciemiężanie ka-

żdego rodzaju: czy ono jest zwrócone przeciw klasie jakiegokolwiek, czy partyi, czy płci lub rasie — t. zn. krótko mówiąc:

1) walka będzie walką polityczną, o polityczne prawa i polityczną władzę, ponieważ inaczej cel partyi leżący w naturze rzeczy, nie może być osiągnięty;

2) walka musi pod wodzą socjalistów stać się jednozgodną i celu swego świadomą;

3) ponieważ wszystkie kraje cywilizowane dzielą tę nędzę robotników, walka musi być międzynarodową;

4) celem walki jest zniesienie wszystkich przywilejów klasowych i zaprowadzenie równych praw i równych obowiązków dla wszystkich, bez różnicy płci i pochodzenia“.

A więc i zgubna idea emancypacyi kobiet znalazła miejsce w programie! I w tem postęp: poznano się na zdolności agitacyjnej kobiet i postanowiono z niej skorzystać dla celów partyjnych. Ten zapal dla równouprawnienia kobiet jest nowszej daty. Dopiero na kongresie paryskim zwolennikom Marxa udało się, za staraniem Bebla powziąć następującą uchwałę: Jest obowiązkiem wszystkich robotników, uważać robotnice jako równouprawnione towarzyszkii boju, i postarać się o uznanie zasady: równa płaca za równą pracę, także i ze względu na robotnice. Równocześnie także obradował w Paryżu kongres posybilistów, który się na tę samą zdobył uchwałę, chociaż wielu delegowanych przemawiało za powołaniem kobiety do działania w kole rodzinnem i zupełnie ją chciało wykluczyć od zarabkowania. Na kongresie paryskim był żywiol niewieści słabo jeszcze reprezentowany; natomiast na międzynarodowym kongresie socjalistów w Brukseli, podniosła się liczba delegatek do dziesięciu. I tu wznowiono uchwałę paryską. Niemieccy socjalni demokraci nie mogli przeto uchylać się od kongresu swej partyi. Ale i kobiety nie chcą się również uchylać; rola, jaka im przypada w udziale na zebraniach socjalistycznych, zbyt jest nęcąca. Ze wzrostem liczby kobiet zajętych w licznych gałęziach wielkiego przemysłu, rośnie też zapal, by je według normy fabrycznej pracy organizować i wciągać w ruch socjalistyczny. Szczę-

sna myśl socjalizmu, która musi jego propagandzie obfite przynieść owoce.

Druga część programu odsłania nam podstawy przyszłego porządku społecznego, wynikające z podanych zapatrywań socjalistycznych; mają one częścią polityczne, częścią ekonomiczne znaczenie. Polityczne opierają się na tej zasadzie, że państwo przyszłości może być zbudowane jedynie na podstawie demokratycznej. Lud roboczy musi otrzymać wszelką władzę polityczną, nie tylko by dawny porządek społeczny usunąć i zbudować nowy, lecz nadto, by tenże ustawicznie utrzymywać. Ekonomiczne wychodzą z następującego założenia: w nowym porządku społecznym praca jest korporacyjną — całe społeczeństwo w niej bierze udział; przeto i zyski tej pracy korporacyjnej muszą pokrywać potrzeby każdego członka społeczeństwa w szczególności. Brzmiały one jak następuje:

„Wychodząc z tych zasad, żąda partya socjalno-demokratyczna Niemiec przedewszystkiem:

1. Ogólnego, równego bezpośredniego prawa wyboru i głosu przy tajnem głosowaniu dla wszystkich obywateli państwowych ponad lat 20, bez różnicy płci, we wszystkich wyborach i głosowaniach. Systemu wyborczego proporcjonalnego; a aż do zaprowadzenia tegoż, prawnego podziału okręgów wyborczych, ponawianego po każdym obliczeniu ludności. Dwuletnich okresów prawodawczych. Zarządzenia wyborów i głosowań w dniu spoczynku, prawnie określonym. Odszkodowania dla wybranych przedstawicieli. Zniesienia wszelkiego ograniczenia praw politycznych, prócz w razie odjęcia pełnoletności.

2. Bezpośredniego prawodawstwa ludu, zapomocą prawa stawiania i odrzucania wniosków. Niezawisłości i samorządu ludu w obrębie rzeszy, prowincyi i gmin. Wyboru urzędników przez lud i odpowiedzialność tychże. Corocznego normowania podatków.

3. Wychowania, zmierzającego do zaprowadzenia powszechnej obrony krajowej! Milicyi ludowej w miejsce wojsk stałych. Stanowienia o pokoju i wojnie przez przedstawicieli ludu. Rozstrzygania wszelkich sporów międzynarodowych zapomocą sądów rozjemczych.

4. Uchylenia wszystkich ustaw, ograniczających lub zakazujących wolne głoszenie swego zdania i prawo zebrań i stowarzyszeń.

5. Uchylenia wszystkich ustaw, które w publicznym i prywatnym zakresie ograniczają prawa kobiety.

6. Ogłoszenia religii za sprawę prywatną; uchylenia wszelkich wydatków ze skarbu publicznego na cele kościelne i religijne. Gminy kościelne i religijne należy uważać jako stowarzyszenia prywatne, załatwiające swoje sprawy zupełnie samodzielnie.

7. Bezwyznaniowej szkoły. Obowiązkowego uczęszczania do publicznych szkół ludowych. Bezpłatnego udzielania nauki, środków naukowych, i utrzymania w publicznych szkołach ludowych, również i w wyższych zakładach naukowych dla tych uczniów i uczennic, których na mocy ich zdolności uważać się będzie za sposobnych do dalszego kształcenia.

8. Bezpłatnego sądownictwa i rzecznictwa. Wyrokowania przez sędziów wybieranych przez lud. Apelacji w sprawach karnych. Odszkodowania niewinnie oskarżonych, uwięzionych i skazanych. Zniesienia kary śmierci.

9. Bezpłatnego udzielania pomocy lekarskiej, włącznie położnictwa i środków lekarskich. Bezpłatnego grzebania umarłych.

10. Stopniowo rosnącego podatku od dochodów i majątku na opędzenie wszystkich wydatków publicznych, o ile te przez podatki mają być pokrywane. Obowiązku osobistego oznaczania sumy szacunkowej. Podatku spadkowego, stopniowanego wedle wartości spadku i stopnia pokrewieństwa. Uchylenia wszystkich pośrednich podatków, ceł i innych zarządzeń ekonomicznych, które interesa ogółu upośledzają na korzyść interesów uprzywilejowanej mniejszości“.

Ponieważ znaczenie tych żądań nie wymaga objaśnienia, ograniczę się na kilku tylko uwagach, nad niektórymi ważniejszymi punktami.

Najprzód widzimy, że demokracja socjalna przyznaje prawu wyboru i głosowania bardzo rozległe znaczenie; nie tylko płeć niewieściej je przyznaje, ale i młodzieży od 20 roku poczynawszy.

Ze swego punktu widzenia ma ona słuszość. W młodzieży znajdzie najliczniejszy zastęp bardzo nieraz czynnych i zapalonych głów; wobec gorących uczuć, jakimi się rządzi, i wobec braku dojrzałego rozumu, roztropnej znajomości stosunków politycznych i wytrawnego sądu, czuła jest na wszelkie hasło, jak płomień na jej wyobraźnię działające; a że demokracja socjalna rozporządza takimi hasłami, przemawiającemi nie do rozumu, lecz do wyobraźni i niepohamowanych namiętności, to jest rzeczą wiadomą. Potrzeba tylko czytać lub słyszeć młodzieńczych mowców socjalistycznych, aby się przekonać, ile nierozumu i roznamiętnienia głośzą pod górnobrzmiącymi frazesami i jak frenetyczne za to zbierają oklaski. Młodzież, to najodpowiedniejszy materyał na prawdziwych, w całym tego słowa znaczeniu, socjalnych demokratów.

Uznanie religii jako „sprawy prywatnej“ zasługuje także na uwagę. Zawiera ono w sobie najzupełniejszą hipokryzyę, obliczoną na ludność wiejską katolickich okolic i te klasy robotnicze, które jeszcze stoją przy religii i Kościele. By zrozumieć prawdziwe znaczenie tych słów, wystarczy przypomnieć sobie wyraźne zeznania znaczących przywódców. P. Liebknecht odezwał się na zebraniu socjalistów w Halli zaprzeszłego roku: „Religii tylko w ten sposób możemy się dać we znaki, jeżeli każdemu, jako jednostce, pozostawimy jego religię, dając mu za to naukę; musimy wyprowadzić do walki szkołę przeciwko Kościołowi, nauczyciela przeciwko księdzu (*Pfaff*)“. Gdy przeto Liebknecht dodaje: „Rozsądnieszego i praktyczniejszego zdania wśród wszystkich naszych praktycznych wymagań nie mamy“ — znaczy to tyle tylko: w interesie propagandy nie należy obrażać uczuć religijnych; „gdy państwo raz już będzie w naszym ręku, to wtedy jakoś już sobie z religią damy radę“. „W epoce, kiedy socjalna demokracja będzie u steru, religia katolicka będzie tylko baśnią przeszłości“ (Liebknecht w swej mowie poświęconej pamięci Karola Marxa). Kiedy w Erfurcie chciano skreślić z programu uznanie religii za rzecz prywatną, p. v. Vollmar sprzeciwił się temu, twierdząc, że utrzymanie tego żądania jest logiczne i w celu agitacyi konieczne, a nawet

twierdził, że należy domagać się wolności Kościoła od wszystkich świeckich panujących; lud katolicki pragnie tej wolności, która znowu z drugiej strony podaje agitacyi socjalistycznej najlepsze punkta zaczepne. Dlatego zdania tego w Erfurcie nie skreślono, licząc na ograniczoność i słabą pamięć katolickich kół robotniczych. Czyżby to obliczenie ich miało się okazać słusznem, mimo, że tak otwarcie i tak namiętnie występują przeciw religii i Kościołowi? *Volksstaat* pisał już w r. 1874: „Chrześcijaństwo i socyalizm stoją do siebie w tym stosunku, co ogień i woda“. W Norymberdze odezwał się pewien robotnik (Schikkert) na zgromadzeniu socyalistów: „W pierwszej linii musimy się księży pozbyć, którzy lud ogłupiają; nawet stryczka nie są warci. Jak Afrykanie, wyostrzyśmy wielkie noże i golić będziemy bez mydła i wody“. Na międzynarodowym kongresie w Gandawie (1890) powiedział jeden z mowców wśród grzmiących oklasków: „Rozkoszować się będziemy w ostatnich harkaniach księży. W rynsztokach ulicznych leżąc, umierać będą z głodu, powoli, strasznie, w naszych oczach. To będzie naszą zemstą. A za to błogie uczucie zemsty, przy butelce wina chętnie odstawimy naszego miejsca w niebie“. Wobec takich bluźnierstw, tak często i tak głośno miotanych, liczenie na dobroduszną ograniczoność katolickich robotników, jest świadectwem, już nie głupoty, ale — bezmiernej beczelności.

Wreszcie jeszcze słowo o podatkach. Wysłannicy socyalnej demokracji, roznosząc od wsi do wsi, od miasta do miasta swoje idee, ogłaszają prostaczkom, że w państwie przyszłości już żadnych nie będzie podatków. Oddziaływa to rzeczywiście najkorzystniej na chłopa, który za każdą razą z niemałym kłopotem i trwogą przygląda się taksie podatkowej. Program zaś wyprowadza ich z tego błędu. I w państwie przyszłości bez podatków się nie obejdzie. Przecież i teraz widzimy, że robotnicy, wyznający naukę socyalnej demokracji, muszą opłacać podróżujących swych mowców i agitatorów. Dlatego nie dziwnego, że i w przyszłości bez pewnych nie obejdzie się podatków. Pośrednie jednak podatki będą zniesione.

Mówią także o podatku spadkowym: a więc jest jeszcze spa-

dek, lecz naturalnie „tę tylko własność przekazujący, do której posiadania pracą się doszło“. Spadkobierca, któremu w udziale taki spadek się dostaje, staje się ostatecznie także posiadaczem własności, której własnej swej pracy nie zawdzięcza. Co za wyłom w systemie! Czyż nie wynika ztąd możliwość dojścia z czasem bez pracy do posiadania kapitału, przynajmniej u potomków pilnych rodziców?

Do tych postulatów, które socjalna demokracja stawia co do swojego państwa przyszłości, dołączają się jeszcze (w trzeciej części programu) prowizoryczne postulata, które spełnić ma obecna władza państwowa wobec robotników, dopóki ją jeszcze społeczeństwo posiada.

W celu obrony klasy robotniczej, żąda socjalno-demokratyczna partya Niemiec:

1. Skutecznego narodowego i międzynarodowego prawodawstwa obrony robotników, opierającego się na następujących podstawach:

a) oznaczenie ośmiogodzinnej pracy za normalną pracę dzienną;

b) zakaz pracy zarobkowej dla dzieci niżej lat 14;

c) zakaz pracy nocnej, z wyjątkiem tych gałęzi przemysłu, które dla względów technicznych albo ze względu na dobro ogólne nocnej pracy się domagają;

d) nieprzerwany czas wypoczynku, wynoszący najmniej 36 godzin co tydzień dla każdego robotnika;

e) zniesienie systemu pracy akordowej (*Trucksystem*).

2. Dozoru nad wszystkimi działami przemysłu. Badania i normowania stosunków robotniczych po miastach i wsiach przez państwowy urząd nad robotą czuwający, urzędy okręgowe i izby robotnicze. Czuwania nad ogólnym stanem zdrowia we wszystkich gałęziach przemysłu.

3. Równouprawnienia robotnika rolnego i sługi z robotnikiem fabrycznym. Uchylenia ustawy służbowej.

4. Zabezpieczenia prawa znowy.

5. Przejęcia na rzecz państwa wszelkich działów ubezpie-

czenia robotników, z przypuszczeniem robotników do decydującego udziału w zarządzie.

Zaiste, niektóre z tych postulatów są rzeczywiście rozumne; te jednak nie wyszły z łona socjalizmu. Już bowiem przedtem z innej strony na korzyść robotników je postawiono. A czy to, co jest czysto socjalistycznym, może uchodzić za równie rozsądne? Brak przejrzystości i tu widoczny. Tak np., czy ośmiodzinnego dnia roboczego żąda się dla wszystkich działów robotniczych bez różnicy? Czy więc także i dla robotników rolnych? Równouprawnienie robotników rolnych i sług z robotnikiem przemysłowym, jest zbyt elastycznym wyrażeniem. UchYLENIE ustawy służbowej nie wiadomo także, do czego prowadzi i czem ma być zastąpione. Obszerniej pomówimy o tem w następującym artykule, w którym system socjalistyczny nieco krytyce poddamy, czy też w rzeczywistości jest on takim wykwitem wiedzy, za jaki go socjaliści mają.

Streśmmy to, cośmy dotychczas powiedzieli: Dzisiejsza kwestya socjalna jest *par excellence* kwestyą robotniczą. Ta ostatnia jest rdzeniem, rzekłbym jądrem kryształu, około którego się grupuje wielka ilość rozmaitych kwestyj, znacznej doniosłości dla całego społeczeństwa, którego najwyższe równie jak i najniższe warstwy obchodzi: tak koła kapitalistów, jak i koła robotnicze, jak niemniej i pośrednie między nimi umieszczone warstwy. Głównym powodem, który wywołał kwestyę robotniczą, uderzeniem, które wprawiło ten kamień w ruch, jest dzisiejszy sposób produkcji przez maszyny i fabryki. Ale nie brak też innych przyczyn, około pierwszej się grupujących, a praktycznie może więcej jeszcze wnioskujących w istotę rzeczy. Gdyby najskrajniejszy materjalizm, z zupełnem odstępstwem od Boga, religii i Kościoła, wraz z przewrotnym liberalizmem, nie był się przyłączył do nowego sposobu produkcji, nie byłby on spowodował tak olbrzymiego zniszczenia porządku moralnego i ekonomicznego w społeczeństwie; wraz z rozwojem pracy maszynowej, byłby także powstał i rozwinał się czynnik, normujący obronę robotnika i biorący w karby kapitał. To jednak, co się stało, odstać się nie może;

lecz środka zaradczego szukać trzeba, a mianowicie nowego ustroju zmienionych przez produkcję stosunków, któryby praw żadnej warstwy ludzkiego społeczeństwa nie naruszał, i tak robotnika, jak właściciela dopuszczał do słusznego udziału w tym prawdziwym społecznym dobrobycie, który jest celem ludzkiego społeczeństwa na ziemi — o ile to wogóle da się uskuteczyć drogą ustaw ekonomicznych.

Czy rzeczywiście taki środek zaradczy podaje nam socjalna demokracja? Jej środek, jestto radykalny przewrót całego dotychczasowego systemu społecznego, tj. wywłaszczenie właściciela, zniesienie własności, o ile ta nie polega na własnej pracy; a na gruzach starego, stworzenie nowego społecznego porządku, bez Boga i religii, na socjalno-demokratycznej podstawie, w którym społeczeństwo samo będzie właścicielem wszystkich środków produkcyjnych, odmierzającym pracę poszczególnym członkom i rozdzielającym im również zyski z pracy. Jednem słowem da się ten środek tak określić: rewolucja doszczętna, kończąca się światową republiką socjalną, w której nie będzie żadnych ustaw i obowiązków, żadnych praw i wogóle żadnej prawdy, czerpiącej z góry swój początek, w której raczej wszystkie religijne, etyczne, filozoficzne i jakiekolwiekby inne pojęcia niczem nie będą innem, jak tylko odzwierciedleniem materyalnych stosunków, tj. gdzie nie prawo i obowiązek normuje stosunki materyalne, lecz przeciwnie, gdzie pojęcia prawa i obowiązku z materyalnego wynikają systemu — a więc też żadnej absolutnej nie posiadają wartości i żadnej trwałości¹. Czy jest to rozwiązaniem, a rozwiązaniem dostatecznem kwestyi socyalnej?!

(C. d. n.).

Ks. Antoni Langer.

¹ Engels-Dühring, str. 10.

LISTY Z PODRÓŻY PO AZYI.

(Ciąg dalszy).

Penang, 29 grudnia.

Columbo opuściliśmy przy wcale jeszcze pięknym czasie; księżyc, choć nieco zamglony, z lisią czapką, jednak świecił — a musiał się istotnie natężyć, by nie być przyćmionym przez gwiazdy, zwłaszcza Wenus, która doprawdy jak lampa świeci. Rano już obudziliśmy się w brzydki czas, a co miało dopiero nastąpić? Przez całe 24 godzin, słońca nie widzieliśmy wcale; co chwila lał deszcz, przy bardzo silnym wicherze północno-wschodnim. Do niemożliwej atmosfery dołączyło się w nocy ogólne chorowanie na statku. Doktor nasz, jakiś pocziwy południowy Tyrolczyk, twierdzi, że ta ogólna niestrawność nietylko postnemu jadłu (w wigilię) musi być przypisaną, ile oziębieniu się temperatury — a było jednak 26 stopni Celzyusza. Ja specjalnie byłem tą razą na seryo przekonany, że mam cholere, i że przyjdzie pożegnać się z tym pięknym, bożym światem. W jaki sposób spędziliśmy tę fatalną noc, to nie da się w liście opisać. Dopiero nad ranem, trzęsąc się od dreszczów pod dwoma kołdrami, zasnąłem. Nie daj Boże, by coś podobnego miało wrócić jeszcze kiedyś.

Wreszcie przybijamy do Penang. Jestto dziś drugi z rzędu port półwyspu Malajskiego, a specjalniej t. zw. *Streets settlements*, czyli angielskich osad cieśninowych, pod czem się rozumieją

głównie trzy miasta portowe: Penang najbardziej ku północy, Malaka w środkowej części, i Singapore na południowej krańcźnie półwyspu Malajskiego. Zresztą jest ten półwysep do dziś niepodległym, wewnątrz jego wcale prawie nieznanego, a nawet rzadko zamieszkałego. Siedzą tu Malajczycy, rasa zbliżona raczej do semickich. Lud to ciemno-oliwkowo-brązowy, dziki, zły, leniwy. Półwysep cały zalesiony, niedostępny, bo tu febrы i inne jej koleżanki samowładnie panują. Pierwszą posiadłością i osadą angielską była Malaka. Zwolna zaś powstało na wysepce niewielkiej, u nasady półwyspu od strony zachodniej, portowe miasto Penang, a wyprzedziwszy i zgniótlszy pomału Malakę, dziś samo zostało wyprzedzone przez Singapore, trzecią i ostatnią z tych osad angielskich. Penang, to pierwsza na naszej drodze ku Wschodowi placówka chińska; powiedzmy dokładniej: to już dziś prawie wyłącznie chińskie miasto. Zajeżdżając do portu, odrazu uderza zmieniony charakter owych licznych czółenek, które jak muchy każdy przybywający statek obsiadają. Wprawdzie sternik i tragarz i t. zw. *coolie* (nazwa generyczna, od Indyj począwszy we wszystkich językach przyjęta), i furman lichego fiakra, który tu na gościa wyczekuje, i robotnicy pracujący w kamieniołomach: wszystko to Hindowie, z południa półwyspu Indyjskiego, importowani jak na Cejlon; ale w barkach, podpływających pod statek, widzisz poważnie z parasolem siedzących kupców Chińczyków, w powozach jeżdżą Chińczycy, na pocztach i telegrafach urzędnik Chińczyk, w sklepie Chińczyk, w pałacach, pałacach i willach — wszędzie już z bogaceni i bogacący się Chińczycy. Tutaj już obok nielicznych Europejczyków, zagarnęli handel i rzemiosła Chińczycy. Wyznaję, że z ciekawością i pewnym strachem przypatruję się tej rasie — boć ich narodem nazwać trudno — i stawiam sobie pytanie, czy się spełni prośba Hübnera i wielu innych, że oni to są przyszłymi władcami świata. Obok Hindusów, a nawet Malajczyków, Chińczycy ci na herkulesów patrzą. Tu wyłącznie immigrują Chińczycy czystej krwi, tj. mieszkańcy środkowych a głównie południowych prowincyj cesarstwa Niebieskiego. Kolor ich ciała niekoniecznie odpowiada utartej nazwie „ludzi żółtych“; często jest prawie

biały, zwłaszcza u bogatszych, zresztą silnie opalony, z zakrojem oliwkowo-żółtawo-cynamonowym. Twarze brzydkie, choć nie takie karykaturalne, jak je sobie zwykle wyobrażamy. To co się widywało z Chińczyków w Europie, zupełnie zdaniem mojem nie daje wyobrażenia o ogóle. Co dotąd widziałem i widzę (mamy ich około 80-ciu na statku, robotników wracających już z zarobkowania kilkoletniego do ojczyzny), to typ rosły, barczysty, twarz podługowata raczej niż okrągła, oczy wprawdzie chińskim sztychem wycięte, nosy proste, dość długie i wyraziste, w profilu niebrzydkie, z przodu trochę rozplaszczone i perkate, włosy krucze, pleć niebrzydka, budowa często atletyczna. Bogaty Chińczyk, przyznając, że bardzo brzydki i niesympatyczny, bo tłusty, twarz zwykle obrzękła, oczy sadłem zalane, o brzydkim, zwierzęcym wyrazie.

Choć co prawda trudno bardzo ogólnikowo o Chińczykach mówić, boć ich jest 400 milionów — wieleż w tem typów i odieni być musi? Między tymi niewieloma, których widzę, wieleż już różnorodnych typów? Spoglądają na Europejczyka śmiało, jeżeli nie bezczelnie i hardo; tu już ustały owe spojrzenia lękliwe, choć często skrycie nienawistne, ale zawsze pokorne, Egipcyan, Hindusów lub Singalejczyków — przypominające tak często spojrzenie sarny lub gazeli. Tutaj też zdaje mi się można na czas pewien pożegnać się z tem, co prawdziwie, według naszych pojęć, malownicze, klasyczne w liniach i układzie. Chińczyk nie ma ani w sobie, ani w otoczeniu nic malowniczego. Jego dom bogaty na zewnątrz, pełen tajemniczości, ale nie malowniczy — każdy dom wygląda na sklep, każdy sklep na dom prywatny. Grupa Hindusów lub Singalejczyków, kapłanów Buddy w żółtych togach, lub brahminów, a choćby fellachów, czy oni śpią, czy jedzą, czy rozmawiają lub marzą, ma zawsze w sobie coś poetycznego, będzie zawsze w liniach i układzie szlachetnie piękna. Tego o grupie ani Malajczyków, ani Chińczyków powiedzieć nie można; nawet Chińczyk, drzemający na pokładzie, rozwalony na swojej rogóżce, nie umie być malowniczym — a proszę sobie przypomnieć owych Somalisów, co z nami jechali, w białych greckich togach: istne hebanowe adonisy! Tamto

rasa wielkich panów, choć nagich — to rasa dorobkiewiczów. Pieniądz, za którym się przez generacye goni, wybija swe piętno nie tylko na duszy, bardziej może jeszcze na ciele. A do jakiego stopnia u Chińczyka żądza pieniędzy dominuje, jak zasadniczym czynnikiem w jego życiu jest chciwość, służy mi za dowód, że od wyjazdu z Penang wszyscy na zabój grają. Kucharz chiński — którego każda kompania nawigacyjna utrzymuje osobno dla jadących każdorazowo Chińczyków, i który tem samem jest przewodyrem między nimi — kucharz ten otworzył natychmiast rodzaj rulety na pokładzie. Dzień cały i część nocy ruleta obłożona. Stawki sięgają do 25 dolarów (50 złr. w. a.). Często podobno się zdarza, że taki *coolī*, przez kilkoletnią pracę uciulawszy jakiś kapitałik, który wiezie do domu, by tam z żoną i dziećmi żyć w spokoju, zostawi w rulecie okrętowej owoc długiej i ciężkiej pracy, i ledwie dotarłszy do brzegów ojczyzny, a często i przedtem, zawracać musi i nanowo tułaczę rozpoczynać życie, by coś na stare lata zarobić. Mówią mi, że jeden z nich, zgrawszy się tak na statku, odebrał sobie życie. W to nie bardzo wierzę, boć wiadomo, jak Chińczyk dba o życie, a jeszcze bardziej dba o to, by złożyć głowę do wiecznego spoczynku na ziemi rodzinnej.

O jednej, wyobraźnię nowoprzybyłego uderzającej okoliczności, zapomniałem wspomnąć. Już przed przyjazdem do Penang zjawily się na statku karabiny, czyszczono je, przeglądano; potem część między załogę rozdano, część umieszczono w osobnych na ten cel przeznaczonych półkach w sali głównej I. klasy; u wejścia do t. zw. *entrepont*, tj. IV. klasy, którą Chińczycy podróżują, postawiono straż, dzień i noc zmieniającą się. Nieco strwożeni, pytamy co to znaczy; w odpowiedzi, opowiadać nam poczęto liczne wypadki buntu cooliów chińskich, którzy wyrznuwszy załogę europejską, zabierali okręt.

Na statku, z Penang do Singapore, 30 grudnia.

Jutro, najdalej w południe, staniemy w Singapore — jeżeli maszyna nie pęknie — o co jest wielka obawa, bo maszyna stara.

Dziś na zakończenie roku misjonarze Jezuici, którzy w Penang wsiedli na nasz okręt, urządzili nam piękne nabożeństwo. Po spowiedziach, bardzo rano rozpoczętych, odprawił Mszę św. ks. Superyor, staruszek, który w młodości spędziwszy blisko lat 25 w południowej Australii, powraca teraz, by w Palmerstown wylądować i ztąd do blisko położonej misyi Jezuitów austriackich się udać. Byłem na tem nabożeństwie razem z Chińczykami i Malajczykami, alumnami Jezuitów. Nie ciekawszego. Są to ukończeni teologowie, przyszli Jezuici, którzy wracają z Penang do swoich dyecezyj, by tamże być przez swoich biskupów wyświęconymi na księży. Alumni Chińczycy i to Jezuici, noszą tak zupełnie, jak ogół Chińczyków, długie suknie krojem chińskim, o szerokich pantalonach i rękawach, i warkocz prawie ziemi sięgający. Jestto regułą przez św. Ignacego postanowioną u Jezuitów, żeby się nosili zupełnie według stroju, powszechnie w kraju gdzie mają działać, używanego; tak Jezuici w Bombaju i Indjach wogóle, noszą zupełnie krojem do Hindów podobne białe talary, brody i wąsy zawiesiste; w Chinach zaś warkocze. W Penang, gdzieśmy wczoraj spędzili większą część dnia, jest wielkie seminaryum, do którego zjeżdżają z Chin, Japonii, półwyspu Malajskiego, Indyj Holenderskich i północno-zachodniej Australii, młodzi ludzie, chcący się stanowi duchownemu poświęcić. Tu odbywają studia, poczem wracają do swych dyecezyj.

Nader ciekawe szczegóły podał mi zacny Ojciec, którego poznałem, o organizacyi zakładów niemieckich Jezuitów w Bombaju. Mają oni już w samym Bombaju i okolicy cztery wielkie kolegia, teraz piąte budują. Są to szkoły normalne i rodzaj gimnazyów, dochodzących tylko do piątej klasy. W kolegiach tych mają dziś około 1400 uczniów, z tych 800 katolików, reszta mahometanie, żydzi, Hindusowie. Co najoryginalniejsze, że rząd bardzo chętnem okiem patrzy na te zakłady Jezuitów. Nowo-budujące się kolegium stanie w połowie na koszt rządu. Więc Jezuici idą ręką w rękę z rządem anglikańskim — a raczej *vice-versa*. Po ukończeniu takiego liceum jezuickiego, musi się każdy z młodych ludzi poddać egzaminowi; w skład komisji egzami-

nacyjnej wchodzi co najmniej czterech Jezuitów i kilku komisarzy rządowych. Po zdaniu egzaminu, otrzymuje kandydat certyfikat, uprawniający go do uczęszczania na uniwersytet. Tu znowu może być pod okiem Jezuitów, ma bowiem inne kolegium, wyłącznie dla uczęszczających na uniwersytet urządzone.

W krajach dzikich starają się misjonarze przedewszystkiem skłonić np. jeden cały szczepek do osiedlenia się w bliskości misyi. Misya trudni się obok nawracania, także i rolnictwem. Szczepek taki otrzymuje od misyi pożywienie i wszelką materyalną pomoc; za to jednak musi się misyi odrabiać w polu. Z nawracaniem dorosłych ludzi idzie wogóle niesporo; za to dzieci bywają zwykle nagrodą trudów misjonarzy. Ale po ochrzczeniu i wychowaniu tych dzieci, zaczyna się dopiero drugi tom zadania misyi. Katolicy misjonarze starają się z reguły utworzyć z nowonawróconych osobną osadę szczelnie na zewnątrz (moralnie zwłaszcza) zamkniętą, sobie wystarczającą. Nadewszystko obawiają się misjonarze wpływu białych na swych nowonawróconych. Zdarza się, że i zetknięcie z krajowcami nowonawróconych, zwłaszcza w pierwszych latach, a czasem generacyach, bywa dla nich zgubnem, czasem wywołuje powrót do bałwochwaltwa. Ale obcowanie z białymi trucizną jest dla czarnych, to ogólnie uznana prawda. Biały, przybywszy w te kraje li tylko dla grosza, bezsumiennie wyzyskuje słabostki czarnego, w pierwszej linii pijanstwo, i tem go gubi. Misjonarze protestancy, jakiegokolwiek konfesyi, postępują według metody zupełnie odrębnej od metody katolickich misjonarzy; protestantom w najlepszym razie chodzi tylko o wrzekome cywilizowanie czarnych, religia i zbawienie duszy grają rolę podrzędną. Cywilizowany czarny ma więcej potrzeb, staje się dobrym odbiorcą na kotonady i tym podobne wyroby przemysłu białych; cywilizowany czarny lepiej się żywi, nabiera sił, lepszy więc z niego robotnik dla białego plantatora. Z tego to powodu misjonarz protestancki, bez wielu przygotowań chrześci krajowca, byle jak najprędzej, byle jak najwięcej mózdz ochrzczonych głów wykazać — tantiemy, nagrody, pochwały za każdą nową setkę konwertytów; pani pastorkowa o tyle więcej bydlą trzymać będzie mogła, o tyle lepiej córki uposażyć

zdoła. Ledwie ochrzcivszy czarnego, pastor troszczy się głównie o to, by mu wpoić pojęcia o gospodarce, o budowie chaty, kulturze kakao, bawełny, herbaty lub trzciny cukrowej; pozwala on, by czarny mieszkał w dawnej swojej gromadzie i był i nadal na wszelkie wpływy, pogańskie i antychrześcijańskie, wystawiony.

Ciekawe — choć zdaniem mojem o wiele za szczupłe i płytko traktowane — szczegóły w tym względzie podaje Hübner w swoim dziele. Misyonarz katolicki, z reguły nie-Anglik, najczęściej Francuz, nie mówiący wcale po angielsku, przychodzi pomiędzy kolonialne społeczeństwo angielsko-białe, jako człowiek zupełnie obcy, obcym też pozostaje, bo chce i musi. Katolicki misyonarz, to asceta, sługa Chrystusowy w całym słowa tego znaczeniu, to człowiek co dla idei wszystko rzucił, ojczyznę, rodzinę, często dostatek, wszelkie stosunki, skazał się raz nazawsze na życie więcej niż uciążliwe, ubogie. Zadaniem jego wyłącznem rozszerzenie religii; cywilizowanie dzikich jest tylko bądź środkiem, bądź naturalnem następstwem ich uchrześcijanienia. Misyonarz protestancki, to przede wszystkim pionier cywilizacji, rodzaj kolonisty, który z żoną wyjeżdża między dzikich dla przygotowania pola kultywatorom bawełny i opium (nawiasem powiedzmy, że misyonarze protestanczy obowiązani są być żonaci; w razie owdowienia, do kilku miesięcy obowiązani ponownie się żenić). Misyonarz taki, to dygnitarz między kolonistami, piastujący pewne, często wybitne stanowisko społeczne, zajmujący się co najmniej w tej samej mierze polityką, ekonomią, co religią. Misyonarz katolicki przeciwnie, obojętnie jeżeli nie niechętnie traktowany przez białych (naturalnie, są wyjątki). Na misye protestanckie wpływają rocznie, zwłaszcza z Ameryki, miliony — na katolickie, ledwie może setki tysięcy. Misyonarz protestancki mieszka zawsze ślicznie, piękny dom, piękny ogród, wszystko własne, wszystko eleganckie, służba liczna — misyonarz katolicki mieści się często pokątnie, prawie z łaski cierpiany u obcych; zwykle jedyny dobry pokój domu, który zajmuje, obrócony na kaplicę; po długim szeregu lat zdobywają się misye katolickie na wybudowanie kościołka, potem dopiero domu. Służba ich, mój Boże! zwykle jakaś stara, koszlawa i napół ślepa baba, lub

jakieś z ulicy przygarnione dziecko!... Tomy o tem spisaćby można. Powrócę jeszcze nieraz do tej kwestyi, bo to jest punkt bardzo ważny, o którym mało kto w Europie myśli.

Singapore, 31 grudnia.

Nasz stary, pocziwy Posejdon dowiódł nas szczęśliwie dziś o 9-tej rano do Singapore. Na gwałt trzeba było pakować, na gwałt się ubierać, na gwałt się golić! Przy tem wszystkiem trzeba było patrzeć koniecznie na cudowne panorama, jakie przedstawia cieśnina i sam port Singapore. Humor niezbyt świetny, bo jak wiadomo, trzech rzeczy naraz robić zwykle nie można. Cieśnina Singapore usprawiedliwia w zupełności swoje nazwisko. Jestto rodzaj stworzonego przez naturę kanału Sueckiego, między południową częścią zatoki Bengalskiej, a południowem morzem Chińskiem, kanał nie pozwalający się minąć dwom parostatkom; od północy zamknięty wyspą Singapore, tworzącą ostatnią kończynę półwyspu Malajskiego; z trzech innych stron całą trzodą mniejszych i większych wysepek, widocznie okruszyn lądu stałego, kiedyś od niego przez morze odezwanych. Nic tak miłutko pięknego, nic zabawniejszego, jak ta cieśnina, w której wschodnim końcu leży rzeczywisty port Singapore. Dziesiątki wysepek, niektóre o równym prawie poziomie z morzem, uwidocznione tylko przez bukiety palm kokosowych, które wprost z morza wyrastać się zdają.

Samo Singapore, kilku nieznacznymi pagórkami od północowschodu otoczone, jest istną metropolią o stu kilkudziesięciu tysiącach mieszkańców. Położenie cudowne, od Columbo nierównie piękniejsze, tylko tu brak vegetacyi tamtejszej, szalonej wybujałości, jaką czaruje Columbo. Miasto rozległe, głównie chińskie, robi ogromne wrażenie, raz wskutek niezliczonej ilości typów i ras, które się tu spotyka, powtórę wskutek ślicznego położenia, paru pięknych publicznych budynków i ogrodów, pierwszych widzianych pagód chińskich, a wreszcie wskutek rzucającego się w oczy faktu, że to jeden z najważniejszych punktów świata pod względem handlowym, powołany do odgrywania bardzo po-

ważnej roli w stosunkach światowo-handlowych. Jestto rosnący kolos, a to dla przeciętnego Galicyjanina rzecz arcyciekawa, bo jej w domu nie widział.

Ledwie zawitaliśmy do portu, zjawia się tutejszy austriacki konsul *ad honores*, pan Brandt, kupiec, i oddaje ministrowi dwie depesze z Bang-kok: nasz konsul tamtejszy donosi, że król w początkach stycznia wyjeżdża na dwa miesiące w głąb kraju na objazdżkę inspekcyjną, i że każe prosić ministra naszego (o czem drugi telegram), by odłożył swą wizytę na później! Tragedya! Nas dwóch *attachés*, jakby kto obuchem w głowę uderzył! Tym sposobem przepada na teraz, dla mnie i Samsona, bytność w Bang-kok, na cośmy się jak dzieci cieszyli... I trzeba *notabene* natychmiast decydować co dalej, bo Posejdon odjeżdża za 24 godzin do Hong-kong, a następny austriacki Lloyd idzie dopiero za miesiąc; inaczej zaś jak na Lloydzie, ani minister ani Samson nie chcą jechać, bo nie mieliby podróży bezpłatnej: miesiąc znów siedzieć w Singapore niesposób, boć gaża ministra jako posła, dopiero mu zostaje w pełni wypłacaną po wręczeniu listów uwierzytelniających (przedtem płacą mu tylko pauszale za podróż i piątą część należącą mu się pensyi — austriackie urzędnienia)... Gdy pierwsza emocya minęła, odzyskujemy dopiero mowę i zaczynamy pytać; pokazuje się, że tego samego dnia w nocy odchodzi jakiś statek do Bang-kok. Wal telegram do króla Syamu, czyby nie zechciał poczekać ze dwa dni na nas. Telegram *urgent* (express) płacimy około 95 czy 100 zlr.: skrobiemy się w głowę, ale płacić trzeba; tymczasem niepokój straszliwy!

Śniadamy w Singapore-Club, jako goście Brandta — emocye trochę mijają, wilcze apetyty. Ja oświadczam stanowczo, że jeżeli minister za 24 godzin wyjeżdża do Tokio, to nie mogę mu towarzyszyć. Jakżeż do licha mogę tak waryacko lecieć dalej? dosyć się naczytałem w listach z domu kazań, że się zbyt spieszę; jakby się dowiedzieli, że przeleciawszy od 29 do 31 grudnia przeszło 6300 mil angielskich, dyrnałem znowu dalej, ukamienowaliby mnie — i słusznie! A zresztą chcę się przecie doczekać gdzieś nareszcie listów. wiadomości, przedewszystkiem np. do-

wiedzieć się, czy i ile mam pieniędzy na dalszą podróż. Więc oświadczam ministrowi, że nie ruszam się z Singapore przed czter-nastoma dniami. Na to konsternacya! boć przecie jestem przez ministra, za przyzwoleniem milczącym Ballplatzu, mianowany *attaché honoraire* przy legacyach w Bang-kok i Tokio. A zresztą w tych zakazanych krajach i przy tych odległościach, towarzyszyć drogi, choćby najnudniejszy, jest skarbem, którego się nie puszcza; bo wśród tego osamotnienia mieć towarzysza, to znaczy dzielić nudy i udręczenia przez dwa. Więc minister i Samson dogadują mi. Minister pojedzie Posejdonem, w Hong-kong zatrzyma się tydzień, zwiedzi Canton, potem pojedziemy wszyscy do Tokio. Nim miałem czas się zdecydować, nadchodzi odpowiedź z Bang-kok: konsul telegrafuje, że wprawdzie nie widział jeszcze króla, ale jest przekonany, że tenże zechce na nas poczekać. Hurra! Minister pali telegram, że w nadziei, iż król będzie nań czekał, przyjeżdżamy.

Wieczorem jesteśmy na obiedzie u państwa Brandtów; potem na *mulaesaku*, czyli uczie grzebiącej stary a witającej Nowy Rok, i to *im deutschen Club*. Trzeba wiedzieć, że po wszystkich znaczniejszych miastach Indyj Wschodnich, zwanych przez Niemców *Hinter-Indien*, prócz naturalnie w Indyach Angielskich, mają już Niemcy swoje osobne kluby. W nocy mamy wyjechać Hekubą do Bang-kok. Trzeba więc wyjąć fraki etc., zawinąć je w coś, wziąć ze sobą do powozu, odbyć w ich towarzystwie spacer po botanicznym ogrodzie, który państwo Brandtowie koniecznie nam chcą pokazać; pojechać o $3\frac{3}{4}$ mili do Brandtów, ubrać się tam i zjeść obiad. Klimat w Singapore jest w porównaniu z bombajskim istnym rajem. Stała temperatura, zimą i latem prawie nie ulegająca zmianie, jest mniej więcej 26—27° Reaum., przytem jednak niebo zwykle częściowo zasłonięte i przyjemny zefirek, czyniący istotnie życie bardzo miłym, mimo że jesteśmy tylko o 1°, 10' od równika oddaleni. Mniej przyjemne od życia, jest pakowanie się, rozpakowywanie, przepakowywanie i ubieranie się we frak. Gdyśmy nareszcie po przebyciu tej pańszczyzny zajechali przed dom Brandtów, czekała nas jeszcze potyczka ze służbą chińską, która jest zkadınad wyborna,

ale nietylko ani słówka po żadnemu nie umie, lecz nawet nazwiska swego pana przez Europejczyka wymówionego nie rozumie, bo mu nadaje nazwisko w swoim stylu, więc koniecznie jednozłóskowe (mnie nazywano, jak się potem przekonałem, master Sa!). Po tych wszystkich przeprawach, świeże koszule nasze już do mokrych ścierek były podobne. Obiad bardzo wystawny; pani się wysadziła. Po czarnej kawie, jazda do Teutonia-Clubu. Tu przedstawienie amatorskie, kolacya, niezliczone toasty, kończące się ogłuszającym chórem: *hoch soll er leben!* Wreszcie, przy huku i trzasku ogromnego fajerwerku, zwabiającego tysiące Malajczyków, gromkie, ogólne, rzeczywiście wzruszająco serdeczne *Prosit Neujahr!* Chwila jeszcze — i wyruszamy w towarzystwie Brandtów do portu.

Szalupa z czterema Malajczykami w ciemną wilgotną noc przewozi nas wyfraczonych na pokład Hekuby. O Boże! stateczek malutki, bez grzebienia na spodzie, bo zatoka Bang-kok, tj. właściwe ujście rzeki Menam, tak płytkie, że statki z grzebieniami nie mogą przepłynąć. Wsiadamy; Malajczyki ładują właśnie orzechy kokosowe; 3000 sztuk tychże przykrywa już nasze biedne kufry, które tu przed nami już zajechały; nim dalszych 6000 sztuk kokosów na nie rzucą, trzeba je bądźco bądź wydościć; czynu tego heroicznego dokonywa, perła nie człowiek, Harrison, Anglik, kamerdyner ministra naszego. Na Hekubie są dwie kajuty, I. klasy dla Europejczyków i dwie dla kolorowych. Wiele dobroci charakteru potrzeba, żeby te klateczki ciemne i brudne nazywać kabinami. Kabiny dla „kolorowych“ są zajęte przez jakiegoś księżęcia syamskiego, który w towarzystwie dworzan powraca do ojczyzny — zkąd, nie wiem. Kabina europejska jedna zajęta już przez otyłe małżeństwo Amerykanów, „dla przyjemności“ podróżujących, druga dla nas trzech przeznaczona; wilgoć, gorąco, karakony i stada szczurów. Wprowadzają nas do tego Eldorado *il primo tenente*, tj. zastępca kapitana i maszynista, obaj Szkoci, *stock-hagel besoffen*, boć Nowy Rok nastał. Służba: złodzieje Chińczyki, którzy jak sroki kradną. Aby czarę rozkoszy aż po brzegi zaraz na wstępie napelnić, pijany maszynista, częstując nas *brandy and soda* (koniak z wodą so-

dową, ogólny i ulubiony napój Anglików na całym Wschodzie i Południu), zapytuje, czy jesteśmy dobrymi marynarzami, co miało znaczyć, czy chorujemy na morzu; — stateczek nasz bowiem, kołyszący się już w porcie, raz dostawszy się na pełne morze, zwłaszcza w zatoce Syamskiej, gdzie północno-wschodnie musony bardzo dokuczyć mogą, skacze podobno jak opętany. Śliczna perspektywa! Na tej łupinie więc mamy spędzić trzy i pół dnia — dobrze, że nie więcej. Możemy o szczęściu mówić, że mamy Hekubę, bo to jeszcze najlepszy ze statków kursujących między Bang-kok a Singapore. *Notabene*, jeżelibyśmy mieli zajechać w nocy, po siódmej z wieczora, przed Bang-kok, musimy czekać przypywu, więc ranka, a sławne tam królują moskity!

Ofiarowałem Panu Bogu taki Sylwester 1888 i taki Nowy Rok 1889 za moje grzechy, i z tęsknotą myślałem o naszym powolnym Posejdonie, na którego tyle nawymyślałem — a on był pałacem w porównaniu do Hekuby! W tej chwili płynie on dalej, do Hong-kong. Poczciwy kapitan Mersa i drugi po nim z rangi Zurić, bardzo rzewnie i serdecznie nas pożegnali. Odtąd, aż z powrotem do Bombaju, niewielu, może i żadnych nie będą mieli pasażerów austriackich, a zapewne tylko stada niezliczone Chińczyków, których nienawidzą, bo oni zapowietrzają statek na całe miesiące. Dziwną bo istotnie, zupełnie odrębną mają oni woń, po której Chińczyka między tysiącem poznaćby można; całe Chiny tak samo pachną. Biedny Posejdon będzie miał nie-lada robotę, nim się do Hong-kong dostanie; północno-wschodnie musony teraz w całej pełni wieją, a Chińskie morze, zawsze złe, teraz bardzo przykrem bywa.

(C. d. n.).

Paweł Sapieha.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

Kazimierz Brodziński. 1830—1835. Przyczynek do biografii i charakterystyki. Napisał *Br. Gubrynowicz*. Lwów 1892.

Sympatyczna postać cichego, skromnego „śpiewaka Wiesława“ w ostatnich czasach zajęła historyków literatury polskiej dość żywo. Jestto całkiem naturalnem. Odkąd bowiem badania nad literaturą polską XIX. wieku pogłębiły się, nie można było milczeniem pominąć, ani pobieżnie zbyć tak ważnej w całym ruchu literackim tego stulecia osoby, jak Kazimierz Brodziński. Poeta, profesor uniwersytetu warszawskiego, a wkońcu „wieszcz narodowy“ z mesyanistycznym odcieniem, wywierał tak doniosły wpływ na swe otoczenie, że nie można dziś dobrze zrozumieć wszystkich zjawisk w literaturze naszej okresu Mickiewiczowskiego, nie można ich należycie ocenić i trafnie zanalizować, nie zrozumiawszy wprzód stanowiska, na którem stał i z którego działał K. Brodziński. Nie dziwi nas przeto, że od lat trzynastu, od rozprawy p. St. Tomkowicza¹, postać Brodzińskiego coraz głębiej i coraz wszechstronniej jest badaną. Walerya Marrené, R. Pleniewicz, Odyniec w „Wspomnieniach z przeszłości“, Sew. Duchińska, A. Bełcikowski, P. Chmielowski, M. Gawalewicz, dr. Z. Hordyński i inni, w zajmujących swych monografiach usiłują podnieść zasłoną, która ukrywała tę szlachetną postać przed okiem ogółu, i zasługi Brodziń-

¹ „Przyczynek do hist. początków romantyzmu w Polsce“, w Archiwum do dziejów liter. i ośw. w Polsce. 1. Kraków 1878.

skiego przekazać potomności w całej pełni. Brodziński sam snąc nie przeczuwał, że kiedyś tak bardzo się nim literatura zajmie, kiedy zapomniany i osamotniony, w kilka lat po upadku nieszczęśliwego powstania listopadowego, pisał te bolesne, ale po części tak prawdziwe wyrazy o swej działalności poetyckiej:

Kiedy był młodym, mówili starzy:

„Czego nam drogę zachodzi

I o czemsi nowem marzy“?

Kiedy się starzał, wołali młodzi:

„Czemu on z drogi nie schodzi

I stare rzeczy nam gwarzy“?

On w starości, jak zamłodu

Pełnił, co kazał Duch Święty,

Żył i działał dla narodu,

Jemu, sobie niepojęty.

Gdy kiedyś w drzew jego cieniu

Spokojny potomek siedzie,

O ich zaszczyty imieniu

Wiedzieć nie będzie. (I. 252—253, wyd. pozn.).

Broszura przywiedziona na czele, choć niewielka (47 str.), jest bardzo cenna: rzuca bowiem dość bogatą wiązkę światła na ostatnią, nader ważną w twórczości Brodzińskiego epokę od r. 1830—35. Na wstępie zaznacza autor, że obszerne dzieło K. Arabażyna¹, w rosyjskim języku, okresem tym zajęło się dokładniej, niż biografowie polscy; jednak p. Arabażyn o wielu rzeczach przemilczał, wielu wprost nie znał. Pracą niniejszą postanowił zatem p. Gubrynowicz tę lukę i te braki wypełnić, a więc „zebrać, o ile możności, jak najdokładniej wszelkie szczegóły biograficzne, a prócz tego zestawień poezye i pisma prozą w tym okresie powstałe“, których dotąd nie umieszczono w żadnym zbiorowym wydaniu dzieł poety. Z zadania swego wywiązał się p. G. — rzec możemy śmiało — wybornie. Drobiazgowo wiadomości, rozsiane po pamiętnikach lub pismach publicznych, istne pyłki, które p. G. bardzo skrzętnie pozbierał, pisma poety znane i mniej lub wcale nie znane ogółowi, szczegóły bio- i bibliograficzne, złożyły się w piękną całość, w sylwetkę dość dokładną ostatnich pięciu lat życia poety.

A więc najprzód ukazuje nam autor Brodzińskiego, jego usposobienie i poglądy, przed wybuchem powstania listopadowego. Rozprawa poety „O egzaltacyi i entuzjazmie“, wrzawa, jaką w opinii młodych zapaleńców wywołała, a którą p. G. z współczesnych dzienników usi-

¹ *Kazimir Brodziński i jego literaturna działalność*. Kijów 1891. Str. 378.

łuże odtworzyć, pozwalają nam poznać, co Brodziński myślał o gotujących się potajemnie planach rewolucyjnych: jak wogóle wszyscy rozważniejsi i doświadczeniś podówczas mężowie, przeczuwał i upominał, że po tej mniemanej jutrzence swobody nie nastąpi zbawienia słońce. Jego słowo, jak i wielu innych, nie powstrzymało pożaru: noc 29 list. wznieciła go, i po całej Polsce rozległo się hasło: „Do broni! do broni!“

Na tle tej łuny pożarnej „śpiewak Wiesława“ jaśniej jak anioł pocieszenia. „Zanurzył się w modlitwie, z prostodusznością uciekł się do praktyk chrześcijanina katolika, uczęszczał do śś. Sakramentów... był codosłownie duszą polską, płonąca w Bogu“ — jak nam opowiada J. B. Zaleski. Pomyślnie rezultaty powstania w pierwszej chwili, wlały w poetę nowe życie: widzimy go czynnym w redakcyi *Kuryera Polskiego*, *Kuryera Warszawskiego*, a nawet przelotnie w *Nowej Polsce*; chwyta za swą strojną gęśl i ze strun jej wydobywa hymny narodowe, pełne wdzięku, siły uczucia i religijnego namaszczenia („Do Boga“, „Rok 1830“. „Na dzień Zmartwychwstania Pańskiego“, „Do broni Sarmaci“, „Dumka“, „Do gospodarza“, „Wiersz w czasie uczty“...). Lecz zbyt wiele wrażeń, zbyt wiele żaru patryotycznego zwichnęło narazie właściwą pocie temu równowagę duszy: na ostatniem uroczystem posiedzeniu Tow. Przyj. Nauk d. 3 maja 1831, odczytał swą „Mowę o narodowości Polaków“, w której po raz pierwszy w system, w teorię ujął mesyanistyczne na dzieje nasze poglądy.

8-go września 1831 upadło powstanie. Co przyniosło, o tem wiemy wszyscy. O wiele boleśniej musiało się to odbić w duszy Brodzińskiego. Osamotniony, pozbawiony posady profesora, usuwa się w zacisze domowe. Reszta dni jego, to dni ciężkiej pracy dla rodziny, jedno pasmo trosk i obaw o przyszłość ojczyzny. Prozą pisze dość wiele, poezyj mało: w tej epoce powstają przedewszystkiem jego śliczne „Fraszki“ (przed r. 1834). Lecz niebawem podcięła go choroba: wyjechał do Drezna dla kuracyi i tam na obczyźnie śmierć cierpieniom jego kres położyła. Na trzy dni przed zgonem wypowiedział się, przyjął śś. Sakramenta, zgadzając się zupełnie z wolą boską, w której pokładał ufność bez granic. Dotrwał do końca i dotrzymał wiary swym zasadom, boć sam śpiewał:

Rozum stępuje, szczęście się odmieni,
Męstwo się z czasem zachwieje,
Najmilsze zwiędłą nadzieje;
Sama wiara niespożyta
W przepaści zbawienie czyta:
Jej tylko jednej przyszłość się zieleni. (I. 233).

Nie objęliśmy w tem streszczeniu wszystkiego, co nam rozprawa p. G. nowego o Brodzińskim przynosi, bo musielibyśmy zaudać w szczególności wchodzić. Ale i z tego każdy pozna, że praca to piękna, barwna, zajmująca. Szczególnie od tych, którzy literaturze zawodowo się oddają, należy się autorowi słowo podzięków.

Romuald Koppens.

Podręcznik geografii ojczystej. Dodana wiadomość o Czechach i Rusinach. Ułożył *Józef Chociszewski*. Poznań 1892. (W 16-ce, str. 283).

Odkąd na pytanie:

„A czy znasz ty bracie młody
Te pokrewne twoje rody?“

odpowiedział poeta-geograf prześliczną pieśnią o ziemi naszej, pojawił się niejeden opis geograficzny Polski; prawdziwie naukowej odpowiedzi na to pytanie napróżno dotąd wyczekujemy. — I nie dziw! Tam, gdzie rządy łożą tysiące i krocie na cele geograficzne, gdzie liczne i bogato wyposażone katedry i instytuty geograficzne, jak w Niemczech, Francji, Anglii, we Wiedniu, są naturalnem i nieustającym ogniskiem badań i poszukiwań z dziedziny ziemioznawstwa — tam tylko mówić można o dokładnych, ścisłych zdobyczach i ostatecznych wynikach naukowych na tem polu. — U nas, gdzie tylko w jednej części Polski porozbiorowej ledwo dwie katedry geografii istnieją, i to od bardzo niedawna, i to bardzo szczupło wyposażone; gdzie nie brak wprawdzie usiłowań, by poznać dokładnie własny kraj, że wspomnę tylko geologiczną mapę Galicyi, wydawaną przez Akademię Umiejętności, i Słownik geograficzny, wychodzący w Warszawie; gdzie jednak te badania znajdują się w stadium początkowem i mają raczej charakter prywatnych wysiłków pojedynczych jednostek; u nas, gdzie rządy wrogie statystykę wprost fałszują i jako broni przeciw nam używają, a badania prywatne na tem polu wprost uniemożliwiają — o ścisłych i wyczerpujących wynikach naukowych mowy być nie może. I nieprędko się ich przy obecnych stosunkach spodziewać należy. A jednak umiejętny opis geograficzny kraju jest niezmiernie użyteczny; jest tem dla społeczeństwa, czem w postępowem gospodarstwie książki rachunkowe; jest dokładnym inwentarzem zasobów, jakie posiada naród w ziemi, z której czerpie soki; jest reasumpcyą własnych zdobyczy, jakie dzięki wrodzonej energii ducha wśród danych warunków sobie wywalczyć zdołał. Znajomość takiego narodowego *habet* i *debet* nietylko wykształcańszym warstwom jest potrzebna, lecz i dla najszerzszych wiuna być przystępna, budząc

tamże świadomość narodową i potęgując tętno narodowej pracy; zwłaszcza u nas, gdzie tej świadomości narodowej u ludu tak mało a pracy intensywniej i umiejętniej jeszcze mniej. Tylko na podstawie ścisłych prac ułożone, przystępne dla ogółu podręczniki, odpowiedzą w zupełności swemu celowi. A jeżeli tamtych niema — cóż wtedy? Nasuwa się pytanie, czy zaniechać szerzenia potrzebnych dla młodzieży i ludu wiadomości o ziemi ojczystej? Sądzę, że i największy rygorysta na punkcie naukowej ścisłości, odpowie na to pytanie przecząco. Zatem trzeba przyjąć, czem autor nas darzy, byle oczywiście umyślnych fałszerstw nie szerzył, byle znane zdobycze naukowe zręcznie wyzyskał i w sposób przystępny dla ogółu przedstawił, byle tendencya przedewszystkiem była uczciwą i prawą.

Uwagi powyższe uważałem za konieczne, dla oceny wyżej zacytowanego dziełka. Wartość jego nie polega w naukowej treści, ani w układzie, lecz głównie w jego tendencji. „Podręcznik niniejszy — powiada autor sam na wstępie — ma pobudzać rodaków, a szczególnie młodzież, do myślenia, do zastanawiania się nad naszą smutną dolą; dlatego też, jakkolwiek głównie ma na celu przedstawienie ziem dawnej Polski w dzisiejszem położeniu i w dzisiejszych stosunkach, zawiera wiele spraw, które napozór do geografii nie należą, w istocie jednak są bardzo ważne ze względu na dobrobyt i przyszłość naszej ojczyzny“.

Czy odpowiada jednak podręcznik wyżej postawionym postulatom? Czy patryotyzm gorący nie uniósł autora zadaleko w przedstawianiu faktów na korzyść naszą? Sądzę, że nie! Owszem tam, gdzie jaka wątpliwość się nasuwa, woli raczej przyjąć cyfry dla nas mniej korzystne, niż minąć się z prawdą. Co do zużytkowania materiału, dat i faktów, skrzętnie zebranych, możnaby tu i ówdzie pewne niedokładności, braki i usterki wykazać, ale jest ich stosunkowo niewiele. Błędem jest, że Henryk Brodaty odstąpił Opole stryjowi Mieczysławowi (str. 50)¹. Szkoda, że autor wskazując, jak kurczy się nasza ojczysta ziemia w rękę nieporadnych jej synów, nie wszędzie podaje, ile tej ziemi znajduje się w rękę obcym a ile w naszym. Co do Wołynia np. istnieją zestawienia tego rodzaju, ogłoszone niedawno w jednym z czasopism krakowskich. Ciekawą i pożądaną również byłaby wiadomość, ile mórg ziemi znajduje się w Galicyi w rękę żydowskiemu. Na str. 237 podaje p. Chociszewski opis „Lituanii“ Grottgera, poświęcając mu aż 4 stronnice. Opis taki przemówi może do serca wieśniaka, ale bądźco bądź jestto

¹ Smolka, „Henryk Brodaty“, str. 14 i 26.

plód wyobraźni poetyckiej i do rzeczy nie należy. Również silnie oddziała na umysł młodzieńczy i wieśniaczy rzeczywiste a tak budujące męczeństwo ludu podlaskiego, o którym mógł się być autor szerzej rozwieść, chcąc zachęcić czytelników do poświęceń na rzecz wiary i sprawy ojczyznej.

Lecz mniejsza o te drobne usterki; myśl przewodnia, jaka na każdej stronnicy się przebija, jest tak uczciwa, taka rozsądna, że życzyć tylko można autorowi, by jego książka znalazła się w każdej chacie polskiej, by treść jej znana była każdemu polskiemu dziecku. Gdzie jest złe, tam je autor potępia bezwzględnie; wytyka bez ogródki nasze wady, brak pracowitości, przedsiębiorczości, a przedewszystkiem trzeźwości, czego następstwem jest ta straszna bieda i nędza wśród ludu naszego. Za przykład stawia Czechów, którzy w gorszych od nas warunkach, tyle okazali, iż co do oświaty i dobrobytu prym wiodą między Słowianami, a nawet przewyższają w niejednym swych niemieckich rywali. Potępia autor słusznie w kilku miejscach niewczesne powstania, które tyle klęsk na kraj sprowadziły, a do spokojnej i wytrwałej pracy nawołuje. Ofiara krwi okazała się daremną — cięższą ofiarą potu krwawego z pewnością okupim wiekowe przewinienia ojców.

Że przedstawienie jest przystępne dla ogółu i popularne, nie potrzeba dodawać w dziełku Chociszewskiego, tak wielce zasłużonego na polu piśmiennictwa ludowego. Daj Boże, by autor długo jeszcze zasiliał społeczeństwo nasze swemi pożytecznemi pracami!

Dr. K. Krotoski.

Przewrotność zasad i dążności socjalistycznych. Studium opracowane na podstawie dziełka O. Cathreina T. J. (Odbitka z *Przeglądu Kościelnego*). Poznań 1891.

Wiemy niestety dziś aż zanadto dobrze, że agitacya socjalistyczna przeszła już i polskie granice; że pod wszystkimi trzema zabobami skutki jej widoczne i nie pora dziś sobie pochlebiać: u nas niema gruntu dla socjalizmu; nie budźmy więc licha i udawajmy, że nie raczymy na to zwrócić uwagi, czy wogóle jaki socjalizm istnieje. Dziś, wobec powstających coraz to nowych gazet, stowarzyszeń socjalistycznych; wobec nie dającej się zaprzeczyć propagandy, i co gorsza, wobec skutków tej propagandy, należy niebezpieczeństwu spojrzeć oko w oko; niewolno nie wiedzieć, jakie interesy w grę tu wchodzi, o co walka się toczy, jakie są socjalistów dążności, jakie zasady; jakie są ich teorye, w jaki sposób przeprowadzić, wywalczyć je zamierzają?

Na pytania te, tak aktualne i doniosłe, odpowiada broszura, której tytuł w nagłówku umieściliśmy. Załatwiwszy się z kwestyą, co to właściwie jest socjalizm i jaki jego stosunek do komunizmu, przypatrujemy się w paru najgłówniejszych rysach skreślonej historii nowocześniejszego zwłaszcza socjalizmu, aby następnie szerzej i gruntowniej nad jego podstawami się zastanowić. Niemiecki autor, w którego ślady polski wiernie wchodzi, objaśnia i polemizuje z kolei z filozoficzno-religijnymi i ekonomiczno-społecznymi zasadami socjalistów; określa stosunek socjalizmu do liberalizmu, twierdząc bardzo słusznie, że „zasady przez liberalizm postawione prowadzą w konsekwencji koniecznie do socjalizmu“; wreszcie występuje do walki z jednym po drugim pozytywnym żądaniem, stawianem przez socjalistów. Wiele z tych żądań jest bez wątpienia bardzo wzniosłych i pojętych; cóż, kiedy przeprowadzić je w rzeczywistości możnaby może w jakimś ustroju społecznym z aniołów złożonym; ale dla prostych śmiertelników na ziemi będą one zawsze niedościgłymi urojeniami. Inne żądania, a raczej marzenia, które np. odnoszą się do reformy małżeństwa i rodziny, tą nawet idealną wzniosłością poszczycić się nie mogą; są wprost niezdrowe, szalone, a jeśli w szalonych głowach nie powstały, to z pewnością mogą wiele słabszych mózgów do szaleństwa doprowadzić.

Oto w najkrótszym, niedokładnym zarysie treść tej interesującej, a tak bardzo na czasie będącej broszury, za którą redakcyi *Przeglądu Kościelnego* prawdziwa się wdzięczność należy. W razie powtórnego wydania, lub jeśli na składzie znaczniejsza jeszcze liczba egzemplarzy się znajduje, wartoby może na końcu dodać „Spis rzeczy“, bez którego zorientowanie się w bardzo zkądinad przeźroczyście i logicznie napisanej książce jest bądźco bądź nieco utrudnione.

J.

Pamiętniki Gustawa Olizara (1798—1865), z przedmową *J. Leszczyca*.
Lwów. Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta. 1892.

Kim był Olizar, jakie miał talenta i jak użyć ich umiał; jakie zajmował stanowisko i na jak różnych posterunkach, ale zawsze po czciwie, o ile mógł i umiał najlepiej, dobrej sławie służył — o tem powiadania nas wydawca w obszernej przedmowie, będącej właściwie, stosunkowo treściwie ale bardzo starannie ułożoną, biografią G. Olizara. Już z tej biografii nabiera czytelnik przekonania, że Pamiętniki męża, który tyle widział i przeżył, ze wszystkimi znakomitościami naszymi z pierwszej połowy tego wieku się stykał, sam w najważniejszych

sprawach czynny brał udział — muszą z pewnością być i pouczające i interesujące. Bywa, że sąd taki, powzięty zgóry pod wpływem zbyt rozmiłowanego w bohaterze swym wydawcy, zawodzi i mocno zawodzi; tutaj, na szczęście, zawodu lękać się nie potrzeba. Olizar, choć rymami nawet rad się bawił, choć wogóle piórem chętnie pracował i w manuskryptach niejedną obszerną pracę po sobie zostawił, nie jest przecież wykwintnym stylistą, brak mu pewnej, tak cennej w pamiętnikowym opowiadaniu lekkości i potoczystości; humoru, którym podobno w rozmowie celował, także niezbyt wiele śladów; ale niedostatki te, jeśli ostry krytyk niedostatkami by je nazwał, nikną wobec mnóstwa ciekawych, *de visu* spisanych szczegółów, charakterystycznych rysów i anekdotek, głębszych, nieraz bardzo prawdziwych uwag.

Pierwszy np. zaraz rozdział, opisujący poprostu i bez pretensyj dom ojczysty, dom możnego szlachcica wołyńskiego i rodzinne jego stosunki, nadzwyczaj ciekawe rzuca światło na czasy i na ludzi na początku bieżącego wieku. Krzemieniec i jego szkoły opisywało już wielu, ale i ci, co wszystkie te opisy znają, przeczytają bez znudzenia dokładną, a ciepło nakreśloną relację Olizara. Niestety! zaprędko przyszło mu ze szkołą się pożegnać. Wskutek niecnej intrygi, wyglądającej jakby była wyciętą z jakiego francuskiego romansu, towarzyszyć musiał, mając lat zaledwie 15, choremu ojcu do Włoch, aby wrzekomo nim się opiekować, a właściwie służyć za wygodny parawan dla chytrego i chciwego organizatora tej wyprawy, niejakiego Kossowicza. W Wiedniu natrafili nasi podróżni na ciekawą chwilę: na obradujący i bawiący się kongres; opisy i anekdoty z czasu tego krótkiego pobytu w stolicy austriackiej należą do najciekawszych w „Pamiętnikach”. Smutniejsze wrażenia pozostały z Włoch. Niedoświadczony chłopak dał się zaplątać w najrozmaitsze, delikatną i niedelikatną ręką utkane sieci, i sam nie wiedział dobrze, jak w siedemnastym roku życia stanął przed ołtarzem z cudzoziemką, hrabianką de Molo, „matką moich dzieci”, jak dyplomatycznie się wyraża, bo po niedługim czasie wziął z nią rozwód. Równie nie wiedząc sam jak, został za powrotem do kraju wybrany marszałkiem gubernii kijowskiej. Chciał dobrze, robił co mógł, ale skutki usiłowań nie odpowiadały. Być może, że jedną z przyczyn tych niepowodzeń było własne, zbyt „poetyczne”, nieco do awanturniczości skłonne usposobienie Olizara. Tego rodzaju usposobieniem wytłumaczyć sobie tylko można nieszczęśliwy romans, zawiązany z Rosyanką, późniejszą p. Wołkońską, a następnie romantyczną wycieczkę do Krymu i zamieszkanie tamże w nabytej przez

siebie posiadłości. Mniej romantycznym, a w każdym razie mniej przyjemnym, było zaaresztowanie, wskutek podejrzeń o sprzyjanie rosyjskim spiskowcom, i odstawienie do Petropawłowskiej fortecy.

Stanowcza to była chwila w wewnętrznym życiu Olizara. Dotąd pchały go wypadki to w tę, to w ową stronę, niedozwalając spokojnie nad sobą, nad ważniejszymi zagadkami życia się zastanowić; wśród ciszy i utrapień więziennych, „przystała — jak pisze nieco niepoprawnie, ale pocziwie — do mojej duszy religijna rewolucja; coraz więcej zgłębiając tę religię, co żadnego wypadku w życiu człowieczem nie zostawia bez nauki i wzoru, przywiązałem się do niej z przekonania, i to zyskałem, że błędy moje i częste upadki nie tłumaczę sobie, jak dawniej za dobre, ale je szczerze, kornie i z żalem nieograniczonym miłosierdziu Pana polecam“.

Wewnętrzna ta przemiana na całym już odtąd życiu wycisnęła swe piętno; chrześcijańska nauka o pożyteczności cierpienia, którem Bóg oczyszcza i próbuje, kogo miłuje, znalazła w Olizarze w oczy bijące, a piękne stwierdzenie. Co w pośmiertnym wspomnieniu powiedział o nim Kraszewski: „Stróż to był pilny świętych tradycyj narodowych; miłość jego była spokojna, męska, ufna w sprawiedliwość Bożą niezłomną; umysł to był wykształcony usilną pracą, bystry, jasny“... — to widocznem jest z każdej kartki Pamiętnika. Wielka szkoda, że nie danem mu było Pamiętników tych dokończyć; szczerza podzięka wydawcy, który spisany już kartkom nie dozwolił marnie zagać.

B.

Niepokalana Bogarodzica Marya, w świetle Ewangelii i Ojców Kościoła. Skreślił ks. A. Sas Krechowiecki, dr. Teol., rektor kościoła św. Ruperta w Wiedniu. Tom I., II. Wiedeń 1890. (Str. 566, 634).

Marya, Królowa Korony Polskiej. Przyczynek do tomu II. „Bogarodzicy“. Skreślił *tenże*. Wiedeń. Z drukarni OO. Mechitarzystów. 1890. (Str. 39).

W pierwszych miesiącach zeszłego roku pojawiło się poważne dzieło, które z tytułu samego dawało prawo do radości, i to nie tylko samym kapłanom i kaznodziejom. Zdawna bowiem dawał się czuć dotkliwie brak gruntownego polskiego podręcznika, zawierającego całą katolicką naukę o Matce Bożej; radzi-nieradzi musieliśmy się uciekać zazwyczaj do dzieł niemieckich lub francuskich. Niedostatkowi temu w zupełności zaradził ceniony polski mowca, podając w dwóch tomach naukę dogmatyczną o Matce Bożej; a nadto dołączając w osobnej bro-

szurce bardzo piękne kazanie o Najświętszej Bogarodzicy, królującej podziśdzień w szczególny sposób nad naszym narodem.

Tom pierwszy, poprzedzony „Słowem do braci u stóp Maryi, i Ofiarowaniem dzieła“, dzieli autor na siedmnaście nauk, których treścią Marya Panna, począwszy od Jej posłannictwa i stanowiska w boskiej ekonomii chrystyanizmu, aż do tajemnicy Nawiedzenia św. Elżbiety. W harmonijną całość splecione symbole, figury i prorocтва Starego Zakonu, służą za podstawę, na której wspaniale się rozwija nauka Nowego Testamentu, wraz z nauką Ojców Kościoła, od pierwszych wieków ery chrześcijańskiej. Między tymi nauczycielami wiary wybitne zajmuje stanowisko doktor Anielski, a tak dowody z rozumu wiarą oświeconego szerokie znajdują zastosowanie. Wytłumaczony tu dogmat Niepokalanego Poczęcia, wyłożona różnica między poczęciem Maryi, a Wcieleniem Syna Bożego; tajemnice Narodzenia Bogarodzicy, Zwiastowania Imienia Maryi; dogmat nienaruszonej Jej czystości...

W drugim tomie, na piętnaście nauk podzielonym, snuje autor równie misternie a głęboko przedzę dogmatu Maryi, przedstawiając Ją nam od wielkiej tajemnicy Betleemu, aż do Jej chwalebnego Wniebowzięcia. W obszernych ramach pierwszych dwunastu nauk mieszczą się wielkie tajemnice wiary naszej, uwiecznione w Kościele dorocznemi uroczystościami: Narodzenia Chrystusa Pana, Matki Bożej Gromniczej, Matki Bożej Bolesnej, Zmartwychwstania i innych. Trzy ostatnie nauki tego tomu (począwszy od XIII-tej), są jakby uzupełnieniem i praktycznem zastosowaniem do życia wiernych.

Po przeczytaniu całego dzieła wyznać trzeba, iż autor, jak głęboko pojął nauki wiary, odnoszące się do Matki Bożej, tak pięknie je nam przedstawił. I dla kapłana na pierwszym miejscu i również dla świeckiego miłośnika Maryi, bogaty tu skarb, z którego hojną dłonią na cześć Maryi, na własny pożytek czerpać można.

Inne pytanie, czy tytuł „kazań“ zupełnie i pod każdym względem dla nauk tych odpowiedni. Nie brak wprawdzie kaznodziejskiego namaszczenia; wstęp i zakończenie mogłyby zazwyczaj śmiało z ambony być wygłoszone; ale czy nauki te na ambonę nie zadługie, czy nie brakuje im w takim razie praktycznego zastosowania, a natomiast czy nie zawiele byłoby poruszonych subtelnych, scholastycznych kwestyj? Bez wątpienia, kapłan gotujący się do wypowiedzenia kazania o Najśw. Pannie, znajdzie w tych „konferencyach“, w tych „dogmatycznych wykładach“ bardzo obfity materiał do kazania; samego, gotowego już kazania nie znajdzie, lękać się nie potrzebuje, aby w książkę

tę się wczytując, pozbawił się samodzielności, utracił tak cenną nie-
mniej na ambonie, jak gdzieindziej indywidualność.

Pewni jesteśmy, że wspaniałe to, równie ze względu na treść,
jak wreszcie na zewnętrzną szatę wydawnictwo, znajdzie niebawem
wstęp, o ile jeszcze nie znalazło, do wszystkich bibliotek i bibliote-
czek kapłańskich, zakonnych, do biblioteczek wszystkich czcicieli
Bogarodzicy-Dziewicy.

W.

Zapoznawana Prawda. Kilka uwag dla ludzi dobrej woli. Skreślił
ks. Władysław Szczęśniak. Warszawa 1891. (W 8-ce, str. 48).

Autor nie miał zamiaru wnieść do literatury kościelnej nowej pracy
polemicznej, czy apologetycznej, ale skreślił tylko „kilka uwag dla ludzi
dobrej woli“, „dla ogółu wierzących“ — a skreślił stylem jędrnym i płyn-
nym, łącząc wzniosłość przedmiotu i myśli z przystępnością popular-
nego wykładu.

Starą jak Kościół, choć często „zapoznawaną prawdę“ o nim,
streszcza ks. Szczęśniak w trzech rozdziałach. W I. wyjaśnia genezę,
cel i naturę Kościoła, analizuje składowe części tego mistycznego orga-
nizmu, zaznaczając w nim dwa pierwiastki: jeden nadprzyrodzony bo-
ski — drugi przyrodzony i ziemski; rzuca wreszcie ogólne rysy o we-
wnętrznem życiu i odżywianiu się jego. Na wykazanie swych twierdzeń
czerpie w rozdz. II. dowody ze źródeł objawienia: z Pisma św. i Ojców
Kościoła. Rozdział III. zaczyna krótkim argumentem t. zw. *ex ratione*
theologica i przechodzi następnie do najwyrazistszej części swej pracy:
dowodu historycznego, w którym szkicuje barwnymi rzutami pióra dzieje
Kościoła, przedstawiając cudowny jego rozwój i niespożytą żywotność
pomimo prześladowczych ciosów dawnych i nowych tyranów, ataków,
herezyj, racjonalizmu i bezbożności, targających się daremnie na za-
glądę tej boskiej instytucji.

Autor kończy swą pracę wezwaniem ogółu do zastanowienia się
nad temi myślami i zastosowania ich w praktyce życia tak prywa-
tnego, jakoteż publicznego i socyalnego, w najszerszem znaczeniu tego
słowa.

E. H.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

A comparatif Grammar of the South-African Bantu Languages, comprising those of Zanzibar, Mozambique, The Zambezi, Kafirland, Benguela, Angola, the Congo, the Ogowe, the Cameroons, the Lake region etc. By *I. Torrend S. I.* of the Zambezi Mission, author of an Outline of a Xosa-Kafir Grammar. London 1891. W 8-ce, str. XLVIII—336. (32 franki, dla misjonarzy 15 fr.).

Afryka, w drugiej szczególnie połowie naszego wieku, jest przedmiotem ciągłych badań. W ostatnich zaś dziesiątkach lat toczy Europa o ten czarny kontynent prawdziwe zapasy cywilizacyjne. Działalność misjonarzy oczywiście ma tu doniosłość największą. Z otwarciem misji zambeskiej, od r. 1879, działalność ta objęła ze wszystkich stron Afrykę południową aż po równik, a tą drogą i środkowa Afryka zbliżyła się do Europy. Umiejętne zapoznanie się z ludami kafryjskimi zostało przez to przyspieszone i ułatwione niepomniernie.

Jedną z bardzo licznych i bardzo doniosłych w tym kierunku prac, jest właśnie Gramatyka porównawcza języków kafryjskich (czyli Bantu) młodego (ur. 1861 r.) jezuita-misjonarza z Zambezy, O. Juliusza Torrend. Dzieło to doznało już w świecie uczonym bardzo przychylnego przyjęcia i zjednało sympatyę lingwistów dla autora. A rozgłos ten i sympatya ta zupełnie zasłużona.

Grupa języków Bantu czyli kafryjskich obejmuje nader liczne szczepy, zamieszkujące przestrzeń o wiele większą od Europy, bo od przylądka Dobrej Nadziei po równik, od wybrzeży Sofali i Mozambiku aż po ujście Kongo, aż po Kamerun i Wiktorya-Nyanza! Plemiona i szczepy Zulusów, Beczuanów, Marutsów, Mambunda, Metabelów, szczepy Kongo wraz z sąsiednimi plemionami Bakumu, Mpongwe, Fan, Dualla, Bubi etc., używają jednego języka, którego najskrajniejsze dyalekty zaledwie tak od siebie się różnią, jak język włoski od francuskiego. (Wstęp XXII, 51).

O. Torrend jest jednym z pierwszych, którzy po otwarciu misji zambeskiej przez O. Depelchin oddali swe życie na jej usługi i stanęli do boju z ciemnotą pogaństwa w tym heroicznym zastępie. Po odbyciu nowicyatu i studyów humanitarnych w Belgii, widzimy go w r. 1883 już w drodze do misji zambeskiej. W kraju kafryjskim odbywa swe studia filozoficzne (między r. 1884—7), a równocześnie uczy już młodych Kafrów w szkołach misyjnych. Przez rok 1887 odbywa podróże

po całej południowej Afryce, dla gruntownego zbadania języków Bantu, wśród samych krajowców. Wyzyskuje na miejscu materiały językowe, zawarte w rękopisach Livingstona, a przybywszy w r. 1888 do Europy na studia teologiczne, w British Museum obznajamia się z tem wszystkim, co uczeni europejscy dotąd ogłosili we Francyi, Anglii, Portugalii i Niemczech. Wciaga zatem do swego dzieła badania uczonych, jak Block, Krapf, Cust, Fr. Müller etc. I dopiero po czterech latach najsumienniejszych badań i poszukiwań, wydaje swą „Gramatykę porównawczą języków Bantu“.

Praca taka ma oczywiście wartość naukową i umiejętną w najwyższym stopniu. Lingwiści będą mogli odtąd z łatwością pracować nad oznaczeniem stosunku tych języków chamicznych do grupy indoeuropejskiej, tem łatwiej, że autor jasno i przystępnie wykazuje prosty i prymitywny mechanizm fonetyki tych języków, obok delikatnych odciń, jakie się w nich przejawiają.

Ma też dzieło O. Torrend doniosłość praktyczną dla podróżników, kolonistów a przedewszystkiem misjonarzy, którzy z pomocą tej gramatyki mogą się porozumiewać z każdym kafryjskim szczepem.

Dwa dodatki uzupełniają tę książkę. W I. podaje autor znakomite wskazówki etnograficzne, zaczerpnięte z opowiadań samych krajowców, i cztery ludowe opowieści, z których jedna była dotąd zupełnie nieznaną. Bogaty i treściwy wstęp — obok poglądów autora na te języki — zawiera zestawienie nowszych przedewszystkiem źródeł i dokumentów do literatury kafryjskiej.

Nie pominął autor i strony historycznej. Skrętnie więc notuje wszelkie ślady wpływów obcych, o ile one w języku lub tradycji się przechowały. Dowiadujemy się o stosunkach handlowych plemion kafryjskich z Abisynią, Arabią, Persją, Indjami, Japonią. Opowiadania, tradycje, sam język wreszcie daje autorowi sposobność do ciekawych bardzo wniosków o wędrówkach tych szczepów. Lingwistyka, etnografia i historia splatają się w dziele O. Torrend w umiejętną, powabną, pouczającą i praktyczną zarazem całość.

R. Koppens.

La Passion. Par le *P. Ollivier*. Paris. Lethielleux.

Znany mowca kaznodziejskiego zakonu, występuje tu jako historyk pierwszorzędny, który zbadał wszystkie dokumenta, dotarł do wszystkich źródeł, obiegł wszystkie miejsca związane z pamięcią rozgranego na Golgocie dramatu bożego. Szkic historyczny nie zaspokoi może dusz

łaknących rzewnych wrażeń i wzruszeń, jak to autor sam przypuszcza, ale wzmocni wiarę sere żądnych dowodów, jak ongi Tomasz święty. Zaiste przychodzi nam kłaść rękę w ranę boku, dotykać się przebitych nóg i rąk Zbawiciela, w miarę jak nas O. Ollivier przeprowadza przez wszystkie stacye drogi Krzyżowej, od Gethsemani do Piłatowego Pretoryum, od pałacu Heroda na Kalwaryę. Każdy ustęp, opis, uwaga popartą jest tekstami autorów greckich i łacińskich, angielskich i niemieckich, świeckich czy duchownych, dawnych dziejopisów czy nowoczesnych krytyków, nawet podróżników, w których ślad uczony dominikanin pospieszył. Niejedną nawet mniej wybitną postać uwydatnia ks. Ollivier sumiennemi studjami, odnajdując naprzykład wśród zbiorów starych medali i kameów w *Cabinet des Antiques* wizerunek na czerwonym jaspisie wyryty tej Klaudyi Prokli, małżonki Piłata, której i Ewangelia i legenda przypisuje upomnienie się za niesłusznie prześladowanym Sprawiedliwym. Zadumane oko i zaciśnięte wargi młodej kobiety jak raz odpowiadają wspomnianej u św. Mateusza niewieście, snem zalęknionej, a napis greckimi literami „Procla“ domysł ten stwierdza. Tak ściśle historycznego opisu Męki Pańskiej jeszcześmy dotąd nie posiadali; osobna wdzięczność należy się pracowitemu autorowi niniejszej książki, ogrzanej gorącą wiarą sumiennego dziejopisa.

M.

Richelieu à Luçon, sa jeunesse, son episcopat. Par l'abbé Lacroix.
Paris. Letouzey. 1890.

Strona kapłańska życia duchownych mężów stanu zwykła zanikać w warze wypadków i wirze gry dyplomatycznej, a historia malując wielkimi rysami portret ostatecznego twórcy jedności i wielkości Francyi, nie powiada nam, jakim był on biskupem i księdzem. Głębsze studia ks. Lacroix uczą nas, iż późniejszy kardynał zrazu bynajmniej o kapłaństwie nie myślał, kochając się raczej w wojskowem rzemiośle. Ale trzeci brat jego, przeznaczon był do objęcia stolicy biskupiej w Luçon, gdy nagle postanowił zostać kartuzem, co pociągało za sobą utratę przynoszącego 18.000 liwrów beneficyum. Pani de Richelieu, obarczona dziećmi, wskazała drugiemu synowi konieczność zastąpienia brata. Bez powołania i ochoty skłonił się młody Armand przed wyraźnym w ówczesnem mniemaniu obowiązkiem. „Niech się dzieje wola Boża, wszystkiemu się poddam dla dobra Kościoła i chwały naszego nazwiska“. Szło tylko o uzyskanie dyspensy z powodu młodego wieku kandydata,

i tu podano wcześniejszą datę urodzenia, aby unikać zwłoki. Gdy później Richelieu rzucił się do stóp papieża Pawła V., przyznając się do winy, papież mu takową darował, lecz miał powiedzieć: „Z młodziemka tego będzie wielki polityk, albowiem już jest *un gran furbo*“ (wielce chytry). Wyświęcony na biskupa w dwudziestym drugim roku życia, niebawem Richelieu zdał świetnie doktorat teologiczny, i po roku postanowił swą dycję nawiedzić. Objął ją w r. 1608 i wnet rozwinął iście pasterską żarliwość w naprawie stosunków, zwłaszcza wśród duchowieństwa bardzo ciemnego i rozpuszczonego. Założył seminaryum duchowne pod kierownictwem Oratoryanów, zaprosił Kapucynów, których misye głównie wówczas budziły uśpioną pobożność, mnożył wizyty pasterskie, często do ludu przemawiał, nareszcie jednał serca kapłanów i zagajał erę tolerancyi religijnej, obcej duchowi epoki; na koniec zwoływał doroczne synody, wydawał odpowiednie rezolucye i działał stale w myśli Soboru Trydenckiego. To też niebawem uzyskał sławę bardzo gorliwego biskupa, a ślady owej gorliwości ustalił i piśmem, układając książeczkę zatytułowaną: *Instruction du chrétien*, którą przeznaczał dla proboszczów, aby im ułatwić każdoniedzielne kaznodziejstwo. Celem autora — pisał w przedmowie — jest raczej karmić gołębie aniżeli orły, które mogą sobie same żywności szukać. Książka ta śnać miała wartość, skoro została przetłumaczoną na wszystkie języki Europy, a nawet za staraniem misyonarzy na wschodnie narzecza.

Później, już jako kardynał i minister, Richelieu dopełnił owego pierwszego dzieła drugim p. t.: *Doskonałość chrześcijanina*, a nareszcie spisał traktat kontrowersyi, wskazujący najłatwiejszą metodę pozyskania napowrót odłączonych od Kościoła dysydentów.

Niebawem jednak, bo już w r. 1614, wysłany z prowincyi Pikawskiej na zebranie Stanów jeneralnych, taką się tam odznaczył wyprawą, że odrazu przeszedł na szlaki wielkiej polityki, opuszczając swą biskupią stolicę, której się zrzekł w 1623 r. za otrzymaniem kardynalskiego kapelusza. Zachował tylko część dochodów, obracając je na potrzeby i naprawę pałacu biskupiego i szpitali miejskich w Luçon.

Acz tedy Richelieu bez powołania duchowną oblekł był szatę, wyróżnił się w owych mętnych czasach światłem i czynnem pasterzowaniem oddanej sobie trzody; przeszłość jego biskupia bynajmniej nie ujmuje blasku zawodowi wielkiego statysty.

M.

Z pism czasowych.

Kronika rodzinna, pismo dwutygodniowe, poświęcone literaturze, sprawom społecznym i domowym. 1890—91. Warszawa.

Kiedy przed sześciu laty *Przegląd* nasz zdawał po raz pierwszy sprawę z działalności, wpływu i kierunku *Kroniki*, podniósł najsluszniej, iż treścią jej winno być wszystko, co obchodzić może dom, rodzinę w najobszerniejszem tego wyrazu znaczeniu, a nadto postawił warunek jeszcze żywniejszy i wyższy: by te artykuły, czy są to prace naukowe, czy pogadanki o potrzebach rodziny, gospodarstwa, czy wreszcie powieści i korespondencye, owiane były duchem, który jedynie może rodzinę podnieść, uzacnić i uszczęśliwić — duchem katolickim. Na pochwałę *Kroniki rodzinnej* powiedziano wówczas, iż tym dwom postulatom godnie odpowiadała, a na jej chlubę my dziś powtórzyć możemy z pociechą, iż na tej wyżynie pozostała dotąd, wierna swej wielkiej tradycji. Czyż potrzebujemy podnosić, że wychodzi to pismo wśród społeczeństwa najwięcej potrzebującego takiej zdrowej strawy, że stoi prawie samotne na tem polu prawdy i wiary?

Mamy przed sobą dwa spore tomiki, z r. 1890 i 1891. Rodzinę obchodzić winien i rozwój i postęp nauki, wynalazki na tem polu dokonane, znać musi usiłowania ludzkie około naprawy i polepszenia doli społeczeństwa podjęte, wiedzieć też, co się na bożym świecie dzieje, kto i z jakim powodzeniem walczy za dobrą sprawę, kto ustąpił z placu boju, kto przybył nowy; potrzebuje też czasami i zabawić się, więc szuka powiastki lub zajmującego opisu nieznanych ziem, przygód podróży i t. d. Otóż tym wymaganiom i zachciankom wszystkim *Kronika* w dwóch tych rocznikach uczyniła zadość. W r. 1890 znajdujemy dwie piękne rozprawy naukowe. Jedna (a nie pierwsza to w tem piśmie), to wyjątek z większego dzieła o historii sztuki, przez hr. Wojciecha Dzieduszyckiego. Autor przystępnie opowiada o wielkim mistrzu pendzla Rafaelu, objaśnia i ocenia jego obrazy, charakteryzuje jego szkołę. Druga praca, to dwie filozoficzne prelekcye, jakie w wileńskim uniwersytecie miał młody podówczas, bo ledwie 24-letni Józef Gołuchowski, w r. 1823 na katedrę filozofii powołany. Uczą nas one, czego od dobrej filozofii żądać może człowiek, i czego też nawzajem ona wymaga od umysłów, jej się poświęcających. Do naukowej treści zaliczyłbym te sprawozdania obfite a ciekawe, ze świata odkryć i wynalazków, gdzie znajdujemy wszystko, co zrobiono ważnego a poży-

tecznego we wszystkich gałęziach wiedzy. Tych sprawozdań jest kilka, a wszystkie pełne są pożytecznych i doniosłych wiadomości. Historyczną mają wartość w dalszym ciągu ogłaszane listy Stanisława Augusta, już z Grodna pisywane w latach 1795 i 1796 do J. Roberta Watsona w sprawach pieniężnych i prywatnych.

Cennym, bo i pouczającym i bawiącym nabytkiem w *Kronice*, to opisy ziem rodzinnych i obcych, podawane przez tych, którzy podróżowali umiejętnie, patrzyli na świat nie tylko z okien wagonu, ale oglądali go w drobnych szczegółach, z wielkim darem obserwacji. Nieznajdzie czytelnik dobrych rzeczy w „Wspomnieniach z podróży po Flandryi“, po Afryce, po Irlandyi, ile pięknych obrazów w opowiadaniu Br. Zaleskiego z Kirgizkich stepów!

Nasze stosunki społeczne i rodzinne, potrzebujące naprawy i wskazówek, omawia *Kronika* trafnie, i dodajmy, bez goryczy. W artykule np. „Groźne opuszczenie“, mowa jest o setkach dzieci klas uboższych, które ochronek odpowiednich pozbawione, żyją w zupełnem zdziczeniu i dojrzewają najczęściej na przestępców. A przecież pomoc tym ofiarom nędzy podana nie kosztuje wiele, skoro koszt utrzymania jednej ochronki obliczono na 1274 rubli rocznie, a te drogą składek łatwo uzyskaćby można. Inny ustęp, o „Kształceniu naszych dziewcząt“, podnosi słusznie w kształceniu panienek brak wielki, a nierządki, uwagi na praktyczne potrzeby przyszłego życia i zadanie kobiety.

A część literacka? I ta przedstawia się niemniej korzystnie. Są ładne opowieści, są studia literackie o Bohdanie Zaleskim i jego poezjach, o hiszpańskim wieszczu Zorilla, są sprawozdania obfite o ruchu literackim we Francyi, w Anglii i t. d.

Co się w świecie, na pierwszym miejscu w Paryżu dzieje, barwnie i zajmująco opowiada p. Duchinińska. Są echa z Londynu, z Krakowa, z Rygi i t. d., ciepłe i oparte na znajomości rzeczy.

Rocznik 1891 nie ustępuje w niczem poprzednikom swoim. Są tu rzeczy historyczne takie, jak wspomnienia wojewodziny Nakwaskiej, dotyczące życia towarzyskiego z czasów Księstwa Warszawskiego, pamiętnik (w dalszym ciągu) rodu Chreptowiczów, listy wydobyte z biblioteki hr. Przeździeckich i t. d. Mamy opisy podróży przygód i krajów. Dawna wice-królowa lady Dufferin maluje nam życie i stosunki w angielskich Indyach, hr. J. Potocki dopełnia tych wiadomości opisem polowań nad Gangesem. Swego czasu drukowany w naszym *Przeglądzie* opis Malty, przez ś. p. ks. Bartkiewicza, znalazł i tu gościnne przyjęcie.

„Obrazki z życia nad Nilem“ dają nam poznać kraj bogaty da-

wnych Faraonów; szkoda może, że redakcyja nie używała tutaj nieco hojniej ołówka, dla wykreślenia kilku szczegółów, szczegółików. Z zakresu pedagogii, podnieść wypada na pierwszym miejscu dwie prace hr. Wojciecha Dzieduszyckiego: o potrzebie religii w wychowaniu, o warunkach korzystnego wychowania młodego pokolenia. Druga z tych prac porusza myśli ważne, odnoszące się do reformy wychowania. Program autora streścić można w słowach: *mens sana in corpore sano*, a zasługą jego prawdziwą, że umiejętnie zebrał wszystko, czego potrzeba dzieciom, by były zdrowe, pojętne, uczciwe i kiedyś pożyteczne. Bardzo ładnie mówi autor o wierze, o pielęgnowaniu w dzieciach zarodka przyszłego charakteru; prawdziwie i rozsądnie o tem, czem jest emulacya, o ile między młodzieżą, w szkole, w wychowaniu znaleźć może zastosowanie.

Artykuły, jak „Zabawy dziecinne“, w których złotą prawdę o balach dzieci powiedziano, iż są one „jednym z najnierozsądniejszych wybryków mody“, lub inny: „Jak się bawić“ w domu, w kole rodziny, by się nie nudzić — zasługują również na wszelką pochwałę, a bardziej jeszcze na baczną uwagę.

W korespondencyach mnóstwo ciekawych, budujących nowości, szczegółów; dość wspomnieć list z Krakowa o schronisku brata Alberta; listy z Chicago o przyszłej wystawie; są jak dawniej echa z Paryża, Londynu, Rygi i t. d.; są nowości ze świata literackiego Francyi i Anglii, są „Więści polityczne“ i *Silva rerum*...

Czy po krótkim tem streszczeniu, raczej wyliczeniu głównych rozpraw i artykułów *Kroniki* w ostatnich dwóch latach, powtarzać jeszcze trzeba, że dobrze zadanie swe spełnia; że w ścisłym słowa znaczeniu odpowiada pięknemu swemu tytułowi? Nie zawiedzie się rodzina, która *Kronikę* tę za swoją uważać będzie; największa to chyba pochwała, najsilniejsza dla polskich katolickich rodzin zachęta do zapoznania się z tem równie zajmującym, jak pożytecznym pismem.

Ks. A. B.

SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Dwie przemowy papieskie. — Leon XIII. a Francya. — Kwestya rozłączenia państwa od Kościoła we Francyi. — Męczennicy chińscy. — Więźniowie Mahdiego. — Ks. arcybiskup Stabilewski w Berlinie i Gnieźnie. — Nowy pruski projekt szkolny.

DWIE PRZEMOWY
PAPIESKIE. W ostatnich kilku tygodniach Papież przemawiał dwa razy do kardynałów, a za ich pośrednictwem do wszystkich wiernych katolików. W allokucyi z 14 grudnia omawiał położenie Stolicy św. w oświeceniu bolesnych wypadków z 2 października; stwierdził wprost i wyraźnie, że dzisiejszy „umiarkowany“ rząd Rudiniego dąży inną może drogą, ale do tego samego celu, co „radykalny“ rząd Crispiego. „Umiarkowanymi“ nazywają się, chytrą w swą służbę zapręgli; ale jeśli o prawdę chodzi, rzeczą jest dowiedzioną, że jedni jak drudzy tego samego chcą, do jednego celu zmierzają... Prawda, opierają się zniesieniu pewnych ustaw, mających pozornie otaczać swą opieką Stolicę apostolską; ale opierają się dlatego jedynie, ponieważ zniesienie to wyszłoby na własną ich niekorzyść. Rozumieją doskonale, że ustawy te służą im do wytlumaczenia się na zewnątrz, do zabezpieczenia się na wewnątrz; że wreszcie w walce przeciw katolicyzmowi, bardzo drobną są przeszkodą... Niechajże wszyscy po świecie całym rozproszeni katolicy wiedzą

i rozważają, jak gwałtowna wojna wszędzie chrześcijaństwu wypowiedziana, jakie plany wrogowie Stolicy apostolskiej przeciw niej uknuli; niech ściśle z nami sercem złączeni, stawiają wytrwały, ciągly opór bezbożnym tym zapędom; niechaj wspólnie z nami, w Bogu przedewszystkiem, w dobroci Jego i potędze ufając, nadziei nie tracą“.

Druga przemowa, wygłoszona w dziesięć dni później, w odpowiedzi na życzenia złożone przez kolegium kardynalskie z okazji uroczystości Bożego Narodzenia, obraca się około dwóch, szczególnie Papieża interesujących i nie po raz pierwszy podjętych przezeń kwestyj: robotniczej i zniesienia niewolnictwa. Czemuż — musiał Ojciec św. znowu się użalać — czemuż ci, którzy najbardziej dopomagaćby nam winni w pracy nad rozwiązaniem pomyślnem obu tych kwestyj, wszędzie nam tylko przeszkody stawiają? Dlaczego nie pozwalają tysiącom robotników zbliżyć się do nas i posłuchać słów, głoszących pokój, sprawiedliwość i miłość; słów, przypominających równie pracodawcom, jak robotnikom, wzajemne obowiązki, które na nich ciążyą; wzywających nie do boju, ale do miłości skutecznej, w czynach się objawiającej? Jak to być może, aby znaleźli się ludzie, posuwający sekciarską zaciekłość aż do odepchnięcia najbardziej potrzebnej, niezbędnej pomocy Kościoła w dziele zniesienia niewolnictwa, i co ważniejsza w dziele uszlachetnienia nieszczęśliwych murzynów, obdarzenia ich wolnością synów bożych? A dlaczego pomoc tę odpychają? Bo lękają się nowych tryumfów dla Kościoła; drżą przed myślą, jaki nowy blask opromieniłby papieństwo w tych olbrzymich zapasach, toczonych bardziej jeszcze o dusze, niż o ciała. „Ale niech dzieje się co chce; papieństwo, choć wpośród trudności i przeszkód, nie zaniecha, jak nie zaniechało nigdy, nie wyrzeknie się opatrnościowego swego posłannictwa w świecie, nieść będzie i nadal: pokój, zbawienie, odkupienie i tym nawet, którzy przeciw niemu walczą“.

LEON XIII. Ostatnie słowa odnoszą się na pierwszym miejscu do
A. FRANCYA. Włoch; niemniej wszakże stosować się mogą i z pe-

wnością w myśli samego Papieża stosowały się zwłaszcza do

Francyi. Znający nieco lepiej historię dzisiejszego pontyfikatu nie mogą mieć w tym względzie wątpliwości. Jeśli kto, to Leon XIII. złożył jasne dowody pojednawczego swego usposobienia; nie jego wina, że Włochy tak brutalnie odrzuciły ofiarowany sobie pokój. Mówią o świeżo zamianowanym włoskim ministrze wyznań Chimirrim, jakoby on pragnął szczerze zerwać przynajmniej ze zbyt szorstko występującymi na jaw prześladowczemi tradycjami; jeśli to prawda, jeśliby sam Rudini odważył się wreszcie nie tylko w słowach, ale i w czynach być umiarkowanym, wtenczas i Papież zmieniłby niechybnie — o ile bez zwrócenia Rzymu prawemu swemu właścicielowi, o zmianie mowa być może — choć nie treść, to formę swych wystąpień. A dowodem na to, oznaką, jak bardzo Ojciec św. pragnąłby zażegnać wszelkie religijne wojny, aby religia i papiestwo mogły w pokoju pełnić bez przeszkód swe wzniosłe posłannictwo: „nieść ludom zbawienie i odkupienie“ — najlepszym na to dowodem pokojowa, niechętni mówią, aż do zbytku pokojowa polityka, względem francuskiej Rzeczypospolitej.

Polityka ta, zainaugurowana, a raczej może ogłoszona światu słynnym podziśdzień programowym listem kardynała Rampolli, różne przechodziła koleje; zmieniało się jej tempo, to szybsze, to powolniejsze, to tak powolne, że już pogrzeb jej zapowiadano; ale wbrew wszelkim niechęciom, wbrew z najróżniejszych stron powstającym trudnościom, żyje, rozwija się, prowadzona z żelazną konsekwencją, z niezem nie zrażającą się wytrwałością. Papieżowi — jak to niejednokrotnie wyjaśnił — chodzi o dobro Kościoła i tylko o dobro Kościoła; ponieważ obecnie niema żadnego prawdopodobieństwa, aby monarchia odzyskała swe prawa we Francyi; ponieważ zresztą Kościół pod każdą formą rządu może istnieć i rozwijać się: przeto katolicy stanąć muszą na gruncie konstytucyjnym, i marzeniami o jakiejś możliwej czy niemożliwej monarchicznej restauracji się nie ludząc, łączyć się do wspólnej obrony zagrożonych, religijnych interesów; zdążać do tego, aby dzisiejszą niechrześcijańską rzeczpospolitą zmienić w chrześcijańską. Wedle programu tego postępowali równie nuncjusze paryscy, od Czackiego począwszy, jak kardynał Lavigerie

i jego zwolennicy; program ten przed oczami mając, wyjaśnia nam się dopiero niejeden dziwnie zkadinał wyglądający krok rzymskiej dyplomacyi. Tak np. w Rzymie patrzono z widocznym niepokojem na proces i akcyę wywołaną procesem ks. Gouthesoularda; zaledwie wyrok sądowy ogłoszono, a już *Moniteur de Rome* wydał hasło: „Zamknijmy nawias, wróćmy do nieszcześliwie epizodem tym przerwanej, pokojowej polityki!“ Nuncyusz paryski mgr. Ferrata rozesłał podobno do biskupów okólnik, wzywający ich do wpływania uspakajająco na umysły, do zaprzestania zamierzonych manifestacyj na cześć zasądzonego arcybiskupa. Nie dość na tem! Gdy wskutek śmierci biskupa Freppela, opróżniło się krzesło poselskie, którego obsadzenie zależy faktycznie od komitetów rojalistycznych, organa rzymskie oświadczyły się bardzo stanowczo przeciw wyborowi nietylko już proponowanego w pierwszej chwili ks. Gouthesoularda, ale wogóle jakiegobądź biskupa lub księdza, „ponieważ wybrany przez rojalistów, musiałby on występować w izbie jako rojalista, a tem samem przyczyniać się do rozpowszechnienia błędnego mniemania: Kościół i kler jest naturalnym wrogiem rzeczypospolitej“.

Pojąć łatwo, jak wszystkie te fakty, te oświadczenia, musiały drażnić i gniewać monarchistów. Jeden z najskrajniejszych, niemniej energicznie i bezwzględnie machający słowem jak szpada, Paweł de Cassagnac, wystąpił w gazecie swej *l'Autorité* z gwałtowną napaścią na paryskich nuncyuszów, „dyplomatów, a niekapłanów, którzy francuskich katolików z lekkim sercem na łup rzeczypospolitej oddają“. Sam nawet hrabia Paryża uznał chwilę za dość ważną, aby osobiście wejść w szranki. „Wielkie interesa religijne we Francyi — pisał w liście wysłanym pod adresem hr. d'Haussonville — nie znajdują nigdy rzeczywistej gwarancyi pod rządami rzeczypospolitej; o szczerem pojednaniu pod rządami tymi mowy być nie może... Jedynie rozwój uczuć religijnych jest w stanie w nowoczesnych naszych społeczeństwach powstrzymać, a przynajmniej powściągnąć gwałtowne żądze, ruiną im grożące. Ale w pracy nad tym rozwojem, w spełnianiu boskiego swego posłannictwa, Kościół mieć musi wolność, której monarchiści

byli zawsze wiernymi, choć czasem zapozwanymi obrońcami; musi być pewnym, że rząd nie odmówi mu przynależnych względów, sympatyj, lojalnego współpracownictwa. Chrześcijańska Francya domaga się narodowej monarchii...“

Tak niestety! zamiast tyle pożądanego uspokojenia i pojednania, toczy się na całej linii coraz zaciętsza walka; manifesty idą po manifestach, krzyżują się oświadczenia, protesty, repliki, a tymczasem radykali kują coraz dłuższy łańcuch nowych, anty-religijnych praw; wciąż, i przez skrajną lewicę i skrajną prawicę na wszystkie tony przyzywane, choć przez wszystkich oczekiwane z trwogą, widmo rozłączenia państwa od Kościoła zbliżać się zaczyna, i niewyraźne jeszcze, ale coraz już widoczniejsze kształty przybiera. A czemu by było, jakieby skutki „rozłączenie“ to sprowadziło? „Kwestya to w chmury, w pioruny brzemienna — odpowiada roztropny *Temps*, tłumacząc, czemu również radykali, jak i wielu legitymistów za rozłączeniem wojuje, lub pozuje na to, że wojuje. — Z modną dziś formułką: „rozłączenie państwa od Kościoła“, ta sama jest historia, co i z tylu innymi formułkami, które w ostatnich czasach na wierzch wypłynęły. Najprostsza to w świecie etykieta; chodzi tylko o to, co podłożyć pod tę etykietę, a każdy podkłada, co jemu się właśnie podoba. Zatem zgoda przykładowa, ale pod warunkiem, aby nikt nie potrzebował bliżej się tłumaczyć; w dniu, w którym do wytłumaczenia się dojsłoby potrzeba, oglądalibyśmy nową wieżę Babel. A może w dniu tym wiele z odzywających się dzisiaj szkrupułów zniknęłoby bez śladu; może gwałtowniejsi sekciarze pociągnęliby, jak nieraz się dzieje, za sobą na drogę brutalnej dowolności większość niezadowoloną w gruncie z własnego swego dzieła, ale posłuszną sugestyi kilku umysłów zdecydowanych, kilku ludzi namiętnych na zimno“.

Podobnie, z nieco innego, niemniej dającego do myślenia kąta widzenia, zapatruje się na tę kwestyę *Le Journal de Bruxelles*:

„Jakie następstwa wypłynęłyby z rozłączenia? Dla państwa nieustanne, olbrzymie trudności w 40.000 gmin; ciągła agitacya, zamęt, waśnie, które uniemożliwiłyby zapewnienie usza-

nowania dla prawa, powagę państwa sprowadziłyby do minimalnych rozmiarów, rzuciłyby nas w toń anarchii. Dla Kościoła niepodobienstwo zastąpienia przez przeciąg 10, 20, może 50 lat, z niezbędną regularnością i pewnością 50 milionów zapisanych dziś w budżecie wyznań; obrządki religijne zawieszone w przeszło 20.000 gmin; niedowiarstwo wszędzie tryumfujące; nieobrachowane nieszczęścia, którym nie wiedzieć jak zaradzić, jak im przeszkodzić“...

Złożmy w jeden obraz uwagi paryskiego i brukselskiego dziennika, a dziwić się chyba nie będziemy, dlaczego Papież żadnych usiłowań nie szczędzi, wszystkich środków używa, byle oszczędzić Kościołowi i Francyi awanturniczych prób, które z pewnością mnóstwo niebezpieczeństw kryją, a nikt nie wie, do czego ostatecznie doprowadzić mogą.

MĘCZENNICZY
CHINCY.

Rząd chiński ogłosił następny urzędowy komunikat o strasznej rzezi chrześcijan w listopadzie r. z.:

„Dwa tajne stowarzyszenia, których członkowie wywędrowali z właściwych Chin do Mongolii, wszczęły tamże rozruchy w nocy z 18 listopada. Hasło buntowników brzmiało: „Śmierć cudzoziemcom! Śmierć chrześcijanom!“ Dwa te stowarzyszenia znane są pod nazwiskiem Tsin-Thau i Tsai-Li; bunt rozszerzył się wokoło Czaou-Yang-Tsien-Czang w prowincyi Ye-Hol. Liczba ofiar wynosi wedle najnowszych doniesień około 500; pomiędzy nimi znajduje się kilku księży, rodem Chińczyków. Pewien mongolski książę i wielu krajowców, nie należących do kościoła chrześcijańskiego, ulegli temu samemu losowi. W miastach Tsien-Czang i Puig-Tsuen obrabowano i spalono kilka kościołów. Cesarz za pośrednictwem Tsung-Li-Yamen (ministerjum spraw zagranicznych) nakazał telegraficznie generał-gubernatorowi prowincyi i dowódcę wojsk tatarskich w Mandżurji, wyruszyć natychmiast z piechotą i jazdą na miejsce buntu. Pierwszą, zwycięską potyczkę z powstańcami stoczyły wojska cesarskie d. 25 listopada. Obecnie wyruszyły liczne oddziały wojsk, dążąc z rozmaitych punktów do ogniska buntu. Władze miejscowe, równie jak wojskowi dowódcy, otrzymali bardzo surowe instrukcje,

mające na celu zapobieżenie dalszej rzezi chrześcijan i udzielenie opieki wszystkim misyjnym zakładom i budynkom“...

Od tego okólnika, nakreślonego z widoczną tendencją, aby, o ile można smutną prawdę *ad usum* europejskich rządów zmniejszyć i zakryć, odbijają boleśnie nadeszłe dotychczas listowne i telegraficzne sprawozdania misyonarzy. Mandżurski wikaryusz apostolski Rudgeers wysłał 21 grudnia do jednego z belgijskich przyjaciół lakoniczną depeszę: „Ojciec Mnin, ksiądz chiński i tysiąc chrześcijan zamordowanych za religię“. — „Rząd chiński — pisze biskup Anzer w obszernem sprawozdaniu — próbuje udawać, jakoby mu chodziło na seryo o przytłumienie niepoko-
jów. Dla nas, umiejących z długoletniego doświadczenia odczytywać właściwe zamiary rządu chińskiego, niema wątpliwości, że cała ta piękna, ostentacyjna gorliwość jest sobie poprostu komedią, odgrywaną dlatego, aby Chiny uchronić przed energiczną interwencją europejskich mocarstw, a może i dla zamaskowania własnych, głębiej i dalej sięgających planów. W całym państwie przeprowadzają z nami mandaryni ścisłe śledztwo; spisują nazwiska i liczbę misyonarzy, kościołów, ochron i t. d. Dzieje się to, jak utrzymują, w celu rozciągnięcia nad nami skuteczniejszej opieki; w rzeczywistości jednakowoż, śledztwa te prowadzone przez nieokrzesanych, wrogo usposobionych siepaczów, przekształcają się nierzadko w prześladowanie na mniejsze rozmiary. A choćby i rząd pragnął na seryo złe zdusić, czy rząd dzisiejszy, czy starością osłabiona, napół zdziecinniała we wszystkich swych członkach dynastia, ma dosyć siły, aby zapanować nad rewolucyjnymi żywiołami? Bardzo o tem wątpimy. Kto w czasie kilku ostatnich dziesiątków lat śledził bacznie bieg wypadków w tej części Azji, tego wybuch gwałtownej katastrofy nie zadziwiłby ani na chwilę. Materyały zapalne gromadzą się i w głąb przedostają coraz szybciej, coraz dalej; oddawna czuliśmy, że ziemia drży nam pod stopami, niby pokrywa potężnego wulkanu. Każdej godziny może żarząca się lawa zerwać ostatnie więzy, szerokim strumieniem popłynąć. Dziś, zdaje mi się, stoimy przed decydującą, krytyczną chwilą, jakiej dzieje wielkiego tego państwa oddawna nie widziały“.

WIEŹNIOWIE
MAHDIEGO.

Dziesięć lat temu, w ślady zdawało się dawnych Mahometów, Osmanów wstępujący, legendowe wówczas przybierający rozmiary Mahdi, zabrał w niewolę liczny stosunkowo zastęp Europejczyków, a między nimi kilku misjonarzy, kilka zakonnic. Rządy europejskie niewiele nieszczęśliwym tym pomódz mogły: Anglik Lupton umarł w niewoli; Slatin, podobnie jak Niemiec Neufeld, dotąd w niej jęczą. Gdzie potęga rządów nie miała znaczenia, gdzie dyplomatyczne noty i groźby żadnegooby nawet wrażenia nie wywarły, tam przedarła się i wszystkie przeszkody zwyciężyła miłość chrześcijańska. Wikaryusz apostolski Sogaro, pracował począwszy już od r. 1884 niezmordowanie, choć z niezbędną roztropnością, nad uwolnieniem więźniów. W r. 1885 udało mu się oswobodzić Ojca Bonomi; w roku następnym dwie zakonnice; w r. 1887 zakonnego brata Izydora Locatelli; wreszcie w listopadzie roku zeszłego, Tyrolczyka ks. Józefa Ohrwaldera i dwie zakonnice: Katarzynę Chincavini i Elżbietę Venturini. Sam O. Ohrwalder w obszernem sprawozdaniu, przesłanem kardynałowi Gruszy, opisał ucieczkę tę pełną ciekawych przygód; nakreślił stan dzisiejszego państwa Mahdystów, toczące je waśnie, nadzieje, plany i bojaźnie panujących Kalifów; opisał miasto Omdurman, w którym lat dziesięć musiał przymusowo spędzić. W niewoli pozostają jeszcze: Don Paweł Rossignoli, Józef Regnotto, Teresa Grigolini; panowie Slatin i Neufeld, 19 Greków, 8 Syryjczyków, 8 Żydów. Syn konsula Hansala umarł przed trzema latami w Galabet; Ernest, dwunastoletni chłopiec, syn p. Marno, żyje z matką swą Katarzyną w Omdurman.

ARCYB. STABLEW-
SKI W BERLINIE
I GNIEŹNIE.

Zwyczajem od r. 1866 nie praktykowanym, złożył nowomianowany arcybiskup gnieźnieńsko-poznański, ks. Stablewski, przysięgę homagialną w ręce nie zastępcy cesarskiego, ale samego cesarza; złożył przy roztoczeniu niezwyklego zewnętrznego przepychu, wobec trzech ministrów, kilku generałów i dworskiej świty. Ks. arcybiskup w przemówieniu swem wyraził najprzód i przedewszystkiem wdzięczność dla Boga, iż ułatwił mu spełnianie trudnych pasterskich obo-

wiązków „przez wielkie, iście królewskie serce W. Cesarskiej i Królewskiej Mości, który wszystkich swych poddanych otacza równą miłością i ztąd tem większe ma prawo żądać od wszystkich nietylko zewnętrznego posłuszeństwa, ale i czci i uległości, z miłości płynącej... W. Cesarska i Królewska Mość pojąłeś jasno i odważnie, jak zaiste żaden dotychczas monarcha, wielkie zadanie czasów tak groźnych, jak dzisiejsze, i wskazałeś na religię, jako na niewzruszone ogniwo, skupiające i wspierające ludzkość. *Stat crux, dum volvitur orbis*. Spoglądam przeto, jako biskup katolicki w państwie pruskiem, z całym spokojem i ufnością w przyszłość, gdyż silnie jestem przekonany, iż religijne i kościelne interesa wszystkich katolickich poddanych W. Cesarskiej i Królewskiej Mości, a więc i interesa moich dyecezyj, doznają potrzebnej pieczy i opieki w królewskim Twem sercu...”

Cesarz, słuchając tej mowy, przytakiwał kilkakrotnie głową, a następnie w odpowiedzi swej zaznaczył z szczególnym przyiskiem potrzebę zgody między Niemcami a Polakami. „Mam niezłomną nadzieję, iż uda Ci się, o ile to od Twego urzędu zależy, pogodzić sprzeczności, które u synów jednego i tego samego kraju nie mają racyi bytu; że wśród dyecezyan poruczonych biskupiej Twej pieczy, żywić i pielegnować będziesz ducha czci i wierności dla mnie i mego domu, posłuszeństwa względem Boga i prawowitej władzy, poszanowania dla ustaw krajowych, jakoteż zgody pomiędzy mieszkańcami tego państwa. Nadzieję tę żywię z tem większą ufnością, ponieważ zasady te wygłosiłeś bez trwogi jako swoje własne, a tem samem dałeś mi rękojmię, że arcybiskupia władza spoczywać będzie w silnych, wiernych i sprawiedliwych rękach”.

Cała ta uroczystość, obie przemowy, natychmiast w *Reichsanzeigerze* ogłoszone, zrobiły wszędzie, ale przedewszystkiem podobno w berlińskich kołach parlamentarnych, wielkie wrażenie. Wrażenie to spotęgować się musiało wspaniałemi trzydniowemi uroczystościami z powodu konsekracyi ks. arcybiskupa w Gnieźnie; a że nie wszystko na samych tylko uroczystościach ma dla nas — i jako katolików i jako Polaków — polegać i kończyć się, tego znakiem i dowodem znany już z dzienników w głów-

wnych zarysach nowy projekt szkolny. Projekt ten pod względem religijnym czyni znaczne ustępstwa, wraca bowiem bardzo wyraźnie do szkoły wyznaniowej; pod względem narodowym nie czyni wyraźnej koncesyi, ale przynajmniej furtkę otwiera, przez którą „za pozwoleniem ministra“ i przy dobrej jego woli, możliwem będzie wprowadzenie języka polskiego.

Ks. Jan Badeni.

O reformie nauki religii w naszych gimnazyach.

Usilność, cechująca w ostatnich latach usiłowania Najprzewielebniejszego Episkopatu austriackiego w sprawie zreformowania nauki religii w naszych szkołach średnich, świadczy dobitnie, że książęta Kościoła i bez wzywań ze strony rządów lub prasy czuwają bacznie nad wszystkim, co wywiera na stosunki chrześcijańskiego społeczeństwa wpływ ważniejszy. Że sprawę poruszoną uważa Najprzew. Episkopat za rzecz bardzo ważną i dokładnej wymagającą rozważy, pokazuje się i ztąd, bo z dziwną skrzętnością zbiera opinie wszystkich fachowych katechetów w Austrii, i domaga się nie tylko ścisłego doboru przedmiotów, ale i metodycznych wskazówek nauczania. Żal doprawdy, iż takie dzieła, jak ks. Zoellera: *Zur Reform des katholischen Religionsunterrichtes an unseren Mittelschulen* (1889) i *Die Reform des Religionsunterrichtes a. u. Mittelschulen* (1891), nie są znane w szerszych kołach świeckich pedagogów; przekonalyby ich, jak trafnie i głęboko pojmują sprawę nauczania, oraz naturę i zadanie każdego przedmiotu katechezy katolicy, i usunęłyby niejedno mylne zapatrywanie. Sprawa niebawem doczeka się rozstrzygnięcia; czyż zatem nie mamy pragnąć, aby i pod względem formalnym jak najdodatniej wypadła? czyż nie powinien każdy dorzucić owych kilku cegiełek, o których sądzi, że do wykończenia i upiększenia budowli przydać się mogą? Mamy nadzieję, że może jeszcze sfery kompetentne raczą zwrócić uwagę na kilka rzuconych tu myśli.

Słabą stroną dzisiejszego ustroju szkół średnich stanowi nieusprawiedliwiony dostatecznie podział na gimnazyja niższe i wyższe. Pierwotnie uzasadniano ten podział względami ekonomii społecznej,

chcąc dać podstawę do zawodów wymagających średniego wykształcenia intelektualnego; dziś, jak wiadomo, powód ten stracił niemal rację bytu, bo w zawodach, w których przedtem domagano się ukończenia klasy 4-tej (lub nawet 2-giej), dziś już domagają się ukończenia klasy 6-tej! Jakżeż zaś arbitralnym jest podział dzisiejszy, odnośnie do psychologicznego rozwoju uczniów! Któż zaprzeczy, że do 12-go roku włącznie przeważa (wogóle) u chłopców poznanie czysto pogładowe i pamięć mechaniczna? Któż zaprzeczy, że dopiero od 16-go roku życia — mówiąc wogóle — zaczynają uczniowie samodzielnie i logicznie posługiwać się rozumowaniem? Lata pośrednie (12—16) są nacechowane przewagą wyobraźni, która pod względem moralnym pobudza do niekarności i wytwarza znane *Flegeljahre*, a pod względem intelektualnym usposabia stopniowo do abstrahowania. Dłaczegóż owemu naturalnemu rozwojowi poglądu, wyobraźni, rozumu, nie ma także odpowiadać dobór przedmiotów i metody nauczania? Dziś, kiedy uczeń dopiero kończąc dziesiąty rok życia wchodzi do gimnazjum, powinien w kl. I. i II. uczyć się więcej pogładowo, a natomiast w kl. VII. i VIII. rozwinąć się idealnie, filozoficznie — podział na gimnazjum niższe i wyższe nie ma żadnej ścisłej racji bytu, owszem utrudnia plan, utrudnia i naukę, zwłaszcza gdyby w kl. V. chciano już uczyć metodą umiejętną. Kto wie, czy niejeden uczeń, którego dziś gimnazjum odrzuca, jako niezdatnego, nie mógłby się wspaniale rozwinąć, gdyby uwzględniono owe lata pogładowe, owo przejście ze szkoły ludowej do szkoły średniej? Z drugiej strony zdaje się nie ulegać wątpliwości, że macoszne traktowanie propedeutyki filozoficznej i wogóle zaniedbanie kształcenia filozoficznego w dwóch najwyższych klasach, jest również piętą Achillesową naszych szkół średnich, i przywodzi profesorów uniwersytetu do narzekania na niedostatecznie rozwinięte audytoryum.

Wobec poważnych głosów, które w tej sprawie sąd już wypowiedziały (nie wyjmując i ławy ministerjalnej), zdaje się też być rzeczą pewną, że ów biurokratyczny podział gimnazjów dzisiejszych nie ostoi się długo. Dłaczegóż więc przy układaniu planu nauki religii nie mielibyśmy odstąpić od niego, a oprzeć rozkład materyału na psychologicznym rozwoju uczniów? Słusznie, by Kościół i nauka religii wskazywały tu drogę postępu innym przedmiotom tak, jak ją niejednokrotnie w dziejach oświaty wskazywały! Hasło owo tem śmieiej i chlubniej podnieśćby nam należało, że ono już ma prawo obywatelstwa w Kościele, bo niem właśnie kierował się Kościół przed wprowadzeniem dzisiejszego ustroju do gimnazjów. Wiadomo, że hasłem tem powo-

dowali się i OO. Jezuici w swoich zakładach, z tą jedynie różnicą, że na naukę filozofii przeznaczali trzy lata; do zarzutów też przeciwko nim okazyę dawali tylko ci uczniowie, którzy opuszczali zakład, nie kończąc kursu filozoficznego. Nie mówimy, aby teraz kl. VII. i VIII. zamienić na ścisły kurs filozoficzny, ale bronimy stanowczo potrzeby większego uwzględniania filozofii, niż to dziś ma miejsce.

Jakżeż przedstawiałby się wobec tego jednolity plan nauki religii?

W kl. I. i II. należałoby przerobić z powodów trafnie już przez referentów sprawy omówionych, Dzieje biblijne Starego i Nowego Zakonu, przypominając jednak przy każdej sposobności definicje katechizmu, jakich uczniowie uczyli się w szkole ludowej, oraz obrzędy kościelne, i poświęcając odpowiednią ilość godzin na dobre przygotowanie do spowiedzi i Komunii św. W ten sposób ów stopień poznania poglądowego stanowiłby dla siebie pewną zaokrągloną całość.

Na stopniu średnim, obejmującym cztery lata nauki, najkorzystniej byłoby wyuczyć katechizmu i historii kościelnej, a to:

a) w kl. III. nauki o wierze (o składzie apostolskim):

b) w kl. IV. nauki o przykazaniach, grzechach i cnotach;

c) w kl. V. w I. kursie nauki o łasce, sakramentach, sakramentaliach, modlitwie i obrzędach, ze ścisłym uwzględnieniem liturgiki. W kursie II. uczniowie powtórzyłyby powinni cały katechizm.

d) Na kl. VI. przypada nauka historii kościelnej.

I ten stopień zatem stanowiłby nietylko dokładnie zaokrągloną całość, ale zarazem dałby skuteczniejszy wyraz przyznawanej przez wszystkich pedagogów Kościoła ważności i konieczności gruntownego wyuczenia katechizmu.

Dotychczasowe projekty zgadzają się przeważnie na nauczanie katechizmu w kl. III. i IV., przeznaczając dla kl. V. i VI. albo studjum dogmatyki ogólnej i szczegółowej (jak dotychczas) z pewnemi modyfikacyami, albo (ks. Zoeller) naukę historii kościelnej i dogmatyki szczegółowej. Podział ten podyktowany, jest widocznie dualistycznym ustrojem gimnazyów; pojawiły się jednak głosy (dr. Jougan, „W sprawie reformy nauki religii w n. szkoł. śred.“, 1891), które mimo dualistycznego ustroju domagają się nauki liturgiki w kl. V., a nauki historii kościelnej w kl. VI.; owszem, główny nawet wnioskodawca (ks. Zoeller) motywuje przeznaczenie historii kościelnej w kl. V. nietylko jej związkiem z kursem studyów wyższego gimnazjum, jak raczej słusznym względem na konieczne zaokrąglenie w ten sposób i uzupełnienie przewodniej myśli katechizmu. Wywody te mi-

mowoli wydają świadectwo, że rozpoczynanie nauki umiejętnej już w kl. V. nie odpowiada celom dydaktycznym. Przeprowadzona w tej mierze pisemnie dyskusja referentów konsystorskich wykazała dobitnie, że studium dogmatyki ogólnej jest dla uczniów kl. V. zbyt trudnem, i zamiast pożytecznych, niedobre tylko wydaje owoce. To właśnie przekonanie, że owego studium niepodobna z pożytkiem przerobić ani w kl. V., ani w kl. VI., a zarazem świadomość jego niemałej ważności, nakłoniły wiele ordynaryatów biskupich do oświadczenia się za nauczaniem go w kl. VII. lub VIII., chociażby nawet już po przerobieniu dogmatyki szczegółowej i etyki. W rzeczy samej nauka dogmatyki w kl. V. i VI. zniechęcała uczniów swą ścisłością i nieprzystępnością, a zamiast utwierdzać ich we wierze, uczyła nieraz zarzutów i wątpliwości, bo łatwiej zrozumieć zarzut, polegający na zestawieniu pierwszych lepszych cech powierzchownych, aniżeli zbicie zarzutu, domagające się gruntownego w jądro rzeczy wnikięcia.

Jakżeż inaczej rzecz się może przedstawić, gdy uwzględniając stopień przewagi wyobraźni, przeznaczymy nań naukę katechizmu i historii kościelnej! Oczywiście katechizm musi być powiększony w myśl wielkiego katechizmu Deharbe'a, i uwzględnić ściśle tok i definicje katechizmu ludowego w kołach koncentrycznych; życzyłoby sobie należało, aby na końcu, gdzie mowa o obrzędach, dodano doń zwięzłe wyjaśnienie miejsc kultowi poświęconych, z wzorami stylów budownictwa kościelnego, oraz pouczenie o naczyniach świętych i szatach liturgicznych. W ten sposób wytrąci się zupełnie broń z ręki bezwzględnych obrońców nauczania liturgiki z osobnego podręcznika. Rozdzielenie materii katechizmowej na trzy lata nauki nie byłoby także całkiem nowym eksperymentem, boć wszakże w kazaniach katechizmowych z reguły na trzy lata rozkłada się wykład katechizmu; wszak to samo czyni się w trzecholetniej nauce dopełniającej w szkołach ludowych, wogóle w prastarych katechizacyach niedzielnych dla młodzieży. Ta praktyka odwieczna wskazuje zarazem i sposób nauczania katechizmu na tym stopniu, sposób całkiem odmienny od nauczania malców w szkole ludowej, a tak interesujący, iż, jak wiadomo, inteligencya nawet z chęcią nieraz na owe katechizacje uczęszcza. Jeśli jednak wykład katechizmu ma rzeczywiście prawdy głębiej wyjaśnić i całą ich piękność i praktyczną doniosłość ukazać, przez skrętne nawiązywanie z dziejami biblijnymi, z liturgią Kościoła i z życiem praktycznem Kościoła w przeszłości i w obecnych stosunkach, jeśli ma skutecznie poruszyć serce i wolę, to niepodobna katechizmu ograniczyć na dwa lata nauki, zwła-

szcza, że doniosłość owych prawd domaga się obrócenia sporo czasu także na memoryzowanie i powtarzanie. Gdybyśmy wykładali katechizm sucho i pospiesznie, to zniechęcimy tylko uczniów, utrudnimy im bardzo przejęcie się nawskróś prawdami chrześcijańskimi, a ostatecznie i w pamięci na całe życie katechizmu nie utrwalimy.

Plan szczegółowy powinienby, zdaniem naszym, przy nauczaniu Składu Apostolskiego (w kl. III.), mianowicie przy artykule X., uwzględnić wyjaśnienie działalności Ducha św. w duszach ludzkich, przez zalecenie, aby tu brano naukę o łasce (z trzeciej części katechizmu). Gdy nadto przy odnośnych artykułach wiary zwróci się uwagę na wynikające z nich obowiązki moralne, oraz na uzmysłowienie ich czy to w symbolice Kościoła, czy zwłaszcza w roku kościelnym, to klasa ta przecież objęłaby pewną niewielką, ale zaokrągloną całość. W kl. IV. dobrzeby było pierwszy miesiąc nauki użyć na gruntowne powtórzenie pensum poprzedniego roku, i uczyć nauki moralności z nawiązywaniem częstem do kazania na górze, do mowy we wieczniku i do przypowieści (podobieństw) ewangelicznych, a zwłaszcza ze starannem kształceniem sądu sumienia. Należałoby tu wcielić z trzeciej części katechizmu naukę o obowiązku i sposobach modlitwy, oraz uwzględniać wszędzie liturgię. Wobec tych danych zdaje się, że jeden kurs w kl. V. wystarczy na przerobienie trzeciej części katechizmu, ze staranniejszem jeszcze uwzględnieniem liturgiki. Powtarzanie całości w kursie drugim ma nie tylko utrwalić rzecz w pamięci, ale i skupić ją w systematyczną całość; rozszerzyć objaśnieniami gruntowniejszemi (już przez samo porównanie prawd poznanych), które dla ich zawiloci trzeba było w klasach poprzednich podać tylko plastycznie; zestawić razem poznane wyjaśnienia liturgiczne i przysposobić tło do nauki historii kościelnej. Będzie to praca może niezbyt łatwa, bo lwia jej część musi wziąć na się katecheta, jeśli nie chce przeciążyć uczniów, ale zapewni ona dopiero katechizmowi ten trwały wpływ praktyczny, jaki on rzeczywiście mieć powinien. Historia kościelna w kl. VI. ma pod względem formalnym stanowić przejście od nauki średniej do umiejętności, więc z jednej strony ma traktować rzecz więcej życiorysowo, czyli w tak zwanych obrazkach, z drugiej zaś strony uwzględniać przecież i pragmatykę, a nawet w sposób do umiejętnego zbliżony przerobić pozytywnie kilka najważniejszych wypadków, które historia świecka zazwyczaj w odmiennem przedstawia świetle. Zresztą należyte poznanie prawd religii (z katechizmu) ułatwi uczniom bardzo zrozumienie dziejów Kościoła.

Klasy VII. i VIII. powinny stanowić dla siebie odrębny, zao-
kraglony stopień nauki, stopień obliczony na przewagę rozumu, więc
i w doborze treści i w doborze metody uwzględniający wymagania
umiejętności. *Non multa, sed multum!* Niech uczniowie poznają tylko
najważniejsze, podstawne prawdy, ale niech je poznają gruntownie, na
tle filozoficznym, niech wyrobią sobie przekonanie, że Objawienie chrze-
ścijańskie nie lęka się wiedzy gruntownej, że podstawą zarzutów bywa
albo złe życie, albo brak wiedzy. W tym celu niech przerobią
gruntownie w kl. VII. naukę wiary, a w kl. VIII. naukę obyczaj-
jów, jak tego domagali się już ks. dr. Lenkiewicz i ks. dr. Jougan.
Narzekania na apatyę uczniów w kl. VIII. upadną, gdy wprowadzony
będzie — a wprowadzonym być powinien — egzamin maturyczny także
z nauki religii, pod który jednak radzibyśmy podciągnąć tylko pen-
sum kl. VII. i kl. VIII. Tak przysposobieni uczniowie — jeśli w parze
z tem pójdzie i prowadzenie ich religijno-moralne — znajdą z pewno-
ścią w umysłach swoich równowagę niezbędną między wykształceniem
w innych naukach, a wykształceniem w nauce religii, a Kościół i spo-
łeczeństwo zyska podstawę do wytworzenia szeregów katolickiej in-
teligencji.

Czyż zatem ma odpaść apologetyka, tak świetnie broniona we
wielu projektach reformy?

Nie zaprzeczamy jej ważności, ale — sądząc zresztą, że wszyscy
domagamy się jej traktowania pozytywnego, tetycznego, na sposób
teologii fundamentalnej — stosownie do naszego założenia, pragniemy,
aby ona przypadła nie nadliczbowo w kl. VIII., ale tam, gdzie jest jej
miejsce w porządku umiędzynym, tj. w kl. VII., przed szczegółową nauką
wiary. Jako wstęp do niej zamieścićby można krótkie pouczenie o czte-
rech źródłach wszelkiego poznania ludzkiego (o doświadczeniu, rozu-
mie, powadze ludzkiej, powadze bożej), o granicach i rodzajach pe-
wności, jaką w nas wyrabiają, i odnośnie do religii pouczyć, że we-
dług nauki soboru Watykańskiego, musimy najpierw przez dwa pier-
wsze źródła wytworzyć sobie pewność o t. zw. *praeambula fidei*, — przy
pomocy trzeciego źródła upewnić się o rzeczywistości i nienaruszalności
Objawienia Bożego, — a następnie przyjmować już koniecznie z wiarą
niewzruszoną wszystko, co Bóg objawił. Ktoby mimo to nie wierzył,
nietylko grzeszy, ale postępuje nieracjonalnie.

Następnie należałoby z czynności duszy, a zwłaszcza z jej wol-
nej woli, dać poznać istotę duszy, jej wyższość nad zwierzętą, oraz

jej nieśmiertelność, i dopiero teraz wspomnieć o teorii Darwina, obalając ją pojęciem istoty duszy, a w dalszym rzędzie wskazaniem na jej bezpodstawność naukową nawet co do pochodzenia ciała ludzkiego od małp, na świadectwa Virchowa, na bezpodstawność hipotez o przemianie rodzajów, o powstaniu życia z materji, wreszcie na logiczną błahość owych teoryj. Wyjaśnienia te dadzą zarazem podstawę do dowodu kosmologicznego na istnienie Boga, wzmocnionego wykazaniem, że materya nie może być wieczną, i że ruch musi mieć swój początek. Nawiązując roztrząsanie celowości w naturze, oraz istnienie sumienia, wykaże się jasno nietylko istnienie Boga, ale i doskonałości, jakie Bóg mieć musi, i sprzeczność wielobóstwa. Wypada następnie pouczyć o religii naturalnej, przyczem pojęcie jej przedmiotowe lepiej określić (za Stöcklem) jasno, jako zarządzenie boże, które musi obejmować: *a)* prawdy do połączenia z Bogiem się odnoszące, których poznanie pośrednie Pan Bóg ludziom umożliwia; *b)* prawa przez Boga dane, od których wypełnienia owo połączenie zawisło (prawo natury, sumienie); *c)* środki zmysłowe, jako akty kultu religijnego przez Boga umożliwione (ofiary, modlitwy publiczne i uroczystości religijne). Jako pojęcie podmiotowe powinna religia obejmować z naszej strony: *a)* badanie owych prawd; *b)* wypełnianie obowiązków; *c)* używanie środków kultu. Uwydatnienie to jest rzeczą ważną, bo czysto subiektywne pojmowanie religii (teoretycznej i praktycznej) spowodowało dziś mnóstwo błędnych zapatrywań, a nawet niewłaściwych państwowych urządzeń. Następnie omówić należy potrzebę Objawienia, jego możliwość i dowody zewnętrzne (cuda, procektwa).

Aby wykazać rzeczywistość Objawienia, potrzeba omówić zwięźle, ale bardzo gruntownie wiarogodność i nienaruszalność ksiąg Pisma św., z nich udowodnić Bóstwo Chrystusa Pana i założenie, oraz atrybucje Kościoła. Nie potrzeba nawet całego kursu, aby te prawdy przejść gruntownie, oczywiście w zakresie odpowiadającym rozwojowi uczniów; chociażby jednak cały pierwszy kurs na ich wykład był użyty, to czas ten najpożyteczniej został zużytkowany, bo ściśle zestawienie owych prawd uczyni wiarę ucznia rozsądną i da mu poznać siłę dowodów z Pisma św. i z tradycyi. Zarzutów nie należałoby tu podnosić, bo sądzimy, że uczniowie sami w razie wątpliwości przedłożą je katechecie do rozwiązania. W drugim kursie wystarczy powtórzyć dogmatyczne prawdy katechizmu (z opuszczeniem pytań, a rozszerze-

niem ważniejszych definicji), pogłębiając je odpowiednio i zwracając uwagę na siłę dowodową odnośnych tekstów.

W kl. VIII. przerobić należy naukę obyczajów znów w sposób umiejętny, zaczerpnięty z teologii moralnej, z apologetycznym uwzględnieniem (tetycznie) grasujących dziś najgłówniejszych błędnych systemów, przyczem jednak obowiązki szczegółowe, względem Boga, siebie samego i bliźnich, należy podać na tle dekalogu, aby się oprzeć ściśle na toku i definicjach katechizmowych. Etyka należycie traktowana a kazuistykę uwzględniająca, może się stać nietylko przedmiotem nader zajmującym, ale też może przysposobić Kościołowi, narodowi i państwu obywateli, świadomych swych szczytnych obowiązków i usposobionych do sumiennego ich spełniania.

Czyniąc w ten sposób katechizm odpowiednio do rozwoju uczniów przedmiotem nauki we wszystkich klasach gimnazyalnych, zapewni się nauce religii trwałe rezultaty. Jednolitość ta wydaje się nam koniecznie potrzebną; bo uczy smutne doświadczenie, że uczeń w każdej klasie w innym układzie i w innem brzmieniu prawdy religijne przerabiający, wytwarza sobie w umyśle istny chaos, tak dalece, iż po skończonem gimnazjum mniej nieraz zna prawdy religijne, niż je znalazł po ukończeniu szkoły ludowej! A więc... *non multa, sed multum!*

W rozprawie tej z rozmysłu uzasadniane są tylko te myśli, które w referatach różnych konsystorzy nie były dosadniej uwidocznione. Piszący byłby uszczęśliwionym, gdyby przynajmniej niektóre z nich wytrzymały krytykę ogólną i przyczyniły się do korzystnego zreformowania nauki religii w naszych gimnazyach.

Ks. W. Gadowski.

List z Wiednia.

Reformy społeczno-polityczne. — Tanie mieszkania dla robotników. — Braki jednośnej ustawy. — Ustawa o rejestrowaniu kas wzajemnej pomocy. — Nowela o górniczych kasach brackich. — Zapowiedziane reformy kodeksu karnego, sądownictwa i procedury cywilnej. — Krzyczące braki i potrzeby. —

Na czym głównie polega kwestya socyalna w Austryi?

Płodną w prace reformacyjne na polu społeczno-politycznem zapowiadała się nowa Izba poselska parlamentu austriackiego. Pod takim hasłem wybrana została, a hasło to zyskało sankcyę w mowie od tronu. Nie można też bynajmniej odmówić Izbie wszelkiej gotowości do prac takowych, a że mimo to wszystko rezultaty są dotychczas bardzo skąpe, przypisać to trzeba brakowi rażnej, roztropnej, a przede wszystkim kompetentnej inicjatywy. Ta zaś należy wyłącznie do rządu, jeżeli dzieło reformy ma być budową opartą na racjonalnych podwalinach i przeprowadzoną w szczegółach swych wedle organicznego systemu. Wielka reforma organiczna wrzynałaby się, i to nawet bardzo głęboko, w zakres rozlicznych wydziałów rządowych, co najmniej następujących: ministerstwa spraw wewnętrznych, ministerstwa sprawiedliwości, ministerstwa rolnictwa, ministerstwa handlu i nakoniec, acz wcale nie w najmniejszej mierze, ministerstwa skarbu. Zarys takiej reformy, główna idea jej, mogłaby wyjść od kogobądź, ale plan generalny i kompleks wypływających z planu projektów ustaw szczegółowych, mógłby wypracować sam tylko rząd. Tymczasem zdaje się, że rządowi nawet nie zabłysła jeszcze idea gruntownej, racjonalnej, systematycznej, organicznej reformy społeczno-politycznej. Mówimy wyraźnie: reformy, w liczbie pojedynczej; bo o reformach, w liczbie mnogiej, rząd myśli, nie troszcząc się jednak o powiązanie ich między sobą, o nadanie im jednej a silnej podstawy, ani też nie łamiąc sobie głowy, czy kilka wniesionych już lub niewniesionych jeszcze do parlamentu projektów wystarczy całej potrzebie reform. Ale i z pomiędzy projektów zapowiedzianych bez takowego planu reformacyjnego, rząd dotychczas żadnego ważniejszego nie wniósł, mimo że Rada państwa przeżyła już dwa przedłuższe okresy nowej kadencji.

Z własnej inicjatywy Izby w dwu okresach tych doszły do skutku dwie społeczno-polityczne ustawy specjalne: jedna o popieraniu budowlu na tanie mieszkania dla robotników, druga o rejestrowanych

kasach wzajemnej pomocy. Popieranie budowli domów na tanie mieszkania dla robotników ma działać się sposobem zwolnienia tych domów od podatków państwowych, krajowych i gminnych na lat dwadzieścia i cztery. Ponieważ wniosek o wydanie tej ustawy wyszedł był od Żyda, reprezentanta kapitalizmu, przeto ze strony antysemickiej podczas rozpraw nad nim powiedziano: *Timeo Danaos et dona ferentes*; Żydzi i kapitaliści chcą stworzyć sobie tylko nową sposobność do lokowania kapitału, w celu większego jeszcze, niż dotychczas, wyzyskiwania robotników. Można podejrzliwość tę uznać za zbyt daleko posuniętą, a jednak z brzmienia samej ustawy, wydanej nie już przez Żyda-kapitalistę, lecz przez Izbę poselską, Izbę wyższą i rząd, wolno wysnuć konkluzye niepokojące. Lubo w jednym z paragrafów ustanowiono normy maksymalne (wedle kwadratowego metra powierzchni mieszkania) dla komornego, jakie z tych domów robotniczych pobierać wolno, samo ograniczenie zwolnienia ich od podatków na lat 24, stanowić będzie dla właścicieli pokusę do zamortyzowania kapitału nakładowego właśnie w tych 24 latach, tak, aby od chwili gdy zacznie się powinność podatkowa, dom nie już nie kosztował, krom niewielkich kosztów konserwacyi. Mimo maksymalnych norm komornego, właściciel koszar robotniczych, zwłaszcza jeżeli będzie nim sam fabrykant, mający robotników w swym ręku, znajdzie sobie sposoby na ułatwienie i przyspieszenie amortyzacyi kosztem mieszkańców, a nadto już przy samej budowli baczycь będzie na to, żeby koszt był jak najmniejszy, co niekorzystnie wpłynie na jakość koszar pod względem wygody, higieny i nawet bezpieczeństwa. Obawa ta nie jest próżna; okazałe nowe kamienice wiedeńskie, wzniesione przed dwudziestoma laty, w okresie spekulacyi budowniczej, szczególnie te, które zbudowane są przez architektów na własny rachunek, w celu spekulacyjnym, znajdują się w takim stanie, że tu powalę, ówdzie podłogę, indziej kozły pod dachem i t. d. trzeba dawać nowe, bo stare zawaleniem grożą; nieraz schody kamienne zapadają się przez wszystkie cztery piętra¹; w pokojach niższych piątr światło przez cały dzień nie gaśnie; przewiewy wciskają się do mieszkania nie tylko przez okna, choć podwójne, lecz i przez mury, jak przez rzeszoto. Takich niespodzianek i przyjemności zaży-

¹ Byłem świadkiem wypadku, że pod architektem wstępującym na ostatnie progi schodów czwartego piętra kamienicy, którą sam był zbudował, schody się załamały od góry aż do dołu; w innym razie zdarzyło się to pod ciężarem fortepianu.

wamy za niepospolicie drogie komorne, przy najwspanialszych bulwarach i ulicach wiedeńskich; cóż pomyśleć o koszarach robotniczych?! a wszakże nie tylko tanie, lecz i wygodne, zdrowe i bezpieczne mieszkania robotnicze należą bezsprzecznie do kwestyi socyalnej.

Ale do kwestyi socyalnej należą przecież nie tylko robotnicy w zwykłym tego wyrazu znaczeniu, lecz i owa może równie liczna, może nawet liczniejsza klasa ludzi: niższych urzędników, dyetaryuszów, pisarków, woźnych i t. p., która średnio w jeszcze gorszych żyje warunkach, niż robotnicy fabryczni i rzemieślnicy. Czemuż tę ogromnie liczną klasę wyjmuje się zpod dobrodziejstwa tanich mieszkań? Można było uwzględnić ją w ustawie tem więcej, iż wolne od podatków domy wedle ustawy mogą budować nie tylko chlebowodawcy, lecz także spółki i korporacye, nie będące z robotnikami w żadnych stosunkach. Gdyby kto np. wystawił wielki dom nie tylko na tanie, lecz nawet na całkiem bezpłatne mieszkania dla urzędników lub dla wdów i sierot po nich, musiałby opłacać cały podatek, jak właściciel intratnej kamienicy. Otóż jestto charakterystyczne znamię teraźniejszego ustawodawstwa społeczno-politycznego, że liczy się tylko z brutalnym tłumem, skorym do gwałtów, a czyni mało albo nic dla żywiołów łagodnych, spokojnych, konserwatywnych, dla niższych warstw mieszczańskich i dla stanu włóściańskiego. To nadaje ustawodawstwu temu cechę nie dobrodziejstwa dobrowolnego, lecz obawy i strachu, cechę niebezpieczną, bo rozuchwalającą brutalów i wyzywającą żywioły łagodne, aby poszły ich śladem.

Nie mówimy tego przez zazdrość, lub nienawiść ku robotnikom, bynajmniej; owszem, pragnęlibyśmy widzieć w ustawie jeszcze większe dla nich korzyści. Tak np. wymagałaby słuszność, żeby robotnik, zwłaszcza z rodziną, który przez długi szereg lat zamieszkiwał to samo mieszkanie, lub inne, byle tylko należało do tego samego właściciela, który przeto swoim komornem przyczyniał się do amortyzacyi kapitału, z czasem nabył prawa dożywotniego posiadania swoich izdebek po cenie bardzo niskiej; żeby prawo to służyło mu nawet przed całą amortyzacją kapitału w razie kalectwa, uniezdatnienia; a w razie śmierci, żeby na pewien czas przeszło na wdowę i sieroty. Takie urządzenie przyczyniłoby się w znacznej części do przywiązania robotnika do pana i miejsca, do umoralnienia jego i rodziny, do obniżenia ubóstwa, włóczęgostwa, do oszczędzenia gminom niejednego wydatku. Wtedy też gminy i kraje chętniej zgodziłyby się na ofiarę, którą ponieść mają przez zrzeczenie się swoich podatków. Pragnęlibyśmy także,

żeby ustawa miała znaczenie nietylko *pro futuro*, lecz i moc wstecz obowiązującą, tj. żeby zwolniono od podatków te także koszary robotnicze, które już stoją. Wymaga tego równość wobec prawa, a nadto i wzgląd praktyczny; niejedno przedsiębiorstwo może nagle ujrzeć swoje teraźniejsze mieszkania robotnicze pustkami, gdy powstaną nowe koszary na korzystniejszych warunkach.

Nie godząc się tedy na antysemitki zarzut: *Timeo Danaos*, nie możemy zataić sobie, że ustawa nosi na sobie piętno swojego ojca. Ojcem jest Żyd-fabrykant, ustawa jest po żydowsku, tj. powierzchownie i dorywczo zfabrykowana. Braknie jej głębszej zasady, systematyczności, organicznego związku z instytucjami już istniejącymi (np. z ustawami o zabezpieczeniu robotnikom utrzymania w chorobie i w nieszczęśliwych wypadkach, i zaopatrzenia wdów i sierot po nich), jakoteż odrobiny ducha etycznego. Zresztą, ponieważ Rada państwa podatkami krajowymi i gminnymi rozporządzać nie może, przeto zaprowadzenie ustawy po krajach koronnych zawisło od zezwolenia sejmów. Zezwolenie to wymaga znów ustaw osobnych, a w tych sejmom będzie pewnie wolno do warunków uchwalonej przez Radę państwa ustawy powszechnej dodać jeszcze swoje własne warunki, których możnaby wyliczyć szereg cały, a który streścić można w tem jednym zdaniu, że koszary robotnicze powinny być nie luźnym zlepkiem mieszkań osób i rodzin pod jednym dachem, lecz zakładem dla materialnego i duchowego dobra mieszkańców. Wtedy też tylko zasługiwałyby na poparcie publiczne.

Z bez porównania większem zadowoleniem godzi się powitać drugą ustawę, wyszlą z inicjatywy Izby poselskiej: o rejestrowanych kasach wzajemnej pomocy. Znaczenie ustawy na tem głównie polega, że dozwala wprowadzić w życie zasadę samopomocy bez zbytniego ograniczenia policyjnego, że przeto sprawa wyłom w systemie owej „wolności austriackiej“ — *liberté comme en Autriche* — który, aby utrzymać przynajmniej średnie i niższe, tudzież ekonomicznie słabsze warstwy społeczne w wiecznej niepełnoletności, pod wieczną kuratelą, raczej tłumił wszelkie życie społeczne, wszelki rozwój i wszelki postęp prawdziwy, niż zdrowe usiłowania takowe popierał. Austria ma dotychczas dwie ustawy o stowarzyszeniach wogóle (z r. 1852 i 1867), tudzież ustawę specjalną o spółkach zarobkowych i gospodarskich (z r. 1873), a mimo tej obfitości ustaw, mimo takiego nawet pleonazmu, stowarzyszenia oparte na zasadzie samopomocy rozwinać się nie mogły. Przyznaje to wyraźnie komisya Izby wyższej, której o zbytnią postępowość,

o zbytnią nieprzychylność dla austriackiego ducha kurateli policyjnej nikt pewnie nie posądzi. Duch ten nie jest też nowej ustawie zupełnie obcy, ale postanowienia policyjno-opiekuńcze odnoszą się nietylko do samego jądra rzeczy, ile raczej do tak zwanych „ubocznych celów“ kas owych, i w tym względzie są one rzeczywiście potrzebne, gdyż inaczej przez niedopilnowanie się lub wprost przez nadużycie zarządu, cele uboczne mogłyby w praktyce stać się celem głównym, i krwawy grosz, przyszła nadzieja członków kasy, mógłby być roztrwoniony na propagowanie rzeczy jeśli nie poprosto wzbronionych i nielegalnych, to przynajmniej niewłaściwych, niegodziwych i niełojalnych.

Głównym bowiem celem kas wzajemnej pomocy jest zabezpieczenie sobie: 1) wsparcia w chorobie, 2) kosztów pogrzebu, 3) zaopatrzenia na starość lub na wypadek uniezdatnienia, 4) wsparcia dla wdów i sierot, 5) zabezpieczenie pewnej sumy (zosobna aż do 1000 złr. austr.) na rzecz osób trzecich, szczególnie wiana lub posagu dla dzieci; ubocznymi zaś celami kas mogą być: wsparcia dla członków w braku zarobku; zapomóżki na podróż dla poszukania sobie roboty; pośrednictwo w poszukiwaniu zatrudnienia; zakładanie czytelń i bibliotek. Łatwo pojąć, że przy konspiracyjnych chętkach robotników te cele uboczne mogłyby spowodować ciężkie nadużycia. Dlatego kuratele są poprosto niezbędne, tem więcej że ustawa pozwala przystępować do kas wzajemnej pomocy nietylko robotnikom, lecz osobom wszystkich klas, które przeto bez owych kuratel byłyby narażone na niebezpieczeństwo stracenia swych pieniędzy na rzecz zmów robotniczych, konspiracyj socjalistycznych lub może i zamachów anarchistycznych.

Że ustawa nie ogranicza zakresu kas wzajemnej pomocy na samych robotników, stanowi to nieocenioną jej zaletę i czyni ją prawdziwie społeczno-polityczną — podczas gdy wszelkie ustawy wydawane wyłącznie dla robotników, gdzie wyłączość jest niepotrzebna, są poprosto społeczno-niepolityczne. Inną wielką zaletą ustawy jest postanowienie, że robotnicy należący do kasy wzajemnej pomocy, nie potrzebują należeć do kas przymusowej asekuracji na chorobę, w myśl ustawy z r. 1888. Postanowienie to zgodnie z duchem całej ustawy jest podniętą dla własnej zaradności, emancypuje zpod kurateli rządu, ukraca omnipotencję państwa, która w Austrii jakoś mimo woli i wiedzy wznaga się wskutek powiększania sieci skarbowych dróg żelaznych, jakoteż właśnie wskutek ustaw społeczno-politycznych. Błogie skutki ustawy o kasach wzajemnej pomocy zależeć będą z jednej strony od dojrzałości niższych warstw społecznych (wyższym otwiera się pole do-

broczynnego wpływu przez zapisanie się na „członków wspierających“), z drugiej strony od stanowiska, jakie w praktyce zajmą względem tych kas władze rządowe. Co do drugiego z tych warunków, pewna okoliczność zdaje się rozpraszać obawy; ustawa wyszła wprawdzie nie z projektu rządowego, lecz z inicjatywy Izby poselskiej, ale rząd zachowywał się podczas rozpraw nad nią bardzo życzliwie, i ostatecznie on to sam wystąpił był już w r. 1879 z pomysłem zaprowadzenia takiej instytucji.

Jedyną ustawą społeczno-polityczną, która w czasie od początku kwietnia do końca grudnia roku ubiegłego przysłała do skutku z inicjatywy rządu, jest krótka, ale ważna nowela do ustawy z r. 1889: o górniczych kasach brackich. Cóż — powie niejeden — nowa ustawa już wymaga noweli? Tak jest — odpowiadamy — ale nie byłoby to rzeczą wielce niezwykłą, gdyby nowela nie była poprostu warunkiem wykonalności ustawy z r. 1889, i to wykonalności tylko częściowej, bo wykonalność całej ustawy będzie wymagała drugiej jeszcze noweli. Losy bractw górniczych i ich kas stanowią ponętny temat studyów dla socjologa, szczególnie dla socjologa chrześcijańskiego. Jest w nich sporo tragiki. Ten odłamek społeczeństwa, który do niezbyt dawnych jeszcze czasów wiekowym tradycjom wierny, z wszystkich konserwatystów najkonserwatywniejszy, im głębiej pod ziemię zstępował, tem wyżej duchem się wznosił na skrzydłach najszczerzej pobożności, który przy najtwardszej pracy najpogodniejszym jaśniał czołem, przy największej skromności umiał występować wystawnie, którego kasy brackie zawsze były pełne, na wiedeńskim wiecu górników austriackich w r. 1890 przeszedł z rozwiniętymi chorągiewkami do obozu socjalistów-demokratów, a jego kasy brackie (w Austrii) mają nie mniej jak 21 milionów florenów niedoboru!

Rządy pseudoliberalne, których członek Giskra wślawił się zdaniem, że kwestya socjalna nie przekroczy granicy austriackiej, same pracowały na wywołanie tego widma aż nazbyt uchwytnego; z ich przeto stanowiska niejedno zaniedbanie da się wytłumaczyć, choć nie uniewinnić; ale bezwarunkowo potępienia godnem pozostanie doprowadzenie górniczych kas brackich do bankructwa. Minister rolnictwa i górnictwa hr. Falkenhayn, członek gabinetu hr. Taaffego, od samego początku, tj. od r. 1879, jał się ratować te kasy trochę późno. Hr. Falkenhaynowi, reprezentantowi stronnictwa Niemców-konserwatystów, charakterystyczna ociężałość w wyższym jeszcze o wiele stopniu jest właściwa, niż samemu stronnictwu. Ponieważ górnicze kasy brackie są

instytucją istniejącą od wielu wieków, a nadto dla całkiem odrębnych właściwości, wypływających z natury rzeczy, nie możnaby wziąć ich pod jeden strychulec z instytucjami nowszymi i wogóle innemi, choć podobnemi, a tem mniej jeszcze z instytucjami, któreby się dopiero stworzyć chciało — przeto uregulowanie spraw tych kas nietylko można było, lecz nawet trzeba było przeprowadzić przed wszystkimi innemi sprawami podobnemi, zwłaszcza wobec naprężonego już do ostateczności stanu rzeczy. Tymczasem ustawa o kasach brackich przyszła do skutku dopiero dnia 28 lipca r. 1889, a nadmiar pozostała bez skutku!

Jako typowy przykład następstw przewlekania sprawy nagłej, piekającej, przytaczamy kilka dat z historyi bankructwa kasy brackiej w Hermannshütte (w Czechach). Kopalnia ta poszła drogą wszystkich wielkich przedsiębiorstw, stała się własnością towarzystwa akcyjnego, przeszła na własność praskiego Towarzystwa przemysłu żelazniczego, które, choć nazywa się praskiem, ma siedzibę swą naturalnie w Wiedniu! Towarzystwo operuje kapitałem 8-milionowym, niosącym rok w rok grubą dywidendę, ale na rzecz kasy brackiej nie dało dotychczas ani złamanego szeląga, przyczyniając się owszem gospodarstwem swem do coraz większego obarczenia kasy powinnościami. Gospodarstwo bowiem w ręku spółki akcyjnej stało się tak zwanem ekstensywnem, polegającym na jak największem wyzyskaniu kopalni w jak najkrótszym czasie, że pominiemy już kwestyę jak najgorszych płac dla robotników. Pomnożono tedy liczbę robotników. Nowi robotnicy przystąpili naturalnie do starej kasy brackiej, i przy niezastosowaniu do najnowszych okoliczności prastarym statucie kasy, stali się za tanie pieniądze współwłaścicielami całej kasy i, co więcej, uprawnionymi pretendentami do powinności kasy, które przeto ogromnie się pomnożyły, bez należytego ekwiwalentu wkładkowego. To też już przed dziesięcioma laty kasa chromać zaczęła i zarząd musiał obniżyć prowizye (płace kasy na rzecz osób uprawnionych: starców, kalek, wdów, sierot, chorych i t. p.) do 60 procent, ale pomimo tego prowizye czyniły jeszcze około 45.000 złr. na rok. Tak to szło przez lat dziesięć coraz dalej a dalej, aż nakoniec dnia 30 listopada r. z. kasa przestała być kasą i stała się zupełnie niewypłacalną — *nb.* mimo że ustawa o ratowaniu kas brackich była już od blisko półtrzecia roku prawomocna. Przeszło 400 prowizyonistów, między nimi 130 wdów z jeszcze większą liczbą sierot, stanęło bez najmniejszego zasiłku, nawet bez tej skromnej jałmużny, która w ostatnich czasach jeszcze się im dostawała w miejsce całej prowizyi.

Oto jeden przykład, któremu nie potrzeba dosadniejszego komentarza nad ten, że z jednej strony podobnie chromających górniczych kas brackich w Austrii jest około 240, niedobór ich, jak już wspomnieliśmy, wynosi przeszło 21 milionów złr., a wiele z nich stoi już nad tą samą przepaścią, która pochłonęła kasę bracką w Hermannshütte, — podczas gdy z drugiej strony są kopalnie nie zarażone jeszcze gospodarstwem ekstensywnem, które dziś, jak dawniej, zatrudniają nie tysiące, lecz po 120, 150 lub 200 robotników, a których kasy brackie, zawiadowane po patryarchalnemu, czynią zadość wszystkim powinnościom swoim.

Oprócz przewleczenia sprawy, ustawa z r. 1889 niedomagała także na niewykonalność, głównie dlatego, że nakładała na robotników czynnych zbyt wielkie wkładki, obniżając zarazem bardzo znacznie prowizye, równie na teraz, jak na przyszłość. Swoją drogą właściciele kopalń, ci przynajmniej, którzy dotychczas nie lub zamało czynili na rzecz kas brackich, byli także z ustawy niezadowoleni, bo przepisywała im obowiązkowe, ściśle określone wspieranie kas brackich, dając za to udział w zarządzie kas. Czy wydana obecnie mała nowela, wraz z zapowiedzianą większą, szczęśliwie rozwiąże kwestyę bardzo ważną i niepospolicie zawilą? Daj to Boże! tymczasem jednak nieszczęście już się stało, górnicy poszli między socyalistów i znajdują się oczywiście w dobrej szkole, skoro, nie czekając uchwał parlamentu, na drugim wiecu górniczym, odbytym w październiku r. 1891 w Pradze, zgóry potępilli reformacyjny projekt rządowy i oświadczyli się mianowicie także przeciw udziałowi właścicieli kopalń w zarządzie kas brackich. Tak, tak! wszystkie prawa panom robotnikom-socyalistom, wszystkie obowiązki chlebowodawcom i społeczeństwu.

Tak więc legislacyjna akcyja rządowa w dziedzinie reform społeczno-politycznych w nowej kadencji parlamentarnej, która prawie wyłącznie pracom takim podobno jest poświęcona, wydała dotychczas rezultat bardzo małuczki i nadomiar bardzo problematyczny; oprócz zaś projektu o kasach brackich, rząd nie wniósł jeszcze do Izby żadnego innego, chyba że do szeregu ustaw społeczno-politycznych zalicza także projekt nowego kodeksu karnego. Takby wprowadzić powinno być, ale wtedy nietylko sam kodeks karny musiałby przybrać postać inną od projektowanej, lecz i procedura karna i całe sądownictwo karne musiałoby ulegć gruntownej reformie, a naostatku także więzienia. Jestto temat tak rozległy, a wstręt ku reformom zasadniczym, gruntownym, jest w Austrii tak wielki, że próżnobyśmy tu rozwijali, choćby

tylko w ogólniejszych zarysach, nasze poglądy; jedną tylko wypowiemy myśl, dla której byłoby miejsce nawet w ramach projektowanego nowego kodeksu karnego, tj. że tak samo, jak stan wojskowy wyjęty jest zpod powszechnego sądownictwa i kodeksu karnego, powinien osobne mieć sądownictwo i osobne przepisy karne stan duchowny, powinna mieć je także cała młodzież po wszystkich zakładach naukowych, od najniższych do najwyższych. Z uprzywilejowanego stanowiska stanu wojskowego społeczeństwo nie ma pożytku żadnego, podczas gdy brak przywileju dla stanu duchownego i dla kształcącej się młodzieży poprostu zgubne wywołuje skutki.

Bez porównania atoli ważniejszą i pilniejszą od nowego kodeksu karnego, jest reforma sądownictwa cywilnego i procedury cywilnej, którą pan minister sprawiedliwości wprowadzić zapowiada, której jednak dotychczas parlamentowi nie przedstawił. Pan minister wypowiedział nawet, że chwila obecna nie sprzyja pracom reformacyjnym z dziedziny sądownictwa, bo parlament zajęty jest pracami reformacyjnymi z dziedziny społeczno-politycznej, tj. ekonomicznej. Mniejsza o to że parlament wcale nie jest tak bardzo zajęty temi pracami; ale to zdanie ministra odsłania nam co najmniej bardzo dziwne pojęcie jego o reformach społeczno-politycznych. Jakto! czyżby tylko sprawy ekonomiczne, kwestye bytu materialnego, stanowiły dziedzinę społeczno-polityczną? Co więcej, czyż szybki, tani i słuszny wymiar sprawiedliwości w sferze cywilnej nie jest także czynnikiem pomyślności materialnej, ekonomicznej? Owszem, nowa procedura cywilna i reorganizacya sądownictwa jest niepospolicie ważnym składnikiem wielkiej, racjonalnej, gruntownej reformy społeczno-politycznej właśnie w Austrii. Nietylko w świecie cywilizowanym niema czegoś podobnie potwornego, jak austriacka procedura cywilna, lecz nawet Rosya, Rumunia, Bułgarya i Turcyja wyprzedziły Austryę. O terażniejszą, sto dziesięć lat liczącą austriacką procedurę cywilną, rozbija się maksyma: *fiat iustitia, pereat mundus*. Procedura ta czyni proces niesłychanie kosztownym, i to podwójnie kosztownym: raz przez stemple na mnóstwie pisaniny, a potem przez to, że wydaje strony na łup adwokatom; dalej czyni proces ogromnie przewlekłym, a nakoniec, co rzecz główna, wywołuje najfałszywsze wyroki; uratowana formalność jest uratowaną sprawiedliwością. Organizacya zaś sądów często czyni je nieprzystępnymi. „Po nowej procedurze cywilnej, polegającej na ustności i jawności, spodziewamy się wiele — mówi poseł prof. Roszkowski — bo da rękojmię ściślejszej i pra-

widlowej judykatury, najlepszą rękojmię praw prywatnych, będących przedmiotem procesu, tudzież jeden z najlepszych sposobów spopularyzowania pojęć o prawie w tłumach i rozbudzenia poczucia prawa. W pałacach i pod strzechą panuje przekonanie, że taka procedura położy kres pieniactwu. Zaprorowadzenie reformy tej byłoby bardzo pożądaną z tej także przyczyny, że prawdopodobnie byłaby z nią połączona nowa organizacja sądów, a przedewszystkiem instytucja sądów pokoju. Instytucja ta nie tylko posiadałaby wszystkie zalety postępowania ustnego i jawnego, lecz również zapobiegałaby pieniactwu, rozszerzyłaby znajomość prawa i ukrzepiłaby tłumy w zamięłowaniu do porządku prawnego“.

Zdanie pana ministra sprawiedliwości nie pozostało też w Izbie poselskiej bez sprostowania. Poseł profesor Piniński nazwał ograniczanie reform społeczno-politycznych na sferę ekonomiczną, pojęciem jednostronnem, wypowiadając, że owszem wielki przyceisk położyć trzeba na reformy w dziedzinie sądownictwa. Oprócz procedury cywilnej, wymienił poseł szczególnie obostrzenie ustawy przeciw lichwie i wydanie ustawy karnej przeciw nierzetelnym agentom emigracyjnym, jako nieodzowne legislacyjne prace społeczno-polityczne, mianowicie jako środki prewencyjne przeciw intensywnemu i ekstensywnemu wzmaganiu się socjalizmu, zwłaszcza zaś przeciw ogarnięciu przezeń stanu włościańskiego.

Dowód bardzo ciasnego pojęcia złożył także minister skarbu oświadczeniem, że teraz nie pora zaprowadzać podatek giełdowy, bo przed kilkoma tygodniami giełda przez dzień jeden była sztucznie zaniepokojona. Ze zdaniem takim nawet rozprawiać się nie można; co do reszty zaś działalności d-ra Steinbacha w dziedzinie społeczno-polityczno-reformacyjnej, wypada tylko zaznaczyć, że nie wyszła jeszcze ponad kilkakrotną zapowiedź powszechnej reformy podatków bezpośrednich. Podobnie minister rolnictwa nie wniósł jeszcze do parlamentu swojego projektu o spółkach rolniczych; minister spraw wewnętrznych zaś nawet nie zapowiada reformy ustawy o swojszczyźnie, która, podobnie jak austriacka procedura cywilna, jest jedyna w swoim rodzaju i niemniej wadliwa. Dość zaznaczyć rażącą sprzeczność nominalnego przykucia osoby do gminy, do której ktoś wedle ustawy przynależy, choć jej może nigdy w życiu nie widział, z nieograniczonym uruchomieniem ludności. Skutki tej sprzeczności ciężko dają się we znaki równie osobom, jak gminom.

Ustawa o swojszczyźnie, ustawy sądownicze, system podatków

bezpośrednich wraz z rozlicznymi innymi ustawami i instytucjami, nie są zastosowane do nowożytnego stanu rzeczy i stały się przyczyną tem większego, tem głębszego rozstroju społecznego, że rządy austriackie na gruncie całkiem nieprzygotowanym nagle zasiały i do nienaturalnej wybujałości doprowadziły owo pseudoliberalne *laisser faire, laisser aller*, które wytoczyło „wolny“ kredyt, „wolny“ proceder, „wolną“ adwokaturę, „wolny“ obrót, spekulację, lichwę i wszelkie pasorzytnictwo, a roztoczyło dwa główne filary budowy społecznej: stan włościański i stan rzemieślniczy. Uwłaszczony w r. 1848 i emancypowany zpod praw dominialnych stan włościański ma się dziś bez porównania gorzej niż za czasów pańszczyzny; własność jego jest więcej pozorna niż rzeczywista; stan rzemieślniczy pozbawiony jest widoków dorobienia się własności; włościanin i rzemieślnik w Austrii, więcej zawsze utrzymywany w moralnej niepełnoletności, a ztąd mniej posiadający siły odpornej niż w innych krajach świata cywilizowanego, stał się w bardzo znacznej części już tylko wyrobnikiem kapitału i skarbu państwa. To też kwestya socyalna w Austrii w wyższym o wiele stopniu niż gdzieindziej polega nie tak na uregulowaniu stosunku robotnika do chlebowodawcy, jak raczej na ratowaniu stanu włościańskiego i rzemieślniczego. Sprawa między robotnikami a chlebowodawcami, to sprawa jednego tylko stanu, a przynajmniej tak pojmowana i z takiego punktu widzenia uregulowana być powinna, bo ostatecznie i fabrykant, podobnie jak rolnik i rzemieślnik, powinien należeć do jednego stanu ze swoim robotnikiem; ale sprawa stanu rzemieślniczego i robotniczego, to już sprawa całego ustroju społecznego. Dlatego w Austrii kwestya socyalna, z której szydził sobie jeszcze nieboszczyk Giskra, stała się rozleglejszą, ważniejszą i trudniejszą do rozwiązania niż gdziebądźindziej. Reforma społeczna w Austrii obejmuje niemal wszystkie dziedziny życia publicznego, wrzyna się w zakres prawie wszystkich wydziałów rządowych; a jeżeli głęboki rozstrój społeczny ma ustąpić prawdziwemu ustrojowi, rekonstrukcyi budowy społecznej, zharmonizowaniu stanów i klas w stanach, wtedy reforma powinna być jednolita, z jednej formy odlana, jednym duchem ożywiona. Z tego rząd, do którego inicjatywa należy, zdaje się nie zdawać sobie jasno sprawy, ani też z tego, że wielka reforma ta jest sprawą bardzo pilną. Mimowoli jakoś przypomina się nam tu ustęp z rozprawy ks. Antoniego Langer: „Dzisiejszy socyalizm wobec światła rozumu“, w której czytamy¹: „Nasze czasy wiele

¹ *Przegląd Powszechny*, zeszyt październikowy z r. 1891, str. 10.

mają punktów stycznych¹ z epoką bezpośrednio poprzedzającą rewolucję francuską. Podobne przyczyny podobne też niewąją skutki... Kwestya socyalna, dominująca nad wszystkimi czasy, wtenczas tylko zdaje się przyjmować tak ostry charakter, kiedy ustrój społeczny nie licuje z faktycznymi postulatami czasu, a tem samem nie spełnia istotnego swego zadania, jakim jest troska o ogólne a wspólne dobro wszystkich obywateli państwa“. Nie myślimy, nie chcemy prorokować, ale w Austrii fatalnym trybem w przysłowie już weszło: zapóźno!

Józef Glinkiewicz.

¹ Możeby lepiej powiedzieć: „punktów analogicznych“.



W ZAGRZEBIU.

— Przejechaliśmy cislitawską granicę; jesteśmy w Translitawii, w naszej Chorwacyi, w Kroacyi, jak ją Niemcy zowią... A wy w Polsce, jak nas nazywacie?

Zapytanie to bardzo uprzejmego, nie szczędzącego i poprzednio różnych wyjaśnień towarzysza podróży, wyrywa mię z napół-poetycznej zadumy, napół-prozaicznej drzemki, w którą wpadłem od kilku już stacyj. Olbrzymie, niby zbójckie, mord i zniszczenie sięjące postacie dawnych pandurów, chorwackich rycerzów, które z dawno kiedyś czytanych powieści, nie wiedzieć teraz jak i zkad, w wyobraźni odżyły; mętne obrazy bojów i walk między chorwackimi a węgierskimi, włoskimi pułkami — zniknęły głosem ludzkim przerażone, energicznem potarciem oczu pograżone w nicość. Pochwalić się nie mogę, abym w nielitościwie trzęsącym się wagonie marzył cudnie, aby zbudzono mię srodze — a przecież żał trochę tych znikających widziadeł; wyobraźnia przywołana do porządku, próbuje protestować, prosi się, aby jej jeszcze chwilę swobodnie bujać pozwolono. Dobra sobie! nie rachuje się chyba z faktami dokonanymi: z parą, elektrycznością, z zegarkami, na które co chwila spoglądać trzeba, z wszystkimi tymi nominalnie wiernymi sługami, które w rzeczywistości zabrały i trzymają człowieka w twardej niewoli.

Wyglądnięcie przez okno zamazuje ostatnie ślady rysujących się w wyobraźni fantastycznych obrazów. Pokryte lasami góry, wznoszące się na ich stokach kapliczki i krzyże, maleją, nikną w oddali; miejsce gór i lasów zajęła jak oko sięgnie, niekończąca się, zdawałoby się równina, po której to bliżej, to dalej, to węższym, to szerszym pasem toczą się brudne, zmaczone wody Sawy. Inny kraj, inni ludzie, inne przynajmniej ich postacie i stroje. Tam smukli, zręczni górale, rodzeni bracia Styryczyków, Tyrolczyków; tu postawa tęga, ale przysadkowata, prozaiczniejsza, rysy grubsze, chód cięższy, a pewnie i fantazja cięższa; słowem *mutatis mutandis*: tu chłopiek nasz z równin, tam góral tatrzański. Zupełnie różny ubiór wybitniej jeszcze tę różnicę uwydatnia; bardziej prostego, dalszej sięgającego starożytności, mniej podległego kaprysom mody od tradycyjnego stroju chorwackich wieśniaków, nie wiem, czy gdzie w Europie, w zachodniej przynajmniej Europie, odnaleśby dziś można. Na stacyach cisną się do wagonów trzeciej klasy liczne gromadki mężczyzn i kobiet; a gdy konduktor radzi sobie z nimi jak może, czyli mówiąc bez ogródek: poradzić sobie i miejsca znaleźć dla nich nie może, ja tymczasem przypatruję się ciekawie biegnącym tam i sam zakłopotanym biedakom, a raczej „narodowym“ ich strojom.

Pierwsze wrażenie korzystnem nie jest; oko pomiarkować i zorientować się nie umie, a przez usta przemyka się mimowoli ulagodzony później, za surowy i za bezwzględny wyrok: barbarzyństwo. Strój mężczyzn składa się z dwóch sztuk: długiej, białej koszuli, i tejże barwy, równie płóciennego, dość, ale nie tak jak we Węgrzech monstrualnie szerokiego dolnego ubrania, które sięga tylko po kolana. Wybredniejsi czy bogatsi noszą sandały, „opanki“, przymocowane do nogi okrażającym ją kilkakrotnie rzemieniem; wielka, nie śmiem powiedzieć: większa część, uważa „opanki“ za zbytek, i odważnie, bez namysłu, zanurza w błocie bosc swe nogi. Za przykładem tym idą śmiało młodsze i starsze kobiety. Strojem ich biała koszula, sięgająca do kolan, przyozdobiona bogatymi haftami na kołnierzu i rękawach: kolorowy fartuszek i kolorowa, zazwyczaj czerwona, chu-

stka na głowie. Świąteczne, miastowe ubranie bije w oko żywszemi barwami, większem bogactwem różnokolorowych, miejscami złocistych haftów, w które czasem, miasto drogich kamieni, wplatane są miniaturowe lusterka; wokoło głowy, pasa i szyi biegną kunsztownie ułożone, zdaleka błyszczące srebrne i złote monety. Wiele kobiet, mieszkających stale w miastach, lub bardzo blisko miast, przyzwyczajają się z wolna do pończoch i trzewików; zagorzali miłośnicy dawnych narodowych tradycji protestują wprawdzie gorliwie przeciw tej, jak twierdzą, „niepatriotycznej i nieestetycznej“ innowacji; ale protesty płyną swoją drogą — nowa, Kneippowskiej metodzie przeciwna, bardziej europejska moda, płynie naprzód z coraz większą siłą i coraz więcej za sobą porywa zwolenniczek. Czy lepiej to, czy gorzej? z jakich względów lepiej, z jakich gorzej? Kłócą się o to same Chorwatki — i zgodzić się nie mogą, a póki one się nie zgodzą, wszystkie, najroztrośniejsze nawet, wywody i dowody na nic się chyba w praktyce nie zdadzą.

Zaprešić!... Podsuded!... Stenjevec!... — woła konduktor w przyspieszonym tempie. Gęstsze niż dotąd fale białych koszul pędzą z impetem do wagonów trzeciej klasy; za niemi z wolna, spóźnienia nie lękające się, nadpływają do drugiej klasy brunatne i czarne fale miejskich tużurków, zarzutek. Pełno wszędzie i gwarno; przez dym z fabrycznych kominów przegładają krzyże kościołów — jeszcze chwila, a staniemy w Zagrzebiu.

Stolica Chorwacyi — to urzędowa nazwa; w przekonaniu, inni mówią, w marzeniach Chorwatów i wielu z ich słowiańskich sąsiadów, Zagrzeb jest z natury rzeczy stolicą całej południowej, zwłaszcza katolickiej Słowiańszczyzny, stolicą dziś już literacką, naukową, aby w bliższym czy dalszym czasie stać się i stolicą polityczną. Samo miasto niezbyt wielkie; liczba mieszkańców, choć w ostatnich czasach bardzo wzrosła, dochodzi zaledwie do 40.000; a przecież, jednomyślnem zdaniem wszystkich, którzy lepiej Zagrzeb znają — nietylko Słowian, nietylko Niemców, ale nawet i Węgrów — ma on wszystkie warunki i cechy prawdziwej stolicy. Place wielkie, przyozdobione licznemi statuiami; ulice szerokie; budynki, zwłaszcza publiczne, wielkie,

wspaniale; niemniej wspaniale skwery, ogrody; mówią głośno i wyraźnie, że Zagrzeb, nie bezwiednie podobno, gotuje się do odegrania ważniejszej roli, niż ta, która mu dzisiaj w udziale przypadła; że dziś troszczy się już o to, aby — naturalnie w miarę możliwości i odmiennych stosunków — stanąć niezbyt daleko od Wiednia, od Pesztu...

— Cóż, jakże ci się nasza *Ilica* podoba? — pytał przy pierwszej zaraz wycieczce do miasta łaskawy mój przewodnik. ks. Lang, rozumny, ale i ognisty *Hrvat* całą duszą, choć z niemieckim nazwiskiem, dawny uczeń rzymskiego *Germanicum*, dziś kaznodzieja, literat.

Ilica, zagrzebskie *Corso*, jak ją chętnie mieszkańcy nazywają, olbrzymia to, środkiem całego niemal miasta idąca ulica, w której skupia się jego przemysłowe, kupieckie, powiedziećby można, „materyalne“ życie. Wedle najnowszych obrachowań, składa się na *Ilice* przeszło 250 domów, w których znajduje schronienie około 8000 ludzi, a zatem piąta część ogólnej cyfry zagrzebskich mieszkańców. Wprost z *Ilicy* wchodzimy na *Jelačićev trg* (Plac Jelačića). W samym środku obszernego placu wznosi się statua słynnego bana: Józefa hr. Jelačića de Busim, którego szabla, podniesiona w obronie Habsburgów, tak dotkliwe ciosy zadała węgierskim powstańcom. Jelačić, ze spiżu ukuty, siedzi w narodowym stroju na ognistym rumaku, i jedną ręką koniem kieruje, drugą trzyma pałasz i niby wierne swe pułki do ataku prowadząc, wskazuje nim w stronę Węgier; u stóp pomnika lakoniczny, ale w swym lakonizmie wiele znaczący, pałacy napis: *Jelačić Ban. 1848*. Te słowa, ten pałasz ku Węgrom wyciągnięty, daje strasznie na nerwy szowinistycznym „Madziaronom“; mile głaszcze po sercu entuzjastycznych Chorwatów, i gdyby kiedyś przyszła peszteńskiemu rządowi mało-stkowa i śmieszna zresztą chętka zwrócenia Jelačićowej szabli w inną stronę, zatarcia pamiętnej daty 1848 r., nie ręczę, czyby w Zagrzebiu nie przyszło do ulicznych zaburzeń.

Z *Jelačićev trg* przez *Duga ulica* (Długa ulica) wspinamy się mozolnie do góry, z „Niższego“ do „Górnego miasta“. Dawno, dawno temu, bo przed siedmiu wiekami, toczyły się między

dwoma temi wówczas miastami zażarte, uporczywe walki. „Górne miasto“ było silną fortecą, otoczoną potężnymi murami; dziś kilka tylko z minionych tych czasów pozostało pamiątek, kilka dawne te dzieje przypominających nazwisk: „Kamienna brama“, „Krwawy most“, wielona do gmachów nauczycielskiego seminarjum, przeciw Tatarom niegdyś wybudowana wieża. Panem w „Górnem mieście“, na *Kaptołu*, było, a faktycznie jest podziś-dzień w znacznej części duchowieństwo zagrzebskie, mówiąc dokładniej, kapituła katedralna; jej zawdzięczał *Kaptol* niezbędne, wskutek ciągłych, groźnych napadów tureckich w XVI. wieku, wały swe i fosy; ona opasała katedrę odrębnymi jeszcze, wznoszącymi się i obecnie, jeśli nie na strach wrogom, to na podziw turystom, murami i basztami.

— To najwspanialsza pamiątka po naszych przodkach; najlepszy dowód, że i dziś ofiarności nam nie brak dla Boga i ojczyzny — mówi mój przewodnik, wskazując ze słuszną dumą na datującą z XII. wieku, dopiero co z gruntu odrestaurowaną, olbrzymią świątynię.

Ileż zmiennych, ile smutnych kolei świątynia ta przechodziła! Działowe kule, płomienie, trzęsienia ziemi, próbowały niejednokrotnie ją zniszczyć, zadawały ciężkie szczyrby; ale po szczyrbach tych, po upływie niewielu lat, nie pozostawało śladu. I obecnie z opowiadań tylko, ze świeżo dokonanych restauracyj dowiedzieć się można historyi ostatniego trzęsienia ziemi w listopadzie 1880 r.; jak często gdzieindziej, tak i tutaj straszna klęska przyczyniła się do gruntownego, na wielką skalę, z królewską hojnością podjętego odnowienia katedry. Dziś już przedstawia świątynia imponujący widok; smukłe jej gotyckie wieżyce panują nad całym miastem; wspaniałe, w najczystszy stylu wystawione ołtarze, niemniej wspaniałe gotyckie konfesyonały, gustownie malowane okna, ciężko okute wrota, na które znać, że pieniędzy nie żałowano — domysłać się każą, jak świątynia ta wyglądać będzie po zupełnem odnowieniu, za cztery, pięć lat. Wtedy, w imię ścisłego powrotu do pierwotnego planu z XII. wieku, i aby widok na katedrę w zupełności odsłonić, zniesione też być mają okalające ją bastiony; Kaptol przekształci się

z obronnego, średniowiecznego zamku, w szereg tulących się około katedry mieszczańskich domów i domków. Czy to będzie piękniej, malowniczej? Oczywiście, zagrzebscy mecenasi, konserwatorzy i artyści, wiedzą co robią i racyę mieć muszą; zapewne nęcąca to rzecz patrzeć znów na taki Kaptol, na jaki patrzyli z wznoszącej się u jego stóp rezydencyi sławońscy książęta, królewscy Arpadowie; wszystko to prawda, wszystko to sobie powtarzałem, a przecież konserwatywny jakiś zmysł tak głęboko w duszy nurtuje, że rzucając raz ostatni okiem na majestatyczną, oryginalną kościelną tę fortecę, wymknęło mi się mimowolne: „Szkoda!“ I towarzysz mój powtórzył jak echo: „Szkoda!“ i nieraz jeszcze w rozmowach o zagrzebskim Kaptolu, to jawnie lub nieco wstydliwie wypowiedziane: „Szkoda!“ obilo mi się o uszy. Dziwna rzecz, jak często tłum — czy dlatego, że zacyfany, czy dlatego, że silniej czuje, mniej rezonuje — „rozumowi bluźni“ i „duby smalone bredzi!“...

Najpocziwszy ks. Lang, wzięwszy mię w swą opiekę, nie puszcza już, póki wszystkich kościołów, wszystkich czemkolwiek wybitniejszych zabudowań, wszystkich nawet szkolnych gmachów, nie obejrzałem dokładnie z zewnątrz, nie obejrzałem wewnątrz. Dla niego niema ryglów i zamków; zamknięte bramy rozstępują się; proboszczowie, dyrektorzy, w ostatecznym razie szkolni pedele, wybiegają naprzeciw z pękiem kluczów, oprowadzają szkrupulatnie po każdym zakątku, wprowadzają nietylko już do zakrystyi, nietylko do szkolnych sal, ale i do kuchni i do spiżarni; wręczą jeszcze przy pożegnaniu jakiś katalog, plan, historyczny opis. Z kościołów, dwa tylko, prócz katedry, na rzeczywistą uwagę zasługują: gotycki, bogato, a przytem delikatnie, idealnie polichromowany kościół św. Marka z XIV. w.; i w ciekawe arabeski, w gęste barokowe malowidła strojny kościół św. Katarzyny, wybudowany w XVII. w. przez Jezuitów. Zresztą Zagrzeb, zwłaszcza dolne miasto, choć na zbyt małą liczbę kościołów skarżyć się nie może, to przecież w porównaniu np. do Lublany, do Krakowa, zbytkiem ich nie grzeszy. Dodajmy do trzech wyżej wymienionych, parafialne kościoły: Najśw. Panny, św. Jana i św. Piotra; dodajmy dwa zakonne: Franci-

szkanów i Sióstr Miłosierdzia, a wreszcie bardzo piękną greckounicką cerkiew — i otóż (pomniejszych kaplic i kapliczek nie licząc) rachunek skończony. Kościoły te w święta dość pełne, choć w Lublanie z pewnością pełniejsze; a w dodatku zapominać nie można, że księży w Zagrzebiu, a ztąd i Mszy po kościołach, stosunkowo niewiele, że zwłaszcza klasztorów wielki brak.

— Zły to czas na poznanie, na pogadankę z naszymi księżmi — mówi mi jeden z ich grona. — Teraz w lipcu jesteśmy wszyscy aż do niemożebności obciążeni najrozmaitszymi egzaminami, popisami; z egzaminów w seminaryum, pędź na popis do ochronki *A*, potem do ochronki *B*, ztamtąd znów na egzamin w szkole panieńskiej, na konferencyę do szlacheckiego konwiktu, a wśród tego rozgardyaszu nie zapomnij, że punkt o drugiej przewodniczyć masz egzaminom, popisom w innej znów szkole, w trzeciej z rzędu ochronce...

Księża zajmują się tu niemało szkołami i mają widocznie na nie wpływ niemały; słuszną to i sprawiedliwą rzecz, choćby dlatego, że największa — aby dosadniej się nie wyrazić — część i publicznych i prywatnych szkół zawdzięcza swe istnienie biskupim i księżym fundacyom. To też gdzieś do pokoju którego z księży zapukał: w seminaryum, na probostwie, w klasztorze, pewny mogłem być zgóry, że albo gospodarza nie zastanę, „bo wyszedł do szkoły na egzamin“, albo zastawszy, niedługo, mimo obopólnej chęci, będę mógł u niego zabawić, „bo spieszy się do szkoły na egzamin“. Szczęściem, zaproszony w gościnę na cały czas pobytu od przełożonego odrębnej chorwacko-slawońskiej kongregacyi Sióstr Miłosierdzia, kanonika Fidelisa Höppergera, mogłem, z domu niemal nie wychodząc, wejść w sam środek katolickiego życia, katolickiej działalności w Zagrzebiu; dowiedzieć się, jakie w tym kierunku są już postępy, jakie jeszcze braki i potrzeby.

„Pan Przełożony“, „Pan Opat“ — jak go tu nazywają — ciekawa to ze wszech miar, w całej południowej Słowiańszczyźnie i daleko het za Bałkanami znana, ceniona i kochana osobistość. Rodem Tyrolczyk, zachował wszystkie tyrolskie przymioty: szczerłość, zapal, nieraz w rozmowie błyskającą jowial-

ność; o wadach, o przysłowiowej szorstkości, miał czas na obczyźnie zapomnieć. Na pracy różnorodnej mu nie brak: rządzi, i nie tylko w przenośnem tego słowa znaczeniu — buduje. Buduje sam, wedle planów przez siebie skreślonych, pod osobistem swem kierownictwem, coraz inne klasztory, inne szpitale i ochronki w Chorwacyi i Dalmacyi, Hercogowinie i Bośni; sam prowadzi i osadza w nich kolonie Sióstr; a każdy taki szpital, taka ochronka, nową, potężną fortecą w obronie i ku rozkrzewieniu wiary przez miłość. Trzeba go słyszeć, gdy kiedy w dobrym humorze, przekonawszy się np., że podjęte roboty koło nowej ochronki, tuż za miastem stawianej, raźnie i rozumnie postępują naprzód — opowiadać zacznie o swych nowszych i dawniejszych, awanturnicznych wyprawach po Bałkańskim i koło Bałkańskiego półwyspu, morzem i lądem, górami i lasami; dziwić się trzeba i Bogu dziękować, że na dalekim tym Wschodzie chrześcijańskie miłosierdzie, w Siostrach, w Braciach Miłosierdzia uosobione, takie działa cuda, tyle gruntu dla siebie zyskuje. Piękne to i prawdziwie pocieszające; ale w Chorwacyi będąc, staram się ile mogę sprowadzić rozmowę od zbyt szerokich, zbyt z natury rzeczy w prawo, w lewo wybiegających konstantynopolitańskich, adrianopolitańskich szlaków, na chorwackie sprawy i stosunki. Zna je „Pan Przełożony“, o ile do kościelnego, katolickiego życia się odnoszą, doskonale; od wielu lat codziennie się ich dotyka, a jako szczery przyjaciel Chorwatów, a sam nie Chorwata, może o nich wydać sąd sprawiedliwy, nie za surowy i nie za pobłażliwy. Zresztą w głównych rysach zgadza się z tym sądem młodszą zwłaszcza, najwykształceńszą generacyą zagrzebskiego kleru, z którą najłatwiej zapoznać się u naszego Tyrolczyka, przy wspólnych, wesołych a pouczających obiadach i wieczerzach. Kocha ona kraj swój gorąco, przechowuje — o ile cnota, rozum, zdrowie, na to pozwalają — wszystkie jego tradycye; ale właśnie dlatego, że kraj swój kocha, nie chce mieć i nie ma zamkniętych oczów na pewne jego strony ujemne, na wady, które choćby „narodowemi“ się nazywały, jednak jeśli wadami są, wypienione być winny.

Spróbuję w streszczeniu powtórzyć, co mi o kościelno-reli-

gijnych stosunkach w Chorwacyi mówili samiż księża i w Zagrzebiu i gdzieindziej:

— Nie jest i dziś u nas zapewne wszystko tak, jakbyśmy chcieli; w każdym razie od lat kilkudziesięciu, od czasów, na któreśmy jeszcze sami patrzyli, zmiana na dobre bardzo widoczna. Duchowieństwo starej flaty zbyt hołdowało, bardzo w sobie pięknej, Słowianom właściwej cnocie: gościnności; ale która, jak każda cnota, gdy pewne przekroczy granice, cnotą już być przestaje. I dziś jeszcze gościnność ta nasza chorwacka, po odleglejszych wsiach zwłaszcza, gdzie dawne tradycye dłużej pokutują, przypomina despotyzm wschodnich tyranów, nie zawsze rachuje się z chęcią i siłami gościa; i dziś na imieninowych biesiadach, zjazdach, odpustach, wybieranym bywa despotyczny „król uczt”, którego obowiązkiem wnosić toasty, ustanawiać ich porządek, przestrzegać, by pijący nie dopuszczali się kontrabandy, by wypróżniali za każdym nowym, to żartobliwym, to poważnym toastem, do dna swe puhary; — ale w porównaniu do dawnych uczt, dzisiejsze cieniem ich zaledwie; w porównaniu do dawniejszych królów, absolutnych, nie rachujących się z żadnymi pobocznymi względami, dzisiejsi ledwie że mają władzę i powagę konstytucyjnych monarchów.

Pod tym więc względem postęp oczywisty; ksiądz mniej zajęty odwiedzaniem i przyjmowaniem sąsiadów swych i przyjaciół, ma czas na brewiarz, na książkę, na wypełnianie swych obowiązków. Natomiast wkrada się inna, dawniej nieznana choroba, a tem niebezpieczniejsza, że pozornie przynajmniej płynąca z dobrego i zdrowego źródła: z miłości ojczyzstego kraju, języka. Czy możliwą jest rzeczą, aby chorwackie duchowieństwo nie brało żadnego udziału w narodowościowych waśniach, aby jawnie i energicznie nie stanęło po stronie swych rodaków, przeciw węgierskim żywiołom, chcącym nas zmadyaryzować? Czy to i w jakich granicach możliwe? Za trudna odpowiedź na to pytanie; w każdym razie wątpliwości nie ulega, że wciągnięcie kleru w koło politycznych agitacyj, nie może wydać pożądaných skutków. Spotykasz się z kim, mówisz o tym lub o owym księdzu. Założyć się można, że pierwsze, poważne pytanie, które o nim ci

zadadzą, nie będzie: Czy to ksiądz dobry, uczony, sumienny? — ale: „Z kim trzyma, jaką barwę nosi: bez ogródek narodową, czy madziaryzmem zafarbowaną?“ Tak my Chorwaci pytamy; tak bardziej jeszcze pytają Węgrzy; to pierwszy, rozstrzygający punkt w wyborze osób, w sympatyach i niechęciach. Kto protegowany w Peszcie, na tego my zgóry krzywem okiem patrzymy; kto w Zagrzebiu popularny, ten tem samem w Peszcie podejrzany, dobrze jeśli nie oskarżony, o niełojalne zamiary, o antywęgierskie spiski... Bóg wiedzieć raczy, o co jeszcze...

Kwestya następstwa na zagrzebskie arcybiskupstwo po niedawno zmarłym ks. Michajłowiczu, zajmuje żywo wszystkie umysły, i w rozmowach trudno o nią mimowoli razporaz nie potracić. Zmarły trzymał otwarcie z Pesztem, i to po części wyjaśnia, dlaczego w Zagrzebiu śmierć jego tak mały żal obudziła. Wszakże nie wdając się w pytanie, czy i o ile krążące tu o nim sądy są usprawiedliwione; nie dowierając zbyt przez poważne ale uprzedzone usta wyrażonemu zdaniu: „Rządy Michajłowicza rozstroiły i zniszczyły dyecezyę“; stawiając się zupełnie na bezstronnem stanowisku — w oczy bije, że arcybiskup zagrzebski, jeśli chce coś dobrego zdziałać, nie może być Chorwatą tylko z nazwiska, nie może stać w wyłącznie urzędowym, jeśli nie wprost wojennym stosunku z całym prawie swym klerem.

— Gdyby Stadler, — slysze razporaz gorące życzenia z ust starych kanoników i młodych wikarych — gdyby Stadler arcybiskupem naszym został, wszystkoby się wtedy i to prędko na lepsze przemieniło!

— A lud? jakże z jego wiarą, pobożnością?

— Lud z natury pobożny i wierzący głęboko, choć wiara ta jego na zewnątrz tak jawnie i gorąco się nie objawia, jak np. u sąsiadów naszych, Słoweńców.

O prawdziwości tych słów łatwo przekonać się, pielgrzymując od kościoła do kościoła, choćby w samym tylko Zagrzebiu. W święta białe w kościołach od białych wiejskich strojów, między którymi pływają czarne, popielate wyspy i wysepki miejskich zarzutek i surdutów; wszyscy widocznie skupieni, książki do nabożeństwa trzymają w rękach, w czasie podniesienia pobożnie

głowę skłaniają; ale nabożeństwo to zbliża się raczej do niemieckiego, poważnego, uregulowanego i spokojnego, niż do naszego, do słoweńskiego, ruskiego, w którym serce, uczucie tak silnie na zewnątrz występuje; słychać westchnienia, słychać serdeczne uderzenia w piersi. W dniu powszednie nie brak pobożnych przed ołtarzami; może nawet gdybym prosto z Lublany nie jechał, lecz np. z Wiednia, zdawałoby mi się, że ich dość spora garstka; teraz powstrzymywać muszę gwałtem cisnące się na usta zapytanie: „Czy u was zawsze tak mało ludzi w kościele?” Krótko mówiąc, jest tu nabożeństwo — ale jakby nie słowiańskie; jest wiara, ale przedstawiająca się na zewnątrz w odrębnych kształtach, niż w innych czysto słowiańskich przynajmniej, czysto katolickich krajach.

Zkąd ta różnica? Czy można ją wyłącznie wytłumaczyć, jak niektórzy mi ją tłumaczyli, odrębnym narodowym charakterem; czy źródłem jej długoletnie zetknięcie i dawniejsze i w części dzisiejsze z wrogimi katolicyzmowi żywiołami: z prawosławnymi Serbami, z muzułmańskim półksiężycem, z protestantyzmem zapuszczającym swe zagony od węgierskich, od słoweńskich granic; lub wreszcie, czy nie jest może głównym jej powodem przesadne hołdowanie chorwackiego kleru pięknym — ale wtedy gdy miary nie przekroczą — narodowym cnotom, niegdyś: gościnności, w obecnym czasie: patryotyzmowi? A może wszystkie te przyczyny razem, może parę innych jeszcze drobniejszych, o których półgębkiem, dla cudzoziemca niedość wyraźnie mi wspomniano, na ten stan rzeczy się złożyły? W każdym razie, nie kusząc się o dokładniejsze określenie i wyliczenie przyczyn, które sprowadziły tę pewną religijną ospałość, pewną niezdrową obojętność, ukrywającą się czasami pod ponętną nazwą „tolerancji”: stwierdzić raczej należy z radością, że są już Chorwaci, jest co rok liczniejsze kółko księży, którzy przemyśliwają nad środkami podniecenia religijnego ducha między swymi ziomkami; starają się jak mogą: piórem, słowem, przykładem szerzyć większą znajomość, gorętszą miłość: Boga, wiary i cnoty.

Tymczasem, „zanim słońce wejdzie“, nie do pozazdrośczenia stanowisko tej garstki pionierów, którzy na pierwszym miej-

scu chcą być księżmi, o politycznych stronnictwach i walkach pragną ile możebna jak najmniej słyszeć. Gdy wszyscy walczą, najgorzej wychodzą znajdujący się na placu boju, a nie biorący w nim udziału; a tutaj walka ciągła: najprzód wspólna wojna z Węgrami, następnie różnorodne walki domowe. Jeśli narodo-wościowe waśnie i w Czechach, i w Krainie i w Morawii, i wszędzie niemal, gdzie się w biednej Austrii obrócisz, tak rwącym płyną potokiem — to w Chorwacyi góry wzajemnych niechęci — aby dosadniejszego wyrażenia nie użyć — „wznoszą się piętrami z morskiego odmetu“.

Skargi na temat o stosunku Chorwacyi do Węgier, gorzkie, palące skargi na rząd węgierski, występują po pierwszym powitaniu na porządku dziennym każdej poważniejszej rozmowy z cudzoziemcem, pragnącym z miejscowymi stosunkami się obeznać. Chorwacya i Slawonia złączoną została z Węgrami jeszcze na początku wieku XII., nie drogą podboju, lecz dobrowolnego ogłoszenia swym monarchą węgierskiego króla Kolomana. Ztąd między Chorwacyą a Węgrami, jeśli nie zupełnie istnieje, to istnieć powinien, zdaniem chorwackich patryotów, ten sam stosunek co między Trans- a Cislitawią — stosunek unii osobistej. Król węgierski jest zarazem królem chorwackim; rząd węgierski nie jest — *de jure* — rządem chorwackim, a jeśli nim być chce, jeśli do spraw chorwackich się miesza, postępuje sobie wręcz nielegalnie. W teorii, jeśli może nie zawsze, i bądźco bądź niedość lojalnie w praktyce, zgadzają się na to i Węgrzy. Wedle umowy zawartej głównie za staraniem Deaka między oboma krajami w 1868 r., odnowionej w dziesięć lat później, Chorwacya ma przyznać sobie autonomię tak szeroką, że o szerszej zamarzyć trudno. Wszystkie wewnętrzne sprawy krajowe zależą od sejmu, względnie od trzech wydziałów, trzech ministerjów: finansów, oświecenia i sprawiedliwości, zostających pod kierownictwem „naczelników wydziału“, którzy nie noszą nazwiska ministrów, ale mają wszystkie ich prerogatywy. Na czele całego zarządu krajowego stoi „ban“, prawdziwy „wicekról“, mianowany przez cesarza na propozycję ministeryum węgierskiego, sam znowu mianujący naczelników wydziałów i wogóle wszystkich urzędników.

Stosunek bana i jego ministrów do sejmu bardzo jest skomplikowany. Sejm ich nie wybiera i złożyć nie może; a jednak z drugiej strony ma prawo rozciągać nad nimi kontrolę, żądać usprawiedliwienia się i wytłumaczenia z swych czynności. Z dobrą, obopólną wolą trudności by mogło nie być, możnaby je wyrównywać, łagodzić; bez tej dobrej woli rosną one i mnożą się gorzej niż grzyby po deszczu. O jednej wspomnijmy, dotykającej natrętnie przed oczy nasuwającej się. Banem nie może być, kto nie dał rządowi węgierskiemu jawnych dowodów węgierskiego patryotyzmu; a zatem najwyższy przedstawiciel chorwackiej autonomii jest regularnie w Chorwacyi najbardziej znieawidzony. Nie długo szukając, dzisiejszy ban Dragutin grof Khuen Héderváry, chwalić się w Peszcie może prawdziwie wyjątkową niepopularnością w zagrzebskich kołach patryotycznych. Spytaj o bana, a pięć razy na dziesięć spotkasz się z charakterystyczną, niezbyt dlań pochlebną anekdotką; trzy razy z bardziej jeszcze charakterystycznym, niechętnem machnięciem ręki; dwaj ostatni, dyplomatyczniej usposobieni i niewiedzący z kim mają do czynienia interlokutorowie, rzucają w odpowiedzi jakiś błąd, nie znaczący frazes i sprowadzają czem prędzej rozmowę — na jutrzejszą pogodę.

Przed laty ban był, jak z imienia tak ze znaczenia i władzy, chorwackim „wicekrólem”; dziś rząd peszteński, nie naruszając zewnętrznych tytułów i honorów, stara się jego władzę okroić. o ile może — a wobec oddanej sobie, najlepszej woli samegoż bana, może wiele; usiłuje punkt ciężkości nie tylko już wspólnych — co gwarantuje ugoda z 1868 r. — ale i wyłącznie chorwackich spraw i interesów przenieść do Pesztu. Tutaj urządzuje chorwacki minister „bez teki“, w którego rękach koncentruje się zwolna, ale ciągle, władza wysuwająca się z rąk bana; tutaj załatwiają się wszystkie ważniejsze interesa; stąd idą wskazówki — jak je nazywają jedni; rozkazy — jak wyrażają się drudzy, do których ban i zagrzebskie władze rządowe ściśle się muszą stosować.

— Dobro i bezpieczeństwo państwa domaga się ściślejszego

złączenia Chorwacyi z Węgrami — wołają peszteńscy zwolennicy i fanatycy madyaryzacyi.

— A czemuż wy sami — odpowiadają im chorwaccy partyoci — nie wyrzekniecie się dualizmu w imię tegoż dobra i bezpieczeństwa państwa; czemuż tak zazdrośnie bronicie przeciw Wiedniowi waszych odrębnych przywilejów i uroszczeń?

Niewyczerpany to temat! niekończące się w Peszcie i Zagrzebiu, w prasie i parlamencie klótnie, żale, insynuacje! Jakże bo praktyczne przeprowadzenie „umowy“, przypuściwszy nawet, że z całą sumiennością byłaby dochowywana, nie ma dać powodów do rozlicznych grawaminów, kiedy na zasadnicze jej punkty nikt się dziś w gruncie nie godzi? Za niepożądany w dodatku zaszczyt należenia do królestwa św. Szczepana — skarżą się Chorwaci — płacić musimy srogi haracz; 55 procent naszych dochodów płynie do Pesztu; a Peszt, zamiast do wdzięczności się poczuwać, traktuje nas gorzej niż po macoszemu, o przemysł nasz, o stawianie i utrzymanie dróg i kolei nie dba, liczbę przedstawicieli naszych w parlamencie stara się legalnie czy nielegalnie uszczuplić; nasyla nam na urzędników swoje kreatury; rozdrażnia nas nieustannie, zatrzymując *Rječę* (Fiume) pod bezpośrednim swym zarządem, a tem samem zamyka nam, naszemu handlowi, przystęp do morza. Popatrz na mapę: przecież cała Chorwacya odłącza *Rječę* od Węgier; z jakiejże racyi Węgrzy w niej się usadowili, czemu jątrzą wciąż i tak zbyt szeroką i głęboką ranę tym nowym Gibraltarem?

A teraz posłuchaj Węgra: i on na „umowę“ się skarży, obwinia jej twórców, że dali się unieść zbytnią wspaniałomyślnością i zrobili Chorwacyi zawiele, znacznie zawiele „ustępstw“. Prawda, 55 procent chorwackich dochodów idzie do kas peszteńskich, ale suma w ten sposób uzyskana nie wynosi nawet 6.44% wspólnych translitawskich wydatków, choć wedle umowy, Chorwacya taką kwotę do wydatków tych winna się przyczyniać. Prawda również, że, zwłaszcza po przyłączeniu do Chorwacyi dawnej „granicy wojskowej“, liczba posłów chorwackich w parlamencie węgierskim niezupełnie odpowiada liczbie mieszkańców: prawda, że staramy się ważniejsze posady obsadzić

pewnymi, przychylnymi nam ludźmi; — ależ trudno od nas żądać, abyśmy mieli faworyzować jawnie nam niechętne żywioły, czyhające tylko na sposobność, aby od Węgier się odłączyć, zniszczyć panujący dziś dualistyczny system, i obok austriackiej Cislitawii, obok węgierskiej Translitawii, uformować trzecie, równorzędne dwom poprzednim, „południowo-słowiańskie“ państwo. Niech Chorwaci jawnie się swych mrzonek zrzekną, niech z panslawizmem nie kokietują, i dadzą czynami dowody lojalności, a wtedy zobaczymy, co będzie jeszcze można dla Chorwacyi zrobić.

— A kwestya Rjeki?

— Kwestya? Dla nas kwestya ta nie istnieje. Każdy Węgier powtórzyć tu tylko musi słowa Kossutha: „Rjeka jest miastem węgierskiem, miastem węgierskiem pozostanie; nigdy, za żadną cenę Słowianom jej nie odstąpimy!“

„Południowa Słowiańszczyzna!“ — „Związek krajów południowo-słowiańskich!“ — „Federacya południowo-słowiańska pod berłem Habsburgów!“ — „Trójjedne królestwo!“ — hasła te, wbrew wszelkim środkom przez Węgrów używanym, a w części przez środki te szerzone i potęgowane, rozbrzmiewają z coraz większą siłą od lat kilkudziesięciu, coraz głębsze bodaj, choć na zewnątrz to mniej, to znów bardziej uwidoczniające się, zapuszczają korzenie. Przywołana do życia przez Napoleona „Illyrya“, krótkie przetrwała miesiące, ale pozostała podziśdzeń ideałem, punktem oparcia dla patryotycznych marzeń wielu, więcej niż zazwyczaj sądzimy, Słowian lublańskich, zagrzebskich, zadarskich... W pamięciach, w sercach pozostają wypisane niezatartemi głoskami słowa słoweńskiego wieszczą Vodnika:

„Obudź się Illyryo! Illyrya się obudziła... — Nadzieja w duszy zagrała: Nasze plemię będzie wsławione. — Ja wieszczę wam to powiadam: Cud ma się spełnić niedługo — Napoleon w kraj wejdzie Słoweńców. — Prawicą na Galii się wspiera — Lewicę Grecyi podaje — Korynt jest Grecyi stolicą — Illyrya jest w centrum Europy — Korynt okiem Grecyi nazwano — Illyryę brylantem świata zwać będą!

Jaką ma być nowa Illyrya, do której napoleońska była tylko przygrywką; jakie wedle śmiałych, jakie wedle najśmiel-

szych, najfantastyczniejszych marzeń miałyby być jej granice. jaki język, jakie losy? Poetom wolno pisać o „harmonijnym słowiańskim chórze“, w skład którego wchodzi: Serbowie, Chorwaci, Bułgarzy, Słoweńcy, i wspólnie dopiero tworzą jedną rodzinę: „jeden lud, lud słowiański“; lecz nie zapoznając bynajmniej wielkiego znaczenia pieśni, pamiętając, jaką nieraz rolę w życiu narodów odgrywa, nie można bądźco bądź brać dzisiaj — bo któż o jutrze mówić może — na seryo wyśpiewanego przez nią programu. Najśmielsi nie-poeci myślą o złączeniu w jedno wspólne. osobistą unię z Austryą i Węgrami połączone Królestwo, całej do Habsburskich dzierżaw należącej południowej Słowiańszczyzny, a więc: Chorwacy, Dalmacyi, Bośni, Hercegowiny, prowincyj przez Słoweńców zamieszkałych. Czy i to utopia, czy utopią jest najbardziej narazie pożądane połączenie Chorwacy z Dalmacją? Przed kilku miesiącami miał podobno sam cesarz wyrazić się o dążeniach tych niechętnie; a jeśli wierzyć nieprzyjaznym dla słowiańskich aspiracyj dziennikom, napiętnował je wprost nazwą „utopii“. Byłby to zresztą tylko dowód więcej, że aspiracye te coraz głębiej i w coraz szerszych warstwach na gruncie zyskują, że wobec pojawiającej się w tym kierunku silnej agitacji, uznano już za odpowiednie uciec się do tak silnej broni, jaką jest nagana cesarska. Istotnie, cicha dotąd stosunkowo agitacya, rozwinęła się w ostatnim czasie, głównie wystawę zagrzebską wyzyskując, w cały szereg nie groźnych, lojalnością dla tronu i państwa błyszczących manifestacyj, ale zawsze manifestacyj. Na wystawowych placach, w teatrze, gdzie i jak było można, korzystano z każdej sposobności, aby wносить entuzjastyczne okrzyki na cześć przyszłego zjednoczenia; Chorwaci przesadzali się w objawach gościnności i miłości dla dalmatyńskich gości, Dalmatyńcy w objawach wdzięczności i miłości dla miejscowych gospodarzów. Po raz pierwszy od długich lat walczące ze sobą zaciekle, wzajemnie patryotyzm chorwacki na wyłączną swą własność konfiskujące stronnictwa, zawarły ze sobą rozejm, mający trwać tak długo, jak długo stać miały wystawowe pawilony. Za bytności mej w Zagrzebiu pawilony te wznosiły się dopiero, malowano je, zdobiono różnymi figielkami, szpecono olbrzymimi napisami;

w tejże samej fazie znajdował się i zamierzony rozejm. Później przyszedł on istotnie, *ad usum Delphini*, tj. zagranicznych gości i zagranicznych gazet, do skutku; wystawa zamknięta, rozejm się skończył, bo o stałym pokoju i mowy, niestety, nie było, i znów po staremu stronnictwa stoją do ataku gotowe; czasami, od święta, gdy im nowy jakiś peszteński edykt za silnie doku- czy, wspólnie przeciw Węgrom się obróca; ale w zwykły dzień powszedni wzajemnie między sobą kłócą się, gryzą, i to wcale nie „sercem“, ale piórem, językiem, bywa, że i bardziej, jeśli nie dotkliwie, to namacalnie.

W odnęcie tych partyj, w rozlegających się na prawo, na lewo hasłach bojowych, niełatwo się odrazu zorientować, nie- łatwo przed oszołomieniem się ustrzedz, gdy z trzech naraz stron odezwą się gromkie okrzyki: Hejże na Starceviczan! Hejże na Strossmayeryanów! Hejże na Héderváryanów! Tych ostatnich między Chorwatami z nazwiska i z pochodzenia bardzo niewielu, a pozycja owych niewielu „zmadyaryzowanych“, uważanych przez wszystkie inne partye za zdrajców narodu, prawdziwie nie do pozazdroszczenia, nawet mimo połyskującej zdaleka, nieraz ulu- dnej nadziei świetnej a szybkiej karyery. Umiarkowane stron- nictwo, które za duchowego swego, inna rzecz, czy zawsze wiernie słuchanego przewodcę uważa biskupa Strossmayera, dzieli się znów na kilka odcieni: najczerwieńszy żąda zaprowadzenia abso- lutnie tego samego stosunku między Węgry a Chorwacyą, jaki istnieje między Cis- a Translitawią; najmniej czerwony, lub aby o słowa nie sprzeczać się: najbielszy, domaga się tylko lojalnego, ścisłego zachowania „ugody“ z 1868 r.; na lewem skrzydle stoją Starcevicze, osiwały Antoni i synowiec jego Dawid, i prowadzą do walki chciwe boju, parlamentarnych wrażeń i nieparlamen- tarych burd, młodzieńcze zastępy.

„Starceviczowski“ ton i maniery słynne już są w parla- mentarnych dziejach; gazety innych krajów, karcąc niemożliwe wyrażenia się i kłótnie swych posłów, dodają, jako najsmutniej- szą groźbę: „Jeszcze krok, a dojdziemy do scen odgrywających się w sejmie chorwackim“. Ale mniejsza o łupinę; jakież ziarno,

jaki program ukrywający się pod tą ostrymi i grubymi kolcami najeżoną łupiną?

— Pytasz o nasz program? — zwierzał się parę miesięcy temu Antoni Starcevič jednemu z redaktorów *Pesti Hirlap*, a zwierzał się z taką wyrachowaną naiwnością, czy dobroduszością, że najmniej drażliwe podniebienie odczuć w wynurzeniach tych musiało potężną szczyptę ironii; — pytasz, do czego zmierzamy, czego chcemy? Wierżaj mi pan, nie mamy wcale przesadnych uroszczeń; Węgry nie mają w Chorwacyi szerszych od nas przyjaciół. Bo i czegoż chcemy? Ostatecznie drobnostki. Wszystko razem wzięwszy, nie dążymy do niczego innego, jak tylko do zapewnienia Chorwacyi zupełnej niezależności, w tym co najmniej stopniu, w jakim Węgry są od Austrii niezależne; a nadto, aby do tej niezależnej Chorwacyi przyłączono napowrót: Dalmację, Bośnię, Hercegowinę, Rječę, Istrię i Krainę. Otóż i wszystko. A teraz powiedzże mi łaskawy panie, czy warto o taką bagatelę robić tyle hałasu, jak wy tam w Peszcie robicie? Czy nie byłoby raczej obowiązkiem Madziarów spełnić natychmiast, bez wahania się, te nasze życzenia, o których słuszności nikt na seryo wątpić nie może?...

„Bagatela“, „drobnostka“, „skromne życzenia“... Korespondent peszteńskiej rządowej gazety wyznaje, że wyszedł oszołomiony z gabinetu Starceviczów; złośliwi jego koledzy po piórze utrzymywali, że szklanki śliwownicy, które w czasie rozmowy z odpowiednimi toastami wychylano, grały w tym interviewie jedną z najbardziej wpływowych ról; przewodcy chorwackich radykałów, do odgrywania przeróżnych komedij i tragedij w parlamencie wyćwiczeni, nie lękający się zdrady od rodzinnej chorwackiej śliwownicy, musieli po czułem pożegnaniu gościa za boki się brąć, przypominając sobie wystraszoną i zdziwioną jego minę. I w tem właśnie najslabsza strona wszystkich „interviewów“, że z reguły są one — komedya. Wechodzisz do redaktora X, do posła Y, do profesora Z; przyjmują cię grzecznie, cieszą się, że odwiedzić ich raczył brat-Słowianin, brat-Polak; wyrażają gorące swe sympatyje dla Polski. Za uprzejmość starasz się wywdzieczyć, a następnie schodząc na praktyczniejsze tory, zahaczasz

zlekka o miejscowe stosunki. Niestety! Pan redaktor, czy pan poseł wyszedł już — żleby to o rozsądku jego świadczyło, gdyby nie wyszedł — żeś do niego nie przyszedł dla samych pięknych jego oczów, nie w pieniężnym interesie, nie z prośbą o protekcję — że natomiast zostajesz z farbą drukarską w pewnych bliższych stosunkach, zatem że go „interwiewujesz“. Od chwili tego odkrycia, mógłbyś bez wielkiej szkody wstać i pożegnać się. Grzeczność na to nie pozwala, więc słuchasz z przejęciem teoryj i wniosków znanych ci z ostatnich kilku artykułów wstępnych dziennika, w którego redakcyi się znajdujesz; rzucasz parę pytań, na które odpowiedź mieści się w ostatniej mowie wygłoszonej na sejmie, a teraz w skróceniu, z pewnemi amplifikacyami lub skróceniami, powtórzonej dla twego użytku. Wyrażasz „wdzięczność“, otrzymujesz wzamian zapewnienie odczutej z twego widoku „przyjemności“, i odchodzisz zły. Na schodach notujesz sobie krótko: „Redaktor X — frazesy — czas stracony“, i pytasz się, czy warto dalej ciągnąć tę nudną, prawie że bezowocną wędrowkę? — Czy warto? Kto pił, pić będzie — odpowiada przysłowie...

Pan Dinko Politeo, „urednik“ umiarkowanego, za strossmayerowski organ uchodzącego *Obzora* (Przegląd), nie zapuszcza się w polityczne teorye i kombinacye, ale wprowadza łaskawie a praktycznie w tajniki chorwackiego dziennikarstwa; nie tylko skreśla główne jego tendencye, nie tylko tytuły podaje, ale nadto wylicza, jakby z książki czytał, cyfrę prenumeratorów jednego po drugim dziennika, i — rzecz u redaktora niezwyčajna, prawie aż do zastanowienia dająca — własnego wcale nie pomija.

— Wogóle — daje p. Politeo dość charakterystyczne objaśnienia łamanym, z nietajoną trudnością przez usta przeciskającym się niemieckim językiem — wogóle żadna nasza gazeta nie jest względem religii wrogo usposobiona; żadna również nie ma specyalnie na celu obrony katolickich interesów. Tego u nas nie potrzeba. Czasem w radykalnych dziennikach wyczytać można między wierszami jakiś sarkazm, jakąś napaść na religię; ale ślepe to strzały i zbyt często ich nie słyhać, bo mogłyby łatwo czytelników raczej do samej gazety, niż do Kościoła zniechęcić.

O Papieżu także wyrażają się zazwyczaj wszystkie nasze organy z uszanowaniem; wszak Leon XIII. szczerze ze Słowianami sympatyzuje i złożył już tego dowody. Uszanowanie to dla Papieża, przywiązanie do religii, nie nadwiera w niczem daleko idącej tolerancyi dla inaczej wierzących i myślących; katolicy z prawosławnymi nie wojują: o klerykach, o liberałach, o wzajemnych między nimi walkach, jakie np. w Lublanie się toczą, tutaj nie słychać. Prawda, ta tolerancya idzie czasem zadaleko. Tak, aby jeden przykład przytoczyć, wydawcą kalendarza specjalnie „katolickiego“, jest nie katolik, nie chrześcijanin nawet, ale Żyd. Robi on widać interes na tej „katolickiej“ firmie; kalendarz chętnie jest czytowany i kupowany; a kto go pisał, kto i dlaczego wydaje, o to się czytelnicy nasi nie troszczą.

— Za to w polityce o tolerancyi mowy niema i nie może być! — zapalał się, do lepiej sobie znanej kwestyi przechodząc, ton o jedną nutę, potem znów o jedną podnosząc, redaktor *Obzora*. — Starceviczanie, to nihiliści; ich organ *Hrvatska*, czerwone, namiętne redagowane pismo. Pokój z niem niemożliwy; niema numeru, w którymbyśmy z *Hrvatską* nie byli zmuszeni polemizować; niema numeru, w którymby starceviczowski organ na nas nie napadał. Proszę przejrzeć ostatni numer. Na pierwszej stronnicy wielki polemiczny artykuł przeciw Strossmayerowi i naszej gazecie. Na drugiej znowu potężny, więcej niż całą kolumnę zajmujący artykuł: *Dr. Frank proti „Obzoru“*, a w jakim stylu, z jaką grzecznością pisany, tego przedsmak mieć można z ostatniej, wieńczącej całą tę chryję wirgiliuszowskiej cytaty: *Quamvis sunt sub aqua, sub aqua maledicere tentant*. Na trzeciej stronnicy podjazdowa walka w korespondencyach z prowincyi, w kronikarskich notatkach; jeszcze ich dziś nie przeglądałem, ale pewnie nieraz nas tam swym zwyczajem uklóli, uszczypnęli.

Zapytałem o dzienniki zostające w usługach rządu, o humorystyczne, o czytelników...

— Rządowych dzienników jest dwa: niemiecki *Agramer Zeitung*, i chorwackie *Narodne Novine*; pierwszy założony przed 66 laty, drugi przed 57. Wiele domów tradycyjnie je prenume-

ruje i ztąd tłumaczyć należy znaczną liczbę abonentów, przeszło 2000. *Obzor* ma również około 2000; bezbarwny *Agramer Tagblatt*: 1400; *Hrvatska*: 400—500. Młodzież radykalną gazetę czyta, nad Starcevičem unosi się, ale płacić, nie bardzo płaci. Na humorystyczne pisma, Bogiem a prawdą, u nas grunt jałowy. Niemiec rozśmiewa się, pofiglując mniej lub bardziej dowcipnie; my odrazu obrażamy się i obrażamy innych. Od kilku miesięcy wychodzić zaczął humorystyczny dwutygodnik *Trn* (Cierń); bliższych o nim szczegółów nie wiem, bo go nie czytuję; podobno na *Obzora*, jak może, ujada. Dawniej był jakiś *Bicz*; raz było aż trzy humorystyczne dzienniczki; wiele ich dzisiaj, prawdziwie nie wiem, bo dużo ich się rodzi, ale nietrwały żywot wiodą...

— Wielka szkoda, — ubolewał grzeczny redaktor *Obzora*, do drzwi mię odprowadzając — wielka szkoda, że pan kolega nie przyjechałeś parę tygodni wcześniej, kiedy jeszcze biskup Strossmayer nie był wyjechał z Dyakowy do kąpiel. Być w Chorwacyi, a nie wstąpić do Dyakowy, nie widzieć Strossmayera, to być we Włoszech, a Rzym ominąć, Papieża nie widzieć!...

Znana mi to, nudna monotonością swą piosnka! Od pierwszej godziny przybycia do Zagrzebia, wszyscy nowi, tak do zbytku łaskawi znajomi, przyjaciele, powtarzają z ubolewaniem tę samą zwrotkę: „Biedaku! Strossmayera nie zobaczysz; do Dyakowy nie masz poco teraz jechać!“ O tem, abym w razie bytności Strossmayera w biskupiej swej, przez Węgrów od kolei żelaznych odosobnionej, a przecież szeroko znanej, sławnej siedzibie, nie miał do niej dotrzeć, nikomu przez myśl nie przechodzi. Strossmayer, to bądźco bądź najpopularniejsza w Chorwacyi osobistość; to dziś już narodowy bohater, którego postać za niedługie lata olbrzymie z pewnością, mityczne kształty przybierze; którego czyny, którego imię, choć tak nie zchorwacka brzmiące, przejdzie w pieśniach i dumkach w dalekie, dalekie pokolenia. Istotnie, patrząc na to, co Strossmayer dla Chorwatów zdziałał, przyznać trzeba, że — choćby nawet krewkość czy zbyt dobra wiara popchnęła go kiedy do jakiego niewłaściwego kroku — zasłużona to jednak popularność. Hasło przezeń wybrane: *Sve za vjeru i domorinu* (Wszystko za wiarę i ojczyznę),

przeszło niejednokrotnie ogniową próbę czynów i ofiar. Rezydencyę swą, nie wiedzieć miasteczko czy wioskę, z nazwiska ledwie dotąd światu znaną, przemienił w chorwackie Ateny: założył w niej gimnazjum, dwie szkoły dla dziewcząt, duchowne seminaryum dla Bośniaków, seminaryum nauczycielskie; zbudował za półtora miliona wspaniałą katedrę, której architektura wschodnio-zachodnia uzmysławiać ma ulubioną, przewodnią myśl Strossmayera: unię wschodniej Cerkwi z katolickim Kościołem. We wszystkich chorwackich gimnazyach: w Osieku, Rjece, Gospiczu, Warasdyniu, Zagrzebiu, kształcą się na jego koszt liczni uczniowie. Gdy w r. 1867 sejm chorwacki postanowił założyć na koszt kraju uniwersytet w Zagrzebiu, Strossmayer ofiarował na początek i na zachętę dla innych 50.000 zlr. na budowę gmachu, 20.000 na stypendya. W tymże samym roku 1867 otwierał uroczyste powstała dzięki swej wspaniałomyślności, dzięki swym zabiegom, zagrzebską Akademię Umiejętności; w następnych latach ofiarował jej bogate swe zbiory rzeźb, obrazów, starożytności; podziśdzień żywo interesuje się jej pracami, ofiarowuje znaczne sumy na jej wydawnictwa... Jakże dziwić się, że Chorwaci czczą i kochają „ojca ojczyzny“, „wielkiego biskupa“ — jak go tu nieraz nazywają. „A u was w Polsce — słyszę razpo-raz charakterystyczne, więcej bodaj od tych przydomków mówiące pytanie — a u was, czy znają naszego Strossmayera, czy wiedzą, ile zdziałał; czy wierzą puszczanym w obieg przez naszych nieprzyjaciół nierozumnym plotkom, któremiby chciano działalność jego pohamować, znaczenie podkopać?“

Widać właśnie wśród drzew i zieleni wznoszący się, najpiękniejszy pomnik, jaki Strossmayer w chorwackiej stolicy za życia sobie postawił: wspaniały gmach Akademii Umiejętności. Przed nim niby na straży stanęły z kararyjskiego marmuru wyrobione popiersia malarzów: Juliusza Cloviusa i Medulića, narodowego bohatera: Krzysztofa Frankopana. Jądro gmachu stanowi monumentalne, aż po sam szczyt wyciągnięte *atrium*, wokół którego biegną sale, muzea, galerie. Od ceglastego tła odbija i wita przychodnia u drzwi wizerunek Strossmayera, a dalej z boku olbrzymich rozmiarów obraz św. Leona papieża, wycho-

dzącego naprzeciw Attyli, z orszakiem biskupów i kapłanów, poskramiającego świętością swą i słowem dzikie jego hordy. Czy obraz ten alegoryą? Może nie, ale każdemu, kto bramy Akademii przejdzie, kto z górnej galeryi po *atrium* się rozejrzy, pytanie to przynajmniej, jeśli nie odpowiedź, nasunąć się musi. Już tutaj na każdym kroku, pod obrazami, pod statuami, czytamy, rzechy można, do znudzenia wracający napis: „Dar biskupa Strossmayera“; bogata, jasna galerya obrazów wszystko niemal jemu ma do zawdzięczenia. Najwięcej jest obrazów włoskich, skupowanych przez samego biskupa od lat wielu, za każdą, często powtarzającą się bytnością w Rzymie, Florencyi, Wenecyi. Katalogu, niestety, doprosić i dopytać się nie można; dlatego może, że i peszteńska Akademia Umiejętności nie zdobyła się dotąd na katalog swej galeryi obrazów, spisany jeśli już z „wyższych“ względów nie w niemieckim, to w jakimkolwiek bardziej znanym, we francuskim, w angielskim języku — a Zagrzebowi nie wypada Pesztu wyprzedzać. Pod obrazami podpisane wprawdzie zazwyczaj nazwiska malarzów, tylko że dla profana niedostateczna to pociecha. Od biedy orientuje się, gdy wyczyta nazwisko którego z królów pendzla: Tycyana, Gwida Reni, Pawła Veronese, Fra Angelico, Dürera; orientuje się jeszcze wśród starych tryptyków, z dawnych kościołów, ze zburzonych kaplic pościąganych religijnych obrazów; — ale gdy przyjdzie później kolej na chorwackich, nowszych zwłaszcza artystów, widzi zamaszyste typy, oryginalne stroje, wzniesione lub opuszczone dłonie, i — przechodzi obojętny, bo mimo najlepszej woli, dowiedzieć się nie może, z kim ma do czynienia, dlaczego ci panowie, te panie takie miny stroją, śmieją się, płaczą, gniewają?

Po salach, salkach, galeryach snuje się dość wielu ciekawych. Wcale to nie sam kwiat tylko zagrzebskiej arystokracji, ale przedstawiciele najrozmaitszych, i wysokich i niskich warstw społecznych: panie ubrane wedle najświeższej paryskiej mody i ze wsi dopiero co przybyłe w narodowym stroju gosposie; studenci, kilku żołnierzów, kilku panów w kosmopolitycznych surdutach. Wiejskie gospodynie z religijnym prawie nastrojem stają przed obrazami, a z ożywionych ruchów sądząc, próbują

sobie znaczenie ich tłumaczyć. Spróbowałem i ja, czy w braku pisanego, nie uda mi się znaleźć żywego *cicerone*, i poprosiłem jednego z tużurkowych jegomości o wyjaśnienie jakiejś, na wielkiem płótnie wymalowanej, ale dla nieobznajomionego bliżej z chorwacką historią absolutnie niezrozumiałej sceny. Poczwierciec najszczerzą miał ochotę jak najlepiej mi usłużyć. Wytłumaczył, czego, mając oczy, nie widzieć nie mogłem, że u góry świeci księżyc, na dole leży miasto, w mieście są kościoły, a koło miasta wojsko obóz rozbiło; natomiast napróżno dowiedzieć się usiłowałem, co to za miasto, co za wojsko i z jakiej racji po nocy koło miasta się tłucze? Skończywszy z jednym obrazem, rozpoczął usłużny do zbytku przewodnik objaśniać w podobnyż sposób treść następnego; szczęściem, z bocznego korytarzyka nadpływała nowa fala zwiedzających, i choć nie bez wysiłku, udało mi się w niej utonąć.

Archeologiczne zbiory, podobne do archeologicznych zbiorów we wszystkich na świecie stolicach, jak na Zagrzeb, dość bogate, nader starannie i gustownie uporządkowane. Osobne pokoje przeznaczone na starożytności rzymskie, greckie, egipskie, przedhistoryczne; nie brak w pokojach tych, o szafach i pięknych napisach już nie mówiąc, i samychże starożytności, ale znać, że trochę one na gwałt sprowadzane i kupowane, że w tym dziale przynajmniej nie gmach powstał dla gotowych zbiorów, ale zbiory dla gmachu.

W bibliotece prowadzą mię odrazu do szafy, w której w długim szeregu błyszczą poważne wydawnictwa krakowskiej Akademii Umiejętności. Obok, niemniej poważne, liczniejsze, jak z wieku im się to należy, ciągną się dzieła, które, jak zwiastują tytułowe kartki: *na svijet izdala jugoslavenska akademija znanosti i umjetnosti*. Historia, raczej materiał historyczny, troskliwie dla przyszłych dziejopisarzy gromadzony, rozpiera się i tu, jak u nas, jak wszędzie niemal, despotycznie, wszechwładnie. „Pamiętniki“ Akademii, opatrzone skromnym a jednak wiele mówiącym tytułem: *Rad* (Praca), opuszczają zazwyczaj prasę rokrocznie w czterech zeszytach, poświęconych chorwackim dziejom, wyjaśnieniu spornych historycznych zagadnień. *Monumenta spe-*

*stantia historiam Slavorum meridionalium*¹ zawierają dokumenty historyczne w ścisłym słowa tego znaczeniu, ukryte dotąd w niedostępnych archiwach, przedewszystkiem w weneckich. Dla filologów wielką ma wagę, i istotnie żywo interesuje belgradzkich, petersburskich, wiedeńskich filologów, zbiór starożytnych, w znacznej części nieznanych dotąd tekstów łacińskich, słowiańskich. Inne, równie znaczny szereg tomów już liczące wydawnictwo: *Stari pisci hrvatski* (Starzy pisarze chorwaccy), interesować musi nie tylko filologów, ale bardziej jeszcze literatów, historyków, a polskich literatów, historyków wcale nie na ostatnim miejscu. Rozpoczęty w r. 1880 przez sprowadzonego umyślnie w tym celu do Zagrzebia belgradzkiego profesora D. Daničica: *Rječnik hrvatskoga ili srpskoga jezika*², prowadzony następnie przez M. Valavaca i P. Budmanięgo — tem być ma dla Chorwatów, czem dla nas jest dotąd Linde, dla Francuzów Littré. Wspomnijmy jeszcze: *Monumenta historico-juridica Slavorum meridionalium*³; rzućmy okiem na te półki zapelnione odrębnymi pracami przyrodniczymi, filologicznymi, historycznymi, które Akademia bądź w części, bądź w zupełności staraniem swem i na koszt swój ogłosiła — a trudno hołdu nie oddać pracowitości południowo-słowiańskich „nieśmiertelnych“.

Duszą Akademii, rzeczywistym, choć dziś nie nominalnym jej prezesem, jest kanonik zagrzebski, a zarazem prałat rzymski, Franciszek Rački, którego naukowe zasługi koło historii rodzinnego kraju, benedyktyńską pracowitość, podziwiać muszą i ci, co z politycznymi jego zasadami niezupełnie się zgadzają. Przez długie lata był Rački i rzeczywistym prezesem; przy ostatnich wyborach wszystkie niemal gałki padły znowu na niego, ale rząd wyboru nie zatwierdził. Rok cały Akademia protestowała przeciwko węgierskiemu *veto*, nie przystępując do nowych wyborów; po rocznym dopiero *interregnum* zgodziła się z koniecznością, i aby dalszego rozwoju prac swych nie tamować, wy-

¹ Dokumenty odnoszące się do historii Słowian południowych.

² Słownik chorwackiego czyli serbskiego języka.

³ Dokumenty historyczno-prawnicze Słowian południowych.

brała prezesem księdza Torbara, byłego dyrektora szkół realnych. Torbar stoi w zasadzie tak samo, jak Rački, pod chorągwią wywieszoną przez Strossmayera; dobrym jest chorwackim patryotą, ale spokojniejszy z natury, nagle ze skromnego zacisza na szerszą widownię wyciągnięty, nikomu wody nie maćci, i z tego, co tu o nim słyhać, a raczej z tego, że nic a nic prawie o nim nie słyhać, zdawałoby się, że najszczęśliwszy jest, gdy inni nim, a on innymi nie potrzebuje się zajmować. W samych gmachach Akademii nazwisko „prezesa“ Rackiego — bo tak wszyscy go tu nazywają — nie jeden raz o uszy mi się obilo; pokazywano mi gabinet, w którym codzień pracuje, wskazano adres jego domu, zachęcając do odwiedzenia „znakomitego naszego historyka“; o prezesie Torbarze nikt słowem nie wspomniał, i gdybym przypadkiem nie spotkał się i nie zapoznał z jego synowcem, kto wie, czybym wogóle dowiedział się o istnieniu tego drugiego „odpowiedzialnego“ prezesa, którego urząd i rola przypomina mimowoli urząd i rolę wielu „odpowiedzialnych“ redaktorów.

Rzeczywisty prezes, dr. Franjo Rački, mieszka w skromnym, ale przyzwoitym domku, na Kaptolu nr. 13. Służąca nie chce słuchać ani nazwiska, ani jakiegobądź innych wyjaśnień, biletu nawet nie bierze, tylko poprostu wskazuje drzwi do saloniku, w którym głośny historyk siedział właśnie nad biurkiem; widać zbyt wielu natrętów jeszcze tu się nie ciśnie. Gospodarz w długim, księżym surducie, silnie zbudowany, choć szpakowaty włos ostrzega, że pierwsze gońce starości już tędy przeszły, przyjmuje mię — jak zgóry mi zapowiadano — bardzo grzecznie i uprzejmie. Rozmowa, po paru obowiązkowych grzecznościach i zapytaniach, schodzi na Akademię.

— Dużo, dużo mamy najrozmaitszych trudności do przezwyciężenia, — żalił się — ale tem się nie zrażamy; pracujemy wciąż, cegłę do cegły znosimy, pocieszając się, że przyszłe pokolenia skorzystają z naszych trudów. Znam wasze stosunki, znam waszą krakowską Akademię, znam naturalnie jej wydawnictwa liczne, prawdziwie wspaniałe!... My niestety! znajdujemy się w bez porównania trudniejszych warunkach; wszystko opiera się wyłącznie na własnych naszych wysiłkach; od rządu

najmniejszego poparcia nie możemy się spodziewać; dobrze, jeśli nam przeszkód nie stawia. Wasza Akademia ma stosunkowo bogatą dotację; na naszą rząd nie daje ani jednego krajcara. Na dowód, jak rząd i w Zagrzebiu, o Peszcie już nie mówiąc, względem nas usposobiony, opowiem księdzu fakt w sobie drobny, ale charakterystyczny. Kiedy przed kilku laty arcyksiążę Rudolf przyjechał do Zagrzebia, nie można go było, choć pewnie na dobrych chęciach w tym kierunku nie zbywało, nie zaprowadzić do Akademii; w Wiedniu zresztą nie miano ani racji ani chęci wypuścić zwiedzenia Akademii z urzędowego programu. Naturalnie „ban“, jak gdzieindziej, tak i tutaj musiał arcyksięciu towarzyszyć. Dotąd ignorował on najzupełniej nasze istnienie, teraz rad-nierad przekroczył po raz pierwszy w życiu progi Akademii; ale dla zamanifestowania właściwych swych uczuć, nie wszedł ani do jednej sali, przeprowadzał arcyksięcia korytarzami, schodami od drzwi do drzwi, zatrzymywał się przed nimi z irytującą regularnością, i mimo mych próśb, kroku dalej nie chciał postąpić. Powtarzam, drobny to fakt, w gruncie do humorystycznego jakiego pisma nadający się, lecz swoją drogą, czy nie pokazuje on wybornie, jakie względem nas, względem Akademii panuje usposobienie w rządowych węgierskich kołach; czy i o ile na ich pomoc, na uprzejmość możemy liczyć?...

O Akademii, o jej prace i owoce podjętych prac, sam wypytywałem się ciekawie; na niebezpieczne głębie politycznych aspiracji i sympatyj chorwackich, lękałem się i namyślałem czy łódź puścić, tem bardziej że sympatyje Račkiego, o ile z rozpoznać dość w kraju naszym opinii znane mi były, nie mogły harmonizować z sympatjami Polaka. Nadspodziewanie i aż nieco zastanawiająco sam Rački z rozwiniętymi żaglami wpłynął na to morze.

— Mówią o nas, piszą, że do Rosyi, do panslawizmu ciągniemy. To śmieszne poprostu! Jak gdybyśmy mieli zawiązane oczy, zatkane uszy, nie widzieli i nie słyszeli, w jaki sposób słowiańskie braterstwo w Rosyi się praktykuje! Wiemy przecież, co się u was w Polsce dzieje, znamy unickie „nawrócenia“, i nie mamy najmniejszej ochoty doświadczać sami tego, czego wy już do-

świadczyliście. Więc czemuż w takim razie występuje czasem to ten, to ów, z jakąś niby panslawistyczną polityką? Nie mniej to, ni więcej, tylko straszak na Węgrów. Mówimy im: Nie dokuczajcie nam zanadto, bo rozpacz złą doradczynią; nie doprowadzajcie nas do niej, bo nuż wtedy do przepaści się rzucimy!... Ale o tem rzuceniu się nikt przy zdrowych zmysłach nie myśli. Być może, że jest gdzie taki waryat, wszak wszędzie waryatów znaleźć można; wszyscy rozumni, cała Chorwacya wie, że tylko w połączeniu z Austryą mamy zapewnione istnienie i narodową przyszłość.

— Węgrów nie kochamy — ciągnął dalej — i oni sami, ze sposobu postępowania sądząc, pretensi do tego mieć nie mogą; a swoją drogą, choć zdanie to na pierwszy rzut oka na paradoksalne wygląda, daleko dla nas lepiej, że jesteśmy pod Pesztem, niż gdybyśmy mieli zależeć bezpośrednio od Wiednia. Niemcy postępowaliby z nami grzeczniej, układniej, ale wyższa ich cywilizacya imponowałaby nam, zwyczaję, mowa niemiecka wciskałaby się łatwo do warstw wykształceńszych, pod firmą dobrego tonu, europejskiego sposobu życia. Natomiast z Węgrami stoimy i poczuwamy się do tego, że stoimy pod każdym względem na tej samej linii, a przeto o rzeczywistem niebezpieczeństwie madyaryzowania niema co mówić. Madyaryzacya odrywa w najgorszym razie brutalną siłą kilka gałązek od rodzinnego pnia; germanizacya stoczyłaby mogła całe drzewo. Z dwóch chorób, lepsza ta, co choć dokuczliwsza, śmiercią nie grozi.

Gdzież dziś, gdzież w Austryi nie odzywa się to na tę, to na inną nutę, to z tej, to z innej przyczyny, ale wciąż ta sama, monotonna, melancholijna zwrotka: „Źle bo źle, bieda bo bieda, ale niechby już była sobie dzisiejsza bieda, byleby jutro gorsza nie przyszła“!...

Kaptol, Górne miasto, już za mną daleko, a smutna ta zwrotka wciąż w uszach brzmi. Z niewesołej zadumy budzą krzyki dozorców, gwar robotników, robotnic, uderzenia siekier — to na gwałt kończą, ozdabiają całe miasteczko z pawilonów, pawiloników, w których chorwacki przemysł i sztuka ma niezadługo

światu się przedstawić. Czy na tej przynajmniej wystawowej arenie obejdzie się bez wzajemnych waśni; czy i wystawa jak teatr, jak dziennik, powieść, jak poezya nawet będzie musiała pójść w służbę politycznych partyj, politycznych programów? Chorwackie stronnictwa zawarły między sobą rozejm na czas wystawy: czy dotrzymać go potrafią? Czy projektowane wspólne wycieczki do Zagrzebia: Czechów, Dalmatyńców, Słoweńców, nie dadzą powodu do manifestacyj, które stosunek między Chorwacyą a Węgrami bardziej jeszcze zaostrzą? Niedaleka przyszłość okazać miała, że obawy te, choć nie spełniły się w takiej mierze, jak tego niektórzy się lękali, bez podstaw jednak nie były.

Czas odjeżdżać! „Pan Przełożony“, ksiądz Lang, wszyscy jego koledzy, pocziwe zakonnice, próbują mię jeszcze zatrzymać; gdyby mogli, to z słowiańską prawdziwie gościnnością, pewnie koła z wozuby zdjęli, lokomotywę popsuli, nie puścili w dalszą drogę. „Czemu, poco się spieszyć, czy u nas ci źle; czy nie mógłbyś u nas, jeśli już nie miesiąc, nie parę tygodni, to choć parę dni zabawić?“ Jeden z księży, choć późny już dość wieczór, odprowadza mię na kolej. Biedak! polskie nazwisko nosi i polskie serce w nim bije; ojciec jego przed paru tygodniami zmarły, gorącym Polakiem był.

— Tu mię losy zagnały — mówił przy pożegnaniu, gorąco za rękę mię cisnąć — i tu zostać trzeba! Do Polski wracać nie mam poco; dziś i języka polskiego nie umiem; między Chorwatami przynajmniej pożyteczny być mogę.... Taka widać wola boża!...

— Do widzenia! Do widzenia, daj Boże! kiedyś w Krakowie! — wołałem jeszcze z wagonu.

Pociąg za chwilę miał ruszyć... Ksiądz Kotlarski ręką tylko machnął i zwrócił się szybko, chcąc może ukryć łzy, które od kilku już chwil gwałtem do oczu mu się cisnęły...

Ks. Jan Bađeni.



CAR ALEKSY MICHAŁOWICZ NA LITWIE.

Fragment dziejowy z XVII. stulecia.

(Dokończenie).

III.

Rok wtargnięcia Aleksego na Litwę był rokiem dwóch sejmów Rzeczypospolitej, ale na nich postronne kwestye zawiele czasu zabierały. Radzono wprawdzie o uzbrojeniu i opatrzeniu zamków pogranicznych na Litwie, lecz niemniej część posiedzeń poświęcano kwestyom podrzędnym, np. soli, za drogo w stosunku do taryfy sprzedawanej województwom. Ta burza o „drogą sól“ huczała w izbie sejmowej właśnie wówczas, gdy nieprzyjaciel ogromną siłą, dobrze zbrojną i karną, zalewał województwa pograniczne. Mścisławskie wraz ze Smoleńskiem pierwsze na swych barkach poczuły moc wroga. Smoleńsk chciano uczynić środkowym punktem obrony, i takim bez zaprzeczenia powinien on być ze względu na geograficzną swą pozycyę; takim go widywano podczas wielokrotnych, poprzednich bojów.

W r. 1654 obrońcy Smoleńska nie sprostali zadaniu. Walczyli mężnie, dokonywali wycieczek, z pomyslnym nawet skutkiem, ale jednak przeważnych sił nieprzyjacielskich na własnych barkach unieść nie zdołali. Pomimo męstwa obrońców, pomimo mocnych warowni, bez względu, iż nie wszyscy ze starszyny upadali na ducha — Smoleńsk poddał się jednak. Padł bezpo-

wrotnie, i z nim odpadła od Rzplitej cała prowincya, dziś niszcząca miano Smoleńskiej gubernii. Pierwszy to wyłom poważny w państwowej budowie starej Rzplitej; jednocześnie miał miejsce z odpadnięciem Zadnieprza: owe wielkie awulsa nigdy już pod sztandarem Polski stanąć nie miały.

Przyczyny tak szybkiego poddania się Smoleńska, gdyż zaledwie sześć tygodni opór on stawiał, szukano głównie w złej woli wojewody smoleńskiego, Filipa Kazim. Obuchowicza. Obsypywano go zarzutami, w których brzmi przeważnie echo bólu, spowodowanego tą stratą. Serca żalem wezbrane szukały, na kimby mogły zemstę wyrzucić. Zrobiono z Obuchowicza kozła ofiarnego; jego niezaradność, mały wojskowy animusz, przekształcono na grzechy, których on prawdopodobnie nie popełnił: mówiono o nim, jako o zdrajcy kraju. Chciano nawet Obuchowicza stawieć przed sądem sejmowym, aby się usprawiedliwić z oddania Smoleńska nieprzyjacielowi. Do sądu sejmowego nie przyszło; rzecz poszła w odwłokę, z sejmu 1655 r. sprawę na następny sejm odłożono¹; a wreszcie Filip Obuchowicz, zawieszony w swych funkcyach senatorskich, zanim sąd sejmowy się zebrał, już w następnym roku (1656) żyć przestał. W parę lat po zgonie Obuchowicza, zapadła konstytucya sejmowa (1658 r.), uniewinniająca Obuchowicza i urzędników smoleńskich, z nim niegdyś podczas oblężenia Smoleńska urzędujących, od wszelkiej skazy i podejrzeń, zaznaczająca zarazem, iż zamek smoleński przeszedł w ręce nieprzyjaciela „z pewnych defektów i przez zdradę niektórych obywatelów“².

To co ówczesna uchwała sejmowa nazywa „pewnymi defektami“, znajduje komentarz w niektórych współczesnych źródłach. Czytamy tam, iż znalazł się jakiś budowniczy wiarołomny, który, przy fortyfikacjach smoleńskich pracując, w jednym miejscu wznosił mur z dwóch warstw cienkich cegieł, maskując niemi grochowiny. Nieprzyjaciel śnać o tem wiedział, wybił bowiem w rzeczonem miejscu wielki otwór swemi działami, które wszakże

¹ *Volum. Leg.* T. IV., fol. 479 i 480.

² *L. c.* fol. 523.

nie odznaczały się wcale celnością strzałów. jak świadczą ówczesne relacye o stratach w mieście, stosunkowo bardzo małych. Malwersacyę budowniczego tak opisuje ówczesna relacya: „Nieprzyjaciół mur otworzył, niemalą dziurę wybiwszy w tem miejscu, którą nasi Ichm. Panowie Budowniczowie z grochu dawnego a z gliny zamurowali, lubo 60.000 ze Skarbu na to wzięli. Nadto Budowniczy został przy Carze, i przechrzcil się na jego wiarę“¹. Ten ostatni szczegół wskazuje, jaką drogą szli już i wówczas odstępcy i zdrajcy sztandaru narodowego.

Szturm do wylomu przypuszczony, oprócz strat wielkich, nie przyniósł nieprzyjacielowi. Pomimo to jednak zawiązały się rokowania pokojowe, do których hasła wyszły z obozu nieprzyjacielskiego. Rezultatem rokowań stało się, jak wiemy, oddanie Smoleńska, bronionego przez siły, chociaż może niedostateczne do należytego obstawienia zbrojnym ludem wszystkich fortyfikacyj na wielkich przestrzeniach przez nie zajmowanych, niemniej jednak dość znaczne. Wedle jednych relacyj, załoga w Smoleńsku składała się z 8000 szlachty, a 2000 zaciągu cudzoziemskiego, pod wodzą Wilhelma Korffa, starosty orleńskiego; inne zaś wskazują liczbę szlachty orężnej o połowę mniejszą². Pamiętnik Obuchowicza wiele mówi o szczupłych środkach obrony. Obuchowicz, wstępując na to województwo, na kilkanaście miesięcy przed najazdem Aleksego Michałowicza, uskarżał się i na materyalną biedę Smoleńszczyzny i na małą obronność grodu. „Na złość złupieni chłopkowie, — pisze Obuchowicz w swym Pamiętniku — intrata i dziakło wybrane, żem się musiał na bruku strawować“... A dalej o twierdzy tak dodaje, pisząc zaledwie na pół roku przed rozpoczęciem się oblężenia: „Smoleńsk był w ustawicznych trwogach; ani mury nie opatrzone, ani piechota nie opłacona, ani żywności zamek nie mający, spadł na moje

¹ List (z Wilna) z roku 1654, umieszczony w Księdze Pamiętniczej J. Michałowskiego, str. 729.

² Wilhelm Korff Smiling a Kryszborg, starosta orleński, pułkownik królewski, mylnie u M. Balińskiego (w przedmowie do wydanych Pamiętników Obuchowiczów) nazwany starostą „orzelskim“. (Por. Niesieckiego, t. V., str. 238).

ręce tym nieznosnym ciężarem, któremu sama tylko miłosierna Bożej wszechmocności ręka może podolać, ratując mnie, blahe stworzenie swoje, w dalszych, które następują, trudnościach“...¹

Z wielkich, a jak widzimy, przewidywanych trudności, nie wyszedł ani wojewoda smoleński, ani jego gród, chociaż temu ostatniemu bądźcobądź na środkach do obrony, na żywności, na prochach nie brakło. Był nawet znaczny zapal wojenny wśród mieszkańców, wśród niewiast. W chwilach, gdy załoga zaczęła tracić ufność w Obuchowiczu, zarzucając mu, iż zawiele czasu w kościołach, na modlitwie traci, „same białogłowy — jak mówi przytaczane tu już źródło — same białogłowy do murów wojewodę pędziły, same się dosyć mężnie stawily; kamienie nosily, ciskały z murów, i we wszystkim dopomagały, bo widziały, że sam Pan Bóg ich bronił“². Jako dowód owej opieki nieziemskiej możemy przytoczyć, iż relacye ówczesne opowiadają o niewielkiej liczbie poległych podczas nieustannych bombardowań miasta otoczonego warowniami. „Przez wszystkie dziesięć niedziel oblężenia — pisze współczesny — trzysta srogich granatów rzucono, a tylko dwie baby i dziewczynę zabiły, które, nie wiedząc co, gasić chciały“. Charakterystyczną jest rzeczą, iż ten nader ważny posterunek zachodnio-chrześcijańskiej cywilizacyi słaba dłoń niewieścia broniła, o ile jej moc i umiejętność starczyły. I później, znacznie później, gdy Smoleńszczyzna straconą została nazawsze i z wielkim naciskiem wyzuta była ze wszystkiego co do niej polska myśl i polska gorąca wiara przyniosły i zaszczepiły, w niewieściej to głowie, w niewieściej gorliwości spotykamy oporu ślady. Opór ten cichy, bierny dalekiej Smoleńszczyzny, opór długie lata trwający, opór beznadziejny, który przez nikogo nie został dotąd wniesiony na karty dziejów, opór głównie w sprawie wydartej wiary stawiany, stał się następstwem wojny, o której obecnie mówimy, a zajęcie Smoleńska, to wstęp niejako do inwazyi ówczesnej Aleksego Michałowicza.

Nie naszą obecnie rzeczą opowiadać szczegóły całego prze-

¹ Pamiętnik Obuchowiczów, wyd. M. Balińskiego. Wilno 1859. Str. 45.

² Księga Pamiętnicza J. Michałowskiego, str. 731.

biegu walki, z której początku parę zarysów staraliśmy się naskicować. Głównem tu naszym zadaniem wskazać, jaki był stosunek zdobywców do pokonanych, a przynajmniej na czas pewien ujarzmionych. W dalszym ciągu niniejszej pracy wskażemy na ten stosunek w jednym z zakątków Litwy i w Smoleńszczyźnie.

Dalszy ciąg wojny nie rozwijał się w roku, w którym ją rozpoczęto, tj. w r. 1654. Car Aleksey poprzestał w pierwszym roku na zdobyciu tak przezeń pożądanego, i w istocie nader ważnego Smoleńska, poprzestał na kilku mniej więcej pomyślnych potyczkach, na zajęciu w znacznej części pogranicznych województw — i wrócił na zimę do swej stolicy. Czas zimowy nie był właściwy do przedłużania walki, na wiosnę wznowić ją miano — i wznowiono; a tymczasem poprzestawano na dość pomyślnych wynikach pierwszej letniej i jesiennej kampanii. Zajęto, oprócz Smoleńska, długi szereg miast, z których każde prawie było mniej lub więcej obronem. Bielew, Sierpiejsk, Drohobuż, Nowel, Uświat, Mścisław, Połock, Szklów, Mohylów, Rzeczyca, Homel, Mozyr, otwały swe bramy po większym lub mniejszym oporze. Późną jesienią do liczby grodów zdobytych zaliczyli wodzowie cara Dubrawnę, Góry i Witebsk. O warownie Bychowa najdłużej tępił się ich oręż. W polu niemniej szczęście im służyło. Janusz Radziwiłł stawiał czoło stosunkowo dość szczęśliwie z kilku tysiącami zaciężnego żołnierza, z początku na wschód od Druczy, później na linii Druczy, wreszcie musiał zaprzestać obrony wybrzeży rzeki Druczy, i nieco w głąb Litwy cofnąć się. Bój krwawy (przy końcu sierpnia) pod Sepelińcami stał się kresem małych pomyślności polskiego wodza. Ogrom sił nieprzyjacielskich przytłaczał go; nawet z pewnym tryumfem stoczona walka, następstw szczęśliwych mieć nie mogła dla szczupłych polskich szyków. Każda utarczka, zmniejszając polskie szyki, dotkliwiej niż wrogom dawała się uczuć, bo w nieprzyjacielskich wielkich tłumach brak kilku secin żołądaków stanowił stratę prawie niewidoczną.

Za tymi wrogimi a tryumfującymi tłumami posuwała się od wschodu, dążąc ku Litwie, zaraza o nieznanem przedtem nazwi-

sku. Nazywano ją „dzienga“; szerzyła ona spustoszenia w Moskwie; z przerażeniem oczekiwano jej na Litwie; ciągle stosunki, z konieczności utrzymywane między oddziałami wojsk Aleksego, od Moskwy aż w głąb Litwy, stały się drogą, którą zaraza dobieść mogła i dobiegała. Echo obaw, uzupełniających klęski wschodniej ściany Rzplitej, brzmia w ówczesnych listach, wspomnieniach. „W Moskwie srogie powietrze — czytamy w jednym z listów ówczesnych — *Dziengą* to oni zowią, coś nakształt skorbutu, ale srodze zaraźliwa, jadowitsza nad nasze powietrze“ ...¹ „Dzienga“ bez wątpienia niczem innem nie była, jeno skorbutem, szerzącym się przy morowej zarazie, i niezależnie od takowej uderzyła najprzód o Smoleńszczyznę². Smoleńszczyzna, jak ze swej pozycji geograficznej przednią czatę tworzyła, tak też w dziejach upadku Rzplitej to zaszczytne posiadała stanowisko, iż pierwsza poszła na stos ofiarny, i pierwsza na nim aż do najmniejszych szczątków zgorzała; zgorzała na popiół. Zgorzała z jękiem cichego protestu; lecz nikt się nie znalazł, ktoby ów jęk usłyszał, nikt z pomocą, bodaj z wyrazem współczucia, nie nadszedł; zgorzała — i nie było dłoni litośnej, myśli podniosłej, któraby zebrała ów ofiarny popiół do urny wspomnień ludzkości i podała pokoleniom, światu, ku uczczeniu, ku wiekuistej pamięci i nauce dziejowej.

Rok następny, 1655, przynosi powtórzenie tychże samych klęsk, a nigdzie polepszenia stosunków, nigdzie nadziei zwycięstw. Wtargnięcie do Polski Karola Gustawa, rozpadanie się gwałtowne zrębów budowy politycznej starej Rzeczypospolitej, gdy całe prowincye Szwedom się oddawały, odejmowały wschodnim województwom nawet nadzieję otrząśnięcia się z najazdu Aleksego Michałowicza. Społeczeństwo pod młotem klęsk rozprysnęło się na cząstki strwożone, niezaradne, beznadziejne.

Wzięcie Wilna głównym było w owym roku tryumfem na-

¹ L. c. str. 732.

² W języku rosyjskim skorbut zowie się *cynga*; pewne tu zachodzi pokrewieństwo z wyrazem *dzienga*: wnosimy więc, iż panował tam głównie skorbut, o którym więcej mówiono, jako o rzeczy może wtedy mniej znanej niż mór, szerzący się często.

jezdniczych wojsk. Napróżno Janusz Radziwiłł, hetman w. litew., stara się wstrzymać nieprzyjaciela: żadnych środków obrony nie ma w ręku, te co są, kruszą się. Kilka dotąd zachowanych, a w proch już rozsypujących się listów tegoż Radziwiłła do króla, daje nam obraz owej chwili, gdy we własnym kraju nie posiadano ani dostatecznej liczby wojska do obrony, ani też chleba, by wyżywić ową szczupłą ilość żołnierza. Na miesiąc przed zajęciem stolicy Litwy przez nieprzyjaciela, Radziwiłł z Zabłudowa pisze do króla (d. 5. lipca 1655), iż bieży do Wilna, „by *prezen-cyą* swą mógł ludzi potrwożonych, *et in fuga salutem querentes* (i w ucieczce szukających ocalenia) zatrzymać, *animare* (ożywić) i do obrony pobudzić“¹. W dalszym ciągu uskarża się, iż wici, powołujące pospolite ruszenie, dotąd nie wyszły z kancelaryi królewskiej, iż wreszcie obawia się, że niewiele sprawi, bo nieprzyjaciel otuchę bierze „w swych sukcesach“². Po upływie sześciu dni, już z Wilna jest list Radziwiłła, dzierżącego wówczas główny ster obrony. „W pospolitem ruszeniu mała nadzieja, bo taka padła na ludzie *consternatia*, iż uciekają“ — czytamy w owym liście. — A tu tymczasem nieprzyjaciel przyspiesza kroku. „Widać, że do Wilna idą, nie tracąc czucia od Połocka — pisze 16 lipca Radziwiłł — mogą następować z różnych stron, bo dzielić się czem mają“. On zaś „niema co dzielić — jak się wyraża — jednemu się oganiając, drugiemu bok odsłonić musi“ — „cudów czynić nie może i wojska bez prochu i chleba konserwować“ ...

Te ostatnie wyrazy już nie z Wilna, ale z Niemiaży pisane (1 sierpnia), na tydzień przed stratą Wilna. Przewiduje hetman ową stratę; w tem przewidywaniu z Wilna się wycofał, gdzie na zamku pozostała tylko nieliczna załoga, pod dowództwem Kazimierza Żeromskiego. Wici wprawdzie nadeszły, ale już to rzecz zupełnie spóźniona; jedne powiaty i całe województwa „rozbiegły się w świat“, wobec powodzi wojsk nie-

¹ Listy Janusza Radziwiłła do króla, z lipca i sierpnia 1655, w oryginalne rękop. przechowują się w Muzeum XX. Czartoryskich w Krakowie. nr. 2105.

² L. c. nr. 2105.

przyjacielskich; inne, jak Nowogródzkie, „nie chce odejść od swych granic“... „I czego dalej się spodziewać — narzeka hetman w dalszym ciągu powyższego listu — gdy oto już we trzech milach, słysząc o nieprzyjacielu od Wilna, pewne powiaty, gotowe już do popisu, rozpierzchnąć się wołały i Wilno minąć, niżeli do stojącego w szrankach z nieprzyjacielem wojska kupić“... Nie skupiano się w istocie, nie dano Wilnu odsieczy, kraj cały na północ i wschód od stolicy Litwy był zajęty przez nieprzyjaciela. Dynaburg, gdzie dowodził major Bolt, również odemknął bramy swe warowne nieprzyjacielowi, lecz nie Moskwie, ale Szwedom, którzy od północno-zachodniej granicy naciskali na Litwę, podobnie, jak to czyniła Moskwa od wschodu. O tej kapitulacyi Dynaburga szwedzkim wojskom, hetman już w połowie lipca królowi donosił, mówiąc, iż „ponowa“ złą jest z Dynaburga; nieprzyjaciele weszli na mocy umowy do zamku, „z którego ludzi tylko, *in praesidio* będące, wypuściwszy, armatę, munitą i prowiant zatrzymali“.

Gdy się tak wszystko zewsząd obalało, przyszła wnet kolej i na Wilno. Pozbawione wszelkich środków obrony, wyludnione, bo co znakomitszego było, rozbiegło się w różne strony, składało się tylko z biedactwa, które, nie oprócz życia nie mając do stracenia, oczekiwało wroga wśród nieopatrzonych murów. Załoga nieliczna na zamku wileńskim, pod wodzą Kazimierza Żeromskiego, noszącego tytuł regimentarza, niezdolną była ani sama się ocalić, ani też miasta ocalić¹. Poprzedzał regularne moskiewskie siły, jako przednia straż krwawą luną otoczona, Zołotarenko, watażka kozacki, który, sprawiwszy wielką rzeź na przedmieściach Wilna, posuwał się naprzód i aż do Kowna dotarł, gdzie już wchodził w sferę działalności Szwedów. Karola Gustawa przednie czaty bieżyły ku Wilkomierzowi, Trokom, Dubinkom; a natomiast gromady niesforne Zołotarenki, tworząc mo-

¹ Kazimierz Chwalibóg Żeromski, herbu Jelita, z podlaskiej rodziny pochodził, w wojsku litewskim porucznikował, później dowódcą był zamku wileńskiego. W czasie rokoszu wojskowego, Żeromski, już wówczas stolnik wileński, starosta opęski i ciecierski, przez związkowych zamordowany w r. 1662. (Por. Niesieckiego, t. x., str. 158).

skiewskie forpoczty, posunięte były aż poza miedzę Żmudzi, zajętej przez Szwedów.

Na granicach zaś Żmudzi stał hetman w. litew., Radziwiłł, który Szwedom poddał Litwę. Z wodzem szwedzkim, Magnusem de la Garde, zawarta umowa w Kiejdanach, w dziesięć dni po zajęciu Wilna przez Moskwę, czyniła Szwedów panami Litwy. Było to odbicie się niejako tego, co uczyniono pod Ujściem, w Wielkopolsce: nowa karta tejże samej sromoty. I tu i tam, zamiast iść pod sztandarem obrony niezależności państwa i narodu, dobrowolnie oddawano się na łup wroga. W sumieniach jednak zadrgała iskra wyrzutu. Zaledwie tydzień upłynął od Kiejdańskiej umowy, Janusz Radziwiłł, główny promotor tej roboty, tłumaczy się przed światem i Bogiem, że w pozycyi bez wyjścia będąc, nic innego nie mógł począć, jak szukać protekcyi Szweda, którego Kiejdańska ugoda zniewalała oczyścić Litwę od Moskwy. „U Boga i u świata *excusabimur* — pisze J. Radziwiłł — żeśmy tę (szwedzką) przyjęli protekcyą, kiedy nas Litwę wydano; a kiedy Moskal w Wilnie stanął (czego Wielkopolska nie miała), a my z biedy do czego rzucić my się mieli? Wszakże nie koniec: i ratować nas mogą i nam *recedere* wolno... A co mówią, że się to dawno przeze mnie kłuło — niech dyabeł wykluje moją duszę, jeśli się kiedy o to znosił dawniej od tego czasu, jakośmy z Wilna list pisali. Zaczęło się to dzieło, kiedy inaczej ratować się sposobu nie było“¹.

Powyższe wyrazy wskazują, iż chciano wystawiać przed ludźmi, ba! i przed samymi sobą, ugodę Kiejdańską, jako wynik dyplomatycznych kombinacyj, dziś podniesionych, jutro mogących być cofniętymi. Ogół inaczej wszakże zapatrywał się na ową chwilę. Lud zbroił się i uderzał na wroga, uderzał własną dlonią, nie czekając aż jeden wróg drugiego bić zacznie, i ktoś trzeci zapewni nam spokój. Wiara, że ktoś o nas myśleć powinien i za nas działać, znać już i wówczas górowała w społeczeństwie. Lud wiejski, podobnie jak wkrótce potem w Wielkopolsce, na

¹ List J. Radziwiłła, hetm. w. lit., do brata, Bogusława Radziwiłła, w Księdze Pam. J. Michałowskiego. str. 764.

Dolnem Powiślu i na Podgórzu Tatrzańskim, jak potem w lasach Myszynieckich i Kampinoskich, porywał za broń na Żmudzi. Już w owych sierpniowych dniach 1655 r., mówi nam o tem wyżej przytoczony Janusz Radziwiłł. „Wniwecz jednak — czytamy w rzeczonym liście — i oni palą gdzie mogą (tj. oddziały Żołotarenki, które Moskwa na przednie słała czaty), i chłopci po lasach, i na przeprawach ich biją; i ongi całą sotnię w Czerwonym Dworze moim wycięto w nocy“¹.

Tak więc iściły się słowa Skargi: „gdy się nie spodziejecie, upadnie, i was wszystkich potłucze“... Moc państwowa runęła już wówczas; nie znajdowano żadnych środków obrony w instytucjach państwowych, na barki pojedynczych jednostek wielkiego państwa spadła cała obrona; pomysłem i instynktom pojedynczych zostawiano to, co powinno być atrybutem władzy, atrybutem kierowników nawy państwowej.

IV.

Litwa od chwili zajęcia Wilna przez wojska Aleksego Michałowicza była w mocy obcej; moc obca panowała tam aż do chwili wyjścia z Wilna nieprzyjaciela. Nastąpiło to zaledwie po kilku latach. Kroniki tego miasta obrachowały ściśle czas panowania obcego. Czytamy w nich, iż Moskwa od r. 1655 panowała w Wilnie przez 6 lat, 3 miesiące i 24 dni, tj. prawie do końca 1661 r.

Panowanie to, rozpoczęte rzezią przedmieść i tłumów miejskich, pożarem, który w ciągu 17 dni nie mógł być ugaszony, spowodowało szereg klęsk nie dających się opowiedzieć. Prowincya i gród stołeczny Litwy, tak niegdyś świetny za dni Zygmunta Augusta i Batorego, stały się wielkiem zgłiszczem dobrobytu. Już i przed najściem Aleksego, Wilno ogromnie ucierpiało wskutek pożaru 1611 r. Po pożarze wielkim, wszczętym przy wejściu wojsk Aleksego, Wilno podnieść się już nigdy nie zdołało. Kilkanaście tysięcy mieszkańców zginęło pod mieczem najeźdźników,

¹ L. c.

a świetna ongi stolica Litwy odtąd stała się smutnem zgorzeli-skim, składała się tylko z gruzów i pagórków popiołów. Mała jedynie liczba świątyń i gmachów ocalała, by rzec potomnym o swej przeszłości. W gruzach miasto długo leżało. Takim je widział jeszcze w r. 1663 Meyerberg, poseł cesarza niemieckiego. Podczas zajęcia Wilna, po pożarze, ci co na zgłiszczach pozostali, umierali z głodu; nie mając znikąd nawet nadziei pomocy, bo i okolica była ogłodzona i wyludniona, wszczynali walki o okrucy pożywienia, zabijali się o żywność, kończyli nieraz samobójstwem, lub żywili się trupami.

Dni owych pełnych grozy, niepodobna odtworzyć w całej ich okropności. Gdy jednak minęły pierwsze chwile zgrozy wielkiej, pełen poddania się woli Opatrzności, dobry lud wileński składał dowody rezygnacyi niezmierniej. I tym razem można było z jego ust słyszeć słowa rezygnacyi, z jaką mówił przed kilkudziesięciu laty, za dni Zygmunta III., po wielkim pożarze 1611 r.: „Ten Bóg — mówili Wilnianie — co nam dał niewiele i znów odebrał, da nam moc znieść to dopuszczenie i nagrodzi nam je sowicie“¹.

Zamknięci w sobie, cisi i cierpliwi Litwini, umieli przetrwać, wyczekiwać ze stałością spokojną; umieli, tracąc wiele z zasobów materyalnych, tracąc niemal wszystko, co mieniem nazwać się mogło, nic nie stracić ze swego duchowego dorobku; umieli wytrwać do chwil jaśniejszych, które po kilku latach i dla nich zbłyśły.

Ci co zdołali skolatanego ducha utrzymać w znędzniałych ciałach, ujrzeni po latach cierpień bezbrzeżnych wyzwolenia dzień.

Wielokrotne kuszenie się wojsk polskich o odebranie miasta, nie przynosiło długo innych następstw nad bezowocny przelew krwi i wzmaganie się cierpień nieszczęsnego Wilna. Dowódca tamecznej, nieprzyjacielskiej załogi, po każdym takim odparciu szturm, unosił się gniewem, iż go niepokojono, wywierał przeto swą zemstę na mieszkańcach; mieszczanie tłumnie byli zabijani i w najokrutniejszy sposób tępieni. Zdawało się,

¹ Alessandro Cilli (sekretarz Zygmunta III.), podaje to. cytując rozmowę nuncjusza Fr. Simonettego z ludem wileńskim.

iż ów okrutnik idzie na wyścigi z morową zarazą, która ogromną liczbę ofiar zabrała. Wśród głodu, wśród nędzy wywiązały się choroby, a przyniesiona do miasta morowa zaraza z dziwną szybkością kładła kres cierpieniom zgłodniałych mieszkańców Wilna. Co nie wytepił głód, co nie zabrał oręż i okrucieństwa księcia Daniły Myszeckiego — było to nazwisko okrutnego dowódcy nieprzyjacielskiej załogi — to pochłonał mór. Tem większa liczba mieszkańców ginęła od moru, iż mieszczenie — jak się dowiadujemy z rozporządzeń Aleksego Michałowicza — nie mieli prawa bez stosownej „poręki“ opuszczać Wilna. Nie było więc możliwości uciekania przed niebezpieczeństwem. Później dopiero, d. 30 czerwca r. 7166 (1658) wydano „ukaz“, pozwalający mieszczanom, „w razie moru“, uciekać na wieś przed zarazą, nie czekając na „porękę“¹.

Przytoczony tu „ukaz“, wydany we trzy lata po zajęciu Wilna i całej Litwy, zawiera i inne rozporządzenia, dotyczące się nieszczęsnych owego kraju mieszkańców, rzuca więc niejaki światło na gospodarkę cara Aleksego na Litwie. Kazano zrobić przegląd wszystkich mieszkań w mieście i dowiedzieć się, kto i czy oddawna mieszka. Dochody i wydatki świątyń wszystkich wyznań, a niemniej i wszystkich instytucyj publicznych, poddane zostały ścisłej kontroli. Żydów wszystkich kazano z Wilna wypędzić, mieszczan zaś, przybyłych z innych miast lub gmin wiejskich, również polecono z miasta usunąć. Cudzoziemskich kupców, którzy przyjeżdżali do miasta z towarami — przeważnie tyczyło się to Niemców — niewolno było puszczać do miasta, handel im tam był wzbroniony, a również i zapisywanie się do gminy. Zamachów żadnych na wiarę w pierwszych chwilach nie czyniono; owszem, w Wilnie obiecywano zachować swobodę sumienia. Co do praw własności i sukcesyjnych, widocznie już zachodziły nieporozumienia władzy carskiej w Wilnie z mieszkańcami, gdyż powołany przez nas „ukaz“ z r. 7166 (1658), daje w tej mierze wskazówki, pozwala brać spadki aż do ósmego pokolenia. Sądownictwo spraw miejskich poddane było władzy

¹ Patrz *Sobranije zakonienij rússkawo gosudarstwa*. T. 1., str. 452.

carskiej. A zatem, wszystkie sprawy od 300 talarów i wyżej apellacyę miały wskazaną do samego cara, a wyjmowano je zpod kompetencyi sądów wojewodzińskich¹. Cały ten edykt, nacechowany łaskawością, napisany był w formie reskryptu do księcia Szachowskiego, ówczesnego wielkorządcy wileńskiego, z ramienia rządu carskiego. Potwierdzono tam wszystkie dawne przywileje, jakie miasto posiadało od w. książąt litewskich i królów polskich, i obiecywano je szanować. Wobec jednak wielkiego wytopienia mieszkańców, wobec materialnego upadku, ściślej mówiąc, wobec zupełnej ruiny, wobec różnych rozporządzeń władz niższych, a bezpośrednio tłoczących swą brutalną dłoń pozostałą, nieliczną ludność, wobec rozporządzeń, krępujących wszelką swobodną działalność, unicestwiających prawa rzeczzone, potwierdzenie przywilejów i wolności dawnych mienić się mogło i było tylko czezą formalistyką, sprawą bez poważniejszych następstw. Głównie obrachowywano to na neutralność ludności; kaptując chociaż pozornymi łaskami mieszczan, spodziewano się, iż nie dadzą oni pomocy wojskom Rzplitej, gdyby się te kusily o wypędzenie nieprzyjaciela z Wilna.

Stan prowincyi nie był lepszym od stanu litewskiej stolicy. Na prowincyi, przy całym biernem zachowaniu się ludności, rządono się tak, jak gdyby kraje te nazawsze pozostać miały pod władzą Aleksego Michałowicza. Prowincye graniczące z carstwem, jak Smoleńszczyzna, ulegały zaraz od chwili zajęcia wyjątkowym przepisom, i wyjątkowy ucisk, obrachowany na zupełną eksterminacyę wszelkich śladów dawnej kultury, a więc straszniejszy od okrucieństwa dorywczego, uczuć się tam dawał. Uwidoczniało się to na każdym kroku, w każdym rozporządzeniu administracyjnem. Czas nie kładł tamy okrucieństwom bezcelowym lub prześladowaniom eksterminacyjnym.

W r. 1660, a zatem w piątym roku najazdu, obawa o los osób i mienia na każdym kroku spotyka się na Litwie.

Rzucamy okiem na jedno tylko województwo, na Nowogródzkie, i ta groza pozycyi, jaką tam widzimy, zarówno ciążyła

¹ L. c. str. 450 i nast.

na każdej piędzi ziemi obszernych prowincyj, zajętych przez wojska Aleksego Michałowicza.

Nowogródzkie było oddawna zajęte, a jednak trwogi i poważne niebezpieczeństwa wciąż tam nie mijały, nawet w r. 1659 i 1660, to jest do końca okupacyi przez nieprzyjaciela tych ziem. Szlachtę od czasu do czasu spędzano do wojewódzkiej mieściny: do Nowogródka, gdzie kazano jej mieszkać; do domów, do rodzin, do gospodarstwa nie pozwalano wracać. Był to pewien rodzaj zakładników, których tłumnie do miasta zgromadzano, i trzymano jako rękojmię posłuszeństwa w kraju. Znaglano ich do przysięgi na wierność nowej władzy, i w razie złożenia stosownej przysięgi, a często przytem darów, puszczano ich do domów; ale takie wypuszczanie chwilowem najczęściej było; i zresztą, pojedyncze indywidua jedynie z tego wypuszczania korzystały. Po powrocie do domów, nowy pretekst łatwo wyszukano, by znowu więzić i wieźć do wojewódzkiego miasta. Oprócz tych zakładników, niezliczone tłumy jeńców zabierano z domów: pędzono wielką ciżbą w głąb swego państwa, bez względu na wiek, stan, płeć, stanowisko społeczne. Dzieci, starców, kobiety różnego wieku w niezmiernej liczbie pędzono w ten jasyr chrześcijański, z którego pospolicie nie wracali. Tłumy tych niewolników były nawet przedmiotem handlu; sprzedawano ich na rynki perskie i dalej w głąb Azji, zkaąd powrót, rozumie się, niemożliwym się stawał. Któż dziś obliczy, ile ludu wszelakiego stanu z ziem dawnej Rzplitej wsiąknęło w owe kraje dalekiego Wschodu, ile krwi naszej marnie tam zginęło, ile łez na tych przestworzach wylano, ile bolesnych jęków się rozległo?...

Posłuchajmy opowiadania jednego ze współczesnych, który był zakładnikiem, podobnie jak inni ziemianie województwa Nowogródzkiego. Ziemianin ten opowiada różne koleje współziemian: jak ich spędzano do wojewódzkiego grodu i tam kazano przysięgać, jak nawiedził Nowogródek z wielką armią Chowańskij wódz naczelny wojsk carskich, jak go szlachta, wśród zimowej szarugi, za miastem witać była zniewolona, i wreszcie, jak mu dary składano, które on mile od szlachty przyjmował. litując się nieco nad jej biedą.

Oto są małe wyjątki z tej opowieści pamiętnikarza i uczestnika klęsk i sromoty owych dni:

... „Ostrzegaliśmy Zielonów (był to jeden ze zwierzchników carskich w Nowogródku), ostrzegaliśmy wszystkich, aby się do Nowogródka szlachta ze wszystkim zbierała: bo kogo w domu czata zaskoczy, nie będzie folgowała... Ale kiedy już Chowański przychodził do Nowogródka, tedy się szlachta wszystka po klasztorach mieściła, u Dominikanów, u Jezuitów, u Czernców, u Czerńców... Krom tego wojsko stanowiło się wszędzie, na które cały Nowogródek był mały. Ale się jednak mieścili tak, że i po ulicach było pełno... Kiedy już miał Chowański przychodzić we środę, kazano wszystkim szlachcie potykać go za miastem“... „Wyprowadził tedy nas Zielonów na gościniec Bielicki — ciągnie dalej pamiętnikarz — wyprowadził w niepogodę wielką, bo śnieg z deszczem cały dzień padał; wojska i wozy szły na przemiany mimo nas“... Tu, opowiedziawszy jak Ludwik Protaszewicz, podczaszy nowogródzki, witał nadchodzącego Szczerbatowa i jak wreszcie oczekiwano Chowańskiego, tak dalej opowiada pamiętnikarz:

... „W godzinę potem... nadszedł Chowański, i gdy od szlachty rzekł pan Ludwik Protaszewicz kilka słów, przyjął wdzięcznie, ale już nie tak łaskawie... surowie, i jakoby trochę upominał szlachtę, aby wierniej już i życzliwiej niżeli teraz służyli Carowi, bo już za trzecim razem nie pokaże Car takowego miłosierdzia, ale każe wszystkich ścinać i palić z gruntu. Potykało go bliżej miasto i duchowieństwo z mieszczanami i tych *eadem* przyjął *humanitate* (z taką ludzkością)... Między wozami pędzono stada pięknych klaczy, zrzebców, wielbłądów, osłów, danieli; wieziono pawy morskie, świnki, gołębie et cet.; więźniów i w płonących wozach wieziono, co znaczniejszych, między innymi panią Połubińską, starą Wojewodzinę Parnawską... z wnuczką jej panną Chalecką: ta na swoich saniach czterema końmi jechała... Inszych więźniów było niemało, ale już nie w takim poszanowaniu“...

O prezentacji zakładników ziemian nowogródzkich Chowańskiemu, tak się wyraża pamiętnikarz: ...„Przyszliśmy tam za-

raz, (bo tak nam kazano) z podarunkami do Chowańskiego, któremu daliśmy łańcuch złoty, ważący funtów 10, rząd hussarski spory, złoty — także ważący funtów 10 — znowu sztukę szafirową z dyamentami ważącą funtów 150... Gdyśmy mu to oddawali, uczynił kompassyą nad nami, że jak to ja mam brać od was zniszczonych, gdyż wy to krew już swoją, a nie dary mnie dajecie!... a jednak wziął, bo też sam kazał sobie przynieść podarunki, to jest, żebyśmy nie z golemi rękami przychodzili; mieszczanie i żydzi osobno przynieśli podarunki... Te dary przyjąwszy, upominał, abyście, prawi, Carowi wiernymi byli, bo za drugą razą nie będzie nad wami miłosierdzia“...

„W mieście — pisze dalej pamiętnikarz — najmniejszemu nie uczyniono krzywdy, ale kogo zdybano w domu, na wsi, tego obrano ze wszystkiego i przypieczono“...¹

Na tem zamykamy wyciąg z pamiętnika współczesnego. Daje on nam garstkę szczegółów, dotyczących się jednej okolicy, szczegółów dotyczących się dni kilku, dotyczących się jednej tylko kategorii więźniów, a mianowicie ziemian, spędzanych gwałtem do grodu i trzymanych tam jeno dla postrachu okolicy, dla zysku satrapów, by sowitymi dary opłacali spokój domów i rodzin. Lecz i dary nie przynosiły spokoju, nie ocalały ani osób, ani też mienia, wciąż rozszarpywanego przez wielkich i małych satrapów, przez zgraję dziedziczącego żołdactwa.

Los jeńców, zabieranych w niewolę — byli to spokojni i pełni trwogi mieszkańcy wiosek — godzien najwyższego pożałowania. Niedość, iż ich pędzono bez żadnej potrzeby zbyt daleko, nie tylko za Wołgę, za Ural, ale za Jeniszej — jak o tem świadczą ukazy — później po Andruszowskim rozejmie, po Grzymułtowskiem traktacie, szukające rozproszonych jeńców w najdalszych głębiach pustyń syberyjskich, ale więźniowie w mieście Moskwie byli sprzedawani i kontrakty owych sprzedaży oblatowywano w aktach. Ślad tego rodzaju faktów pozostał w zbiorach praw państwa rosyjskiego.

¹ Mackiewicza Dyaryusz Moskiewskiej wojny w W. Xięstwie Litewskiem będącej... wyd. A. Podgórskiego, w „Pomnikach Dziejów Polski“. 1840. Wrocław.

Czytamy w jednym z ukazów, iż w r. 7173 (1665) widziano na wodach rzeki Oki barki, zapelnione „więzionemi kobietami i dziewczcami litewskimi”¹. Wieźli je na Kaukaz kupcy tatarscy i z czerkieskich ziem¹. Ponieważ nabywcy byli mahometanie, więc nabycie zostało unieważnione, lecz rzecz w zasadzie przez władzę najwyższą — sprawa bowiem oparła się o tron — nie była potępioną. Sam fakt, który zaszedł we cztery lata po usunięciu ostatecznem Aleksego Michałowicza z Litwy, każe przypuszczać, iż handel niewolnikami i poprzednio był prowadzony wielokroć, przez nikogo nie potępiony, a zarazem nasuwa pytanie, przez ile to cykliów dantejskiego piekła przeszły na ziemi wygnania te litewskie niewiasty i dziewice, zapewne z Litwy najpóźniej w r. 1661 wywiezione, zanim je sprzedano po czterech latach niewoli, sprzedano na rynku miasta Moskwy, i rzucono w ten sposób na wieki na sromotę, na hańbę — na zatracenie...

Tenże sam zbiór praw, który nam przechował fakta handlu naszymi niewiastami, dostarcza również dowodów, iż nietylko ludzi stanu szlacheckiego Moskwa brała w jasyr, ale porywano niemniej tłumy wieśniaków, wieśniaczki i dzieci; porywano z głębi Litwy i ze Smoleńszczyzny świeżo zajętej: porwany lud rolniczy był uprowadzany w głąb caratu dla ujarznienia go na roli i wytworzenia z niego pańszczyźnianych chłopów, i wiekuistych, na cały szereg pokoleń niewolników.

Władze, patrząc na tego rodzaju czynności podrzędnych organów rządu, tolerują owo zbrodnicze ludźmi frymarchenie, zarządzając tylko tę zmianę, iż ukaz samego cara pozwala uprowadzać i wiecznymi niewolnikami czynić ludzi „niechrzczonych”, tj. wyznania katolickiego, żydowskiej lub mahometańskiej wiary, lecz zabrania ujarzmić i uprowadzać w niewolę wieśniaków ze Smoleńszczyzny, której, zachowując ją dla siebie nazawsze, nie chcieli wyludniać².

Smoleńszczyzna wówczas dopiero rozpoczynała okres uci-

¹ Patrz *Sobranije zakonienij rússkawo gosudarstwa*. T. I., str. 600.

² L. c. str. 344.

sku. który trwał tak długo, pokąd nie wytępiono tam wszystkich „pogan“, tj. katolików (że użyjemy ówczesnego sposobu wyrażania się rosyjskiego) i nie zatarto śladów kultury zachodniej. Te dzieje długie, krwawe, nie są dziś przedmiotem opowiadania naszego.

Rzuciliśmy tylko kilka rysów stanu Litwy za dni najazdu i sprawowania tam rządów Aleksego Michałowicza. Nieliczne te rysy świadczą zarówno o olbrzymich klęskach, co już w XVII. wieku na ów kraj spadały, jak niemniej o wielkiej sprężystości ducha narodu, który uginał się pod brzemieniem niesłychanych klęsk, ale nie upadł. Budowy państwowej mury dokoła pękały, sklepienia z łoskotem runęły... zdawało się, iż wszystko zginęło. Pozostała jednak ziemia, krwią zlaną, ugorem zalegająca, i szare, mgliste niebo, pozostał duch narodu, który uwiezić się i w pętach jasyru zakuć nie da. Czerpał ów duch klęskami niespożyty nadzieję i otuchę z dziedzin nieziemskich — wierzył w swe lepsze jutro, w swą przyszłość — wiara w pomoc Nieba i we własne siły nie zawiodła — XVII. wiek nie stał się grobem niepodległości naszych ojców.

Maryan Dubiecki.



TWÓRCZOŚĆ W SZTUCE.

(S. Witkiewicz: SZTUKA I KRYTYKA U NAS. Warszawa 1891).

Prawda jest pierwszym warunkiem sztuki — przyznaliśmy to p. Witkiewiczowi — zastrzegając jednak, że tę prawdę trzeba brać w daleko szerszem znaczeniu, niż on to, w teorii przynajmniej, uczynił. Ale, czy oprócz prawdy, niczego więcej sztuka nie wymaga?

Czytając różne orzeczenia p. Witkiewicza, przychodzi się do wyobrażenia, że zadanie sztuki jest bardzo proste: artysta ma tylko patrzeć na naturę, i odtwarzać co widzi; im wierniej, im bardziej przedmiotowo odtworzy, tem lepszym będzie artystą: a widz ma tylko oczy otwierać, aby przedmiot obrazu w całej prawdzie i naturalności przed nim się jawił. — Tymczasem bardzo proste, materialne spostrzeżenie wyprowadza nas z tej illuzyi. Wiadomo, że małe dzieci, jak zresztą i zwierzęta, nie nie widzą w obrazie, prócz płaszczyzny plamistej. Nawet dorośli, obcy naszej cywilizacyi, niełatwo się w naszych obrazach oryentują. Australczykom pokazywał pewien podróżnik angielski wielką kolorową rycinę, przedstawiającą człowieka z ich rasy: — jeden z nich osądził, że to okręt, drugi, że kangur, nikt nie zrozumiał, że to ma być człowiek jak oni². Dawny mój towarzysz w za-

¹ Por. pierwszą część tej pracy: *Prawda w sztuce*, w styczniowym zeszyście.

² Cherbuliez. *L'art et la nature*.

konie, później misjonarz w Afryce, ks. Gabryel, opowiadał nam, że chcąc Kafrom życie i mękę Chrystusa Pana tłumaczyć, posługiwał się z początku dobrymi obrazkami — i zdziwiony był zupełnem niepowodzeniem swoich objaśnień. Przypisywał to bądź swojej niewprawności, bądź tępości mózgów murzyńskich. Aż wreszcie spostrzegł, że oni nie rozumieją poprostu obrazków, i że te, zamiast pomagać, przeszkadzają wykładowi; zastąpił je więc kawałkiem papieru, nakropionym od przypadku kilkoma kolorowemi plamami, dla uciepienia wyobraźni — i wykład odrazu poszedł dobrze. Sam p. Witkiewicz, jakieśmy widzieli w poprzednim artykule, temu właśnie przypisuje odrębność niełatwo dla nas zrozumiałą malarstwa japońskiego, iż jest „na innej niż nasze oparte konwencyi“.

Na czemże więc polega ta konwencya? Zkąd to pochodzi, że dzicy, mający przecież oczy i znający naturę jak my, nie w naszych obrazach nie widzą? Przecież lustro, choć jest także płaszczyzną jak obraz, zupełną czyni illuzję prawdy, nawet dzieciom i zwierzętom. — Otóż pochodzi to ztąd, że „prawda sztuki jest zawsze trochę sztuczną“: że malarstwo — jak i każda inna sztuka — nie wszystko co jest w przedmiocie, nawet pod względem rysunku i koloru, odtwarza, ale niektóre rysy wybiera, resztę zostawia do uzupełnienia wyobraźni widza. Ztąd wynika, że ze strony widza potrzeba zawsze pewnej pracy wyobraźni, by w dziele sztuki upatrzeć prawdę. Praca ta swoją drogą, pod wpływem nawyknienia i wychowania wśród pewnej cywilizacji, odbywa się bez trudu i niespostrzeżenia, prawie odruchowo — byleby odstęp między dziełem sztuki a naturą nie był anormalny. — Ale ztąd także wynika, że artysta nie może być nigdy w oddawaniu natury czysto biernym, musi wybierać — i wybiera, świadomie lub bezwiednie. I tu już zaczyna się pole jego inicjatywy i osobistej twórczości. — Czy ten stan rzeczy jest tylko nieuchronną niedoskonałością, wrodzonym niedostatkiem sztuki, czy też dodatnim jej przymiotem? Nam się zdaje, że to należy ściśle do jej istoty, i że bez tego sztuka nie byłaby wcale sztuką.

P. Witkiewicz nie odrzuca słowa „twórczość“ w sztuce, ale rozumie przez nie zwykle odtwarzanie natury. Choć nie tai

sobie odstepu, jaki jest między sztuką a naturą, jednak ideałem jego byłaby sztuka, któraby ten odstęp zniosła. Sposób kompozycji, który najbardziej chwali, który uważa za kres dziejowej ewolucji sztuki, zależy na zupełnej bierności artysty wobec natury. „Jeżeli ktoś przedstawia ulicę w dzień pogodny — mówi — to ma ją odtworzyć z całą przypadkowością najróżnorodniejszego przesłaniania i szeregowania się przedmiotów; światło słoneczne, wzięte z danego punktu, musi się rozkładać z matematyczną ścisłością po płaszczyznach przedmiotów, bez względu na to, czy one tracą czy zyskują na dokładności i wyrazistości. W naturze w najwesełszy słoneczny dzień można widzieć pogrzeb: ludzi płaczących; czarny karawan przesuwa się na tle jaskrawo-kolorowych szyb sklepowych, i rozmija się z wozami naładowanymi śmieciem lub karetą z białymi lejcami. Słowem, cała przypadkowość wypadków, skupianie się lub rozluźnianie się pojedynczych przedmiotów, przecinanie się lub łączenie się linii bez względu na jakąkolwiek formułę smaku, przeciwstawność lub monotonia barw — wszystko to mieści się w takiej kompozycji. Obraz taki trzyma się jednolitości tą samą siłą, jaką jej się trzyma w naturze, tj. prawdą światła, prawdą barwy, kształtu i układu“ (str. 182). Konsekwentnie, dla „fotografii migawkowej“ ma nasz autor nietajoną słabość, i zapewne niemało się ucieszył, kiedy ostatnimi czasy przeczytać mógł w gazetach zapowiadziany wynalazek nowego sposobu fotografowania z mechaniczną reprodukcją kolorów. Będzie to zapewne największe zbliżenie do sformułowanego przez niego ideału.

Tymczasem, ku wielkiemu naszemu zdziwieniu, ten sam p. Witkiewicz uznaje kiedyindziej, że oprócz tej prawdy czyli zgodności z naturą, potrzeba jeszcze innego czynnika w sztuce — i wprowadza go pod imieniem „indywidualności artysty“. Ale jak się te dwa czynniki mają do siebie, tego nigdy nie tłumaczy, albo raczej daje wciąż tłumaczenia sprzeczne. Z jednej strony stawia najwierniejsze oddawanie natury jako jedyne sztuki zadanie, mówi wyraźnie, że zgodność kształtów i barw z naturą stanowi wyłącznie całą „wartość“ dzieła sztuki (str. 87). Z drugiej strony, kiedy rozprawia o pojedynczych malarzach, chwali

nadewszystko i najwyżej stawia ich osobistą odrębność, ich pomysłowość, sztuczność, z jaką nawet naturę poprawiają i prześcigają — jak Böcklin i Gierymski; — a na przytoczonej dopiero stronie 87 twierdzi, że „od tejże indywidualności zależy zupełnie charakter dzieła sztuki“.

Chcielibyśmy przecież wiedzieć, jak się te rzeczy godzą między sobą? Jeżeli tem doskonalsze jest dzieło sztuki, tem większą ma wartość, im wierniej i obiektywniej odtwarza naturę — to tem mniej jest w niem miejsca dla indywidualności artysty. Indywidualność ta, czemkolwiek ona jest, jest zawsze jakimś pierwiastkiem subiektywnym, wprowadza wyróżnienie, a więc tylko ujemnym czynnikiem w tak pojętej sztuce być może. Najdoskonalszem zaś dziełem takiej sztuki będzie, jak już wiemy, mechaniczne odtworzenie natury — fotografia migawkowa z barwami. Ale co począć w takim razie z tem wszystkim, co powiedział autor na uwielbienie indywidualności w sztuce? Czemże jest ta indywidualność? Co za pole dla niej zostanie w doskonałem dziele sztuki?

W jednym miejscu książki p. Witkiewicza, tj. zaraz po przytoczonym ustępie o kompozycji, znajduję próbę wytłumaczenia tej antynomii. „Indywidualność malarza, mówi autor, wyraża się przy takiej kompozycji tem, że on przedstawia te a nie inne momenta życia natury“. Podobną myśl jeszcze w drugim miejscu znajduję, mianowicie na str. 78 czytam, że „człowiek (przedstawiony) w greckiej, włoskiej czy nowoczesnej rzeźbie, o tyle jest wart artystycznie, o ile jest prawdziwy; zaś różnice zachodzące w charakterze tych dzieł, wynikają z upodobania w tym lub owym typie człowieka“. — Cóż więc? indywidualność artysty na tem jedynie ma zależeć, żeby wybrał ten lub ów moment natury, żeby wziął modelkę tego lub innego typu?!.. Jakże z tem znowu pogodzić, cośmy dopiero słyszeli: że od indywidualności pochodzi cały charakter dzieła sztuki? Przecież charakter ten od czegoś innego, niż od wyboru przedmiotu zależy. Chcąc być złośliwym, wywnioskowałbym ztąd to, przeciwko czemu p. Witkiewicz najostrzejszymi dowcipami piorunuje: że wybór przedmiotu jest bardzo ważnym elementem w sztuce —

bo przecież bardzo ważną jest indywidualność, jak autor sto razy powtarza, a indywidualność, jak się obecnie dowiadujemy, na samym wyborze przedmiotu zależeć powinna. Ale nie chcę być złośliwym; chcę tylko wykazać, że p. Witkiewicz, jako piszący artysta, odczuł różne pierwiastki prawdy o sztuce, których jako doktryner pogodzić i sformułować nie mógł.

Słusznie obok prawdy rzeczowej postawił on pierwiastek subiektywny człowieka-artysty: bo prawda, oddawanie natury, nie jest bynajmniej wszystkim w dziele sztuki, i dlatego nie należało jej stawiać tak bezwzględnie, żeby już nie było miejsca dla reszty. Pierwiastek znów subiektywny niedostatecznie się określa przez „indywidualność”: ta ostatnia jest właściwie tylko znamieniem, którem jedna ludzka jednostka różni się od drugiej: tu zaś idzie także i przede wszystkim o to, czem osobistość artysty odróżnia się od przedmiotowej natury, chociażby w tem zgadzała się z drugimi ludzkimi osobistościami. Dzieło sztuki, które jest wspólnym plodem natury przedsobnej i duszy ludzkiej — natury, która zapładnia, duszy, która rodzi — musi coś mieć z obu, być poniekąd wpośrodku, i pewnemi cechami, które bliżej będziemy się starali określić, tak do jednej jak do drugiej strony być podobnem. Cieszy nas, gdy widzimy w niem pewne podobieństwo z naturą, bo to je wiąże z rzeczywistością: — lecz doprowadźmy to podobieństwo aż do zupełnej reprodukcji natury — a już niema sztuki, jest tylko bezduszna fotografia, bo ślad twórczości duszy zginął. Odwracamy się od takiej podobizny, by popatrzeć na prawdziwą naturę. Cieszymy się znowu, gdy znajdujemy w dziele sztuki pierwiastek idealny — ale doprowadźmy ten pierwiastek aż do zatracenia śladu natury rzeczywistej — i znowu zniknie nam sztuka: bo rozwieje się w abstrakcyi. Będąc w ten sposób wpośrodku, między duszą a naturą, teren sztuki, widziany od strony duszy, wygląda realny, nazywa się zrealizowaniem idei, wcieleniem myśli w duszy wylęgłych; widziany znowu od strony natury, wydaje się on idealny, zdaje się naturę przetapiać w myśl. Może on raz do jednego bieguna, raz do drugiego więcej się zbliżyć:

będzie to względny idealizm, lub względny realizm — kwestya stopnia tylko — lecz nigdy ani z jednym, ani z drugim się nie zleje.

Przypatrzmy się sztukom, jak każda, nawet swą szatą materalną, odsadza się od natury, żeby stanąć, o krok przynajmniej, w ideale. Poezya stroi się w wiersz — i wszelkie próby pozbycia się tego stroju pod pozorem naturalności, mizernie zawiodły¹; muzyka krępuje się rytmem i prawami harmonii, których natura nie posiada; architektura zawiesza sztucznie i miarowo głazy, jak ich przyroda nigdy nie układa; rzeźba bierze z natury kształty, ale bez kolorów i bez ruchu — jestto abstrakcyja; malarstwo bierze kolor, ale bez kształtu plastycznego, i znowu bez ruchu. Łączyć w jednym utworze rzeźbę z malowaniem, jestto nie uzupełniać, ale krzywdzić obie sztuki. Mogły w świątyniach greckich statuy po części kolorowane przyczyniać się do dekoracyjnego oddziaływania całości, jak mogą w gotyckich kościołach świetnie wyglądać polichromowane posągi; ale swoją drogą rzeźbie, jako takiej, malowanie szkodzi, i nie potrzeba bardzo wybrednego smaku, aby się o tem przekonać. A kiedy jeszcze rzeźba malowana jest z wszelkimi tonami i modulacyami, naśladowującą naturę, już nam nie czyni estetycznego wrażenia dzieła sztuki, ale niemiłe wrażenie, jakiego doświadczamy w owych muzeach figur woskowych i terrakotowych, przedstawiających dzisiejsze znakomitości. Figury te w pierwszej sekundzie wydają się prawdziwe — w drugiej uderza dziwnie ich nieruchomość — w trzeciej wydają się wśród ruchu zamarle... i tego przykrego wrażenia, mimo dłuższego przyglądania się, pozbyć się nie możemy. Zkądże pochodzi ta fatalna ich nieruchomość? Zdejmcie im farbę i inne, naturę udające przybory, a one okażą się pełne życia: bo często ruchy życiowe z wielką dokładnością oddają. Podobnie, pomalujcie z ludzącą dokładnością Apolina Belwederskiego, a zatrzymacie ten jego pyszny, zwycięski chód, który wieki podziwiają — i on przykro nas uderzy swem nieruchomem zawieszeniem na jednej nodze... Dla-

¹ Ob. w recenzyi tejże książki, p. St. Tarnowskiego. *Przegląd Polski*. Październik, str. 168.

czego? Dlatego poprostu, że rzeźba jako rzeźba, jest w ideale, tj. poza rzeczywistością; ruch po rzeźbiarsku zaznaczony układem członków i kształtem muszkułów, jest w tej sferze pełnym ruchem; ale skoro ta rzeźba chce naprawdę udawać rzeczywistość, w tej chwili traci wdzięk sztuki i prawa rzeczy idealnej, a wchodząc w zawód z naturą, razi swą nieuchronną niższością, razi brakiem fizycznego ruchu i każdym szczegółem, w którym naturze nie dorównywa.

Podobne wrażenie przykrej nieruchomości zrobić może i obraz, z wypukłością i perspektywą zbyt łudząco malowaną, a przynajmniej w łudzących warunkach światła i otoczenia przedstawioną. Przypominam sobie, kiedy wielkie płótno Rochegross'a, przedstawiające dramatyczną scenę z Wojen chłopskich, wystawiono w Sakiennicach, pod namiotem z draperyi, który wszystko inne zasłaniał, a dopuszczał tylko sztucznie obliczone światło, oblewające obraz. Stało się w pewnej od obrazu odległości: perspektywa malowidła była doskonała; złudzenie było zupełne; figury, wyszedłszy z płótna, stały, każda w odpowiedniej odległości, trzymając w rękach z groźnym zamachem noże, widły, pałasze; wytrzeszczały straszne zęby... Ale narzucało się instynktowo pytanie: czemuż one nie idą naprzód? co je zakłęło w tych pozach?... I ten brak ruchu realnego, przy innych łudząco udających rzeczywistość warunkach, jakieś nieswojskie sprawiał wrażenie. Miało się zamiast estetycznego używania dzieła sztuki, sztuczne przedstawienie sceny z ubranych lalek. Podobne odniosłem wrażenie z niejednego obrazu na innych wystawach, w podobny sposób sztucznie wystawionego; tak samo wyglądał Chrystus przed Piłatem Munkaczego, kiedy był świeży i przedstawiał się po raz pierwszy w Peszcie, w podobnem otoczeniu. Przypisuję to nie tyle może samemu malowaniu, ile tym sztucznym środkom oświetlenia i wystawienia — które też uważam za niewłaściwe i niekorzystne dla prawdziwych dzieł sztuki, bo niepozwalające ocenić prawdziwie artystycznych ich zalet. Ztąd jednak wnoszę, że ta dążność do oddawania łudząco natury, którą pewna szkoła uważa za szczyt malarstwa, musi mieć jakieś granice, których przekroczenie byłoby dla samej sztuki ujemnem. Malarstwo

ma jeszcze szczytniejsze zadania, niż ludzi nas pozorami rzeczywistości.

Zapuściliśmy się może zbyt daleko w szczegóły, ale już przychodzimy do wniosku: z tego niezbędnego idealizmu sztuki, inaczej mówiąc, z jej odstepu od natury, wynika, że artysta coś więcej czyni, niż naturę odtwarzać: czy chce czy nie chce, świadomie czy nieświadomie, on coś z siebie w dzieło sztuki wkłada — coś więc stwarza. Już to samo, że nie mogąc, jakieśmy widzieli, przenieść żywcem natury w sztukę, artysta musi wybierać, jest pewną z jego strony twórczością. Niedosyć, że wybrał z natury przedmiot, jeszcze musi on obrać pewną jego stronę, pewien przymiot: kształt jeżeli chce rzeźbić, kolor jeżeli chce malować; i jeszcze z tej obranej strony musi on, jak się powiedziało, wiele porzucić, poświęcić, a niektóre tylko rysy i czynniki ująć.

Dalej składanie tych czynników, *k o m p o z y c y a* artystyczna, nie jest bynajmniej reprodukcją ile możliwości najwerniejszą układu i praw natury, ale transponowaniem na nowy temat, tłumaczeniem na język sztuki. „Architekt, mówi pięknie Cherbuliez, tłumaczy efektami linii i ozdób, których pierwszy wzór poddała mu natura, wyobrażenie swoje o życiu ludzi, którym schronienia buduje; rzeźbiarz tłumaczy w marmurze i bronzie znikome ciało nasze i ducha, który w niem mieszka; malarz rysunkiem i farbą tłumaczy widzenia duszy, która odczuła widoki życia i świata; muzyka i poezja tłumaczają, jedna tonami, druga słowami, co się w wnętrzu człowieka dzieje, o ile przynajmniej tony i słowa wyrazić to mogą“¹. — O samem malarstwie, które ze wszystkich jeszcze sztuk najbardziej jest naśladowniczem, pięknie w kilku miejscach wyklada p. Witkiewicz, jak dalece jego kompozycja jest sztuczną, bądź z konieczności, bądź z woli artystów. „Jak doskonałość kształtu w malarstwie, mówi nam, nie zasadza się na powtórzeniu rzeczywistej, naturalnej wielkości przedmiotów, tylko na utrzymaniu prawdziwego stosunku pojedynczych ich części, — podobnież w kolorze, harmonia, a więc wartość koloru rzeczywista, polega na prawdzi-

¹ *L'art et la nature*, I. c.

wem ustosunkowaniu pojedynczych tonów barwnych“. Ztąd, nawet kiedy idzie o przedstawienie jednego i tego samego widoku natury, „dwa obrazy równie dobrze zharmonizowane, ułożone z tych samych barw lokalnych, wziętych w tych samych warunkach oświetlenia, mogą jednak całkiem między sobą się różnić, jeżeli w każdym z nich barwy lokalne będą użyte w innej skali natężenia“ (str. 175). Nawet stany duszy artysty, według p. Witkiewicza, oddziałują na kompozycję i wywołują podobne stany u patrzącego. Zdarzy się np. na ulicy przypadek, że spadająca dachówka ugodzi przechodnia w głowę; „otóż malarz, który chce na widzu zrobić wrażenie tego nieszczęścia, który sam je czuje i szczerze widzi“, nie będzie się bawił wydatnem malowaniem „guzików, małych epizodów, mnóstwa szczegółów, które rozrywają uwagę widza“, ale „chcący czy nie chcący, użyje takich środków kompozycyjnych. wprowadzi takie światła, takie wyrazy twarzy i ruchy, że widz odejdzie od obrazu z wspomnieniem nieszczęśliwego zdarzenia. lub z uczuciem bolesnem w sercu“ (str. 186)¹.

Doszlśmy więc do ważnego wniosku, że w kompozycji artystycznej jest i powinna być twórczość, z duszy artysty pochodząca, a nie tylko odtwarzanie natury — i z przyjemnością zapisujemy, że mamy *confitemur reum*. Powstaje teraz pytanie: czy ta twórczość dzieje się od przypadku — albo ma swoje prawa, podług których się odbywa? P. Witkiewicz, podstawiając tu indywidualność artysty, zdaje się nawet możliwość takich praw wykluczać. Ale nasz autor tego pojęcia indywidualności,

¹ P. Witkiewicz, co prawda, chce mówić na tem miejscu nie o wszystkich, tylko o pewnych kompozycjach, które nazywa celowemi; mimo-woli jednak wypowiada prawo ogólne, bo wszystko co robi człowiek ze świadomością, jest celowem, i dusza artysty nie może być *tabula rasa*, nie może się nie interesować, nie odczuwać więcej tej lub owej strony przedmiotu, a wtedy musi tę stronę żywiej uwydatnić. Co sam pan W. niespostrzeżenie uznał w przytoczonych wyżej słowach: „artysta, który czuje i szczerze widzi, chcący czy nie chcący użyje takich środków kompozycyjnych“.

którem wciąż wojuje, nigdy nie rozbiera, kładzie tylko na jego karb wszystko, co w sztuce nie jest prostą natury reprodukcją.— Pewna rzecz, że w dziełach mistrzów, zwłaszcza potężniejszych, odrysowuje się ich indywidualność, czyli to, czem się każdy z nich od drugich wyróżnia: ale przed tem co wyróżnia, musi być, jak już powiedziałem, to co jest wspólne, zasadnicze, w czem wszelkie twory sztuki są sobie pokrewne. Otóż wspólne znamię tworów sztuki, jako takich, odróżniające je od tworów natury, leży właśnie w tem, że są dziećmi duszy ludzkiej, zapłodnionej przez naturę — do jednej i do drugiej strony swego pochodzenia podobnemi. A więc prawami twórczości artystycznej będą: z jednej strony prawa przyrody, którym i artysta poddać się musi (w czem zresztą nie jest twórcą); z drugiej strony prawa ducha ludzkiego, które właściwie twórczość artystyczną charakteryzują. Dusza, to się samo przez się rozumie, nie może inaczej tworzyć, jak nadając dziełu swemu piętno swej natury, swoich praw i wymagań.

I patrzymy, czy człowiek-artysta nie tworzy podług tych praw? Nie możemy oczywiście myśleć o dokładnem ich określeniu w ramach tak małej rozprawy, ale chodzi nam tylko o konstataowanie ich istnienia.

Prawem ducha jest jedność. Świadomość, będąc doskonale jedną w sobie, dąży do wprowadzenia we wszystko jedności. A czy utwór sztuki jedności nie wymaga? Każdy gmach, każde dzieło architektury uderza odrazu jednością pomysłu, i tem najprzód się odróżnia od fantastycznych konstrukcyj natury. Każdy poemat, każdy dramat ma swą jedność. Podczas gdy życie realne toczy się nieprzerwanym szeregiem przyczyn, skutków i warunków, tak że kawał z tego życia wykrojony nie miałby ni początku, ni końca, ni środka — to kawał taki, w poezyi, na teatrze, w powieści nawet, tak się okaże skomponowany, że będzie miał zawsze jedność akcji, zawsze początek i koniec — jeśli nie wprost przedstawione, to przynajmniej wirtualnie i zrozumiale zawarte w tem co się przed widzem roztacza. Podobna jedność psychologiczna musi być, jak wiadomo, w każdym dziele muzycznym, w każdym utworze dźwięku; — czy jedynie utwór

pendzla byłby zpod tego prawa wyjęty? Ale gdzież jest obraz uznanej powszechnie wartości, któryby tej jedności nie miał, któryby nie stanowił w sobie pewnej całości, z częściami trzymającemi się bądź współdziałaniem, bądź przeciwdziałaniem czyli kontrastem, w jednej wspólnej akcji? Mówią, że mistrzowie wczesnego Odrodzenia robią do swych obrazów religijnych tła nie wspólnego z nimi nie mające. Gdyby tak było rzeczywiście, nie byłoby to zaletą tych dzieł, a tłumaczyłoby się to wyjątkowe zjawisko spotkaniem się dwóch kierunków jeszcze nie skojarzonych: nowego zamiłowania do piękności przyrody — i zachowania starych typów religijnego malarstwa. Ale któż ma prawo powiedzieć, że takie tła i dalsze plany obrazów nie miały, w myśli mistrzów i w rzeczywistości, związku z główną treścią? W pięknej izbie romańskiej, na krześle siedzi Matka Boska z Dzieciątkiem; przed nią klęczy rozmodlony fundator: w głębi przez szerokie tryforya widać w prześlicznej perspektywie rozścielone miasto, polyskującą rzekę, na widnokręgu wzgórza słońcem oblane¹. Czy te wszystkie motywa przypadkowo zestawil Jan van Eyck? Mnie się zdaje, że one trzymają się doskonale, i pokazują nam, że scena ta nie dzieje się w niebie, ani w jakimś nieokreślonym przybytku, ale że tu na ziemi, we własnych komnatach donatora, wiernie tu sportretowanego, pod miastem Gandawą czy Antwerpią, gdzie zapewne mieszkał, Królowa niebios zasiadła sobie dobroliwie, aby słuchać jego modlitwy. — Kiedy indziej znów szczegóły w głębi obrazu przedstawione, wiążą się z główną sceną przez kontrast, jak miałem sposobność wskazać (w poprzednim artykule), mówiąc o starych Ukrzyżowaniach.

Dziś pewna szkoła malarzy, wyciskając logiczne z swych teoryj konsekwencye, chciałaby zupełnie tę jedność kompozycji wykluczyć. Kopiować każą „szmat przyrody, jak się trafi, z całą jej przypadkowością“. Pewna rzecz, że takie *parti pris* może tę jedność twórczości duchowej do pewnego stopnia zagłuszyć. Radzę im jednak, ażeby bardzo się pilnowali przy takim malowaniu: bo jak na chwilę przestaną myśleć o do-

¹ Jana van Eyck'a *La Vierge au donateur* w Luwrze.

którejnie i oddadzą się popędowi swej artystycznej natury, ani się spostrzegą, kiedy zaczną komponować, i to w kierunku jednności.

Prawem ducha jest dalej wymaganie, aby ta jedność roztaczała się w *rozmaitość*. Bo duch jest żywotnością samą; martwa jedność, monotonia go nęka; dopiero rozmaitość dla jego żywotności treści dostarcza. A że wśród całego rozwoju tej rozmaitości duch zachowywać usiłuje ową jedność — ztąd powstają jeszcze inne wymagania, jak: potrzeba miary, aby rzecz dała się myślać bez trudu objąć i zrozumieć; potrzeba równowagi, symetrii, stopniowego rozczłonkowania i t. p. warunków, które są wogóle wyższymi formami tej jedności w rozmaitości, wymaganej przez ducha¹ — w przeciwstawieniu do natury, która zdaje nam się gubić w mnogości szczegółów bez miary i bez ładu.

Kiedy człowiek swobodnie tworzy formy, nie oglądając się na modele natury, jak w architekturze, a z jeszcze większą swobodą w ornamentacji, w arabeskach, wówczas te potrzeby i prawa jego ducha występują czysto. Widać i wtedy, że człowiek bierze coś z natury: świat nieorganiczny poddaje mu linie proste i łamane, organiczny krzywe i wijące się — ale on inteligencją swoją abstrahuje zaraz od tego, co w tych liniach jest przypadkowe i nieobliczalne, tj. niedające się do jedności sprowadzić. przekształca je odrazu w formy geometrycznie doskonałe, początkowo kąty proste, krzywizny koliste; układa je pod liczbą i miarą, w równowadze i symetrii, o ile jego ręka dopisuje idei. A idąc coraz dalej i śmieiej w kierunku urozmaïcenia, nie traci przecież jedności, tylko coraz wyższą nadaje jej postać. Podobnie jak z linią, postępuje on także z barwą. W jego twórczości ornamentacyjnej, począwszy od wykopalisk starej Niniwy, aż do Loggij rafaëlowskich, znać kwiat lotusu, znać palmę, akant, znać

¹ O tych warunkach: równowagi symetrii, złotego działu i t. p. dużo piszą estetycy niemieccy, wywodząc je z analizy dzieł pięknych, ale niedosyć może na to zwracają uwagę, jak potrzeba tych warunków wpływa z istoty duszy i inteligencji ludzkiej.

inne twory natury; ale wszystkie są „stylizowane“, tj. w liczbę i rytm inteligencji ujęte.

Kiedy znów człowiek stara się żywcem naturę jaką jest przedstawić — czy to prehistoryczny rysownik krzemieniem szkicuje mamuta na jelenim rogu, czy nowożytny malarz „zdejmuje pejzaż“ — w takim oczywiście dziele przeważa swoboda i pozorny bezład natury. Lecz i wtedy wrodzone skłonności ducha nie są bez wpływu. Kiedy artysta, z paletą w rękę, namyśla się czy tę lub ową postać po tej lub po owej stronie grupy umieścić — czy to drzewo na dalszy plan cofnąć, czy też przybliżyć — to są te prawa duszy artystycznej, te wymagania równowagi, miary, harmonii w liniach i kolorach, co się w nim odzywają. Rzućmy okiem na nieśmiertelne pejzaże Lorraina, np. na jego Rano, Południe, Wieczór i Zmierzch. Jestto prawdziwa, żyjąca i woniejąca natura, każdy szczegół uderza prawdą; a jednak niech powiedzą ci, co najwięcej podróżowali, czy widzieli na świecie miejsce, gdzieby się wszelkie piękności tak w komplecie zebrały i tak harmonijnie dla duszy ugrupowały? Jestto także swoim sposobem ustylizowana natura. I wracamy do tego, cośmy powiedzieli na początku, że dzieło sztuki będzie zawsze czemś pośrednim między naturą a duchem ludzkim, raz tego bliższym, raz owego, ale zawsze coś z obu mającem.

Prawem ducha jest także celowość. Wszystko co duch ze świadomością czyni, musi mieć swą rację, musi się do jakiegoś celu odnosić. A czy ta celowość nie jest też prawem wszelkiej twórczości artystycznej? Już wiemy, że dzieło sztuki wymaga jedności idealnej, panującej nad różnaitością części; otóż ten stosunek części do jedności różnymi sposoby, jak widzieliśmy, wyrażać się może; ale zawsze i przedewszystkiem zależeć on musi na odnośni celowej: takiej, aby wszystkie części i szczegóły dzieła sztuki przyczyniały się do wspólnej akcji całości, zmierzającej, jeżeli nie do innego celu, to przynajmniej do estetycznego upodobania. Ma i natura swego rodzaju celowość, bądź w ustrojach jednostek, bądź w prawach ogólnych; ale ta jest przeważnie dla oka ukrytą, tylko rozumowi badawczemu dostępną; widoki zaś, jakie natura zwykle nam przed-

stawia, nie będąc ani jednostką, ani całością, tylko odłamem całości, celowego związku, między częściami nam nie okazują. W sztuce zaś, jako płodzie inteligencji ludzkiej, wymaga się celowości w sobie skończonej, i że tak powiem, na wierzchu. Któż nie wie, jak w utworze literackim, kawałek nie mający racji bytu w całości — „przyszyta łatka“, jak ją nazwał Horacy:

Purpureus... unus et alter
Assuitur pannus —

psuje tę całość? A w architekturze, czyż nie wiadomo, że każde uchybienie przeciwko tej organicznej celowości, jest błędem przeciw estetyce, i że te właśnie style są najdoskonalszymi, w których środki konstrukcyjne są najlepszym wyrazem celu budowli, a ozdoby niczem innym nie są, jak tylko szczerem uwydatnieniem prawdziwych i potrzebnych konstrukcyjnych środków — co ma miejsce w klasycznej i w gotyckiej architekturze? Że wreszcie i malarstwo, przy całej swej naśladowniczości, nie jest od tego prawa celowości wolne, świadkiem p. Witkiewicz, który tak dobrze je sformułował, że lepiej nie potrafię: „Wszystko co jest w obrazie, mówi on, jest w nim dla czegoś i po coś. Światło, barwy, użycie pewnych szczegółów, stosunek wielkości figur do rozmiarów obrazu, wszystko to są czynniki kompozycyjne, z którymi rachować się trzeba“ (str. 184).

Prawem ducha jest także wolność — pierwiastek, o którym materya nie wie, a materyalizm nie chce słyszeć. Tymczasem, któż nie zna wielkiej roli, jaką gra wolność w kompozycji artystycznej? Zaczynając od dołu: czemu obojętnymi nas zostawia linia prosta, a już zaczyna nam się podobać krzywa, wijąca się, *serpeggiamento*, jak ją z pieszczotą nazywa da Vinci — jeżeli nie dlatego, że pierwsza jest już na oko zdeterminowana, druga zaś daje nam przecucie wolności? I prowadząc tę myśl dalej, po coraz wyższych szczeblach, możnaby wykazać, że wszystko co technie wolnością, co ją nawet udaje: czy ruchy odbywające się z łatwością i swobodą, a więc przejawiające nam siłę mogącą uczynić jeszcze więcej niż czyni — czy formy wyrażające możliwość takich ruchów — czy czyny moralnie podniosłe, których widok największe i najczystsze sprawia nam upodobanie — że to

wszystko, mówię, jest czynnikiem estetycznym, kierującym twórczością artystyczną i szeroko w niej panującym¹.

Prawem ducha jest dążność do absolutu, dążność objawiająca się w zakresie twórczości artystycznej tem szczególnie zjawiskiem, że dusza skłonna jest lekceważyć formy przypadkowe i niedoskonałe — które ją przecież wypiastowały i ze-wsząd otaczają — wnika zaś w nieśmiertelną istotę rzeczy i tę stara się wyrazić, odgadnąć usiłuje formy istot doskonałe, typowe, które nie są przecież, jak płascy estetycy prawią, przeciętną form widzianych — (coby to był za nędzny koń, któryby miał przeciętną miarę, kształt i siłę wszystkich istniejących koni!) — ale unoszą się ponad rzeczywistością, jako niedościgłe a wciąż jednak naśladowane wzory, tajemniczo spokrewnione z duszą, nie przez to oczywiście, że się w znikomych odbijają formach, ale przez to, że same są udziałem jeszcze wyższego ideału, o którym dusza marzy.

I wiele jeszcze takich praw ducha wyliczyłbym musiał, gdybym dzieło o estetyce, a nie okolicznościowy artykuł pisał. Te prawa, nie są to reguły sztuki, którychby można wyuczyć się na pamięć, aby arcydzieła komponować. Tworzyć nie można inaczej jak samorzutnie, idąc za wrodzonym popędem czyli natężeniem. Ale są to rodzime prawa twórczości artystycznej, które przy analizie płodów tej twórczości odkrywamy, a znajdując je równocześnie w analizie duszy i jej wrodzonych dążeń, wnosić musimy, że one to właśnie określają ten pierwiastek duchowy w sztuce, to pokrewieństwo między dziełem artystycznym a duszą.

Przejawiają się te prawa w sztuce mniej albo więcej, ścisłej albo luźniej: najprzód, jak już powiedziałem, według rodzaju sztuki, mianowicie według większej albo mniejszej jej dążności do naśladowania natury; podrugie, według zdolności i nastroju artystów: czasami ręka jeszcze nieudolna, materiał niedość opatrowany, żeby duch mógł się w nim wyrazić; innemi razy dusza

¹ Por. M. Adam, *Essai sur le jugement esthétique*. — Ch. Lèveque, *La science du beau*.

za błada, niedosyc silnie i harmonijnie czuje i myśli, aby się przez powłokę materji przebić; kiedyindziej chorobliwy jakiś nastrój, albo tendencya przez fałszywe doktryny narzucona, może pewne zboczenie od tych praw wywołać. — Indywidualność artysty, tj. suma właściwości, któremi się jeden od drugiego i od wszystkich różni, jest oczywiście dodatnim czynnikiem — bez niego, zamiast twórczości, byłoby tylko naśladownictwo drugih; lecz o ile dodatnia, nie zależy indywidualność na zbaczaniu, tylko na użyciu i rozwoju tych praw po swojemu. — Duch nie tak niewolniczo swoim prawom ulega, jak mechanizm. Ale przy całej swej wolności, nigdy przestać być sobą nie może. I nawet kiedy zaprzecza siebie, bądź w filozofii, bądź w sztuce materyalistycznej, zawsze dzieło duchowe czyni — i w niem jako duch przeziera.

A piękno, zapyta kto, czy nie jest także prawem artystycznej twórczości? — O pięknie oddawna już mówimy: bo czemuż jest to odzwierciedlanie się ducha w materji, jeżeli nie pięknością?... Ale nie skończyliśmy jeszcze. Rzuciliśmy dzisiaj wiązkę myśli o twórczości artystycznej: z położenia sztuki pośredniego między naturą a duszą, wyprowadziliśmy istnienie i charakter tej twórczości — a z niej wysnuliśmy prawa, podług których się odbywa i które znamionują jej pokrewieństwo z duszą. Zostaje nam jeszcze do widzenia, jak z tego pierwiastku duchowego i jego praw w sztuce wykwita piękność.

Ks. Marian Morawski.

WSPÓLNE TŁO POJEĆ RELIGIJNYCH U HINDÓW.

(Dokończenie).

Trymurti (Trójca hinduska): Awatara (wcielenie hinduskie): Bhakti (wiara i miłość): trojaki rozłam religijnego rozwoju Hindów.

Kiedy pojęcie „przechodzenia dusz” powstało i rozszerzyło się wśród Hindów, nie jest dobrze wiadomo. A najprzód przechodzenie dusz nie było znane Eranom, Awesta nie zawiera najmniejszej o niem wzmianki, a ztąd nie wytworzyło się w epoce wspólnego przebywania Aryów Wschodnich. Dalej, w pierwszych wiekach pobytu Aryów w Indjach pojęcie to nie było im znane, niema żadnych jego śladów w hymnach wedyjskich. Lecz w starych Brahmanach napotykaemy usteępy, wskazujące już odbłysek tych pojęć, w Upaniszadach rzecz ta traktowaną jest filozoficznie. w Prawach zaś Manu bardzo szczegółowo. Ztąd wniesć można, że ta doktryna miała już zwolenników wśród uczonych Hindów około VI. w. przed Chr., a zarazem że początek jej nie sięgał odległej przeszłości.

Inne pytanie, odnoszące się do tego przedmiotu, mianowicie, czy pojęcie przechodzenia dusz było wytworem aryjskim, czy też zapożyczone zostało od obcych — napotyka na poważne trudności i w obecnym stanie wiedzy stanowczo rozwiązaniem być nie może: prawdopodobniejszem jednak wydaje się to ostatnie przypuszczenie.

O ile historycznie stwierdzić można, przechodzenie dusz znane było w Grecyi i Egipcie. Hindowie nie przejęli tej doktryny

od Greków, albowiem w VI. dopiero wieku wykładaną ona tam była w szkołach Pytagorasa; mogli ją jednak byli przejąć od Egipcyan.

Egipcyanie, według wiarogodnego świadectwa Herodota, od dawnych czasów wierzyli w przechodzenie dusz; nowoczesne odkrycia wykazały niejaki ślady tego pojęcia. W grobie jednego z Ramzesów w Tebach, a więc około XIV. w. przed Chr., wyobrażone jest wykonanie wyroku Ozyrysa nad zmarłym grzesznikiem. Dusza zmarłego weszła w zwierzę nieczyste, w wieprza, i pod tą postacią odprowadzona jest w łódce przez służki bożka Thot. W „Księdze zmarłych“¹ zaznaczono jest wyraźnie, iż zmarły może przemienić się w zwierzę. Zresztą oddawanie czci zwierzętom żywym, a początek jego sięga II. jeszcze dynastyi, wskazuje, że w tej już epoce Egipcyanie przypuszczali jakieś przechodzenia czy wcielania duchowe. A że, według dowodów przytoczonych przez Lassena, Egipcyanie mieli stosunki handlowe z Indjami, ztąd nie jest rzeczą niemożliwą, żeby to pojęcie nie przedostało się Hindom z Egiptu.

Jednakże najprawdopodobniej przechodzenie dusz wyznawane było przez niektóre nie-aryjskie ludy półwyspu, i od tych ostatnich dostało się do ksiąg hinduskich. I w istocie. Jakkolwiek na szybki rozrost buddhaizmu wiele składało się przyczyn, niemniej jednak pierwszorzędną z nich była chęć uwolnienia się od przykrych odrodzeń. Lecz wiara w przechodzenie dusz musiała już głębokie zapuścić korzenie w VI. w. przed Chr. wśród niektórych ludów półwyspu, skoro nauka Sakya Muni z tak niesłychaną łatwością i szybkością wśród tych ludów się rozpowszechniała. Wiara ta nie była owocem posiewu Brahmanów, albowiem ci ostatni w tym zaledwie czasie wspominają o niej w swych pismach. Zresztą lud, który tak skwapliwie przyjmował buddhaizm, nie był aryjskim. Płaskorzeźby, jakich nam dostarczyły stupy i wihary buddhyjskie, o czem mówiliśmy poprzednio, dostatecznie nas o tem przekonywają. Nie znamy wprawdzie dobrze ludów, których Aryowie zastali na półwyspie, jednak ze względów tak etnologicznych, jak i historycznych, przyjmują

¹ Roz. LXXXVII. i CXXV.

wszyscy niemal autorowie, iż oprócz plemion turyjskich, pomieszczanych z dawniejszemi jeszcze małajskimi, znajdowały się tam plemiona chamickie, spokrewnione z ludami z Akadu i Sumeru. Otóż, ponieważ główne dogmata religii Chamitów były jednako-
 kowe tak wśród afrykańskich, jak i azyatyckich plemion, nie jest przeto wykluczonem, że Chamici hindusey, podobnie jak egipscy, wierzyli w przechodzenie dusz. Wreszcie przypuszczenie nasze potwierdza się jeszcze tem, że obce pojęcia religijne, przyswajane przez Brahmanów, nie wsiąkały nigdy w przekonania ludowe, nie wychodziły poza ramy akademickich rozpraw; takimi właśnie pojęciami były słynne dogmata hinduskie: *Trymurti*, *Awatara* i *Bhakti*.

Try-murti, czyli dosłownie „Potrójny kształt“, jestto „Trójca“ hinduska, w której skład wchodzi trzy osobistości: Brahma, Wisznu i Siwa.

Trymurti, jako taka, nie jest nigdzie czczoną w Indyach, żadna świątynia nie jest jej poświęcona, i z wyjątkiem Bombaju¹, nigdzie nie jest przedstawiona symbolicznie. Co więcej, pojęcie Trymurti nie jest rozpowszechnione wśród ludu, a raczej całkiem nie jest znane, uczeni jedynie rozprawiają o niej w swych filozoficzno-teologicznych traktatach, które w niewielu słowach postaramy się streścić.

Wszelki „duch“ jest odwieczny; sam w sobie jest tylko czystym „Bytem“, abstrakcją; w połączeniu dopiero z siłą, odwieczną również, zwaną różnie, często *Maja*, uświadamia się. staje się czułym i czynnym.

Maja, dosłownie „Urojenie“ (majaczenie), składa się z potrójnego pierwiastku czy własności, zwanej *Guna*, mianowicie zaś z „Radžas“ (Czynność), „Sattwa“ (Dobroć) i „Tamas“ (Ciemność).

Guny niejednakowo owładają duchem. Kombinacje poszczególne, wynikające z połączenia ducha z większemi lub mniejszemi przymieszkami Guny, stanowią istoty pojedyncze: bogów,

¹ W pieczarach Elefanty wyciosane są w skale trzy majestatyczne głowy, wynurzające się z jednego tułowiu. Jedyna świątynia, poświęcona Trymurti, wystawiona była w Majsorze w XV. wieku. Lassen, *Ind. Alterth...* t. IV., str. 181.

duchów, ludzi, zwierząt, roślin i kamieni. Połączenie „ducha“ z Gunami zdarza się w czasie i z czasem ustaje; „duch“ oswobodzony od Gun, traci swą osobistość i zlewa się z Brahmanem.

Brahman, jako taki, jest wolny od Gun, lecz jest „panem Gun“; skoro zapragnął stworzyć świat, przybrał pierwszą Gunę, „Radžas“, i stał się *Brahmą*, Stworzycielem; następnie owładnął drugą Gunę, „Sattwa“, i w tem połączeniu przedstawia się jako *Wisznu*, Wspomożyciel; wreszcie trzecia Guna, „Tamas“, uosobiła go jako Niszczyciela, i jest nim *Siwa*.

Brahma, Wisznu i Siwa są najwyższymi osobistościami w świecie, nie są podlegli odrodzeniu, jednakże odwiecznymi nie są: powstałi oni w czasie i po pewnym czasie tracą swą osobowość, pozbędą się swych Gun i rozplyną się w Brahmanie.

Bogowie Trymurti są wszyscy równi między sobą, co więcej, żaden z nich nie ma określonej sfery działania, jeden drugiego zastępuje, każdy z nich może być Najwyższą Istotą, *Paramśwara*. Kalidasa pisze ¹: „W tych trzech osobach jeden bóg się okazuje, każdy z nich pierwszy, każdy ostatni, nigdy sam jeden. W tej błogosławionej Trójcy (złożonej) z Brahmy, Wisznu i Siwy, każdy może być pierwszym, drugim, trzecim“.

To pojęcie Trymurti, zbliżone do dogmatu chrześcijańskiego Trójcy Przenajświętszej, dało powód do różnych przypuszczeń: jedni widzieli w niem ślady pierwotnego Objawienia, inni śmiało twierdzili, że chrześcijanie zapożyczyli sobie od Hindów ten dogmat — otóż obydwie te twierdzenia były błędne.

Nie ulega już dziś żadnej wątpliwości, że pojęcie Trymurti rozwinięte zostało dopiero w Puranach, a zatem w VII. lub VIII. w. naszej ery, a najdawniejsze o niem wspomnienia datują najdalej z III. w. tejże ery. Teologowie hinduscy starają się wprowadzić nawiązać to pojęcie z Wedami, lecz wywody ich są złudne.

Istnieje z czasu Wedów wyraz, złożony z trzech głosek: A, U, M, wymawia się *Om*; wyraz mistyczny, święty, niewiado-

¹ Słynny pisarz hinduski Kalidasa żył w III. albo VI. w. naszej ery, według Lassena i Webera. Wyjątek powyższy wzięty jest z dzieła *Kumarsambhava*, wydane przez Griffitha, vol. VII, p. 44.

mego pochodzenia i znaczenia, często powtarzany w obrzędach religijnych, umieszczany na czele wszystkich niemal modlitw Hindów, i ten wyraz właśnie Brahmani identyfikują z Trymurti: ma on przedstawiać początkowe głoski nazwisk bożków Agni, Waju i Mitry.

Naciąganie jest tu widoczne. Ani hymny wedyjskie, ani komentarze, zawarte w Brahmanach i Upaniszadach¹, nie upoważniają zupełnie do tego twierdzenia: indologowie europejscy, znający dziś lepiej od samych uczonych Hindów dawne ich piśmiennictwo, nie mogą się tam dopatrzeć śladów tego pojęcia. Dogmat Trymurti powstał w Indjach w nowszej dobie i w naszej już erze, upada zatem twierdzenie, utrzymywane przez niektórych racjonalistów, jakoby chrześcijanie przejęli pojęcie Trójcy Przenajświętszej od Hindów².

Lecz nie jest też rzeczą prawdopodobną, żeby to pojęcie powstało samoistnie w umyśle Hindów. Już sam naciągany wywód, któryśmy wyżej przytoczyli, dowodzi tego po części, a głębsze wnikiwienie w samą rzecz jasno przekonywa, że pojęcie to nie jest wynikiem naturalnego rozwoju religijnego, lecz płodem obcym, sztucznie przesadzonym na grunt hinduski.

Hindowie w Trymurti uznają nie tylko trzy osoby, ale też i trzech bogów. Otóż ta trójbożność nie odpowiada duchowi religii hinduskiej: Hinduizm, dawniej i dzisiaj, w praktyce i teorii, wśród ludu i między uczonymi, dążył i dąży do jednobożności. Bożków w Indjach jest moc wielka, lecz każdy Hindus obiera sobie jedną z tych osobistości, uważa ją za Najwyższą

¹ Wprawdzie w *Maitry Upanisad*, które jest pomieszczone w Brahmanach, pojęcie Trymurti jest wyraźnie zaznaczone, jednakże dzieło to takim uległo przeróbkom i wtętom nowoczesnym, iż przez uczonych indologów, z wyjątkiem Creuzera, nie jest uważane za źródło wiarogodne.

² Pisarz francuski Barth, znający gruntownie piśmiennictwo hinduskie, odmawia wszelkiej słuszności tym twierdzeniom, opartym jedynie na nienawiści Kościoła Chrystusowego. „L'Eglise ne lui a été redevable ni des spéculations sur le Logos, ni du dogme de la Trinité, ni en général d'aucune de ces doctrines dont l'emprunt équivaldrait à une sorte de conversion”. *La religion de l'Inde*, p. 134.

Istotę i jej tylko cześć oddaje¹. Uczeni teologowie, którzy w zasadzie przyjmują Trymurti, nie mogą się uchronić od szukania, wśród tych trzech bogów, jednego najwyższego. Jako *curiosum*, pod każdym względem, przytoczymy tu ustęp ze słynnego dzieła *Bhugawata Purana*², który daje zarazem miarę teologicznych dociekań Hindów:

Razu pewnego wszczęła się rozprawa między mędrcami o tem, który z trzech bogów jest najwyższym. Dla rozstrzygnięcia pytania wezwano największego z pomiędzy mędrców, Bhrigu. Mędrzec postanowił wystawić na próbę wszystkich trzech bogów. Przyszedł najprzód do Brahmy i nie złożył mu pokłonu. Bóg uniósł się gniewem, choć niebawem ochłonął. Następnie udał się do przybytku Siwy i nie oddał mu również pokłonu. Rozjątrzony bóg zapalał strasznym gniewem, oczy jego zaiskrzyły się, porwał za miecz, by nim zgładzić mędrca; lecz małżonka boga, Parwati, wdała się w pośrednictwo. Wreszcie Bhrigu zaszedł do nieba Wiszny, zastał boga śpiącym. Dla wypróbowania wyrozumiałości kopnął boga w piersi, i tem go obudził. Zamiast okazać gniew, Wisznu przeprosił Bhrigu, iż nie powstał na jego przyjęcie, poczem oświadczył, iż jest zaszczycony tem kopnięciem. Przyznał, że to kopnięcie wycisnęło niezmazalne znamię błogiej doli na jego piersiach. Oglądał troskliwie, czy noga mędrca nie była skaleczoną i głaskał ją pieścizliwie. „Ten, mówi Bhrigu, jest najwyższy bóg, ubezwładnia on swych nieprzyjaciół najpotężniejszym mieczem, tj. łagodnością i wspinałomyslnością“.

Tak pisze Wisznuita; Siwaici zaś i inni sekciarze identyfikują Trymurti ze swymi bożkami, tak, iż wkońcu samo po-

¹ Liczne sekty, które istnieją w Indyach, są dowodem, że przewodzią myślą w umysłach Hindów jest jednobożność. Oto co pisze Colebrooke, *Essays*, p. 123: „Sancara-acarya, the celebrated commentator on the Veda, contended for the attributes of Śiva, and founded or confirmed the sect of Śaivas, who worship Mahadeva as the supreme being, and deny the independent existence of Vishnu and other deities. Madhava-acarya and Vallabha-acarya have in like manner established the sect of Vaishnavas, who adore Vishnu as God. The Sauras (less numerous than the two sects abovementioned) worship the Sun, and acknowledge no other divinity. The Ganapatyas adore Ganesa, as uniting in his person all the attributes of the deity“.

² x, 89. Eugeniusz Burnouf zajął się wydaniem pommikowem tego dzieła; śmierć przerwała jego pracę.

jęcie Trymurti zredukowane jest do jednej osoby, do jednego bożka ¹.

Jeżeli tedy prawdą jest, że pojęcie Trymurti nie było przekazane Hindom od przodków, jeżeli nie było wynikiem samodzielnym ich rozwoju religijnego, a dopiero około VI. lub VIII. w. naszej ery poczęło się przejawiać w księgach hinduskich, ztąd słusznie wniesić możemy, iż było zaczerpnięte od chrześcijan.

Rzeczą jest prawdopodobną, jeżeli już nie całkiem pewną, że wprowadzenie Trymurti miało na celu pogodzenie, a raczej zlanie w jedno różnych sekt, które wówczas rozdzielały ludy w Indjach. Jeżeli gdzie, to przedewszystkiem w Indjach synkretyzm był i jest rozwielnionym. Hindowie wchłaniali w swe pojęcia religijne dogmaty i obrządki wszystkich ludów, z którymi się zetknęli, przykrawali je tylko do swej miary, nadawali im swój właściwy strój i barwę. To samo dzieje się tam jeszcze i podziśdzeń.

O drugim dogmacie hinduskim, zaczerpniętym z chrześcijaństwa, o Awatarze, napomknęliśmy już poprzednio, w dziale piśmiennictwa.

Awatura dosłownie znaczy „Zstąpienie“, a bierze się w znaczeniu „Wcielenia“. Według pisarzy hinduskich, część substancji boskiej łączy się z ciałem ziemskim i taka osobistość, obdarzona przymiotami bóstwa, staje się wcielonym bogiem, Awatarą.

W piśmiennictwie hinduskim spotyka się pierwszy raz ² to pojęcie w epopejach zbrahmanizowanych, to jest w tych czę-

¹ „Mais d'ordinaire, quand les écrivains sectaires acceptent la notion de la triade, ils l'interprètent d'une façon plus conforme à leurs préférences respectives. L'une des personnes, soit Çiva, soit Vishnu, est identifiée directement avec l'Etre suprême, et les deux autres, Brahmâ surtout, sont réduites à un rôle subordonné. Cette subordination, naturellement, est susceptible de bien des degrés, et il n'est pas rare de la voir varier au cours d'un même écrit. Mais, en général, elle est très accentuée; parfois même elle est exprimée en des termes qui impliquent une hostilité assez vive contre les membres ainsi sacrifiés et une véritable réprobation de leur culte. Aussi la triade n'est-elle, pour la plupart des sectes, qu'une formule à peu près vide de sens“. Barth, *Les religions de l'Inde*, p. 109.

² Rzecz ta całkiem jest pewna; wystarczy tu przytoczyć świadectwo Colebrooke'a: „But the worship of deified heroes is no part of that system

ściach Mahabharaty i Ramajany, które uległy przeróbkom i dodatkom. Kryszna i Rama, bohaterowie poematów, są wcieleniem Wisznu.

Teologowie hinduscy nie zapuszczają się w żadne dowody i rozumowania, tym razem nawet nie powołują się na Wedy, lecz bez wahania i wątpliwości przyjmują Awatarę, jako zdarzenie rzeczywiste, dziejowe. Łatwowierność i przesada, które charakteryzują umysł Hindów, szeroko otworzyły wrota, w tym przypadku, bujnej ich wyobraźni. Nie poprzestali na dwu Awatarach, Purany liczą ich dwadzieścia kilka, w Tantrach zaś nie można już ich przeliczyć. Nietylko Brahma, Wisznu i Siwa wcielają się w rozmaite osobistości i osobniki, ludzi i zwierząt, lecz i same osobistości ubóstwione wcielają się znowu w inne osoby. W Mahabharacie Kryszna jest wcieleniem Wisznu, w późniejszym piśmiennictwie tenże Kryszna sam się już wciela. Buddha, rozumie się, był wcielonym bogiem, po swej śmierci począł się wcielać w rozmaite osobistości. W Tybecie i Mongolii każdy Wielki Lama jest wcielonym Buddhą.

W Indyach każda wybitniejsza osobistość, która za życia wywierała większy wpływ na społeczeństwo, która odznaczała się talentem, cnotą, niezwykłym umartwieniem, uważaną jest po śmierci za Awatarę. Lecz i za życia jeszcze główniejsi reformatorzy, założyciele sekt, Ramanadża, Madhwa, Wallabha, Czaitanya, czczeni już byli jako wcielone bóstwa, co więcej, następcy ich taką samą odbierają cześć podziśdzeń. Pod tym względem słynną odgrywają rolę następcy Wallabhy.

Wallabha, albo jak go tytułują, Wallabhaćarya, uważany za Awatarę Kryszny, żył w XV. w. i założył sektę, która się rozpowszechniła w Bombaju, Gudżeracie i Indyach Środkowych. Po jego śmierci godność Awatary przeszła na syna, następnie na wnuków i ich następców po mieczu. Potomkowie Wallabhy są dziś bardzo liczni, a jako Awatary używają wielkiego zna-

(Veda); nor are the incarnations of deities suggested in any other portion of the text, which I have yet seen: though such are sometimes hinted at by the commentators". *Essays*, p. 68.

czenia wśród swoich, którzy im przyznawają nawet tytuł Maharadzów (wielkich książąt). Do czego zeszło dziś pojęcie Awatary w praktyce, niech posłuży następny ustęp, który tu zamieszczamy z dzieła Williamsa ¹:

„Ci Maharadzowie uważani są za przedstawicieli Kryszny na ziemi, a raczej za Awatary tegoż Kryszny. W świątyniach Kryszny lud cały, mężczyźni i niewiasty, oddają cześć boską Maharadzom, ścielą się u ich stóp, ofiarowują im kadzidło, owoce i kwiaty, otaczają ich jarzącym światłem, zupełnie tak samo, jak to czynią Maharadzowie przed balwanem Kryszny. W niektórych okolicach jeden z obrzędów kryszniackich polega na tem, iż czciciele kołyszają balwana w urządzonych na ten cel kołyskach; otóż tym samym obrzędem, niewiasty zwłaszcza, okazują swe nabożeństwo ku Maharadzom. Co więcej, *Pan-supari* wyrzucone z ust Maharadzów, szczątki ich pokarmów, proch, na którym spoczęły ich stopy, chciwie połykają ich czciciele; wodę zaś, w której obmywali nogi, zwaną „nektar stóp“, gorączkowo rozchwytną wierni i gaszą nią swe duchowe pragnienie. Niedostatek na tem. Portrety Maharadzów, stołki (gadi), na których zwykle siadają, a nawet drewniane ich treпки, są przedmiotem czci. I gdyby tylko na tem był koniec! Ci biedni poganie sądzą, że najwyższa cześć, jaką okazać mogą Krysznie, polega na tem, żeby zadawalniali pragnienia zmysłowe jego przedstawicieli na ziemi. Ciało swe, duszę i wszelką własność oddają wierni do zupełnego rozporządzenia Maharadzom, a niewiasty hinduskie, należące do tej sekty, uważają za największą łaskę i błogosławieństwo, jeżeli są powołane do zaspokojenia niecznych namiętności Maharadzów. Słynny proces, który się rozegrał przed najwyższym trybunałem w Bombaju w r. 1862, odkrył wiele bezeczeństw obrzędowych tej sekty“.

Ot, do czego doszedł w praktyce dogmat hinduski Awatary, a nadto sprowadził w umysłach i spotęgował bałwochwal-

¹ *Brahmanism and Hinduism*, p. 137. Historia sekty i obszerne sprawozdanie z procesu zamieszczone są w dziele: *History of the sect of Maharajas or Vallabhacharyas in Western India*. 1865.

stwo. Podług dawnych pojęć, każdy bałwan bożka był wizerunkiem bóstwa, jego symbolem, co najwięcej, jego emanacją; pod wpływem zaś pojęć o Awatarze, tenże bałwan staje się Awatarą bożka, samymże bożkiem.

Zapożyczenie pojęcia Awatary od chrześcijan nie ulega żadnej wątpliwości.

A najprzód, Hindowie mieli sposobność poznać chrześcijan w pierwszych wiekach naszej ery i rzeczywiście ich poznali.

Według podania, niektórzy z Apostołów mieli głosić Ewangelię w Indyach. Jakkolwiek nie jest rzeczą pewną, żeby sam św. Tomasz Apostoł tam przebywał, był tam jednakże jakiś Tomasz, który nawrócił niektóre ludy na Wybrzeżach Rybackich; pamiątki i podania, jakie się tam podziśdzeń zachowały, nie pozwalają o tem wątpić. Czy uczeni Hindowie znali tych chrześcijan i ich naukę — nie wiadomo, lecz w każdym razie znali chrześcijan, jak do tego w swych pismach się przyznają. Czytamy mianowicie w Maha-bharacie¹, że Narada, a przed nim jeszcze inni mędrcy, zwiedzili krainę, zwaną *Śweta-dwipa*, „biała wyspa“, i znaleźli tam ludzi doskonałych, wyznających jednego Boga. Otóż ponieważ ta część Maha-bharaty jest wtrąceniem, które należy odnieść do V. lub VI. w. naszej ery, ponieważ w tym czasie wzniosłe jednobożne pojęcia były znane i wyznawane przez chrześcijan, ztąd wszyscy niemal indologowie podanie o Śweta-dwipa do chrześcijan stosują.

Powtórę, Hindowie chętnie przejmowali od ludów obcych nabytki w dziedzinie wiedzy, sztuki, a szczególnie w dziedzinie pojęć religijnych.

Rzeczą jest niezawodną, że astronomowie hinduscy zawdzięczają swą naukę Chaldejczykom; co się tyczy sztuki, Ferguson wykazał, że sztuka grecka wielki wywarła wpływ na rozwój sztuki hinduskiej; wreszcie cały dzisiejszy hinduizm, jak to zobaczymy, jest zlepkiem wszystkich religij, jakie wyznawali pramieszkańcy Indyj. Jeżeli tedy Hindowie, stojący na wysokim stopniu cywilizacji, nie sromali się zapożyczyć pojęć i praktyk

¹ XII, 12.703.

religijnych od zdziczałych ludów Indyj, tem bardziej i chętniej mogli przejąć wzniosłe pojęcia religijne od chrześcijan, i rzeczywiście je przyjęli.

Jeżeli sobie przypomnimy, że Bhagawad-Dżita pod względem wysokiego nastroju religijnego, wzniosłych i jednobożnych pojęć Boga, identyczności często samych wyrażen, jest jakby ułamkiem jakim naszego Pisma św.; jeżeli zwrócimy uwagę, że pierwotne pojęcie Awatary i Kryszny odpowiada pojęciom chrześcijańskim „Wcielenia“ i w Bhagawad-Dżita najwybitniej występuje; wreszcie jeżeli uwzględnimy, że zdarzenia, wyjęte z rzeckiego żywota Kryszny, są niemal identyczne ze szczegółami żywota Pana naszego Jezusa Chrystusa, a to wszystko pojawiło się po raz pierwszy w erze chrześcijańskiej: wówczas wszelka wątpliwość co do genezy Awatary niknie — pojęcie Awatary zapożyczone było od chrześcijan. Tacy indologowie, jak Weber¹, Wilson² i inni piszą się całkiem za tem mniemaniem, a chociaż Lassen przeciwnego zdaje się być zdania, mówi jednakże: „Niektórzy Brahmani poznali chrześcijaństwo w jakimś kraju, leżącym w północno-zachodnim kierunku od ich ojczyzny, i niektóre nauki chrześcijańskie do Indyj przynieśli“³.

Wraz z Awatarą powstał w Indyach inny jeszcze dogmat, mianowicie *Bhakti*, o którym, choć zwięźle, pomówić musimy.

Teologowie hinduscy nie dają jasnego i ścisłego pojęcia *Bhakti*; używają go w znaczeniu „wiary, miłości Boga, łaski boskiej“.

W Bhagawad-Dżita napotyka się często wyrażenie, że „*Bhakti* do zbawienia jest konieczne“. Pierwszy to raz w Indyach sformułowane zostało takie orzeczenie; nauczano tam zawsze, że warunkiem niezbędnym do zbawienia jest znajomość Wed, ofiary rytualne, dobre uczynki, życie umartwione. Nasze wieki średnie były właśnie czasem, w którym teologowie hinduscy nader ożywione prowadzili rozprawy w tym przedmiocie:

¹ *Ind. Stud.*, t. I., p. 400; t. II., p. 168.

² *Select Works*, t. I., p. 161.

³ *Ind. Alterth.*, t. II., str. 1099.

zwalczali oni dawne pojęcia, lecz i w pojęciu Bhakti nie byli zgodni między sobą. Sposób działania łaski wywołał pierwsze rozdwojenie. Hindowie, według swego zwyczaju, uzmysławiali swoje zapatrywania porównaniem. I tak, kotka chwyta zwykle swe kociątko za kark i przenosi je w bezpieczne miejsce, małpiątko zaś obejmuje szyję swej matki, która uprowadza je tym sposobem z miejsca zagrożonego. Otóż spostrzeżenia te zastosowali Hindowie do swych poglądów teologicznych: jedni utrzymywali, że łaska działa na sposób kotki, inni obstawali za argumentem małpim. Z biegiem czasu poglądy o Bhakti bardzo się różniczkowały. Przesada, nieodłączna od wszelkich zapatrywań Hindów, rozbiła ich niebawem na liczne szkoły i sekty, subtylizowane coraz bardziej pojęcie Bhakti doszło wreszcie do tego, że straciło samą swą treść i istotę. W Bhagawad-Dżita pojęcie Bhakti zbliżone jest do pojęć chrześcijańskich; w *Bhakti-sutra*, księdze napisanej przez Sanditya w XII. w., znajduje się już wiele bałamutnych poglądów; a wreszcie w Puranach i Tantrach pojęcie Bhakti jest całkiem spaczzone. Bhagawad-Dżita utrzymuje, że grzesznik w chwili zgonu swego może się jeszcze nawrócić i zbawionym być może, byleby tylko zwrócił się myślą ku Bogu i wzywał jego pomocy. Purany mniej wymagają: grzesznik, który w chwili skonania wymówił przypadkiem imię Boga, już tem samem jest zbawionym. Ale nawet i tego nie potrzeba. *Narada-Panczaratra* przywodzi przykład, w którym jakiś Brahman nie bardzo wierzący, zjadłszy wraz z swą małżonką pokarm, o którym nie wiedział, że był ofiarowany Krysznie, został pożarty przez tygrysa; otóż wszystko troje: Brahman, jego małżonka i tygrys, poszli prosto do *goloka*, najwyższego nieba Kryszny¹.

Bhakti tedy uległy temu samemu losowi, co Awatara i Trymurti, początek i koniec ich jednaki: zapożyczone z chrześcijaństwa, zbliżały się pierwotnie do pojęć chrześcijańskich, z czasem atoli, wydane na samowolę niezawisłych myślicieli, przeobraziły się i unicestwiły.

¹ *Narada-Panczaratra*, II, 69—77.

Charakterystycznym znamieniem Aryów hinduskich jest ich głęboka religijność; znamię to uwydatnia się w najdalszej dobie ich istnienia, w samym zaraniu związków społecznych, i ciągnie się wiekami bez przerwy aż do dni naszych.

Pierwsze plody pracy umysłowej Hindów, olbrzymie piśmiennictwo czasów późniejszych, religią jedynie się zajmowały, lecz i inne działy piśmiennictwa hinduskiego tenże sam przedmiot miały na celu. Wedy, Brahmany i Upaniszady, Prawa Manu, Purany i Tantry są dziełami treści czysto religijnej. Filozofia hinduska trudziła się rozwiązywaniem zagadnień, odnoszących się do Najwyższej Istoty i człowieka; filologia ułatwiała zrozumienie najdawniejszych „ksiąg świętych“; astronomia obliczała i ustanawiała czas stosowny do obchodów religijnych; sama poezya epiczna sławiła i podnosiła wszechmocność i opatrność boską. Co się dotyczy sztuki, to już wiemy, że ona całkowicie oddała się na posługę religii: wiekopomne ruiny budowli hinduskich, ich wspaniałe zabytki architektoniczne, są dziełem ofiarności i gorliwości religijnej dawnych Hindów.

Lecz i dzisiejsi Hindowie nie uronili nic z tego nastroju religijnego. Z małym wyjątkiem tych, którzy w szkołach angielskich pozbyli się swych przesądów, którzy utracili swą dawną wiarę, a żadnej nie nabyli, Hindowie dzisiejsi odznaczają się również głęboką religijnością. Jakiegokolwiek zajmuje Hindus stanowisko w społeczeństwie, jakiegokolwiek posiada stopień wykształcenia, do jakiegokolwiek należy rasy, kasty i sekty — wierzy niewzruszenie, iż ma duszę nieśmiertelną, którą po śmierci oczekuje nagroda lub kara¹. Doskonale znawca stosunków hinduskich, Sir Monier, pisze²: „Religia jest alfą i omegą całego życia Hindusa, rodzi się on i umiera religijnym. Jest on religijnym w jedzeniu i w picciu, w spaniu i czuwaniu, w ubieraniu i nieubieraniu, w pracy i rozrywce. Co więcej, religijne obrzędy po-

¹ „The professed design of all the schools of the Sankhya, theistical, atheistical, and mythological, as of other Indian systems of philosophy, is to teach the means by which eternal beatitude may be attained after death, if not before it“. Colebrooke, *Essays*, p. 149.

² *Brahm. and Hind.*, p. 100.

przedzają jego przyjście na świat, nie odstępują go przy śmierci, a i poza grobem towarzyszą jego duszy. Hindusa mało obchodzi ten świat, obojętnym jest względem nauki i polityki, ale niech tylko posłyszysz, iż zjawił się człowiek opowiadający o rzeczach tamtego świata, odzywa się w nim nowe życie, gotów jest do wszelkich wysiłków i ofiar“.

Religijność Hindów odznacza się wielkim konserwatyzmem i niezwykle żywotnością zarazem. Niema żadnego ludu na kuli ziemskiej, któryby w dziejowym pochodzie nie był zmienił swych przekonań religijnych; wyjątek pod tym względem stanowią Hindowie¹.

Zapewne, religia dzisiejsza Hindów nie jest ta sama, jaką wyznawali pierwotnie, nie jest nawet jedną religią, lecz zbiorem licznych sekt, jednakże wszystkie niemal te sekty powołują się na „księgi święte“, pisane przed czterdziestu wiekami. Księgi te zawierają *Śrutys*, prawdy „objawione“ od Boga, a więc nieomyłne; one są podstawą zasadniczą przekonań religijnych Hindów i tłem, na którym skreślili swe systemata filozoficzno-teologiczne. Przybyło wprawdzie wiele nowych pojęć religijnych, dawne pojęcia przeobraziły się, treść rdzenna jednak pozostała ta sama.

Zauważano już dawniej, że religia Hindów ma niejaki podobieństwo do ich „świętej“ rzeki. Źródła Gangesu rodzą się wskutek oddziaływania świetlnych i ciepłych promieni słonecznych na niebotyczne szczyty Himalajów. Orzeźwiający wody dążą ku Wschodowi, lecz po drodze wcielają w siebie drobne strumyki i większe dopływy rzek, które unoszą w swych nurtach namul i naleciałości, jakich nabrały spływając po dolinach. Przeźroczysty dotąd jak łza Ganges, odtąd staje się mętnym, a im dalej bieży, tem więcej wody jego przesycają się rozłożonymi odpadkami zwrotnikowej żywotności. Jakiś czas płynie jednym, pełnym korytem, przy ujściu osadza nadmiar mulisty.

¹ Co się tyczy żydów, przyczyny należy szukać w innym, nadnaturalnym porządku.

tworzy deltę, ognisko wszelkich chorób i zaraz, wyżłabia w niej tysiące łożysk i ginie w wielkim oceanie.

Tak się rzecz ma i z religią Hindów. Źródło religijnych pojęć Aryów hinduskich bierze początek w pierwotnem Objawieniu. W dalszym dziejowym pochodzie pojęcia te obrabiane są przez myślicieli hinduskich, którzy je naginają do swych zaopatrywań, zgodnych z współczesnym stanem umysłowym. Wreszcie, zetknięcie z tuziemcami półwyspu wytwarza wraz ze społecznem zespoleniem, wymianę pojęć religijnych. Teologowie hinduscy przejmują pojęcia religijne od ludów podbitych, nawiązują je z Wedami, urabiają niezliczony szereg całokształtów religijnych, które odtąd stają się dogmatem wspólnym tak dla zwycięskich Aryów, jak i dla Turyów zwyciężonych. Nie jest to już jedna religia, lecz tysiące; różnią się wybitnie jedne od drugich, jednakże miały wspólny początek, wieki całe krzyżowały się między sobą; a dzisiaj pomimo rozdziału dążą wszystkie do jednego celu, wskazują człowiekowi środki, zapomocą których może dojść do swego przeznaczenia, zlać się ostatecznie z Brahmanem, rozplnąć się w jego nieskończoności.

Trzy tedy wybitne fazy spostrzegać się dają w rozwoju religijnym Hindów, mianowicie zaś: stan ich pierwotnych pojęć religijnych, dalej rozwój, a raczej rozstrój tych pojęć pod wpływem niezawisłych myślicieli hinduskich, wreszcie ostateczne ich spaczenie, spowodowane wprowadzeniem obcych czynników rozkładowych. Tym trzem fazom stanu religijnego Hindów dajemy odpowiednie nazwy: Prawedyzmu, Wedyzmu i Hinduizmu; każdy z nich można śledzić w bogatych dokumentach, jakie nam pozostawili przodkowie dzisiejszych Hindów, i o każdym z nich kolejno mówić zamierzamy.

Ks. W. Zaborski.

LISTY Z PODRÓŻY PO AZYI.

(Ciąg dalszy).

Na pokładzie Hekuby, 4 stycznia.

Wszystkie smutne przepowiednie nie sprawdziły się, Bogu dzięki! Przeprawa nasza odbyła się w sposób nader spokojny, choć nasza Hekuba hojdała się dość silnie. Jesteśmy prawie u celu. O 4-tej popołudniu mamy stanąć przed t. zw. *la barre*, czyli ujściem rzeki Menam, którą następnie w górę mamy płynąć do stolicy państwa. Nasi książęta syamscy obiadują zawsze z nami w towarzystwie tłumacza i sekretarza. Starszy z książąt, lat około 19—20 (wczoraj mu się przedstawialiśmy), wygląda wprawdzie na małpę, ale jest zupełnie cywilizowany. Noszą oni wszyscy rodzaj kostiumu narodowo-dworskiego: zwykle białą kurtkę, z niskim stojącym kołnierzykiem, pętlce białe, jak na węgierskich attilach, złote guziczki, długie pończochy białe i trzewiczki czarne, wycięte. Miejsce *inexprimablów* zajmuje rodzaj jedwabnej lub bawełnianej chusty (tak każe zwyczaj w całym kraju), przepasują się nią wkoło bioder dość zgrabnie, tak, że wygląda na króciuchne, po kolana, pluderki. Zdziwiło mnie bardzo, że panowie ci używają grabków, noża i łyżki zupełnie według angielskich zwyczajów, i to tak, iż niejednego szlagona, niejednego magnata austriackiego mogliby zawstydić. Co prawda, sekretarz, człowiek w poważnym już wieku, rosły, z szeroką twarzą

a silnie rozplaszczonym nosem, ma jeszcze pewne trudności do przezwyciężenia, zwłaszcza z widelcem. Za to tłumacz książąt, jako bywały człowiek (był wojskowym *attaché* w Japonii), rusza się zupełnie swobodnie, maniere ma europejskie, mówi po angielsku; książęta tylko po syamsku. Typy ich wogóle brzydkie; a zeszpecone są jeszcze te biedne twarze szkaradnym zwyczajem. Już w Indyach ogólnym, żucia liści t. zw. *Bettelpalm*. Są to listki zielone, podługowate, nieco formą liść bzu przypominające, których stosy w każdym mieście i każdej ulicy, w każdym domu i sklepiku się widuje. Listek taki zwija się w trąbkę, zaprawia najrozmaitszemi jeszcze ingrediencyami, i kładzie do ust. Każdy zamożny człowiek ma przy sobie na łańcuszku — a w Syamie nosi za nim służba — srebrną puszkę mniej lub więcej bogato wyrabianą, kształtem do futerału na zegarek podobną, pełną tych drogocennych liści. Skutki tego żucia dwojakie: najprzód muszą ciągle pluć, i to ślinę koloru krwisto-czerwonego, powtórę, zęby robią się koloru tabaki. Coś okropnego widzieć młode, czasem nawet przystojne twarze zeszpecone w ten sposób. Bogaci, nawet przy pluciu, różnią się od biednych, bo za każdym bogatszym niesie osobny sługa — złotą lub srebrną spluwaczkę.

Ale jeszcze będę miał czas obserwować zbliżając się te piękne zwyczaje; teraz dla pamięci notuję, że gdy mnie nazwano z tytułu i nazwiska przy prezentacji Jego królewsko-książęcej Mości (pokazało się bowiem, że nasz książę jest jednym z licznych synów króla Syamu), książę z miną arcypoważną i okolicznościową zapytał: w jakim stopniu pokrewieństwa stoję do cesarza Austrii? Uspokojono go, że tak bardzo bliskie pokrewieństwo nas nie łączy, nie zdefiniowano jednak bliżej mego do panującego stosunku. Ztąd szczególne dla mnie względy.

Bang-kok, 5 stycznia.

Bang-kok! — Ale zaraz z początku lekkie rozczarowania. Wczoraj o 4-tej, jak zapowiedziano, zajechała nasza Hekuba przed ujście rzeki Menam. Portu żadnego, tylko zdala na krańcu widnokregu widać płaski niezmiernie brzeg; miejscami w morzu

sterczą płociki z sitowia, ostrzegające płynących o nader płytkiej wodzie. Jedyny to znak, że tędy nie pierwsi będziemy przejeżdżać i że tu istnieje przecież ktoś, co o umožebnieniu żeglugi myśli. Dalej pojawia się rodzaj żelaznej wieży, wpuszczonej w morze. Zadaniem jej sygnalizować wpływającym statkom, jaka głębokość wody. W wieży tej siedzi od lat 13 (*risum teneatis amici*) *Deutsch-Böhm* jakiś, który się utrzymuje ze sprzedawania przepływającym statkom tabelki stanu wody. W chwili, gdyśmy całą siłą pary rzucili się naprzód, by korzystać z resztek przyływu, miała woda ledwo 12 stóp i 6 cali głębokości, więc ledwie 6 cali ponad niezbędną potrzebę. Dziwne to bardzo wybrzeże. Tu, przy ujściu Menamu (Nilu syamskiego), płasko i równo jak na stole. Wybrzeże zdaje się wystawać nad poziom morski tylko o wysokość rosnących na niem drzew i krzewów. Wegetacya niezmiernie bujna, sięga aż po samo zwierciadło wody.

Wpłynięcie w ujście Menamu, to istna sztuka. Formalną fortecą naturalną zamknięty jest Syam od reszty świata; od lądu, bronią go od białych bagna i febra, od morza mielizny, piasek i błoto, nieprzebyte dla statków nieosobno w tym celu budowanych. Jest tylko jeden wąski przesmyk, któredy w czasie przyływu przeslizgnąć się można. Ze wszystkich europejskich towarzystw żeglugi, pokazuje się, że jedyny *Norddeutscher Lloyd* zdobył się na koncept zbudowania odpowiedniego, z wszelkim możliwym komfortem urządzonego parowca *Schwalbe*, który zajeżdża aż do Bang-kok, i ma cyrkulować między nim a Singaporem. Woda naturalnie brudna, żółta, płynie zwolna i leniwo, szerokość mniej więcej Renu pod Kolonią, albo Dunaju pod Preszburgiem; brzegi niskie, gęsto zasiane domostwami, na wodzie po największej części pływającymi, według panującego tu ogólnie zwyczaju. Po obu stronach widoczne kanały, kanaliki, laguny, pola ryżem zasiane; palm kokosowych niewiele; zresztą jakiś widocznie wodny krzew, który w nader gęstych bukietach wpycha się aż w rzekę. Setki małych i większych łódeczek, trochę gondole przypominających; na nich Chińczycy lub Syamczycy, stojąc wiosłują, zupełnie jak gondolierzy; wszystko to

spiesz ku morzu łowić ryby, boć to jedno z głównych zajęć tych ludzi.

Coraz bardziej się zciemnia, tysiące światel na rzece i tuż nad brzegami. Menam, to główny gościniec Syamu. Na Hekubie dzwonią na obiad; godzina 6-ta, słońce poczyną zachodzić, widok coraz wspanialszy, oryginalniejszy, stada mew i dzikich gołębi nad głowami nam przeciągają — a my musimy iść na dół do smrodliwej naszej jadalni: bo każą jeść. W tej chwili oświadcza nam kapitan, że za 20 minut zarzuci kotwicę, jutro rano więc dopiero będziemy mogli wylądować. Miny kwaśne, obiad nam nie smakuje — nic dziwnego, bo zły. Wkońcu kapitan się lituje, i nie chcąc nas wystawiać na istną męczarnię nocowania na pokładzie, wśród zaduchu, wilgoci i milionów moskitów, rusza walecznie naprzód, mimo ciemności. Tak dojeżdżamy nareszcie do miejsca, gdzie rzeka się jeszcze raz zagina, rozszerza, wlewa w kanał łączący ją z drugim ramieniem, i ma wreszcie szczęście odzwierciedlać stolicę królów Syamu. Statek staje, kilka łodzi się zbliża, między niemi dwa czółna parowe. Jedno z nich przywozi dwie baryły w ludzkiej postaci; pierwsza, to *l'introducteur des ambassadeurs*, wysłannik Jego król. Wysokości księcia Devavongse - Varopracar, ministra spraw zewnętrznych, a rodzonnego brata J. król. Mości; druga baryła, to zastępca konsula *ad honores* austriackiego, pana Schleimhals, bawiącego na urlopie, kupiec północno-niemiecki, Demissius (*recte* Musius) czy coś podobnego, zupełnie przypominający *lohndiener'a* z *Ungarische Krone* w Wiedniu. Obaj zasapani i spoceni, bo od dwóch dni zapanowało w Bang-kok niezwykle w styczniu ciepło, przyszli witać i przyjmować naszego posła. Pan konsul *ad honores*, oświadcza nam, że król poczekał na przybycie ministra dzień jeden, że więc audyencya już jutro popołudniu ma mieć miejsce. Konsternacya! Król odjeżdża w niedzielę rano. Książę Devavongse, brat i prawa ręka królewska, pragnie widzieć ministra jeszcze dziś wieczorem. Przerażenie! Na gwałt porywamy rzechy, pakujemy się do malej barkasy parowej, i w towarzystwie dwóch wyż wymienionych dygnitarzy, gorzej prawie od nich się

pocąc, jedziemy do brzegu. Tutaj czekała nas najgorsza niespodzianka.

Rzekomo niemożliwym było na czas przygotować apartamentów w t. zw. *Hôtel des Ambassadeurs*, pałacu ambasadorów, więc mieszkamy w zwykłym hotelu. Jak na Bang-kok, hotel wspinały, nowiutki; dwaj Niemcy go wystawili. Urządzenie klimatowi odpowiednie, przewiewne — ale meble! Salon przeznaczony dla ministra, cały obity papierkiem fabrykatu berlińskiego, podobneż lampy; stoły i krzesła — *horrendum*! Minister więc w nieco złym humorze, i postanowiwszy opuścić ze swej mowy ustęp, w którym za gościnność chciał królowi dziękować, jedzie do księcia Devavongse. Przyjęcie europejskie, herbata, papierosy. Dowiadujemy się, że król rzeczywiście wraz z całą rodziną wyjeżdża, ma zostać tylko nasz przyjaciel z okrętu i księżę Devavongse. To bardzo smutne. Idziemy spać; kilkanaście koników polnych i po jednej jaszczurce stoi na straży naszych łóżek, innych bestyj jednak Bogu dzięki niema. Nazajutrz rano wysłał minister pismo z Ballplatzu, odwołujące jego poprzednika, hr. Zaluskiego, po łacinie pisane, a zaczynające się od słów: *Nos Franciscus Josephus, etc. Suae Majestati Tschulalonkorn primo, Regi Siamensi... salutem!*

Bang-kok, 7 stycznia.

Już po audyencyi. O 4-tej, po nieco nerwowej scenie z powodu wysyłania naszych kart wizytowych do księcia Devavongse, przy temperaturze faktycznie niemożliwej: ja we fraku, tamci panowie w mundurach, Biegeleben zasiany orderami, w towarzystwie naszego grubego *introduceur des ambassadeur*, który sobie jeszcze drugiego mniej więcej tej samej objętości przyjaciela przywiózł, dalej w towarzystwie naszego reprezentanta konsula, ruszyliśmy ku pałacowi. Po długiej dyskusyi, jak mamy siadać, ruszamy: w królewskim galowym ekwipażu ministra, on sam siada z tyłu, z przodu dwóch dygnitarzy syamskich, my trzej w drugim powozie. Ów królewski ekwipaż, ciekawy; odrysowuję go dla pamięci, jak mogę najwierniej: szkapy jakieś przedpotopowe, uprząż

bardzo błyszcząca: furman i dwaj lokaje z tyłu powozu stojący, w czerwonych frakach, owe spódniczki miasto spodeńków, niebieskie, nogi bose; na głowach, niegdyś białe helmy angielskie z ogromnemi na przodzie gwiazdami złotemi — wszystko brudnawe, źle zrobione... ale imituje Anglię; całość poprostu śmieszna. Jedziemy przez miasto jedyną ulicą lądową. Pył, kurz i smród przechodzą wyobrażenie. Do niedawna nie istniały w Bang-kok wogóle ulice: Menam służył za jedyną główną arteryę; całe miasto zabudowane wzdłuż jego koryta, większa część domów na bambusowych tratwach pływa na rzece; powozy zastępowano milionami czółen i czółenek, od małej pirogi, w której ledwo jedna osoba ma miejsce, a wiosło to wielka łyżka, aż do ogromnych czółen popychanych żerdziami i wiosłami, a stanowiących nieraz sklep i mieszkanie właścicieli. Dopiero obecnie panujący król, człowiek istotnie postępowy, poprzeczynał miasto ulicami, zaprowadził nawet tramwaj. Ulica Bang-koku nie jest jednak owym, tak wiernym zwykłe na Wschodzie, obrazem usposobienia, charakteru i sposobu życia ludności: zanadto tu Chińczyków. Syamczycy się kręcą, zwłaszcza kobiety. Choć to najlenniejszy z pomiędzy narodów, jednak życie nie na ulicy, ale na werandach swych domostw, krytych rogózką, spędzają. Domki, a raczej budy, wyłącznie z bambusu, dachy ledwie się kupy trzymające, liściem palmowym posyte; domy o piętrze są niesłychaną rzadkością; domów z cegieł widziałem, prócz biur rządowych i królewskiego pałacu, kilka; z kamienia jest jedyny konsulat portugalski. Co sto kroków mniej więcej stoi policyant; poznać go byłoby trudno, tak obdarty i brudny; na sposób angielski zbrojny tylko w krótką pałeczkę, nosi mundur nibyto jakiś czerwono-bramowany, koloru kiedyś niebieskiego, naturalnie bosi. Policya widocznie na uczczenie przejazdu nadzwyczajnego posła Jego Cesarskiej Mości Apostolskiego Króla wystąpiła dziś *in corpore*!

Tak przejeżdżamy ogromny kawał miasta, co chwila nad wąskimi kanałami, na których zawsze roją się najrozmaitsze czółna, ku, lub od Menamu płynące. Nareszcie mijamy jakąś nieco starzej wyglądającą bramę, zupełnie bez stylu, i otoczenie nagle zmienia się. Na prawo widoczny długi budynek jednopiętrowy, w stylu

wątpliwym, widocznie nowy: to koszary wystawione temu lat kilkanaście przez budowniczego pana Müllera czy Schmidta, Austriaka. Na lewo ogromny mur, u góry krenelowany, jak dawne mury forteczne, biały, nieskończenie długi, a zpoza niego — i tu okrzyk podziwu mimowolnie się wyrwa — sterczą trzypiętrowe łamane dachy, lśniąca dachówką kryte; to pawilony pałacu królewskiego, a nad nimi górują „praczedye“: są to stożkowate, niezmiernie zgrabne, cieniutką strzałką kończące się dachy relikwiarzy (dagob) buddyjskich. Widok to jedyny: Azya w pełnem tego słowa znaczeniu! Styl syamski już nieco zbliżony do chińsko-japońskiego. Jeszcze chwilę wzdłuż owego muru jedziemy, potem skręcamy w jakąś jakby uliczkę, utworzoną przez załamanie muru, zakończoną wyniosłą, na biało tynkowaną bramą, u której szczytu bieleje misternie w kamieniu wyrobiony pełny herb państwa: w środku trzy łby słoniowe. Tu zatrzymują się pojazdy — wysiadamy. Przez tę bramę tylko sam Syn aniołów przejeżdżać może! Przed i za bramą z dwu stron ustawiona piechota; tuż koło bramy jak i u wejścia do pałacu halabardnicy, wszyscy w hełmetach angielskich, niedbale ubrani, boso, zbrojni w karabiny Snyders'a; salutują w najdziwaczniejszy sposób: wyciągają rękę prawą lub lewą (według tego, w której trzymają broń), poczem dopiero trzy palce, jak do przysięgi, przykładają do nakrycia głowy.

Wchodzimy na dziedziniec. Rozstap się ziemio! Tu rzeczywiście widok niewidziany dotąd, coś co cię przenosi istotnie w niedzisiejsze czasy, coś, o czem się czytało opisy, czego liche podobizny się widuje na scenie, w okazałych i wystawnych przedstawieniach oper lub baletów. Dziedziniec ogromny, mniej więcej jak Burgplatz wiedeński, cały marmurem brukowany, ubrany w środku i po bokach w klomby kwiatów, wodotrysków, drzew; zamknięty z przeciwległej wejściu strony ogromną masą głównego pałacu, a po obu stronach świątyniami i pawilonami. Tu najpierw na prawo od wejścia i wzdłuż całego pałacu ustawiona znowu piechota; prezentują broń, słychać donośne komendy oficerów, muzyka intonuje hymn narodowy austriacki!

Tak idziemy ku pałacowi. Tu, na jakiejś kolosalnej we-

randzie, oczekuje nas wielki szambelan, brat króla Jegomości. w pięknym srebrnolitym białym stroju; krój zawsze ten sam: kurtka szamerowana, spodnie ciemno-błękitne jedwabne, pończochy i trzewiczki. Okryty jest orderami i kamieniami, na szyi order domu panującego na wspaniałym łańcuchu. Przedstawiamy się; proszą nas do wnętrza. Ogromna sień, niestety już z europejska urządzona, ale piękna w proporcjach; posadzka i ściany ciemno-zielonkawo-szarym marmurem wykładane. Na ścianach trofea z broni rozmaitej, między innemi i europejskiej; na prawo i lewo od wejścia schody do dalszych prowadzą apartamentów; u stóp schodów, po dwóch chłopaczków bogato strojnych, w pąsowych turbanikach ze złotym szlakiem, zdobnych w pawie pióra; salutują przed każdym dygnitarzem z ogromną dokładnością i minkami seryo, uważając widocznie swój urząd za nader ważny. Prowadzą nas do stołu, wkoło niego krzesła, szkoda że europejskie, zupełnie jak nowomodne w salach jadalnych używane, kryte skórą ciemno-brązową, na oparciu słonie królewskie wyciskane. Proszą siedzieć; ofiarują cygara, z puszki niestety według najgorszych europejskich modeli zrobionej, lecz całej srebrnej, bogato rzeźbionej. Dalej przynoszą herbatę; ale co za herbata! jasna, jak najjaśniejsza śliwowica, zapach idealny, o smaku nawet nie mówię. Przynoszą coś naksztalt almanachu angielskiego, z datami urodzin i wierszykami, i każą się każdemu zapisać pod datą jego urodzin. Dalej przynoszą drugą, ale już ogromną księgę — znowu się podpisuj. Odnajduję Bardich, nie mam czasu szukać Załuskiego, więc tylko wypisuję swoje nazwisko *mit Vor- und Zuname*. Rozmowa naturalnie koszława z księciem Ochmistrem, który widocznie ma silne pustki w głowce. ale czuje swą godność, i witając się z ludźmi, dziwnie jakoś się krzywi; nudzi go to zapewne; po angielsku nie mówi. Emocye coraz większe, bo kołnierze naszych krochmalonych koszul zaczynają topnieć wraz z nami. Nareszcie zjawia się jakiś młody Syameczyk, doskonale po angielsku mówiący, wychowany w Anglii; wie o tem, że ma europejską minę, nie żuje bettelu, ale pali cygaro, mówi z swym księciem jak równy z równym, był w Europie; przysłano go tu na pomoc do konwersacyi. Po

dobrej chwili robi się rumor: przychodzi jakaś malutka, okrągłutka, acz widocznie bardzo młoda figurka; ma pełną, krągłą twarz, małe, sprytne oczka, włoski czarne w górę zaczesane, bardzo strojny, znowu w takiej biało-srebrnej kurteczce; mnóstwo orderów, manieri europejskie; nie nosi się zbyt wysoko. To książę Devavongse, minister spraw zewnętrznych; mówi po angielsku, choć mu czasem słów braknie. Znowu zasiadamy, i znowu rozmowa.

Jeszcze wchodząc, widziałem napół klęczących, napół w kuczki siedzących 60 do 70 ludzi w salonie, po lewej stronie od wejścia. To gwardya przyboczna, której dla odpocznienia z jednej strony, z drugiej dla okazania uszanowania zgromadzającym się w tej sali wielkościom państwa, kazano w kuczki siadać. Gwardya strojna w ciemno-niebieskie, dość zawsze brudne, ale przynajmniej jednakowe mundury, wyszywane złotem, z ogromnemi huzarskiemi pętlcami. Teraz, podczas naszej rozmowy, zgromadziło się stadko dygnitarzy; król mógłby zaśpiewać: *Heil Ihr Edlen von Brabant* — tylko ci panowie nie wyglądają *edel*, mimo że każdy prawie ma na szyi order, mimo że każdy strojny w ową kurtkę, i to z litej materji na tle czerwonym, niebieskiem lub fioletowem (materje te przychodzą z Lyonu). Wszyscy starzy, więc dawne mody zachowujący, ogolone zupełnie facyaty, ogromne usta od ucha do ucha, wargi mocno czerwone od *bettelu*, zęby i wnętrze ust jak tabaka w rogu! Dziwnie brzydzą ci ludzie, tem śmieszniej i brzydziej wyglądają, że wczesnie zęby tracą; a krótko strzyżone włosy i golone twarze dają im jakiś pozór starorzymskich senatorów — ale w karykaturze!

Gdy tak się wielcy i możni zebrali, a 5-ta uderzyła nareszcie, dają znać, że król czeka. Wśród szpaleru, utworzonego przez gwardyę z jednej, a owych senatorów z drugiej strony, idziemy istnie pogrzebowym krokiem ku sali audyencyonalnej, gdzie wprost drzwi, otoczony kilku dostojnikami najwyższej kategorii, prawą ręką bok podparłszy, stoi król. Trzy ukłony, dworskim ceremoniałem przepisane, sumiennie wykonywamy. Cały orszak poprzedza książę Devavongse, który, podobnie jak

wszyscy Syamczycy, wchodząc, prawie do ziemi się kłania, składając przy tem ręce jak do pacierza i dotykając niemi czoła na znak uszanowania. — Wchodzimy. Cisza grobowa. Nareszcie zaczyna Biegeleben swoją przemowę do króla. Ten słucha arcy-ciekawie, uważnie, uśmiecha się od czasu do czasu, trochę jakby kpil; wszystko rozumie; angielski język zna doskonale — ale etykieta, zwyczaj i jego osobista wola, zabraniają mu mówić tym językiem.

Teraz sposobna pora przypatrzeć się królowi. Wzrostem przechodzi swych ministrów i poddanych, przystojny, śniady na twarzy, z kruczym włosem, lat 35 zaledwie; ładny, czarny wąsik, z fantazją podkreślony, ręka i nóżka mała, spojrzenie pięknych oczu nader sprytne, wesołe a śmiałe. Ruchy ma bardzo swobodne, spokojne, bynajmniej nie orientalne. Strój śliczny: znowu taka kurtka, ale dobrze do stanu zrobiona z ciemno-fioletowego jedwabiu, tegoż koloru pluderki po kolana, tegoż samego pończochy jedwabne, buciki zgrabnie wycięte czarne; wpół przepasany złocistym paskiem z klamrą dyamentami sadzoną; przez ramię szarfa wielkiego krzyża orderu św. Szczepana; na piersiach mnóstwo wielkich gwiazd, u góry gwiazda Szczepana, obok niej jakaś inna z rubinów jak orzechy laskowe, i szafirów nie mniejszych, w środku dyament jak krajcar: to order, którego tylko dwa egzemplarze istnieją, nazywa się order „Kamieni“; kamienie niewidzianie pięknie. U boku szabla perska, cienka bardzo, krzywa, jakby karabela, której rękojeści lewa dłoń nie wypuszcza.

Gdy minister nasz skończył i list uwierzytelniający wręczył, król począł odpowiadać. Tu istotnie zaimponował mi intonacją przepyszną, która czyniła, że ten język syamski, jednozgłoskowy, przepelniony tonami gardłowymi i nosowymi, przecież pięknie brzmiał. Mówił bardzo donośnym głosem, dość długo, a stał i ruszał się tak pięknie, mówiąc poprawiał raz coś u końca wielkiej wstęgi Szczepana z taką gracyą, że chciałem go uściskać; prawdziwie po pańsku i po książęcemu wyglądał. Gdy skończył, począł minister jego tłumaczyć na angielskie jego przemowę; ale trzymając się etykiety, tak szeptał ci-

chutko, że nie nie można było usłyszeć. Król dał wyraz swej radości, że znowu wita wysłannika cesarza Franciszka Józefa, dla którego czuje tyle przyjaźni, i dodał, że było to dla niego istnem szczęściem, iż mógł przed paru tygodniami przyjmować i gościć u siebie tak bliskiego krewnego cesarza (arcyksięcia Leopolda Salwatora), który jako oficer marynarki austr., na pokładzie korwety Fasana objeżdżał świat i tu był wstąpił. Po przetłumaczeniu odpowiedzi królewskiej, nastąpiła część druga, już nieoficyalna, audyencyi. Król rozmawiać począł z ministrem, potem z nami; coś i mnie się dostało, ale co, nie wiem, bo książę Devavongse nie chciał w żaden sposób głośniejsze mówić, więc i ja mruknąłem coś pod nosem, i głęboko się ukloniłem; gdy jednak na mnie przyszła kolej usłyszenia słowa królewskiego, dostrzegłem, że i król i jego *camerlingo*, który stał opodal, zobaczywszy mnie poprostu we fraku, zaczęli między sobą szepty i śmiechy; na co ja, zupełnie kontenansu nie tracąc, uśmiechnąłem się również, i opuszczając dotychczasową audyencyonalno-pokorną postawę,¹ założywszy ręce, spojrzałem dość dziwnie na tych panów — co uśmiech z ich twarzy spędziło. Wreszcie król podał każdemu z nas rękę, i tyłem wynieśliśmy się. Pożegnanie z królewskim otoczeniem — na dziedzińcu, owym cudownym; znowu broń prezentowano, znowu zagrano *Gott erhalte*: ja salutowałem do cylindra jak mogłem — wsiedliśmy do powozów i jazda do domu.

Na drugi dzień, skoro świt, król odjechał. Polecieliśmy naszym stateczkiem parowym, by to widzieć. 10.000 ludu jako orszak królestwo zabierali z sobą! Ale Syamczyki nie chcieli widocznie, byśmy oglądali królowę zaspaną i króla w szlafroku; więc nas zaprowadzili z wszelkimi honorami na tył jakiejś kordygardy, która przed Biegelebenem broń prezentowała; tu powiedzieli, by chwilę zaczekać; nareszcie, gdy nas wypuszczono ku ładnemu kioskowi, schodzącemu aż ponad brzeg, któredy schody do czółen prowadziły, oświadczone nam, z udaną w głosie rozpaczą, że król już przed półgodziną odjechał. Zdala już tylko, przez ramiona i głowy ustawionej nad brzegiem kompanii wojska, widzieliśmy domki-czółenka, dość ubogie i proste, popy-

chane każde przez ośmiu wioślarzy, niosące ich Syamskie majestaty. I tak właściwie z kwitkiem poszliśmy do domu, a raczej wprost do kościoła, bo to Trzech Króli i niedziela. Kościół katolicki o dwa kroki od hotelu, dość wielki; ciężka, brzydka budowa, raczej do pagody podobniejsza niż do kościoła. Obsługują go misjonarze Francuzi. Biskupia siedziba — bo tu jest biskup — tuż obok, wcale okazały pałacyk.

Nim do opowiadań o ciekawościach i pięknościach tu widzianych przejdę, notuję kilka uwag, choć może bardzo znanych i banalnych, o Syamie, jego królu, stolicy i t. d.

Miasto Bang-kok, lat temu właśnie 106 założone, liczy obecnie około 500.000 mieszkańców; kraj cały ma ich mieć około 7 milionów; zapewne jednak cyfra ta odnosi się tylko do męskich mieszkańców, kobiet bowiem wogóle nie liczą. Podróż króla na północo-zachód, nad granicę Birmy, ma miejsce częścią dla przyjemności, lecz głównie dla inspekcji; ma on zamiar corocznie podróże takie po swoim królestwie odbywać. Prócz innych, mają te podróże i ten znakomity skutek, że zmuszają pojedynczych gubernatorów, z których wielu jest zupełnie prawie niezawisłych, do budowania dróg. W okolicach, które król ma zwiedzać obecnie, wybudowano kilkaset kilometrów dróg, zupełnie według wymagań europejskich.

Politycznie, pozycja Syamu staje się coraz trudniejszą. Już w Bombaju z pewnego zupełnie źródła słyszałem, że rząd francuski, a mówiąc specjalnie, generalny gubernator z Sajgonu, zaproponował Anglii wspólną aneksję Syamu i podział terytorium, a nawet podpisany już ze swej strony traktat przesłał do Kalkutty. Anglia, czy jeszcze nie gotowa, czy inne mając w myśli zamiary, a w każdym razie mając z samemi Indjami i Birma podówczas dosyć do czynienia, i nie pragnąc zupełnie dzielić z drugim swoich zdobyczy — odrzuciła propozycje francuskie. Tymczasowo więc projekt upadł. Położenie jednak Syamu, otoczonego z dwóch stron takimi sąsiadami, wcale się nie polepszyło — nad jego niepodległością istny miecz Damoklesa zawisł. Czuje to król, i nie widząc innego wyjścia, chwytą się polityki dopełniania wszystkich stypulacyj traktatów z Francją

i Anglią w sposób jak najdokładniejszy, jak najściślejszy, przestrzegania jak najskrupulatniejszego zagwarantowanej wolności i bezpieczeństwa handlu i osób białych — ale z drugiej strony baczenia pilnie, by nie dać ani Francyi ani Anglii nigdzie sposobności zainstalowania się, zapuszczenia korzeni na terytorjum syamskiem. Ztąd skrupulatne przestrzeganie, by ani jedni ani drudzy żadnych tu przedsięwzięć nie zakładali, by osoby tych dwu narodowości ani w urzędzie ani w przemyśle żadnych nie zajmowały posad i t. d. Bojąc się Europy, widząc, jak wszędzie gdzie stopa białych stanie, tubylecy na zwykłych *coolis* czyli niewolników schodzą; widząc, jak cywilizacya europejska, przez samo tylko zetknięcie się z krajem, tępi i niszczy politycznie a nawet moralnie krajowca — król, człowiek bardzo szerokich horyzontów i rozwiniętego zmysłu politycznego, chce wziąć od białych to, bez czego czuje, że im ani politycznie ani ekonomicznie nie sprostą; ale brać chce tylko rzeczy, nie osoby.

To jest mniej więcej jego przewodnia myśl. Udaje mu się to częściowo; stara się jak może; niestety, myśl ta przez niewielu tylko jego poddanych zrozumiana, a przez nikogo z nich prawie wykonaną być nie może. Jestto rasa przestarzała, rasa co miała swoją erę wielkości, erę czynu i energii, zdobyczy i tryumfów, ale temu kilkaset lat. Dziś, powtarzam, to rasa upadła; dziś klimat, więc febry, stosunkowy dobrobyt, długoletni pokój, zmiekczyły tych ludzi. Lenistwo straszne i bezgraniczne, to pierwszy zdaje mi się główny rys charakteru Syamczyka. Nietylko, że się nie broni przeciw inwazji obcych na polu handlu i przemysłu (Chińczycy tu wszędzie jak szarańcza grasują i panują), ale prawie chętnie to widzi, byle miał bettel do żucia i spokój. Wobec takich stosunków, zaprawdę obawiać się należy, żeby biedny król nie był jedynym zreformowanym przez własne reformy. Oddawna podobno przemyśliwa król o poprowadzeniu drogi żelaznej, mającej połączyć Bang-kok z Kien-tsen, ważnem handlowo i politycznie miastem, na północy kraju. Nie chcąc jednak dopuścić ani Anglików ani Francuzów do tego przedsięwzięcia, a nie mogąc spodziewać się choć w najdalszej przyszłości dokonać dzieła własnymi siłami, wpadł na pomysł zawarcia kon-

traktu z byłym gubernatorem *Streets-settlements*, mstr. Clarke, inżynierem. Mstr. Clarke ma złożyć wszelkie do budowy potrzebne plany i zrobić kosztorysy. Na tem kończy się jednak jego zadanie. Otrzyma on zgóry umówioną zapłatę, co samo przez się wszelkie dalsze pretensye i prerogatywy do samejże budowy kolei ma usuwać; plany i kosztorysy stają się własnością rządu, któremu wolno z nimi zrobić co zechce. Kontrakt ów, acy-dzielo podobno w swoim rodzaju, jest, jak mówią, wypracowany osobiście przez króla¹. Król rozrzucił już dziś po całym kraju sieć telegraficzną. Nie zapomniał i o armii; 7000 ludzi stanowi stałe wojsko, będące na każde zawołanie gotowem; prócz tego jest zorganizowana (może tylko w teoryi) obrona krajowa. Każdy pełnoletni mężczyzna jest obowiązany z prawa do noszenia broni, otrzymuje karabin, i ma się na każde wezwanie stawić. Czyste pospolite ruszenie, ów *landsturm*, niedawno u nas zaprowadzony. Podobno wielka już część Syamczyków, w ścisłem słowa znaczeniu, jest w ten sposób zorganizowana. O mieszkańcach północnego królestwa Lao, które dziś panujący król z Syamem połączył, trudno mówić, jako o przyszłych, regularnych obrońcach kraju. Mniej cywilizowani od Syamczyków, mniej ściśle z koroną związani, prawie niepodlegli, przytem nie zniewieściali tak jak Syamczycy, dziksi ale i energiczniejsi, uważający się raczej za lenników Syamskiej korony niż za poddanych, zwłaszcza w dzisiejszem, europejskiem tego słowa znaczeniu — możeby w danym razie ruszyli z pomocą swemu panu, ale napewno na to liczyć, a zwłaszcza na skuteczność tej pomocy, nie może biedny Czulaonkorn.

Znając już tych kilka szczegółów, trudno nie przyznać ogromnych, istotnie genialnych zdolności młodemu królowi. Czy to wszystko własna jego inicjatywa zrodziła, czy rady może jakiegoś ukrywającego się w cieniu królewskiego pałacu Europejczyka — Bóg raczy wiedzieć. Nie tygodnie, ale lataby tu siedzieć trzeba, chcąc to zbadać. Nie ulega jednak wątpliwości, że ów

¹ Jaki los tej kolei dzisiaj, nie wiem, nie o niej jakoś nie słyhać. (Przypisek z 9 VIII 1891).

pan Müller czy Schmidt, Austriak, rzekomo budowniczy, co sta-
wiał pałac i koszary naprzeciwko, siedzi tutaj kamieniem, i po-
dobno wielkie na wpływy. Nie widziałem go, nie pokazał się
wcale. Bądźcobądź, faktem jest, że myśl cywilizowania się i zbro-
jenia, i to na gwałt, jest rzuconą, powstała i żyje. *Hannibal ante
muros*, Anglicy i Francuzi z dwóch stron grożą — król czuje, że
niedługo przyjdzie mu albo zwyciężyć, albo zginąć. Boję się dla
niego, że o lat 50 zapóźno przebudził kraj z letargu. Jedyne ra-
tunek jego ten chyba będzie, że *duobus litigantibus, tertius gaudet*.
Lecz i tu się boję, że tym trzecim cieszącym się ani on ani
jego naród nie będzie. Ekonomicznie *gaudet* już trzeci, tj. Chiń-
czycy, którzy z ograniczenia przystępu Europejczykom korzy-
stają z dniem każdym więcej; ale i politycznie myślę, że ktoś
trzeci się znajduje.

Zaraz na wstępie wspomniałem o owym parostatku *Schwalbe*,
który północno-niemiecki Lloyd zbudował umyślnie, by mógł
dojeżdżać aż do samego Bang-kok. *Die Schwalbe* uwija się jak
może, a nigdy podobno pusta nie przyjeżdża ani odjeżdża. Jasno-
włosi synowie Germanii, niemniej zresztą jak Amerykanie, ko-
rzystają pilnie z antagonizmu między Anglią a Francją; trzeba
im przyznać, że umieją korzystać. Kupców Niemców tu chmara,
hotel w ręku niemieckim, brak tylko oficerów Niemców do ćwi-
czenia armii syamskiej — i to przyjdzie. Niemieckie poselstwo
tutejsze, liczne i pierwszorzędnymi siłami obsadzone. Wobec tej
rozumnej zapobiegliwości niemieckiej, jakże przykro widzieć nie-
zdarność dzisiejszego francuskiego rządu, który powoli traci je-
dną po drugiej pozycję, przez przeszłe rządy i generacje czę-
sto z takim trudem i z tak wielkimi ofiarami zdobyte. Opowia-
dano mi tu fakt, który zdarzył się przed niedawnym bardzo
czasem. Uprzedzając Anglię i chcąc jej tym sposobem zadać
nielada cios, Francya zawarła była tajemnie traktat z cesarzem
Birmy. Nie wchodząc w szczegóły, można ten traktat jednym
słowem scharakteryzować, a mianowicie: mocą jego, cesarz Birmy
stawał się ni mniej ni więcej, jak lennikiem rządu kolonialnego
francuskiego. Odpis tego traktatu wpada w ręce jednego z re-
zydujących podówczas w Birmie cudzoziemskich konsulów, a mia-

nowicie niemieckiego. Ten, niewiele myśląc, leci do Kalkutty i ofiarowuje się sprzedać tajemnicę lordowi Dufferin, ówczesnemu wice-królowi, i to za sumę 20.000 funtów (200.000 złr.). Wice-król kupuje. W dwa tygodnie później armia Indo-angielska zajmuje Birnę, cesarz detronizowany, deportowany wraz z dwoma tylko żonami na przylądek Dobrej Nadziei, gdzie na lichej pensyjce od rządu angielskiego wędnieje. A Francya? — ani palcem nie ruszyła! Dobitny to obraz sposobu, niedołężnego, ze złą wiarą pomieszanego, brania się do rzeczy nowoczesnych mężów stanu francuskich. Płaczą nad tem Francuzi sami, płaczą najbardziej misjonarze, głównie Francuzi, bo najbardziej na tem cierpią.

Biskup tutejszy katolicki, misjonarz, twierdzi, że gdy Chińczycy w Anamie mordowali, stojących naturalnie pod protektorem Francyi katolików, rząd kolonialny, który mógł był skiniem niemal palca zapobiedz tym strasznym rzeziom, nic nie uczynił! a 40.000 katolików padło pod nożem rozjuszonych fanatyków; palono ich we własnych domach, zakopywano żywcem w ziemię i t. d., i t. d. Biskup klnie się na wszystko najświętsze, że chociaż rząd francuski temu przeczy, autentyczna cyfra zamordowanych przed trzema laty katolików i chrześcijan wogóle, wynosiła 40.000 dusz! Biskup, człowiek już niemłody, od lat długich na najskrajniejszym Wschodzie, a zwłaszcza na tak zabójczem Południu pracując, sterał swe wątłe już siły, fizycznie i moralnie. Nie chyba bowiem tak nie niszczy, jak ta praca nieustanna misjonarza, praca z jutrem niepewnem. A cóż dopiero w podrównikowych krajach!

Opowiadał mi ciekawe szczegóły. Misya katolicka w Syamie egzystuje od przeszło 200 lat. W czasie napadu Birmańczyków na Syam, w połowie zeszłego stulecia, wraz z całym królestwem Syamskiem, i misye katolickie uległy strasznemu spustoszeniu; mnóstwo wiernych, którzy do ostatka napastnikom opór stawiali, dostało się wkońcu do niewoli, i powleczono ich na północ, gdzie marnie poginęli. Teraźniejszy znakomity rozwój misyj datuje dopiero od mniej więcej lat 40; około 20.000 katolików liczy się do poddanych króla Czulalonkorn. W samym Bang-kok buduje

się obecnie wielkie seminaryum i gimnazyum na 200 uczniów obliczone. Droga składek zebrano potrzebny fundusz, król przyczynił się również znaczną sumą. Rząd jego obserwuje najściślej neutralność i bezparteyalność wobec innych wyznań, raczej przychylnym wobec katolików będąc. W kraju, mianowicie na północy, w Kiang-Maik, egzystuje dość znaczna misya protestancko-amerykańska, trudniąca się nibyto wychowaniem dzieci obojej płci, nie ciesząca się jednakże ani jednym prozelitą, a dbająca zdaje się głównie o własną kieszeń. Przez dłuższy czas sprowadzała ta misya całe wozy pak, deklarowanych wobec organów rządowych jako paramenta kościelne. Jednego pięknego poranku jednak zdziwiło któregoś z urzędników celnych to mnóstwo kościelnych przyrządów, sprowadzanych przez misję. Otworzono jedną pakę — i znaleziono broń palną, którą ci przeznaczeni Yankee-misyjonarze handlowali. Misye katolickie posunęły się obecnie aż hen daleko na północ, we wnętrze kraju.

(C. d. n.).

Paweł Sapięha.



PRZEGLĄD PIŚMIENNICTWA.

Z piśmiennictwa krajowego.

O języku greckim pisarzy bizantyńskich w ogólności i o ich sposobie wyrażania myśli słowiańskich w szczególności. *J. Krystyniak*. (Przedruk ze sprawozdania c. k. IV. gimnazjum za rok szk. 1889/90). Lwów, nakł. aut. 1890. (Str. 51).

Z prawdziwą przyjemnością bierze się w rękę pracę polską, dotykającą tak mało uprawianej niwy, jak literatura bizantyńska: wszak nawet w Niemczech, które w naukach filologicznych dzierżą palmę, w ostatnich dopiero czasach zaczął się budzić żywszy ruch na tem polu. Ciekawość owa nie osłabia się, lecz rośnie przy czytaniu niniejszej rozprawy, widać bowiem, że autor nie opiera się na źródłach drugorzędnych, ale czerpie wszędzie z pierwszej ręki, i że źródła swoje zna gruntownie.

Do najświeższych czasów miano o literaturze, zwłaszcza języku bizantyńskim, najfałszywsze wyobrażenie. Wyobrażenie to — rzecz dziwna — zakorzenione było nie tylko wpośród wykształconego ogółu, ale nawet wśród filologów z zawodu. Jedni i drudzy podzielali zdanie owego uczonego bounskiego¹, nie rozumiejącego, jak ludzie mogą zajmować się językiem, w którym *ἄπο* rządzi accusativem. Język i literatura bizantyńska leżały odłogiem, opuszczone i zaniedbane, traktowane gorzej niż po macoszemu, prawdziwy Kopciuszek filologiczny. W ostatnich dopiero czasach, stosunki zaczęły się poprawiać.

¹ Krumbacher we wstępie do swej *Historji literatury bizantyńskiej*.

Nic dziwnego wobec tego, że autor niniejszej rozprawy uważał za stosowne w początku jej powiedzieć kilka słów dla rehabilitacji języka owej epoki. Nowsza lingwistyka pouczyła nas, że język w biegu czasu ulega powolnym, ale widocznym zmianom. Ma się z nim rzecz, jak z człowiekiem, który duchowo i fizycznie nigdy nie jest takim dzisiaj, jakim był wczoraj. Język jest mnogogłowym, żyjącym organizmem, który nie znosi zastoju, lecz w ciągłym znajduje się ruchu. Jeżeli ten ruch, te zmiany, są wyrazem wewnętrznego rozwoju ducha narodu, wtenczas język rośnie, wzbogaca się, nabiera nowych sił żywotnych, jak latorośl pod wpływem żywo krążących soków; przeciwnie, jeżeli zmiany owe pochodzą z zewnątrz, czy to że naród mówiący danym językiem uległ innemu, cywilizacyjnie wyższemu narodowi, czy z innych powodów, następuje skażenie języka, jego upadek. Takiemu skażeniu uległ język grecki.

Na rozwój języka ogólnogreckiego (*koiné*), który z biegiem czasu rozszerzył się nie tylko w całej Grecyi, ale i daleko na wschód, wielki wpływ wywarło chrześcijaństwo. Przełożone na język grecki Pismo św., zawierające wiele nowych żywiołów językowych, stało się dla chrześcijan najważniejszą książką do czytania; na niem kształci się młodzież, jego językiem piszą pisarze chrześcijańscy, ono stało się podstawą nowo powstającej literatury kościelnej. Na tę literaturę składają się w pierwszych trzech wiekach po Chr. hymny, pisma apologetyczne, liczne pisma egzegetyczne, etyczne, pisma z zakresu historii kościelnej i żywoty męczenników. Bogata literatura chrześcijańska stała się solą w oku cesarzom, prześladowającym nową religię, jak Dyoklecjanowi i Julianowi Apostacie: usiłowania ich atoli, podejmowane w celu zagłady piśmiennictwa kościelnego, nie odnoszą skutku. Chrześcijaństwo stawia inny cel dla życia, przynosi z sobą inne potrzeby duchowe; nie też dziwnego, że dla określenia ich potrzebuje nowych pojęć i wyrazów. albo że dawnym, nowe nadaje znaczenie.

Drugim potężnym czynnikiem, który wpłynął na rozwój języka greckiego, choć w sposób ujemny, był język łaciński. Rzymianie zagarniając cały Wschód, Konstantyn przenosi stolicę państwa do Bizancjum, w ślad za nim przesiadła się do tego miasta z Rzymu i Italii wiele rodzin wszystkich stanów. Obok ludności greckiej Konstantynopola, powstaje odrębna ludność łacińska: oba języki istnieją obok siebie w jednym mieście. Stan ten sprawia, że oba ulegają skażeniu, tracą pierwotną czystość, zaczynają się ze sobą mieszać. Język łaciński utrzymuje się dość długo jako urzędowy, ale powoli ustępuje miejsca

greckiemu, który go nakoniec zupełnie wypiera i staje się w państwie bizantyńskim panującym.

Po tym wstępie, autor przystępuje do właściwego przedmiotu rozprawy, do języka pisarzy bizantyńskich w okresie od r. 330—1453. Rezultaty swoje opiera na utworach pisarzy historii bizantyńskiej, niektórych ojców Kościoła i pisarzy kościelnych. Zauważywszy, że pod względem języka pisarze kościelni różnią się bardzo od świeckich, pierwsi bowiem kształcą się na dawnych znakomitych pisarzach chrześcijańskich, między drugimi natomiast znaczne zachodzą różnice, stosownie do ich wykształcenia i epoki, w której żyją — autor zastanawia się najpierw nad zmianami, jakim uległ język grecki pod względem leksykalnym, a następnie pod względem gramatycznym.

Do języka greckiego wkrada się znaczna ilość wyrazów łacińskich, mianowicie wiele nazw urzędów rzymskich, oraz godności dworskich i kościelnych, wchodzi w użycie nieskończona liczba tytułów, mnożą się nowe wyrazy z zakresu prawa rzymskiego, medycyny, strategii i innych dziedzin wiedzy ludzkiej. Nie wszyscy jednak pisarze ich używają: dawniejsi i lepsi unikają ich starannie. Do czasów cesarza Justyniana język utrzymuje się w pierwotnej niemal czystości; odtąd dopiero skażenie postępuje szybko naprzód.

Co do strony gramatycznej, najważniejsze zmiany występują w użyciu przyimków, które coraz bardziej okazują dążność do łączenia się z jednym tylko przypadkiem, oraz w dziedzinie partykuł, których liczba nader maleje, aż wkońcu schodzi do bardzo szczupłej ilości. Miejsce polysyndetycznego łączenia zdań zajmuje asyndetyczne zestawienie.

W dalszym ciągu napotykamy charakterystykę niektórych ze znakomitszych pisarzy bizantyńskich, tak duchownych, jak świeckich. Z pisarzy kościelnych, autor podnosi zalety języka pism św. Bazylego i św. Jana Chryzostoma, mianowicie pism treści egzegetycznej, etycznej, kazań i listów. Poprawnym językiem piszą także niemal wszyscy pisarze kościelni czwartego i piątego wieku. Język pisarzy późniejszych coraz mniej wykazuje zalet. Zpomiedzy innych pisarzy bizantyńskich, autor uwzględnia głównie historyków; znajdujemy tu wzmiankę o języku Dexippusa, Eunapiusa z Sardes, Olympiodora, Prokopiusza z Cezarei, Agathiasa, Pawła Silentiariosa i Anny Komneny. Od ósmego wieku język upada coraz bardziej.

W kilku słowach wspomina autor o zmianie, która zaszła w wymawianiu wielu samogłosek i spółgłosek za czasów bizantyńskich. Nie

zawadzi tu dodać, że pan K. jest zwolennikiem wprowadzenia do języka greckiego wymawiania nowogreckiego.

W drugiej części swej pracy autor zamierza wykazać na podstawie alfabetu słowiańskiego, t. zw. cyrylicy, jak Grecy wymawiali swoje głoski w IX. wieku (bo tej epoki sięgają najdawniejsze zabytki języka starosłowiańskiego); ponieważ zmiana w wymawianiu następuje bardzo powoli, znając wymawianie w wieku IX., można według autora przypuścić, że trzy wieki wstecz, tj. w VI. wieku, tak samo te głoski wymawiano. Znając zaś wymawianie głosek greckich w VI. w., można poznać dokładne brzmienie imion słowiańskich, które w tym czasie zaczynają się częściej pojawiać u pisarzy bizantyńskich. Zbadać, jak należy czytać imiona słowiańskie, wyrażone greckimi głoskami u Bizantyńców, jest głównym celem autora w drugiej części jego pracy.

Autor opiera się tu na greckich imionach własnych i to tylko takich, które znalazły pomieszczenie w liturgii, podając za powód, że te, jako związane z obrzędami religijnymi i ujęte w pismo, nie tak łatwo ulegały zmianom. Z zabytków starosłowiańskich uwzględnione zostały rękopisy: Supraślski, Ochrydzki, Deczański i ewangelia Sawy. Wykazawszy, jak Grecy wymawiali swe głoski, autor przedstawia, jak wyrażali swem pismem imiona słowiańskie. Zaznacza on przytem, że pisarzom bizantyńskim, lekceważącym narody pogańskie, nie zależało wcale na wierności w oddaniu imion barbarzyńskich, a pokaleczone przez nich imiona przekręcali jeszcze bardziej późniejsi przepisywawcze.

Nazwa Słowian występuje po raz pierwszy u historyków za czasów cesarza Justyniana. Autor w dłuższym wywodzie stara się objaśnić pisownię grecką tego wyrazu i wykazać, jak nazwa: Słowianin, nabrała w greckim i innych językach znaczenia: niewolnik. Tłumaczy on sobie to w ten sposób, że ziemie, zamieszkiwane przez spokojnych Słowian, dawały bogaty, a może jedyny plon w ludziach różnym najeźdźcom, którzy ich głównie na Wschód sprzedawali, gdzie nazwa narodu, do którego się zaliczali, dla ich przeważnej liczby stała się równoznaczną z jeńcem i niewolnikiem. Zatrzymuje się nieco dłużej nad nazwą Chrobatów, wykazując w sposób przekonujący, że jedynie uzasadnioną jest forma: Chorwaci, Chorwacya. Na zakończenie podaje spis imion słowiańskich (ludzi i miejscowości), które napotkał u pisarzy bizantyńskich, objaśniając, jak je należy czytać.

Taka jest treść pracy p. Krystyniackiego.

Składa się ona z dwóch części, które ze sobą w nader luźnym tylko zostają związku. Nim o nich wypowiemy nasze zdanie, wspo-

mnieć należy o dacie, z którą autor rozpoczyna literaturę bizantyńską. Jest nią rok 330, tj. rok przeniesienia stolicy państwa rzymskiego do Bizancjum. Dotychczas przyjmowano zwykle rok 529, tj. rok zamknięcia akademii ateńskiej przez cesarza Justyniana. Data ta jednak nie zaznacza żadnego stanowczego zwrotu w literaturze greckiej, jak to między innymi dokładnie wykazał Karol Krumbacher w swej *Historii literatury bizantyńskiej* (Monachium 1891). Uczony ten jest zdania, że historię piśmiennictwa bizantyńskiego rozpoczynać należy dopiero od połowy VII. w. Przyznaje on atoli, że chrześcijaństwo nowego wprowadza ducha w literaturę grecką; to też data, przyjęta przez prof. Krystyniackiego, wiele ma za sobą, a w każdym razie więcej, niż data dotychczas używana.

Ta część pracy, którą autor zatytułował: „O języku greckim pisarzy bizantyńskich“, ściśle biorąc, nie przynosi tego, co zapowiada tytuł. Wnosząc bowiem z tytułu, oczekiwaliśmy wyczerpującej charakterystyki języka greckiego tej epoki; autor tymczasem zastanawia się obszernie nad przyczynami, które wpłynęły na przeobrażenie języka greckiego klasycznego, a następnie poświęciwszy pięć stron zmianom leksykalnym, załatwia się ze zmianami gramatycznymi na — połowie stroń. Nie słyszymy tu nic, albo prawie nic, o zmianach fonetycznych, morfologicznych, syntaktycznych i semazyologicznych: najslabiej więc wypadła ta część rozprawy, która, z tytułu wnosząc, powinna była być najdokładniejszą i najbardziej wyczerpującą.

Nie zgadzam się tylko z autorem w sprawie wprowadzenia do języka greckiego wymowy nowogreckiej. Odzywały się i w Niemczech głosy z podobnem życzeniem, ale natrafiły na stanowczy i słuszny opór, gdyż zmiana taka nie pociągnęłaby za sobą niemal żadnych praktycznych korzyści, a przysporzyłaby niemal trudności. Zarzut autora, że nie posiadamy sposobów odgadnięcia, jak starzy Grecy wymawiali swe głoski, nie jest uzasadniony: wątpliwości dadzą się tu sprowadzić do bardzo niewielkiej liczby.

Druga część rozprawy jest nader cennym przyczynkiem dla gramatyków i historyków. Usiłowano u nas nieraz wznosić całe gmachy kombinacyj historycznych do epoki najdawniejszej narodów słowiańskich, na podstawie językowej, posługując się do tego nazwami, zachowaniami u pisarzy greckich i rzymskich. Stawiano tu najrozmaitsze etymologie. Wszystkie te gmachy były atoli nader wiotkie, gdyż stały na kruchych podstawach. Nim zaczniemy budować, trzeba najpierw położyć fundamenta. Tych fundamentów dotąd nie było, dlatego też historia niewielki odnosiła pożytek z badań, choćby nawet poważnych

uczonych gramatyków. Tę samą nazwę, zapisaną gdzieś u autora starożytnego, zestawiał jeden uczony z tem, drugi z innem imieniem słowiańskim, jeden dopatrywał się takiej, drugi innej etymologii. Żebyśmy mogli osnuwać wnioski etymologiczne na podstawie nazw u autorów greckich i rzymskich, potrzeba do tego pracy, któraby umiejętnie i systematycznie przedstawiła, jak wykształceni Grecy (*resp.* Rzymianie) transskrybowali dźwięki obce, zapomocą swego alfabetu. Można dojść do tego rezultatu, porównywując nazwy, zachowane u autorów starożytnych, z nazwami, jakie nas doszły w pomnikach piśmiennych narodów, z którymi starożytni mieli stosunki, np. w pomnikach perskich, słowiańskich, germańskich, keltyckich i t. d. Rezultaty takie możnaby ująć w cały system, wykazujący, jak ucho Greka lub Rzymianina słyszało dźwięki cudzoziemskie. Powiedzieliśmy wyżej: wykształceni Grecy lub Rzymianie, bo wiadomo, że lud w takich razach nie transskrybuje wiernie, lecz upodabnia wyraz obcy do jakiegoś znanego sobie, swojskiego wyrazu (t. zw. etymologia ludowa). Na takich dopiero podstawach możnaby stawiać etymologie mniej więcej pewne.

P. Krystyniacki w drugiej części swej rozprawy daje nam próbkę takiego metodycznego, ostrożnego postępowania. Wykazawszy na imionach liturgicznych, transskrybowanych zwykle wiernie z greckiego oryginału, jak wymawiano głoski greckie, usiłuje przedstawić, jak Grecy wyrażali przy pomocy swego alfabetu imiona słowiańskie. Nie troszczyli się oni wprawdzie o wielką dokładność, ale mimo to dadzą się tu postawić pewne prawidła. Objaśnienie wyrazów: Sklawini i Sthlawini (= Słowianie), jakie podaje autor, budzi pewne wątpliwości ze stanowiska fonetycznego. Ze względu na szersze koło czytelników, bliżej w tę sprawę wchodzić nie możemy. Również nie zawsze można się zgodzić z autorem na jego transskrypcję imion greckich na język polski; nieprawdopodobną wydaje się nam np. rzeczą, by imię, zapisane po grecku: Dobriskik, miało oznaczać: Dobryskok. W ogólności gramatyka musi w takich wypadkach iść w parze z historią, naturalnie tylko o tyle, o ile chodzi o epokę historyczną.

Cenną rozprawę prof. Krystyniackiego szpeci wiele błędów drukarskich, oraz niejednostajność pisowni imion obcych: Tucydides (str. 5), ob. Tuzydides (str. 6); czasem znajdujemy nawet kilka form, np.: Porfirogenita (str. 11, 34). Porfirogenita (str. 5), Porphirogenita (str. 21), Porphyrogenita (str. 22). Podobnych przykładów możnaby przytoczyć mnóstwo. Szkodzi rozprawie wiele dygresyj, przerywających nieraz niepotrzebnie tok rzeczy.

Stanisław Witkowski.

Wykład chemii ogólnej. *Dr. Ernest Bandrowski.* Kraków 1891.

Nielatwa to rzecz napisać dobry podręcznik szkolny, w jakiegokolwiek materji naukowej. Wogóle mówiąc, prędzej możemy się spotkać z dziełami specyałnemi sławy europejskiej, niż z doskonałymi podręcznikami. Wdzięczność się więc należy p. d-rowi Bandrowskiemu, iż podjął się tego mozolnego trudu i w części już go dokonał: tem bardziej, że nowy „Wykład chemii ogólnej“ nowe też ze sobą przynosi zalety.

Treść dzieła następująca. W wiadomościach ogólnych podaje autor określenie zmian fizycznych i chemicznych, rozwinięcie analizy i syntezy chemicznej, jakoteż wymiany składników; zaznajamia czytelnika z prawem zachowania ilości materji, czy jak je autor nazywa, niespożytelności materji, i z prawem stosunków stałych; wreszcie streszcza w krótkości hipotezę czy teorię atomistyczną, zasady znakowania chemicznego i systematyki.

W części systematycznej przechodzi autor nasamprzód wodór, jednostkę chemiczną i typ niejako innych pierwiastków; następnie pojedyncze gromady, ułożone na zasadzie systemu peryodycznego elementów, a więc: chlorowce, tlenowce, chromowce, azotowce i t. d. W odpowiednich miejscach wyluszcza rozmaite prawa i zasady chemiczne, których w wiadomościach ogólnych nie uwzględnił. Na samym końcu umieszcza rzecz o systemie peryodycznym pierwiastków i o energii chemicznej.

Przy pojedynczych pierwiastkach i ważniejszych połączeniach podaje autor zwyczajnie: 1) w jednym zdaniu, kto i kiedy odkrył będący w mowie pierwiastek, 2) znachodzenie się pierwiastku w przyrodzie, 3) sposoby otrzymywania w pracowniach chemicznych i fabrykacyj przemysłowych, 4) własności fizyczne, 5) własności chemiczne, 6) zastosowania. Po przejściu pierwiastków pojedynczych, następują połączenia ich, znowu w odpowiednim porządku, a więc połączenia z wodorem, z chlorowcami, tlenowcami i t. d. Pod koniec każdej gromady podaje autor zestawienie i pogląd na pierwiastki i ważniejsze połączenia, wchodzące w tę gromadę.

Na samym początku zaznaczyć musimy w tej książce przeprowadzenie systematyki, opartej na peryodyczności pierwiastków. Rzecz to wprowadzić od dwu dziesiątków lat wszystkim chemikom znana, ale autor pierwszy zastosował ją i przeprowadził w całej obszerności. Wykład cały odznacza się wszędzie zwięzłością, jasnością, konsekwencyą.

Wszędzie też pozostaje autor na stanowisku dzisiejszej umiejętności chemicznej. Nadewszystko zaś podnieść i podkreślić musimy zestawienia i poglądy na całe gromady. Poglądy te, choć nadzwyczaj krótko zebrane, bardzo jasne, logiczne, treści pełne, dla uczniów i miernych zdolności bardzo wygodne i arcypraktyczne. W tych też poglądach przebijają się najlepiej i najwyraźniej bystrość i myśl przewodnia autora. Jeśli co, to poglądy udały się autorowi znakomicie.

A teraz pozwolimy sobie zrobić kilka uwag, które mogłyby się może przyczynić do udoskonalenia tej książki.

Autor w ciągu całej systematyki nie wyprowadza właściwie systemu peryodycznego, ale raczej wszędzie go suponuje. Prosto i logicznie wypadało więc, miasto w całej książce suponować i na końcu dopiero system peryodyczny rozwijać, na samym początku, tj. w wiadomościach ogólnych, supozycję umieścić. Naszem zdaniem, najlepiejby było całą część systematyczną od peryodyczności pierwiastków rozpocząć i także zakończyć; na początku wytłumaczyć przedewszystkiem zasadę peryodyczności, podać tablicę peryodów i wyprowadzić z niej poszczególne gromady — na samym końcu dołączyć dalsze rozprowadzenie i uzasadnienie wraz z rekapitulacją materiału systematycznego. Tym sposobem książka zyskałaby to, iż odrazu w całości wystąpiłaby na jaw najpiękniejsza przyczynowa jedność, a uczący się z niej miałby ogólne tło, na którem coraz wyraźniejsze kontury logicznem a koniecznem następstwem rozwijaćby się mogły.

Książka cała, jak z jednej strony jest zwięzła, tak z drugiej bardzo treściwa, a śmiało możnaby dodać: dla szkół realnych za bardzo treściwa. Tłumaczymy to sobie tem, że autor nie chciał widocznie zamykać swej książki w ciasniejszym kółku, poświęcić ją wyłącznie szkołom realnym, ale pragnął, by z niej korzystali i uczniowie uniwersyteccy.

Z zasady pragnęlibyśmy w takich książkach widzieć więcej pryncypiów i praw ogólnych, mniej zaś drobnych, obciążających szczegółów. Z doświadczenia bowiem wiadomo każdemu, że drobne, pojedyncze szczegółiki zacieraają się bardzo prędko w pamięci i ulatują z głowy: poglądy ogólniejsze, sprawcze przyczyny zjawisk, prawa zasadnicze, wchodzą głębiej w duszę i towarzyszą człowiekowi w rozwoju umysłowym przez całe życie. Z tej też przyczyny chętnie widzielibyśmy w książce autora więcej nieco o teorii atomistycznej, podstawie chemii dzisiejszej, dokładniejsze i ściślejsze wyluszczenie energii chemicznej. Jesteśmy wprawdzie przekonani, że działania chemiczne dadzą się ostatecznie

sprowadzić do jakiegoś ruchu mechanicznego, ale żał mamy do autora, iż mogąc jasno i dokładnie, słabo to wykazał. Z końcowego rozumowania autora, ściśle rzecz biorąc, nie wynika jeszcze bezpośrednio ostateczna konkluzja: „zjawiska chemiczne są zatem również przejawem pewnego ruchu materji“ (str. 242). Wolelibyśmy również rozdział ten widzieć w wiadomościach ogólnych, niż przyczepiony na końcu książki. Za to przydałoby się w tem miejscu systematyczne powtórzenie i zestawienie rozmaitych praw chemicznych, które uczeń w ciągu wykładu w odpowiednich miejscach po części już poznał.

Przy znakowaniu chemicznem używa autor: Jed = Jo, Bor = Bo, Gal = Ga, Potas = Ka; choć wystarczy zupełnie, jak się to zwykle robi, oznaczać powyższe pierwiastki przez J, B, G, K. Wartościowość pierwiastków każe autor oznaczać cyfrą rzymską, dodaną do znaku pierwiastka po prawej stronie u góry, choć zwykle oznacza się cyfrą rzymską lub odpowiednią ilością kresek nad znakiem.

Przy podawaniu ciężarów atomowych nie zawsze jest autor stałym. W jednym miejscu podaje cyfry okrągłe, gdzieindziej dokładniejsze, ale i te nie zawsze jednakowo. Tak np.: $O = 15.96$ (str. 16 i 38), $H_2O = 18$ (str. 48), tj. $O = 16$, $O_2 = 31.96$ (str. 60), tj. $O = 15.98$, $O_2 = 31.98$ (str. 74), tj. $O = 15.99$; Br = 79.87 (str. 24, str. 37 u góry), HBr = 40.38 (str. 37 na dole), tj. Br = 79.76; S = 32 (str. 66), S = 31.98 (str. 43); Ge = 72.52 (str. 155), Ge = 72.54 (str. 163); Au = 196.6 (str. 194), Au = 196.2 (str. 16) i t. d. Rzadziej zdarza się ta niejednostajność w ciężarze gat., np. c. g. dla Ba = 3.6 (str. 191), = 3.5 (str. 184); c. g. dla K = 0.875 (str. 203), = 0.865 (str. 214) i t. d.

W książce, co ma być ćwiczeniem myśli dla przyszłego pokolenia, i w tych drobnych rzeczach stateczność jest chwalebna, a więc polecenia godna. Najlepiej używać wszędzie albo cyfr dokładnych, zawsze tych samych, albo zawsze okrągłych, albo jeśli w ciągu rzeczy wygodniej używać jednych i drugich, podać z początku w nagłówkach odpowiednich pierwiastków cyfry dokładne, a obok w nawiasie okrągłe.

Na str. 2 i 3 niedość dokładne jest określenie zmian fizycznych i chemicznych: i niektóre zmiany fizyczne są wewnętrzne. Nadto „wewnętrzny“ nie jest to samo co „istotny“ (str. 3); podobnie „materja“ i „istota ciała“ (str. 7). Na str. 10 niedość ściśle określenie pojęcia teorii. Wogóle nie jest prawdą, jakoby hipoteza przechodziła na teorię, kiedy „staje się istotną, odgadniętą przyczyną tych zjawisk, dla których wytłumaczenia została obmyślana“. Mamy bowiem wiele teorii

w naukach przyrodniczych. które bodaj nigdy nie dojdą do tego stopnia pewności. Tak samo na stronie następnej pojęcie atomu jest co najmniej niedokładnem. Trzeba było odróżnić atomy pierwotne (filozoficzne) i atomy chemiczne. Jeżeli atom pierwotny nie jest i nie może być cząstką nieskończenie małą, tem bardziej atom chemiczny.

Str. 9: $25 \cdot 861 - 24 \cdot 325 = 1 \cdot 546$, powinno być: $= 1 \cdot 536$. Str. 27: $97 \cdot 25 : 2 \cdot 75 = 35 \cdot 37$, powinno być: $35 \cdot 36$. Str. 59: $105 \cdot 278 : 840 \cdot 161 = 1 : 7 \cdot 96$, powinno być: $1 : 7 \cdot 98$. Niejasnem jest dla nas wyrażenie o wodzie: „smak jej mdły“ (str. 49), i sam autor w innym miejscu (str. 66) twierdzi, iż jest „bez smaku“. Gęstość dla $N = 14 \cdot 01$ ($H = 1$), $O = 8701$ (powietrze $= 1$) str. 95; tymczasem $\frac{14 \cdot 01}{14 \cdot 43} = 0 \cdot 9708$. Na str. 128 c. g. dyamentu podany mylnie 5·5, zamiast 3·5. Gal odkryty nie w r. 1871 (str. 164), ale w r. 1875; Newlands wykładał o oktawach chemicznych nie w r. 1874 (str. 233), ale już w r. 1865. Rzecz o powietrzu odpowiedniejby może było umieścić zaraz przy azocie, niż dopiero po węglowcach, przyczem możnaby wspomnieć o celowości azotu w powietrzu.

Język i słownictwo wogóle dobre; czasami tylko trafiają się słowa niepotrzebnie niemiecko-ciężkie, np.: „wodorosiarzki“, „Romancementy“ (str. 188), „superfosfat“ (str. 189), „eterowyskok“ (str. 199), „crown-szkło“ (str. 216). Na str. 54, „kwas węglowy“ widocznie jeszcze po staremu ma oznaczać CO_2 , choć przy CO , autor nie wspomina nawet o tej nazwie, tak często do ostatnich czasów używanej. Niedokładność ta mogłaby ucznia w błąd wprowadzić. Przy niektórych nazwach umieszczono wyrazy greckie, od których te nazwy pochodzą. Wskutek braku ścisłej korekty, wydrukowano wyrazy te po większej części błędnie. Tak np. ozon nie pochodzi od $\delta\acute{\iota}\alpha\sigma\epsilon\nu$ (str. 41), ale od $\delta\acute{\iota}\alpha\sigma\epsilon\nu$; dyament nie od $\delta\acute{\iota}\alpha\mu\alpha\varsigma$ (str. 127), lecz od $\delta\acute{\iota}\delta\alpha\mu\alpha\varsigma$ i t. d. Podanie omyłek druku byłoby się wogóle bardzo przydało.

Jak każdy widzi, usterki, na któreśmy zwrócili uwagę, są drobnostkowe i niknące wobec wielkich zalet tej książki. Dlatego też nie wątpimy, że będzie miała wielkie powodzenie, i tak uczącym się jak i nauczającym wielkie odda przysługi.

J. N.

Leczenie Domowe. Warszawa. Nakład Maurycego Orgelbranda.

Dążność rozumu ludzkiego do rozszerzania ogólnych granic wiedzy z każdym dniem coraz bardziej wysuwa się na porządek dzienny, a wyteżona w tym wspólnym kierunku praca, zarówno poszczególnych

badaczy, jak i całych pokoleń, ciągle dodaje cegielkę do cegielki na polu naukowych zdobyczy. W miarę jednak, jak się wzbogaca ścisłością rozumowania i dokładnością badań ten materiał, stanowiący strawę naszego ducha — spotykamy się ze smutnym objawem, iż suma całej wiedzy staje się własnością ograniczonej liczby ludzi, bogactwem kapitalistów nauki. W walce, jaka się i na tem polu toczy o dorobek duchowy, nie spotykamy się przecież z przewagą egoizmu; przeciwnie: długie lata, a nawet życie całe poświęcają bohaterowie tej walki na ułatwienie drogi samopoznania tym, którym rozwój intelektualny lub położenie społeczne nie pozwala być blisko samych źródeł prawdy. W szczególności pracują oni z uznania godnem poświęceniem nad spopularyzowaniem psychologii i spopularyzowaniem biologii — tych dwóch ważnych części nauki samopoznania.

Mając teraz przed oczyma kilka broszur p. t. „Leczenie domowe“ (wyd. Orgelbranda), z których chcę pokrótce zdać sprawę, powiem tylko kilka słów o popularyzowanej biologii. W zakres jej wchodzi: pierwsze: przedstawienie w formie przystępnej prawidłowego rozwoju otaczających nas jestestw, a przede wszystkim najdoskonalszego organizmu, jakim jest organizm ludzki; podrugie: uwzględnienie zboczeń, jakim poszczególne organa lub ich całokształt ulegz mogą; potřecie wreszcie: wpojenie w ogół czytelników kardynalnych zasad higienicznych i dyetetycznych, których trzymać się musimy w każdym wieku i w każdym stanie. aby pod względem fizycznym stać się jak najodporniejszymi wobec tych wszystkich wpływów złowrogich, które ujemnie działają na normalny stan naszego organizmu, czyli to, co w potocznej mowie nazywamy „zdrowiem“.

Ten to cel wytknęły sobie liczne wydawnictwa do lektury domowej, i popularne broszury, których tak wielka liczba w ostatnich czasach się pojawiła, zwłaszcza u Niemców i Amerykanów, najmniej może grzeszących co do praktyczności. W tym też duchu pojawia się u nas wydawnictwo p. t. „Leczenie domowe“, którego autorowie starają się ze sfer, zbyt wysokich dla wszystkich, ściągnąć niejako ku poziomowi pojęć szereg wiadomości naukowych. uwydatnić je i zrozumialszym skreślić językiem.

Zastanówmy się pokrótce nad treścią najświeższych tomików, od 1889 r. wydanych, zanim wypowiemy zdanie o ogólnym charakterze i wartości wydawnictwa.

TOMIK XI. Choroby zębów i Choroby jamy ustnej. Napisał *dr. Guérard*. Tłumaczył dr. J. St. 1889.

Pobieżny, ale systematycznie skreślony opis organów potrzebnych do przyjmowania pokarmów i spełniania pierwszych funkcji w sferze trawienia, zajmuje pierwsze karty tej broszury. Obraz ten, wystarczający dla osób nie mających głębszych wiadomości w tych rzeczach, naszkicowany dość jasno i dostęпно i nie obciążony zawilą nomenklaturą: ztąd też czyta się ten tomik chętnie i przyjemnie. Część druga, poświęcona sprawie pielęgnowania jamy ustnej, zawiera znów mnóstwo uwag, któreby bez wątpienia się przydały każdemu z nas, przypominając ciągle potrzebę czystego utrzymywania organów, na które tak często cierpimy z własnej winy. Wszak na tem polega cały postęp dentystryki, będącej już dziś wcale poważną gałęzią medycyny, że przy dobrej woli pacyentów nie leczy się rozwiniętego cierpienia wskutek niedbałości, lecz chorobie się zapobiega. Usunąć tę niedbałość, a namówić do dobrej woli — oto są cele niniejszej broszurki.

TOMIK XII. Ucho. Napisał *dr. L. Loewe*. Tłumaczył dr. J. St. 1889.

Opis chorób ucha już mniej się nadażę do tytułu „Leczenie domowe“, niż inne tomiki tego samego wydawnictwa; większa część cierpien tego organu jest bowiem połączoną z zabiegami operacyjnymi mniej-szej lub większej doniosłości. Niemniej przeto i w tej dziedzinie potrzebną jest nasza zapobiegliwość, baczność na szczegóły pozornie mniej ważne, zaniechanie zwyczajów wkorzenionych od samego dzieciństwa. Żę te wszystkie warunki dopiero wtedy będą należycie spełnione, gdy się oprzemy na wiedzy, choćby nie gruntownej, ale zapoznajęcej nas z delikatną budową misternego narządu słuchowego — tego chyba dowodzić nie potrzeba. Każdemu niewątpliwie miłym głos ludzki, drogą mowa otoczenia, przyjemną melodyą śpiewną, i każdy jest przekonany, że z utratą słuchu i to wszystko utraci; mało jednak takich, którzy wiedzą, jak łatwo się na to narazić można i jak stosunkowo mało kosztuje trudności unikanie niebezpieczeństw, zagrażających naszemu słuchowi. Pomijając wykonanie rysunków, któreby dla szerszej publiczności nieco dokładniej i nieco zrozumiałej mogły przedstawić anatomiczną budowę tego organu, odpowiada niniejsze dziełko wyżej wymienionemu celowi w zupełności.

TOMIK XIII. Choroby kobiece. Napisał *dr. Baas*. Tłumaczył dr. J. St. 1889.

Tytuł może najmniej odpowiada treści dziełka, gdyż broszura jest raczej poradnikiem dla kobiet, skreślonym w pewnych, ściśle ograni-

czonych ramach, na tle opisu normalnego i nienormalnego rozwoju organizmu kobiecego. Nietylko specjalistów, ale nawet ciekawej płci pięknej nie może ten tomik poinformować dokładnie o rozwoju wszystkich władz i o warunkach, od których on zależy. Jestto krótki a treściwy odczyt, z którego publika może polapać pewne przestrogi, reguły, rady, odnoszące się do wychowania dziewcząt i do higienicznego trybu życia niewiast. Miniaturowy ten podręcznik ma atoli tę zaletę, że nie nuży czytelnika, a co ważniejsza, nie razi czytelniczki: styl grzeczny i delikatne traktowanie rzeczy poważnych, odpowiada celowi dziełka przeznaczonego dla niewiast. Z przeczytania XIII. tomiku „Leczenia domowego“ większą korzyść odniesie z pewnością niejedna żona i niejedna matka, niż z tylu dzieł wątpliwej treści, które dziś tak rozchwytyjemy, a po których zostaje niesmak, niezadowolenie, albo wielkie nic. Po przejrzeniu broszury, każdy powtórzy to co autor powiada na wstępie, że kobieta jest duszą rodziny, że i zdrowie ciała zależy od dobrze zrozumianego zdrowia jego duszy.

TOMIK XIV. Skóra i jej choroby. Napisał *dr. Starkman*. 1889.

Tomik ten zawiera wcale wyczerpujący opis głównych chorób skórnych, których kuracya rzeczywiście należy w znacznej części do leczenia domowego. Treść broszury liczy się z wymaganiami najnowszych naukowych zdobyczy, a styl jędrny i zrozumiały. Podział cierpień przeprowadzony (i to słusznie) według znakomitego Hebry: z całego jednak tego szeregu opisano tylko te choroby, które najczęściej występują i które każdy, dbający o swoje zdrowie i piękność, znać powinien. Ze środków leczniczych podano również tylko te, których można łatwo dostać i których stosowanie z żadnemi nie jest połączone trudnościami. Słusznie również zwraca się autor przeciwko kosmetykom, kremom, blanszom i t. p., zaręczając, że zwyczajna woda z mydłem o wiele lepiej utrzymuje świeżość cery. Broszurka, jednym słowem, dość zgrabnie sformułowana a bardzo użyteczna.

TOMIK XV. Skrofuley (zółty). Napisał *dr. Niemeyer*. 1889.

Końcowe wyrazy tej książeczki brzmią jak następuje: „kto przeczytał broszurę z uwagą, ten z pewnością wyciągnie sobie wniosek właściwy, tj. że najważniejszą ochroną przed skrofulami jest higieniczne wychowanie dzieci, i hartowanie ich od najpierwszych chwil w życiu do znoszenia obowiązków i trudów, jakie to życie kładzie na barki każdej jednostki“.

Słowa te wyrażają w zupełności myśl przewodnią, jaka kierowała autorem w ciągu broszury. Nie biorąc na siebie obowiązku określenia naukowego zolżów, autor udowadnia wprost, że niehigieniczne wychowanie dzieci jest największym bodźcem do wyłaniania się tej dziś tak pospolitej choroby. Etiologia cierpienia również bliżej nie opisana: kwestya dziedziczności pominięta, może dla oszczędzenia przykrości i niepokoju niejednej matce; profilaksa natomiast i zapobiegawcza terapia sumiennie przeprowadzona. Na każdym kroku czytamy cenne rady, zwłaszcza dla zamożnych ludzi, pieszczących zbyt często swe dzieci, oraz poparte przykładami przestrogi, których obyśmy się tylko trzymać chcieli, a „usuając przyczynę, usuniemy skutek“.

TOMIK XVI. Choroby serca. Napisał *dr. Lange*. 1889.

Autor dzieli nam rzecz o sercu na dwa rozdziały; w pierwszym z nich zapoznaje czytelnika z istotą i przyczyną chorób sercowych. w drugim zaś udziela higienicznych rad osobom dotkniętym wymienionem cierpieniem.

Temat to wdzięczny, rozprawiający o organie tak ważnym i tak niepoślednio zajmującym miejsce zarówno w przyrodzonym porządku rzeczy, jak i w życiu naszym psychicznem. Chętnie weźmie każdy do ręki tomik XVI., chcąc się zapoznać bliżej z tym organem, w którym starożytni filozofowie szukali duszy, a któremu nowoczesny przyrodnik składa mimowoli hołd, powtarzając, że serce pierwsze zaczyna żyć, a ostatnie umiera. Możeby lepiej zrobił autor, gdyby w pierwszej części nie trzymał się naukowych podziałów i przeprowadził najpierw ścisłą zależność, w jakiej stoją wszystkie funkcyje ustroju od krążenia krwi, i zboczenia, którym ta zależność ulega, a z tego wysnuł dopiero poszczególne objawy chorobowe. W drugiej części natomiast dobrze jest przeprowadzone znaczenie głównej sprężyny misternego przyrządu zegarowego, oraz podany sposób regulowania, zapomocą odpowiedniego zachowania się, tej sprężyny całego ustroju.

TOMIK XVII. Choroby oczu. Napisał *dr. Baas*. 1890.

Tomik siedemnasty, podobnie jak i poprzednie, zaczyna się od opisu normalnego kształtu i prawidłowych funkcyj tego szlachetnego organu, o którym powiadamy w życiu potocznem, że jest „zwierciadłem duszy“. Misterny jednak ten organ od przyjścia na świat, może więcej jak inne, ciągle jest narażony na różnorodne szkodliwe wpływy, których unikać powinniśmy starannie. „Strzeż skarbu, jak oka

w głowie“, powiada dawne przysłowie; a my dziś, odwracając to zdanie, możemy powiedzieć: „Strzeż oka w głowie, jako największego skarbu“. Środkami do tego być mają: staranne pielęgnowanie oka, nienadużywanie wzroku, baczne zachowanie czystości, unikanie leków babskich i cudownych wód, a w razie najmniejszej dolegliwości, natychmiastowe radzenie się lekarza. Tylko przy tak ostrożnem postępowaniu, zachować i zabezpieczyć będziemy mogli jeden z najniezbędniejszych zmysłów, o którym tak słusznie nasz wieszcz powiedział, że jest talizmanem, zapomocą którego „dusza trzyma moc bezrozumną na uwiezi“.

Po tych kilku uwagach, które się nam nasunęły przy przeglądaniu kilku poszczególnych tomików, jakie nam wpadły pod rękę, zakończyć wypada szczerem życzeniem, aby wydawnictwo p. t. „Leczenie domowe“ pomyślnie się dalej rozwijało i starało się jak dotąd ze ścisłością naukową jednoczyć przystępność treści i jasność formy. Tylko czyniąc tym dwom warunkom zadość, można w dziedzinie popularyzowania wiedzy ominąć Scyllę i Charybdę, wśród których nasza łódka oscyluje, tj. z jednej strony zbytnią ścisłość naukową, niezrozumiałą i nieprzystępną ogółowi — z drugiej, zbliżanie się pod względem treści do rad owezarskich i publikacyj kalendarzowych, które w celach spekulacyjnych budzą niechęć do mężów nauki i zdobyczy wiedzy, nakształt demagogów, piorunujących przeciwko władzy, aby samym stanąć u steru rządu. Unikajmy tych dwóch ostateczności w popularyzowaniu wiedzy, a wpajając w każdego przekonanie, że zdrowie ciała tylko przyczynić się może do podtrzymania zdrowia ducha, zastąpimy lekturą miłą a użyteczną w codziennem życiu zagłębianie się w tylu dziełach miernej treści i wątpliwej wartości, pozostawiających po sobie tylko zniechęcenie i niesmak.

Józef Zanietowski.

Ruskie wydawnictwa ks. Ł. Dzułyńskiego.

„Co czynisz, czyni tak, jakoby cały skutek zawisł jedynie od twoich usiłowań, a nie od błogosławieństwa Bożego; tak się zaś módl, jakoby wszystko zawisło od Boga, a nie od twej pracy“. Tę wielką zasadę mistrzów życia duchownego stosuje w całej rozciągłości ks. Dzułyński w pięknem, choć niełatwem, podjętem przez siebie dziele podźwignięcia całej masy intelektualnie i moralnie opuszczonego ludu.

Od lat czterech zacny ten ksiądz ruski wprowadza przy najcięższych warunkach szczęśliwie w życie swój ideał. Znając stosunki ludu,

wiedząc, jak on z jednej strony łaknie pokarmu zdrowej chrześcijańskiej oświaty, a z drugiej, jak często miasto niej podają mu truciznę liberalizmu albo i socjalizmu: postanowił ks. Dżułyński wraz z kilku swymi współbraćmi iść się odważnie apostołskiej pracy: uczyć, oświecać, prawdę krzewić, błędy zbijać.

Zaczął od wydawania dwutygodnika dla ludu p. t. *Posłannik*. Z początku sam musiał być wszystkim: redaktorem, korektorem i administratorem, i poświęcił na to cały zasób sił i czasu, niemniej jak i cały zaoszczędzony ze szczupłych swoich dochodów fundusz. Znalazł na początek zaledwie niespełna dwustu prenumeratorów, i to prawie wyłącznie między ludem. Jednak to go nie zraziło. W tak ciężkich warunkach przebył rok i drugi, zdobywając każdym numerem swego *Posłannika* coraz szersze koła czytelników, coraz większe uznanie dla swego prawdziwie pojednawczego kierunku. Duch boży i zapatrywania czysto katolickie zjednywały *Posłannikowi* coraz większe uznanie władz kościelnych i pociągały jednomyślnych księży ruskich, a niska znowu prenumerata (2 złr. rocznie) otwierała przystęp do biednego ludu.

Po dwóch latach ks. Dżułyński powiększył swą działalność. Począł wydawać małe „Książeczki misyjne“, nawzór „Intencyj“ Apostołów Modlitwy. Był to jeszcze odpowiedniejszy środek do niesienia światła pod ubogie wiejskie strzechy, gdyż książeczkę ilustrowaną za dwa lub trzy centy jest w stanie kupić i ten, kogo nie stać na 2 złr. na *Posłannika*. Książeczki misyjne lud ruski powitał z zapalem; dowodem tego, że pierwsze już numera rozeszły się w 10.000 egzemplarzy.

Lecz do ludu, jak w innych rzeczach, tak i w tej przystęp możliwy jedynie za pośrednictwem tych, którzy go prowadzą: przez jego pasterzy. Pozyskać dla siebie szerokie koła księży ruskich, albo co więcej, zjednoczyć wszystkich jednej z sobą myśli w ciśniejsze stowarzyszenie i do wspólnej pracy ożywić tym samym duchem, znaczyłyby więcej, niż wszystkie dotychczasowe trudy zacnego kapłana.

Szcześnie sprzyjało księdzu D. w przeprowadzeniu tej myśli; w grudniu r. 1890 udało mu się myśl swą zamienić w czyn. Za jego inicjatywą zawiązało się we Lwowie „Towarzystwo misyjne księży ruskich, pod wezwaniem św. Pawła Apostoła“. Około stu księży przyjęło jego statut, pochwalony przez wszystkich trzech ruskich biskupów, potwierdzony przez namiestnictwo. Zatwierdzenie to było niejako publicznym uznaniem pracy ks. Dżułyńskiego. I słusznie, bo każdy widzi ogromną doniosłość takiego zorganizowania się księży pod umiejętnym przewodnikiem, każdy widzi, jaką przyszłość dla podźwignięcia ruskiego ludu ro-

kuje, i jaka to zasługa niestrudzonego inicjatora. Na owoce niedługo trzeba było czekać. Pierwszym krokiem Towarzystwa św. Pawła było urządzenie rekolekcij dla samychże członków Towarzystwa. Rekolekcyje odbyły się w marcu w klasztorze Bazylikańskim we Lwowie, pod kierunkiem W. O. Łomnickiego Z. Ś. B. W. Najprzewielebniejszy ks. Metropolita Sembratowicz, wraz z kapitułą, zaszczylił rekolekcyje swoją obecnością, a gorącym przemówieniem do uczestniczących dał poznać, jak wielce leży mu na sercu praca w takim duchu. Za rekolekcjami księży, poszły rekolekcyje kleryków w seminarium duchownem lwowskiem. W ślad za tem zajęło się Tow. św. Pawła urządzeniem misyj dla ludu. Odbyły się one już w trzech miejscach: w Żużlu koło Krystynopola, w Brodkach koło Szczerca, i w Olesku koło Złoczowa, a tysiączne tłumy ludu korzystającego z tych misyj, były oczywistym dowodem, jakim dobrodziejstwem było dla niego Towarzystwo św. Pawła. Przez Towarzystwo zaś i przez misye utorował sobie szerszą drogę i *Postanik* ks. Dżułyńskiego, a i książeczki jego misyjne objęły szersze koła ludu, z kąd znów możnaby wróżyć, że przyszłość tak ich, jak i dwutygodnika teraz już będzie zupełnie zapewnioną. Tak jednak nie jest. Trudności, z jakimi ks. Dżułyński walczył z samego początku, zostały co prawda w wielkiej części usunięte: uczynił on co mógł i uznanie należy mu się wielkie tak od duchowieństwa ruskiego, jak i od ludu: z tem wszystkiem, o ile przynajmniej sądzimy, można się było większych rezultatów spodziewać. Na 2000 zgórą księży ruskich w naszym kraju, jakże to mało widzieć zaledwie stu kilkunastu na liście Towarzystwa św. Pawła: na trzy miliony zgórą ludu ruskiego, jakże to mało kilka setek zaledwie prenumeratorów *Postanika*. To nie wystarczy, aby można mieć silną rękojmnię świetniejszej przyszłości tego tak dobrego pod każdym względem i tak dla ruskiego ludu pożytecznego wydawnictwa. Spodziewać się jednak należy, że wszyscy, którym nie jest obojętny skutek tej zbożnej pracy, pospieszą wydawnictwu z pomocą, aby zapewnić mu szerszą i skuteczniejszą działalność.

A teraz słów jeszcze kilka o ostatnich dwóch wydawnictwach ks. Dżułyńskiego. Pierwsze z nich nosi tytuł: *Szczodenni Mołitwy*; i *Katechizm abo nauka o tym, szczo kôždomu chrystianynowi do spasenja naty potreba* (str. 32. cena 3 ct.). Najpotrzebniejsza to i prawdziwie na czasie książeczka. Kto wie, jak lud przekręca najwyczajniejsze modlitwy i jak przez to traci rozumienie tego, co dlań najważniejsze, to jest modlitwy, nadto, jak mu brak najprostszych zasad katechizmowych — ten zrozumie, czem ta książeczka dla ludu. Po modlitwach

codziennych następuje treściwe zestawienie nauki o Bogu w Trójcy jedynym, o stworzeniu świata, o stanie pierwszych rodziców, o ich upadku, następnie o grzechu pierworodnym, o odkupieniu przez Chrystusa Pana; za tem idzie nauka o jednym prawdziwym Kościele, dalej o siedmiu Sakramentach i o tem, co człowiekowi zapewnia wytrwanie do końca, to jest o modlitwie, wkońcu o czterech rzeczach ostatecznych. Jeżeli jaką książeczkę, to z pewnością tę duszpasterze powinni podawać każdemu swemu parafianinowi. Innej podobnej niema w języku ruskim, więc niema i wyboru, a przecie jest obowiązek.

Druga książeczka, to nowe tłumaczenie Tomasza à Kempis: O naśladowaniu Chrystusa Pana. Wydanie piękne, w formie książki do nabożeństwa (w 12-ce, str. 1—388, cena 1 złr.).

W podjęciu tej pracy powodował się zapewne wydawca, ks. Dżułyński, ważną myślą, aby podać swym współbraciom księżom niezbędną książeczkę do kapłańskich rozmyślań, do czytania duchownego, do modlitwy. Zaiste, ta *medulla Ewangeliæ*, rdzeń Ewangelii, jak nazwał św. Ignacy książeczkę Naśladowania, jest wyższa nad wszelkie nasze pochwały. Kto jej jeszcze nie zna, ten niechaj zastanowi się nad samą tylko liczbą wydań i tłumaczeń, jakich się już doczekała, a które z dniem każdym prawie się mnożą, a nabierze jakiego-takiego wyobrażenia o jej wartości. Było ich dotychczas ni mniej ni więcej tylko 2738.

Książ D. wydanie swoje przygotował jak najstarchniej, druk piękny, miejsca z Pisma św. odznaczone wybitniejszymi czcionkami. Stronnice w pięknych obwódkach, pojedyncze wiersze w odpowiednich odstępach, odznaczone nadto liczbą porządkową. Samo tłumaczenie, gładkie i wiernie oddaje myśli świętobliwego autora.

Nowa ta praca ks. Dżułyńskiego zasługuje zaiste na wszelkie uznanie: to też nie wątpimy, że wydanie to rozejdzie się prędko i że w żadnej go nie zabraknie plebanii. Dla pracowitego zaś autora będzie to naturalnie zachętą do dalszej pracy w kierunku, jaki sobie wytknął i w jakim mimo wielkich trudności trwa niezłomnie już przez lat cztery. Szczęście mu Boże w tej katolickiej, w tej w najlepszym, w prawdziwym słowa znaczeniu patryotycznej pracy.

Ks. Pl.

Uwielbienia łaski Bożej. Według *d-ra M. S. Schcebena* i *O. E. Nieremberga T. J.*, z czwartego wydania niemieckiego wolno przełożył ks. J. Tylka. Tarnów. Nakładem tłumacza.

Niedawno temu, bo przed miesiącem niespełna, opuściło prasę w Tarnowie tłumaczenie tego arcydzieła ascetycznego. Jak przypaść

musiało publiczności do smaku, lub jak odpowiadało potrzebie, dość wspomnieć, że wyszedłszy w 1000 egzemplarzach, dziś już w znacznie większej części rozkupione, tak, że o drugim nakładzie tłumacz zamyśla.

Dziółko to traktuje o zacności, wielkości i znaczeniu łaski Bożej. Rozpada się na pięć części: w pierwszej mówi się o istocie łaski Bożej, a więc: jak wyrывa człowieka z ciasnych granic wytkniętych jego naturze; jak go stawia w porządku Bożym przez uczestnictwo w naturze Bożej; jak z tem uczestnictwem przypuszczony jest człowiek do udziału w Boskiej wiedzy, kończącej się ostatecznie oglądaniem oblicza Bożego; jak przez łaskę uczestniczymy w świętości samemu Bogu właściwej, a tem samem jak łaska pod pewnym względem nieskończonej jest wartości. Trudno tu milczeniem pominąć znakomite zestawienie, rzucające całe pęki światła na zrozumienie istoty łaski Bożej. Zawarte ono w dwóch rozdziałach; jeden z nich: „łaska poświęcająca, a Wcielenie Syna Bożego“; drugi: „łaska Boża, a Macierzyństwo Maryi“. Temi dwiema prawdami oświecona tajemnica łaski, występuje dopiero w tej pełni światła, jaką w sobie streszcza.

Druga księga tłumaczy, do czego zmierza łaska Boża; a że najbliższym jej celem jest nawiązać tajemniczy węzeł duszy z Bogiem, dlatego przedstawia nam wpierw autor zstąpienie Ducha Św. do duszy, a z Nim całej Trójcy Przenajśw., by natchnąć ją życiem Bożem. Duch Św. jako związek między Ojcem i Synem, spełnia to samo zadanie w duszy; jako technienie Ojca i Syna, technie na nas dary swoje, aby przez nie złączyć nas w miłości z Trójcą Przenajśw. Pod technieniem Ducha Św. odradza się człowiek, stając się synem przybranym Boga: pod tem technieniem zawiązuje się między duszą a Bogiem stosunek tak święty i ścisły, że dusza staje się oblubienicą Bożą; przez dary miłości coraz więcej Bogiem przesiąka i jakby ginie w tym uścisku nieskończonej miłości Bożej.

Trzecia część przedstawia skutki łaski Bożej. Wychodzi tu autor z porównania łaski ze światłem, a porównanie to jest tłem wszystkich rozdziałów tej części. A więc: jak cudowną swą siłą niszczy grzech. rozpraszając jego ciemności; jak rozlewa w nas wiarę, nie będącą czem innem jak uczestnictwem w wiedzy Bożej; jak umacnia nas nadzieją. czyli uczestnictwem we wszechmocy Bożej; jak miłością ozdabia, jako tem co jest treścią życia Bożego, według orzeczenia św. Jana: „Bóg jest miłością“; jak z cnotami teologicznymi wstępują do duszy cnoty moralne i siedm darów Ducha Św.; jak łaską poświęcającą ozdobiona dusza, przez akty nadprzyrodzone zasługuje na żywot wieczny, czyli

uczestnictwo w szczęściu Bożem; jak ta łaska maże kary doczesne; jak przypuszcza do udziału we wszystkich dobrach Chrystusa i Świętych Pańskich; jakich wreszcie sił udziela do opanowania słabości ludzkiej natury.

Czwarty dział mówi jeszcze o niektórych dalszych skutkach i zaletach łaski poświęcającej. Przedewszystkiem mowa tu: o szczególnej opatrności, z jaką Bóg czuwa nad sprawiedliwymi; o chórach anielskich, otaczających duszę żyjącą w łasce Bożej; o prawdziwym szczęściu człowieka, żyjącego w łasce; o oświacie, wolności i postępie, które dopiero w łasce poświęcającej w prawdziwym ich znaczeniu znaleźć można.

Piąta część zajmuje się przeważnie środkami do nabycia, pomnożenia i zachowania łaski.

Treść aż do zbytku bogata, a na nieszczęście tak mało znana; to też prawdziwą przysługę wyświadczył tłumacz literaturze polskiej, przyswajając jej to prawdziwe arcydzieło teologiczno-ascetyczne. Dodać tu musimy, że czcigodny tłumacz uniknął bardzo wielu braków, jakie się znajdują w niemieckim tłumaczeniu ks. Scheebena, który w dziale traktującym o zjednoczeniu i zlaniu się duszy z Bogiem, mimowoli nieco trąci panteizmem. Te szkopyły wyminął nasz tłumacz, dodając odpowiednie omówienia, broniące przed złem zrozumieniem rzeczy. Język gładki i potoczysty, a tak dziwnie nagięty do oddania zawiłych nieraz kwestyj, chlubę przynosi niepoślednią temu, który wśród tylu innych obowiązkowych zajęć, nie zawahał się podjąć — niby dla wypoczynku po całodziennej pracy — zbożnego tego dzieła. Szkoda tylko, że tak lichy papier i tyle błędów drukarskich; winą to nieodpowiednio dobranej drukarni i bezmyślnego zecera. Prócz tego, z tytułu sądzićby można, że to wspólna praca ks. Scheebena i O. Nieremberga, podczas gdy Scheeben tylko wolno przetłumaczył to, co tak znakomicie O. Nieremberg przedstawił. Dodać należy, że cała ta praca poświęcona na restaurację katedralnego kościoła w Tarnowie.

Ks. W. D.

Z piśmiennictwa zagranicznego.

Ein Cyclus christologischer Gemälde aus der Katakombe der Heiligen Petrus und Marcellinus. Zum erstenmal herausgegeben und erläutert von *Joseph Wilpert*. Mit 9 Tafeln in Lichtdruck. Freiburg im Br. Herder. 1891. (Folio, str. VIII i 58. M. 8).

W marcu zeszłego roku przyniósł najpierw *Osservatore Romano*, a za nim także inne pisma włoskie, niemieckie a nawet amerykańskie, wiadomość o ważnem odkryciu, zrobionem przez znanego archeologa Wilperta, w katakumbach św. Piotra i Marcelina, przy drodze Lawikańskiej w Rzymie. W starej tej nekropoli leżą tuż przy dzisiejszem wejściu do podziemia trzy kaplice grobowe, pokryte wewnątrz bogato malowidłami. Widział je już słynny Bozyusz, bo na planie, sporządzonym po jego śmierci, oznaczone są liczbami 52, 53, 54, i kazał nawet freski z krypty 53 i kilka lepiej zachowanych z krypty 52 odrysować: freski z kaplicy 54 zostały pominięte, jako miejscami zblakłe i niezrozumiałe. Łatwo się domyśleć, że w latach następnych zniszczały jeszcze bardziej pod wpływem wilgoci: to też nikt aż do naszych czasów nie pokusił się o ich skopiowanie i wytłumaczenie. I trzeba było dopiero tak bystrego oka i takiego znawstwa starej sztuki kościelnej i poszanowania dla każdej, choćby najdrobniejszej starej chrześcijańskiej pamiątki cmentarnej, jakie posiada Wilpert, a przytem całego wysiłku niestrudzonej pracy, aby z tych ścian wilgotnych, pokrytych plamami czarnymi i pleśnią, odczytać wreszcie to, czego odczytać nie mogli przed 300 blisko laty kopiści Bozysza. Wyniki tych mozolnych badań daje nam Wilpert w książce, której tytuł przytoczyliśmy. Liczbą stron nie raczej broszurą, zawiera jednak tyle nowych i ciekawych rzeczy do historyi sztuki i dogmatu, iż czyta się od początku do końca z prawdziwą rozkoszą.

Autor zaczyna od opisu kaplicy 54. Sklepienie tejże podzielone jest na dziewięć części. Środek zajmuje fresk, przedstawiający Chrystusa na tronie, w otoczeniu Świętych, odbywającego sądy nad duszami zmarłych. W czterech czworobocznych polach przyległych, widzimy scenę Zwiastowania, obok niej chrzest Chrystusa, dalej Magów adorujących gwiazdę kształtu monogramu Chrystusa X, a wreszcie tych samych mędrców składających dary Nowonarodzonemu. Cztery koła naróżne są wypełnione naprzemiennie dwoma przedstawieniami Dobrego Pasterza, niosącego zgubioną owieczkę na ramionach, i figurami dwóch

męskich Orantów. Lepiej niż wspomniane, zachowały się freski na wewnętrznej stronie ściany, w której mieszczą się drzwi. Wchodząc, widzimy tu po prawej ręce uzdrowienie niewiasty krwiotok cierpiącej, a pod nią Chrystusa uzdrawiającego paralytyka; po stronie lewej uzdrowienie ślepego, a poniżej Chrystus z Samarytanką przy studni Jakóbowej. Na tablicy I—II daje nam Wilpert fotografie tych malowideł, a na tabl. III—IV własnoręczne ich kopie. W kaplicy 53 powtarzają się sceny uzdrowienia ślepego i paralytyka, a w środku sufitu Dobry Pasterz; inne obrazy przedstawiają Noego w arce, a dalej trzy sceny z historyi Jonasza, mianowicie wyrzucenie z okrętu, wyrzucenie z puszczy ryby i spoczynek pod liśćmi bluszczu. W krypcie 52 nową jest tylko scena rozmnożenia chleba na puszczy, umieszczona w środku sufitu. Z trzech tych kaplic, najpierw malowana była krypta 54, a po niej zaraz dwie następne. Styl malowideł, kształt gwiazdy, a wreszcie treść kompozycji, dowodzi, że powstały w połowie wieku III.

Widoczna, że mamy tu przed sobą szereg fresków symbolicznych; ale jak wydobyć z nich myśl właściwą? Jak wszędzie, tak i w objaśnieniu tych malowideł (str. 12—18) autor postępuje drogą ściśle naukową. Archeolog winien przedewszystkiem pamiętać, że stara symbolika chrześcijańska nie była rzeczą fantazyi, ale opierała się w całym Kościele na tych samych zasadach prostych i zdrowych, które dadzą się odnaleźć jedynie przez studium porównawcze wszystkich monumentów cmentarnych, tak ikonograficznych jak epigraticznych. To co epitafy wypowiadają słowami, przedstawiają najczęściej freski w obrazach; zestawione tedy umiejętnie, uzupełniają się nawzajem i wtajemniczają w ową mowę hieroglificzną, przystępną jedynie wiernym, używaną w Galii, Rzymie, Afryce i Azji. Jak wszędzie, tak i tutaj monumenta prostsze, zrozumiałe, są kluczem do odcyfrowania pokrewnych ciemniejszych kompozycji, a zarazem drogowskazem do oryentowania się na całej rozległej niwie starochrześcijańskiej symboliki. Między innymi są takim drogowskazem także malowidła krypty 54 u św. Piotra i Marcelina. Jestto cykl obrazów, będących z sobą w najściślejszym związku logicznym. Wypowiedziane nimi prawdy tak są głęboko odczute, tak jasno przemyślane, i z taką prostotą powiązane w całość, iż nietrudno się domyśleć, że artysta nie wysnuł tej kompozycji z siebie, lecz musiał ją stworzyć gruntownie wykształcony teolog, który dopiero inspirował malarza. Źródło, z którego autor malowideł czerpał, jest Pismo św.; ono nam też znaczenie ich wytłumaczy.

Punktem wyjścia dla całej grupy jest scena Zwiastowania, ilu-

stracya do słów Łukasza (I, 31): *Oto poczniesz w żywocie, i porodzisz syna; a nazowiesz imię jego Jezus*. To Słowo Boże, co z Maryi wzięło ciało, zwane jest w wielu miejscach „światłością prawdziwą, która oświeca wszelkiego człowieka na ten świat przychodzącego“. *Wstań, oświeć się Jeruzalem: bo przyszła światłość twoja*, woła Izajasz (LX, 1-3), *a sława Pańska weszła nad tobą... I będą chodzić narodowie w światłości twojej, a królowie w jasności wejścia twójego*. To proroctwo już się spełniło: bo oto widzimy naprzeciw sceny Zwiastowania trzech mędrców, spieszących w świetle gwiazdy i w światłości Imienia Jezusa Chrystusa (X) ku Betlehem, a w polu po prawej stronie Magów, oddających pokłon i podarunki Mesyasowi. Był to pierwszy hołd, jaki spotkał Syna Bożego ze strony wielkich tego świata; pierwsze uroczyste uznanie ze strony Ojca Niebieskiego odbiera Chrystus przy chrzcie w Jordanie, przedstawionym na fresku czwartym. Chrystus nie żądał ślepej wiary od swych uczniów, ale powołuje się ciągle na cuda, jako dowody boskości swego posłannictwa. Trzy z tych cudów, zdziałane właśnie w nagrodę wiary w jego Bóstwo, widzimy na ścianie bocznej naszej kaplicy. *Córko, wiara twoja ciebie uzdrowiła*, powiada Chrystus u św. Mateusza r. IX. Ta wiara w boskość misyi Jezusa była naczelnym dogmatem pierwszych wieków; ona widnieje też z nagrobków, gdzie czytamy np.: *Lucilla crededit in Iesum* $\frac{P}{X}$ — „Lucilla wierzyła w Jezusa Chrystusa“; *In Christum credens praemia lucis habet* — „w nagrodę za wiarę w Chrystusa otrzymał światłość wiekuistą“. Pięknie także dostraja się do całości scena, przedstawiająca Chrystusa u studni Jakóbowej, bo tu objawił się Samarytanom jako obiecany Mesyas i pozyskał z nich wielu dla swej nauki. Wszystkie dotychczas wspomniane obrazy przedstawiają Chrystusa jako Mesyasa i Syna Bożego, który dla odkupienia świata wziął ciało z Dziewicy, i jako światłość, która przyszła oświecić tych, co siedzą w ciemnościach i cieniach nocy. Lecz nie tylko dla żyjących Chrystus jest światłością przez prawdziwą wiarę, którą ich darzy; światłość czerpią zeń także umarli, oglądając go twarzą w twarz. *I nocy więcej nie będzie... bo je Pan Bóg oświecać będzie*, powiada św. Jan w Apokalipsie XXII. Niemniej jasno głoszą tę prawdę napisy: *Maritima Semme, nie opuściłaś miłego światła, boć masz z sobą Ichthysa* (Chrystusa) *nad wszystkich Nieśmiertelnego*. Niejaki Pektoryusz zwie Zbawiciela na nagrobku: $\Phi\omega\varsigma\ \tau\acute{o}\ \theta\alpha\nu\acute{o}\nu\tau\omega\nu$ — „światłością umarłych“; od Chrystusa-Światłości otrzymało także miejsce wiecznego szczęścia nazwę: *Locus lucidus* — miejsce jasne. Ale zanim zmarli wnikną w to miejsce światłości, muszą wprzód stanąć przed try-

bu nał Sędziego. Sąd taki właśnie jest przedstawiony w samym środku sklepienia. Chrystus, siedzący na tronie, gotów jest wyrzec wyrok nad zmarłym, którym jest w tym wypadku sam fundator tego cyklu obrazów. Jak wyrok wypadnie? Zmarły wierzył w Jezusa Chrystusa, spełniał jego przykazania, a ztąd wstawiają się za nim do Sędziego, Święci, tron jego okalający. Oni są — aby użyć wyrażenia epitafu — adwokatami zmarłego przed Bogiem i Chrystusem. Nieboszczyk wie jednak, że to sąd ścisły, więc ucieka się przede wszystkim do miłosierdzia bożego, i przypomina Sędziemu parabolę o Dobrym Pasterzu, którego obraz wymalować kazał aż dwa razy na suficie. Wszystko to skłoniło Sędziego do wydania wyroku łaskawego, bo zmarły stoi już w dwóch innych polach sklepienia jako *Orans* i modli się za pozostałymi na ziemi braćmi, aby i oni doszli do światłości wiekuistej.

Trudno prawdziwie znaleźć równie piękne *Credo* w innych malowidłach katakumbowych. Zmarły wypowiada w nim najpierw wiarę w Bóstwo Chrystusa, we wcielenie z Dziewicy, Jego chrzest, dalej że jest Sędzią i że jest szczęściem dusz zmarłych, wreszcie wyznaje, że wierzy w obcowanie świętych i zmartwychwstanie na żywot wieczny.

W rozdziale II. (str. 19—24) objaśnia autor, przy pomocy naszych malowideł, znaczenie gwiazdy w innych kompozycjach, jakoteż starą tradycję o liczbie Magów. W rozdziale następnym (str. 25—29) tłumaczy niektóre szczegóły obrazów i zestawia je z podobnymi malowidłami innych katakumb.

Najciekawszym jest rozdział IV. (str. 30—49): „O znaczeniu Orantów“. Jak już wspomnieliśmy, znajdują się w dwóch polach sufitu kaplicy 54 dwie figury męskie, z rozłożonemi do modlitwy ramionami, znane powszechnie w sztuce katakumbowej pod nazwą „Orantów“. Figury takie spotykamy już w najstarszych kompozycjach, a zachowały się one stale aż do wieku V. Pytanie, kogo one przedstawiają? Według Bozyusza, Orans oznacza zwykle nieboszczyka, spoczywającego właśnie w tym grobie, na którym jest umieszczony jego obraz w postawie osoby modlącej się. Dla Bottari'ego są Oranty obrazem zmarłych Świętych, których zwłoki złożone były w ścianie pod malowidłem. Makarius, archeolog wieku XVI., widzi w nich owe „święte matrony, które przyczyniły się do rozszerzenia lub ozdobienia katakumb. Zaś według nowszych badaczy, bywają one personifikacją Kościoła, oblubienicy Dobrego Pasterza, to znowu obrazem Matki Bożej, dusz zmarłych wogóle, lub Świętych w niebie, a nawet portretem nieboszczyka. Dla innych jeszcze, Orans jest obrazem duszy zmarłego, który prosi prze-

chodnia o modlitwę, albo wreszcie duszy, zostającej w czyśćcu, za którą Kościół się modli. Wielu z archeologów protestanckich uważa figury te za proste dekoracye. Trudne prawdziwie było oryentowanie się w tylu zdaniach, i dlatego cieszymy się, że Wilpert rzuca wiele nowego światła na te kreacye, które obok postaci Dobrego Pasterza, powtarzają się może najczęściej na murach cmentarzy. Określając znaczenie Orantów, ma on na myśli wyłącznie owe figury, wymalowane lub wyrzeźbione na grobach, które zostały tam umieszczone jeszcze w owych czasach, kiedy katakumby były używane za cmentarze, a przytem nie przedstawiają pewnych osób biblijnych, jak: Noego, Abrahama, Izaaka, Daniela. Otóż na niektórych freskach są przy Orantach wypisane imiona, jak: *Eliobora* w katakumbach św. Piotra i Marcelina, *Grata*, *Juliane*, *Floria*, *Veneranda*. Że to są imiona pochowanych pod malowidłem w ścianie osób, dowodzą przydane niekiedy aklamacye, np.: *Secundilla in Pace* — w pokoju! (zob. facs. tabl. IX. 1). Dlaczego zaś artyści malowali figury zmarłych w postawie osób modlących się, odpowiadają nam współczesne napisy grobowe, przez które mówią do nas o zmarłych ich przyjaciele. I tak zanoszą na niektórych epitafach pozostali bracia modlitwy za zmarłym do Boga. Kładziemy z nich choć kilka. *Lucretia pax tecum in Deo*: Lukrecyo, pokój niech będzie z tobą w Bogu! — *Pax tibi Octavia in perpetuum*: Pokój tobie Oktawio na wieki! — *Pax Domini et ✠ cum Faustino Attico*: Pokój Pana i Chrystusa z tobą Faustyno Attyko! — ΧΗΤΗ ΖΗΣΗΣ ΕΝ ΘΕΩ: Chethe, żyj w Bogu! — *Utulius Calligonus semper in Deo ricas dulcis anima*: Utuliusie Kaligonie, żyj zawsze w Bogu, duszo słodka! — *Ursula accepta sis in Christo*: Urszulo, obyś znalazła przyjęcie u Chrystusa! — *Paule in pacem te suscipiant omnium ispirita Sanctorum*: Pawle, niech cię przyjmą do pokoju dusze wszystkich Świętych! — *Kalemere Deus refrigeret spiritum tuum una cum (spiritu) sororis tue Hilare*: Kalemersie, niech Bóg da ochłodę duszy twej i twojej siostry Hilary! — *Pater omnipotens oro miserere laborum tantorum miserere anime non digna ferentis*: Ojcie wszechmocny, proszę Cię, wspomnij na krzyże, jakie ta dusza dźwigała niewinnie. — *Domine ne quando adumbretur spiritus Veneris*: Panie, nie dozwól, aby kiedyś ciemności ogarniały duszę Wenery. — Demetryusz i Leoneya położyli ten nagrobek dobrze zasłużonej córce Syrycyi. Pamiętaj, o Panie Jezu, o naszym dziecku!

Obok tych epitafów, są dalej takie, które wypowiadają silną wiarę i przekonanie, iż zmarły wszedł już do pokoju wiecznego. Czytamy np.: ΙΟΥΛΙΑΣ ΕΥΑΓΕΣΤΑΣ... ΥΨΗΛΟΙΣ ΕΙΣ

ΟΤΡΑΝΙΟΝ Τῶ ΒΑΣΙΛΕΙΑΝ ΜΕΤΑ ΤΩΝ ΑΓΓΕΙΩΝ ΑΝΕΛΗΜΦΘΗ:

Dusza Julii Ewarysty została przyjęta do królestwa Niebieskiego Chrystusa ze Świętymi. — *Magus puer innocens esse iam inter innocentes coepisti. Quam te letum excipet Mater Ecclesiae de hoc mundo revertentem. Conprematur pectorum gemitus struaturs fletus oculorum*: Magusie, chłopczyńno niewinny, dostałeś się już między niewinnych! Jakże radosne przyjęcie zgotowała ci Matka nasza, Kościół, powracającemu z tego świata. Niech serca zbolale zamilkną, oczy niech przestaną lzy wylewać! — *Iobina recessit a seculo ingressa in pace*: Jowina opuściła ten świat i weszła do pokoju. — *Heracilia recepta in pace* ☩: Heraklia została przyjęta do pokoju Chrystusa. — *Brattia filios procreavit VIII ex quibus secum habet ad Dominum IV*: Bracya porodziła ośmiu synów, z których ma z sobą czterech u Pana. — *Secerianus cuius spiritus in luce Domini susceptus est*: Seweryan, którego dusza została przyjęta do światłości Chrystusa.

Mamy dalej napisy, na których pozostali żywi proszą umarłych o modlitwę. Rodzice polecają się tu swym dzieciom, mąż zmarłej żonie, siostra bratu i t. d. Zwykle łączy się prośba z krótką modlitwą. *Attice spiritus tuus in bonu ora pro parentibus tuis*: Attyku, niech dusza twoja będzie tam, gdzie jest dobrze; módl się za rodzicami twoimi. — *Ἀνατόλως ἡμῶν πρωτοτοκῶν τέκνον ὅστις ἡμῶν ἐδούλης πρὸς ὅλκων χρόνων ἔχων ὡπὲρ ἡμῶν*: Anatolu, nasz pierworodny synu, który nam tylko na krótko byłeś dany, módl się za nami! — *Ispiritus tuus bene requiescat in Deo petas pro sorore tua*: Duch twój niech odpoczywa słodko w Bogu; módl się za siostrą! — *Sabbati dulcis anima pete et roga pro fratres et sodales tuos*: Sabacynszu, słodka duszo, módl się usilnie za braćmi i rówieśnikami twymi! — *Victorinus anima innocens inter sanctis et iustis orationibus tuis petas pro nobis...*: Wiktorynie, duszo niewinna, prosz za nami w twych świętych i sprawiedliwych modlitwach! — Jednym z najpiękniejszych napisów jest następujący, z wieku III., znaleziony w katakumbach Ostryańskich, a przechowany dziś w muzeum Kirchera: *Dionizy, niewinne dziecko, spoczywa tu ze Świętymi. Pamiętajcie o nas w waszych świętych modlitwach, a mianowicie o owym, który napis ułożył, jak i o tym, który go wygrzebił*. — Na trzech innych jest wyraźnie powiedziane, że pozostali nie proszą o dobra doczesne, jeno o łaski nadprzyrodzone. *Nunc veniente Deo nostri reminiscere virgo ut tua per Dominum praeestet mihi facula lumen*: Teraz, kiedy już przyszedł Bóg (twój Oblubieniec, aby cię wziąć na gody), pomnij na nas, dziewico, aby twoja pochodnia miłe użyczyła światła od Chrystusa. — *Praestes in*

orationibus tuis ut possit (Dominus) amartias meas indulgere: Wyje-dnaj mi swemi modlitwami, aby mi Pan przebaczył moje grzechy. — SVT · I PETE PRO NOS VT SALVI SIMVS: Sutusie (Sykstusie?), módl się za nami, abyśmy zbawienia dostąpili.

Przytoczyliśmy za autorem znaczną część pięknych napisów, ponieważ powiadają nam z jednej strony, czym są Oranty, a z drugiej odsłaniają równocześnie wiarę pierwszych chrześcijan w życie przyszłe, i ich pragnienia pozagrobowe. Na tych epitafach przedstawiają się zmarli albo wprost już jako święci, albo jako tacy, którym pozostali na ziemi życzą wiekuistego szczęścia. Ale i w tych życzeniach jest wypowiedziana pewność, że także ci zmarli doszli już do upragnionego celu, do światłości wiekuistej. Do jednych i drugich zwracają się żyjący z prośbami, aby się za nimi modlili i poza grobem u tronu bożego o nich pamiętali. A wiemy z dzieł Ojców, że chrześcijanie pierwszych wieków modlili się z rozłożonemi ramionami, a więc w tej samej postawie, w jakiej widzimy na grobach figury, zwane Orantami: tem samem są Oranty obrazami owych zmarłych, do których żywi zanoszą modły. Do tego wniosku uprawniają nas także owe epitafy, na których Oranty noszą imię osoby zmarłej. Oranty są tedy, według Wilperta (str. 43), obrazami dusz, używających już szczęścia niebieskiego, które modlą się za żywymi, aby i oni doszli do tegoż celu. Niektóre z Orantów mogą także przedstawiać dusze męczenników; jednak dziś, kiedy groby są pozbawione napisów, prawie niepodobna oznaczyć, który jest obrazem męczennika, a który zwykłego wyznawcy.

W ten sposób została tedy, zdaniem Wilperta, rozwiązana ostatecznie (str. 32) piękna kwestya w archeologii chrześcijańskiej. Daruje szanowny autor, iż powiemy, że jego argumenta nie przekonały nas, aby Oranty na ścianach katakumb i epitafach miały wyłącznie przedstawiać dusze zmarłych, modlące się za żywymi. Nie śmielibyśmy rzeczy stawiać tak ekskluzywnie. Zgoda na to, że są w większej części obrazami takich dusz szczęśliwych, ale trudno nam uwierzyć, aby Orans z Dzieciąciem, wypełniająca lunetę w katakumbach Ostriańskich, uważana ogólnie za Madonnę, była tylko zwyczajną zmarłą (str. 48), a mniej jeszcze, aby niewiasta, asystująca z rozłożonemi rękami w Kaplicach Sakramentów kapłanowi, sprawującemu najświętszą Ofiarę, nie była personifikacją Kościoła.

Bardzo ważne zagadnienie w ikonografii chrześcijańskiej rozwiązuje Wilpert w ostatnim rozdziale swej pracy (str. 49—52). Każdemu,

co choć raz oglądał malowidła katakumbowe, nasunąć się musi pytanie, jaki cel chciał osiągnąć artysta albo przyjaciel zmarłego, strojąc takim właśnie a nie innym obrazem jego łożo grobowe? I na to pytanie doczytał się Wilpert odpowiedzi w starych napisach, znanych pod nazwą *graffiti*, które wryli na ścianach cmentarzy pielgrzymi, zwiedzający tłumnie, z chwilą nastania pokoju, groby męczenników. Jedne z tych grafitów zawierają tylko gołe imiona: *Flora*, *Irene* i t. p.; inne są krótkimi modlitwami. Tak wypisał np. stary pielgrzym w *cubiculum clarum* u św. Pryscylli na fresku, przedstawiającym wskrzeszenie Łazarza: *✠ Felix vivat: Niech Feliks żyje w Chrystusie!* Poniżej: *Marceusz w Chrystusie!* Po prawej stronie grobu: *Marce Ianuari vivas: Marku January, żyj!* Zaś na malowidle sąsiednim, przedstawiającem wskrzeszenie córki Jaira: *Żyj w Chrystusie!* Nie ulega wątpliwości, że między tymi grafitami a oboma malowidłami istnieje związek logiczny. Kiedy pątnik ujrzał Wskrzeszenie Łazarza, stanęli mu żywo w pamięci jego ukochani zmarli i rozrzuwniony wypisał na ścianie swe pragnienia, słane do Chrystusa, aby i onych wskrzesił na żywot wieczny. — W tych samych katakumbach była z końcem II. lub w początkach wieku III. pochowana niejaka Agape, która na swym nagrobku zwraca się do przychodnia z prośbą o modlitwę: *Vos precor o fratres orare huc quando venitis et precibus totis Patrem Natumque rogatis sit vestrae mentis Agapae carae meminisse ut Deus omnipotens Agapen in saecula servet:* „Kiedy Bracia schodzicie się tu na modlitwy i we wspólnych błaganiach wzywacie Ojca i Syna, wspomnijcie także na drogą wam Agapę, aby Bóg Wszechmocny Agapę zachował na wieki“. — Na nagrobku, który znajduje się w muzeum Laterańskim, pozostały mąż oświadcza, że dlatego żonie kładzie napis, aby czytelnik westchnął za jej duszę do Boga.

Przytoczone powyżej grafity z katakumb św. Pryscylli dowodzą, że takie prośby, zanoszone do Braci, nie pozostawały bez skutku, i wskazują równocześnie, że dawni chrześcijanie głównie dlatego stroili groby w malowidła, aby niemi pobudzić żywych do modlitwy za umarłych.

Sprawozdanie nasze wypadło może nieco obszernie, ale zdaje się nam, że zrobiliśmy rzetelną przysługę czytelnikom, dając im do ręki taką piękną wiązaną świadectw, stwierdzających tożsamość naszej wiary z wiarą chrześcijan katakumbowych. O pracy Wilperta nic więcej nie mamy do powiedzenia: chwali się sama. Trud jego, w odtworzeniu omówionej kompozycji, ocenił najlepiej de Rossi. Kiedy Wilpert i jemu i kilku innym archeologom pokazywał te malowidła na ścianach kata-

kumb, to zrazu żaden z nich nic nie widział, jeno czarne plamy. Spostrzegli oni nasze freski dopiero po oświeceniu i wskazaniu palcem konturów pojedynczych figur, i wtedy ucieszony Rossi powiedział, robiąc aluzję do sceny uzdrowienia ślepego: i ty zrobiłeś cud, boś otworzył oczy ślepych.

Ks. dr. J. Bilczewski.

Marin et Jésuite, vie et voyages de François de Plas. Par le p. Mercier S. J. Paris, Retaux-Bray.

Nieskończone widnokreśli morskie zwykły i w duszach nieskończone budzić pragnienia i poloty. Osobna wyższość cechuje marynarzy, osobna też u nich wyrabia się zacność serca i tęgość woli. Codzienne niebezpieczeństwa hartują, a ziemską wrzawa staje się niedosłyszalną wśród ryku bałwanów. Francya niedawno szczyciła się szlachetnem życiem i zgonem admirała Courbета; teraz podaje nam inny wizerunek żeglarza, który czterdzieści kilka lat służył ojczyźnie jako kapitan okrętu i wyższy oficer marynarki, a ostatnie dwa dziesiątki lat spędził w zakonie Jezusowym. Jestto niemal autobiografia, tak zręcznie autor żywota Franciszka de Plas posługuje się listami i zapiskami swego bohatera. Mimo barwności opowiadania i rozmaitości szczegółów, jestto przede wszystkim historia wewnętrznego przełomu duszy, podnoszącej się powolnem stopniowaniem aż na wyżyny doskonałości. Urodzony w r. 1809, przysły Jezuita zrazu zaledwie był chrześcijaninem, o praktyce życia pobożnego nie słyszał i nie myślał, wśród obojętności cechującej pierwszą ćwierć naszego stulecia. Religia honoru i patriotyzmu wystarczała, a filozoficzne niedowiarstwo należało do dobrego tonu, zwłaszcza w szkole marynarki. Można się tedy domyśleć, jak długą drogę musiała odbyć dusza, która późną przystań znalazła w nowicyacie zakonnym. Nie trzeba atoli sądzić, iż ztąd urosła książka wyłącznie poważnej i religijnej treści. Długie żeglugi po morzach Wschodu, pobyty w Chinach, tysiączne okoliczności wędrownego życia, dodały jaskrawości osnowie bardzo zwawej i zajmującej, w której nie brak i anekdot i wizerunków współczesnych.

Pomimo serdecznego wpływu matki i pobożnych sióstr, kapitan okrętu długo się opierał zwycięstwu prawdy. Co nie zdołała czułość rodzinna, to zdziałało miłosierdzie chrześcijańskie. Franciszek de Plas, z gorącego dla ubogich współczucia i litości, w r. 1848 zapisał się do Konferencyi św. Wincentego à Paulo, i nierzadkim cudem, miłość bliźnich nauczyła go wnet miłości Boga, obdarzyła łaską wiary. I oto

z kolei dopełnia się wewnętrzne przeobrażenie niedowiarka w coraz pobożniejszego chrześcijanina, który nareszcie, w 1869 r. otrzymawszy dymisyę służbową, zamiast odpocząć po trudach, wstąpił do nowicyatu Ojców Jezuitów, i pospolu z młodzieńcami, których mógł być dziadkiem, on siwowłosy oficer, odbywał studia przygotowawcze z pokorą i słodyczą dziecka. Dożyć miał w zakonie ośmdziesiątego roku życia, a umrzeć kapłanem Siostrzyczek Ubogich w Brest, portowem mieście, gdzie młodość swą był niegdyś spędził, a gdzie teraz powracał zakonnikiem, wzbudzając równą cześć dla swej sukni kapłańskiej, jak ongi dla munduru dzielnego oficera marynarki.

Piękną tę książkę polecamy naszym czytelnikom. Kto lubi opisy dalekich podróży, znajdzie ich tu poddostatkiem; kogo zaś więcej zajmuje „powrót w siebie“, owa najważniejsza życia ludzkiego podróż wewnętrzna, ten z rozrzewnieniem przypatrzy się drogom bożym w duszy szlachetnej, nie stawiającej oporu działaniu Ducha Świętego.

M.



SPRAWOZDANIE Z RUCHU

religijnego, naukowego i społecznego.

Sprawy Kościoła.

Pruski wniosek szkolny. — Mowy Capriviego. — Chrześcijańskie reformy w Berlinie. — Deklaracya francuskich kardynałów. — Śmierć kardynałów Manninga i Simeoniego. — Nowy prefekt Propagandy: kardynał Ledóchowski.

PRUSKI WNIOSEK SZKOLNY. Nie raz i nie dwa usiłowano wmówić niemieckim katolikom: „Osiągnęliście już wszystko, co osiągnąć mogliście — więcej nie żądajcie, bo nie otrzymacie“; a za każdym razem równie przewodcy katolików, jak cała katolicka prasa, jak wszyscy katolicy, jednogłośnie i jednomyślnie odpowiadali: „Nie łudźcie się, nie spoczniemy, póki nie odbierzemy istotnie wszystkiego, coście nam zabrali, co się nam należy, póki sprawiedliwości zupełnie i pod każdym względem zadość się nie stanie“. Odpowiedź ta, rokrocznie w sejmach krajowych, w niemieckim parlamencie powtarzająca się, dała się słyszeć z nową siłą i w tym roku, z tą tylko różnicą, że obecnie rząd Capriviego niektóre przynajmniej punkty katolickiego programu jawnie uznał za swoje własne i sam broni ich przeciw niepoprawnym, niczego nauczyć się, niczego zapomnieć nie mogącym liberałom. Dwie zwłaszcza kwestye, obracające się koło dwóch smutnych pozostałości z walki kulturalnej, stoją na porządku dziennym: powrót wszystkich zakonów, przeprowadzenie reform szkol-

nych w duchu chrześcijańskim. Co do pierwszej z wymienionych kwestyj, zwłaszcza o ile odnosi się do Jezuitów, nie tylko ludność protestancka, ale i rząd stanął na stanowisku wręcz niechętnem, i dlatego Centrum ze względów taktycznych, aby — jak hr. Ballestrem w oświadczeniu swem się wyraził — nie powiększać rozdrażnienia wywołanego debatami szkolnemi i na pewną przegraną się nie narażać, odsunęło całą sprawę na dalszy plan; natomiast o reformy szkolne toczy się walka zażarta, prawdziwie na noże. Projekt, przedłożony przez hr. Zedlitzą, nie jest zapewne ideałem, wiele w nim braków i niedomówień; ale bądźco-bądź, oznacza on bardzo znaczny postęp na dobrej drodze, i życzyć tylko sobie można, aby i austriacki minister oświaty stanął przed parlamentem w niezbyt odległej przyszłości z równie przynajmniej daleko idącymi wnioskami. Najważniejsze punkty nowej ustawy, nawracającej bardzo wyraźnie do zdruzgotanego w czasie kulturkampfu prawodawstwa z r. 1852, są następujące:

1) Przy zakładaniu szkół ludowych winny być w miarę możliwości uwzględniane stosunki wyznaniowe. W zasadzie każde dziecko pobierać ma naukę od nauczyciela swego wyznania.

2) W miejscowościach, w których liczba dzieci szkolnych, należących do wyznania przez państwo uznanego, przekracza 30, może naczelny prezes, za zgodą odnośnej gminy, zarządzić dla nich urządzenie osobnej szkoły. Założenie takiej osobnej szkoły nastąpić musi, skoro liczba dzieci jednego i tego samego wyznania przekracza 60. W szkołach, w ten sposób urządzonych, zatrudnieni być winni li tylko nauczyciele, należący do tego samego wyznania.

3) W szkołach ludowych, do których uczęszczają dzieci różnych wyznań, urządzoną ma być osobna nauka religii dla dzieci każdego wyznania, skoro liczba ich przechodzi 15.

4) Nauka religii w szkołach ludowych pozostaje pod kierunkiem odnośnych stowarzyszeń religijnych. Wykład nauki religii może być tylko takim nauczycielom poruczony, którzy wykażą się świadectwem stwierdzającym ich uzdolnienie do spełniania tego obowiązku. Ksiądz lub nauczyciel, któremu odnośne stowarzyszenia religijne powierzyły dozór nad nauką religii, ma prawo obecnym być w szkole na jej wykładzie, przekonywać się zapomocą pytań dzieciom zadawanych o ich postępie i o sposobie wykładu przez nauczyciela, i temuż, po skoń-

czonej lekcyi, udzielać w przedmiotowy sposób potrzebnych wskazówek, lub wykazywać popełnione błędy. Wyższa władza kościelna ma prawo, za porozumieniem się z prezesem rejencji, poruczyć wykład nauki religii, w zupełności lub częściowo, miejscowemu duszpasterzowi. W zasadzie i o ile wyższa władza kościelna inaczej nie rozporządzi, jest proboszcz katolicki dla szkół katolickich, ewangelicki dla ewangelickich prawomocnie wyznaczony do kierowania nauką religii w szkole ludowej w swej parafii.

5) Wprowadzenie nowych planów i podręczników do nauki religii nastąpić może jedynie za porozumieniem z wyższą władzą kościelną.

6) Zarządy szkolne mają mieć charakter wyznaniowy; w gminach, w których istnieje kilka szkół tego samego wyznania, może być dla nich ustanowiony wspólny zarząd szkolny.

Jeszcze tekst projektu nie był urzędownie ogłoszony, a już liberalna prasa równie w Berlinie, jak w Wiedniu, rozchodzącemi się o nim pogłoskami przerażona, uderzyła na alarm. Cóż dopiero, kiedy pokazało się, że pogłoski te mieściły w sobie sporą część prawdy! Wiedeńskie: *Tagblatt*, *Wiener Tagblatt*, *Presse*, *N. Freie Presse*, umiarkować swych żalów nie mogły i pytały ze drżeniem, czy jak dawniej, tak i teraz może Prusy nie oddziałają na Austryę? Niemniej boleśnie zawodziły niemieckie liberalne dzienniki. „Kto nie utracił wszelkiego szacunku dla pruskiego państwa, — wołała zrozpaczona *Allgemeine Zeitung* — temu niewolno za tem prawem głosować!“ — „W smutną wchodzinę erę, — lamentowała *Kölnische Zeitung* — prawo kościelne dusi, wyrzuca prawo państwowe; przewaga Kościoła nad państwem, ultramontanizm święci swe tryumfy! Jeśli ministerjum rok za rokiem coraz bardziej przed Centrum ma się upokarzać, to każdy niezależny Niemiec spytać się musi: Dokądże dalej w tym kierunku idąc, ostatecznie zajdziemy? Kto wie, może uchwalą nam jeszcze prawo, obowiązujące każdego Niemca wybrać się na klęczkach przez Alpy w pobożnej pielgrzymce do Rzymu. Ostatecznie lepiejby to było, niż wszystkie ministeryalne stanowiska obsadzać zausznikami Centrum; wiedzielibyśmy przynajmniej od jednego zamachu, czego się mamy trzymać, wiedziałby każdy z nas, co odpowiedzieć sobie na pytanie, czy

dalej ma rząd popierać, czy też walczyć przeciw niemu wszystkimi legalnymi środkami?"

Agitacya nie ograniczyła się tylko na dziennikach; wciągnięto w jej wir rady miejskie, wiejskie gminy; wciągnięto nauczycielów, różne naukowe towarzystwa, uniwersytety. W Berlinie odbyło się kilka zebrań i wieców, w celu zaprotestowania przeciw nowej ustawie; podobneż wiece miały miejsce w Toruniu, Grudziądzu, Szczecinie, Hanowerze i t. d. Profesorowie uniwersytetu w Hali podpisali, w liczbie 102, petycję do Izby deputowanych przeciw projektowanemu prawu; a jak liberalne dzienniki donoszą z tryumfem i pociechą, nie wymówił się od podpisu i sam rektor, dr. Kraus, pomimo iż jest katolikiem. Wobec tej na tak szeroką skalę rozwiniętej agitacyi; wobec sztucznie obudzonego zaniepokojenia między wielu protestantami, którym liberali na wszystkie tony tłumaczą, że rząd zaprzedał się katolikom i Polakom; a bardziej może jeszcze wobec bardzo różnych, sprzecznych ze sobą prądów, i w samymże ministerjum i w stronnictwie konserwatywnem, od którego poparcia zawisło ostateczne przeprowadzenie podjętej sprawy: przewidzieć niepodobna, jaki los jej będzie. Osobna komisya poprawia i poprawia projekt rządowy; na pełnych posiedzeniach również oczywiście bez wielu zmian i poprawek obejść się nie może, a niewielka, niestety! nadzieja, aby ze zmian tych można się było cieszyć. W każdym razie, równie Caprivi, jak hr. Zedlitz, godząc się zgóry na niejedną poprawkę, wystąpili bardzo energicznie w obronie zasadniczych idei projektu.

MOWY
CAPRIVIEGO.

„Celem tego prawa — mówił Caprivi, odpowiadając Virchowowi — jest zwalczenie zapomocą chrześcijańskiego wychowania szerzącego się dziś ateizmu, bo ateizm, to najgroźniejsze niebezpieczeństwo, z jakim młodzież może się spotkać... Ateizm i chrześcijaństwo, oto, wyrażając się bez frazesów, hasła, w imię których walczą przeciwnicy i zwolennicy nowego projektu szkolnego. Nie twierdzę, jakoby narodowo-liberalni byli ateuszami; lecz rzeczą jest niezawodną, że kto chce zachować uczucia religijne w duszach ludu, ten głosować musi

za tem prawem. Rząd się nie cofnie, gotów jest stawić czoło wszystkim wymierzonym przeciw sobie atakom“...

W jednym z dalszych przemówień wypowiedział Caprivi następne charakterystyczne zdanie, pięknie świadczące o jego usposobieniu i zasadach:

„Jeślibym miał mieć w szkole ludowej 60 dzieci, a z tych 59 nie odniosłoby z nauki religii żadnej korzyści na dalsze życie, i tylko jedno jedyne przypomniećby sobie miało kiedyś, w jakiejś rozstrzygającej chwili życia, że jest Bóg na niebie — to chętnie rokrocznie posyłałbym owe 59 dzieci do szkoły, bo warto zrobić taką ofiarę dla pożytku, który jedno, sześćdziesiąte dzieckoby wyciągnęło“.

CHRZEŚCIJAŃSKIE
REFORMY
W BERLINIE.

Słowa te prawdziwie chrześcijańskie wymusiły oklaski ze wszystkich stron Izby; tłumaczą one nam też lepiej od wielu i długich wywodów, liczny stosunkowo od czasu wstąpienia na tron Wilhelma II. szereg dopełnionych już i zapowiedzianych, chrześcijańskim duchem owianych, odrębnych faktów, zasadniczych reform, śmiało rzuconych programów. I tak w najbliższej przyszłości poddany ma być pod obrady rządowy projekt nowego prawa, mającego na celu wziąć społeczeństwo w obronę przed szerzeniem się publicznej niemoralności. Projekt ten, wywołany widocznie głośnym reskryptem cesarza Wilhelma, wzywającym do walki z prostytutką, nakłada o wiele surowsze niż dotychczas kary na wszystkich ciągnących zyski z tego niecnego rzemiosła; występuje z szczególnym naciskiem przeciw gorszącym książkom i obrazom, przeciw niemoralnym inseratom w dziennikach i drastycznym sprawozdaniom ze sali sądowej. Przy obradach nad budżetem wojskowym poruszył członek Centrum, Lingens, kwestyę święcenia niedziel i świąt przez żołnierzy, i otrzymał w tym względzie od generała von Gossler bardzo uspokajające a pożądane zapewnienia. „Władze wojskowe — zaręczał przedstawiciel rządu — robić nigdy nie będą i nie mogą trudności żołnierzom, którzy w niedziele i święta pragną brać udział w nabożeństwie; jedyny wyjątek stanowić muszą żołnierze, zostający na warcie. Również i w czasie ma-

newrów będzie w takie dnie bądź urządzonem wspólne połowe nabożeństwo, bądź też żołnierze otrzymają pozwolenie udać się do sąsiednich kościołów, dla zadośćuczynienia swym religijnym obowiązkom. Z praktycznych względów niemożliwem jest wprowadzić wydanie ogólnego zakazu zwiedzania wszystkich gospód i szynków ze żeńską obsługą; natomiast przebywanie w pewnych gospodach, w złej zostających opinii, ostro musi być żołnierzom wzbronionem“. — Rozumne to słowa; niemniej rozumnym a głębiej jeszcze sięgającym jest okólnik ministra sprawiedliwości, w którym poleca zawiadamiać urzędowo miejscowych proboszczów o zaskarżeniach i wyrokach sądowych, odnoszących się do małoletnich, obowiązanych jeszcze do uczęszczania na naukę katechizmu. „Polecam to bardzo gorąco — czytamy w ministeryalnym reskrypcie — aby w ten sposób umożliwić duszpasterzom ewangelickiego i katolickiego wyznania należyte spełnianie ciążących na nich obowiązków“.

Czy nie piękna to bądźcobądź, czy nie pocieszająca wiązanka; czy ciesząc się, że takie programy stawiają się, takie słowa odzywają się w protestanckich Prusach, żał szczery nie zbiera, że o czemś podobnem w katolickiej Austrii nie słychać!? Bolesne cyfry, podane niedawno temu przez *Vaterland*, o samobójczej manii, szerzącej się w wojsku: bolesne cyfry i fakty przedkładane rokrocznie w parlamencie. a tak wymownie świadczące, że dzisiejsza między-wyznaniowa szkoła zadaniu swemu nie odpowiada; zbyt liczne niestety! wypadki, dowodzące to zgnilizny, to zdziczenia w armii, w szkole; a co tego wszystkiego następstwem, gwałtowne szerzenie się anarchistycznych teoryj — aż nadto chyba jasno pokazują, że i tu czasby już był energiczniej niż dotąd pomyśleć o obronie, o lekarstwie jedynie skutecznem, przez Chrystusa ludzkości na wszystkie jej choroby z nieba przyniesionem.

DEKLARACYA
FRANCUSKICH
KARDYNAŁÓW.

„

We Francyi położenie, mimo, a po części może i z powodu licznych, słowem i pismem głoszonych programów, manifestów, wyjaśnień, niezupełnie dotąd wyjaśnione. Pięciu francuskich kardynałów, a mianowicie: arcybi-

skupi Tuluzy, Reims, Rennes, Paryża i Lugdunu, wydali pod datą 16 stycznia zbiorową deklarację, w której zastanawiają się nad dzisiejszem położeniem Kościoła we Francyi i nad środkami, którymi znośniejszą przyszłość możnaby mu wywalczyć. Pierwsza, niejako historyczna część, przedstawia ponury, czarnymi acz prawdziwemi barwami nakreślony obraz. Bóg, imię Jego, modlitwa, wyrzucone z wszystkich publicznych aktów, z uroczystości, z armii, ze szkół; wolność biskupów zmniejszona, każdy ich krok z niedowierzaniem śledzony, nad głową ich wisi ciągła groźba przywrócenia dodanych do konkordatu, nieprzyjętych nigdy przez Stolicę św., w słusznem zapomnieniu pograżonych artykułów organicznych. Pensye biskupów, księży, dowolnie umniejszone, konfiskowane. Zgromadzenia zakonne rozproszone, prześladowane; majątki ich obciążone coraz nowymi, coraz cięższymi podatkami. Nauka religii usunięta ze szkół; cały szereg nieuzasadnionych rozporządzeń utrudnia działalność z tyłu ofiarami założonych szkół „wolnych“; kompletny ateizm protegowany urzędownie we wszystkich szkołach, nie tylko męskich, ale i żeńskich, ale nawet w tak zwanych „macierzyńskich“. Księża, seminarzyści, powołani do wojskowych szeregów; liczba kapelanów o wiele za szczupła w czasie wojny, sprowadzona niemal do zera w czasie pokoju. Antyspołeczne i antychrześcijańskie prawo o rozwodach podkopuje w samym korzeniu małżeństwo i życie rodzinne. Duchowieństwo wykluczone systematycznie z wszelkiego udziału w życiu publicznem, nawet z zarządu utworzonych przez Kościół katolicki instytucyj miłosiernych. Oto bynajmniej nie wszystkie, ale najgłówniejsze i najdokuczliwsze kroki i środki przedsięwzięte przeciw religii; czyż wobec nich twierdzić można, że rząd republikański nie miał nigdy na myśli występować w jakibądź sposób przeciw religii, naruszyć wolności sumienia?

Taki jest stan rzeczy; jakież on — pytają kardynałowie francuscy w drugiej części swego manifestu — nakłada na katolików obowiązki, na jakiej drodze mogą i powinni się bronić? Przedewszystkiem zawrzeć powinni polityczny rozejm, a stając bez ogródek na gruncie konstytucyjnym, wyteńczyć wszystkie siły ku obronie zagrożonej wiary. Katolicy nie myślą o utworzeniu

państwa w państwie, ale dozwolić też nie mogą, aby Kościół zmienić się miał w jedno z kółek państwowej administracyi. Nieśluszne zarządzenia szkolne, wojskowe, stanowić nie mogą istotnej części konstytucyi w kraju, wszystkie prawa szanującym; i dlatego katolicy, nie walcząc przeciw rzeczypospolitej, walczyć muszą przeciw tym prawom, walczyć wszystkimi legalnymi środkami. Udzielaną Kościołowi, konkordatem zagwarantowaną, subwencję pieniężną, uważać winni, jako spłatę pewnej części świętego długu, który państwo względem Kościoła zaciągnęło, konfiskując, sto lat temu, dobra kościelne. Mówiąc krótko: prawom krajowym cześć, chybaby sumieniu się sprzeciwiały; cześć przedstawicielom władzy; szczere i lojalne przyjęcie istniejących instytucyj politycznych; ale jednocześnie silny opór przeciw nieuprawnionej gospodarce władzy świeckiej w zakresie duchownym... wreszcie branie udziału w wyborach, które z współdziałaniem wszystkich ludzi dobrej woli zapewniłby mogły przeprowadzenie reform zgodnych z prawdziwymi życzeniami kraju, niezbędnych dla dobra i pokoju w naszej ojczyźnie.

Oto w głównych zarysach treść programowej deklaracyi pięciu kardynałów; niebawem przyłączyli się do niej w osobnych pismach kardynałowie Lavigerie, Bonaparte i około 80 francuskich biskupów. Wrażenie, deklaracyą wywołane, było oczywiście bardzo wielkie, równie w republikańskich jak i w monarchistycznych kołach, z tą tylko różnicą, że republikanie kładli główny nacisk na drugą część, legitymiści na pierwszą. Rządowe, a bardziej jeszcze nierządowe, skrajno-republikańskie dzienniki, napadły w pierwszej zwłaszcza chwili z gniewem i hałasem na kardynałski program. *Le Siècle* zażądał wprost interwencji Papieża; *le Temps* nazwał deklaracyę formalnem oskarżeniem nie tylko rzeczypospolitej, ale całego politycznego, społecznego i filozoficznego rozwoju ludzkości w dziewiętnastym wieku; *le Mot d'Ordre* rzucił kardynałom w twarz nazwę: fanatyków, obłudników, podżegaczy religijnych waśni. Po ochłonięciu z pierwszego niemiłego wrażenia, zmiarkowano się, że napaści te są ostatecznie niepolityczne i wychodzą tylko na korzyść legitymistom, którzy daleko dyplomatyczniej wystąpili z gorącemi pochwałami

całej tej akcyi, podnosili z naciskiem w swych dziennikach wszystkie dotyczące dzisiejszy rząd oskarżenia i zarzuty. Czyż zatem wszystko pozostaje po staremu? jak osądził w zniechęceniu jeden z zagranicznych organów katolickich, rejestrując te niewesołe objawy. Rzecz prosta, kwestya tak trudna, tylu z obu stron najeżona przeszkodami i przesadami, nie da się z dnia na dzień załatwić; dobrze i bardzo dobrze, jeśli oświadczenia kardynałów, jak wyrażają nadzieję, środkową drogą idąc między pesymizmem a optymizmem, watykańskie organy, posunęły sprawę krok naprzód do ostatecznego rozwiązania.

KARDYNAŁ
MANNING.

Śmierć zabrała w odstępie kilku zaledwie godzin dwóch członków świętego Kolegium, którzy w różny sposób, na niejednakowych drogach, ale niemniej ważną rolę odgrywali w współczesnych dziejach Kościoła, niemniej potężny wpływ na współczesnych wywarli. Kiedy przed laty 40, ówczesny dr. Manning przeszedł na łono Kościoła katolickiego, wizerunek jego spalono publicznie na ulicach londyńskich; kiedy obecnie niesiono do grobu ciało zmarłego arcybiskupa westminsterskiego i kardynała rzymskiego Kościoła, pochód żałobny zamienił się w tryumf, cała Anglia oplakiwała jednego „z najlepszych swych, — jak wszędzie o nim powtarzano — z największych swych synów“. Ubogi jak zakonnik; gorąco i szczerze pobożny jak dziecko; prawdziwy asceta w najlepszym i najpiękniejszym tego słowa znaczeniu — Manning umiał wnikać w potrzeby swego czasu, umiał prądy jego zrozumieć i co ważniejsza, nimi kierować. Jak robotnicy, biedacy wszyscy ufali temu kardynałowi, chodzącemu w ubogiej wyszarzałej sutannie, to pokazało się, gdy przed paru laty zażegnał groźne bezrobocie w londyńskich dokach; pokazało się jaśniej jeszcze, gdy wieść o śmierci „prawdziwego przyjaciela“ robotników rozeszła się po najdalszych zaułkach Londynu. Do ciała zmarłego odbywały się ciągłe pielgrzymki; przeszło 70.000 głównie robotników uważało za swój obowiązek w ten sposób przynajmniej okazać mu swą wdzięczność i cześć. „Ciało — tak opisywał w *Daily Telegraph* jeden ze zwiedzających odniesione wrażenie — leżało przed nami, ale

dusza, która ciało to zamieszkiwała, musiała już być w niebie. Wyrte na obliczu piętno świętości wzruszało do głębi. Ukłęknałem i przypatrywałem się pogodnej tej, świętej twarzy, a obok stara jakaś irlandzka kobieta rzewnie płakała i do uszu doszły mi jej słowa: „Niech Bóg go błogosławi; przejdzie on przez czyściec, jak przez pałac królewski“. Najrozmaitsze związki i stowarzyszenia fabryczne i rzemieślnicze wyraziły na osobno w tym celu zwołanych posiedzeniach swój żal, z powodu śmierci „dobrego i wielkiego przyjaciela — jak w jednej z uchwał tych czytamy — warstw pracujących, JE. kardynała Manninga, którego energiczna działalność, mądra rada, niezmordowana, przed żadną ofiarą niecofająca się gorliwość dla sprawy pracujących tłumów, zdobyły mu w ich sercach wyjątkowe miejsce“. Za trumną szły, poza duchowieństwem, poza przedstawicielami królowej, następcy tronu, poza lordami, deputowanymi, deputacjami tysięcznych stowarzyszeń, dziesiątki i dziesiątki tysięcy katolików, protestantów, wyznawców wszystkich sekt, tak w Anglii licznych i różnych. „Nigdy jeszcze — wyraził się jeden z londyńskich protestanckich dzienników — nie widziano w Anglii czegoś podobnego“. „Zrozumieć trudno — pisała z charakterystycznym oburzeniem *Pall Mall Gazette* — dlaczego westminsterskie opactwo dziś jeszcze skonfiskowane jest na wyłączną własność anglikańskiego Kościoła; dlaczego w podziemiach jego, które być powinny narodowem mauzoleum, złożonymby nie mógł być z wszystkimi obrzędami swej religii, wielki angielski katolik, wielki mąż, kardynał Manning? niesprawiedliwość to przynosząca hańbę naszemu narodowi“.

KARDYNAŁ
LEDÓCHOWSKI.

Drugi ze zmarłych kościelnych dostojników, kardynał Simeoni, zapisał chlubnie i znacząco swe imię, dawniej jako papieski sekretarz stanu, w ostatnim czasie na nadzwyczaj ważnym, świat cały, powiedzieć śmiało można, w zakresie swym obejmującym urządzie prefekta Propagandy. Następcą Simeoniego na ostatnią tę godność mianował Ojciec św. kardynała Ledóchowskiego. Rzecz dziwna prawdziwie, ile pierwsza już wiadomość o tej nominacji napsuła krwi liberalnym zwłaszcza dzien-

nikom niemieckim, a w pewnej części i włoskim; jakie na jej tle i w Berlinie i w Paryżu, w Petersburgu i w Rzymie i w Londynie nawet, zabawne, oryginalne haftowano kombinacje. Wiedeński korespondent *Times'a* rozwodził się nad smutnem wrażeniem, jakie wieść o papieskiem postanowieniu wywołała w Petersburgu. *Kölnische Zeitung* nazwała nominację, nie tracąc czasu na długie wywody, „dziełem Jezuitów“, i zadecydowała grzecznie i uprzejmie, że Leon XIII. stracił najwidoczniej w świecie pełność władz umysłowych. Kilka berlińskich dzienników uznało za stosowne powitać ten krok jako zwrot papiestwa przeciw Rosyi; kilka paryskich, jako zwrot papiestwa przeciw Niemcom. *Riforma* ogłosiła nawet w streszczeniu okólnik kardynała Ledóchowskiego do wszystkich biskupów, zależnych od Propagandy; okólnik, zalecający faworyzować biskupów i misjonarzy pewnych narodowości ze szkodą innych, i który w całości swej byłby bez wątpienia bardzo interesujący, a do wytłumaczenia niełatwy, gdyby oczywiście nie był zmyślony od pierwszego do ostatniego wyrazu. Napaści, podejrzenia, insynuacje przybrały wreszcie takie rozmiary, że *Moniteur de Rome*, nie zadawałnając się krótkimi, ale za to z niemiłej konieczności codziennymi sprostowaniami, wystąpić musiał w długim, poważnym komunikacie przeciw tej niegodnej kampanii.

„Urząd prefekta Propagandy — czytamy w rzymskim dzienniku — wymaga przedewszystkiem wypróbowanego poświęcenia; a któż złożył go więcej dowodów od kardynała Ledóchowskiego? Cierpiał on dla Kościoła i więzienie i wygnanie; dla dobra Kościoła, dopełniając kielicha poprzednich ofiar, zrzekł się poznańskiego arcybiskupstwa. Któż dalej, lepiej od niego, obznajomiony jest z różnymi prądami krzyżującymi się w świecie, z tak odmiennymi potrzebami różnych krajów, narodowości? Doświadczenie zdobyte w Rzymie, w Brukseli, w protestanckich Prusach; znajomość licznych języków; hart i stałość czynami i cierpieniami stwierdzona, użyte teraz będą mogły być w całej pełni w służbie bożej. Prawda, nowy dostojnik nie jest Rzymianinem, nie jest Włochem; ale to dowodzi właśnie, że przy Stolicy św., instytucyi w najpiękniejszym i najściślejszym słowa znaczeniu

międzynarodowej, jest miejsce dla każdego katolika, że sama cnota i zasługa toruje tu drogę do najwyższych godności... Jako Polak — odtąd cytujemy dosłownie — należy kardynał do świata słowiańskiego, który w kwestyi wschodniej bierze tak olbrzymi udział. Jest dzieckiem szlachetnej Polski, która umiała w łonie swem złączyć dwa Kościoły: wschodni, zachodni. Żył tam szczęśliwie ośm milionów Rusinów, katolików obrządku greckiego. Polska, w czasach dla siebie pomyślnych, potrafiła do skutku przyprowadzić wielkie zbawcze dzieło unii dwóch Kościołów pod najwyższą powagą następcy św. Piotra. Kardynał Ledóchowski, biegły w dyplomatycznych kwestyach, potrafił szczęśliwie przezwyciężyć trudności, rozpoznać i wyminąć kruczki dyplomatów, którzy chcieliby wyzyskać działalność Stolicy św. w religijnych sprawach wschodnich, na korzyść ziemskich interesów... Wie on i rozumie, jak najeżoną skałami drogę przebyć musi w podjętej żegludze: jak mężnie a roztropnie pracować należy nad wspaniałem dziełem zjednoczenia obu Kościołów... A przeto błogosławić tylko i podziwiać należy mądrą roztropność Leona XIII., który ocenił przymioty te i zdolności, zebrane tak szczęśliwie i na czasie do skutecznienia wielkich tych zamiarów, w kardynale Ledóchowskim, i dlatego porucił mu ich przeprowadzenie, mianując go prefektem Propagandy“.

Ks. Jan Badeni.

Poświęcenie kaplicy polskiej przy ujściu Elby.

Hamburg, to miasto fabryk, którego ludność moralną swą wartością nie różni się od maszyn fabrycznych: bo wspólny mają cel swój wyłączny, a celem tym — wyrób pieniędzy. Ta chyba jedna zachodzi różnica, że maszyny robiące, nie używają, u tutejszych zaś ludzi obok chciwości, żądza używania objawia się w sposób tak rażący, że podobnej wolności obyczajów i podobnych nadużyć daleko szukałby potrzeba. Nie dziw, bo to miasto nietylko indyferentyzmu religijnego, ale zupełnej już niewiary i nienawiści do katolicyzmu — miasto, gdzie nie tak dawno temu, bo w czterechsetną rocznicę urodzin Lutra, siedmiu

pastorów głosiło kolejno prelekcyę, których całą treścią było wyszydzanie katolicyzmu w jego dogmatach, etyce i liturgii. Odpowiedział wprawdzie na te szyderstwa pseudonim Gottlieb piórem tak dosadnem i ciętem, że jego *Hamburger Briefe* dziś jeszcze zasłużoną cieszą się sławą, a jednak śmiało a dowcipne kłamstwo jak wszędzie, tak i tutaj przyniosło swój owoc. Zresztą Hamburg, to miasto portowe, a więc stek wszelkich szumowin i mętów, które tędy jakby kanałem wciąż płyną z nowego i starego świata. Na takim to gruncie żyją tysiące naszych rodaków i takiem oddychają powietrzem. Więc choć żał mi było opuszczać ojczystą ziemię na święta Bożego Narodzenia, zawsze tak pełne u nas uroku, uczyniłem to przecież bez wahania, wiedząc, że praca najmilszą jest wtedy, gdy jest najpotrzebniejszą.

Celem mej podróży i miejscem duszpasterskiej pracy nie był dla mnie tą razą Hamburg, jedno osada fabryczna, leżąca nieco bliżej ku morzu, a nosząca nazwę Wilhelmsburg-Reiherstieg. Wspominałem o tej fabryce już w przeszłej mej korespondencji z Hamburga¹; dziś, po ośmiodniowym pobycie w samej tej osadzie, więcej szczegółów o niej podać mogę. Fabryka ta powstała dopiero przed dwoma laty, a dziś znana jest w całym świecie handlowym pod nazwą *Hamburger Wollkämmerei*. Dostarcza ona czyszczonej wełny do Austrii i Francji, do Rosyi i Anglii, a nawet do Brazylii i Zjednoczonych Stanów. Z odpadków mytej, czesanej i tłoczonej wełny wyrabia się tu maź, mydło i t. p. rzeczy, których sprzedaż opłaca robotników, administracyę i całe utrzymanie fabryki; dochód zaś z wełny stanowi czysty zysk towarzystwa akcyjnego, którego własnością jest to przedsiębiorstwo. Zarząd spoczywa w rękach dwóch dyrektorów: pp. Engelmanna i Franza, których imiona chętnie tu zapisuję, pragnąc w ten sposób wyrazić mą wdzięczność za ich nietylko ludzkie, ale prawdziwie chrześcijańskie postępowanie z naszymi ziomkami. Liczba robotników i robotnic przy tej fabryce dochodzi do 1200. Z tych, Polaków i Polek jest do tysiąca, reszta zaś Niemców, w części katolików, przeważnie jednak augsburskiego wyznania. Owszem, między Polakami nawet jest tu kilkudziesięciu ewangelików i ewangeliczek, rodem zpod Ostrowa. Robotnicy niemieccy religii katolickiej pochodzą przeważnie z Turynгии. Rząd pruski chciałby zastąpić nimi Polaków, co jednak zdaje się nie będzie miało powodzenia, z powodu słabej czy wrażliwej konstytucyi Turyngezyków. Praca bowiem fabryczna, z wyjątkiem niedziel i świąt,

¹ *Przegląd Powszechny* z października 1891 r.

trwa tu nieprzerwanie i w dzień i w nocy, tak że każdy z robotników ma po tygodniu dziennej i po tygodniu nocnej pracy naprzemian, trwającej albo od 6 rano do 7 wieczór, albo od 7 wieczór do 6 rano. Praca nocna szkodliwą jest dla zdrowia wogóle, najszkodliwszym jednak, i to dla płuc i oczu, jest pył wełniany, napełniający atmosferę sal fabrycznych. Ztąd częstemi tu bywają egipskie zapalenia oczu i choroby piersiowe, którym właśnie Turyngeczycy najłatwiej podlegają. Polacy są wytrwali, egipskie jednak zapalenie zdarza się i między nimi, lubo dosyć rzadko. Zarobek za to jest wcale dobry. Wspominałem już dawniej o zarobku mężczyzn, dochodzącym do 4 marek dziennie; jeśli więc i mąż i żona pracują w fabryce, mogą wspólnemi siłami na dzień co najmniej 6 marek zarobić. Zapewne cierpi na tem życie rodzinne, ale dobrobyt materyalny jest zapewniony.

Na szczególną uwagę zasługuje tu urządzenie domu dla dziewcząt (*Mädchenheim*). Mieści się w nim sto kilkadziesiąt robotnic, po dwie lub trzy w jednym pokoju. Pokoje są dość obszerne, jasne i ogrzewane parą płynącą żelaznemi rurami jednostajnie i stale. Płaca za to mieszkanie jest bardzo skromna: każda z dziewcząt płaci miesięcznie $1\frac{1}{2}$ m., a za to ma już potrzebne sprzęty i śniadanie, oraz kolację, składające się ze sporego dzbanka kawy i podwójnej bułki. Wprawdzie zarobek dzienny takich dziewcząt jest niewielki, bo wynoszący 1 m. 25 fen. czy też 1 m. 50 fen., lecz zważywszy tak tanią stancję ze sprzętami i częściowym wiktem, płaca ta wcale nie okaże się małą, tak dalece, że robotnica oszczędna może miesięcznie co najmniej 20 m. odkładać. Wikł bowiem uzupełnić się daje bardzo tanim kosztem w kuchni fabrycznej, gdzie obiad z chlebem, niemięsny dostać można za 15 fen., mięsny zaś za 25 fen. Chorzy robotnicy czy robotnice mają bezpłatny przytułek w szpitalu fabrycznym, gdzie też otrzymują poradę lekarską i lekarstwa również bezpłatnie.

Znacznie więcej niż przy tej fabryce zarabiają nasi rodacy przy regulacji Elby, odbywającej się tuż pod Wilhelmsburgiem, jakkolwiek praca ta i cięższa i szkodliwsza, bo nieraz przyjdzie im dzień cały kopać, stojąc w wodzie po kolana. Polaków jest tu mniejszość, bo zaledwie paruset, więcej bez porównania hamburskich protestantów, i zapewne dlatego niemoralność między naszymi gorsza niż przy fabryce, pijaństwo pospolitsze, zaniedbanie praktyk religijnych częstsze, a nierzadkiem bywa i zupełne niedowiarstwo. Jednak i przy fabryce Wilhelmsburgskiej nieoddawna lepiej się dzieje. Jeszcze przed rokiem gromadne bójki Polaków z Niemcami, a nawet z policją, bywały na

porządku dziennym, przy których niekiedy zdarzały się nawet zabójstwa. Postępowanie też Niemców, a w szczególności niższych urzędników, z nowoprzybyłymi Polakami, bywało dawniej wprost niehumanitarne. Bito ich z rzemienia plecionym biczem, podobnym do kozackiej najałki, wołano na nich zawsze *dumme Polaken*, i na każdym kroku docinano najzjadliwszym szyderstwem. Dziś pracowitość naszego ludu, dobroć dyrektorów, a wreszcie wpływ religijny, położyły koniec smutnym tym zatargom i przyczyniły się niemało do podniesienia moralności naszych robotników, lubo w obydwóch tych kierunkach wiele jeszcze pozostaje do zrobienia. O socjalizmie jednak niema tu mowy, bo zarobek nieżyły, praca nie nad siły i ludzkość przełożonych obroni od niezadowolnienia i strejków.

Przy tej to fabryce miałem spędzić święta Bożego Narodzenia i następnych dni kilka. Przyjechawszy, odwiedziłem najprzód proboszcza, rezydującego w Harburgu, ks. Meyera, do którego parafii należy też Wilhelmsburg. Ks. Meyer, dekorowany Czerwonym Orłem, będąc u rządu *persona gratissima*, mógł wyświadczyć i rzeczywiście też wyświadczył Polakom naszym wielką przysługę, bo wyrobił u regencyi i landrata mnie cudzoziemcowi pozwolenie spełniania wszystkich funkcji kapłańskich na terytorium pruskiem. Wilhelmsburg nie wchodzi bowiem w obręb wolnego miasta Hamburga, lecz należy do Prus, i zdaje mi się, dla tejże samej przyczyny, nie jest jak Hamburg pod jurysdykcją biskupa Osnabryckiego, lecz należy do jeneralnego wikaryatu w Hildesheimie.

Podziękowawszy ks. proboszczowi za jego starania, pożegnałem go, i w wigilię Bożego Narodzenia wsiadłem do *barcassy*, przysłanej po mnie przez dyrektorów fabryki. Wraz ze mną przeprowił się też chór szkolnych dzieci, mających śpiewać na nabożeństwie wstępnem. Elba, przy swem ujściu szeroka jak olbrzymie jezioro, w dniu tym pokryta była już lodem, powoli łamiącym się w kry, tak, że *barcassa* płynąć musiała przebojem. Trzask druzgotanego lodu, kry piętrzące się na falach i sięgające aż do okien kajuty, przedstawiały dziki krajobraz. Dziwnie miły kontrast stanowił dla mnie śpiew towarzyszących mi dzieci, śpiew czysty, rzewny, katolicki, na falach tej Elby płynącej tuż pod murami miast niewiary i zepsucia, śpiew dźwięczny, głuszący trzask lodu i szum pary, śpiew ów tak drogi sercu polskiemu, bo w polskiem sercu poczęty:

O sanctissima

O piissima

Dulcis Virgo Maria!...

Chętnie byłbym przedłużył tę podróż, trwającą zaledwo pół godziny, lecz *barcassa* przybiła do brzegu. Wysiadłem i udałem się wprost do kaplicy, którą miałem poświęcić. Od południa już przerwano pracę, fabryka spoczywała. Ludność fabryczna gromadziła się też około domu dziewcząt, bo tam właśnie odłączono olbrzymią salę, mogącą pomieścić przeszło 600 osób, i przerobiono ją na kaplicę. Rury żelazne, napełnione parą, przyjemne rozlewały w niej ciepło. Piękne freski zdobiły sufit i ściany, w tyle na wzniesieniu stało wielkie harmonium, z boku wspaniały konfesyonał, na przodzie zaś balustrada, tworząca presbiterium, a poza nią ołtarz rzeźbiony z dębowego drzewa i także tabernaculum, a obok niego sześć ciężkich złożonych lichtarzy z woskowymi świecami. Dalej mosiężna, również złożona lampa, zwieszająca się u sufitu, a wreszcie niewielka lecz schludna zakrystya, ze stołem i szafą, gdzie znalazłem wszystkie naczynia i szaty kościelne, od kielicha i gotyckich ornatów aż do kadzielnicy. Wszystko to było dziełem dyrektorów-protestantów, którzy kosztem kilku tysięcy marek urządzili dla naszych Polaków prawdziwie wspaniały domek Boży i obecnie z licznym zastępem ludności fabrycznej czekali na jego poświęcenie.

Dokonałem poświęcenia tego według przesłanych mi z Hildesheimu wskazówek. Obrzęd ten rozpoczął się śpiewem dzieci, po którym odbyło się właściwe poświęcenie; następnie znowu śpiew, po którym przemówiłem w języku polskim i niemieckim. W polskiej przemowie, wytłumaczywszy obrzędy poświęcenia i mistyczne znaczenie ołtarza, światła, kadzidla i t. d., wskazałem naszym robotnikom na tę szczególną okoliczność, że święta obecne są dla nich nie już pamiątką tylko, ale rzeczywistym narodzeniem się Boga między nimi, który w N. Sakramencie po raz pierwszy na tem miejscu wśród nich będzie przebywał, aby poświęcić ich dusze. W przemowie niemieckiej zwróciłem się głównie do obecnych dyrektorów z podzięką, podnosząc ich hojność i troskliwość o duchowe dobro swych podwładnych a moich rodaków, oraz tę wielką zasługę, że wygnanemu dziś z tyłu serc chrześcijańskich Zbawicielowi oni pod swym dachem gościny dają przytułek. Po odśpiewaniu *Te Deum*, ci protestanczy fabrykanci dziękowali mi nie z ceremonialną grzecznością, ale z prawdziwym, niekłamanym wzruszeniem. Zaraz po ukończonej uroczystości siadłem do konfesyonału i pozostałem tu aż do późnej nocy. Nazajutrz o godz. 6 odprawiłem pasterkę wśród śpiewu naszych kolend. Spowiedzi i Komunii św. przez te dni kilka było przeszło 300. Nauk miewałem przez wszystkie święta po 3—4 dziennie, z których jedna zawsze była niemiecka dla tutej-

szych Turyngczyków, a także i dla protestantów, którzy z ciekawości przychodzili na „polskie nabożeństwa“. Nie pozostało to bez skutku: pięć protestantek i dwóch protestantów zgłosiło się do mnie z życzeniem przejścia na katolicyzm. Oczywiście mogłem im tylko dać wskazówki, dokąd w tym celu udać się mają, z Krakowa zaś przesłałem im później katechizmy, by się w wierze naszej lepiej oświecić mogli.

Przez święta Bożego Narodzenia robotnicy nasi, mając u siebie nabożeństwo, ani myśleli jechać do Hamburga; konduktorzy na parowcach dziwili się, że tak mało przejezdnych, smucił się właściciel „polskiego sklepu“ w Hamburgu, bo święta te przeszło o tysiąc marek mniej mu przyniosły dochodu, a nawet tak zwany *Tanzsaal* wilhelmsburgski był w grubej żałobie, jakby podczas Wielkiego Tygodnia. Na trzeci dzień świąt, tj. w niedzielę, przybył z Hamburga komitet polskiego stowarzyszenia „Nadzieja“. Prezes, p. Biedermann, grał na harmonium podczas sumy i nieszpórów. Po nieszpórach odbyła się nowa uroczystość. Dyrektorowie prosili mię, bym poświęcił Boże drzewko i dopomógł im w rozdzielaniu podarunków świątecznych przysposobionych dla dzieci robotników. Zgodziłem się na poświęcenie drzewka w kaplicy, ale pod warunkiem, iż to będzie zupełnie na sposób ceremonii kościelnej. Z radością przystali na mą propozycję. Postawiono więc na środku kaplicy ogromną choinę oświetloną tysiącem świeczek, między którymi wisiało drugie tyle owoców i cukrów. Pod ścianą stało paręset koszyków, a w każdym było wełniane lub płócienne ubranie, książeczka z obrazkami i jabłka lub bakalie. Zeszli się robotnicy wraz z dziećmi, z Hamburga przybyło kilkunastu panów i pań z arystokracji kupieckiej, nie brakło nawet dwóch pruskich konstablów ze świecącymi hełmami, które zdjawszy z uszanowaniem trzymali w rękę. Zapalono świece na ołtarzu, przy którym klęknąłem, w komżę i stulę ubrany. Ozwał się najprzód śpiew niemiecki: *Grosser Gott wir loben Dich*. Gdy przebrzmiały słowa ostatniej zwrotki, powstałem i przemówiłem po polsku o symbolicznem znaczeniu drzewka, światełek i darów, przypominających obowiązek dwójakiej wdzięczności: względem Boga, i tak dobrych przełożonych. Poczem przemówiłem po niemiecku o ścisłym związku między religią a cnotą, czego przykład wskazałem w tem rozdzielaniu podarków, które pp. dyrektorowie obrzędem religijnym uświęcić chcieli, za co wróżyłem im nagrodę nawet doczesną, i skończyłem parafrazując Szyllera:

Das ist die Frucht der guten That,
Dass sie forzeugeud Gutes muss gebären.

Po przemowie, poświęciłem drzewko, i siedłem krojąc święconą wodą także protestantów, a najobficiej brodatych konstablów. Wkońcu zaintonowałem: „Bóg się rodzi moc truchleje“, i odbierając z rąk pań koszyczki, rozdawałem je dzieciom. Ceremonia ta przyczyniła się nie-mało do podniesienia powagi naszej wiary wobec protestantów, a do-dała otuchy naszym robotnikom, którzy niestety aż nazbyt często są wystawieni na szyderstwa z postów, modlitwy i innych praktyk reli-gijnych. Tego samego dnia jeszcze zwołałem męskie zgromadzenie ro-botników żonatych i bezżennych do osobnej sali i tam z zaimprovizo-wanej mownicy, tj. ze stołu, przemówiłem szczególnie do ich uczuć na-rodowych, piętnując błędy hańbiące naszych rodaków. Na zgromadze-niu tem zawiązałem katolickie stowarzyszenie śpiewu, do którego we-szli Polacy i Niemcy katoliccy w celu uczenia się pieśni kościelnych. Również między mężczyznami założyłem bractwo Najśl. Serca Jezuso-wego (wśród dziewcząt istnieje już ono od roku), z obowiązkiem aby wszyscy członkowie w każdą pierwszą niedzielę miesiąca schodzili się do kaplicy w celu odmówienia pod przewodnictwem Starszego litanii i aktu poświęcenia się Sercu Jezusowemu.

W wigilię Nowego Roku rano uderzyła dla mnie godzina odjazdu. *Barcassa*, jak przy przybyciu tak i teraz, stała po mnie u brzegu. Gro-madka polskich robotników, między którymi spostrzegłem też paru Niem-ców, uwolniła się od swych zajęć fabrycznych, by mi towarzyszyć do osta-tniej chwili. Mimowoli przyszyła mi na pamięć serdeczność owych pier-wszych chrześcijan Miletu, odprowadzających Pawła św. do okrętu, a „najbardziej żalosnych, że więcej nie mieli oglądać oblicza jego“¹. Chmury ciemne zalegały widnokrąg i deszcz padał rześisty, ale chmur-niej było w mem sercu, gdy przy pożegnaniu poczułem na rękę krople nie zimnego deszczu, ale łez gorących, w których odbiła się cała wartość tych krewkich a jednak tak pocziwych polskich serc naszych... Głos trąbki chrapliwej ozwał się z pokładu, ruszył statek, zaszumiała Elba, ścisnęło się serce, pocziwe postacie robotników znikły mi zprzed oczu we mgle i deszczu i dymie... Przejechałem mil wiele, dni wiele minęło, a jednak długo nie mogłem zapomnieć tego pożegnania i długo jeszcze brzmiała w mej duszy smętna nuta Bohdana:

Ku tej stronie z wieczora,
Jutrznią, tęsknią i płacę,
Bom pożegnał nie wczora
I nie jutro obaczę...

B. Jasieńczyk.

¹ Dzieje Apost., r. 20.

Ze świata nauk, odkryć i wynalazków.

Trzęsienie ziemi w Japonii. — Zacząć musimy nasz przegląd naukowy od niewesołych wiadomości. 28 października z. r., o godz. 6 min. 30 rano, straszna odegrała się scena w środkowej części wyspy Niponu, Honshu przez krajowców zwanej. W przeciągu jednej minuty ludne miasta Gifu, Ogaki, Nagoya, prawie do szczytu z ziemią zrównane. Domy zrujnowane i zniszczone, pożoga zaś, co ze wszech stron szaleć poczęła, spustoszyła resztę. Gościńce poprzewracane, słupy telegraficzne powyrywane, szyny kolejowe zygzakowato pokręcone. Katastrofa ta kosztowała życie prawie 20.000 osób, liczba ranionych przechodziła 100.000. Stratę, jaką ponieśli mieszkańcy owej okolicy, oszacowano na przeszło 100 milionów franków. Liczba zawałonych budynków dochodzi 200.000.

Punkt środkowy trzęsienia obejmował kilka departamentów; najwięcej ucierpiały obwody Gifu i Aiti. Była to elipsa o powierzchni 11.500 km², oś wielka tej elipsy zwrócona z północy na południe. Następny pas obwodowy, najbardziej po tym wstrząśnięty, wynosi przeszło 46.500 km²; trzeci pas, z nieco mniejszą gwałtownością poruszony, 54.200 km²; wreszcie okolica 39.700 km², ze słabszem wstrząśnieniem. W całości zatem objęło straszne nieszczęście przestrzeń przeszło dwa razy większą od naszej Galicyi. Trzęsienie to wyróżniało się od zwykłych nie tylko gwałtownością i rozległością, ale jeszcze niesłychanie długim trwaniem.

W Gifu zauważono od 28 paźdz. do 16 list. 1360 uderzeń; łoskoty i dudnienia podziemne przejmowały strachem i zgrozą i przeciągały się bezprzerwanie do drugiej połowy listopada. Tu i ówdzie otwierały się co chwila groźne szczeliny w ziemi, ziejące kłębami dymu. Gdzieniegdzie wytwarzały się małe jeziora, a sławny, nieczynny obecnie, wulkan Fusi-yama rozdarła szczelina na dwie połowy. Wielkie uderzenia z 28 paźdz. dały się słyszeć aż w Chinach, jak telegrafowano z Shanghai do Yokohamy; tak samo na dalekim morzu, jak tego doświadczył okręt angielski Hesperus, który niespodzianie napadła burza, w odległości 120 km od brzegów Japonii. Na morzu pływały duże bańki gazowe, wydające zapach siarczany.

Z konwulsyami i podrzutami ziemi łączyły się krzyki i rozpacz nieszczęśliwych ofiar, śmiałość i zuchwałość bandytów i rozbójników, co teraz uszli z rozwalonych kryminalów. Po trzęsieniu ziemi, najwię-

kszą stratę wyrządziły pożary. W czterech prowincjach, dotkniętych kataklizmem, więcej niż 5000 domów zniszczyły same pożary. Sławne fabryki porcelany w Mino i Owari leżą w gruzach pogrzebane. Przeszło 300.000 ludzi jest bez dachu. Dodać tu należy, że, według listu misyonarza do *Correspondant*, nikt z chrześcijan w Nagoya i Aiti nie padł ofiarą, co więcej, nawet ranionym nie został.

Dokładniejsze wiadomości o strasznym tym wypadku, i od misyonarzy i od M. Wada, dyrektora obserwatorium w Tokio, przysły do Europy dopiero pod koniec grudnia zeszłego roku.

Według najlepszych krajowych obserwatorów meteorologicznych, były falowania ziemi poziome, formę wirującą przybrały tylko w Gifu, Nagoya i Tokio. Geolodzy krajowi, jak donosi M. Wada, przypuszczają, że przyczyną katastrofy były jakieś dyslokacye wielkich rozmiarów, a nie zaburzenia wulkaniczne. Rozważając jednak cały przebieg tego trzęsienia i warunki geologiczne Niponu, trzeba przypuścić, że prawdopodobnie i tu, jak zwykle w podobnych przypadkach, przyczyny tektoniczne z wulkanicznymi sprzęgły się razem¹.

Wynalazki przemysłowe. — Kiedy tak jedni na kuli ziemskiej cierpią, drudzy się bawią. Amerykanie na wyścigi walczą z Anglikami, by ich wyprzedzić w prędkości pociągów kolejowych. Chodzi przede wszystkim o urządzenie bardzo pospiesznych pociągów, w celu zwiedzania wystawy w Chicago. W próbach umyślnie *ad hoc* poczynionych, osiągnęli już średnią prędkość 96 km na godzinę. Tu i ówdzie potrafiła lokomotywa zrobić 145 km w godzinie. Do niedawna prędkość 60 km uchodziła już za coś wielkiego.

Towarzystwo znów angielskie nosi się z planem wybudowania parowca, coby w pięciu dniach zajechał z Queenstown do Nowego Jorku. Oszczędzą wprawdzie 24 godzin czasu, atoli zużyją dwa razy więcej siły, niż zwyczajnie.

Najpraktyczniej i najmądrzej radzą sobie Szwajcarowie. Jak donosi *Schweizer-Bauzeitung*, przyszło tam do skutku spożytkowanie siły Renu pod Rheinfelden. Otrzymują przez to energię, równającą się sile 25.000 koni, która ma zasilać w Bazylei i okolicy, lampy, maszyny i koleje elektryczne².

Nowe wiadomości o dyamentach. — Dotychczas nie znaleziono nigdzie dyamentu w Europie. Dopiero po raz pierwszy odkrył go fran-

¹ *Correspondant*, 10 stycz. 1892.

² *Natur u. Offenbarung*, styczeń 1892.

cuski badacz Ch. Rabot w Laponii, w kształcie drobnych ziareczek. Próbkę te zebrał Rabot nad rzeką Pasvig, która przepływa okolicę, należącą do formacji gnajsovej. W piasku tym znajduje się 16 gatunków mineralnych, między tymi dyament co do częstości ostatnie zajmuje miejsce. Są to ciałaka kańczone, rzadziej zaokrąglone, wielkości 0.25—1.5 mm, barwy jasno przezroczystej. Połysk ich występuje wyraźnie, jako też silne załamanie światła. Twardość przewyższa wybitnie twardość wszystkich innych części składowych piasku. Spalone w czystym płomieniu tlenu, wytwarzają bezwodnik kwasu węglowego, składają się zatem z czystego węgla. Z badania wynika również, że minerały towarzyszące dyamentowi w owym piasku, nie należą do skał gnajsowych ani wybuchowych owej okolicy¹.

Nowością też jest, iż znaleziono dyament w żelazie meteorycznem. O jakie 10 mil ang. na południowy wschód od Canon Diabło w Arizonie, znaleziono całe pasmo mniejszych i większych meteorytów. Największy ważył 286.678 kg, inne mniej, najmniejsze w liczbie 131, ważyły po 1.79 kg do 3 kg. Jeden z większych, ważący 18.144 kg, pocięto na kawałki w celu dalszego zbadania. Jeden z tych ułamków posłano do analizy p. Königowi. Według niego, meteoryt odznaczał się nadzwyczajną twardością; po wielu wysiłkach i uszkodzeniu wielu przyrządów, udało się wreszcie przeciąć go, przyczem natrafiono na wydrążenie niczem się na zewnątrz nie zdradzające. W tem właśnie wydrążeniu znaleziono dyamenty. Były to małe, czarne ciałaka, któremi, jak gips nożem, można było krajać szlifowane korundy. Z powodu barwy czarnej, nie mają one wielkiej handlowej wartości, za to niemałe mają znaczenie naukowe. Dopiero bowiem od r. 1887 znamy dyamenty w meteorytach i to w kamieniach meteorycznych, podczas gdy tutaj po raz pierwszy napotkano je w żelazie meteorycznem².

Dalszą wiadomością o dyamentach jest stara i nowa zarazem własność tychże. Wprawdzie już w r. 1663 Rob. Boyle ogłosił, że są dyamenty, co w ciemności świecą, atoli przeszło dwa wieki minęły, a nikt nie zwrócił na to uwagi. Dopiero w ostatnim czasie, jak podaje *Nature* (1891, vol. 64), zauważył tę własność nanowo Kunz i bliżej ją zbadał. Uczony ten wystawiał rozmaite dyamenty na działanie światła słonecznego, łukowego, i zawsze spostrzegał, że takie dyamenty później fosforyzowały. W taki sam stan mógł również wprowadzić wszystkie

¹ *Natur u. Offenb.*, styczeń 1892.

² *Naturwiss. Rundschau*, 23 stycznia 1892.

dyamenty przez pocieranie drzewem, sukmem, a nawet metalami. Ostatnia okoliczność, że własność tę może wywołać i pocieranie metaliczne, kazałaby powątpiewać, czy zjawisko całe należy do energii elektrycznej.

Wreszcie zanotować jeszcze o dyamencie wypad, że, jak podaje *Journal de pharmacie et de chimie*, udało się Gilonowi odbarwić żółte dyamenty. Zanurzał on żółte dyamenty w roztwór wyskokowy z fioletu anilinowego, do którego dodawał nieco kwasu benzoowego. Zdaniem jego, sztuczne to odbarwienie wytrzyma długie lata. Tym sposobem cena żółtych dyamentów pójdzie najprawdopodobniej bardzo w górę¹.

Znaczenie higieniczne lasów. — Znana jest powszechnie rzecz, że powietrze leśne oddziaływa wzmacniająco na człowieka. Lekarze też zalecają chorym nie tylko powietrze górskie i nadmorskie, ale i leśne. Zkąd się więc bierze ten zdrowotny wpływ lasów? Pospolicie przypisywano to aromatycznemu zapachowi leśnego powietrza, a szczególnie rzekomo większej zawartości tlenu. Wiadomo bowiem, że procesy życiowe zwierząt i roślin nie są zupełnie te same; ustroje zwierząt są przyrządami przeważnie utleniającymi, podczas gdy ustroje roślin są nadto redukującymi, odtleniającymi. Mianowicie mają rośliny prócz oddychania wspólnego im ze zwierzętami, inny jeszcze proces, mocą którego pobierają z powietrza dwutlenek węgla, a wystawione na działanie światła, rozkładają go, węgiel zatrzymują na wyrabianie rozmaitych substancyj organicznych, tlen zaś wydzielają.

Atoli zdaniem profesora d-ra Ebermayera (Gaea 1891, grudzień), zwyczajne pojęcie o produkcji tlenu w lasach, jest przesadzone. Według niego, hektar lasu w czasie wegetacji pobiera w jednym dniu 40 m³ dwutlenku węgla z powietrza, za co prawie taką samą objętość tlenu wydziela. Cóż jednak znaczy 40 m³ odnośnie do całego powietrza lasu na jednym hektarze? Taki las sam posiada 200.000 m³ powietrza, a nie można w całości też pomijać atmosfery zewnętrznej. Dorosły człowiek przez oddychanie zużywa tyle tlenu w jednym roku, ile 3 ary lasu wydzielają. Cztery zaś osoby potrzebują na swe całkowite utrzymanie tyle tlenu, ile 1 ha. lasu rocznie wydziela. Już więc 4 osoby równoważą zupełnie 1 ha. lasu. Cóż dopiero, gdy się weźmie w rachubę najrozmaitsze zwierzęta w lesie żyjące? Tak np. trzoda 100 owiec pasąca się w lesie, zużywa przez oddychanie o wiele więcej tlenu, i oddaje dwutlenku węgla, niż 1 ha. lasu w tym samym czasie zrównoważyć

¹ *Natur u. Offenb.*, styczeń 1892.

potrafi. Nie w tlenie więc, ale w czem innem trzeba szukać przyczyny zdrowotności lasów.

Według d-ra Ebermayera, znaczenie higieniczne lasów polega najprzód na czystości powietrza. Powietrze bowiem lasowe jest wolne od szkodliwych wyziewów, gazów i par, w jakie każde większe miasto bardzo obfituje; jest wolne od dymu, sadzy i kwasu siarkowego, których powietrzu miast dostarczają tysiące kominów; wolne jest od kurzu ulicznego, ma o wiele mniej szkodliwych bakteryj, aniżeli powietrze w miastach. Ostatnia okoliczność stosuje się nietylko co do ilości bakteryj, ale też co do jakości. Z pięcioletnich (1881—1885) porównawczych spostrzeżeń Miquela wynika, że powietrze w środku Paryża zawiera przeciętnie na 1 m³ 3910 bakteryj, powietrze zaś parku Montsouris tylko 455. Bardziej jeszcze stosuje się to do lasów.

Powtórę, znaczenie higieniczne lasów polega również na stosunkach klimatycznych. W lasach bowiem za dnia powietrze i ziemia zostają świeże i chłodne, nocą za to chroni liściasta korona drzew leśne powietrze i ziemię od silnego promieniowania.

Nadto powietrze leśne, a zwłaszcza unoszące się nad drzewami, zawiera zawsze nieco ozonu, podczas gdy w powietrzu miejskiem ozonu normalnie niema. Podług zaś obserwacji d-ra Eysleina, wywiera powietrze z średnią zawartością ozonu bardzo dobry wpływ na chroniczne choroby nerwowe.

Uwagi te odnosilyby się więcej do samego powietrza leśnego, atoli znaczenie higieniczne lasów zależy również od zdrowotności swego podłoża. Gdzie ziemia nie jest odpowiednią dla bakteryj, tam pewne choroby zaraźliwe nie przyjmują się wcale. Z drugiej strony, nie można zaprzeczyć, że ziemia lasów przedstawia bakterjom patogenicznym o wiele niepomysłniejsze warunki, aniżeli zanieczyszczony grunt miast, miasteczek i wiosek. Nadto, chociażby były bakteryje w leśnej ziemi, to nielatwo się mogą dostać w powietrze, co w miastach, wioskach, a nawet polach jest zupełnie naturalnem. Sama już zielen i murawa sprawia, że powietrze leśne uboższe jest w kurz i bakteryje.

Prof. L. Adametz znalazł w 1 gramie ziemi piaszczystej 380.000, ziemi gliniastej 500.000 bakteryj. Prof. zaś Emmerich badał 10 gatunków humusu lasów iglastych i bukowych, i znalazł na 1 cm³ tylko 170.000 do 190.000. Nadto w humusie leśnym nie znaleziono jeszcze dotychczas bakteryj patogenicznych. Ztąd możnaby słusznie wnosić, że humus leśny ze stanowiska higienicznego jest czystym; gdzie zaś czystą jest ziemia, tam też znajduje się czysta woda i czyste powie-

trze. Na tem się też opiera doniosłość większych plantacyj i ogrodów po miastach.

Ryby w dolnym Sylurze. — We wszystkich geologiach utrzymywano powszechnie, że właściwym okresem rozwoju ryb jest formacja dewońska, że pierwsze ryby pojawiają się dopiero w najwyższych warstwach górnego Syluru, poprzedzającego bezpośrednio powyższą formację. I słusznie: nie znano bowiem wcale ryb, ani z warstw średniego ani dolnego Syluru. Obecnie jednak zapatrywanie to jako błędne musi upaść zupełnie. Albowiem, jak podaje *Nature* (1891, vol. 43), znalazł Ch. Walcott szczątki ryb już w dolnych warstwach sylurskich. Miejscem znalezienia jest City w stanie Kolorado. Skamieliny same pochodzą z piaskowca, spoczywającego bezpośrednio na pokładach azoicznych, i składają się z wielkiej ilości pojedynczych płatków, które są szczątkami pancerzy rybnych. O ile można wnosić z pozostałości zwapniałej struny grzbietowej, należałyby te ryby do grupy spodoustych (*Elaasmobranchii*). W taki sposób zwierzęta kręgowie nie byłyby o wiele młodsze od bezkręgowych, jakieśmy to zwykle przypuszczali¹.

Czaszki staro-ateńskie. — Sławne są nosy i profile greckie: mniej sławne, bo mniej znane, choć bardziej ciekawe, są czaszki starych Greków. W ostatnich wykopaliskach swoich przy ulicy Uniwersyteckiej w Atenach, znalazł Schliemann jedenaście grobów, z których dziesięć pochodzi prawdopodobnie z IV. wieku przed Chr., a jedenasty należy może nawet do wieku VI. Zdaniem Schliemanna, sarkofag ostatniego musiał być z drzewa, bo nic zeń nie zostało. Wszystkie te groby mieściły w sobie kości ludzkie, atoli cztery tylko czaszki wyjęto w dość dobrym zachowane stanie. Pomiary tych czaszek wykonał Rud. Virchow. Wszystkie należały do osób dorosłych, prawdopodobnie nawet już podeszłego wieku. Szczególnie ciekawą, a dla nauki doniosłą, jest zadziwiająco mała pojemność tych czaszek. Coś podobnego zauważył Virchow już dawniej przy pomiarze dwu innych czaszek, które wykopano r. 1871 również w Atenach. Jedna czaszka, jakiejś starej niewiasty Glykery, pochodzi z czasów macedońskich — w drugim grobie, jakiegoś silnego mężczyzny, znaleziono rozmaite naczynia gliniane najstarszego stylu. Otóż, według pomiarów Virchowa, wszystkie te czaszki odznaczają się tak małą pojemnością, że idąc za powszechnemi zapatrywaniami, trzeba by je chyba uważać za należące do jakiegoś dzikiego szczepu. Wogóle pozostają one bardzo w tyle za przeciętną pojemno-

¹ *Natur u. Offenb.*, styczeń 1892.

ścią czaszek wszystkich dzisiejszych narodów cywilizowanych. Fakt ten pokazuje najwidoczniej, jak bezpodstawne są wszelkie wnioski o stopniu wykształcenia jakiegoś narodu z wielkości jamy czaszkowej¹.

Plamy na Jowiszu. — Jeszcze dwa słowa o astronomii. Największa planeta naszego systemu, Jowisz, nie od dziś zajmuje i intryguje astronomów. Znane są też powszechnie plamy nie tylko na słońcu, ale i na Jowiszu. Pan E. E. Barrand, który przez 12 lat poświęcił swoją uwagę Jowiszowi, ogłosił swe spostrzeżenia pod koniec zeszłego roku. Podnosimy z nich niektóre szczegóły.

Przedewszystkiem w zdumienie wprawiało p. Barranda zjawisko, że plamy na Jowiszu zmieniają od czasu do czasu swoje barwy. Dokładniejsze studium tej rzeczy doprowadziło go do odkrycia, że barwa czerwona jakiejś plamy świadczy o jej starości, czyli innymi słowy, że jeżeli jaka plama pokazuje się po raz pierwszy na Jowiszu (wyjąwszy plamę białą), to jest ciemna albo czarna, dopiero po jakimś czasie przechodzi na czerwoną. Zjawisko to powtarzało się regularnie, do tego stopnia, że zawsze można było przepowiedzieć przejście barwy czarnej na czerwoną, i zawsze fakt stwierdzał przepowiednię. Co więcej, pokazało się, że prawu temu podlegała nawet wielka i już nieraz obserwowana plama, która się zawsze czerwono przedstawia. Albowiem plamę tę zauważyli już w r. 1872 Corder i Terby, i wtedy nie była ona czerwoną, ale czarną.

Wynik, do jakiego ztąd Barrand przychodzi, sprzeciwia się teorii, która przyjmuje, że powierzchnia Jowisza składa się z chmur i młak; natomiast przemawia za teorią, według której powierzchnia Jowisza jest plastyczną i miękką, a owe rozmaite plamy powodują wybuchy, z wnętrza pochodzące².

Ostatnie przejścia Wenus i paralaksa słońca. — Dwa ostatnie przejścia Wenus (1874 i 1882) przez tarczę słoneczną zainteresowały niemało świat uczony. Wszystkie też państwa poświęciły znaczne sumy i wydatki, aby z tych przejść obliczyć możliwie dokładną odległość słońca od ziemi. Klasyczne jest wogóle oznaczanie paralaksy słońca z przejścia Wenus. Długie, znużające i trudne rachunki są przyczyną, że obecnie dopiero zaczynają się ogłaszać wyniki owych spostrzeżeń.

Paralaksa słońca jest połową kąta, pod którym można widzieć z jakiegoś punktu na słońcu średnicę ziemi — czyli jest połową kąta,

¹ Gaea 1891, p. 695.

² *Naturwiss. Rundschau*, 30 stycznia 1892.

jaki tworzą z sobą linie widzenia obserwatorów, którzy z dwóch przeciwnych punktów na ziemi jeden i ten sam punkt na słońcu uważają.

Pan Auwers, który kierował obrachowaniami niemieckich spostrzeżeń, podaje wartość na paralaksę słońca $8.88''$, tj. ze słońca widzi się średnicę ziemi pod kątem $17.76''$.

Wynik ten jest w każdym razie większy, niż się tego spodziewano na podstawie innych nowszych spostrzeżeń. Newcomb opracował nanowo przejścia Wenus z r. 1761 i 1769, i znalazł $\pi = 8.79''$. Zdjęcia fotograficzne Francuzów, Anglików i Amerykanów z r. 1874 i 1882 wymagają wartości $8.84''$ do $8.86''$. Obserwacje czasów zetknięcia się brzegów słońca i Wenus dają podobne wartości $8.82''$ do $8.86''$. Battermann z obserwacji księżyca, odnośnie do paralaksy słońca, przychodzi do wyniku $8.79''$.

Tak więc i ostatnie spostrzeżenia, mimołożonych kosztów i starań, nie przynoszą nam stanowczego, pewnego wyniku; ponieważ jednak najbliższe przejście Wenus nastąpi dopiero w r. 2004, będą się musieli astronomowie uciec do innych metod obliczania paralaksy słońca.

Drugi wynik bardzo ważny z tych obserwacji, jest nowe oznaczenie średnicy słonecznej. Wartość jej podaje Auwers $1919.26''$, a wynik ten można uważać za bardzo do prawdy zbliżony (na $\pm 0.1''$)¹.

Fotochronograf Fargisa T. J. — Przy rozmaitych pomiarach i spostrzeżeniach astronomicznych, tam zwłaszcza, gdzie chodzi o jak największą dokładność, nie można prawie nigdy uniknąć błędu osobistego, pochodzącego głównie z braku jednoczesnego połączenia przedmiotu obserwowanego z czasem obserwowanym. Dla zapobieżenia temu złemu zjawia się w porę wynalazek O. Fargisa T. J. Broszura wydana przez obserwatorium kolegium Georgetowskiego: *The Photochronograph and its application to Star transits* (Georgetown College Observatory, 1891), poucza nas nieco w tej mierze. Na początku broszury umieszczono dwie tablice. Pierwsza podaje nam obraz tego ważnego przyrządu. Prawdziwie to jajo Kolumba. Cały instrumencik składa się z waziutkiego języczka, umieszczonego na kotwicy elektromagnesu, który połączony jest z przyrządem zegarowym. Na drugiej tablicy widzimy w prostej linii przeszło 200 białych punktów na czarnem tle: jestto szereg fotografii Syryusza. Regularne przerwy w tym szeregu punktów oznaczają początek i środek minuty czasu, każdy zaś punkt odpowiada sekundzie. Wspomniany języczek stalowy odsłania przy każdym uderzeniu waha-

¹ *Naturwiss. Rundschau*, 2 stycznia 1892.

światło gwiazdy badanej tylko na jedną chwilkę, zresztą je zaciemnia. Prócz tego, na tej samej tablicy, prostopadle do tego szeregu punktów, mamy czarną cieniutką linię: odbicie nitki lunetowej. Tym sposobem mamy połączenie obrazu gwiazdy, z jednej strony z zegarem, z drugiej z instrumentem, tj. z jego nitką.

J. N.

Korespondencya Redakcyi.

Otrzymujemy następujące pismo:

Szanowna Redakcyo!

W głosach prasy o umieszczonym w lutowym numerze *Przeglądu Powszechnego* artykule p. t.: „Prawdziwe tajemnice Krakowa“, a zwłaszcza w bardzo zkądnad rozsądnie i z żywym zainteresowaniem dla tej sprawy skreślonym sprawozdaniu w *Nowej Reformie* z 24 lutego, spotykam się z zarzutem, polegającym wyłącznie na nieporozumieniu, które zatem paru słowami chciałbym objaśnić. Omawiając katalog wypożyczalni Gumpłowicza (str. 206 *Przeglądu*), zamierzałem najprzód dać ogólne wyobrażenie o tem, co zawiera: i dlatego wymieniałem dobre i złe, cytowałem bez różnicy ilość tomów Kraszewskiego, Korzeniowskiego i t. p., a obok nich Kocka, Żołą i t. d. Później dopiero, na stronicy następnej, przechodzę specjalnie do książek złych, niemoralnych, „najlichszej wartości“, jak *N. Reforma* słusznie się wyraża. Być może, że odróżnienie to w artykule mym niedość się uwidoczniło; kontent przeto jestem ze sposobności, która mi dozwala z naciskiem je tutaj podkreślić. Co się tyczy Feldmanna i Bałuckiego, choć ich nie kładę w jednym rzędzie z Żołą i Mendèsem, trwam jednak w przekonaniu, że i redaktorowie *N. Reformy* nie radziłyby znaleźć „Żydziaka“, „Pięknej Żydówki“ lub „Z mętów społecznych“ w rękach swych żon lub córek. — *N. Reforma* kończy swe sprawozdanie następną, bardzo zdrową uwagą, którą pozwolę tu sobie powtórzyć, bo porusza nader ważną kwestyę, której przeprowadzenie musi wszystkim równie leżeć na sercu:

„Potrzeba się liczyć z istnieniem u nas szerokich warstw t. zw. „niższych“, dla których czytanie powieści zwłaszcza i dzieł beletrystycznych przedstawia interes niemały. Uczciwie prowadzona antykwarnia, czy wypożyczalnia, podająca w formie lżejszej zdrową strawę duchową, byłaby więc bardzo pożądaną i niemałe usługi mogłaby oddać naszemu społeczeństwu“.

Upraszam o łaskawe umieszczenie tych kilku słów wyjaśnienia w łamach szanowego swego pisma.

Autor „Prawdziwych tajemnic Krakowa“.

SPIS RZECZY.

Artykuły naukowe i literackie.

	Stronnica.
PRAWDA W SZTUCE. Przez <i>ks. Maryana Morawskiego T. J.</i>	1
Twórczość w sztuce. Przez <i>tegoż</i>	364
U SŁOWEŃCÓW. II. Lublana. Przez <i>ks. Jana Bade- niego T. J.</i>	26
W ZAGRZEBIU. Przez <i>tegoż</i>	317
SEKCIARSTWO W ROSYI. Sztunda i jej rozgałęzienia. Przez <i>A. Szarlowskiego</i>	45
LISTY z PODRÓŻY po AZYI (c. d.). Przez <i>księcia Pawła Sapiehę</i>	70 258 395
SOCYALIŚCI I TERRORYŚCI POLSCY POD ZABOREM ROSYJSKIM. Przez <i>ks. Stanisława Załęskiego T. J.</i>	85
CAR ALEKSY MICHAŁOWICZ NA LITWIE. Fragment dzie- jowy z XVII. stulecia. Przez <i>Maryana Dubieckiego</i>	161 346
WSPÓLNE TŁO POJĘĆ RELIGIJNYCH U HINDÓW. Przez <i>ks. W. Zaborskiego T. J.</i>	177 380
PRAWDZIWE TAJEMNICE KRAKOWA. Przez ***	195
DZISIEJSZY SOCYALIZM WOBEC ŚWIATŁA ROZUMU (c. d.). Przez <i>ks. Antoniego Langerę T. J.</i>	229

Przegląd piśmiennictwa.

Z piśmiennictwa krajowego:

LIRYKA SARBIEWSKIEGO. Napisał St. Windakiewicz. (<i>W. Piętkiewicz T. J.</i>)	107
PAMIĘTNIK KSIĘDZA GRZEGORZA MICEWICZA. — LISTY UNITÓW WYGNANYCH DO GUBERNII ORENBURGSKIEJ. — LISTY UNITÓW. Część druga. (<i>M.</i>)	115
O STOSUNKACH ZDROWOTNYCH W MIEŚCIE LWOWIE. Sprawozdanie za rok 1888. Napisał dr. Antoni Pawlikowski, fizyk miejski. (<i>Dr. P. R.</i>)	119
INDEX LECTIONUM Uniwersytetu Fryburgskiego na semestr zimowy 1891—1892. (<i>M.</i>)	120
DROBIAZGI HISTORYCZNE. Przez Aleksandra Kraushara. T. II. (<i>B.</i>)	121
SZARE GODZINY. Przez Czesława Pieniążka. (<i>As.</i>)	122
Z POLSKIEJ LITERATURY ASCETYCZNEJ. (<i>A. M. W. — B.</i>)	124
KAZIMIERZ BRODZIŃSKI. 1830—1835. Przyczynek do biografii i charakterystyki. Napisał Br. Gubrynowicz. (<i>Romuald Koppens T. J.</i>)	270
PODRĘCZNIK GEOGRAFII OJCZYSTEJ. Dodana wiadomość o Czechach i Rusinach. Ułożył Józef Chociszewski. (<i>Dr. K. Krotoski</i>)	273
PRZEWROTNOŚĆ ZASAD I DĄŻNOŚCI SOCYALISTYCZNYCH. Studium opracowane na podstawie dziełka O. Cathreina T. J. (<i>J.</i>)	275
PAMIĘTNIKI GUSTAWA OLIZARA (1798-1865), z przedmową J. Leszczyca. (<i>B.</i>)	276
NIEPOKALANA BOGARODZICA MARYA, w świetle Ewangelii i Ojców Kościoła. Skreślił ks. A. Sas Krechowicki, dr. Teol., rektor kościoła św. Ruperta w Wiedniu. Tom I, II. — MARYA, KRÓLOWA KORONY POLSKIEJ. Przyczynek do tomu II. „Bogarodzicy“. Skreślił tenże. (<i>W.</i>)	278
ZAPOZNAWANA PRAWDA. Kilka uwag dla ludzi dobrej woli. Skreślił ks. Władysław Szcześniak. (<i>E. H.</i>)	280
O JEZYKU GRECKIM PISARZY BIZANTYŃSKICH w ogólności i o ich sposobie wyrażania imion słowiańskich w szczególności. J. Krystyniak. (<i>Stanisław Witkowski</i>)	412
WYKŁAD CHEMII OGÓLNEJ. Dr. Ernest Bandrowski. (<i>J. N.</i>)	418
LECZENIE DOMOWE. Warszawa. Nakład Maurycego Orgelbranda. (<i>Józef Zanietowski</i>)	421
RUSKIE WYDAWNICTWA KS. Ł. DŻULYŃSKIEGO. (<i>Ks. Pl.</i>)	426
UWIELBIENIA ŁASKI BOŻEJ. Według d-ra M. S. Scheebena i O. E. Nieremberga T. J., z czwartego wydania niemieckiego wolno przełożył ks. J. Tylka. (<i>Ks. W. D.</i>)	429

Z piśmiennictwa zagranicznego:

DIE WOHLTHÄTIGKEITSANSTALTEN DER CHRISTLICHEN BARMHERZIGKEIT IN WIEN. Von Heinrich Pesch S. J. (<i>B.</i>)	127
DIE VERBRECHERWELT VON BERLIN. Von O. S. — WAS BERLIN VERSCHLINGT. Von Hans R. Fischer. (<i>Z.</i>)	129

HISTOIRE DE L'ART CHRÉTIEN, aux dix premiers siècles. Par l'abbé Salmon. (<i>M.</i>)	132
A COMPARATIF GRAMMAR OF THE SOUTH-AFRICAN BANTU LANGUAGES, comprising those of Zanzibar, Mozambique, The Zambezi, Kafirland, Benguela, Angola, the Congo, the Ogowe, the Cameroons, the Lake region etc. By I. Torrend S.I. of the Zambezi Mission, author of an Outline of a Xosa-Kafir Grammar. (<i>R. Koppens T.J.</i>)	281
LA PASSION. Par le P. Ollivier. (<i>M.</i>)	282
RICHELIEU À LUÇON, SA JEUNESSE, SON EPISCOPAT. Par l'abbé Lacroix. (<i>M.</i>)	283
EIN CYCLUS CHRISTOLOGISCHER GEMÄLDE AUS DER KATAKOMBE DER HEILIGEN PETRUS UND MARCELLINUS. Zum erstenmal herausgegeben und erläutert von Joseph Wilpert. (<i>Ks. dr. J. Błczewski</i>)	432
MARIN ET JÉSUISTE, VIE ET VOYAGES DE FRANÇOIS DE PLAS. Par le p. Mercier S. J. (<i>M.</i>)	440

Z pism czasowych:

KRONIKA RODZINNA, pismo dwutygodniowe, poświęcone literaturze, sprawom społecznym i domowym. 1890—91. (<i>Ks. A. B.</i>)	285
--	-----

Sprawozdanie z ruchu

religijnego, naukowego i społecznego.

STYCZEŃ.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Kwestya rzymska w delegacyi austriackiej i parlamencie włoskim. — Mowy Kalnoky'ego, Rudiniego i Crispiego. — „Kościelna polityka“ w francuskim parlamencie. — Prześladowanie i rzezie w Chinach. — Dwa okólniki biskupów austriackich. — Prekonizacya polskich biskupów. Przez <i>ks. Jana Badeniego T.J.</i>	134
POLACY W RUMUNII. Przez <i>M.</i>	146
CZYTANKA Z ORGANU POLSKICH SOCYALISTÓW W BERLINIE	151

LUTY.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Dwie przemowy papieskie. — Leon XIII. a Francya. — Kwestya rozłączenia państwa od Kościoła we Francyi. — Męczennicy chińscy. — Więźniowie Mahdiego. — Ks. arcybiskup Stablewski w Berlinie i Gnieźnie. Nowy pruski projekt szkolny. Przez <i>ks. Jana Badeniego T.J.</i>	288
O REFORMIE NAUKI RELIGII W NASZYCH GIMNAZJACH. Przez <i>ks. W. Gadowskiego</i>	297
LIST Z WIEDNIA. Przez <i>Józefa Glinkiewicza</i>	305

MARZEC.

SPRAWY KOŚCIOŁA: Pruski wniosek szkolny. — Mowy Capri- viego. — Chrześcijańskie reformy w Berlinie. — Dekla- racja francuskich kardynałów. — Śmierć kardynałów Man- ninga i Simeoniego. — Nowy prefekt Propagandy: kar- dynał Ledóchowski. Przez <i>ks. Jana Badeniego T. J.</i> . . .	442
POŚWIĘCENIE KAPLICY POLSKIEJ PRZY UJŚCIU ELBY. Przez <i>B. Ja- sieńczyka</i>	453
ZE ŚWIATA NAUK, ODKRYĆ I WYNAŁAZKÓW. Przez <i>J. N.</i>	460
KORESPONDENCYA OD AUTORA „PRAWDZIWYCH TAJEMNIC KRA- KOWA“	468

